

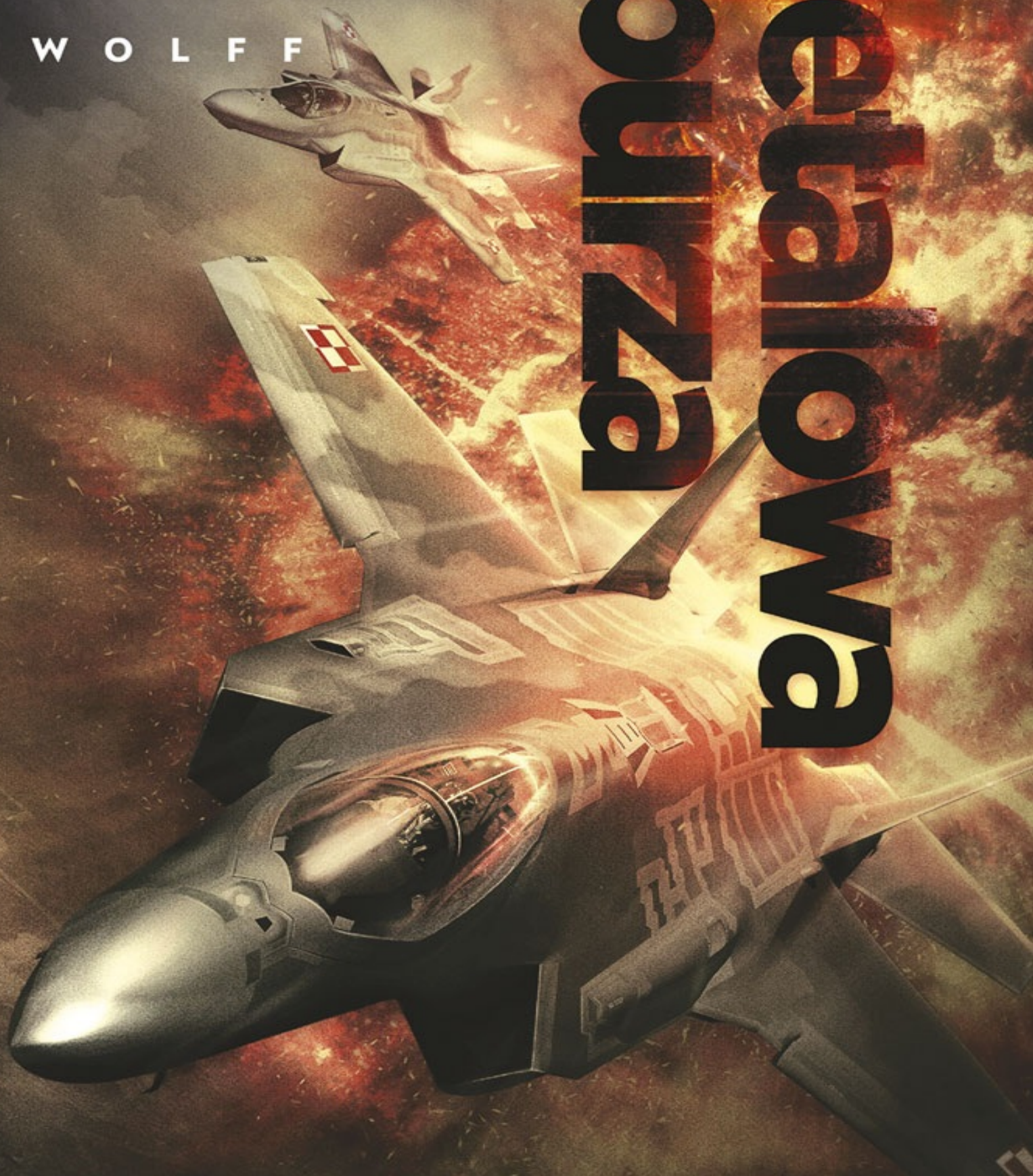


WAR BOOK

V L A D I M I R

W O L F F

Metamorfoza



Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

VLADIMIR WOLFF

Metalowa burza



© 2016 WARBOOK Sp. z o.o.
© 2016 Vladimir Wolff

Redaktor serii: **Sławomir Brudny**

Redakcja i korekta językowa: **Zespół redakcyjny**

Projekt graficzny, skład, eBook: **Ilona i Dominik Trzebińscy Du Châteaux**, atelier@duchateaux.pl

Projekt okładki: **HEVI**

Ilustracja: **Jan Jasiński**

ISBN 978-83-645-2348-9

Ustroń 2016

Wydawca: **Warbook Sp. z o.o.**

ul. Bładnicka 65

43-450 Ustroń, www.warbook.pl

SZCZECIN -- POLSKA | 1 lipca

Wieczorem nie potrafił zasnąć. Trochę oglądał telewizję, a trochę kręcił się po swoim niewielkim dwupokojowym mieszkaniu. W końcu wypił piwo. Nieco pomogło. Obudził się o pierwszym brzasku, czyli dosyć wcześnie. Dopiero co minęła czwarta nad ranem. Za oknem padało. Wyraźnie słyszał krople deszczu rozbijające się o parapet.

Otworzył oczy i przez moment wpatrywał się w sufit. Jeśli wstanie o wpół do siódmej, spokojnie zdąży. Pracę zaczynał o ósmej.

Praca, wielkie słowo. Pokręci się po biurze, poprzekłada papiery na biurku, pogada ze znajomymi, obsztorcuje, kogo trzeba, i do domu.

Martwiło go co innego. Od kiedy rozwiódł się dwa lata temu, nie bardzo radził sobie w życiu. Dzieci nie mieli. On chciał, ale to do Julii należało ostatnie słowo w tej materii. Najczęściej czuł się jak wypalona skorupa, niby żył, niby funkcjonował, ale nie bardzo potrafił znaleźć sens w tym wszystkim.

Obrócił się na bok i przymknął powieki. Budził się jeszcze parokrotnie i za każdym razem śniły mu się koszmary. To spadał, to się wznosił, strzelał i uciekał. Motyw ucieczki powtarzał się najczęściej. Właściwie każdej nocy. Wciąż gnał przed siebie, zmieniały się jedynie dekoracje, raz były to góry, kiedy indziej ulice miast.

Z wyra zwlókł się o szóstej z minutami i zaraz poszedł do kuchni. Zaparzył kawę, a do rondla włożył jajko, zalał je zimną wodą i odstawił na gaz. Niech się ugotuje na twardo.

W łazience potrząsnął pojemnikiem z pianką do golenia, przyglądając się sobie w lustrze. Nie miał jeszcze czterdziestu lat, a dziś wyglądał, jakby przekroczył pięćdziesiątkę. Trzeba było to powiedzieć otwarcie -- nie jest dobrze. Jeśli nie znajdzie celu w życiu, skończy jako zgorzkniały starzec wszczynający awantury z byle powodu. Widywał takich w osiedlowym sklepiku. Nerwusy z wiecznymi pretensjami do całego świata.

Przejechał nożykami po policzku, a pianę strzepnął do umywalki. Na koniec skórę przetarł wodą po goleniu. Zaszczypało. To uczucie akurat lubił.

Przeszedł do pokoju. Już od dawna do roboty nie chodził w mundurze. Wystarczyło, że wbił się w dżinsy i koszulę. Tak było lepiej. To, czym się zajmował, nie wymagało ostentacji.

Dość, że jego zastępca lubi trzaskać obcasami, podkreślając na każdym kroku, jaki to jest ważny. Najchętniej pozbyłby się gnojka. Niech idzie do diabła. Pogada, z kim trzeba, może trafi się odpowiednie miejsce dla takiego dupka. Powinien był o tym pomyśleć wcześniej.

Woda w rondlu już prawie się wygotowała. Zdjął naczynie z gazu i wylał jego zawartość do zlewu. Odkręcił zimną wodę. Poczekał, aż jajko ostygnie, i rozbił skorupkę. Chleb, masło, ser -- poranny rytuał powtarzany w nieskończoność.

Trzeba sprawdzić, co słychać na świecie. Pierwsza rozgłośnia dawała mocno po uszach. Szybko zmienił stację. Wolał klasykę i spokojniejsze tony. W końcu spośród szumów wyłapał to, o co chodziło.

Podkreślił fonie.

-- ...wiele mówi się o przypadkach nowej choroby, której ogniska pojawiły się w Los Angeles, Chicago, Nowym Jorku i Miami. Jak na razie specjaliści są bezsilni. Wirus zabija w ośmiu przypadkach na dziesięć. Nie ma powodów do paniki -- powiedział rzecznik administracji. Wszyscy chorzy znajdują się pod doskonałą opieką, a kolejne przypadki są natychmiast izolowane. Część ekspertów jest zdania, że pojawienie się choroby w kilku miejscach równocześnie nie jest kwestią przypadku. Howard Johnson już w zeszłym tygodniu próbował zwrócić uwagę Waszyngtonu na ten problem. Przypomnijmy, że to on stał na czele niezależnego zespołu badającego zachorowania na MERS w Korei Południowej. Jako pierwszy dostrzegł też zależność pomiędzy jednym a drugim wirusem. "Jeżeli to nowa odmiana MERS, to stoimy przed poważnym zagrożeniem" -- mówił otwarcie. W wypowiedziach już pojawia się słowo pandemia.

Upił łyk czarnej jak smoła kawy, bez cukru i śmietanki. Normalny człowiek po czymś takim nabawiłby się arytmii serca.

Wiadomość nie zrobiła na nim wrażenia. Co parę miesięcy dochodziło do podobnych zdarzeń. Jak nie ebola, która w Afryce zabiła ponad dziesięć tysięcy mieszkańców kontynentu, to właśnie MERS. Gubił się w tych wszystkich chorobach. Zresztą co tam egzotyczne wirusy, grypa czy zapalenie wątroby kosiły ludzi równie skutecznie.

-- Do wzrostu napięcia doszło po raz kolejny na Morzu Południowochińskim w pobliżu archipelagu Wysp Spratly. Jak twierdzi Hanoi, w pobliżu jednej ze sztucznych wysepek, na których Chińczycy wznoszą instalacje wojskowe, ostrzelany został wietnamski kuter rybacki. Władze w Pekinie mówią o okręcie wojennym, który naruszył strefę militarną i został zmuszony do jej opuszczenia. Liczba ofiar incydentu to siedmiu Wietnamczyków.

Kolejny węzeł nie do rozwiązania. Zbyt wielu chętnych do panowania nad tym kawałkiem świata. Chiny, Wietnam, Filipiny, Tajwan, Malezja, Japonia i Brunei, no i oczywiście Stany Zjednoczone, które dorzucą swoje trzy grosze, niezależnie czy się to komuś podoba, czy nie.

Zerknął przez okno. Wciąż padało. Pierwszy dzień wakacji i od razu aura taka, że nie chce się wychodzić z domu. Z tego, co mówili synoptycy, roz pogodzi się dopiero w drugiej połowie miesiąca.

Ilekcio ich słuchał, niemal zawsze trafiał go szlag. Gdzie stacja wynajdywała takich imbecyli? Kiedy słyszał, że w całej Polsce panuje piękna słoneczna pogoda, to zastanawiał się, czy w tym kraju istnieją telefony. Ładnie i słonecznie mogło być wyłącznie na Mazowszu i nad samą Warszawą. Nie dalej jak wczoraj zapowiadali, że "w końcu odpocznimy od upałów". Na Pomorzu jak dotąd był może jeden ciepły dzień, a temperatura nie przekraczała osiemnastu stopni, co trudno nazwać upałem.

Z wieszaka zdjął granatową wiatrówkę, a z kieszeni wyjął klucze. Bałaganem na stole w kuchni się nie przejmował. Posprząta, jak wróci.

Zbiegł po schodach i wyszedł na zewnątrz.

Mieszkał na osiedlu Aleksandra Zawadzkiego, politruka, szefa pionu polityczno-wychowawczego przy naczelnym dowódcy armii polskiej w ZSRS, późniejszego komunistycznego działacza PZPR. Wyjątkowej kanalii. Pierwsze bloki zaczęto wznosić w połowie lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku, gdy nikt nie spodziewał się upadku jedynej słusznej władzy. Ta rozwiała się jak dym, osiedle pozostało. I

tak miał szczęście, że okna jego mieszkania wychodziły na ogrodzenie największej w mieście zajezdni tramwajowej, a nie na ulicę.

Minął smętny lasek, gdzie na niewielkim wzniesieniu umieszczono kamień upamiętniający jeńców francuskich, którzy dostali się do niewoli po wojnie 1870-1871 i zmarli w tym miejscu. Kiedyś wokół głazu rozciągał się niewielki cmentarzyk, dziś na mogiłach parkowały samochody, a ich właściciele zupełnie nie obchodziło, co kryje się kilkadziesiąt centymetrów pod powierzchnią ziemi. To sprawa administracji, słyszał, gdy próbował interweniować. Brali go za jakiegoś nawiedzonego. W końcu dał sobie spokój.

Jego samochód tkwił w warsztacie, pozostał mu więc tylko autobus. Dobrze, że zaczęły się wakacje. Przez pozostałe dziesięć miesięcy w komunikacji miejskiej panował ścisk, a dziś pojedzie w miarę wygodnie.

Właśnie nadjechała pięćdziesiątka trójka. Doskonale. Wsiadł i ustawił się na samym końcu. Nie lubił siadać. Syf siedzeń go przerażał. Jeśli dostanie gangreny odbytu, mogą mu tego nie zrefundować. To na szczęście tylko parę przystanków.

Solarisem szarpnęło. Zachodziło uzasadnione podejrzenie, że dla kierowcy to pierwszy dzień w pracy, pokłócił się ze starą lub w ogóle ma olewający stosunek do świata i bliźnich. Mocny chwyt uchronił go przed wybiciem zębów o poręcz. Zaraz przejdzie do przodu i przywali temu kutasowi. Dopiero zobaczy, co oznacza zły humor.

Opanował się z trudem. Wsiadł na Jasnych Błoniach, przy alei platanów ciągnących się aż do Urzędu Miejskiego, w stronę pomnika Czynu Polaków -- trzech orłów wzbijających się w niebo, czyli trzech pokoleń szczecinian.

No i na trzech może się zakończyć, bo spory procent dawnych osiedleńców wyemigrował za chlebem.

Stąd miał blisko, niespełna parę kroków. Po lewej stronie stał dawny konsulat sowiecki, potem siedziba IPN-u, a obecnie cholera wie co, dalej szpital wojskowy. Po prawej przychodnia, a niżej jednostka żandarmerii, w której pełnił obowiązki komendanta.

Wartownik wyprężył się służbiście.

-- Dzień dobry, panie majorze.

-- To się dopiero okaże.

-- Tak jest.

Wszedł do budynku. Zajmował gabinet na piętrze. Od kiedy większość jednostek rozwiązano lub też poprzenoszono, Szczecin przestał pełnić funkcję wielkiego garnizonowego ośrodka. Roboty też zrobiło się odpowiednio mniej. Otworzył drzwi i znalazł się we własnym biurze. Biurko, krzesło, szafa, fotel pod oknem -- w sam raz na jego skromne potrzeby.

-- Kawy? -- Szybko zjawił się dyżurny.

-- Nie -- odparł. -- Jak nocka?

-- Spokój, panie majorze. Jedna interwencja.

-- Znam go?

-- Niestety, to porucznik Orzechowski.

-- Co z nim?

-- Pobił się na ulicy z jakimiś menelami, tu niedaleko... Przyjechała policja, przymknęli wszystkich. Orzechowskiego przekazali nam trzy godziny później.

-- Jak wyglądał?

-- On nieźle, tamci goście gorzej. -- Dyżurny wzruszył ramionami. -- W sumie dwie złamane ręce, jedna noga, szczęka i nos.

-- Ma tupet. -- Starał się skryć uśmiech, zaciskając zęby. Ten Orzechowski to niezły raptus. W ciągu ostatniego półrocza spotykali się kilkakrotnie. Być może młody oficer pomylił jednostki i zamiast do saperów powinien trafić do desantu. -- Mówił chociaż, o co poszło?

-- O honor jakiejś pani, ale na moje oko to zwyczajna kurwa była...

-- Sierżancie... -- Podniósł głos o jedną oktawę.

-- Tak jest, panie majorze. Już nie będę.

-- Zajmę się tym później, a teraz spływaj.

-- Oczywiście.

Nim za chłopakiem zamknęły się drzwi, zdążył jeszcze zawołać:

-- Mroczek...!

-- Słucham, panie majorze.

-- Gazety są?

-- Przygotowane.

-- Przynieś.

-- Już się robi.

Sam Mroczek nudę zabijał pewnie przeglądaniem artykułów i stąd ta zwłoka. Dopiero teraz opadł na krzesło. Zapowiadał się kolejny ekscytujący dzień w biurze. Nim zdążył przyswoić chociaż część porannych informacji, odezwał się telefon na biurku.

-- Halicki -- oznajmił grobowym głosem. Zawsze tak robił, a co, niech wiedzą, że ma ciężką i wyczerpującą robotę.

-- To ja...

Rozluźnił się. Przed kumplem nie musiał udawać. Z kapitanem Chmurą znali się od lat co najmniej pięciu, często ze sobą współpracując.

-- Co jest?

-- Stary zwołał odprawę na czternastą.

-- A mnie to...

-- Niezapowiedziana.

-- Znów w Warszawie dostali pierdolca -- westchnął do słuchawki.

-- Nie wiem, stary, nie mam z tym nic wspólnego. W każdym razie ciebie też oczekują.

-- Możesz mi powiedzieć, dlaczego oficer Agencji Wywiadu robi za chłopca na posyłki?

-- Bo mnie o to prosili.

-- Regulamin przestał obowiązywać?

-- Człowieku, ja jestem małym trybikiem. -- Rozdrażnienie Chmury zaczęło narastać.

-- Dobra. -- Halicki uciął marudzenie przyjaciela. -- Mam się jakoś przygotować? -- On sam nie lubił być zaskakiwany. -- Czego to spotkanie ma dotyczyć?

-- Pojęcia nie mam.

-- Nie takiej odpowiedzi oczekiwałem. -- Pora kończyć tę rozmowę. -- To o której, o piętnastej?

-- O czternastej. Jak się spóźnisz, stary wyrwie ci nogi z dupy.

-- Już się boję -- odparł i odłożył słuchawkę. A myślał, że ten dzień nie będzie taki zły.

Budynek, w którym mieściła się siedziba żandarmerii, opuścił pół godziny wcześniej. Właśnie przeszła jakaś większa deszczowa chmura. Spomiędzy skłębionych granatowych obłoków nieśmiało wyjrzało słońce. Chodniki połyskiwały brudnymi kałużami, powietrze pachniało ozonem. Może się przejść? W końcu nie miał daleko. Autobusem to mniej niż pięć minut, skrótem przez park kwadrans. Wozu wołał nie brać. Honker na parkingu i tak ledwie zipał.

Może w końcu doczekają się następnego. Państwo inwestowało w armię, więc zdarzały się cuda.

Podobno wymiana parku samochodowego to priorytet. Cóż, pożyjemy, zobaczymy. Przeciął jezdnię i pomaszerował w stronę monumentalnego pomnika. Brązowy odlew nie wzbudzał w nim zachwytu. Wołał patrzeć pod nogi.

Lubił to miejsce. Idąc prosto, przez park dochodziło się do lasu miejskiego i dalej do Puszczy Wkrzańskiej. Właściwie to puszcza wdzierała się do centrum miasta. Dalej był Urząd Miejski, aleja Jana Pawła II i prawie docierało się do Odry. Dwa i pół, może trzy kilometry, nie więcej.

Przez moment myślał o kupnie roweru. Może to nie jest zły pomysł? Po południu wskoczy na siodełko i pojedzie na wycieczkę, zmęczy się, w nocy będzie mu się lepiej spało.

W przyszły weekend wybierze się do rowerowego i rozejrzy. Jeśli znajdzie coś dla siebie, nie będzie się zastanawiał. Parę stów to nie wydatek. Domowy budżet nie ucierpi. Był sam, alimentów nie płacił, suma na koncie rosła, więc może pora ją spożytkować.

Sztab 12 Dywizji Zmechanizowanej zajmował spory gmach u zbiegu alei Wojska Polskiego i bocznej Zalewskiego. Kim był rzeczony, nie wiedział i pewnie nie dowie się nigdy. Wszedł do środka. Po raz pierwszy dzisiejszego dnia poczuł się jak idiota. Wszyscy oficerowie oprócz niego paradowali w mundurach.

Drogę do sali odpraw znajdującej się na pierwszym piętrze znał na pamięć. Chyba szykowało się większe spotkanie. Co najmniej kilku sztabowców i oficerów liniowych już zajęło miejsca przy długim stole ciągnącym się przez całe pomieszczenie. Wzrokiem wyłowił Chmurę. Kumpel na pewno trzyma dla niego miejsce.

Nie pomylił się. Usiadł obok kapitana, starając się jak najmniej rzucać w oczy. Jak stary go zobaczy, to się wścieknie.

-- Masz tupet -- zaczął Chmura.

-- W razie czego miałem robotę w terenie.

-- A miałeś? -- Chmura, typowy urzędnik z zakolami i rosnącą tuszą, tyle że w mundurze i służbach, wiercił się niespokojnie na krześle. Nie patrzył na Halickiego, bardziej interesowała go każda nowa osoba pojawiająca się w wejściu.

-- To poufna informacja.

-- Są już wszyscy. -- Kapitan nie wydawał się zadowolony odpowiedzią. Pochylił się do przodu i rozejrzał w prawo i w lewo.

-- Coś ty taki nerwowy? -- Atmosfera zaczęła udzielać się Halickiemu.

Zebranie nie wyglądało na rutynowe. Jeżeli ktoś czegoś się domyślał, to milczał jak grób. Paru ludzi szeptało pomiędzy sobą, wymieniając uwagi, byli jednak zbyt daleko, by cokolwiek zrozumieć.

-- Gadałem z kumplem z... -- Chmura zaczął, lecz nie skończył, bo oto na salę wszedł pułkownik Jerzy Kudelski, dowódca 12 Zmechanizowanej.

Z Kudelskim, któremu życie podobnie jak i jemu upłynęło w armii, Halicki spotkał się przy kilku okazjach. Ten niewątpliwie znał się na rzeczy. Trochę wyniosły, czasami opryskliwy i sarkastyczny, zawsze parł do przodu, nie zważając na przeszkody. Dziś wydawał się przygnębiony, no, może nie tyle przygnębiony, co przygaszony.

-- Wstać -- usłyszeli komendę szefa sztabu, podpułkownika Jacka Szymańskiego.

Zerwali się z krzeseł.

-- Proszę usiąść, panowie. -- Kudelski, nim dotarł do przeznaczonego dla siebie miejsca, przyjrzał się zgromadzonym. Nieco dłużej zatrzymał wzrok na Halickim. Jeżeli nawet zdziwił go jego wygląd, powstrzymał się od komentarzy. To już naprawdę źle wróżyło na przyszłość.

-- Z kim... -- Major pochylił się do ucha Chmury.

-- Później ci powiem.

-- Nie później, a teraz.

-- Mam w Żaganiu znajomych. -- Kapitan mówił, ledwo poruszając ustami. -- Tam też nic nie wiedzą, a wszyscy latają jak koty z pęcherzem.

-- Ogłoszono alarm?

-- O to chodzi, że nie, ale nakazano rozśrodkowanie niektórych jednostek.

-- Jakich?

-- Siedemnastej Wielkopolskiej i Dziesiątej Kawalerii Pancерnej ze Świątoszowa.

-- Będzie pucz?

-- Spierdalaj.

O co tu chodzi, do kurwy nędzy? To nie miało najmniejszego sensu. Rozśrodkowanie przeprowadza się wówczas, gdy istnieje ryzyko niespodziewanego ataku powietrznego. Wrogie samoloty przelatują granicę i walą bombami po koszarach, warsztatach, parkach maszynowych i bazach logistycznych. Obowiązki siły operacyjne, zamiast bronić ojczyzny, liczą straty. Jeżeli natomiast szykowało się wojna, to z kim? W Niemczech cisza, w Rosji również. Zaprosili nawet Putina na kolejny szczyt G7. Sytuacja się normalizuje. Na Ukrainie względny spokój. Białoruś przygotowywała się do zniw. W Europie poza zwykłymi kłopotami nie działo się nic. Absolutnie nic. Politycy pojechali na wakacje. Panował ogólny ma-

razm i nuda, więc skąd ten popłoch w polskiej armii?

-- Panowie... -- Głos Kudelskiego brzmiał ponuro, zupełnie jakby pułkownik wrócił z pogrzebu. -- Decyzją ministra obrony narodowej rozpoczynamy serię niezapowiedzianych ćwiczeń.

Ożeż kurwa, co on pierdoli? Jakie ćwiczenia?

Nie tylko major wydawał się zaskoczony. Większość rozglądała się na boki zdezorientowana. Niektórzy z poligonu wrócili w zeszłym tygodniu, a teraz ponownie mają zasuwac do Drawska. Część wzięła urlopy, chcąc spędzić tydzień czy dwa z rodzinami, trwały rotacje. Jak to teraz poprzestawiać? Trzeba będzie poprzesuwac terminy. Zgranie tego całego burdelu wydawało się niemożliwe.

Halicki uważniej przyjrzał się pułkownikowi. Kudelski wyglądał na nieludzko umordowanego -- policzki zapadnięte, wory pod oczami. Z dawnego energicznego dowódcy pozostał cień człowieka.

Na sali panowała niemal idealna cisza. Nawet jeżeli pod czaszkami kłębiły się pytania, nikt nawet nie jęknął. W końcu wybrali taki zawód. Jak się nie podoba, to fora ze dwora. Przyjdą młodszy i mniej skłonni do narzekania.

-- Rozumiem, że jesteście zaskoczeni. -- Kudelski splótł dłonie przed sobą. -- Większość z panów dopiero co odbyła turę poligonową, niestety takie są realia i nie mam na nie wpływu.

Tym razem Halicki zerknął w bok. Brew kapitana Chmury powędrowała do góry. On też niepomiernie zdziwił się, gdy usłyszał o realiach. Być może chodziło o dwie równoległe rzeczywistości, w jakich się poruszali -- pułkownik w jednej, a oni w drugiej? Co to za brednie? Jakie realia? Gdzie tu zagrożenie? Pewnie sam nic nie wiedział. Dostał rozkaz i musi go wykonać. Tak to w sumie działało. Gadał od rzeczy, własny niepokój skrywając za słowotokiem wylewającym się z ust, a skoro tak, to za wszystkim stali polityczni macherzy, i to niekoniecznie z Warszawy. Jakaś tam komórka w kwaterze głównej NATO ocknęła się i zaczęła szaleć na zasadzie: dziś sprawdzimy tych, a jutro tamtych. To nawet miało ręce i nogi. Było logiczne i wytłumaczalne. Urzędasom groziło obcięcie funduszy, więc zabrali się za robotę. Manewry, szkolenia -- zobaczymy, w jakiej kondycji znajduje się sojusz.

Kudelskiemu groziło pójście w odstawkę. Musi się wykazać. Jak nie, zastąpią go kimś innym. Przejął się chłopina i dlatego wygląda jak tuż przed zawałem. Halicki uspokojony odchylił się do tyłu. Po co tyle szumu? Przecież wszystko dawało się zorganizować bez tych wszystkich nerwów.

Pułkownik mówił jeszcze jakiś czas, lecz do rozważań majora nie wniósł niczego nowego.

Część obecnych jak zwykle przy tego typu okazjach słuchała przełożonego z zainteresowaniem, a część z czasem odpłynęła w sobie jedynie znane rejony.

Po mniej więcej czterdziestu minutach spotkanie dobiegło końca. Przed rozejściem się Kudelski poprosił o zaangażowanie i wytrwałość, po czym opuścił salę jako pierwszy.

Kilku spośród zgromadzonych czekało nerwowe popołudnie. Zamiast w domu, w kapciach i przed telewizorem, przyjdzie im się męczyć w jednostce, dopinając wszystko na ostatni guzik.

-- Byłbym zapomniiał... -- Chmura nie śpieszył się z wyjściem.

-- No co tam, Waldus?

-- Nie znoszę, gdy się tak do mnie mówi.

-- Zmień imię, może na Antoni, zdaje się, że jest taki święty.

- Patron spraw beznadziejnych.
- Sam widzisz, pasuje jak ulał. -- Uśmiezek zagościł na ustach Halickiego.
- Nie wygłupiaj się. -- Kapitan w końcu wstał. -- Chłopaki z węzła łączności mają do ciebie jakąś sprawę.
- Do mnie? -- Major zdziwił się kolejny raz.
- Daleko nie masz. Jak czegoś się dowiem, zadzwonię. Bywaj.

Regionalny węzeł łączności znajdował się w tym samym gmachu. Wystarczyło wyjść przez główne drzwi i skierować się w lewo. Po paru krokach dochodziło się do części odizolowanej od reszty budynku, pilnowanej starannie niż niejeden bankowy skarbiec.

Zawiadujący tym całym majdanem człowiek wzbudzał w Halickim sprzeczne uczucia. Nie wiedzieć czemu, Kamil Retman go irytował. Ilekroć ich drogi się przecinały, major bardzo się pilnował, nie chcąc wyjść na tępego służbistę.

Retman, absolwent wrocławskiej politechniki, nic mu nie zrobił, ale sam jego widok drażnił. Był jakiś taki... Nieproporcjonalnie krótkie nogi, długi tułów i wielka głowa, która wydawała się nie pasować do całości. Wcześniej, gdy nosił włosy, to jeszcze uchodziło, ale kiedy po trzydziestce zaczął łysieć, tę resztę, jaka została, golił na zero.

Obiektywnie trzeba było przyznać, że Retmanowi nie przydawało to uroku. Z drugiej strony, jak mało kto znał się na tych wszystkich programach szyfrujących. Geniusem może nie był, specjalistą pierwszej klasy już tak.

-- Co tam słyhać, panie Kamilu? Podobno wyskoczyły jakieś problemy. -- Major wyciągnął rękę na powitanie, uważając, żeby nie ścisnąć zbyt mocno dłoni Retmana, wiotkiej i delikatnej jak u pianisty. Jeszcze uszkodzi mu jakieś chrząstki i dopiero zrobi się problem.

-- Zauważyłem to wczoraj. -- Retman poprowadził gościa wzdłuż rzędu serwerów w stronę własnego stanowiska roboczego, wsunął się na krzesło, a jego palce zaczęły biegać po klawiaturze. W grubych szklach odbijała się cała zawartość ekranu.

Jak na razie Halicki nie widział niczego niepokojącego. Te rzędy przesuwających się linii przyprawiły go o ból głowy. Kompletnie nic nie rozumiał. To jak stąpanie po linie zawieszony nad przepaścią.

Za cholerę się tego nie nauczy. Byli ludzie, którzy poruszali się w tym obszarze znakomicie. Dla niego to czarna magia.

-- A może mi pan powiedzieć własnymi słowami, o co chodzi? -- zaryzykował pytanie.

-- Otóż... Tak, wczoraj około trzynastej odnotowaliśmy nieautoryzowaną próbę wejścia do systemu.

Majorowi od razu zrobiło się gorąco. To poważna sprawa. Włam do wojskowego systemu łączności groził chaosem, o ile nie kompletnym paralizem.

Dowodzenie armią opierało się na zaawansowanych systemach komputerowych i zawierało w paru słowach -- dowodzenie, wywiad, kontrola, komunikacja. Jeśli załamię się któryś z elementów, posypie się cała reszta.

-- Podobne próby miały miejsce o trzeciej nad ranem i ponownie o szóstej. Nasze zabezpieczenia wytrzymały, choć całkowitej pewności nie mam.

-- Sądzi pan, że mogli nam wsadzić jakiegoś wirusa czy trojana?

-- Nie wykluczałbym takiej możliwości -- odparł Retman.

-- Nie pytam nawet o podejrzanych.

-- O, tych znajdzie się bez liku, od gówniarzy chcących popisać się przed dziewczyną zaczynając. Pamiętaj pan taki film *Gry wojenne*?

-- O Kuklińskim?

-- Nie, o gnoju, który zhakował wojskowy system i zaczął grać z komputerem w trzecią wojnę światową -- zaśmiał się informatyk. -- Jak zobaczyłem ten film po raz pierwszy, też chciałem zostać takim spryciarzem.

-- Udało się? -- zapytał Halicki, ale tak, by nie wyglądało to na kpinę.

-- Zamiast się włamywać, siedzę w środku systemu -- powiedział Retman. -- Jestem jak pająk.

Majorowi Retman kojarzył się ze wszystkim, nawet z pluszowym misiem, ale na pewno nie z pająkiem. Już raczej z larwą.

-- Interesujące -- wycedził Halicki.

-- Co więcej, te przypadki nie są jedyne. -- Programista ani na chwilę nie przestawał stukać w klawisze. -- Słyszałem o podobnym ataku w Gdańsku i Poznaniu, a to już wygląda na skoordynowaną akcję.

Skoro tak, to pomysł z naładowanym testosteronem genialnym nastolatkiem odpadał. Problem w tym, że Halicki nie bardzo wiedział, co ma robić dalej. Ucapienie pijanego żołnierza czy kradzież z magazynu -- na tym poziomie obracał się na co dzień. Jak ma dorwać kogoś, kto być może znajduje się na drugim krańcu świata? Obiektywnie trzeba przyznać, że Retman, jak na niego, wykazał się przytomnością umysłu: policję, czyli jego, poinformował, wywiad też. Dupochron włączony. Niech inni też się pomartwią.

-- Warszawę pan zawiadomił? -- zapytał na wszelki wypadek.

-- W pierwszej kolejności.

-- Kto jeszcze o tym wie?

-- Wszyscy na zmianie.

Czyli jakichś sześciu--ośmiu ludzi. Szlag, ilu ich tu mogło być?

Jednego spotkał przy wejściu, później widział kolejnego, jedzącego kanapkę nad gazetą. Może nie sześciu--ośmiu, tylko trzech? Ilu patafianów potrzeba do pilnowania tego całego bajzlu?

-- Raport na piśmie będzie mile widziany.

-- Pomyślę o tym.

-- Panie Retman -- warknął niczym pitbull przed atakiem -- pan nie pomyśli, pan to zrobi, dobrze? Ma być na jutro. Rozumiemy się?

Jechać tramwajem czy iść piechotą? Sztab był położony akurat między dwoma przystankami.

Albo się cofnie, albo pójdzie na kolejny. Z zasady nigdy nie zawracał, więc problem niejako rozwiązał się sam. W dodatku właśnie minęła szesnasta, każdy skład będzie napakowany na maksa, więc może lepiej, jak się przespaceruje? To w końcu tylko trzy przystanki. Trzy cholernie długie przystanki. Został jeszcze autobus, ale sam nie wiedział, czego nienawidzi bardziej -- autobusów czy tramwajów. Kij im w oko. Ma nogi, odetchnie świeżym powietrzem. Może po drodze wychyli browara?

Podniesiony na duchu ruszył przed siebie. Na dziś nic już nie planował. Kłębiące się pod czaszką myśli zepchnął w kąt umysłu. Jutro też jest dzień. Żył już dostatecznie długo, by wiedzieć, że byle pierdołami nie należy się przejmować.

Dociągnął zamek wiatrówki pod samą szyję. Zaczęło mżyć. Niech już w końcu zrobi się ciepło. Od takiej pogody można nabawić się depresji.

Doszedł do świateł i obejrzał się za siebie. Właśnie nadjeżdżał jakiś skład. Akurat w porę. Podbiegł i wskoczył do środka, decydując się na przejazd. Zawsze to przyjemniej pod dachem niż z wodą lejącą się na głowę.

Trzy godziny później, już w domu i po wychyleniu trzeciego piwa, Halickiemu zachciało się spać.

Rozparty na fotelu przed telewizorem trochę słuchał tego, co mają do powiedzenia mądrale produkujący się na ekranie, a trochę zastanawiał się nad tym, co przyniosą najbliższe dni. Czuł w głowie lekki szmerek, ale nic poważnego. Wolał być dyspozycyjny, diabli wiedzą, co jeszcze może się zdarzyć. Najpierw Kudelski i jego gadka o manewrach, potem rozmowa z Retmanem, też dziwna, może nawet bardziej niż bajdurzenia pułkownika. Co prawda ani jedno, ani drugie nie dotyczyło Halickiego osobiście. Po poligonie to mogą biegać frajerzy, żandarmi jedynie zabezpieczali teren, tak by któryś z wioskowych głupków nie wlaźł w zakazaną strefę i nie oberwał kulą czy odłamkiem w pusty czerep. Co do Retmana -- tu też niewiele dawało się zrobić. Dostanie rozkaz dorwania drania, który narozrabiał, to go dorwie. Na razie konkretów jak na lekarstwo.

Skrzywił się, dostrzegając puste dno szklanki. Powoli wstał i poszedł do kuchni. Przez moment zastanawiał się, czy nie włączyć światła. Nie było dwudziestej, a pogoda jak w listopadzie -- ciemno, ponuro i znów lało jak z cebra.

-- Jak twierdzą służby sanitarno-epidemiologiczne, ofiar wirusa może być więcej, niż do tej pory przypuszczano -- zaszczębiotała panienka na ekranie telewizyjnym. -- To najpoważniejszy incydent, z jakim miano do czynienia w historii.

Wychylił się z kuchni, chcąc obejrzeć nadawany materiał.

-- W piętnastu największych miastach odnotowano już ponad tysiąc siedmuset chorych...

Zaraz, zaraz, rano mówiono o kilkunastu, a teraz dochodzą do dwóch tysięcy. Albo kłamali, albo sytuacja zaczęła wymykać się z rąk. Tysiąc siedemset osób, Chryste, epidemia rozprzestrzenia się jak pożar na prerii. Może nie wszyscy umrą, ale i tak wygląda to fatalnie. Niemal dwa tysiące na trzysta dwanaście milionów to może niedużo, ale trudno powiedzieć, czym to się skończy, mimo że Stany dysponowały sprawną służbą zdrowia.

Gdyby to trafiło na jakiś afrykański grajdoł, efekt byłby taki, jak przy eboli. Do dziś wzdragał się, widząc relacje z tamtych wydarzeń. Choroba rozwijała się błyskawicznie. Czasami wydawało się, że nastąpiło przesilenie i pacjent dojdzie do siebie, a on w konsekwencji umierał z wyczerpania. Wielkie doły, zbiorowy pochówek. Panie, miej nas w swojej opiece.

-- Po raz pierwszy głos zabrały władze federalne, sugerując stworzenie odizolowanych miejsc dla zarażonych oraz wprowadzenie kwarantanny. W szczególnych przypadkach pomoc mają oddziały Gwardii Narodowej pozostające w dyspozycji gubernatorów poszczególnych stanów. Federalna Agencja Zarządzania Kryzysowego już przekazała część zasobów w ręce przedstawicieli władz stanowych. Jak powiedział wiceprezydent: "To najpoważniejsze zagrożenie, wobec którego stajemy, apelując równocześnie o zachowanie spokoju i podporządkowanie się odpowiednim służbom". Pierwsze przypadki nowej choroby zanotowano w Londynie i Madrycie. "Jak na razie nie ma powodu do niepokoju, wszystko jest pod kontrolą. Niemniej, mając na uwadze bezpieczeństwo własne i najbliższych, należy ponownie rozważyć, czy warto udawać się do największych światowych aglomeracji bez wyraźnego powodu" -- to już słowa naszego wiceministra zdrowia Bartłomieja Ulickiego...

Akurat ostatnia wypowiedź interesowała Halickiego najmniej. Jego skromnym zdaniem ten patałach nie odróżniłby zwykłego tasaka od chirurgicznego lancetu.

W międzyczasie skorzystał z toalety, umył ręce i ponownie usiadł przed telewizorem.

-- Dziś w Poczdamie kończy się forum przywódców największych gospodarek świata, tak zwanego G7, oraz Rosji. To pierwsze takie wydarzenie od czasu rebelii w ukraińskim Donbasie.

Major ziewnął. Sankcje sankcjami, ale ekonomia rządziła się własnymi prawami. I tak Unia zdobyła się na wyjątkową jedynomyślność. W końcu niektórym zaczęło się cnić za Władimirem Władimirowiczem. Dziw, że wytrzymali tyle czasu. Gospodarki Stanów Zjednoczonych, Kanady, Japonii, Wielkiej Brytanii, Niemiec, Francji i Włoch też odczuły tego skutki. Te niesprzedane Mistrale czy inwestycje w przemysł wydobywczy. Część tortu wykroił sobie Pekin, zagarniając lukratywne kontrakty. Do spotkania wcześniej czy później musiało dojść. Nic przecież nie trwa wiecznie.

Na ekranie prezydent Federacji Rosyjskiej ze spuszczonym wzrokiem uśmiechał się skromnie. Żywe ucieleśnienie pokory i wytrwałości. Jak go nie kochać? Reszta polityków ustawiła się do zdjęcia. Wyglądali równie sympatycznie. Wszyscy tacy mili i bezpośredni. Najwidoczniej forum zakończyło się sukcesem.

Szkoda, że nie zaopatrzył się w jeszcze jeden browar. Chętnie wzniosłby za nich toast. Albo lepiej nie. Znudzony zmienił kanał. Na publicystykę w wykonaniu Eli Jaworowicz nie miał ochoty. Za każdym razem, gdy widział dołujący reportaż, na resztę wieczoru popadał w skrajne przygnębienie.

Dosyć, wystarczy, może coś bardziej rozrywkowego. Szybko znalazł program muzyczny, lecz dźwięki hip-hopu doprowadzały go do szału. Co prawda na paśmie ze starymi filmami trafił na obraz z Clintem Eastwoodem, ale widział go już tyle razy, że teraz sobie darował.

Wyłączył telewizor i zabrał się za książkę, kryminał, podobno światowy bestseller. Po trzeciej stronie wiedział, kim jest zabójca, ale trudno, pomęcz się, dopóki nie zaśnie.

Już dawno nie zapadł w tak głęboki sen. Kołdrę naciągnął po same uszy i szczelnie się nią owinał. Mocniejsze podmuchy zimnego powietrza z uchylonego okna dochodziły do niego tylko sporadycznie. To zdecydowanie lepsze niż bieganie po poligonie, co niewątpliwie wkrótce stanie się udziałem większości kolegów z garnizonu.

Przewrócił się na drugi bok, podświadomie wyczuwając drętwienie lewego barku. Mlasnął i ułożył się wygodniej. Ktoś dzwonił, ale to wydawało się snem. Jeden sygnał, drugi, piąty... No nie, to jakiś żart lub, co bardziej prawdopodobne, w jednostce mają kłopoty. Odruchowo zerknął na zegarek -- parę minut po pierwszej. O w mordę, ale ktoś ma tupet.

Sięgnął po komórkę, naciskając od razu na zieloną słuchawkę migoczącą na wyświetlaczu.

-- Je...

-- Piotr... Słyszysz mnie? Piotr? -- Panika w głosie kapitana Waldemara Chmury sprawiła, że świadomość Halickiego osiągnęła pełną gotowość do działania w ułamku sekundy. Innym pełne rozbudzenie zajmowało minutę, u niego cyk, i wszystko gra.

Telefon w środku nocy oznaczał jedno -- gdzieś tam gównem poszło w wentylator, a sądząc po wrzaskach Chmury, chodziło o naprawdę gigantyczne zamieszanie.

-- Mów powoli i wyraźnie -- zastrzegł.

-- Piotr...!

-- Jestem, kurwa, jestem. Przestań drzeć mordę, tylko powiedz, co się stało.

-- Samolot...

-- Jaki...

-- Słuchaj, podobno pod Zalesiem spadł samolot. Jedź tam i sprawdź na miejscu. Już dzwoniłem do twoich, samochód zaraz po ciebie przyjedzie.

-- Poczekaj, jaki, do cholery, samolot? Ja jestem z żandarmerii, a nie z wydziału ruchu lotniczego.

-- Sprawdź, nie gadaj. Muszę już kończyć. Jesteśmy w kontakcie. -- Kapitan zdawał się być na skraju załamania nerwowego.

Myśli Halickiego galopowały jak szalone. Samolot? A może statek kosmiczny? I to podobno. Jeżeli nic się nie stało, urwie palantowi łeb przy samej dupie. Z drugiej strony, wydawało się, że Waldek dostał cynk. Przecież nie robiłby sobie jaj z takiej sprawy.

Wciągnął nogawkę spodni, potem drugą. Nie zapalił światła, i tak wiedział, gdzie co się znajduje. Kurtka przeciwdeszczowa wisiała w przedpokoju. Dobra, był gotowy. Przekręcił klucz w zamku, pędem na dół. Gdzie ten samochód? Szybciej będzie, jak pobiegnie w stronę wjazdu na osiedlową uliczkę.

Dojrzał Honkera żandarmerii, zanim kierowca zdążył podejść bliżej. Ruszył ku niemu, machając z daleka ręką. Wpadł w chodnikową kałużę, rozchlapując wodę. Dobrze, że zamiast półbutów założył wysokie sznurowane kamasze, inaczej już miałby mokre nogi.

Dopadł samochodu i szarpnął za klamkę. Mroczek i Kaczmarek siedzący w środku wyglądali na podekscytowanych. W końcu monotonię służby przerwało jakieś wydarzenie.

-- Jedziemy...

-- A wie pan, dokąd? -- Mroczek wydawał się zdezorientowany. -- Kapitan Chmura był nad wyraz

enigmatyczny.

-- Tu na dół, do Wojska Polskiego, później w stronę Pilchowa.

Sierżant pochodził z Gdańska. Znał Szczecin, ale nie podmiejskie osiedla i wsie. Kaczmarek tak samo. Ten to chyba z Łodzi, czy raczej z Pabianic.

Na mokrej jezdni odbijały się smugi reflektorów. Sierżant, jeden z lepszych kierowców, którzy służyli pod rozkazami Halickiego, sprawnie wszedł w lewy zakręt. Teraz gaz do dechy. Szkoda, że Honker zachowywał się jak muł. Jeździł, bo jeździł, i tyle. Wyścigowego rumaka z niego nie zrobią. Na szczęście o tej porze na ulicach było pusto. Na odcinku do Głębokiego minęli nocny autobus i taksówkę. Tu już praktycznie kończyło się miasto. Rozległą jednostkę wojskową 12 Brygady Zmechanizowanej zostawili za sobą. Przed nimi pętla tramwajowa, osada i Jezioro Głębokie, później już tylko las.

Gdy wjechali pomiędzy drzewa, od razu zrobiło się ciemniej. To już nie laszek miejski. Po obu stronach szosy rozciągała się puszcza. O tej nieludzkiej godzinie łatwo wyróżnić w przebiegającego drogę dzika bądź jelenia. Dla pewności złapał się uchwytu nad drzwiami.

-- Panie majorze... -- niepewnie zaczął kapral Kaczmarek.

-- No...

-- Właściwie to o co się rozchodzi?

-- Sam nie wiem. -- Wolną ręką major podrapał się po potylicy.

Gnali na złamanie karku, nie wiadomo gdzie i po co. Na wszelki wypadek wyciągnął komórkę, próbując połączyć się z Waldkiem.

A guzik.

Ten z kimś gadał, bo linia cały czas była zajęta.

Zwolnili przed Pilchowem. Noc nie noc, jak trzepną pijanego kmiotka wracającego do domu po suto zakrapianej libacji, to dopiero robi się afera.

Mroczek niespokojnie wiercił się na siedzeniu. Odcinek był kręty i, co tu dużo mówić, niebezpieczny. Minęli odchodzący w prawo zjazd na Police. Za ostatnimi chałupami ponownie nabrali prędkości.

Znów las, ciemno, mokro i pusto. Wycieraczki pracowicie odprowadzały nadmiar wody z przedniej szyby. Za parę kilometrów pewnie dadzą radę wycisnąć więcej ze starego silnika, ale tu zachodziło ryzyko, że wypadną z drogi i cała wyprawa zakończy się dla nich tragicznie.

W końcu zrobiło się trochę jaśniej. Dojeżdżali do Tanowa.

-- Zwolnij.

Szosa łagodnym łukiem odchodziła w prawo. Do Zalesia prosto przez środek osady.

-- Tutaj. -- Wskazał Mroczkowi miejsce, gdzie należało zjechać. Samochodem zarzuciło. Pasażerami również. Tu już zaczynały się pierwsze posesje, niemal wszystkie skupione wzdłuż przechodzącej przez miejscowość drogi. Jechali nie szybciej niż czterdziestką. Sam Halicki przejeżdżał tędy parę razy, przy różnych okazjach, najczęściej w drodze na grilla, który organizowali z Julią na drugim końcu wsi. Było tam wydzielone przez nadleśnictwo specjalnie do tego celu miejsce, a że daleko od centrum Szczecina, to doskonale. Wiedziało o nim niewiele osób. Wspomnienie ogniska nasunęło majorowi kolejną myśl -- może skontaktować się z leśniczym? Jeżeli ktoś miał coś wiedzieć, to tylko on. Problem w tym, że nie

bardzo orientował się, gdzie szukać leśniczówki.

Przyjrzał się uważniej mijanej okolicy.

-- Pan to widzi, majorze? -- Kaczmarek na przednim siedzeniu dysponował lepszym oglądem sytuacji.

-- Taa... -- Dopiero teraz dostrzegł grupki żywo dyskutujących osób. -- Zatrzymaj się.

Podjechali jeszcze kawałek i przystanęli przy jednym z takich zgromadzeń. Nim zdążył wyjść z Honkera, przypadła do niego jakaś kobieta.

-- Panie drogi...

-- Co się tu wyprawia?

-- Tam...

Na razie zamiast wyjaśnień musiał wystarczyć Halickiemu wskazany przez nią kierunek.

-- O w... -- Ponad ciemną ścianą pobliskiego lasu dało się zauważyć daleki blask łuny. A więc jednak. Aż do tej pory chciał wierzyć, że to tragiczna pomyłka, żart czy senne majaczenie Chmury.

-- Kiedy?

-- A jakieś czterdzieści minut temu. Na początku myślałam, że burza idzie, dopiero jak sąsiadka zadzwoniła, dowiedziałam się o wybuchu. Nasi już polecieeli gasić, ale trudno wskazać miejsce. Tam przecież nic nie ma, ani chałupy, ani... no, niczego.

Ci ludzie bladego pojęcia nie mieli, co zaszło, bo niby skąd? Środek nocy, a sądząc po łunie, maszyna spadła parę kilometrów dalej, w kompletnie niezamieszkałej okolicy. Coś tam walnęło. Nie u nich, na szczęście, ale sprawdzić należało.

Kiedy rozmawiał z Chmurą? Dwadzieścia minut temu, dwadzieścia pięć? Czyli pomiędzy katastrofą a telefonem do niego upłynął najwyżej kwadrans. Nie ma co, szybcy są.

-- Jak tam dojechać?

-- Ja pokażę -- zaofiarowała się kobieta. Widać samochód żandarmerii i umundurowani żołnierze wzbudzali zaufanie.

-- Kaczmarek, zrób miejsce. -- Dopiero teraz przyjrzał się jej uważniej: wysoka blondynka koło trzydziestki, o trochę cukierkowanej urodzie. Wydawała się mocno przejęta. Nic dziwnego. Czy codziennie człowiek doświadcza katastrof i wypadków?

Szybko zajęła fotel zwolniony przez kaprała. Teraz mogli ruszyć pełnym gazem. Prowadziła ich jak wytrawny pilot rajdowy. Musiała znać okolicę na wylot. Po kilkuset metrach zjechali z asfaltu. Początkowo poruszali się szutrówką, wymijając ostatnie gospodarstwa, potem zaczynał się zwykły leśny dukt, szeroki, ale pędzić tędy się nie dało.

Ponownie spróbował połączyć się z Waldkiem. Tym razem kapitan odebrał niemal od razu.

-- No?

-- Zdaje się, że miałeś rację.

-- Dojechałeś?

-- Prawie. -- Wozem rzucało tak mocno, że o mało nie walnął głową w sufit. -- Jestem za Tanowem. To już niedaleko.

-- Przecież mówiłem.

Halicki przygotował się na najgorsze. Na pewno spadł wojskowy transportowiec, ich albo NATOwski, inaczej Waldek nie panikowałby aż tak. Kolejna CASA C-295 na złom. A co, jak to któryś z airbusów A400, wielkich maszyn mogących zabierać na pokład ponad sto osób lub trzydzieści siedem ton wyposażenia? Ależ będzie pieprzenia o bezpieczeństwie lotów. Szkoda, że do zabezpieczenia terenu ma tylko dwóch ludzi. Koniecznie trzeba ściągnąć resztę.

-- Ja pier... -- Powstrzymał się od przekleństwa, gdy boleśnie uderzył ramieniem o burtę. -- Mroczek, nie szalej.

-- A bo... -- Sierżant nie dokończył, w końcu wyjeżdżali spomiędzy drzew. Przed nimi rozciągała się szeroka polana, nawet nie polana, tylko jakieś pole czy pastwisko. Na środku traktu leżał sporej wielkości fragment usterzenia. Mniejsze elementy wały się wszędzie tam, dokąd sięgało światło reflektorów Honkera.

Zjechali na pobocze i z wyciem silnika przetoczyli się jeszcze kawałek. Kolejny zagajnik. Oszaleć można. Nieco dalej dymiący silnik. Zza sosen i jodeł bił mocny blask. Tu już wszędzie porzrucane były fragmenty poszycia i części wyposażenia. Kadłub musiał znajdować się niedaleko.

Halicki szarpnął za klamkę.

-- Mroczek, zostajesz z panią. Dzwonź po straż pożarną i naszych. Kaczmarek, za mną... i zabierz apteczkę.

Wypadł na zewnątrz. Zamiast wilgotnego powietrza w nozdrza uderzył go smród spalenizny. Aż wyciskało łzy z oczu. Pognali pędem przez kępę olch. Ciało w białej koszuli i czarnych spodniach napotkali dosłownie parę metrów dalej. Wydawało się całe. Halicki przyklęknął i potrząsnął za ramię.

-- Halo, proszę pana, jest pan ranny?

No pewno, że był, kto wychodzi z takiej katastrofy bez szwanku. Tylko dlaczego ten człowiek, zamiast nosić lotniczy kombinezon, ubrany był jak steward? Kurwa, a jeżeli to był lot pasażerski?

-- Marek, ostrożnie go obrócimy, może jeszcze oddycha.

Oglądał już ofiary wypadków, ale całkowicie spalonej twarzy i części torsu się nie spodziewał. Kapral odruchowo się przeżegnał, widząc, co może stać się z człowiekiem. Halicki poderwał się do góry, wycierając dłonie o kurtkę. Nim też wstrząsnął obraz zwłok.

-- Idziemy. -- Nie ma się co zastanawiać. Jeżeli są ranni, nie zostało im zbyt wiele czasu.

Wypadli na otwartą przestrzeń. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, rozciągało się miejsce katastrofy. Wózek z kołami odwróconymi do góry znajdował na wprost nich. Na lewo dymił wrak, wszystko splątane w koszmarnym kolażu. Tu skrzydło, a tu... to chyba kabina pilotów. Nie dawało się podejść bliżej niż na trzydzieści metrów. Żar był nie do wytrzymania. Pobiegli wzdłuż walcowatego kształtu mającego pośród dymu i ognia. Wybebeszona walizka, w środku bielizna i masa drobiazgów, obok korpus człowieka bez rąk i głowy, z nogami uciętymi w kolanach, a przy nim portfel, z którego wiatr wywiewał banknoty.

Halicki przysłonił twarz ramieniem. Bez ochronnego skafandra się nie da, a właśnie zobaczył przed sobą największy fragment samolotu. Wyraźnie widział rząd okienek i na wprost otwarte drzwi.

Zrobił parę kroków w bok. Kaczmarek trzymał się blisko niego niczym cień. Wokoło huczało jak w piecu. Jakiś mocniejszy podmuch zwiął czarny, tłusty dym znad kadłuba. Dostrzegł litery wskazujące

przewoźnika. Początkowo nie potrafił ich poskładać w sensowną całość, dopiero po chwili zorientował się, że są pisane cyrylicą. ROSSIJA.

Zerknął na kaprala, który był tak samo zdumiony jak on. Co się tu, do ciężkiej cholery, wyprawia?

Zrobiło się za gorąco, by stać dłużej w tym miejscu. Cofnęli się, byle dalej od płomieni. Już wiedział, skąd panika w głosie kapitana. To nie wojskowy transportowiec ani nawet lot pasażerski -- właśnie na terytorium Polski roztrzaskał się samolot należący do Federacji Rosyjskiej. Gorzej być nie mogło.

W pobliżu odezwał się telefon. Major obrócił się i podniósł go z ziemi. Melodyjka wygrywała hymn Rosji, a sam aparat wyglądał na taki z górnej półki, nie do dostania w zwykłej sprzedaży. Na wyświetlaczu mienił się dwugłowy carski orzeł na tle trójkolorowej flagi. Mimo pokusy wolał nie odbierać. Diabli wiedzą, co z tego wyniknie.

Gryzący dym wypełnił mu płuca. Zaczął kaszleć. Wycofał się o kolejne parę kroków. W końcu spróbował ogarnąć całość, starając się przypomnieć sobie, co wie o wypadkach lotniczych. Najbezpieczniejsze miejsce to podobno ogon i kadłub w miejscu, w którym styka się ze skrzydłami.

Pobiegli w lewo, gdzie, jak się wydawało, pożar był mniejszy. Szybko natknęli się na kolejne ciała -- kobiety i mężczyźni, w mundurach i po cywilnemu. W tym bałaganie trudno było nawet oszacować ich liczbę.

-- Panie majorze, tutaj... -- Kaczmarek rozpaczliwie zamachał rękami. Ruszył galopem.

Twarz dziewczyny wydawała się porcelanowa. Może to na skutek bijących w niebo płomieni, a może dlatego, że jej lewa ręka na wysokości łokcia została oderwana. Usta łapały powietrze, a szeroko otwarte oczy wpatrywały się w Halickiego z mieszaniną nadziei i obawy.

Dziwne, że żyła. Jak komuś z taką raną udało się przetrwać aż do teraz? Już dawno powinna się wykrwawić. Zdolności ludzkiego organizmu nie przestaną go zdumiewać nigdy.

-- Przytrzymaj jej głowę -- polecił kapralowi.

Na początek opaska uciskowa. Ruszaj się, człowieku. Czas i krew przeciekały pomiędzy palcami majora równie szybko jak piasek w klepsydrze.

Strzaskana kość i poszarpana tkanka. Od dawna nie babrał się w takich ranach.

-- Jak masz na imię? -- Próbował się uśmiechnąć, ale nie szło mu składnie. -- *Kak tiebia zawut?* -- dodał na wszelki wypadek po rosyjsku. W głowie tłukły mu się jakieś zwroty zapamiętane z dawnych szkoleń i prób samodzielnego nauczania się języka, ale jak na złość nic nie pasowało do sytuacji.

-- Olga. -- Jak na kogoś w tak poważnym stanie powiedziała to czysto i wyraźnie.

-- Trzymaj się.

-- Czy ja...?

-- Oczywiście, że nie -- wpadł jej w słowo.

Co ma jej powiedzieć? Jeśli natychmiast nie znajdzie się na stole operacyjnym, umrze, tak podpowiadało mu doświadczenie i logika. Najbliższy szpital znajdował się co najmniej czterdzieści kilometrów stąd. Szansa, że przeżyje, zawierała się pomiędzy wyrażeniami znikome a beznadziejne.

-- Skąd lecieliście? -- Na to pytanie musiała znać odpowiedź.

Dziewczyna szerzej otworzyła usta, w źrenicach odbiła się pożoga.

-- Olga, słyszysz mnie? -- Poglaskała ją po czole, rozmazując szkarłatną wstęgę. -- Nie odpływaj.

-- Z Berlina -- padły ostatnie słowa. Odeszła parę sekund później.

Major zamknął jej oczy. Kaczmarek gapił się na niego zdumiony. Zdaje się, że on też oglądał wieczorne wiadomości, a właśnie potwierdziły się najgorsze obawy -- samolot z rosyjską delegacją rządową, w tym z samym prezydentem Władimirem Władimirowiczem Putinem, spadł na północ od Szczecina. Coś podobnego trudno sobie było wyobrazić. To, co się za moment zaczęło, w niczym nie będzie przypominać akcji, w jakich brał udział wcześniej.

Znalazł komórkę. Sam wszystkiego nie ogarnie. Potrzebował pomocy, i to natychmiast.

-- Waldek... -- Kapitan zgłosił się natychmiast. -- Jest gorzej, niż myślałem.

-- Ktoś przeżył?

Halicki popatrzył pod swoje nogi, na zwłoki Olgi.

-- Nie. -- Z trudem przełknął ślinę. -- Wiesz, co to za lot?

-- Tak.

-- Czy...

-- Piotr, słuchaj mnie uważnie...

-- Potrzebujemy karet i wozów gaśniczych.

-- Wiem o tym, pierwsze jednostki już do was jadą, teraz mi nie przerywaj, proszę cię...

-- Waldziu, ja nie mam czasu na jakieś gierki. -- W Halickim zaczęła wzbierać złość.

-- Ten samolot... no... kurwa... -- kapitan najwyraźniej się zaciął -- nie był jedynym, który uległ katastrofie.

-- Co ty pieprzysz? -- Już i tak wysokie ciśnienie podskoczyło majorowi jeszcze bardziej.

-- To tajne i nie do końca potwierdzone, ale...

-- No mów, człowieku.

-- Samoloty wszystkich delegacji, które brały udział w forum w Poczdamie, uległy... no... wypadkom.

-- Nie mówisz poważnie. -- Ziemia pod nogami Halickiego zakołysała się.

-- Jak najbardziej. Osiem najbardziej uprzemysłowionych krajów na tej planecie straciło przywódców w jeden wieczór. Wiesz, co to oznacza?

-- Nie -- odpowiedział zgodnie z prawdą.

-- Ja też nie. -- Słowa kolegi nie napawały otuchą.

Halicki nagle zapragnął znaleźć się jak najdalej od tego wszystkiego, daleko, bardzo daleko, najlepiej na drugim krańcu świata.

Podporucznik Robert Galiński skupił się na trzymanym w ustach pasku gumy do żucia. Szczęki pracowały miarowo, wciąż na nowo ugniatając kawałek miętotówki, która powoli traciła smak. Jeszcze jedną miał w zapasie, choć na razie wolał jej nie rozpieczętowywać. Przyda się na później.

Śmigłowcem rzuciło w prawo i w lewo, żołądek podjechał podporucznikowi pod samo gardło. Z trudem udało mu się opanować odruch wymiotny. Dobrze, że zrezygnował ze śniadania, inaczej piękny paw ozdobiłby podłogę w Mi-17.

Wzrok utkwił w drzwiach desantowych znajdujących się naprzeciwko. Za parę minut będzie musiał przez nie przejść. Prawdę mówiąc, siedzenie na brezentowym krzeselku i wyczekiwanie, aż pilot da znak i w końcu stanie na skraju przepaści, irytowało Galińskiego najbardziej. Wolał nie patrzeć na resztę plutonu. Trafił tu chyba przez pomyłkę lub za sprawą kaprysu jakiegoś wesołka z WKU. On, absolwent warszawskiej uczelni, znalazł się w towarzystwie żołnierzy elitarniej jednostki. To miała być miła i niezobowiązująca przygoda, a nagle wylądował w miejscu i czasie, które nie były fajne. Okoliczności zdecydowanie nie przypominały spokojnej czytelnicy, w której lubił przesiadywać.

Z wielkim trudem zmusił się do tego, by odwrócić głowę i spojrzeć na morze pod nimi. Bałtyk nie rozpieszczał. Szare fale przetykane białymi grzywaczami przetaczały się we wszystkich kierunkach.

Galiński dodatkowo dostrzegł fregatę, dwie korwety i ogromny desantowiec, z którego właśnie startowały Seahawki. Ćwiczenia Baltops rozwijały się w pełni. Czterdzieści okrętów, dziesięć tysięcy żołnierzy, marynarzy i lotników. Zdaniem wielu do kompletu brakowało jedynie lotniskowca, bo pozostałe klasy jednostek morskich były licznie reprezentowane, łącznie z krążownikami typu Aegis. Jeden z nich Galiński widział wieczorem. Konstrukcja robiła wrażenie -- zwarta bryła, wysokie maszty i płaskie anteny radarów. To było coś, z czym należało się liczyć. Szkoda, że nie dawało się wejść na pokład.

Albo jedna z tych nowych rakietowych fregat francuskich typu FREMM. Podobno w środku znajdowało się więcej elektroniki niż w Cap Canaveral. Może i polska marynarka w końcu doczeka się podobnych nowinek.

Mi-17 gwałtownie opadł. Stało się to tak szybko, że ledwie zdążył chwycić się aluminiowego stelażu służącego do obciążenia brezentu na siedzeniach. Co gorsza, połknął gumę. Spróbował ją wypluć, ale tylko się rozkaszał. Jeżeli ma stanowić przykład dla reszty, to nie powinien zachowywać się jak idiota.

Maszyna w końcu wyrównała i pomknęła w stronę nieodległego już brzegu. Chwila opuszczenia śmigłowca zbliżała się nieuchronnie. Wszystkich czekał zjazd na linie z wysokości kilku metrów. Podobno nic nadzwyczajnego, choć dla nowicjusza emocje gwarantowane.

W przedziale desantowym hulał teraz wiatr. Linę wyrzucono na zewnątrz. Galiński zebrał całą odwagę. Zrobił parę drobnych kroczków i stanął na krawędzi otchłani.

-- Da pan radę. -- Sierżant kiwnął głową. Spod zielono-brązowej pasty, którą wysmarował twarz, błyskały jedynie białe zęby. -- Śmiało.

Łatwo powiedzieć. Kiedy stoi się na ziemi, wysokość ośmiu metrów nie wydaje się oszałamiająca. Gorzej, gdy jest odwrotnie i z tych paru metrów spogląda się w dół.

Chwycił linę i desperacko zawisł na samych rękach. Obróciło nim szybciej, niż zdążył się zoriento-

wać.

O, jasna cholera, chyba nie da rady. Już był na zewnątrz. Zdaje się, że powinien uchwycić linę również nogami. Ta niestety kołysała się we wszystkie strony.

Gwałtowna bryza znad morza zatrzęsła helikopterem. Opadli metr albo i półtora. Pilot, nie chcąc roztrzaskać się o ziemię, zwiększył moc. Szarpnięcie, w normalnych warunkach prawie niezauważalne, tym razem wystarczyło, by wyrwać sznur z rąk Galińskiego. Zdążył jeszcze zdziwić się, dlaczego oczy sierżanta zrobiły się wielkie jak spodki, po czym runął na wydymę.

Gdy ponownie uniósł powieki, transportowego Mi-17 już nie było. Był za to szpitalny sufit i zatroskane twarze lekarskiego konsylium, potem ponownie zapadł w cudowne odrętwienie. Nie czuł nic. Zamiast ułomnego ciała, jakim dysponował do niedawna, miał czystą świadomość, szybszą niż czas i przestrzeń. Przemierzał galaktyki i zagłębiał się w bezmiar czarnych dziur. Jeżeli tak wygląda kres życia, to nie ma się czego obawiać.

-- Panie Robercie, słyszy mnie pan?

Początkowo nie wiedział, co się z nim dzieje. Płynął, leciał, Bóg jeden wie, a teraz brutalnie został ściągnięty na ziemię.

-- Co? -- Powieki nie chciały się otworzyć. Wyteżył całą wolę i w końcu dostrzegł pochylonego nad sobą mężczyznę w zielonym kitlu.

-- Jak się pan czuje?

-- Ja?

-- Ależ z pana kawalarz -- odpowiedział człowiek, który Galińskiemu wydawał się lekarzem. -- Co za szczęście, grał pan kiedyś w totka?

-- Nie.

-- Proszę spróbować, główna nagroda gwarantowana. -- Uśmiech nie schodził z pucułowatej twarzy. -- A wracając do tematu, ma pan stłuczoną miednicę, uszkodzoną nogę i złamany palec u ręki, no i niewielki wstrząs mózgu. Kręgosłup nienaruszony. Koledzy myśleli, że pan zginął.

Dławiący lęk ścisnął gardło podporucznika. Przypomniał sobie wszystko, a właściwie to nie wszystko: lot tak, upadku nie. Ten akurat fakt mózg starał się wyprzeć ze świadomości.

-- Panie doktorze... -- Spróbował usiąść, lecz został delikatnie, acz stanowczo ułożony na posłaniu. -- Będę chodził?

-- Chodził, tańczył, skakał, do wyboru, do koloru, nic nie stoi na przeszkodzie.

-- Naprawdę?

-- A co pan myślał? Sam jestem zdziwiony, jak szybko dochodzi pan do siebie. Przywieźli pana wczoraj z tych manewrów pod Ustką. Co, chce się panu pić? -- zapytał lekarz, widząc, jak oblizuje spierzchnięte usta.

-- Trochę.

-- Zaraz kogoś poproszę. Siostrze... Gdzie ona jest? Kiedy są potrzebne, nigdy ich nie ma.

-- Tak, panie doktorze? -- rozległo się od strony drzwi.

-- Pacjent jest spragniony, jeszcze się nam odwodni.

-- Już przynoszę.

Na razie pielęgniarka nie pojawiła się w polu widzenia Galińskiego, ale sądząc po głosie, należała do młodszej części personelu medycznego.

-- Kiedy będę mógł wstać?

-- No, nie tak prędko, powiedzmy za parę tygodni, potem rehabilitacja. Za jakieś trzy miesiące będziesz jak nowy, chłopcze.

-- Amando, otwórz drzwi. -- Trzydziestoczteroletniej Becky Marsh od rana wszystko leciało z rąk, a na dodatek zaczynała brać ją grypa. Nim na dobre otworzyła oczy, już czuła łamanie w kościach i podwyższoną temperaturę. Łyknęła dwie pastylki apapu, lecz poprawa była znikoma. W biurze większość pracowników nie wyglądała lepiej, te podkrążone oczy i spocone czoła. Po paru godzinach miała dość. Czas włókł się niemiłosiernie. Niemal odliczała minuty do końca i gdy już dotarła do domu, robiąc po drodze zakupy, wydawało jej się, że jest na skraju wytrzymałości. -- Słyszysz, co mówię?

Z dużego pokoju dobiegały dźwięki puszczonej w kablówce kreskówki. Przestała mieszać makaron w garnku i sama poszła otworzyć. Na osiemnastą umówiła się z synem sąsiadów na czyszczenie basenu i przystrzyżenie trawnika przed domem. To na pewno on. Jak zwykle przyszedł wcześniej, licząc, że dzięki temu Becky do ustalonej stawki dorzuci chociaż parę dolców.

Minęła salon. Z oparcia kanapy wystawały stopy jej trzynastoletniej córki w białych skarpetkach.

-- Zaraz sobie pogadamy -- rzuciła pod jej adresem.

Gdzieś głęboko w trzewiach poczuła nieprzyjemny ucisk. To z pewnością lunch. Przez najbliższy miesiąc nie weźmie tajskiego zarcia do ust. Opanowała się, powoli naciskając klamkę. Uśmiechnięta od ucha do ucha buzia Jima Dowsona sprawiła, że i ona się rozpogodziła.

-- Jestem.

-- Za każdym razem, jak cię widzę, mam wrażenie, że znów urosłeś.

-- Przesada. -- O ile to było w ogóle możliwe, chłopak rozpogodził się jeszcze bardziej. -- No, może centymetr lub dwa -- powiedział, wypinając pierś do przodu.

-- Stawka jak zwykle -- zastrzegła.

-- Już się biorę do roboty.

W drodze do kuchni zajrzała do salonu. Przez te parę minut Amanda nie ruszyła nawet nogą.

-- Dobrze się czujesz?

Brak odpowiedzi jej nie zdziwił. Nastolatki tak już mają. Dobrze, że córka nie przysparzała jakichś szczególnych problemów. Jak na swój wiek Amanda była wyjątkowo rozsądną osobą.

-- Zjesz ze mną czy poczekaasz, aż tata wróci z pracy? -- Becky zaczynała tracić cierpliwość. -- Odezwij się w końcu.

Niespodziewanie Amanda zgięła się i zwymiotowała na dywan. Pokój wypełnił kwaśny odór. Kobieta zaniepokoiła się nie na żarty. Podobno w niektórych hrabstwach panowała grypa, a był to jakiś wyjątkowo zjadliwy szczep. Takie okęgi izolowano, co ponoć i tak niewiele dawało, bo choroba wybuchała wciąż w nowych miejscach. Każde wiadomości poprzedzano informacjami o tym, jak się chronić. Część ekspertów mówiła o zwiększającej się liczbie chorych, część uspokajała, twierdząc, że epidemia sama wygaśnie. Nie wiedziała już, co o tym myśleć. Zresztą do tej pory to nie był jej problem, tylko władz. Przecież tam pracują odpowiedni, znający się na swojej robocie ludzie. Podobno mają najlepszych specjalistów na świecie.

Pobiegła do kuchni po mokrą ścierkę. To nie wyglądało na zwykłą niedyspozycję, chociaż kto wie? Trzynastolatkom przychodziły do głowy najróżniejsze pomysły. Może to marihuana lub jakiś syntetyk? Ma

smarkuła nauczkę, zamiast zabawy -- zatrucie.

Klęknęła przed Amandą i przejechała dłonią po jej miękkich blond włosach. Obiecała sobie, że nie będzie krzyczeć.

-- Co to było? Mów, tylko nie kręć. -- A niech to, czoło dziewczynki wydawało się rozpalone. Najlepiej będzie, jak zawiezie ją do szpitala.

Gdy wstawiała, zakręciło jej się w głowie, i to tak mocno, że musiała przytrzymać się kanapy. O cholera, z nią też nie było najlepiej. Wkrótce dołączyło do tego kręcenie w żołądku. Jeśli natychmiast nie pójdzie do łazienki, czeka ją kompromitacja. Spokojnie, tylko spokojnie. Da sobie radę. A właściwie gdzie jest Bill? Jak jest potrzebny, to nigdy go nie ma. Może zadzwonić? Później. Musi iść szybciej. Toaletta, mimo że znajdowała się parę metrów dalej, wydawała się równie odległa jak księżyc.

Przeniknęła ją fala gorąca. Zatrzymała się, bo niemal odebrało jej oddech. Później świat zawirował. Nim upadła, zdążyła pomyśleć, że chyba jest wyrodną matką, skoro myśli tylko o sobie.

Jim Dowson właśnie kosił trawnik koło garażu, kiedy zorientował się, że nie wszystko jest w porządku. Czuł swąd spalenizny i jeszcze jakiś odór, który kojarzył się jednoznacznie z gównem.

Lubił Marshów, zwłaszcza ją, bo pan Marsh prawie nie zwracał na niego uwagi, co najwyżej machał na powitanie i zaraz znikał bądź to w samochodzie, bądź to w domu, zależnie o jakiej porze dnia się widzieli. Amanda też stroiła fochy. Głupia pinda. Pewnie myśli, że jak załapała się do drużyny cheerleaderek, to jest ustawiona na całe życie.

Pani Marsh to zupełnie inna historia. Wiedział, że go lubi. Może i była grubo po trzydziestce, ale na sam jej widok Jima oblewał rumieniec. Podobnie było i dzisiaj. Wpadł wcześniej, zamienili parę słów, które od tamtej pory analizował i... zdaje się, że należało coś zrobić, bo to, co działo się w środku, nie wydawało się normalne.

-- Pani Marsh? -- Podszedł do bocznego wejścia z tyłu posesji i zastukał energicznie. Gęsto udrapowane firanki zasłaniały widok. -- Pani Marsh? -- Spróbował ponownie. W końcu przekręcił gałkę i wszedł do środka. Tu na pewno coś się paliło. Smród zrobił się nie do wytrzymania.

Czuł jak policjant na patrolu pomaszerował w głąb domu. Z garnka stojącego na kuchence wydobywał się dym. Zdjął naczynie z gazu i wrzucił je do zlewu. Odkręcił zimną wodę. Zasyczało. Dopiero teraz poczuł się jak ogarnięty ogniem piekielnym. Kaszlnął i wycofał się. Przynajmniej tu sytuacja wydawała się opanowana. Właściwie to gdzie są domownicy? Wywiało ich czy jak?

Becky Marsh znalazł tuż przy schodach. Wydawała się nieprzytomna. Kałuża wymiocin i poplamione spodnie wyraźnie świadczyły o złym stanie kobiety. Bełkotała. Bardziej przypominała zombie niż żywego człowieka. Nic nigdy tak go nie przeraziło.

Do telefonu doskoczył jednym susem. Wybrał numer alarmowy, trzęsąc się jak w febrze. Odezwali się od razu. Powiedział, co zaszło. Instrukcje były proste -- miał czekać, aż przyjedzie ekipa medyczna, i niczego nie dotykać.

Zjawili się po mniej więcej dziesięciu minutach i wtedy niepokój Jima sięgnął zenitu. To nie był zwy-

kły zespół ratunkowy. Takich ludzi widział do tej pory jedynie w filmach katastroficznych. Ochronne białe, żółte i czerwone kombinezony przykrywały ich od stóp do głów. Maski na twarzach sprawiały, że wyglądali jak kosmici.

Z tego, co nastąpiło później, niewiele pamiętał. Bez ceregieli został zapakowany do białej furgonetki. Nawet nie zapakowany, a wrzucony, zupełnie jak uciążliwy bagaż. Kompletnie nie orientował się, dokąd jada. Gdy już się zatrzymali, znalazł się w długim, prostym korytarzu. To zupełnie nie wyglądało jak szpital. Skojarzenie z kostnicą przyszło samo. Jakiś człowiek zapytał go o nazwisko, dostał kartę i pidżamę. Kolejne pokoje, w końcu schody na górę. Niewiele widział, lecz sądząc z dochodzących go odgłosów, był to spory ośrodek. W pobliżu chyba trwała budowa. Wyraźnie słyszał szum wysokoprężnych silników i serwomechanizmy koparek.

W izolatce otrzymał zestaw lekarstw, choć nie czuł się chory. Wkrótce powieki zaczęły mu opadać same. Osunął się na łóżko i zapadł w niespokojny sen. Pod wieczór dostał gorączki i bólów brzucha. Antybiotyki nie zadziałały. To tracił, to odzyskiwał przytomność. Jego stan się pogarszał, a rzeczywistość i fantazja zaczęły się ze sobą zlewać. Nie mylił się co do jednego. Niedaleko faktycznie pracował ciężki sprzęt budowlany.

W każdym z wykopanych dołów dawało się pomieścić do tysiąca zwłok. Ośrodek Specjalny numer 1187 nie był jedynym, jaki powstał w ciągu ostatniego tygodnia. Federalna Agencja Zarządzania Kryzysowego tworzyła je w całym kraju, a i tak potrzeby okazywały się większe, niż zakładano.

Jim Dawson zmarł dwadzieścia cztery godziny po zakażeniu. Wcześniej nigdy nie chorował, żył więc w przekonaniu, że jest uodporniony na wszelkie wirusy.

Akurat na ten konkretny nie był.

Te wakacje na pewno nie będą należeć do udanych -- myśli Halickiego poszybowały swobodnie. Stracił ochotę na wpatrywanie się w stertę dokumentów, które leżały na biurku. Zapraǳnął wyjść i zaczerpnąć świeżego powietrza, co na razie nie wydawało się możliwe nie tylko dlatego, że zbierało się na burzę.

Od trzech tygodni zajmował się jednym. Przez jego biuro przewinęło się co najmniej kilkaset osób, delegacji, ekspertów, oficjeli i kilku nawiedzonych, którym w niewytłumaczalny dla nikogo sposób udało się pokonać warty i dostać aż tutaj. Był prezydent, premier i całe stado parlamentarzystów -- wszyscy bez wyjątku przejęci i z masą dobrych rad, tylko że on nie potrzebował dobrych rad, a spokoju. Niech w końcu specjaliści wypowiedzą się, co zaszło, bo jak do tej pory wszyscy dreptali w miejscu.

Część członków komisji do spraw badania katastrof lotniczych oświadczyła, że samolot Ił-96-300 po prostu rozpadł się w powietrzu na skutek dużych naprężeń. Ilekroć o tym słyszał, zawsze drapał się w głowę -- samoloty nie rozpadają się bez przyczyny. Kolejna sugestia -- na pokładzie doszło do wybuchu substancji nieznanego pochodzenia. To również nie znajdowało potwierdzenia w ekspertyzach, choć w prasie już pojawiały się artykuły o trotylu we wraku Iła.

Do tej pory nie potrafiono znaleźć sensownego wytłumaczenia, dlaczego lot odbywał się nad terytorium Polski, choć od początku planowano udać się na północ i dopiero nad Bałtykiem obrać kurs na wschód. Piloci nie mogli aż tak się pomylić. To w końcu fachowcy najwyższej klasy. Przecież tyłka samego prezydenta nie będzie woził jakiś tam amator.

Jak twierdził jeden z niezależnych ekspertów zajmujących się tematem, samolot został źle naprowadzony, a jego aparatura pokładowa zhakowana, co w konsekwencji doprowadziło do katastrofy.

Teoria może i rozsądna, tylko kto miałby to zrobić? Najbardziej oczywista odpowiedź -- ten, kto na tym skorzystał, nie miała większego sensu. Śmierć poniósł nie tylko przywódca Rosji, roztrzaskały się również maszyny pozostałych przywódców Europy, Ameryki Północnej i Japonii. Wszystkich w pierwszych minutach ogarnęło zdumienie, które szybko przerodziło się w panikę. Iłem Putina mało kto się przejmował oprócz samych Rosjan, ale jak to się stało, że runął na ziemię Air Force One?

Samoloty pozostałych przywódców to również nie jakiś tam złom, powyciągany na specjalne okazje. Ludzie i sprzęt z najwyższej półki.

Do wojny nie doszło wyłącznie dlatego, że śmierć poniósł nie tylko Władimir Władimirowicz, ale również prezydent Stanów Zjednoczonych, premier Kanady i niemiecka kanclerz, właśnie udająca się z wizytą do Monachium. To się po prostu nie mieściło w głowie. Zginęło niemal tysiąc osób. Owszem, jeden wypadek dawało się wytłumaczyć, ale osiem? Zdarzenie całkowicie przekierowywało politykę światową. W tych okolicznościach nikt nie pozostawał obojętny. Zmiany dotyczyły wszystkich -- od pastucha z gór Ałtaju po handlarza nieruchomościami z Los Angeles i rybaka z włoskiego Bari.

Niemal od razu na pierwszą linię wysunął się drugi garnitur polityków. W Japonii i we Włoszech zdecydowano o rozpisaniu nowych wyborów. W USA cała władza przeszła w ręce wiceprezydenta. Federacja trwała w zawieszeniu. Do tej pory nie wiedziano, kto przejmie schedę po Putinie.

Unia Europejska i jej agendy straciły wiatr w żaglach. Większość urzędników porzuciła eksponowane

stanowiska i wróciła do domów. Co tam Bruksela, skoro walił się cały świat. Na barki tych, którzy pozostali, spadł ciężar kierowania całym tym bałaganem. Spraw do rozwiązania było tyle, że nie wiedziano, w co ręce włożyć. Od czego tu zacząć, skoro najbardziej cywilizowane państwa na tej planecie straciły solidne podstawy i zaczęły balansować na krawędzi?

Europa jeszcze jakoś sobie radziła, ale kontynent północnoamerykański powoli, acz systematycznie zmierzał ku zatraceniu. Epidemia, która z początku wydawała się nic nieznaczącym epizodem, nieoczekiwanie zataczała coraz szersze kręgi. Liczba zarażonych szła w miliony. Pandemia rozwijała się w zawrotnym tempie i wciąż nie wiedziano, co jest jej przyczyną. Epidemiolodzy i lekarze dwoili się i troili. Nowi chorzy pojawiali się nie tylko w wielkich aglomeracjach, ale i na zabitej dechami prowincji. Wystarczyły dwa lub trzy dni i po człowieku. Nie nadążano z pochówkami. Na obrzeżach miast kopano zbiorowe mogiły, mogące pomieścić do tysiąca zmarłych. Czegoś podobnego nie doświadczone od 1920 roku, kiedy to przez Stany przetoczyła się hiszpanka. Po niemal stu latach wszystko powtarzało się z tą samą intensywnością i groziło upadkiem całej gospodarki. Nie chodziło już o drobne kwoty: miliard tu, miliard tam. Analitycy rynków finansowych ze zdumieniem obserwowali to samo, co kiedyś spotkało kraje bankrutujące -- pieniądze transferowano na zagraniczne konta, ceny nieruchomości spadały na łeb na szyję. Wstrzymywano loty międzykontynentalne, a wszystkich, którzy przybywali ze Stanów lub Kanady, poddawano kwarantannie. Obozy dla nich powstawały jak grzyby po deszczu. W zachodniej Europie było ich już dwadzieścia, kolejnych trzydzieści znajdowało się w fazie tworzenia. Turyści z USA nie chcieli wracać do domów, przyjezdni ze starego kontynentu nie mogli opuścić Stanów. I jednym, i drugim kończyła się gotówka. Tysiące, a może i dziesiątki tysięcy rodzin, zamiast korzystać z wakacji, koczowało na lotniskach, co jeszcze przyspieszało rozwój pandemii.

Jakby tego było mało, dały o sobie znać różnice etniczne -- gangi Latynosów ruszyły na czarnych, białych i Azjatów. Ci, zagrożeni i wypierani ze swoich dzielnic, odpowiedzieli w jedyny znany sobie sposób -- przemocą. Ulice spłynęły krwią. Policja, Gwardia Narodowa, a w niektórych przypadkach także regularna armia, przystąpiły do pacyfikacji. Jak zwykle przy tego typu operacjach oberwało się wszystkim -- winnym i niewinnym. Przestały wystarczać pałki, tarcze i gaz łzawiący, sięgnięto po ostrą amunicję.

Im usilniej próbowano przywrócić porządek, tym bardziej robiło się krwawo. Do najpoważniejszych rozruchów i zamieszek doszło w Nowym Orleanie, El Paso, Houston, Albuquerque i Atlancie. Ofiary liczono w setkach. Północ wydawała się jeszcze spokojna. Tylko na jak długo? Zaczęto wieścić koniec supermocarstwa. Halicki jak na razie nie był o tym przekonany. Potrzeba dużo więcej, by ten cały gmach zawalił się z hukiem. Jakaś tam epidemia, choćby najbardziej śmiertelna, czy rozruchy na tle rasowym nie pogrążą kraju na dobre.

Śmiertelny cios zadać mogli za to sojusznicy. W Europie zaczęto odżegnywać się od wszystkiego, co amerykańskie. Może gdyby przy władzy pozostali ci, co rządząli do niedawna, wydarzenia potoczyłyby się... nie inaczej, ale na pewno lepiej, a tak wydawało się, że świat wraca do czasów sprzed drugiej wojny. Każdy kraj zaczynał liczyć tylko na siebie. Cała cywilizacyjna solidarność rozpadała się w oczach. To może jeszcze nie był etap wyłapywania amerykańskich obywateli i kierowania ich do obozów filtra-

cyjnych, ale wielu populistycznych polityków jakby zaczęło tracić poczucie zwykłej ludzkiej przyzwoitości. I nic dziwnego, strach zajrzał ludziom w oczy. Obawiano się tego samego, co przytrafiło się Waszyngtonowi czy Seattle.

Świat zastygł w zdumieniu. Każdy kolejny dzień przynosił zaskakujące newsy. Pekin, największy wierzyciel amerykańskiego długu, już deklarował pomoc. Dla nikogo nie było tajemnicą, że jeśli padnie dolar, padną też i Chiny, i Japonia. Z drugiej jednak strony, wielu specjalistów wskazywało na sprzyjającą okazję do pogrążenia odwiecznego rywala. Co prawda Waszyngton był wciąż niekwestionowanym liderem i mógł bez wahania huknąć obcasem w pulpit, zupełnie jak towarzysz Chruszczow podczas sesji ONZ-etu, niemniej kwestia, co wówczas stanie się z chińskim eksportem, wciąż pozostawała otwarta.

Halickiemu podniosły się włosy na karku. Każdy człowiek przy zdrowych zmysłach wiedział, że wszystko od początku do końca zostało ukartowane: i szalejąca w USA epidemia, i spadające z nieba samoloty z przedstawicielami rządów największych światowych gospodarek. Ataki hakerskie przed Nocą Sądu -- jak media określiły wypadki z pierwszego na drugiego lipca -- na tyle zaniepokoiły struktury odpowiedzialne za bezpieczeństwo, i to nie tylko w Polsce, że zdecydowano się na postawienie w stan gotowości wybranych elementów sił obronnych. Wiele jednostek opuściło koszary, okręty wypłynęły w morze, a samoloty zaczęły patrolować przestrzeń powietrzną.

Było to jednak zbyt mało i zbyt dużo równocześnie. Zbyt mało, bo ci, którzy mieli zginąć, i tak zginęli. Wyprowadzenie wojsk w pole też nie posłużyło niczemu oprócz zagwarantowania dobrego samopoczucia decydentów. Nikt nie zaatakował europejskich miast ani nie wypowiedział Europie wojny. Trwał swoisty pat i nikt na dobrą sprawę nie wiedział, do czego to wszystko prowadzi.

Dość tych rozważań. Lepiej, jak skupi się na własnej robocie.

Major powrócił myślami do tamtej nocy. Na miejscu znalazł się jako jeden z pierwszych i to właśnie od niego próbowano wyciągnąć wszystko, co mogło pomóc w dochodzeniu, w ogóle nie przejmując się tym, że nie był ani świadkiem, ani ekspertem lotniczym.

Szczałki Iła 96 rozrzucone były na ziemi. Wolał nie spekulować, dlaczego tak się stało.

Na początku był telefon od Chmury, to pamiętał doskonale. Jeśli nadarzy się okazja, spróbuje dowiedzieć się, skąd kapitan o tym wiedział. Tu decydowały minuty. Wszystko odbyło się na styk. Szaleńczej jazdy w środku nocy wolał nie wspominać. Dojazd do Tanowa i... a tak, rozmowa z tamtą kobietą. Jakoś później stracił ją z oczu, po prostu za dużo się działo, trochę szkoda. Zadzwoić do niej? Nie znał numeru ani nazwiska, imienia też sobie nie przypominał. Na miejscu katastrofy był kilkakrotnie i jakoś nie pomyślał o tym, by z nią porozmawiać. Może Mroczek wie więcej, chyba ją odwoził, ale tego nie był pewny.

Jak posiedzi w biurze kolejną godzinę, to oszaleje.

W końcu się zdecydował, wstał, sięgnął po czerwony beret żandarmerii i obciągnął bluzę. Opuścił biuro i zamknął za sobą drzwi na klucz.

-- Wychodzę -- rzucił do dyżurnego, zbiegając po schodach. Na parkingu obok dwóch Honkerów stał nowy terenowy mercedes, ostatni nabytek jednostki. Wsiadł do wozu i przekręcił kluczyk w stacyjce.

Szybko włączył się do ruchu. W tym momencie pomysł wydawał mu się zupełnie do niczego. Skoro najlepsi eksperci łamali głowy nad tym, co zaszło, to co będzie widział ktoś, kto o lotnictwie nie miał

zielonego pojęcia? Trudno, pojedzie, powęszy, może wpadnie na jakiś pomysł. Do ekspertyzy czarnych skrzynek na pewno nie zostanie dopuszczony, podobnie jak do tych wszystkich badań śladów materiałów wybuchowych i testów mających wyjaśnić, czy urządzenia pokładowe działały poprawnie. Właściwie to sam nie wiedział, czego szuka.

Dał sobie spokój z rozważaniami. Niech główkują specjaliści, od tego przecież są.

Na miejsce dojechał akurat, gdy w radiu Edith Piaf ogłaszała wszem wobec, że niczego nie żałuje. Zatrzymał samochód mniej więcej w tym samym miejscu, w którym zrobił to wcześniej sierżant Mroczek. Wysiadł i rozejrzał się. Tanowo to typowa ulicówka -- domy wzdłuż głównej drogi, opodał sklep. Kolejny trochę dalej. Ludzi też niewielu. Główną atrakcją, wrak leżący parę kilometrów stąd, już sobie obejrzał. Szczątki zresztą wywieziono. Teraz przekopywano teren na głębokość pół metra. Pierwszy posterunek strzegący strefy znajdował się niedaleko. Nikt niepowołany nie powinien kręcić się w pobliżu. Za przekroczenie granicy strefy groziły dotkliwe kary, głównie finansowe. Trzeba mieć nierówno pod sufitem, by pchać się w takie miejsce.

Rozejrzał się na boki. Gdyby nie słabo już wyczuwalny swąd w powietrzu, okolicę można by uznać za sielankową. Akurat jak na złość nikogo nie było w pobliżu. Sklął sam siebie za idiotyczny pomysł. O kogo ma pytać? Być może osoba, która im wówczas pomogła, wcale tu nie mieszkała, a na przykład przyjechała odwiedzić znajomych. Westchnął.

Płot najbliższego gospodarstwa znajdował się ledwie parę metrów dalej. Obejście otwarte. Pies stróżujący, wilczur zmieszany z kundlem, na widok Halickiego podkulił ogon i schował się w budzie. Pewnie w ciągu ostatnich paru dni wypadł na ulicę, dostał kopa od któregoś z nerwowych sierżantów i w konsekwencji nauczył się szacunku do munduru.

-- Pan do kogo? -- Tęga kobieta po sześćdziesiątce wyszła zza rogu domu.

-- Trzy tygodnie temu zatrzymałem się tutaj. -- Czuł, że bredzi, ale brnął dalej. -- Jechaliśmy do miejsca wypadku -- wyjaśnił już bardziej składnie. -- Prowadziła nas pewna kobieta... -- Gdyby nie polowy uniform, w którym paradował, już dawno zostałby posłany do diabła.

-- Doprawdy nie wiem, jak mogłabym pomóc.

Należało się tego spodziewać.

-- No nic, dziękuję. -- Wycofał się do drogi.

Z kim tu gadać? Z listonoszem, z sołtysem? Może z kierownikiem sklepu? Ten pewnie zna wszystkich. Widzi mieszkańców codziennie, i to wielokrotnie. Nie zaszkodzi spróbować.

Przeciął jezdnię i wszedł na parking. Po chwili wiedział, że nic z tego nie będzie. To sieciówka. Przy kasie siedziała dziewczyna niekoniecznie pochodząca stąd. Dotyczyło to całego personelu. Zniechęcony zawrócił. To się nie mogło udać.

Stanął na chodniku. Szosą przetaczała się kolumna samochodów. Przyglądał się im przez chwilę. Z jednego z pojazdów sterczały anteny, pozostałe przewoziły kontenery, w tym chłodnie przeznaczone do przechowywania odnalezionych fragmentów ciał. Konwój przejechał z łoskotem.

Wkrótce ostatni wóz znikł w oddali.

Cały ten wyjazd okazał się chybiony. Teraz do sołtysa i na tym koniec. Wsiadł do mercedesa i zawrócił, gdy postać na rowerze mignęła tuż przed terenówką. Co prawda za pierwszym razem nie przyglądała się jej dokładnie, ale to na pewno była ona. Pieszko jej nie dogoni, bo jak na amatorkę rozwijała całkiem przyzwoitą prędkość. Jej długie opalone nogi tylko śmigały w powietrzu.

Uruchomił silnik i włączył syrenę. Mercedes ruszył, wystrzeliwując spod kół drobne kamyki i żwir z pobocza.

Pościg nie trwał długo, najwyżej sto metrów. Wyminął rowerzystkę i zatrzymał się przed nią. Bez wątpienia zrobił wrażenie.

W pierwszej chwili go nie poznała. Nic dziwnego. Kto miał wówczas głowę do takich głupot? Do tego była noc, a wszyscy działali w ostrym stresie.

Przedstawił się i wyjaśnił, o co chodzi.

-- A, już sobie przypominam. -- Uśmiechnęła się. W jej oczach zapaliły się wesołe iskierki.

-- Coś ze mną nie tak? -- Halicki spojrzał na mundur. Może ptak nasrał mu na pagony i stąd to rozbawienie.

-- Wszystko w absolutnym porządku. -- Wyciągnęła w jego kierunku dłoń. -- Jestem Alicja.

-- Miło mi.

-- Co pana do nas sprowadza?

Brodą wskazał na las, nad którym w końcu przestał unosić się dym z pogorzelska.

-- Rozumiem. -- Posmutniała.

-- Może nie stójmy tak, pani, zdaje się, ma jakieś sprawy do załatwienia. Podwiozę, wtedy porozmawiamy -- zaproponował.

-- A co z rowerem?

-- Powinien się zmieścić z tyłu. -- Odebrał od niej wehikuł i umieścił w części transportowej samochodu. Z galanterią otworzył przed nią drzwiczki i zaprosił do środka. Owiał go zapach perfum, i to takich z górnej półki, żadne tam mydełko Fa. Pożałował, że sam nie skropił się czymś odpowiednim. Obszedł terenówkę i zasiadł z drugiej strony.

-- Dokąd?

-- Wybierałam się do Polic.

-- Pani tam pracuje?

-- Nic z tych rzeczy. -- Zatrzask taśmy bezpieczeństwa spoczął w uchwycie mocującym. Poczekał, aż skończy. Właściwie to nie chodziło o pasy. Gapił się na jej nogi, które przyciągały spojrzenie jak magnes opiłki żelaza. W końcu opanował się i ruszyli. Usilnie starał się skupić na drodze, a nie na wspomnieniu sprzed chwili.

-- A gdzie, jeżeli to nie jest tajemnica?

-- W Szczecinie -- odparła. -- Mam tam biuro.

-- Biuro?

-- Architektura wewnątrz. W Policach prowadzę budowę.

-- A co pani robi tutaj?

-- Rodzice mają dom, wpadam do nich, kiedy mogę.

Co to znaczy mieć fart, uśmiechnął się do siebie w duchu. Ich ścieżki mogły przecież w ogóle się nie przeciąć. Ktoś inny mógł napatoczyć się tamtej nocy i wskazać drogę do miejsca, w którym spadł samolot z prezydentem Federacji.

-- Czy wtedy, kiedy się to wydarzyło, coś zwróciło pani uwagę? -- przeszedł w końcu do tematu.

-- Niby co?

-- Bo ja wiem... W dochodzeniu niekiedy przydają się najmniej z pozoru istotne szczegóły, a przy kaktaklizmie na taką skalę musimy brać pod uwagę wszelkie detale.

-- A może rację mają ci, którzy twierdzą, że rządowa komisja nie ma pojęcia, co się wydarzyło?

Halicki zabębnił palcami po kierownicy. Co tu odpowiedzieć? Nie tylko oni dreptali w miejscu. To samo dotyczyło pozostałych zespołów eksperckich. W jednym przypadku, a dotyczyło to maszyny, którą leciał premier Kanady, szczątki wraku zostały rozrzucone na Atlantyku, blisko irlandzkiego wybrzeża. Sztorm utrudnił wydobycie ciał i resztek samolotu. Zresztą co tu mówić o transoceanicznym przelocie. Materiały zebrane z miejsc pozostałych katastrof nie wносиły nic do wyjaśnienia tego, co się stało.

-- O ile sobie przypominam...

-- Tak? -- Nadzieja drgnęła w sercu majora.

-- Nic ciekawego nie miało miejsca -- dokończyła. -- Przyjechałam dwa dni wcześniej. Pan wie, Tanowo to kompletna dziura. Ludzie wiedzą tu o sobie wszystko, nikt nie jest anonimowy.

-- Rozumiem. -- Nadzieja zgasła równie szybko, jak się pojawiła.

-- Jeszcze zapytam rodziców, może oni wiedzą więcej.

-- Będę zobowiązany.

-- Aż tak?

-- Proszę sobie ze mnie nie żartować.

-- Gdzieżbym śmiała.

Przed nimi pojawiły się pierwsze kominy zakładów chemicznych. Krótka przejażdżka dobiegała końca.

-- Proszę się zatrzymać.

-- Tutaj?

-- Tak.

Zjechał w stronę wąskiej drogi niknącej pomiędzy gęsto rosnącymi sosnami, wysiadł i poszedł po rower.

-- To moja wizytówka. -- Podał Alicji mały kartonik z numerem telefonu.

-- Zadzwoń na pewno. -- Wskoczyła na siodełko, machając na pożegnanie ręką. Wystarczył moment i już jej nie było.

Halickiemu nie pozostało nic innego, jak zawrócić. Może następnym razem będzie miał więcej szczęścia.

Są kraje, w których bohaterom stawia się złote pomniki. I to dosłownie. Saparmyrad Nyýazow należał do takich szczęśliwców. Od spoglądania na jego wysoki na dwanaście metrów wizerunek bolały oczy. Od kiedy w 1992 roku ogłosił się Turkmenbaszą, czyli ojcem wszystkich Turkmenów, po 2006 rok, gdy zmarł, ten były przywódca Turkmeńskiej Socjalistycznej Republiki Rad dzierżył niepodzielną władzę w swoim ręk. Pola naftowe i gazowe, w jakie obfitował Turkmenistan, czyniły z Nyýazowa całkowicie niezależnego przywódcę, z tym że bliżej mu było do Moskwy niż do Waszyngtonu. Ogłosił się nawet potomkiem Aleksandra Macedońskiego. Do czegoś podobnego trzeba sporej wyobraźni. Gdy umarł, pozostawił nieutulony w żalu naród.

Nie na długo. Następcą, Gurbanguly Berdimuhamedow, poszedł drogą przetartą przez poprzednika.

No, prawie tą samą. Niestety sprawy międzynarodowe mocno się skomplikowały. Przez graniczną Amu-darię z Afganistanu co rusz przenikały oddziały mudżahedinów. Niebezpiecznie było również w Uzbekistanie i Tadżykistanie. Nie wszystkim podobało się, że władza należała do jednostek mających całą resztę za nic. Wszak to nie człowiek jest najważniejszy, a Allah.

Problemy się piętrzyły. Ceny surowców spadały na pysk, a co za tym idzie, wpływy do budżetu również. Berdimuhamedow spodziewał się wybuchu niezadowolenia, nie wiedział tylko, gdzie i kiedy do niego dojdzie.

Gurbanguly przymknął oczy, gdy charakteryzatorka zaczęła nakładać mu na twarz warstwę pudru. W końcu publiczne wystąpienie to nie byle co. Należało prezentować się godnie. Przez głowę prezydenta Turkmenistanu przebiegły obrazy z ostatniego spotkania G7. Oni też prezentowali się dostojnie. I co? I nic. Pozostał po nich proch, a byli tacy potężni. Bez wątpienia przejdą do historii, choć pewnie nie o takiej sławie marzyli.

Odsunął rozważania na bok. Nie chciał się do tego przyznać, ale tamten sądny dzień mocno nim wstrząsnął. Jak tak można, ludzie, jak tak można...

-- Panie prezydencie, skończone -- usłyszał tuż nad uchem.

Przyjrzał się sobie w lustrze. Może nie wyglądał jak hollywoodzka sława, trochę nie ten image, ale nie było źle. Poprawił garnitur, dźwignął się z fotela i odesłał charakteryzatorkę i jej pomocnicę. W zasadzie był gotowy.

Każde publiczne wystąpienie traktował śmiertelnie poważnie, a wywiad dla Al-Dżaziry to ważny element kreowanego wizerunku. W tych niespokojnych czasach musi zaprezentować się jako głos rozsądku.

Stawka była wysoka. Chodziło o przyszłość nie tylko jego, ale i całego kraju.

Zapiął guziki marynarki i za ochroniarzem ruszył korytarzami pałacu do sali, gdzie już na niego czekało.

Spodziewał się co najmniej dwóch dziennikarzy, dźwiękowca, operatora kamery i jakichś dochodzących, a nie jednego grubaska w różowej koszuli i czarnych spodniach oraz wysokiego i chudego kamerzysty majstrującego przy statywie.

Ukrył niezadowolenie. Technika poszła do przodu, może już nie potrzeba całego zespołu realizacyjnego, a sprzęt, który posiadają, jest w sam raz. W końcu nie o technikę chodziło, a o to, jak wypadnie.

Gurbanguly Berdimuhamedow usiadł na pięknym rzeźbionym fotelu. Za nim udrapowano wielką zieloną flagę państwową, obok wisiał obraz przedstawiający fragment wybrzeża i żaglowiec na pełnym morzu. Świetnie. Założył nogę na nogę. Można zaczynać. Oko kamery zostało w niego wycelowane.

Szeroko się uśmiechnął.

Upłynęło parę sekund i nic się nie wydarzyło. Grubasek milczał jak zakłęty. Prezydent dokładnie widział kropelki potu perlące mu się na czole. Kamerzysta pochylał się nad sprzętem. Czy Al-Dżaziry nie stać na nic nowego, tylko na takie wielkie stare badziewie? Do środka dało się zapakować...

Detonacja wstrząsnęła fundamentami prezydenckiego pałacu. Dwa i pół kilograma silnego materiału wybuchowego wystarczyło do uśmiercenia większości osób przebywających w sali.

Gdy pierwsi urzędnicy śpieszący z pomocą wbiegli do środka, nie bardzo potrafili uwierzyć w to, co widzą. Ciała i pourywane kończyny wały się dosłownie wszędzie. Sam prezydent stracił głowę. Fragment obudowy kamery zadziałał jak kosa. Tułów wciąż spoczywał w tym samym miejscu, z dłońmi zaciśniętymi na podłokietnikach.

Wiść o zamachu szybko obiegnęła media, lecz mało kto zwrócił na nią uwagę. Co tam znaczył jakiś Berdimuhamedow, kiedy pierwszy statek z uciekinierami ze Stanów Zjednoczonych, wycieczkowiec o nazwie "Key West", próbował wejść na redę portu w La Corunie.

Socjalistyczne władze w Madrycie wykazały się wyjątkową stanowczością. Do "Key West" podpłynęła fregata, przekazując treść postanowienia. Uciekinierom dawano trzy godziny na opuszczenie wód terytorialnych Królestwa Hiszpanii. Jeżeli nie zrobią tego sami, jednostka zostanie odholowana. Ani jedna, ani druga strona nie zamierzały ustąpić. W końcu po negocjacjach "Key West" odpłynął na północ, szukając szczęścia gdzie indziej.

Incydent ten dał do myślenia wszystkim zainteresowanym. Nikt nie miał wątpliwości, że za pierwszym takim transportem przyjdą następne. Europa nie była przygotowana na zalew kolejną falą uchodźców, tym razem nie z przeciwnej strony Morza Śródziemnego, a zza oceanu.

W takiej Hiszpanii, Grecji czy we Włoszech uciekinierów z ogarniętych wojną i konfliktami rejonów przybywało w postępie geometrycznym. W sezonie, gdy cichły sztormy, przez wielką wodę ruszało wszystko, co mogło utrzymać się na powierzchni -- od rybackich łodzi po pordzewiałe barki i kutry. Każdy z pasażerów oddawał przemytnikom wszystko, co posiadał, byle dostać się do lepszego świata. Problem w tym, że ten lepszy świat zaczynał ograniczać się do terytorium paru zachodnioeuropejskich krajów.

Sumę wyłożoną na transport należało oddać bądź odpracować. Kwitł czarny rynek, przemysł i przestępczość. Tradycyjną sycylijską mafię zaczęły wypierać arabskie gangi, niemające nic do stracenia. Policja, karabinierzy i pozostałe służby już nie dawały rady, a końca tego całego galimatiasu nie było widać.

-- Panie majorze, po co oddawać do warsztatu, sam się tym zajmę.

Halicki z łokciami na biurku i brodą podpartą na kciukach przyglądał się kapralowi. Dwudziestodwuletni podoficer rodem z Zielonej Góry jak mało kto radził sobie ze wszystkimi naprawami. Zdaje się, że jego rodzina prowadziła jakiś serwis czy też sklep z częściami samochodowymi. Sam słyszał, jak chłopak opowiadał o tym kolegom na służbie.

W normalnej sytuacji terenowego mercedesa odstawiłby do garażu i po sprawie. Niech się martwią inni. Gorzej, że zostałby bez samochodu, który był mu niezbędny.

-- Działaj. -- W końcu podjął decyzję.

-- Tak jest.

-- Jeżeli potrzebujesz kogoś do pomocy, to uzgodnij to wcześniej z Mroczkiem. Jasne?

-- Oczywiście, panie majorze.

-- Możesz odejść. -- Właśnie odezwał się telefon. Nie będzie roztrząsał ważnych problemów w obecności podwładnego. -- Słucham. -- Numer na wyświetlaczu nic mu nie mówił.

-- Pamięta pan naszą ostatnią rozmowę?

To Alicja. A jednak, już się bał, że spisała go na straty.

-- Ja nigdy niczego nie zapominam. -- Starał się mówić ciszej i bez władczej nuty w głosie.

-- Tak się zastanawiałam i... -- Przerwała bez wyraźnego powodu.

-- Zróbmy tak, spotkamy się za pół godziny gdzieś na mieście, a pani opowie mi, co sobie przypomniała, okej?

-- A dlaczego nie u pana w biurze? -- zapytała rezolutnie.

-- Nie chcę pani narażać na stres związany z przebywaniem w tak specyficznych warunkach. -- Odpowiedź zmyślił na poczekaniu.

-- Rozumiem, więc gdzie?

Dotarcie do celu zajęło Halickiemu dwadzieścia pięć minut. Lokal w piwnicy dawnego ratusza należał do najmodniejszych w mieście. Prawie wszystkie stoliki były zajęte bądź zarezerwowane.

Ostatni wolny i w miarę dyskretny punkt upatrzył sobie już przy wejściu i nim ktokolwiek zdążył go ubiec, rozsiadł się na krześle.

-- Co podać? -- Kelnerka zjawiła się błyskawicznie.

-- Proszę chwilę poczekać. -- Kątem oka dojrzał wchodzącą Alicję. W białej bluzce i obcisłych dżinsach wyglądała uroczo.

-- Spóźniłam się?

-- Ależ skąd.

Przysunął jej krzesło i zaczekał, aż usiądzie. Chwilę trwało, zanim złożyli zamówienie i zostali sami.

-- Za pół godziny muszę wracać do pracy -- zastrzegła, zanim zdążył zapytać o przyczynę, dla której zadzwoniła. Chciał wierzyć, że bardziej chodziło o niego niż o ruski samolot. -- Mam projekt gotowy w

połowie. Inwestor się niecierpliwi. Wszystko ma być dopięte na ostatni guzik do przyszłej środy.

-- Nie sądziłem, że w tych niespokojnych czasach ktoś wydaje pieniądze na nowe domy.

-- Żeby się pan nie zdziwił. -- Poprawiła bransoletkę na nadgarstku i przesunęła wzrokiem po towarzystwie siedzącym w pobliżu. -- Polska robi się modna.

-- Modna? W jakim sensie?

-- W miarę bezpiecznie i spokojnie. Ludzie życzliwi.

-- Ja takich nie spotykam.

-- A ja?

-- No, pani jest wyjątkiem, ale pułkownik Kudelski już nie. Bywa upierdliwy jak mało kto.

-- Powinnam go znać?

-- Absolutnie nie, to nie jest pani branża, a co do bezpieczeństwa, też nie jestem pewien -- zrobił aluzję do ich pierwszego spotkania.

Uśmiech i swobodny sposób bycia zniknęły. Już nie wydawała się radosna. Cień wspomnień przyniósł i ją. Relacja w telewizji to jedno, ujrzeć tragedię na własne oczy to zupełnie co innego.

-- Nie wiem, jak to powiedzieć.

-- Śmiało -- starał się ją zachęcić.

-- Parę dni temu, no wtedy, gdy zajechał mi pan drogę, szosą poruszała się wojskowa kolumna.

-- Aha. -- Coś zaczynało świtać w głowie majora.

-- Był tam taki samochód z antenami.

-- To akurat można sprawdzić.

-- Podobny widziałam parę dni przed tym wypadkiem. Należał zdaje się do jakiejś firmy telekomunikacyjnej.

-- A co w nim było takiego niezwykłego?

-- W Tanowie niezbyt często bywają takie firmy. Wszystko już dawno zostało podłączone, a ta furgonetka kręciła się bez ładu i składu.

-- Może szukali adresu? -- Próbował znaleźć rozsądne rozwiązanie.

-- Może -- zgodziła się z nim, lecz bez przekonania. -- Proszę mi tylko powiedzieć, dlaczego wysłano samych Chińczyków, a nie polską ekipę techniczną?

-- Chińczyków?

-- Tak mi się wydaje. Równie dobrze mogli to być Japończycy czy Wietnamczycy, w każdym razie Azjaci. Do tej pory mam ich przed oczami.

Kompletnie nie wiedział, co o tym myśleć. Chińczycy w Tanowie? Z pozoru wyglądało to na absurd. Żadna polska firma nie zatrudni obcokrajowca i nie pośle w teren bez nadzoru.

Właśnie, nadzoru.

-- Pamięta pani, jaką firmę reprezentowali, logo na burcie? Detale pozwolą określić, skąd się wzięli.

Wygięła usta w podkówkę i powoli pokręciła głową.

-- Niczego takiego sobie nie przypominam.

Tak to już jest z tym: "mam ich przed oczami".

-- Szkoda.

-- Ale i tak pan ich znajdzie?

-- Na razie brak punktu zaczepienia. -- Halicki zmarszczył brwi. Wyglądał jak ktoś martwiący się za całą ludzkość.

-- Chciałam pomóc.

-- I pomogła pani. Już moja w tym głowa, by znaleźć rozwiązanie. -- Jak do tej pory informacja o Azjatach nigdzie nie wypłynęła. Dowiedział się o tym pierwszy. Owszem, postara się sprawdzić to i owo, ale jak wiedział z doświadczenia, dziewięćdziesiąt dziewięć procent takich opowiastek kompletnie nie miało wpływu na przebieg dochodzenia. Jego zdaniem przyczyn należało szukać gdzie indziej. Nawet jeżeli parę dni wcześniej po Tanowie kręcili się Chińczycy, to nic z tego nie wynikało. Przypadek, nic więcej. Jeśli ten news miał nim wstrząsnąć, to srodze się rozczarował. Tu raczej chodziło o samą Alicję. Myślał o niej coraz częściej. Jeszcze nie wiedział, dokąd go to zaprowadzi, ale może warto spróbować, a przynajmniej wysondować, czy nie jest jej obojętny.

 Nie samą pracą człowiek żyje. Prawda?

-- Propozycja jest... hm... ryzykowna, ale warta zastanowienia. -- Pułkownik Emil Banach zdjął z nosa okulary i położył je przed sobą na stole. -- Pan oczywiście zdaje sobie sprawę, że w razie dekonspiracji tym ludziom będzie grozić śmierć.

-- Istnieje takie ryzyko. -- Kapitan Waldemar Chmura ostrożnie przytaknął.

Banach słynął z asekuractwa. W wewnętrznych rozgrywkach ustępował, nie spierając się i nie forsując na siłę własnego stanowiska, co dla mniej zorientowanych wyglądało jak tchórzostwo. Dopiero później okazywało się, że pułkownik i tak osiągał cel, a wszyscy, którym nie było z nim po drodze i gardłowali przeciwko niemu, nabawiali się kłopotów. Nie ma siły, jakiś szajs zawsze wypłynie. Nie można prowadzić polityki i cały czas mieć czyste ręczki. W życiu każdego są takie momenty... Nieważne, Banach nie wylądowałby na stołku szefa Agencji Wywiadu tylko dlatego, że był miły i lubił wchodzić w tyłek decydującym.

-- Ma pan kandydata? To nie może być ktoś od nas. Tamci szybko zorientują się, o co w tym wszystkim chodzi.

-- To major żandarmerii, z którym znam się od dawna. Wcześniej wykonywał wiele podobnych operacji.

-- Wie, w co ma zostać zaangażowany?

-- Jeszcze nie.

Jak na razie wszystko pozostawało w sferze planowania. Kapitan wpatrywał się w teczkę leżącą przed Banachem.

-- A ten... Jak mu tam?

-- Sznajder.

-- Właśnie. Będzie współpracował? Z tych dokumentów wynika, że to osoba chwiejna emocjonalnie.

-- Palec pułkownika stuknął w papiery. -- Zmienia przekonania jak chorągiewka na wietrze.

-- Kiedyś pracował dla nas.

-- By potem radykalnie zmienić front. Zabił przy okazji Bóg raczy wiedzieć ilu ludzi.

-- Jest nam coś winny.

-- Nie dostał kulki tylko dlatego, że wiedział o rzeczach, o których my nie mieliśmy bladego pojęcia.

-- Właśnie nadarza się okazja do powtórki. Samego Sznajdera należy kontrolować, bo gotów się nam zerwać z postronka. Pan pułkownik też zauważył, że jest nieobliczalny.

-- A jaką mamy gwarancję, że nie wytnie nam jakiegoś numeru, gdy tylko znajdzie się na terenach kontrolowanych przez dżihadystów?

-- Żadnej. -- Chmura nie kręcił, mówiąc to, co uważał za prawdziwe. -- Jeżeli to zrobi, moim zdaniem straci w oczach islamistów. Skoro wiedział, to dlaczego sam nie rozprawił się z wrogiem, tylko czekał na dogodną okazję? Może więc nie jest godny uczestniczenia w świętej wojnie? Jeżeli natomiast pojawi się w towarzystwie innych, jego notowania automatycznie wzrosną. Może powiedzieć: patrzcie, nie jestem sam, zrekrutowałem nowych bojowników, odniosłem sukces, skoro w takim kraju jak Polska znalazłem chętnych do dżihadu.

-- Wszystko to dosyć śliskie. -- Banach skrzywił się. -- Jeśli się nie powie, stracimy agenta.

-- Albo dwóch -- powiedział kapitan. -- Ja bym dodał do zespołu jeszcze kogoś. Już zacząłem tworzyć listę kandydatów.

-- Naprawdę? -- Sarkazm Banacha był aż nadto widoczny.

-- Panie pułkowniku, jeżeli mogę...

-- Niech pan mówi, skoro musi.

Chmura skupił się. Jeśli nic z tego, co powie, nie trafi do przekonania Banacha, to cały pomysł będzie można wyrzucić do śmieci. Nie po to urabiał Sznajdera przez kilka miesięcy, by teraz usłyszeć, że nic z tego nie będzie.

-- Obecna sytuacja polityczna jest taka, że nikt nie wie, co dalej robić. Mniejsze państwa oglądają się na większe, a te niestety... -- Kapitan rozłożył ręce w dramatycznym geście. -- Co ja będę mówił, wystarczy obejrzeć wiadomości. Trudno powiedzieć, co dalej z USA. Na naszym podwórku też nie jest dobrze. Francja i Włochy zaczynają prowadzić własną politykę, zupełnie sprzeczną z tym, co robiły do tej pory. Angole ciągle oglądają się na Waszyngton, ale to bez znaczenia. Berlin jakby zapadł w letarg. Gwarantem stabilności w Europie Środkowej pozostajemy my. Dziwne, nie? W życiu bym się tego nie spodziewał.

Banach nie odpowiedział, świdrując oficera małymi oczkami.

-- Ten zamach w Aszchabadzie sprzed dwóch dni to ostatnie ostrzeżenie. Śmiem twierdzić, że islamiści przejdą do ofensywy w ciągu paru miesięcy, o ile nie tygodni. Niepotrzebnie dajemy im czas na ochłonięcie. Ja rozumiem, że teraz są ważniejsze sprawy, ale pan pułkownik sam wie, jak to wygląda. NATO porzuciło sojuszników, kampania lotnicza została wstrzymana, a siły wycofane. Już nikt nie jeździ do Tunezji czy Egiptu, zresztą po co miałyby to robić. Co prawda wojskowi w Kairze czy Saudowie trzymają się jeszcze, choć, prawdę powiedziawszy, bez naszego wsparcia długo nie pociągną.

-- Pan myśli, że ta epidemia w USA i katastrofy z pierwszego lipca to sprawka dżihadystów?

-- Daleki jestem od wysnuwania takich wniosków. Brak im możliwości technicznych i logistycznych. Może się mylę, nie wiem, ale na przypadek to nie wygląda. Przez moment wydawało się, że jakoś sobie z nimi poradzimy. W obecnej, mówiąc oględnie, skomplikowanej sytuacji może z tym być różnie. Pan pułkownik przecież czyta te same analizy co ja i doskonale wie, że w Rosji było jedenaście milionów nielegalnych imigrantów z Azji Środkowej i Kaukazu wykonujących najbardziej niewdzięczne prace. Po nałożeniu na Moskwę sankcji wywalono ich wszystkich na zbity pysk. Wcześniej wysyłali zarobione pieniądze do własnych krajów, co stanowiło od dwudziestu do ponad czterdziestu procent dochodów narodowych. Nagle wszystko się urwało. Słabo opłacani urzędnicy i szeregowcy bez perspektyw w takim Kazachstanie czy Kirgistanie to problem sam w sobie. Rosjanie nie czują do nich nienawiści. Tu kryzys i tam kryzys. Ale wystarczy szarpanina w metrze czy na bazarze i wezwanie do pogromu gotowe. Rosjanie zaczną tłuc obcych, ile wlezie. Tamci nie pozostaną dłużni, ale są w mniejszości. Zapamiętają wszystko dokładnie i zaczną się mścić. Pan to sobie wyobraża? Już jakiś czas temu Moskwa zdała sobie z tego sprawę. Tam nie będzie potrzebny wyrafinowany sprzęt. T-72 sprawdzi się doskonale, podobnie jak BMP-2 czy zmodernizowany BTR-82. Taki czołgista z Uzbekistanu obecnie nie ma motywacji do walki, bo i o co ma się bić -- o klan Karaimowa? Zacznie, jak zobaczy, co Rosjanie robią z jego rodakami. Obaj

wiemy, że religia to potężny motywator. Walka w świętej wojnie to przecież obowiązek każdego muzułmanina.

-- I jaki będzie tego koniec?

-- A kto to może wiedzieć? -- Kapitan wzruszył ramionami. -- Musimy działać, nie zostało zbyt wiele czasu. Rosjanom do tej pory udało się wcisnąć w szeregi Państwa Islamskiego setki agentów i prowokatorów, manipulując do pewnego stopnia całym tym ruchem. Teraz to się zmieni. W Moskwie poszczególne frakcje walczą o władzę, a to daje nam swobodę ruchu. Nie wolno spieprzyć takiej okazji. Pozostając biernymi, skazujemy się na porażkę, bo alternatywą dla działania jest czekanie, aż oni tutaj przyjdą. I co wtedy zrobimy?

-- Ja rozumiem pana postawę. -- Pułkownik Emil Banach bił się z myślami. -- Do tej pory mogliśmy liczyć na współdziałanie z zaprzyjaźnionymi służbami. Obecnie staje się to problematyczne.

-- A może to jest właśnie nasza szansa? Nie oglądajmy się na nikogo, nasze własne doświadczenia w tej materii są nad wyraz bolesne. W trzydziestym dziewiątym też mieliśmy sojuszników, i później... a w konsekwencji to i tak sami... -- Kapitanowi nie chciało się nawet kończyć zdania.

-- Dobrze, proszę się tym zająć. O wszystkim chcę być informowany na bieżąco, bo zdaje się, że będzie to jedna z naszych największych operacji.

Kapitan Waldemar Chmura w końcu dopiął swego. Co prawda był dopiero na początku drogi, ale przynajmniej dostał zielone światło.

-- Teraz muszę pana pożegnać. -- Banach wstał i przez stół podali sobie ręce.

-- Odmeldowuję się. -- Kapitan ruszył do drzwi.

Dla szefa Agencji Wywiadu ta rozmowa była jedną z kilkudziesięciu, w jakich musiał uczestniczyć, i to wcale nie najważniejszą. Takich operacji w różnych fazach prowadzono kilkanaście na całym świecie. Podesłanie własnych informatorów w szeregi kalifatu nie wydawało się złym pomysłem, ba, mogło przynieść wielorakie korzyści. Agenci narażali się na wielkie ryzyko, ale z drugiej strony... ktoś to musiał zrobić. Ta zbieranina mieniąca się wojownikami al-Baghdadię to szumowiny, i to najgorszego rodzaju, ludzie zdolni do najpotworniejszych zbrodni. Pewnie dlatego byli też tacy skuteczni. Potrafili zastraszyć wroga bez użycia wyrafinowanego sprzętu. Żadnych tam kierowanych bomb i międzykontynentalnych rakiet. Miecz okazywał się równie potężny, a dekapitacja tym samym, czym atak z drona. Pojęcia mieszały się ze sobą w jakimś przedziwnym układzie -- średniowiecze i broń z dwudziestego pierwszego wieku, religia, która podobno głosi pokój, i sterty zabitych. Czysty obłąd.

A to tylko Bliski Wschód. W Europie i w Ameryce dochodziło do równie ważnych wydarzeń. Pojawił się też problem, co zrobić z tysiącami amerykańskich żołnierzy do tej pory stacjonującymi na starym kontynencie. Do sześćdziesięciu siedmiu tysięcy dołączyło kolejnych trzydzieści z Afganistanu i dziesięć z Iraku. Było ich już ponad sto tysięcy i dysponowali najnowocześniejszym uzbrojeniem. Na szczęście nie popełniono błędu i wszyscy oni wylądowali w Europie, a nie w północnoamerykańskich bazach dziesiątkowanych przez epidemię.

Teoretycznie podlegali prezydentowi USA, praktycznie nie bardzo wiedziano, co z nimi począć. Na suwerennych terytoriach obcych państw okazywali się złem koniecznym. Po co takiej Francji czy Niem-

com dodatkowy kłopot? Mało to problemów czekało na rozwiązanie? Wielu żołnierzy trafiło do Wielkiej Brytanii, ale tamtejsze bazy pękały już w szwach, tym bardziej, że przybywało uchodźców z Sahelu i Maghrebu. Od dwóch do trzech tysięcy przyjęła Norwegia i Szwecja. Jakiś batalion trafił do Finlandii, podobnie na Litwę, Łotwę i do Estonii. Kolejny tysiąc do Czech. Nikt też nie wiedział, jaki czeka ich los. Zaczęły się dezercje i napady na okolicznych mieszkańców. Dyscyplina podupadła, kiedy wstrzymano wypłatę żołdu. Formacjom groziło kompletne rozprężenie. Nie pomagały drakońskie kary. Dopóki wszystko opierało się na solidnych fundamentach, nie było kłopotu. Wypłaty, przeloty, awanse -- wszystko odbywało się zgodnie z biurokratycznym trybem. Obecnie nic z tego nie działało -- żołnierze do kraju wrócić nie mogli, pieniądze się rozeszły, zostali bez rodzin i przyjaciół, jak rośliny wyrwane z korzeniami i przesadzone na nieprzyjazny grunt. Ich przyszłość rysowała się w wyjątkowo czarnych barwach. Tacy pariasi świata, tyle że bardzo niebezpieczni. Puszczeni samopas mogli narobić nieliczych kłopotów.

On akurat widział w tym szansę.

Starszy sierżant Louis Martinez poprawił pas z kaburą i nerwowym ruchem przesunął automatyczny karabinek M-16 bardziej do przodu. Podwładni, ci z prawa i z lewa, poszli za jego przykładem.

Wilczur przy nodze szeregowego Gomeza warknął. Już od dawna hasał bez kagańca, szczerząc kły. Kompania Martineza posiadała trzy owczarki. Podróżni przekraczający granicę mogli nie usłuchać strażników, ale widok zjeżonej sierści na grzbiecie takiej bestii sprawiał, że nawet najtwardszym i najbardziej zdesperowanym miękkła rura.

Tak było jeszcze do niedawna. Dziesiątki tysięcy Latynosów próbowały dostać się do raju na ziemi. Przed miesiącem wszystko się zmieniło. Lawina ruszyła w drugą stronę. Początkowo był to wąski strumyczek, nasilający się z każdym dniem. W końcu postanowiono zamknąć granicę. Nikt nie mógł przemieszczać się pomiędzy obu państwami. Zdenerwowanie szybko przerodziło się w chaos, gdy w El Paso wybuchły zamieszki sprowokowane przez gangi kontrolujące szlaki przerzutu narkotyków i ludzi. Po paru dniach zapanował spokój, choć do uszu sierżanta niejednokrotnie dochodziły odgłosy strzelaniny. Akurat to mało obchodziło Martineza, ważne, że na samym przejściu panował spokój.

Pas graniczny obsadziły dodatkowe siły i to zarówno po jednej, jak i drugiej stronie. I dla jankesów, i dla nich rozkazy były jasne -- ani jeden zarażony nie może przekroczyć granicy.

Martinez to rozumiał. W takim molochu jak Mexico City epidemia rozprzestrzeni się jak pożar w suchym lesie. Ludzie zaczną padać jak muchy. Skoro Stany nie radziły sobie z zagrożeniem, to jak miałyby to zrobić rządy w Hondurasie czy Kolumbii? Obojętnie jak na to spojrzeć, właśnie bronił kraju. Tak naprawdę nie spodziewał się, że dojdzie do czegoś podobnego. Jako żołnierz wypełniał najróżniejsze rozkazy. Od kiedy najpotężniejsze w Meksyku grupy przestępcze rozpoczęły wojnę, siłą rzeczy zostali w nią wciągnięci. Patrolowali drogi i przeczesywali selwę, transportowali zwłoki do kostnicy, a także brali udział w obławach na dealerów. W końcu piechota morska musiała sprostać każdemu wyzwaniu. Na starość, jak dożyje, napisze książkę. Przynajmniej tyle po sobie zostawi.

Niedaleko huknął strzał.

Co się tam wyprawia? Palce mocniej zacisnęły się na uchwycie M-16. Reszta kompanii zastygła w oczekiwaniu. Te kilkanaście asfaltowych pasów, jakie wiodły do przejścia, oczyszczono już wcześniej. Ich ustawiono sto metrów dalej. Hummery i transportery V-150 w roli ruchomej blokady sprawdzały się doskonale. Raz na pół godziny przelatywał nad nimi helikopter, dokonując rekonesansu.

Niemal podskoczył, gdy usłyszał serię. To na pewno M-4, karabinek, w jaki wyposażone były siły policyjne i wojskowe sąsiada. Z drugiej strony, to jeszcze nic nie znaczyło. Gangi posiadały taką samą broń.

Gdzie, do diabła, jest ich porucznik? Ten to lubił się szwendać, zupełnie jakby nie potrafił usiedzieć na tyłku. Ciągle gdzieś kursował. Kiedyś się przez to doigra.

Dwieście, trzysta metrów od nich kanonada przybierała na sile.

-- Przygotować się.

Żołnierzowi marine nie trzeba niczego powtarzać dwa razy. Ludzie zostali dobrze wyszkoleni. Dostali rozkaz i wypełnią go do końca.

Martinez cofnął się i wspiął na dach jednego z Humvee. Z wysokości zobaczy więcej.

A guzik -- wszędzie asfalt, latarnie i potężna wiata, pod którą znajdowały się pawilony straży granicznej.

Huey UH-1D zawisł nad nimi i po chwili poleciał w stronę nieodległego przejścia. Podmuch z wirnika doszedł aż do niego. Boczne drzwi były otwarte. Widział lufę Browninga M-2 i sylwetkę pochylonego operatora. Maszyna zatoczyła krąg nad przejściem i wzbiła się wyżej.

W samym El Paso pojawiła się chmura dymu. Martinez nie słyszał detonacji, być może było to podpalenie dla odwrócenia uwagi.

-- Panie sierżancie, co robimy?

-- Czekać -- warknął pod adresem Gomeza, próbującego utrzymać szarpiącego się wilczura. -- Uspokój go.

-- Staram się.

Rozmowa z szeregowym nie wyszła Martinezowi na dobre. Przestał obserwować przejście, przez co obrócił się dopiero wtedy, gdy usłyszał zagłuszający wszystko inne ryk samochodowego klaksonu.

-- A to co, u diabła?

Pojazd, który przebił się przez barierki, nie przypominał zwykłego tracka. Wyglądał raczej jak pojazd z filmów SF. Cały opancerzony, zamiast szyb grube blachy z wycięciami do obserwacji. Silnik i koła również zabezpieczono. Z przodu taran. Kule ze zwykłego automatu krzesaly co najwyżej iskry, rykoszetując od improwizowanego pancerza. Najgorsze w tym wszystkim było to, że maszyna pędziła wprost na nich.

-- Ognia! -- wydał komendę ochryplym głosem. Zdążył jeszcze zeskoczyć z Hummera, gdy rozpętało się piekło. Każdy z żołnierzy naciskał spust do oporu. Setki pocisków pomknęły w stronę nieodległego celu. Nawet nie próbował dorównać podwładnym. Wystrzelił co najwyżej pół magazynka, gdy zdał sobie sprawę, że nic to nie da. Nie zatrzymają pędzącego potwora.

-- Uciekać!

Uskoczył w samą porę. Stojący najbliżej poszli w jego ślady. Ciężarówka dosłownie otarła się o niego i wbiła taranem pomiędzy dwie terenówki. Humvee odfrunęły na bok, zupełnie jakby były z plastiku. Strzelcy przy karabinach maszynowych niewiele mogli zrobić. W powietrze wyleciało jakieś ciało, inne dostało się pod koła z nieprzyjemnym młaśnięciem, od którego na głowie jeżyły się włosy.

-- Matko Przenajświętsza...

Wystarczyło niespełna pół minuty, a z dobrze przygotowanej blokady pozostały jakieś resztki. Ucierpiało co najmniej dziesięciu ludzi, z tego trzech potrzebowało natychmiastowej pomocy medycznej.

Co to było? Zamiast broni maszynowej powinni dostać granatniki przeciwpancerne. Może wtedy udało by się zatrzymać to coś, co przemknęło pomiędzy nimi.

Na dalsze rozważania zabrakło sierżantowi czasu. Stojący niedaleko Gomez nagle padł na asfalt z szeroko rozrzuconymi ramionami. Pies spłoszył się, lecz nie uciekł. Martinez szybko się odwrócił. Zrobił to akurat w porę, by dostrzec zamaskowanego strzelca. Facet nosił wojskową kurtkę, ale spodnie miał cywilne -- czarne dzinsy. Czapka z daszkiem i chusta zasłaniały mu twarz.

Coś ty za jeden?

Za pierwszym śpieszył kolejny, tym razem w koszulce na ramiączkach, luźnych szortach i wielkich przeciwsłonecznych okularach na nosie. W dłoniach dzierżył AK-47. Z boku nadbiegało kilku innych.

Stojący na wolnej przestrzeni marines zostali potraktowani ołowiem. Rozpoczęła się potężna kanonada. Tamtym nie brakowało zapachu. Pełzli jak mrówki, próbując dobrać się do zdobyczy. Żołnierze Martinez, choć w mniejszości, wiedzieli, co robić. M-16 wypluwały krótkie mierzone serie.

-- Oszczędzać amunicję -- wydał rozkaz, próbując jednocześnie odciągnąć Gomeza w jakieś osłonięte miejsce. Teraz był już zupełnie spokojny. Denerwował się przed akcją, nigdy w trakcie.

Przywarł plecami do przewróconej terenówki. Grube blachy zapewniały dobrą ochronę. Pokrwawione palce wytarł o bluzę. Zdaje się, że niepotrzebnie się trzymał. Gomez nie żył, podobnie jak jedna trzecia kompanii.

Przeładował automat i wystawił głowę. Jakiś czarny w białej bejsbolówce i kolorowej chuście ostrzeliwał się zajadle dwoma pistoletami. Gnojowi pewnie się wydawało, że jest rewolwerowcem.

Wymierzył i nacisnął spust. Tamten padł jak podcięty. Kolejny wyłonił się zza niskiego murku. Raper, tak go ocenił. Już nie zaśpiewa. Kolejna seria i kolejne trafienie. Następny bojówkarz wydawał się bardziej doświadczony. Typ w panterce na grzbiecie i z automatem tak szybko zmieniał pozycję, że Martinez za żadne skarby nie potrafił wycelować. No co jest? To chyba jakiś pieprzony Rambo.

W końcu znikł sierżantowi z oczu. Trudno, może któremuś z marines się poszczęści.

-- Sierzancie...

-- Czego chcesz, Spoto?

-- Amunicja mi się skończyła.

-- Przecież mówiłem... -- A właśnie, gdzie jest wsparcie? Czyżby trzecią kompanię pozostawiono samą sobie? To przecież niemożliwe. Był tu cały batalion. Zafajdane gnoje, chleją piwo, a on tu z trudem zarabia na żołd. -- Leć do tyłu i przynieś, ile zdołasz. Wykonać!

-- Tak jest. -- Chłopak zmył się szybciej, niż on mrugnął okiem.

Sam wymienił magazynek na pełny i rozejrzał się. Nie było dobrze, przed sobą mieli nie tylko członków gangów i bojówkarzy, lecz również zwykłych cywili. Nigdzie nie widział umundurowanych amerykańskich służb. Gdzie oni się podziali? Czyżby uciekli?

W pobliżu ponownie pojawił się śmigłowiec. Z megafonu na jego pokładzie dobiegły go informacje kierowane do tych, którzy próbowali przerwać kordon graniczny. Tak się przynajmniej Martinezowi wydawało, bo akurat z jego angielskim nie było najlepiej. Jeżeli ktoś na pokładzie Hueya myślał, że wydawanie poleceń załatwi sprawę, to bardzo się mylił. Helikopter zaczęło ostrzeliwać z taką samą zajadłością, jak wcześniej ich. Karabin maszynowy w końcu odpowiedział ogniem. Każdy, kto znalazł się w zasięgu rażenia, ginął. Nic nie potrafiło oprzeć się półcalowym pociskom.

W końcu odetchnął. Zdaje się, że udaremnili pierwszą próbę wtargnięcia do Meksyku.

Po niej będą kolejne, dla nikogo nie stanowiło to już tajemnicy.

Samolot z generałem Jeremym Clarkiem na pokładzie przyleciał o czasie. Sam generał, najwyższy rangą amerykański wojskowy w Europie, podróżował incognito. O całej wyprawie wiedziało co najwyżej dwadzieścia osób w centrali NATO i drugie tyle w Warszawie. W garniturze, a nie w mundurze z dystynkcjami i czapce ze złożonymi liśćmi dębu, i podróżując rejsowym samolotem, a nie odpowiadającym jego randze transportem, mniej rzucał się w oczy. Tych paru oficerów, których zabrał ze sobą, też nie wyróżniało się spośród otoczenia. Można ich było wziąć za komiwojażerów lub delegację jakiejś większej firmy, przybywającą na ważne spotkanie.

Poniekąd tak właśnie było.

Już na nich czekano. Ludzie z Agencji Wywiadu poprowadzili przybyłych do osobnego wyjścia.

Limuzyny podjechały, gdy tylko przeszli przez bramki kontrolne.

Banach z nieodgadnionym wyrazem twarzy przypatrywał się Clarkowi. Widział generała tylko na zdjęciach, w rzeczywistości nigdy. Okazał się wyższy, niż przypuszczał. Trochę przed sześćdziesiątką. Z dossier wynikało, że wcześniej dowodził 82 Dywizją Powietrzno-Szturmową i zasłużył się w paru lokalnych konfliktach. Od trzech lat przebywał w Europie. To miał być ostatni przydział, później Clarka czekała emerytura. Żona towarzyszyła mu przez cały ten czas, dorosłe dzieci mieszkały w Stanach. Wyjątkowo nieciekawa sytuacja.

Nadeszła pora powitania. Mocno uścisnęli sobie dłonie, spoglądając w oczy tak, jakby każdy z nich chciał wybadać intencje drugiej strony.

-- Szkoda, że spotykamy się w takich okolicznościach.

-- Jak się okazuje, nie na wszystko mamy wpływ. -- Clark mówił z twardym teksańskim akcentem.

Przeszli przez krótki korytarz i wsiedli do volvo z przyciemnionymi szybami. W chwili gdy opadli na skórzaną kanapę, kierowca ruszył. Jechali w stronę podwarszawskiej Magdalenki, gdzie w rządowej willi przygotowano nieoficjalne spotkanie.

Clark milczał. Wydawał się przygnębiony i pogrążony we własnych myślach, czemu Banach się nie dziwił.

Człowiekowi zawalił się cały świat, wszystko, w co do tej pory wierzył, rozpadło się w proch i pył, ideały szlag trafił. Zresztą, co tu mówić o ideałach -- kraj, w którym się wychował, dla którego żył i walczył, przestawał istnieć.

Jakby tego było mało, generał nie był osobą prywatną, odpowiadał za dziesiątki tysięcy ludzi, których nikt nie chciał i z którymi nie bardzo było wiadomo, co zrobić.

Propozycję przyjazdu do Warszawy przyjął po dłuższym wahaniu i na osobistą prośbę premiera polskiego rządu. W nowej rzeczywistości sprawdzeni przyjaciele liczyli się ponad wszystko -- zdaje się, że taka maksyma zaczęła też przyświecać generałowi.

-- Słyszał pan o tym, co wydarzyło się w Juarez? -- zapytał Banach, próbując wyrwać Clarka z uporczywego stuporu.

-- Tak.

-- Przykro mi.

-- Zupełnie niepotrzebnie. -- Generał poprawił mankiety koszuli. -- To przecież nie pan wydawał rozkazy.

-- Niemniej...

-- Dajmy temu spokój. Meksykanie zrobili swoje. Odpowiedzieli ogniem na atak. To nasza policja i straż graniczna się nie popisały. Uciekli -- powiedział z goryczą. -- Pan to rozumie? Uciekli, tak zwyczajnie porzucając rodaków w potrzebie. Po prostu sobie poszli, przepraszam, co ja mówię, zdezerterowali.

-- Nikt nie chce umierać.

-- Czy im się wydaje, że w Meksyku będzie lepiej? Otóż nie będzie. Przynajmniej ci meksykańscy marines zachowali się jak należy.

Banach pożałował, że w ogóle wspomniał o Juarez. Zdjęcia, jakie obieży światowe media, nie pozostawiały żadnych wątpliwości -- tam doszło do masakry. Marines najpierw rozprawili się z gangami, a potem z ludźmi, którzy próbowali nielegalnie wdrzeć się do Meksyku. Kobiety, dzieci... Pułkownik obejrzał nieocenzurowany materiał. Od widoku zwłok robiło się słabo. Rozumiał, co się stało, ale tego nie pochwalał.

Prawdę mówiąc, to i tak nie miało większego sensu. Narkotykowe kartele brały ciężkie pieniądze za przerzut uchodźców. Zmienił się jedynie kierunek. Już nie z południa na północ, a z północy na południe, przez pustynie i tunele pod granicznym płotem.

Tej głupoty nie potrafił zrozumieć. Wystarczy jeden zarażony, a kolejną blokadę przyjdzie robić w strefie Kanału Panamskiego. Narkotykowi bossowie to jednak idioci. Widok zielonego papierka przyćmiewał zdolność racjonalnego myślenia. Im się najwyraźniej wydawało, że są nieśmiertelni.

-- Pana również nie rozpieszczają. -- Banach znów przerwał kłopotliwe milczenie.

-- Nie narzekam.

-- Zna pan choć trochę polską historię?

-- Słabo.

-- Szkoda. -- Spodziewał się podobnej odpowiedzi.

-- Ma to jakiś związek z moją wizytą?

-- Jak najbardziej. Może naszych dziejów pan nie zna, ale postać George'a Pattona już tak.

Clark zastygł jak posąg.

-- W czasie wojny spotkał się z jednym z naszych dowódców, Andersem. Chyba nawet się polubili. Anders wyprowadził z Rosji ponad sto tysięcy ludzi. W Palestynie stworzył z nich armię. To oni opanowali Monte Cassino.

-- Myślałem...

-- To akurat jest nieistotne. -- Banach uciął wtręt generała. -- Przeszli szlak bojowy we Włoszech, a gdy już mieli wracać do kraju, okazało się, że w Jałcie zostaliśmy sprzedani Stalinowi. Nie będzie wolnej Polski, tylko sowiecka okupacja. Żołnierz walczy, gdy widzi sens własnej ofiary. Bez tego jest zwykłym człowiekiem z karabinem. Zresztą nasi pancernicy, lotnicy, marynarze i spadochroniarze we Francji i w brytyjskich bazach usłyszeli to samo -- że już nie są potrzebni, a wyrzeczenia poszły na marne. Mój kraj przehandlowano, nie pytając Polaków o zdanie. Układ z komunistami wydawał się dobry, nie

chciano go psuć.

-- I co się stało?

-- A co się miało stać? Nic. Jednostki rozwiązano, a ludzie rozjechali się po całym świecie. Kto chciał, wracał do kraju, wprost do ubeckiej katowni. Bohaterowie okazali się nikomu niepotrzebnym balastem.

-- Po co mi pan to mówi?

-- Bo nie chcę, żeby stał się pan drugim Andersem.

Przez następne pół godziny Banach zastanawiał się, czy przypadkiem nie przegiął. Clark, już wcześniej milczący, zrobił się ponury. Z ręką na sercu pułkownik przysięgłby, że generał posiwiął na skroniach. Srebrne niteczki mieniły się przy każdym ruchu głowy. Stary drań, pewnie spodziewał się powitania chlebem i solą, a nie mocnego kopniaka w tyłek. Najważniejsze to tak pokierować rozmową, by pozostawić mu jak najmniejsze pole manewru. Clark wiedział, że jest potrzebny. Owszem, ale nie bezwarunkowo i nie za każdą cenę.

Amerikanin z rękoma założonymi do tyłu stał przed drzwiami prowadzącymi do ogrodu. Świta rozbiła się na małe grupki. Na razie nie byli potrzebni. Dopiero jak oni dojdą do porozumienia, znajdzie się dla nich zajęcie.

W pomieszczeniu zrobiło się tłoczno. Banach skinął na tych spośród polskich oficerów, którzy przybyli tu wraz z nim. Świtę należało rozproszyć, zająć jakimiś mało istotnymi sprawami, urobić, a dopiero na koniec ściągnąć, stawiając przed faktem dokonanym.

Zgoda, nie każdy pokocha tę ziemię od Bałtyku po Tatry od razu i bezwarunkowo. Młodym na pewno przyjdzie to łatwiej, starsi mieli więcej do stracenia. W końcu wszystko się ułoży.

Od kiedy pamiętał, sam był zwolennikiem połowy -- tak to nazywał. Dla postronnych było to określenie mało precyzyjne. Ci, którzy znali pułkownika lepiej, wiedzieli, o co chodzi -- połowy tego, co posiada Izrael. Tu już nawet nie chodziło o broń jądrową. Posiadanie armii w połowie tak sprawnej jak izraelska stawiałoby Polskę w rzędzie najpoważniejszych krajów europejskich. Każdy gracz na kontynencie musiałby się liczyć ze zdaniem Warszawy. Zgoda, Polska nie była bogatym państwem, a posiadanie ponad dwustu odrzutowców, dwóch tysięcy czołgów i pięciu tysięcy wozów bojowych kosztuje.

Były też inne proporcje. Samo Zachodniopomorskie pod względem powierzchni przewyższało Izrael. Nieznacznie, ale zawsze. Demograficznie to trzydzieści osiem do siedmiu i pół miliona mieszkańców, za to jeśli chodzi o innowacyjność i zaawansowane technologie, obu krajów nie było co porównywać, a politycznie to już zupełna przepaść, niemniej pielęgnował tę myśl od dawna.

Po co mówić o Izraelu, taka dziesięciomilionowa Grecja posiadała siły zbrojne potężniejsze niż Polska. Zamówienie na podwozia do samobieżnych haubic trzeba było złożyć w Korei, a to już upokorzenie dla krajowego przemysłu, który nie potrafił poradzić sobie z tak prostym zadaniem. Jak tak dalej pójdzie, problemów zaczną nastęrczać produkcja broni strzeleckiej. Przez lata zastanawiał się, jak temu zaradzić, i oto zdaje się był bliski odpowiedzi.

-- Pan wie, że kiedyś służyłem w Iraku? -- Clark z ociąganiem odwrócił się w stronę Polaka. -- Jedną turę. Jak straciłem pół drużyny, to wydawało mi się, że nic gorszego nie może mnie spotkać.

-- Obojętnie czy chodzi o drużynę, czy o dywizję, za wszystkich jest się odpowiedzialnym. Od pana zależy, jak to się dalej potoczy.

-- Zostanę zapamiętany jako ten, który... -- Clark przerwał, powoli nabrał powietrza i je wypuścił. -- Obłąd, czysty obłąd.

-- Porozmawiajmy o konkretach. -- Banach uznał, że należy wyłożyć kawę na ławę. -- Polska to może nie Francja i Niemcy, ale miejsca mamy sporo. Tłoku nie będzie.

Clark uśmiechnął się po raz pierwszy od momentu, gdy wysiadł z samolotu.

-- Berlin i Paryż to przełkną?

-- Mają inne wyjście? -- Pułkownik skrzywił usta. -- Jeżeli widzą w tym problem, to już ich sprawa.

-- A Rosjanie?

-- Kto by się tam nimi przejmował? Wszystko to przecież robimy z czystej sympatii i przez względy humanitarne. Skoro narzuca się nam limity w sprawie uchodźców, to dlaczego sami nie możemy zadecydować, kogo przyjąć? Zamiast pięciu tysiącom uciekinierów z Afryki oferujemy gościnę... powiedzmy, sześciu tysiącom Amerykanów, no, sześciu i pół.

Oblicze Clarka stężało. Nie on nawarzył tego piwa, ale jemu przyszło je wypić.

-- Myślałem... -- Szczęki generała zacisnęły się. Należałoby chyba użyć łomu do tego, by ponownie się otwarły.

-- Proszę mówić śmiało, znajduje się pan wśród przyjaciół.

-- Pańska oferta, pułkowniku, jest aż nadto szczodra.

-- Nie jesteśmy tak bogaci, jak się niektórym wydaje. Nasze rezerwy są ograniczone. I co mamy zrobić z taką rzeszą młodych ludzi? Aklimatyzacja trochę potrwa. Warszawa to nie Nowy Jork, przepraszam, chciałem powiedzieć Nowy Jork, ale przed epidemią.

-- Na pewno sobie poradzą.

-- O to się nie martwię. U nas generalnie trudno o pracę, choć muszę powiedzieć, że ostatnio drgnęło i idzie ku lepszemu. Przemysł zaczął się rozwijać, wdrazamy parę pomysłów, tworzymy specjalne strefy ekonomiczne. Co ja będę ukrywał -- dla fachowców zawsze znajdzie się zajęcie. Pozostaje oczywiście kwestia języka, bo jak się domyślam, większość z pana podkomendnych włada tylko ojczystym.

-- Tylko.

-- No i tu jest problem. Wdrożymy rzecz jasna odpowiednie kursy, ale na efekty przyjdzie poczekać.

Twarz Clarka purpurowiała coraz bardziej.

-- Ci ludzie...

-- Ależ tak... -- Banach nie pozwolił generałowi dokończyć. -- Rozproszymy ich po całym kraju. Tak będzie nam łatwiej. Gdańsk, Poznań, Słupsk...

-- Słupsk?

-- Słupsk, panie generale. To takie miasto na Wybrzeżu, no, prawie na Wybrzeżu -- uściślił. -- Mają tam szkołę policyjną, to zdaje się wszystko. Pańscy ludzie zakochają się w Słupsku.

O tak, kurwa, na pewno, chociaż kto ich tam wie? Jeśli któryś pochodzi z jakiejś pipidówki w Karolinie czy Wirginii, to i Słupsk może wydawać się piękny. Poza tym nie należało przesadzać. Czy ci, którzy przyjadą, to tacy wybitni esteci?

-- Nie tak to sobie wyobrażałem.

-- Chyba źle się zrozumieliśmy.

-- Ja oczywiście jestem wdzięczny, że zdecydowaliście się pomóc aż tylu żołnierzom... -- Każde słowo wypadało z ust Clarka niczym pięciokilogramowy odważnik, przy tym zacinał się jak silnik parowy. -

- To dla nas honor...

Tego Banach był pewny.

-- Ale?

-- W bazach w Anglii mam sześćdziesiąt tysięcy ludzi. Obawiam się, że za parę tygodni wylądują w obozach. Właściwie te bazy to już obozy. Powoli zacznie się odcinanie prądu czy gazu.

-- Podobno Anglicy to wasi przyjaciele.

-- Owszem, choć kłopoty na własnym podwórku weryfikują wiele przypuszczeń. To również. Londyn już ledwie trzeszczy, jeżeli chodzi o wydatki. Łożenie na kolejnych kilkadziesiąt tysięcy wojskowych nie jest priorytetem. Liczyłem, że właśnie tutaj znajdziemy bezpieczną przystań.

-- O ile dobrze zrozumiałem, pan chce, byśmy przyjęli was wszystkich, łącznie z rodzinami. To będzie około...

-- Sto siedemdziesiąt pięć.

-- ...i panu się wydaje, że ich można upchnąć -- tysiąc tu, tysiąc tam. To, co pan proponuje, wygląda jak przesiedlenie sporego miasta... Proszę mi nie przerywać, to nie jest tak, że nie mamy możliwości albo że nie chcemy pomóc, chodzi o to, że wy również musicie dać coś od siebie.

-- Co proponujecie?

Banach uśmiechnął się. W końcu przechodzili do konkretów.

-- Weźmiemy całą Pierwszą Dywizję Kawalerii.

-- To cztery ciężkie brygady.

-- Niemcy pozostawili na naszych ziemiach sporo wojskowych obiektów, komuniści je dodatkowo rozbudowali. Oczywiście bierzemy wszystko wraz ze sprzętem i zapasami. Jest już obietnica naszego premiera, że oddziały nie zostaną rozformowane. Nasi prawnicy sugerują kilka rozwiązań. Albo wejście w skład sił RP, stając się ich integralną częścią, albo pozostaniecie sojuszniczą grupą na własnych zasadach, ale podległą naszemu Ministerstwu Obrony.

-- Jaka w tym rola dla mnie?

-- A to już zależy wyłącznie od pana. Możliwości są różne. Nie widzę przeszkód, by dalej pełnił pan swoją funkcję. Prawdopodobnie utworzymy kolejne, tym razem mieszane dowództwo. Możemy też poszczególne elementy waszych jednostek połączyć z naszymi.

-- I tak zostaliśmy sprowadzeni do roli najemników -- parsknął Clark.

-- Pan, zdaje się, lubi naciągać rzeczywistość do własnych wyobrażeń.

-- Pierwsza Dywizja Kawalerii to jedynie część problemu. -- Generał puścił uwagę Banacha mimo

uszu. -- Co z resztą?

-- Dla dwóch grup sił specjalnych mamy przygotowane miejsce w Orzyszu i Drawsku, logistyka w Krakowie i Kielcach, skrzydło myśliwskie Malbork i Łask, transportowe Kraków i Wrocław, brygada wsparcia pola walki Bydgoszcz. Rangersi to Lubliniec, marines -- Gdynia, reszta w Elblągu. Ma pan jeszcze do dyspozycji jakąś część Czwartej Piechoty? Doskonale. Ich umieścimy w rejonie Rzeszów--Przemysł.

-- A Słupsk?

-- Słupsk. Słupsk też, proszę się nie martwić, nic się nie zmarnuje. -- Mało brakowało, a poklepałby Clarka po plecach. Jak dobrze pójdzie, transfer obejmie jakieś trzydzieści parę tysięcy ludzi, z rodzinami to co najmniej drugie tyle. Oczywiście pozostawała do omówienia cała masa szczegółów -- kiedy zacząć przerzut, w jakiej kolejności i skąd na to wszystko wziąć środki. Na szczęście sprzęt ciężki kawalerzystów wciąż znajdował się na transportowcach, wystarczy skierować je do polskich portów. Po wyładowaniu wrócą po ludzi i zapasy. Akurat z zabraniem tego ostatniego mogą być problemy. Taki towar nie psuje się szybko, latami spoczywając w magazynach. Kto wie, kiedy mogą przydać się ppk, pociski do haubic czy amunicja do F-22, ale powoli uporają się i z tym. Dowództwo z Clarkiem na czele przynajmniej na razie umieszczą w Warszawie, podobnie jak jeden z batalionów żandarmów i kompanię wywiadowczą.

Nowa rzeczywistość to także nowe możliwości -- amerykańscy analitycy wywiadu nie będą przecież pracować dla Waszyngtonu, a zaczną dla niego. Z czasem pewnie uda się położyć łapę na materiałach, jakie posiadają. W światku służb specjalnych to musi być prawdziwy Święty Graal.

Paradoksalnie tak duża liczba obcokrajowców nie wpłynie na funkcjonowanie państwa. Dadzą radę przyjąć i pół miliona, jak nie lepiej. Wielu spośród nich to wybitni specjaliści. Jeśli zechcą odejść z wojska, mogą zasilić uczelnie czy instytuty badawcze.

Nie obejdzie się bez zgrzytów. Nie wszystkim spodoba się taka masa umundurowanych cudzoziemców, a to da impuls do ataków i podważania dobrych intencji rządu. Może dojść do prowokacji i zamieszek. Zawsze znajdą się idioci gotowi drzeć mordę w imię racji stanu. Zupełnie jakby niczego nie rozumieli. Sami Amerykanie to przecież też nie potulne owieczki, zdarzali się wśród nich najróżniejsi psychole, nie wyłączając morderców i gwałcicieli. Po powrocie ze strefy działań bojowych całkiem spory odsetek żołnierzy trafiał do szpitali psychiatrycznych, wielu popełniało samobójstwa oraz dopuszczało się przemocy.

Ilość spraw związanych z adaptacją takiej masy ludzi zdawała się nie mieć końca -- od nowelizacji aktów prawnych po różnice w systemach miar i wag. Najlepiej jak dostaną polskie obywatelstwo, to ułatwi kontrolę i ściganie przez sądy. Nie, to zły pomysł, nie szanuje się niczego, co dostaje się za darmo, za wszystko należy zapłacić. W ich przypadku -- zasłużyć.

Przynajmniej premier i prezydent w tej kwestii byli jednomyślni. Opozycja nie przeszkadzała. Długo ten stan się nie utrzyma. Należało korzystać z okazji, dopóki było to możliwe.

-- To co, panie generale, skoro doszliśmy do porozumienia, zrobimy małą przerwę, a później przejdziemy do konkretów.

- Mogę zadzwonić do żony?
- Nie musi pan pytać o zgodę.
- Chciałem jej tylko powiedzieć, że znaleźliśmy nowy dom.

Major Piotr Halicki przyglądał się, jak na parkingu, tuż pod oknami jego gabinetu, parkowały trzy pokryte kamuflażem Humvee. Informacje o tym, że się pojawiają, dostał już wczoraj, przejrzał zarządzenie i szybko o nim zapomniał. Setki spraw, które miał na głowie, nie mogły czekać. O wszystkim przypomniał sobie przed chwilą, widząc zamieszanie przed budynkiem.

Ktoś zapukał do drzwi.

-- Wejść.

-- Panie majorze...

-- Już ci mówiłem, Mroczek, byś tak nie krzyczał. Gdzie porucznik Olecki?

-- Oddelegowany do Choszczna. Sam pan major go tam wysłał.

-- Faktycznie. -- Halickiemu nieobecność zastępcy wcale nie przeszkadzała. Im dłużej nie widział go na oczy, tym lepiej. -- Przyrowadź do mnie ich przełożonego. Zaraz z nim pogadam.

-- Tak jest.

-- Szoruj.

Nie upłynęła nawet minuta, gdy w pokoju pojawił się wysoki i umięśniony Afroamerykanin.

-- Chorąży Patrick Lang.

-- Witam. -- Major podszedł bliżej i wyciągnął rękę. -- Co pana do nas sprowadza?

Dobrze, że starzy wysyłali go na płatne kursy językowe w młodości. Przynajmniej potrafił wybełkotać te parę słów.

-- Będziemy współpracować. -- Ciemną twarz ozdobił garnitur białych jak śnieg zębów.

Zdaje się, że się przesłyszał, tak, na pewno, lub źle zrozumiał. Po kiego wała ma współpracować z jankesami?

-- Nie rozumiem, proszę to powiedzieć jeszcze raz.

-- Reprezentuję sto jedenastą kompanię żandarmerii. -- Lang mówił powoli i wyraźnie, zupełnie jak do dziecka.

-- Doskonale. -- Halicki przytaknął.

-- Zgodnie z rozkazami od tej pory to nasza nowa siedziba.

-- Czyimi rozkazami?

-- Generała Clarka.

-- Szkoda, że ja nic o tym nie wiem. -- Lepiej, jak sprawdzi wszystkie maile. Może przeoczył jakiś i stąd to zamieszanie. Nie, powoli, aż takim idiotą nie był. Skoro ci Amerykanie tu zawitali, to mieli powód albo, co wydawało się bardziej prawdopodobne, pomylili się.

Nim zdążył otworzyć pocztę, obok Langa pojawił się stary znajomy. Jeszcze jego tu brakowało.

-- Nie mam czasu -- burknął.

-- Widzę, że pan major dziś nie w humorze. -- Chmura zdjął czapkę i powiesił na wieszaku.

-- Zaraz mnie krew zaleje.

-- Powoli... Ten młodzieniec to kto?

-- Chorąży Lang z jakiejś tam kompanii. -- Uwagi wymieniali po polsku, więc żandarm wpatrywał się w nich zdezorionowanym wzrokiem. -- Podobno ma tu stacjonować.

-- I w czym problem? -- Kapitan wydawał się ubawiony. -- Oleckiego nie lubisz, może z nim pójdziesz ci lepiej.

-- Zaczynasz mnie wkurzać.

-- Czyżby zapomniano cię o wszystkim zawiadomić? Po minie widzę, że się nie pomyliłem. Szybko to idzie.

-- Co szybko idzie? -- Halicki nie lubił, jak robiono z niego idiotę.

-- Przerzut Pierwszej Kawalerii i elementów Czwartej Piechoty z baz w Niemczech, Włoszech i Anglii.

-- No pięknie.

-- Jedną z brygad umieszczą tu niedaleko. Będziesz miał do nich przez podwórko.

-- To ponad trzy tysiące ludzi.

-- I kompania żandarmerii na dokładkę. -- Chmura stał się uosobieniem czaru, kiedy przeszedł na angielski. -- Jak długo w drodze?

-- Od wczoraj. -- Lang przestał szczerzyć się jak głupek.

-- Kto jest pana bezpośrednim przełożonym?

-- Pułkownik Reynolds.

-- Nie znam. -- Chmura smętnie pokręcił głową. -- Proszę niczym się nie martwić. Zaraz wszystkim się zajmiemy. Sierzancie...

Mroczek pojawił się jak na zawołanie. Najpierw spojrzał na Halickiego, ale widząc minę majora, przeniósł pytający wzrok na kapitana.

-- Proszę zabrać naszych gości do sali konferencyjnej i zorganizować dla nich śniadanie.

-- Tak jest. -- Z poleceniem oficera wywiadu się nie polemizowało.

-- Na drugim piętrze, o ile pamiętam, są wolne pomieszczenia?

-- Pięć lub sześć.

-- Na początek wystarczy. Postarajcie się o biurka i krzesła, niech zaczną się urządzać.

-- Na stałe czy tymczasowo? -- trzeźwo zapytał podoficer.

-- Na stałe, sierzancie.

-- A gdzie będą spali?

-- W kwaterach tych Duńczyków i Niemców, którzy wyjechali. Wszystko zostawili jak pod klucz. Wystarczy się wprowadzić. -- Kapitan podrapał się kciukiem po karku. Mieszkania pozostałe po oficerach odbywających służbę w Wielonarodowym Korpusie Północno-Wschodnim zwolniły się. Ich lokatorzy wyjechali parę tygodni wcześniej. Nikt po nich płakać nie będzie. Tych kilku, którzy zostali, robiło jedynie dobre wrażenie. Rzecz jasna nikt nie chciał całkowitego zerwania kontaktów, jakąś tam formę współpracy należało zachować. Najbliższa przyszłość stanowiła zagadkę.

Właśnie dlatego zjawił się w biurze Halickiego. Zdaje się, że czekała go jedna z najtrudniejszych rozmów w życiu. Próbował ułożyć sobie w głowie jej przebieg. Jeżeli nie namówi Piotra do wyjazdu, nie

ma po co stawać przed Banachem. Bez niego to wszystko traciło sens.

-- Niech panowie postarają się zaaklimatyzować, a my się przejdziemy, dobrze?

-- Mówiłem, że nie mam czasu.

-- Mówiłeś, mówiłeś -- przytaknął Chmura. -- Idziemy, sierżant poradzi sobie i bez twojego nadzoru.

Mroczek na uwagę kapitana pokraśniał z dumy.

Major schował do szafy dokumenty, nad którymi pracował, potem wyłączył komputer. Pod jego nieobecność nawet straż informacjami nie powinien dostać się w niepowołane ręce, obojętnie czy dotyczyło to środków dyscyplinujących wobec oficerów i żołnierzy, czy też sprawy nadanej przez Alicję. Pod tym względem wciąż nie potrafił wymyślić niczego sensownego. Żadna z firm telekomunikacyjnych z rejonu nie zatrudniała Azjatów. Owszem, był jeden Wietnamczyk, ale przeszedł już do pracy w biurze i w teren nie wyjeżdżał.

Zresztą, kto się będzie przejmował takimi szczegółami? Wczoraj w Kairze przeprowadzono skoordynowane ataki za pomocą samochodów pułapek i dżihadystów przebranych w policyjne mundury. Efekt przerażający -- osiemdziesięciu czterech zabitych, wielu ciężko rannych. Do podobnych wydarzeń, choć na o wiele mniejszą skalę, doszło w Suezie, a w Hurghadzie ostrzelano, na szczęście niecelnie, samolot pasażerski.

Wyszli na ulicę i nigdzie się nie śpiesząc, krok za krokiem, podążyli w stronę alei platanów.

-- Pamiętasz Sznajdera? -- Chmura skierował się w stronę wolnej ławki. Już od rana robiło się parno, co zwiastowało burzę w porze obiadowej.

-- Co mam nie pamiętać, sukinsyn zaszedł nam za skórę.

Wydarzenia sprzed roku odcisnęły na nich obu swoje piętno. Mało kto wiedział, że jeden z dwóch zamachowców przypadł w czarnej dziurze, nie takiej zwykłej, astronomicznej, ta dotyczyła zupełnie czego innego. W slangu służb czarną dziurą nazywano miejsce, gdzie nie działał żaden system prawny. Amerykanie łapali podejrzanego o terroryzm, a ponieważ w ich kraju tortury były niedozwolone i uzyskane tą drogą informacje nielegalne, należało wysłać go do kraju, w którym bez większych konsekwencji, za pomocą wszelkich dostępnych środków wyciągano od fagasa wszystko, co wiedział. Taki ktoś prawnie nie istniał, więc nie przysługiwały mu żadne prawa.

Uzyskane w ten sposób dane określano jako przydatne informacje wywiadowcze. Podczas przesłuchań padały kolejne nazwiska. Ścigano następnych podejrzanych, a cały mechanizm zaczynał kręcić się od początku.

Artur Sznajder -- polski dżihadysta Państwa Islamskiego -- przypadł właśnie w takiej czarnej dziurze i siedział w niej od roku.

-- Parę dni temu gadałem z Banachem. -- Chmura założył nogę na nogę, a lewe ramię ułożył na oparciu. -- Jest za...

-- Twoje układy z tym starym draniem zupełnie mnie nie interesują.

-- Niepotrzebnie się unosisz.

-- Sznajder to stara sprawa. Nie mam ochoty do tego wracać.

-- Piotr, posłuchaj. -- Kapitan przysłonił usta dłonią i chrząknął. -- Dobrze wiesz, że Sznajder to nasza

karta atutowa. Może właśnie przyszła pora, by nią zagrać? -- Halicki milczał, więc Chmura mówił dalej.

-- Chcemy wysłać ekipę na terytorium kontrolowane przez dżihadystów.

-- Żartujesz?

-- Wcale nie. Rosjanie tak robią, Francuzi, Belgowie. Tam przez szeregi islamistów przewija się cała masa najróżniejszej maści popaprańców. Kobiety, mężczyźni, młodzi, starzy, z przeszkoleniem wojskowym i bez. Przecież w dżihadzie udział może wziąć każdy, a psim obowiązkiem tych, którzy to organizują, jest przyjąć każdego.

-- Owszem, a zaraz potem wysłać na pewną śmierć.

-- Nie, jeżeli grupie towarzyszyć będzie Sznajder. Ma tam kontakty...

-- Dawno nieaktualne.

-- Dla twojej informacji -- kapitan zdjął rękę z oparcia i przybliżył się do Halickiego -- od kiedy siedzi, to my za niego podtrzymujemy łączność. Jeden mail w miesiącu wystarczy -- żyję, mam się dobrze, potrzebuję pieniędzy, planuję kolejne ataki. Proste?

-- Nie mów, że się na to nabrali.

-- Pewnie, że tak. To nie zawodowcy, choć za takich pragną uchodzić. Mają oczywiście zabezpieczenia, są ostrożni, przewidujący, ale to za mało, jak dżihadem chce się ogarnąć cały świat. Ten ich system jej dziurawy jak durszlak.

-- Do tej pory się sprawdzał.

-- A teraz należy go wykorzystać i przeniknąć do ich struktur.

-- I kto to niby ma zrobić?

-- Ty.

Halickiego zatkąło. Bezpośrednia odpowiedź kolegi zadziałała jak cios pięścią prosto w zęby.

-- Oszalałeś.

-- Niby dlaczego? Sznajder liczy się wyłącznie z tobą. Może i ma wszystko w dupie, ale ciebie akurat nie. Masz doświadczenie.

-- Jestem oficerem żandarmerii.

-- I co z tego? -- Chmura wydawał się ubawiony. -- Tam takich pełno -- majorów, pułkowników, z armii Saddama, Asada i pięćdziesięciu innych krajów. Jeżeli ktoś ma przeżyć w tym środowisku, to tylko ty

-- nowy Lawrence z Arabii.

-- Nie znam języka.

-- Pomyślałem i o tym. Dostaniesz odpowiedniego człowieka. Sam go sobie wybierzesz. Kandydatów jest paru.

-- Może jeszcze mam przejść na islam?

-- To akurat jest wskazane. Sznajder zrobi ci odpowiedni kurs. Będiesz lepszym islamistą niż ci debile z Londynu czy Bristolu.

-- Waldziu, w co ty chcesz mnie wkręcić? -- Major oblizał usta, niemal czuł na skórze smagnięcia suchego wiatru. -- Mam pracę, dochodzenie...

-- A tam, będziesz się użerał z tym Langiem i całą masą jego kolegów... hm... taa... -- Kapitan zaczął

przyglądać się trzem nastolatkom, które przechodziły w pobliżu. -- Kawałek świata przy okazji zobaczysz.

-- Ja już się najeździłem. -- Halicki skierował twarz do słońca. -- Chętnie posiedzę na tyłku.

-- Nie nudzi cię to?

-- Co?

-- Siedzenie -- zirytował się Chmura. -- Bez ciebie ta operacja w ogóle nie ma sensu. Sznajder nikogo innego nie posłucha, zerwie się, jak tylko nadarzy się okazja. Co ty myślisz, że ja nie wiem, jak jest? Po roku spędzonym w izolatce każdemu odwali. Kogoś innego bym nie prosił, ale jeżeli chodzi o ciebie, to zdaje się, nie mam wyjścia. Ja rozumiem, że to ryzykowna, ale jedyna szansa na przeniknięcie do struktur kalifatu. Informacja jest bronią potężniejszą od bomby atomowej. Tego chyba nie muszę ci tłumaczyć.

-- Wszystko sobie wcześniej przemyślałeś?

-- Powiedzmy, że przewidziałem twoje opory. Kto ich nie ma? Może jeden Sznajder, ale jego nie mierzyłbym normalnymi kategoriami.

-- Kiedy?

Na obliczu kapitana zagościła ulga.

-- Nie ciesz się przedwcześnie, chciałem tylko zapytać, kiedy to wszystko ma ruszyć?

-- Z końcem miesiąca, może na początku września. Termin nie został precyzyjnie ustalony. Nie ma się co śpieszyć, ale czekać w nieskończoność też nie możemy. To jak?

-- Nie naciskaj, bardzo tego nie lubię. Muszę się zastanowić.

-- Byle nie za długo. -- Kapitan wstał. -- Jesteśmy w kontakcie. Cześć.

-- Cześć.

Halicki wyciągnął nogi przed siebie. Ochoty na wyjazd nie miał żadnej. Na dodatek nie chodziło tu o turystyczne wojaże, tylko znalezienie się w strefie działań wojennych. Jeszcze parę tygodni wcześniej nie zastanawiałby się. Jest robota, należy ją wykonać. Potem nastąpiły te katastrofy i świat stanął na głowie. Nawet jemu, staremu wyjadaczowi, zrobiło się nieswojo. To trochę za mało powiedziane -- zaczął się bać. Świat zmierzał w kierunku, jaki wcześniej trudno sobie było wyobrazić. Później poznał Alicję. Raz czy dwa gdzieś tam się razem wybrali. Przyjemnie było posłuchać o tym, czym żyją normalni ludzie, jakie panują trendy w architekturze i na co obecnie chodzi się do teatru.

Trudno powiedzieć, jak długo potrwa taki wyjazd -- parę miesięcy, pół roku, dłużej? Szanse, że wyniesie się głowę cało, oceniał pół na pół. Może nie wrócić wcale, a nawet jeśli ponownie trafi do Szczecina, to czy Alicja będzie chciała z nim gadać?

Kompletnie nie wiedział, co dalej.

Wolno ruszył z powrotem. Właśnie na parking zajmowany przez żandarmów z ulicy skręcała wielka ciężarówka. Druga już stała na dziedzińcu. Mroczek komenderował, a reszta nosiła biurka, krzesła i szafy. Wprowadzanie nowych porządków trwało na całego.

Doskonale radzili sobie bez niego. Poczł się jak piąte koło u wozu albo jak stary, zużyty mebel. Przyszłości nie powstrzyma, choćby nie wiadomo jak się starał.

Świat trzyletniego Pawełka Bekiera ograniczał się do tych paru metrów piasku, wiaderka i łopatk. Kawałek dalej zaczynał się żywioł. Lubił się w nim pluskać, ale tylko pod opieką taty bądź mamy. Fale wzbudzały niepokój, lecz drażniły o wiele bardziej. Ilekroć próbował wybudować wysoki zamek, woda podmywała fundamenty, cała konstrukcja znikła w powtarzających się przyływach i wszystko należało zaczynać od początku. Raz ze złości podeptał wykopaną już fosę i kawałek murów, przy okazji rzucając wiaderkiem w stronę Bałtyku. Gdy już się uspokoił, zabrał się za budowanie od nowa.

Pomocy nie chciał. Poradzi sobie sam. Dobre rady ojca niewiele znaczyły wobec zadania, jakie miał przed sobą. Ten zresztą od paru minut nie śmiał się i nic nie mówił. Pawełek zerkał na niego raz po raz, ale on przyglądał się morzu w całkowitym skupieniu.

Czterdziestoletni Ludwik Bekier milczał, bo obserwował. I nie chodziło tu o towarzystwo rozlokowane po obu stronach tego kawałka plaży, który zajął z samego rana i pilnie strzegł, bo nie chciał, by ktoś wlaził jego rodzinie na głowę. Na morzu działy się ciekawsze rzeczy. Najpierw ten śmigłowiec, który nadleciał od strony lądu i pomknął w stronę otwartego akwenu. Trochę interesował się lotnictwem, a w młodości, na długo przed poznaniem obecnej żony, chciał nawet zrobić kurs pilotażu szybowcowego. Z planów nic nie wyszło, zainteresowania pozostały. Potrafił odróżnić Mi-17 od Seahawka, a helikopter, który właśnie przeleciał, to ewidentnie UH-60, w dodatku należący do US Navy.

Przysłonił twarz dłonią i zmrużył oczy. Pożałował, że nie zabrał ze sobą lornetki. Ledwie coś widział. Szary kształt był niewyraźny. Kadłuby wszystkich jednostek na redzie były z reguły czarne bądź białe, w tym przypadku szary zlewał się z wodą i mącą horyzont mgiełką.

Dwie minuty później obiekt nabrał wyrazu. Za pierwszą jednostką szły kolejne. Robił się spory ruch. Nie było takiego wczoraj ani przedwczoraj, ani od początku urlopu. Wyglądało to jak... konwój? Określenie samo wypłynęło z zakamarków pamięci.

Na czele szła jakaś jednostka bojowa -- niszczyciel albo fregata, aż tak się na tym nie znał, choć bez wątplenia okręt wojenny. Reszta to transportowce.

Nerwowo przełknął ślinę. Jak do tej pory jedynie on dostrzegł, co działo się parę mil od brzegu.

Pawełek zapamiętał przesypywał kolejne kilogramy piasku, małżonka pokryta sporą ilością filtrującego kremu spoczywała na leżaku. Eee, z nią tak zawsze. Może jak Paweł urośnie, będzie mógł z nim pogadać. Na razie to żaden partner. Obok starsza kobieta w jednoczęściowym kostiumie i kapeluszu z szerokim rondem przyglądała się przechodzącym przez teatralną lornetkę. Sprzęt może nie najlepszy, ale innego pod ręką nie było.

-- Przepraszam, czy mógłbym na moment? -- zagadnął z zakłopotaniem.

-- Proszę.

Uchwyt lepił się od czegoś tłustego. Przewyciężył obrzydzenie. Czego się nie robi dla zaspokojenia ciekawości. Wyregulował ostrość, nieświadomie wchodząc do wody.

A niech to. Jednak się nie pomylił. Do portu w Świnoujściu faktycznie zbliżała się wojenna armada.

Naliczył pięć jednostek, a to zdaje się nie było wszystko. W końcu spłynęło na Ludwika radosne podniecenie. Od początku urlopu nie działo się nic ciekawego. Wciąż to samo -- plaża, spacer po promena-

dzie, ewentualnie dłuższa przechadzka do Ahlbecku po niemieckiej stronie. Nudził się jak mops. Prawdę mówiąc, jeżeli zależałoby to od niego, zostaliby w domu. Nie znosił wyjazdów, a już urlop to prawdziwa masakra. Dwa tygodnie wyrwane z kontekstu. I po co? Żeby jeść lody i smażoną rybę? Gdyby miał na to wpływ, zostaliby w domu. Czasy niespokojne, z robotą tak sobie, no i te przejazdy. Podobno na kolei poprawiło się, ale on tych zmian nie potrafił dostrzec. Pendolino nie jeździły tymi trasami, które jemu odpowiadały. Z Katowic do Świnoujścia podróżowali dwanaście godzin, ale tak to już jest, gdy całą infrastrukturą kolejową zarządza kilka spółek. Jedne są od torów, drugie od trakcji, jeszcze inne od taboru. Przyjechał nad Bałtyk tylko dla Pawełka. Niech chłopak zobaczy, jak to wszystko wygląda. Być może za rok nie będzie takiej okazji.

Oddał lornetkę i podszedł do miejsca, gdzie zostawił żonę.

-- Przejdę się z Pawłem.

-- Idziecie na lody? -- zainteresowała się natychmiast. Słońce strzaskało jej skórę na ładny brąz.

Szkoda, że figura już nie ta. -- Weźcie i dla mnie.

-- Tak, idziemy połązić.

Na lewo, jakieś dwieście metrów dalej, zaczynał się wskazujący tor wodny falochron z charakterystycznym białym wiatrakim na końcu. Jeżeli tajemnicze okręty będą wchodzić do portu, to tylko tędy. Nie będzie pchał się na sam koniec. Jeśli staną pod drzewami, też będzie dobrze.

Gdy w końcu doczłapali na miejsce, widok wynagrodził wszelkie niedogodności. Wpływające jednostki znajdowały się niemal na wyciągnięcie ręki. Ludzie na brzegu machali do nielicznych marynarzy widocznych na pokładach. Nie wiedzieć czemu, ci odpowiadali ponurymi spojrzeniami.

Lista w elektronicznym pliku zawierała pięć nazwisk i linki do poszczególnych akt. Halicki nie śpieszył się z wyborem. Od podjęcia prawidłowej decyzji będzie zależeć jego życie.

Pierwszy wydawał się zbyt młody. Jakiś osiemnastoletni Hassan Mahmoud -- ojciec Syryjczyk, matka Polka, najstarszy z pięciorga rodzeństwa, muzułmanin, zgłosił się do pracy w policji, skąd został wyłowiony przez wywiad. Wszystko pięknie, lecz brak doświadczenia dyskwalifikował go na wstępie.

Następny to trzydziestolatek, pracownik naukowy, okazjonalnie wykorzystywany przez Agencję Wywiadu jako tłumacz co bardziej skomplikowanych tekstów przechwytywanych przez nasłuch. Podobnie jak w pierwszym przypadku broń palną jak do tej pory oglądał jedynie w telewizorze, a o szkoleniu bojowym takiego cherlaka można zapomnieć. To typowy mól książkowy. Skąd ich wytrzaśnięto?

Trzeci -- rdzenny Libijczyk. Ojciec, dawny student stołecznej politechniki, wysłał syna do Polski tuż przed rewolucją we własnym kraju. Karim doskonale zadomowił się w Polsce. Tak dobrze, że w końcu wylądował za kratkami za handel haszyszem. Z akt wynikało, że to desperat. Przemoc nie była mu obca. Ze zdjęcia spoglądał chmurny dwudziestolatek o złym spojrzeniu. Wyjazd na Bliski Wschód niewątpliwie uchroni go przed dłuższą odsiadką, ale na pewno nie ustrzeże grupy przed kłopotami. Jeden Sznajder wystarczy. Jak jeszcze będzie musiał pilnować Karima, to szanse na sukces spadną do zera.

Kolejny kandydat wyglądał obiecująco. Chorąży Zawadzki, zawodowy żołnierz, placówki w Kairze i Bejrucie, ochrona ambasad. Znał język i zwyczaje. Jedyne problem to kontuzja kręgosłupa. Brał silne leki przeciwbólowe. Szkoda.

Ostatni to podporucznik Robert Galiński -- cholera, następny inwalida. Szkolenie wojskowe w jednostce desantu. To właśnie podczas ostatnich dużych ćwiczeń na Bałtyku wypadł ze śmigłowca.

Student orientalistyki, znał arabski, dari i pasztu. Interesował się archeologią. Odbył parę wypraw do Turcji i jedną do Libanu. Na pozór wydawał się idealny, tylko ten uraz. Diabli wiedzą, w jakim jest stanie. Przecież nie zabierze ze sobą kaleki.

Należało w końcu podjąć jakieś decyzje. Ze wszystkich kandydatów zdaniem Halickiego tylko Galiński spełniał większość wymogów, więc albo to będzie on, albo niech Chmura przedstawi nową listę.

-- Panie Robercie, jak się pan czuje?

-- Może być. -- Z czoła Galińskiego spływały strugi potu. Od czterdziestu minut katował ciało na wszelkich możliwych trenażerach mających doprowadzić je do formy.

Prowadzący rehabilitację instruktor, skrzyżowanie sadysty z Adonisem, z miną tak poważną, jakby zajmował się właśnie teorią względności, pochylał się nad Galińskim, nadzorując każde wykonywane ćwiczenie.

-- Boli?

-- Nie. -- Robert zacisnął zęby. -- Dam radę. -- W końcu tylko trochę się potłukł, a nie połamał gnaty.

-- Jeżeli odczuwa pan dyskomfort...

-- Tak, wiem -- burknął.

Raz i dwa. Nie ma co odpoczywać. Niedługo osiągnie życiową formę, no prawie, bo w boku kłuło niemiłosiernie. Zwolnił i zatrzymał się.

-- Odsapnę.

Instruktor ze zrozumieniem pokiwał głową.

-- Nie ma co szarżować. Efekty przyjdą same.

Uwagę słyszał już tyle razy, że puścił ją mimo uszu.

Na sali treningowej oprócz ich stanowiska zajęte było jeszcze jedno. Jakiś dwumetrowy łysol próbował pobić rekord na stacjonarnym rowerze, a sapał przy tym jak parowóz.

Przy wejściu pojawił się kolejny chętny -- facet w średnim wieku z wyraźnym brzuszkiem. Gość rozejrzał się po sali, a gdy już dojrzał młodego podporucznika, ruszył w jego stronę.

-- Mam słowo.

-- Jeszcze nie skończyliśmy -- wyrwało się instruktorowi.

-- To może poczekać. -- Legitymacja rozwiewała wszelkie wątpliwości, a przez plecy Roberta przebiegł dreszcz. Czego od niego chcą? Przecież nie zrobił nic złego.

-- Prawdziwa? -- zaryzykował pytanie.

-- Nie, kupiona na bazarze.

-- Tak myślałem.

-- Dobry humor pana nie opuszcza. -- Chmura przysiadł na ławeczce zwolnionej przez instruktora. -- Nie powiem, bardzo mnie to cieszy. Spodziewałem się zastać pana w dużo gorszej formie.

-- Nie rozumiem, byliśmy umówieni?

-- Tak jakby. -- Kapitan przestał się uśmiechać. Jego twarz zrobiła się poważna. -- Mam dla pana propozycję. Nie musi się pan na nią godzić, ale w aktach jest adnotacja, że jest pan gotowy na podjęcie wszelkich działań mających wpływ na obronność kraju.

Galiński tamtą rozmowę pamiętał jak przez mgłę. Gawędził z jakimś oficerem z WKU o tym i o owym. Gdzieś tam zahaczyli o temat pracy magisterskiej, do której się zabierał. Dostał jakieś pismo, złożył parafkę i wszystko w temacie. Więcej sobie tym głowy nie zawracał.

-- Nie rozumiem.

-- Ja widzę, że pan nie rozumie. -- Chmura pokręcił głową. -- Cóż zrobić, tak to już bywa. -- Z kieszeni wyjął odpowiedni dokument. Pokazał Robertowi pismo, lecz nim ten po nie sięgnął, zabrał i schował. -- Proszę wybaczyć, tak będzie lepiej.

-- Lepiej dla kogo?

-- Dla mnie i dla pana. Pewne rzeczy nie powinny oglądać światła dziennego. Chyba się pan ze mną zgodzi? A co do konkretów, to nie tutaj. Za kwadrans czekam na zewnątrz. Tam powiem o szczegółach, a pan podejmie decyzję, dobrze?

W wieku szesnastu lat po raz pierwszy znalazł się w Turcji. Pojechał tam z rodzicami na wakacje w nagrodę po ukończeniu kolejnej klasy w liceum. Ten tydzień nad morzem zaważył na całym jego późniejszym życiu. Wtedy po raz pierwszy usłyszał głos muezzina wzywającego wiernych na modlitwę. Wrażenie było takie, że przystanął i zaczął gapić się na pobliski minaret. Zamiast po plaży wolał snuć się po miasteczku, łowiąc koloryt Orientu i wsiąkając w miejscową kulturę.

Po powrocie zajął się tematem na poważnie. Przeczytał *Cywilizację Islamu* Sourdela i *Dzieje Arabów* Hittiego. Fascynacja pogłębiała się z każdą kolejną lekturą. Wkrótce był jak chodzące kompendium wiedzy, znał ekonomię i kulturę regionu, a o ucieczce Mahometa z Mekki do Medyny mógł rozprawiać godzinami. Gdy już przyszła pora wybrać kierunek studiów, nie wahał ani przez moment. Wiedział, że jest dobry. Potwierdziła to jedna z najwyższych lokat na liście nowo przyjętych.

Z magisterium w kieszeni liczył na zatrudnienie w jakiejś placówce dyplomatycznej. Może Ankara, a może Islamabad. Nie po to ciężko pracował, by siedzieć w kraju. Miał duszę awanturnika. Przynajmniej tak lubił o sobie myśleć, a teraz, gdy zjawił się ten dziwny gość, czuł jedynie ucisk w gardle i niespokojne bicie serca.

-- Dowiem się w końcu, o co chodzi? -- zapytał obcesowo. Jeszcze parę minut i z niepokoju zapomni o oddychaniu.

-- Spokojnie, panie Robercie, jak mówią, co nagle, to po... nieważne. -- Chmura lekceważąco machnął ręką.

Galiński zacisnął zęby.

-- Na początek zapytam wprost i proszę mi odpowiedzieć szczerze, ta pana noga...

-- Biodro.

-- Biodro, tak, oczywiście. Już całkowicie wyleczone? W końcu zleciał pan z jakichś dziesięciu metrów.

-- Podobno będzie boleć na zmianę pogody.

-- Mam ten sam problem z nadgarstkiem. -- Kapitan zamachał w powietrzu prawą dłoń. -- Wiem, że będzie padać, już dwa dni wcześniej.

-- Zdumiewające.

-- Prawda? -- Kapitan wyszczerzył zęby. -- To jak?

-- Jestem całkowicie zdrowy -- odpowiedział Galiński. -- Rozumiem, że mam wrócić do jednostki i

dokończyć szkolenie.

-- A czego oni mogą pana nauczyć? Powiedzmy otwarcie, to, co robią, jest zajęciem dla kretynów. Czym się tu podniecać? Jaka to frajda, spaść na dupę z tyłu metrów? Żadna. Ja mam coś na pańskim poziomie, panie Robercie. Intelktualne wyzwanie. Ryzyko też oczywiście będzie, ale przynajmniej znajdzie się pan w doborowym towarzystwie.

-- Mam się już bać?

Chmura zignorował zaczepkę.

-- Z akt wynika jasno, że pan już odbył kilka podróży do jądra ciemności.

-- Dokąd? -- W pierwszej chwili Galiński nie zrozumiał pytania.

-- Na Bliski Wschód oczywiście. Na dodatek płynnie zna pan arabski. No, powiem otwarcie -- jestem pod wrażeniem. Z takimi predyspozycjami idealnie można wtopić się w tamtejsze środowisko.

-- To raczej będzie trudne.

-- A tam trudne... Jeżeli nie pan, to kto?

-- Mój promotor.

-- Ale on jest dobrze po siedemdziesiątce. -- Oficer wywiadu prychnął tak, że kropelki śliny wyleciały mu z ust. -- Ja potrzebuję kogoś młodego i rzutkiego. Pan się domyśla, o co chodzi? Chcemy umieścić paru ludzi w strukturach Państwa Islamskiego.

-- I ja mam być jednym z nich? -- Emocje przepełniające Roberta znalazły w końcu ujście.

-- Nie tak głośno -- uciszył go Chmura. -- Nie będzie tak źle. Zespół jest doborowy. To sami wybitni specjaliści.

-- Ile osób?

-- Z panem trzy.

-- *Kismet.*

-- Przepraszam, ale nie zrozumiałem.

-- Może to i lepiej.

Chmura spojrział na niego dziwnie, lecz nic nie powiedział.

-- W trzy osoby mamy zinwigilować środowisko kalifatu? Kto wpadł na tak genialny pomysł?

-- Ja.

-- Nie będę przeproszał.

-- A ja się nie obrażę, powiem tylko, że pańscy koledzy...

-- To się nie może udać.

-- Uda się, uda. Sam pan zobaczy. To jak, mogę na pana liczyć?

Pod względem liczby ludności Stambuł nie miał sobie równych. Aglomerację zamieszkiwało przeszło piętnaście milionów ludzi. Co roku przybywało pół miliona nowych mieszkańców. Były tu dzielnice kurdyjska, ormiańska, cygańska i taka, którą zajmowali Grecy. Liczebność samych Kurdów oceniano na dwa miliony. Mówiono o nich, że to największa mniejszość nieposiadająca własnego państwa.

Co zrobić, gdy obszar przez nich zamieszkiwany to pogranicze Turcji, Syrii i Iraku. Każde z tych państw miało z nimi problemy. Wszędzie byli co najmniej kłopotem.

Kłopotem lub też potencjalną przyczyną zamieszania u sąsiadów, z którymi nie mieli dobrych stosunków. Kurdowie wykrywali się w niezliczonych powstaniach, a ich upragniona niepodległość nie przybliżała się nawet o cal. Nikt przecież nie odda własnego terytorium, by ktoś inny rządził się tam po swojemu.

Wszędzie prześladowani i znieawidzeni bronili się, jak potrafili. Przez moment wydawało się, że osiągnęli cel, przecież poparli Waszyngton w walce z Saddamem Husajnem i stanowili jedyną zaporę na północy przeciwko Państwu Islamskiemu. Jak się szybko okazało, bycie sojusznikiem Amerykanów to nie to samo, co bycie sojusznikiem Ankary.

Wszelki wzrost siły organizacji takich jak Partia Pracujących Kurdystanu czy YPG -- Ludowe Jednostki Obrony -- był jak policzek dla umiarkowanych islamistów z partii prezydenta Erdoğan. Chcąc pokazać, gdzie jest ich miejsce, tureckie lotnictwo uderzyło w oddziały bojowników. Ci w odpowiedzi zainicjowali kampanię zamachów.

Aram Dersim i Yakis Hikmet działali w podziemiu od dawna. Żadna z form walki zbrojnej nie była im obca. Potrafili tak samo sprawnie posługiwać się pistoletem czy karabinem, jak granatnikiem przeciwpancernym, a wiedzy zdobytej na polach bitewnych w Syrii nie wahali się użyć w państwie, które od dawna było ich największym wrogiem.

Aram przyjechał do Stambułu trzy dni wcześniej. Yakis już na niego czekał. Ten rodowity mieszkaniec stolicy wychował się w dzielnicy Balat. Wód Bosforu czy Złotego Rogu, wąskiej i głębokiej zatoki wciśkającej się w ląd, nie oglądał zbyt często. Miał za to okazję napatrzeć się na brutalność policji i żandarmerii. Wiedział, że represje, jakie dotyczą jego rodaków, są nieuzasadnione. Za udział w pokojowej manifestacji można było na wiele lat wyłączyć w więzieniu. Sytuacja nie tylko w Stambule, ale i w całym kraju stała się wyjątkowo napięta. Wydawało się, że wystarczy iskra...

Aram zgasił papierosa, przydeptując niedopałek obcasem. Czarna czupryna, sumiaste wąsy i znoszona brązowa marynarka upodabniały Dersima do tysięcy innych mężczyzn czekających na prom nieopodal mostu Galata. Przewieszony przez ramię płaszcz skrywał wybrzuszenie pod ubraniem. AKSU nie bardzo nadawał się do noszenia w ukryciu. Miał za to odpowiednią siłę ognia. Yakis zadowolony pistoletem wciśniętym do kieszeni podniszczony prochowca. W takiej masie ludzi Colt 1911 był o wiele poręczniejszy. Wystarczyło podejść delikwenta od tyłu i wpakować mu kulę w plecy. Mało kto zorientuje się, co zaszło. Większość pomyśli o ataku serca lub zasłabnięciu. To może zdarzyć się każdemu.

Ofiara, na którą polowali, nie była pierwszym lepszym celem. Pułkownik żandarmerii Elif Baydar zaszedł im za skórę nie raz i nie dwa. Ścigał Kurdów jak wściekły pies. To właśnie jemu zawdzięczali

wpadkę magazynu broni na przedmieściach Stambułu i likwidację drukarni oraz najścia na legalnie istniejące stowarzyszenia i ośrodki kulturalne. Gdyby tylko mógł, zamknąłby większość z nich w obozach i morzył głodem. Niczym nie różnił się od tych, którzy dopuścili się ludobójstwa Ormian w 1915 roku. Dla niego nie byli ludźmi.

To jeszcze dawało się zrozumieć, ale flirtu z kalifatem już nie. Stawał w obronie świeckości państwa -- w porządku, tylko co on widział w tych religijnych fanatykach? Chciał szariatu? Każdy przy zdrowych zmysłach wiedział, że takie podejście jest chore. Trudno powiedzieć, kto był gorszy -- turecka żandarmeria czy dżihadyści. I jedni, i drudzy odznaczali się taką samą brutalnością.

Prom przepłynął Złoty Róg i przycumował przy nabrzeżu. Ludzie czekali, aż marynarze opuszczą trap, kłębiąc się przy zejściu i wchodząc jeden drugiemu na plecy.

Yakis był cierpliwy. Sprawdzili wszystko po wielokroć. Raz w tygodniu Baydar odwiedzał starą matkę, mieszkającą niedaleko stąd. Dziś do niej nie zawita.

Zajęli pozycje, z napięciem wpatrując się w przechodzących. Baydar już dawno powinien ich minąć. Niedługo zacznie się ruch w drugą stronę. Kilkuset chętnych zajmie miejsca i prom odpłynie, a całą akcję trzeba będzie przenieść na kolejny tydzień. Kto wie, co się może przez te parę dni wydarzyć?

W końcu go ujrzeli. Wysoki i barczysty pułkownik wszedł na trap jako ostatni. W przeciwieństwie do większości swoich kolegów nosił się z europejska. Żadnej brody czy wąsów, krótkie włosy i arogancka, niemal sępia twarz. Na pewno nie poruszał się bez broni. Akurat nie to było ważne -- dziś zabrał ze sobą żonę. Na ten widok Hikmet szpetnie zaklął. Zawsze przyplływał sam, a dziś, proszę, postanowił wszystkim zrobić niespodziankę.

Kobieta w chuście na głowie, znacznie niższa od męża, poruszała się tuż za Baydarem. Była tak drobna, że dopiero po chwili zorientowali się, że stanowią parę. Pułkownik coś tam do niej mówił, a ona jedynie kiwała głową, zgadzając się z nim we wszystkim.

Aram spojrzał na Yakisa, wysoko unosząc brwi. Nie tego się spodziewali. Teraz wszystko zależało od ich decyzji. Prawdopodobnie będą zmuszeni zlikwidować również ją. Dobra, zobaczymy, co się wydarzy, nie widział potrzeby zamartwiania się na zapas. Oboje byli winni, może nie w tym samym stopniu, ale jednak.

Sapnął, wściekły na samego siebie. Co się z nim dzieje? Przecież nie walczą z kobietami i dziećmi. Czyżby nienawiść przysłoniła mu zdolność racjonalnego myślenia? Pomiędzy tym, co wyczyniał turecki pułkownik, a nimi istniała przepaść. Jak walkę o wolność i sprawiedliwość można porównywać do brutalnych pacyfikacji?

Ruszyli, zachowując bezpieczną odległość. Aram nie odstępował Yakisa o krok. W końcu wydostali się z największego ścisku, zapuszczając się w wąskie uliczki i zaułki. Zwiększyli dystans. Doskonale wiedzieli, dokąd zmierza Baydar. Pchanie się w oczy czujnemu żandarmowi nie miało sensu.

-- Na co czekamy? -- Aram wyraźnie się niecierpliwił.

-- Widziałeś, że nie jest sam.

-- I co z tego? -- Z kieszeni marynarki Dersim wyciągnął złachmaniony kaszkiet i wsunął go na głowę.

-- Jak nie chcesz, ja się tym zajmę.

-- Poczekaj. -- Hikmet przytrzymał kolegę za rękaw.

-- Puść.

-- Musimy to zrobić z głową, inaczej...

-- Ty się boisz.

Oskarżenie mocno zabolalo Yakisa.

-- Szybciej, bo nam ucieknie.

Musieli mocno wyciągać nogi, by dopaść oddalającą się parę.

Turek w końcu zorientował się, że ktoś za nimi idzie. Tu, blisko rodzinnego domu, czuł się w miarę bezpiecznie, a i niewielu było takich, którzy mogliby mu podskoczyć. Co prawda ostatnio zrobiło się dosyć niebezpiecznie. Wszędzie grasowały bandy Kurdów i radykalnych islamistów. On sam też uważał się za islamistę i nacjonalistę. Obu tych idei wcale nie uznawał za sprzeczne. Można być i jednym, i drugim. Czyż obu tych wartość nie łączyli dawni sułtani?

Obejrzał się przez ramię. Jakiś człowiek wyglądający jak włóczęga wpatrywał się w niego wzrokiem pełnym nienawiści. Po raz pierwszy od dawna poczuł się nieswojo. Sięgnął po pistolet, lecz tamten okazał się szybszy. Dzieliło ich mniej więcej dziesięć metrów. Kobieta krzyknęła na widok broni w rękach nieznajomego.

Yakisa Hikmeta nerwy nie zawiodły. Kolba przyłgnęła do dłoni. Jednym płynnym ruchem uniósł Colta i wycelował. W tym momencie działały odruchy, świadomość Kurda nie brała w akcji żadnego udziału. Pierwsza kula kalibru 11,43 milimetra opuściła lufę i pomknęła z prędkością dwustu pięćdziesięciu metrów na sekundę, w mgnieniu oka pokonując odległość dzielącą ją od celu.

Baydar nie doświadczył bólu. Zdziwił się, gdy na białej koszuli dojrzał niewielką plamkę. Dlaczego więc Elena darła się tak głośno?

Drugi strzał padł chwilę później. Podrzut sprawił, że kolejny pocisk trafił pułkownika tuż pod obojczykiem. Ostatni zakończył jego życie, przechodząc przez policzek i wyrwijąc dziurę w tyle głowy.

I to właściwie byłby koniec, gdyby na Yakisa nie rzuciła się żona Elifa Baydara. Już i tak narobiła zamieszania, obrzucając Kurda niezliczonymi wyzwiskami.

Mógł ją uderzyć pięścią w twarz, ale to nie przyniosłoby skutku. Wyszła pod lufę, a on odruchowo wystrzelił. Nie celował, chciał ją tylko przestraszyć, niestety oberwała w brzuch, zgięła się w pół i upadła. Wszystko nie trwało dłużej niż pięć--sześć sekund.

Zdrętwiał. Właśnie zabił dwie osoby. Umysł Yakisa nie chciał przyjąć tego do świadomości.

-- Idziemy. -- Tym razem to Aram potrząsnął ramieniem Hikmeta. Wyrwany z letargu pobiegł za kolegą. Za kilka chwil zrobi się tu gęsto od policji. Należało więc wiać, póki było to możliwe.

Żona Elifa Baydara, Elena, nie zginęła od razu. Umierała w cierpieniach przez długie godziny, a lekarze nie potrafili jej pomóc. Krwotok wewnętrzny był zbyt rozległy, na dodatek wdało się szybko postępujące zakażenie.

Podwładni i koledzy pułkownika kipieli ze złości. Na odwet nie trzeba było długo czekać. Zaczęły się

zatrzymania i łapanki. Sztambuł przypominał wrzący kocioł. Odpowiedzią na represje stała się przemoc. Gdy do komisariatu w dzielnicy Fatih weszła kobieta w nikabie, nikt nie spodziewał się nieszczęścia. Nim ktokolwiek zdążył zapytać, o co chodzi, zdetonowała ładunek, którym była obwiązana. Fundamentami wstrząsnął potężny wybuch. W jednej chwili zginęło ponad trzydziestu policjantów, a budynek zajął się ogniem. Jak się szybko okazało, zamachu dokonała jedna z kurdyjskich bojowniczek. Gdyby na posterunek weszła ubrana normalnie, po europejsku, od razu znalazłaby się w centrum zainteresowania. Kobieta owinięta chustami wydawała się niewidzialna. Poza tym pod luźne zwoje dawało się upchać dużo materiału wybuchowego.

Był to pierwszy zamach na taką skalę. Wyżsi oficerowie chodzili nieprzytomni z wściekłości. Natychmiast zapadły odpowiednie decyzje -- wszystkich niepewnych politycznie należało zamknąć w obozach i działać szybko, z należytą stanowczością.

W Sztambule, Ankarze i innych większych miastach zmobilizowano wszystkie dostępne siły i środki. Już nie zanosilo się na strzelanie do demonstrantów gazem łzawiącym i gumowymi kulami, a ostrą amunicją. Południe kraju eksplodowało niekontrolowaną przemocą. Oddziały tureckiego wojska zapuszczały się w głąb Syrii, likwidując zbrojne grupy rebeliantów. Ci, znajdując na pograniczu każdy kamień, minowali drogi, pobocza i wciągali rządowe oddziały w zasadzki. Straty ponosili i jedni, i drudzy.

Na ulice Sztambułu wyszło pół miliona ludzi. Takich tłumów nie oglądano od dawna. Zaczęło się spokojnie, a skończyło jak zwykle -- niczym niehamowanym chaosem.

Pierwszy zginął policjant trafiony w głowę przez snajpera w momencie, gdy falanga ciężkozbrojnych pałkarzy wspomagana przez armatki wodne i transportery ruszyła do przodu.

Mało który z funkcjonariuszy zorientował się, co zaszło. Oni po prostu robili swoje. Za to im przecież płacono. Musieli się bronić, bo właśnie spadł na nich grad kamieni i improwizowanych ładunków -- pe-tard z małymi gwoździami i tłuczonym szkłem, a wszystko to obwiązane taśmą klejącą. Przez moment wydawało się, że zostaną powstrzymani. Ludzie na pewno by się zawahali. Ci jednak, wspomagani ciężkim sprzętem, nie mieli takich obiekcji. Armatki wodne i opancerzone samochody typu Cobra wjeżdżały w tłum, obalając demonstrantów. Ciężkim pojazdom nikt nie był w stanie sprostać.

Wszędzie tam, gdzie zabrakło sprzętu, a policja i manifestanci spotkali się twarzą w twarz, nie było już tak różowo. W paru miejscach na brutalność pałkarzy odpowiedziano ogniem z broni palnej. Paradoksalnie w ciągu pierwszej godziny zginęło kilku policjantów i ani jeden protestujący.

Ten układ zaczął zmieniać się po południu. To już nie było rozpraszanie niepokornych. Powoli walki przybierały charakter ulicznej rewolty. Tu i tam odezwały się karabiny maszynowe. Na głównych arteriach powstawały barykady, podpalano komisariaty, rządowe budynki, sklepy i samochody. Rozpoczęły się rabunki. Na pomoc policji wezwano armię. Transportery i czołgi pojawiły się tuż przed zmierzchem, lecz, jak się szybko okazało, w kilku miejscach nawet M-60 nie były w stanie sforsować wielostopniowych zapór. Na bulwarze Adnana Menderesa -- jednej z głównych przelotówek -- unieruchomioną Cobrę precyzyjnie trafił pocisk z granatnika. Pancerna burta pojazdu została rozdarta na oczach osłupiałych demonstrantów i tych, którzy wszystko oglądali w telewizji. Na uciekających z wozu żołnierzy posypał się grad kul. Mundury wielu z nich płonęły.

To już nie był bunt, a powstanie. Gdy nad Stambułem zapadała noc, z wielu dzielnic w niebo wzbily się płomienie. Policja zabezpieczała teren, armia i żandarmeria przystąpiły do pacyfikacji, ale nawet te kilka tysięcy mundurowych nie było w stanie zapanować nad wymykającą się szybko z rąk sytuacją. Ormianie, Cyganie i Kurdowie zorientowali się, że nadeszła pora odwetu. Na zmotoryzowane patrole spadł deszcz butelek zapalających i pocisków. Odpowiedziano z całą mocą.

Yakis i Aram walczyli na pierwszej linii z pełnym zaangażowaniem. Tak się szczęśliwie złożyło, że kule ich omijały. Nie szukali śmierci, ale i nie chowali się za plecami innych. Po prostu trwali tam, gdzie najbardziej byli potrzebni. To nie kto inny jak Hikmet ogniem z Colta powalił kilku atakujących policjantów, gdy ci zbyt blisko podeszli do barykady na ulicy Fevzi Paşy. Karabinek Dersima raz za razem wypluwał kolejne serie. Automat ze składaną kolbą do takich bojów nadawał się znakomicie.

Obaj przemykali przez podwórka, zaułki i przechodnie bramy, wychodząc na tyły oddziałów atakujących bojowników, i strzelali wrogowi w plecy. Dostyc szybko w ogniu i dymie stanęło kilka bloków mieszkalnych. Ludzie uciekali z takich miejsc w panice. Straż pożarna nie mogła do nich dojechać. Należało się wycofać i przegrupować. W tym ostatnim obaj Kurdowie byli znakomici. Wkrótce wokół nich zebrała się całkiem liczna grupa pomocników. Jedni dysponowali bronią zabraną uciekającym policjantom, inni tym, co znajdowało się pod ręką, głównie kamieniami i butelkami, lecz wszystkich przepełniała wola walki.

Yakis kaszlnął i przysłonił usta. Powietrze miało woń spalenizny. Aż trudno było oddychać. Najchętniej przystanąłby gdzieś z boku i napił się wody, dając ulgę suchemu jak papier ścierny gardłu.

Akurat na odpoczynek nie mogli sobie pozwolić. Szalejący wkoło krwawy huragan porывał ludzi i unosił ze sobą. Rządowe oddziały i grupy bojowników przepadały bez śladu. Walczono twarzą w twarz na najbliższą odległość. Przewaga wyszkolenia i siła ognia przeciwko wściekłości i determinacji doprowadzonych do ostateczności obywateli.

Właśnie dotarli do jakiegoś skrzyżowania. Było tu tak wąsko, że z ledwością dawało się manewrować samochodem. Kamienice piętrzyły się nad nimi niczym skalne kaniony. Z otwartego sklepiku wybiegli rabusie z towarem. Hołoty nie brakowało nigdzie. Yakis z pistoletem wyciągniętym przed siebie ruszył w tamtą stronę. Reszta grupy podążyła za nim. Wszedł do środka, natykając się na dryblasza napychającego kieszenie torebkami cukierków.

-- Zostaw to!

Tamten odwrócił się. Pewnie chciał odpowiedzieć, ale widok wycelowanej w jego głowę sploty sprawił, że zmienił zdanie.

-- Wynoś się!

Przestał zwracać na typa uwagę. Zrobił krok naprzód i zajrzał za ladę. Właściciel leżał na podłodze, nie dając znaku życia. Rana na głowie była wyraźnym dowodem na nieszczęście, jakie go spotkało.

Większość sprzętów i towaru została rozgrabiona. Wszędzie walały się jakieś potłuczone i pokruszone resztki. Tuż pod kontuarem dojrzał czerwoną puszkę z coca-colą. Sięgnął po nią, nie mogąc się opanować. Język przysechł Yakisowi do podniebienia. Już po pierwszym łyku zorientował się, że nie zachował się lepiej niż rabuś spławiony wcześniej. On też kradł. Znów te głupie wyrzuty sumienia. Niedługo na

pierwszej linii odpokutuje winy.

Generał Sulejman Dżabbar, dowodzący I Korpusem Armijnym, spoglądał z jednego z największych w mieście biurowców na chaos, w jakim pograżyło się jego ukochane miasto. Gardło ścisnął mu gniew. Jak Stambuł długi i szeroki, wszędzie toczyły się walki, niebo lizały płomienie, a na głównych ulicach dostrzegał błyski niebieskich i czerwonych świateł pojazdów służb porządkowych.

-- Gdzie Orlan? -- Troska o jednego z podwładnych dowodzących brygadą zmotoryzowaną nie była niczym dziwnym.

-- Utknął na Kemeralti. -- Odpowiedź któregoś z adiutantów nie polepszyła mu humoru. Nie tego się spodziewał. Na dobrą sprawę buntownicy już dawno powinni nie żyć bądź się rozproszyć. Zwykle tłum dawał się zastraszyć, ale ten, z którym dzisiaj miał do czynienia, nie był motłochem wypełniającym ulicę. Kierujący akcją wydawali się dużo lepiej przygotowani do działania. Skąd mieli tyle broni?

Teoretycznie powinni uciec już po pierwszych strzałach. Parszywi terroryści. Ale powoli, z Ormianami sobie poradzili, poradzą również z Kurdami. W sytuacji, w której Stany Zjednoczone, Francja i Wielka Brytania przestawały się liczyć, Turcja wracała do dawnej świetności. Allah jest wielki. Nigdy nie powinien w niego wątpić. Dopiero teraz skoczą wrogom do gardła. Cała ta zgraja ujadających kundelków była bez znaczenia. Zgniotą ich bez litości. Nie znajdzie się nikt, kto mógłby się oburzyć. Tych parę głosów krytyki, jakie dobiegną z Paryża czy Londynu, zginie w ogólnej wrzawie.

Nadchodził ich czas, a Sulejman Dżabbar chciał znaleźć się na czele wielkiej fali, która ustanowi nowy porządek.

W końcu zaczynało się robić ciepło, tak naprawdę ciepło, nie zwyczajowe letnie trzydzieści stopni, lecz grubo powyżej. To już kolejne lato z takimi temperaturami.

Major Halicki odpiął następny guzik koszuli. Był po cywilnemu i nie musiał zamartwiać się swoim wyglądem, a poza tym starał się przyzwyczajać do ekstremalnie wysokich temperatur. Tam, gdzie się wybierał, to norma. Podobno fale rozgrzanego powietrza znad Afryki na dłużej zaguszczają nad środkowoeuropejskimi równinami.

Samochoodu nie zamknął. W pobliżu i tak nie było nikogo, kto mógłby się do niego włamać. Oficjalnie teren należał do jednej z większych spółek skarbu państwa. Kilka jedno- i dwukondygnacyjnych bloków wśród wysokich sosen i jodeł nie rzucało się w oczy. Całość otaczał wysoki płot. Obiektu pilnowali nieumundurowani strażnicy. Wszystkim przez przypadek zapuszczającym się w te rejony musiał kojarzyć się z ośrodkiem dla prezesów, w którym omawiali oni dalekosiężne strategie i kwestię obrony przez zakusami zachodnich koncernów. Właściwie nie odbiegało to tak daleko od rzeczywistości.

Wszedł po trzech schodkach i minął szklane drzwi. W holu było dużo chłodniej, a to za sprawą działającej klimatyzacji. Trzech strażników, z których każdy z powodzeniem nadawałby się do gry w narodowej reprezentacji koszykówki, siedzących za długą jak w hotelowej recepcji ladą, przyjrzało się majorowi nieufnie. Jeden z nich wstał i bez słowa poprowadził Halickiego w głąb kompleksu. Obyło się bez tajnych haseł, przepustek i powoływania się na szefa służb. Tu nie docierał nikt przypadkowy.

Ku zdziwieniu majora nie poszli w dół, tylko schodami w górę. Pierwsze piętro, korytarz i absolutnie niczym niezmacona cisza.

Stanęli przed jednym z gabinetów.

-- Proszę.

Chmura przeglądał jakieś materiały na komputerze.

-- Dobrze, że jesteś -- usłyszał major na wstępie.

-- Ja też się cieszę.

-- Widziałeś...

Halicki zerknął z boku.

-- Aha. -- Nie powiedział nic więcej. Bunt Kurdów w Stambule zaskoczył wszystkich. Spodziewano się gwałtownych protestów, ale nie na taką skalę. Kilka ekip z niezależnych telewizji znalazło się w samym środku całego zamieszania. Od relacji, jakie nadawały, jeżyły się włosy na głowie. Turcy brutalnie rozprawiali się z każdym, na kim ciążył choćby cień podejrzenia o trzymanie broni w ręku. Nie było sądów ani apelacji. Plutony egzekucyjne pracowały pełną parą. Rebelianci nie pozostawiali dłużni. W dużych ośrodkach miejskich i na prowincji ginęli policjanci i żandarmi. Ofiary szły co najmniej w setki. Już całkiem otwarcie mówiło się o trzech do pięciu tysięcy zabitych. Rannych nikt nawet nie liczył. Z tego całego chaosu wyłaniał się jeden człowiek -- generał Sulejman Dżabbar. Niewiele o nim wiadano. Zawsze pozostawał w cieniu, a obecnie okazywał się liderem wszystkich tych, którzy oczekiwali zmian. Wściekły nacjonalista i tak samo nieprzejednany muzułmanin, o wiele bardziej radykalny niż umiarkowani islamiści prezydenta Erdoğan.

-- Mieliście jechać przez Turcję, ale widzisz, co się porobiło. Zaplanowanie nowej trasy zajmie parę dni.

-- Wystarczy, jak dostaniemy środki. O resztę sam zadbam.

-- Masz już pomysł?

-- Może. -- Halicki szeroko ziewnął. -- Dawaj Sznajdera. Jestem ciekaw, jak bardzo się zmienił.

-- Można pomyśleć, że stęskniłeś się za tym sukinsynem. -- Chmura podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu i już bez kolejnych komentarzy wydał odpowiednie polecenia.

Halicki miał tysiące pytań. Na jedno z najważniejszych zaraz otrzyma odpowiedź. Od postawy polskiego dżihadysty zależało niemal wszystko. To z jego pomocą chciano spenetrować struktury kalifatu. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej zdawał sobie sprawę z ryzyka. Właściwie przypominało to balansowanie na linie.

Zerknął przez ramię, gdy za plecami usłyszał odgłos szurania. Zaciśnął zęby, by uniknąć zmieszania. Pamiętał żylastego, wysportowanego, młodego mężczyznę, gotowego na każde poświęcenie, a ujrzał przed sobą kogoś zupełnie innego. Sznajder miał wyraźną nadwagę. Mięśnie znikły. Zamiast nich pojawił się tłuszcz. Wydawał się większy i potężniejszy niż kiedyś. W knajpianej bijatyce może i da sobie radę, ale tam, gdzie się wybierali, jego umiejętności stawały pod znakiem zapytania. Długa rudawa broda spływała mu na pierś. Czaszkę starannie ogolono. Eskortujący więźnia strażnicy wyszli na znak Chmury.

-- No, cudownie.

-- O co ci chodzi? -- obruszył się kapitan.

-- Patrz na niego.

-- Patrzę, i co?

-- Dostanie zawału, nim przebiegnie sto metrów.

-- Przesadzasz. -- Chmura nieznacznie skrzywił usta. -- Jest w świetnej kondycji. Artur, przekonaj pana majora, że to prawda.

Sznajder wydawał się obojętny na wszystko, co działo się w pomieszczeniu.

-- On tak zawsze? -- zapytał Halicki.

-- Jak się bliżej poznacie, to się rozkręci. -- W słowach kapitana nie było nawet cienia sarkazmu.

-- Oby nie za bardzo. -- Major wskazał Sznajderowi miejsce obok siebie. Nie widział powodu, by ten stał przed nim jak kołek. Nad dobrymi relacjami należało popracować. Inaczej obudzi się z nożem w plecach.

Tak naprawdę nie do końca wierzył w skruchę islamisty. Kto może wiedzieć, co takiemu chodzi po głowie?

-- Kiedy ruszamy? -- W pytaniu więźnia dało się odczuć zniecierpliwienie.

-- Nie tak szybko. Jest jeszcze parę spraw do załatwienia -- odpowiedział major.

No właśnie, a gdzie podziewał się trzeci uczestnik ich wyprawy? Jak na razie o Robercie Galińskim Halicki mógł powiedzieć tylko tyle, że istniał.

Podporucznik Galiński kompletnie nie wiedział, czego się spodziewać. Wczoraj wieczorem został zapakowany do szarej terenowej toyoty i wywieziony w zupełnie nieznanym sobie miejsce.

Kierowca milczał całą drogę, a i jemu nie bardzo chciało się gadać. Na początek pomknęli szosą w stronę Elbląga. Ostatnim dużym miastem na trasie był Olsztyn. Później pogubił się zupełnie. W końcu przysnął. Obudził się, gdy dotarli na miejsce. Dostał do dyspozycji wygodny pokój i poszedł spać.

Rano w kantynie zjadł śniadanie. Od tamtej pory nie robił nic. Wyjść nie mógł, a siedzenie w czterech ścianach nudziło Galińskiego śmiertelnie.

Przyszli po niego w najmniej odpowiedniej chwili. Właśnie kimał, gdy obudziło go głośne pukanie.

Wstał i otworzył. Facet w dzinsach i koszulce nie wyglądał na wojskowego. Skinął na niego i poszli. Budynek przypominał nieco szkołę -- korytarze i rzędy pokoi czy też sal wykładowych. Galiński nie miał pojęcia, co się w nich kryje.

W końcu stanęli przed jednymi z nieoznakowanych drzwi. Trochę się obawiał, co go czeka, ale krzywdy mu chyba nie zrobią.

Z ludzi znajdujących się w środku znał jedynie Chmurę, dwóch pozostałych widział na oczy po raz pierwszy.

-- Proszę bliżej. -- Kapitan robił wrażenie gospodarza, lecz nie on przyciągał uwagę, tylko pozostali.

-- Major Halicki... -- oficer wskazał tego po lewej -- jest pana nowym dowódcą. Będzie się wam dobrze współpracować.

Podali sobie dłonie.

Przyszła pora na gościa z brodą. Tamten odpowiedział wzgardliwym spojrzeniem.

-- Taa... -- Chmura popatrzył na nich z dezaprobatą. -- Jeżeli chodzi o Artura, na pewno znajdziecie wspólny język. Powiem więcej, jestem przekonany, że stworzycie idealny zespół. No, panowie, skąd te miny? Nie chcę myśleć, że popełniłem błąd.

Halicki przetarł oczy. Dochodziła siódma rano, najwyższa pora ruszyć tyłek z tapczanu i zabrać się do roboty.

Niechętnie opuścił nogi na podłogę i sięgnął po ubranie. Wczorajsza konfrontacja ze Sznajderem i spotkanie z Galińskim nie nastrajały optymistycznie. Skurwysyn i dzieciak. Właśnie tak o nich myślał. Sznajder -- wyrachowany drań, który zrobi wszystko, by wyjść z pudła, i młokos, któremu coś tam roilo się pod czaszką. Artur zje tego biednego frajera na śniadanie i nawet nie splunie na koniec.

Nie ma co, władował się w niezłe bagno. Cała ta, pożałuj Boże, operacja opierała się na błędnych założeniach.

Chmurze wydawało się, że wystarczy przycisnąć skruszonego Sznajdera, a ten pójdzie na współpracę. Piękne twierdzenie, ale to nie kapitan będzie się narażał, tylko on. Nad wszystkim popracowałby sztab ludzi, ewentualnie poproszono by konsultantów z zewnątrz lub zaprzyjaźnione służby, a to, co oni robili, nosiło znamiona jednej wielkiej improwizacji. Czegoś takiego nie pochwalał, bo prawie zawsze podobne podejście kończyło się katastrofą.

Z drugiej strony, nic już nie było takie jak dawniej. Stare dobre czasy minęły bezpowrotnie. Wkroczyli w nową erę i nikt nie wiedział, jak długo ona potrwa -- dekadę, dwie, może dłużej. Pewnie rację miała Alicja, twierdząc, że Polska zrobiła się całkiem bezpieczną przystanią. Pytanie, na jak długo, pozostawało otwarte.

W kantynie zastał jakiegoś smutasa, który szybko się zmył, napotykając jego morderczy wzrok.

Dostał śniadanie i usiadł w kącie twarzą do okna. Pewnych przyzwyczajień nie był w stanie się pozbyć. Szuranie gdzieś z boku uświadomiło Halickiemu, że nie jest sam.

-- Przepraszam, można?

-- Jasne. -- Zrobił trochę miejsca Galińskiemu, gdy ten, zakłopotany, próbował usadowić się obok. -- Już po porannym treningu? -- zapytał.

-- Krótka przebieżka.

-- Rozumiem.

Chwila niezręcznego milczenia trwała tylko kilka sekund.

-- Wiadomo, jak przedostaniemy się na teren kalifatu? -- Podporucznik nabił na widelec frankfurterkę i zaczął ją żuć.

-- Prawdę mówiąc, nie mam zielonego pojęcia. -- Pod tym względem możliwości nie było wiele. Jak nie Turcja, co sugerował Chmura, to Liban. Jeszcze parę dni wcześniej wszystko grało. Po kurdyjskiej rebelii powstał problem. Jakie władze spojrzą na trójkę przybyszów łaskawym okiem? Od razu widać, że są podejrzani. Dobrze będzie, jak wsadzą ich do ciupy i wytoczą proces. Jeśli trafią na jakiegoś nadgorliwca, wylądują w bezimiennych mogiłach.

Obie opcje wydawały się ryzykowne i trzeba było to powiedzieć otwarcie -- trąciły szaleństwem.

-- Trochę kombinowałem.

-- Uhm... -- Halicki uprzejmie kiwnął głową. -- Jakieś sugestie?

-- Może przez Grecję?

-- Pięknie, tylko co dalej?

-- Samolotem do Kuwejtu albo Zjednoczonych Emiratów.

-- To już lepiej bezpośrednio z Frankfurtu do Dubaju. -- Majorowi przemyślenia Galińskiego wydawały się mało przekonujące.

-- Sprawdziłem. Loty zostały zawieszane. Tak samo postąpiło British Airways czy Alitalia. Nikt nie chce się tam pchać. Zdarzają się połączenia z Aten, ale trzeba mieć szczęście. Już szybciej z Rodos czy Krety dostaniemy się łodzią.

-- Uda się?

-- Znajdziemy kogoś, kto przemyca ludzi. W drugą stronę to będzie łatwiejsze. Nikt nie pcha się na wschód czy południe. Zabiorą nas z pocałowaniem ręki.

-- No, nie jestem tego taki pewien -- odparł Halicki, choć pomysł podporucznika wydawał się sensowny.

Wkrótce może się okazać, że to jedyny sposób. Okoliczności zmieniały się tak szybko, że zhierarchizowane struktury nie nadążały. Jednego dnia wszystko działało bez zarzutu, drugiego rozsypywało się bez

wyraźnej przyczyny.

-- Przemysłowcy nie mają nic co stracenia. Mogą nas okraść czy zamordować. Ciała wrzucą do wody. -- Nie chciał, by tak to zabrzmiało, ale dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo się boi. Zdaje się, że decyzję podjął zbyt pochopnie.

-- To może do Madrytu albo Gibraltaru? -- zasugerował Galiński.

-- I będziemy się ceregielić przez całą Afrykę Północną. To już lepiej popróbować szczęścia na Rodos.

-- A Artur jakie ma zdanie na ten temat? -- zapytał podporucznik.

-- Jeszcze o tym nie rozmawialiśmy. -- Halicki sięgnął po kawę.

Właściwie dlaczego nie? To przecież problem ich wszystkich. Co trzy głowy, to nie jedna. Każdy z nich funkcjonował w zespole na takich samych zasadach. Nie było lepszych czy gorszych, a przy całym doświadczeniu Sznajdera to właśnie on nadawał się najbardziej do roli przewodnika.

Pora kończyć. Na pogaduchy przyjdzie czas później. Przed nimi cała masa roboty. Może warto pomyśleć o jakimś wsparciu i drogach ucieczki. Przecież nie będą tam siedzieć w nieskończoność.

Komandorowi Mustafie Salichowi chciało się spać. I choć dochodziło południe, stanu permanentnego ośpienia nie mógł pozbyć się za żadne skarby. Gdy już schodził z wachty i zaszywał się w swojej kajucie, stres z kolei nie pozwalał mu zasnąć. Czasami zmęczenie brało górę i odpływał na godzinę, rzadziej dwie. W końcu budził się i czuwał, próbując znaleźć odpowiedzi na dręczące go pytania.

Dzisiejszy dzień na pozór nie różnił się od pozostałych, a przecież nic już nie było takie jak dawniej. Miał tego świadomość. Nie tylko zresztą on. Cała załoga o tym wiedziała. Wszyscy zdawali sobie z tego sprawę. Kurdyjskie powstanie zaczęło zagrażać krajowi. Ktoś to musiał podsycać z zewnątrz. Peszmergowie przenikali przez granicę i razem z bojownikami z Partii Pracujących Kurdystanu siali śmierć i zniszczenie we wschodnich, granicznych prowincjach. Krwawy bunt w Stambule przechodził wszelkie granice. Te parszywe psy tak odpłacają się za to, co dla nich zrobili? Jeżeli im się nie podoba w Turcji, to proszę, droga wolna. Niech jadą szukać szczęścia w Unii Europejskiej. Tak będzie lepiej dla wszystkich.

Korwetą zakołysało, kiedy wykonywali zwrot. Morze dookoła nich wydawało się puste. Gdy przykładał do oczu szkła lornetki, lustrując horyzont, wszędzie dostrzegał niewyraźną mgiełkę. Poza tym nic.

Znajdowali się na skraju akwenu, który patrolowali, niedaleko Chios i greckich wód terytorialnych.

Wkurzał się, ilekroć spoglądał na mapę. Wyspy zależne od Aten podchodziły pod samo wybrzeże Turcji. Nie potrafił tego ścierpieć. Już dawno powinni coś z tym zrobić. Obojętnie jak, siłą czy dyplomacją, podobnie jak to miało miejsce na Cyprze, gdzie de facto obok siebie funkcjonowały dwa państwa. Cypr uznawano za zupełnie suwerenny kraj. A to nie tak. Cwani Grecy usadowili się tam mocno. Gdyby nie interwencja z 1974 roku, to flaga z białym krzyżem i błękitnymi pasami łopotałaby nad całą wyspą.

-- Obiekt w namiarze dwa-jeden-pięć.

Mustafa ocknął się. Właściwie należało się z tym liczyć. Kolejna łajba z uchodźcami podążała w stronę, ich zdaniem, lepszego świata. Komandor wcale się im nie dziwił. Jak strzelają, to normalnym ludziom puszczają nerwy, zabierają żonę i dzieciaki i uciekają. Nie każdy został stworzony do tego, by walczyć.

Jeden ze szlaków ucieczkowych wiódł właśnie przez Turcję. Czasami Mustafie wydawało się, że nikt nad tym nie panuje. Niepokoje i zbrojne potyczki wcale nie osłabiły napływającej fali. Właściwie uchodźców było jeszcze więcej niż przedtem. Od kiedy Waszyngton przestał się liczyć, nikt nie wiedział, co się stanie. Setki tysięcy uciekinierów próbowały dobić do bezpiecznych przystani, zanim te zamkną się przed nimi na dobre.

Komandor przeszedł na drugą stronę mostku, próbując znaleźć na bezkresnej przestrzeni pordzewiały wrak przemytników, choć nie musiał tego robić. Naczelna zasada mówiła wyraźnie -- nie przeszkadzać, pozwolić płynąć, gdzie chcą. Jeżeli ktoś ma mieć kłopoty, to niech to będą kraje znajdujące się na zachód od nich.

W końcu ich dostrzegł: niebieski kadłub i biała nadbudówka wiekowego kabotażowca nie wyglądały imponująco. Ledwie się ciągnęli. Jak znał życie, na pokładzie znajdowało się kilkaset osób. Stateczkiem ostro miotało. Jak coś takiego w ogóle pływało? On bałby się wejść na pokład, a przecież był doświadczonym marynarzem.

-- Co robimy? -- Pierwszy oficer stanął obok. Na jego śniadej twarzy malowało się absolutne skupienie.

Mustafa nie odpowiedział od razu. Kabotażowiec o niewyraźnej nazwie znajdował się jakieś trzy mile od nich. Na podjęcie ostatecznej decyzji miał jeszcze parę minut.

-- Podpłyniemy bliżej. Zobaczymy, czy nie potrzebują pomocy -- powiedział cicho. -- Kurs dwa-dwa-jeden. Prędkość piętnaście węzłów.

Zdawało się, że "Samsun" zbudził się do życia. Mustafie nie pozostało nic innego, jak zająć się obserwacją.

-- Machają do nas -- obwieścił bosman.

-- Widzę.

-- Zdaje się, że mają kłopoty.

-- Spróbujcie nawiązać z nimi łączność.

Zobaczymy, co z tego wyniknie. Wielkich nadziei sobie nie robił. Który z szyprów chciałby narażać się na gniew kapitana takiej jednostki jak "Samsun"? Stary szmugler robił swoje, czyli zarabiał na życie. Jak go dorwą ci z greckiej straży ochrony wybrzeża, dostanie za swoje.

-- Kapitanie, "Czarna Gwiazda" na linii -- usłyszał meldunek radiooperatora.

-- Daj na głośnik. -- Komandor pokręcił głową. "Black Star" to adekwatna nazwa dla takiej balii. Łatwiej na niej stracić życie niż na zwykłym czólnie.

-- Tu Mustafa Salich, dowódca korwety "Samsun". Z kim rozmawiam? -- Wypowiedziane słowa zawisły w przestrzeni.

-- Mówią na mnie Karim... -- Głos dobiegający z pokładowej aparatury brzmiał chrapliwie. -- Jest problem...

-- To widzę.

-- Mamy przeciek, a w maszynowni pękło łożysko lewego wału. Trzy--cztery węzły to wszystko, co możemy wyciągnąć.

-- Ilu masz ludzi na pokładzie? -- To było jedno z najważniejszych pytań, które musiało paść.

-- Najwyżej stu.

-- Kłamiesz. -- Mustafa o mało się nie roześmiał.

-- Może dwustu. Przysięgam, że nie więcej.

Do takiego pudła dawało się upchać i kilkuset nieszczęśników. Dwustu to wcisną do jednej ładowni. Na "Black Star" wieziono prawdopodobnie z pół tysiąca lub nawet więcej. Z tego kilkudziesięciu nie przetrzyma podróży. Ciała zepchną do morza, a potem fale wyrzucą je na brzeg. Wielu rybaków przestało wypływać na połowy, od kiedy zamiast ryb w sieci zaczęły wplątywać się ludzkie zwłoki.

-- Czego potrzebujecie? -- Trochę wody czy żywności mogą im dać. To akurat nie wpłynie na ich zdolności bojowe.

Ponownie przyjrzał się "Czarnej Gwieździe". Przez burty przerzucono gumowy wąż. Dość szybko zaczęła tryskać z niego morska woda.

-- Mają przechył. -- Bosman nie odstępował kapitana o krok.

Faktycznie, jednostka zdawała się przechylać na prawą burzę.

-- Co się tam u was dzieje? -- powiedział tym razem znacznie ostrzej.

-- Ten przeciek... Nie można go zatamować.

Jeszcze tego brakowało. Mustafa niezbyt cenił uchodźców, ale w końcu byli jego braćmi w wierze, a przed Allahem wszyscy są równi. Nie weźmie na sumienie ich śmierci. Co innego niewierni -- to byłaby zupełnie inna historia.

Pierwszy oficer i bosman, a także sternik i reszta marynarzy na mostku wpatrywali się w kapitana wy-czekująco.

-- Jeżeli mogę... -- Pochodzący z Izmiru bosman, niewysoki i krępy, posiadał rodzinę w Monachium. Często o tym mówił. Po zakończeniu służby podobno chciał do niej dołączyć.

-- Mówcie.

-- Bez pomocy zginą.

-- Nie przyjmę tej zgrai na pokład -- warknął Mustafa.

-- Weźmy ich na hol. Damy radę. Nie popłyniemy szybko, bo przecież nie o to chodzi.

-- I co dalej? -- Komandorowi jakoś nie chciało się ciągnąć tego całego chlewu do portu. Mało to mają kłopotów w domu? Dodatkowe problemy są im całkowicie niepotrzebne.

Bosman niespokojnie przestępował z nogi na nogę.

-- Podrzucmy ich Grekom. -- Na właściwą, jak się wydawało, odpowiedź wpadł w końcu pierwszy oficer. -- W trzy godziny dopłyniemy do Chios. Ocalimy ludzi, a tym niewiernym bękartom sprawimy problem.

Mustafa zastanowił się. Rozwiązanie wydawało się idealne. Działanie było w pełni usprawiedliwio-ne. Nie łamali żadnych ustaleń i nikt nie mógł zarzucić im złej woli. Do Chios było po prostu najbliżej.

-- Wykonać. -- Komandor uśmiechnął się pod nosem. A zapowiadał się taki nudny rejs.

Nad Chios słońce stało w zenicie, gdy "Samsun" wolno zbliżał się do greckich wód terytorialnych.

Holowanie przebiegało bez zakłóceń. Na "Black Star" wysłał kilku marynarzy pod dowództwem bos-mana, by nic nie zakłócało prowadzonej operacji ratunkowej. Za jakieś czterdzieści minut pozbędzie się problemu i wróci do właściwych zadań. Chios już majaczyła na horyzoncie.

Najwyższa pora nawiązać kontakt z kapitanatem na wyspie. Grecy mocno się zdziwią, gdy "Samsun" wpłynie na redę.

-- Kapitanie, samoloty z kierunku jeden-osiem-cztery. Idą wprost na nas.

Wielbiciele oliwy i wina ocknęli się i bez wezwania. To powinno zaoszczędzić wielu kłopotów.

-- Spróbuj ich wywołać. -- Mustafa założył ręce za siebie, czekając, co z tego wyniknie.

-- Nie zgłaszają się.

Sucze syny. Co oni sobie wyobrażają?

-- Próbuje dalej.

Chios znajdowała się coraz bliżej. Najchętniej splunąłby z pogardą na stalowy pokład, ale akurat na

to nie mógł sobie pozwolić. Starał się zachowywać spokój, lecz emocje zaczęły brać w nim górę. Może ogłosić alarm bojowy? Nigdy nie wiadomo, co tym podstępny draniom strzeli do głowy.

Wahał się, czując ciężar upływających minut.

Przeciągły grzmot odrzutowych silników przetoczył się nad korwetą. Głowa puchła od huku. F-16 znajdowały się najwyżej sto pięćdziesiąt metrów nad nimi. On i załoga byli do takich manewrów przyzwyczajeni. Nie raz podczas ćwiczeń widzieli własne maszyny, ale uchodźcy z holowanej łajby zaraz zaczynali skakać do morza.

Zaczął uważnie obserwować parę Falconów. Samoloty weszły w ciasny wiraż, zataczając nad nimi koło. Obudził się w nim instynkt drapieżcy. Dla pokładowych systemów przeciwlotniczych to wymarzona okazja. Zmłóć ich w ułamku sekundy.

-- Odpowiedzieli na wezwanie. -- W głosie radiowca brzmiała ulga.

-- W końcu. Powiedz im, że to misja ratunkowa.

-- Kapitanie...

-- Mów.

-- Oni każą nam zawrócić.

-- Chyba powariowali. -- Mustafie nagle zaschło w ustach. -- Powtórz im wszystko jeszcze raz.

F-16 już nie latały nad ich głowami. Oddaliły się w stronę wybrzeża, stając się ledwie widocznymi punkcikami na niebie.

Ulga nie trwała długo. Ci popaprańcy wracali, gnając pełną mocą. Jeżeli próbują ich przestraszyć, to nic z tego. On się nie ulęknie.

-- Alarm bojowy -- ogłosił w końcu. -- Przekaż do bazy, że jesteśmy atakowani podczas wypełniania misji ratunkowej.

Na styku skrzydła i kadłuba greckiego jeta dostrzegł rozbłysk. Przecież nie kazał strzelać. Następną myśl zmroziła komandora. To nie oni strzelali, to strzelano do nich. Wszystko działo się tak szybko, że ledwo nadążał za rozwojem sytuacji. Długa seria puszczonego z dwudziestomilimetrowego działka ominęła "Samsuna", lecz zahaczyła o "Czarną Gwiazdę". Parę pocisków wybiło w kadłubie dziury. Zmaltretowany stateczek, już i tak siłą woli przewożący znajdujących się na pokładzie ludzi, otrzymał nowe ciosy. Mało prawdopodobne, by po czymś takim podjął podróż na nowo.

W Mustafie zagotowała się krew. Atakowano uchodźców znajdujących się pod jego opieką, a co za tym idzie -- opieką państwa tureckiego. Zniewaga nie ujdzie im bezkarnie, tym bardziej, że wciąż jeszcze znajdowali się na międzynarodowych wodach terytorialnych. Tu nie można mówić o przypadku, lecz o świadomej prowokacji.

-- Ognia!

Przeciwlotnicze rakiety krótkiego zasięgu pomknęły za oddalającym się przeciwnikiem. Dalsza zwłoka groziła nieobliczalnymi konsekwencjami.

-- Zerwać hol!

-- Ale...

-- Wykonać. -- Rozumiał obiekcje, ale na ryzyko nie mógł sobie pozwolić.

Pierwsza z rakiet rozerwała się kilka metrów od silnika jednego z F-16. Odłamki zasypały przestrzeń, dziurawiąc statecznik i dyszę odrzutowca. Ze szturmowca poszedł dym. Pilot się katapultował, a kadłub rozbił się o tafel morza. Kolejny lotnik zdążył wystrzelić flary, które zwabiły czujniki naprowadzające drugiego pocisku.

Falcon zszedł parę metrów nad fale i rozpoczął manewry unikowe, wzywając pomocy. Pilot zupełnie nie rozumiał, co się stało i dlaczego ci parszywi wielbicieli owiec i kebabów zabili jego towarzysza. Przecież seria, którą wypuścił, nikomu nie zrobiła krzywdy. Chciał przestraszyć tych na kabotażowcu. Nic więcej. Może niestaramie się przymierzył, ale czy to powód do tak gwałtownej reakcji?

Grecja to niewielki kraj, a i tak przez granice przelewały się tłumy uciekinierów z Azji i Afryki. Wiele utykało tu na dłużej. W Atenach ledwo dawało się wytrzymać, i nie chodziło tylko o temperaturę sięgającą czterdziestu stopni powyżej zera, lecz o tysiące Syryjczyków, i cholera wie kogo jeszcze, zalewających ulice. Takiego scenariusza nikt nie przewidział. Wcześniej tłum desperatów wędrował na północ, lecz i tam nikt już ich nie chciał. Serbia, Węgry, Chorwacja, Słowenia i Macedonia próbowały pozbyć się ich jak najszybciej. Kolejny już rok państwa europejskie rozdeptywała niekończąca się fala uchodźców. Po katastrofach samolotów rządowych wracających ze szczytu w Poczdamie problem wyraźnie się nasilił. Przecież nie zezwolą na przyjazd wszystkim, bo z pięknej Hellady pozostaną zgliszczka.

Halicki bezmyślnie wpatrywał się w telewizor. Napływające informacje nużyły. Wciąż to samo. Schemat powtarzał się od paru tygodni aż do znudzenia.

Nowa, całkiem ładna dziennikarka z kamienną twarzą relacjonowała z warszawskiego studia:

-- Jak szacuje Światowa Organizacja Zdrowia, populacja Stanów Zjednoczonych w ciągu najbliższych trzech miesięcy może zmniejszyć się o pięćdziesiąt procent.

Może, ale co stanie się, jak zamiast pięćdziesięciu procent ten wskaźnik podskoczy do osiemdziesięciu? -- pomyślał major. Już teraz mówiło się, że do końca roku epidemii w Ameryce Północnej nie przetrzyma nikt. To, co przekazywały media, było dramatyczne, lecz zwykli obywatele nie znali całej prawdy. On dysponował dostępem do zupełnie innych danych.

Choroba przypominała pożar w suchym lesie. Pochłaniała wszystko i wszystkich. W niektórych hrabstwach nie było już żywych ludzi. Gdy wydawało się, że najgorsze minęło, a punkt kulminacyjny osiągnięto już dawno, epidemia uderzała z nową siłą w tych rejonach, które uważano za bezpieczne.

Nie zajmował się tym problemem, ale słyszał o ludziach świadomie roznoszących zarazki. Agenci FBI dorwali takiego jednego, lecz ten tylko się roześmiał i napluł im w twarz. Skonał trzy godziny później. Nic z niego nie wydobyto. Co ciekawe, z pochodzenia był Azjatą. Ten fakt szczególnie utkwiał Halickiemu w pamięci. Pewne analogie do tego, co wiedział od Alicji, nasuwały się same.

-- Fala nielegalnych imigrantów przekraczających w zeszłym tygodniu granice Unii Europejskiej osiągnęła niespotykane rozmiary. Jak się ocenia, może chodzić o nawet siedemdziesiąt tysięcy.

To akurat nie nowina. Za najwyżej pół roku świat zostanie przemodelowany na muzułmańską modłę.

-- Na Morzu Egejskim, nieopodal wyspy Chios, doszło do zbrojnej konfrontacji pomiędzy greckim lotnictwem a turecką marynarką wojenną.

Obraz pokazywał jakiś tłum nieszczęśników dryfujących obok mocno przechylonego na burtę stateczku. Niedaleko dymił okręt wojenny. Ze smukłego kadłuba ulatywał do góry czarno-siny dym.

-- Obie strony prześcigają się w zarzutach. Ankara oskarża Ateny o śmierć ośmiu swoich marynarzy oraz kilkuset nielegalnych imigrantów. Grecy odpierają pomówienia, twierdząc, że zostali zaatakowani pierwsi. Jako dowód służy im wrak własnego samolotu ostrzelany przez stronę turecką. Zdaniem specjalistów nad wschodnią częścią Morza Egejskiego doszło do dwóch potyczek. Szczegóły nie są jasne. Rejon patrolują siły morskie i powietrzne obu krajów.

Mało to problemów miał na głowie? Teraz na dodatek Turcy i Grecy wzięli się za łby. Nie pomagały apele płynące z Brukseli czy groźby Berlina. I jedni, i drudzy nie zważali na nic. Do niedawna wystarczyłoby pogroźenie palcem przez prezydenta Stanów Zjednoczonych, by koniec sporu nastąpił równie szybko, jak ten się zaczął.

Przestał wpatrywać się w telewizor. Przygnębienie spadło na niego całkiem niespodziewanie.

Wstał i zrobił parę kroków. Nie poczuł się lepiej.

Po informacjach ze świata przyszła pora na wieści z własnego podwórka.

Na kotwicowisku opodal Gdyni i przy portowych pirsach nie dawało się wcisnąć nawet szpilki. Dominowały niszczyciele, fregaty i trzy krążowniki typu Aegis. Podobno widziano też któryś z atomowych

boomerów, ale ta pogłoska wciąż nie znajdowała potwierdzenia. I tak wydawało się, że do polskich portów przybiła co najmniej połowa Floty Atlantyckiej. Oprócz jednostek bojowych przypłynęły tu zaopatrzeniowce i mrowie drobniacy.

-- Karl Hoffman wyraził głębokie zaniepokojenie tak dużą ilością jednostek dawnej Drugiej i Szóstej Floty, które obecnie znalazły się w Polsce. To wyraźne naruszenie wielu traktatów, które są udziałem krajów europejskich. Jeżeli ten problem nie zostanie należycie rozwiązany, grożą nam poważne konsekwencje. Równowaga sił została zachwiana. Jego zdaniem większość okrętów powinna zostać zezłomowana, a załogi zwolnione do cywila. Do chóru zachodniej krytyki dołączył również rosyjski premier. "Bałtyk nie jest dobrym miejscem do demonstracji siły. Jeżeli to się nie zmieni, Federacja Rosyjska podejmie odpowiednie kroki mające na celu przywrócenie konsensusu" -- to słowa, jakie usłyszeliśmy, i choć brzmią groźnie, zdaniem wielu ekspertów nie znajdują potwierdzenia w rzeczywistości, a wypowiedane są na użytek własnych obywateli. Polskie władze nie odpowiedziały na tę krytykę. Prezydent w tym czasie przebywał na Wybrzeżu, gdzie rozpoczęto prace nad nową strefą przemysłową. Będzie to największa tego typu inwestycja w kraju, mająca dać zatrudnienie ponad stu tysiącom pracowników. Na pierwsze efekty będziemy musieli poczekać, ale już teraz mówi się o przełomie, zwłaszcza jeżeli chodzi o nowe technologie, energetykę czy przemysł farmaceutyczny. "Czekają nas nowe wyzwania" -- to już z kolei słowa premiera. "Jesteśmy silni jak nigdy w historii". Na dwa dni przed świętem Wojska Polskiego mocny głos Warszawy brzmi głośno. Ma to szczególne znaczenie w chwili, gdy przyszłość Europy stoi pod znakiem zapytania.

Halicki wyłączył fonię i schował ręce do kieszeni. Należało podjąć ostateczną decyzję. Właściwie to już zdecydował. Jadą jutro rano pociągami na południe Europy, tak daleko, jak się tylko da. Później zaczną kombinować. Mają pieniądze. To nie stanowiło problemu. Dostaną tyle gotówki, ile potrzebują. Lepsze to niż posługiwanie się kartą. Bankomaty nie wszędzie działają jak należy. Z drugiej strony, im mniej pozostawią śladów w sieci, tym lepiej. Obce służby przyglądały się Polsce z uwagą -- niektórzy z zazdrością, inni z obawą, w miarę jak słabła ich własna pozycja. Gotowi jeszcze spać to, co oni przygotowywali z takim trudem. Mały przeciek i koniec, a na to nie mogli sobie pozwolić.

Wydawało się, że wentylatory pracują na zwiększonych obrotach, a mimo to temperatura w sali posiedzeń tureckiego gabinetu wciąż wzrastała. Każdy z obecnych mężczyzn stał na czele ministerstwa bądź instytucji ważnej dla należytego działania państwa. Podejmowane przez nich decyzje nadawały kierunek polityce wewnętrznej i zewnętrznej. Przez lata poznali swoje słabe i mocne strony, utrzymując się przy władzy. Wszystkich charakteryzowała pewna drapieżność, pozwalająca przepychać się łokciami do przodu i utrzymać na szczycie. Spośród nich jeden był nowy. Co prawda znali go już wcześniej, ale jak się wydawało, nie doceniali. Potrafił im zaimponować, a to już dużo. Podobnych do niego armia posiadała wielu, choć tylko generał Sulejman Dżabbar charakteryzował się niebywałą błyskotliwością i bezwzględnością, nie tracąc przy tym uroku osobistego. Właśnie został nowym ministrem obrony w miejsce schorowanego poprzednika, którego odesłali na zasłużoną emeryturę.

Każdy z obecnych wiedział jedno -- za Dżabbarem armia stała murem. Właściwie, nie licząc prezydenta, był najpopularniejszym politykiem w kraju. Większość obywateli również poszłaby za nim w ogień. Wystarczyło jedno wystąpienie w telewizji, wzywające do obrony państwa i wiary przed kurdyjskimi barbarzyńcami, by z mało znanego oficera stał się obrońcą kraju.

Był zagrożeniem, ale i szansą. Albo go zdławią tu i teraz, albo pozwolą mu rozwinąć skrzydła. Wszystko zależało od tego, w jakim kierunku potoczy się dyskusja.

Dżabbar dla większości z nich stanowił zagadkę. Był generałem świeckiego państwa, a jednocześnie żarliwym wyznawcą Proroka. W Turcji te dwie rzeczy się nie wykluczały. Do tej pory armia stała na straży wartości, jakie odziedziczyli po ojcu narodu -- Kemal Ataturku. Ilekroć władze skręcały za bardzo z wyznaczonego kursu, generałowie przywoływali je do porządku. W końcu Turcja stała się najpotężniejszym państwem, nie tylko w regionie. Konkurenci odpadali jeden po drugim. Syria od lat praktycznie się nie liczyła. Iran z własnymi ambicjami wciąż pozostawał trochę na uboczu, a szyickie władze Teheranu miały na oku sunnitów z prawa i z lewa, czyli z Iraku i Pakistanu. Rosja wykańczała się sama, powoli spychana za Kaukaz. Egipt grzązł w walkach wewnętrznych. Monarchia Saudów zawisła w próżni. Ceny surowców spadły do stanu nienotowanego od lat. Kto miał kupować ropę, której było w nadmiarze?

Druga niegdyś armia NATO niespodziewanie stała się pierwszą. USA, nawet jeżeli upora się z epidemią, długo nie powstanie z kolan. Niektórzy przewidywali rychły sojusz Ankary i Warszawy oraz powstanie NATO 2, a właściwie Europejsko-Śródziemnomorskiego Sojuszu Wojskowego. Potencjał obu krajów już teraz wystarczał do zaorania wszystkiego, co na wschodzie, od Murmańska po Władywostok. Federacja już dawno stała się państwem trzeciego świata, tyle że posiadającym broń jądrową i środki do jej przenoszenia. I to na razie był jedyny argument, by nie podejmować żadnych działań na tamtym obszarze. Szczur przyciśnięty do muru będzie gryźć.

Nie szkodzi, poczekają, wkrótce obywatele tego pięknego kraju wykończą się sami.

Jedyny przeciwnik, jaki pozostał, był niezmienny od lat, a właściwie od wieków. Wystarczyło zerknąć na mapę i stawało się jasne, gdzie się kryje. Na szczęście potencjały nie były równe. Choćby nawet Grecy stanęli na głowie, nie dadzą rady sprostać Turcji.

-- Jeżeli informacje się potwierdzą i nic nie ulegnie zmianie, to w przyszłym tygodniu dojdzie tam do

kolejnych protestów -- oznajmił szef tajnych służb Janis Karagounis.

Kilku z zebranych parsknęło śmiechem. Co takiego chcą wymusić na Brukseli protestujący -- kolejne dotacje, zawieszenie spłaty długu? Może Grekom dalej wydawało się, że świat wciąż tkwi w tym samym miejscu co przed miesiącem.

-- To żart? -- Nawet prezydent wydawał się rozbawiony.

-- Raczej nie.

-- Są jakieś racjonalne przesłanki?

-- Jedno jest pewne, nie obetną wydatków na obronę. Wprost przeciwnie. Właśnie wyasygnowali kolejne kwoty na modernizację F-16 i zwiększenie parku maszynowego czołgów Leopard o jakieś sto pięćdziesiąt sztuk. Niemcy już zacierają ręce. To nie lada gratka. -- Karagounis jeszcze nie skończył. -- Jak wskazują sondaże, obecne władze mogą liczyć na poparcie jakichś dwudziestu pięciu procent obywateli. Nacjoniści przeszło trzydziestu. Gdyby do wyborów doszło dziś, socjaliści znajdą się w mniejszości.

-- To ekstremiści, nie socjaliści.

-- Zgadza się, panie prezydencie. Są niebezpieczni. Ich retoryka jest antymuzułmańska. Od kiedy Unia przestała im płacić za każdego uchodźcę, zaostrzyli przepisy. Incydent sprzed dwóch dni jest tu wymownym przykładem niechęci do każdego, kto wyznaje prawdziwą religię. Zamiast pomóc, otworzyli ogień.

-- Co z kapitanem Salichem?

-- Jest ciężko ranny. O mało nie stracił ręki.

-- Jak do tego doszło? -- Szeroko otwarte oczy prezydenta wpatrywały się w Karagounisa wyzywająco.

-- "Samsun" został zaatakowany. Komandor Salich odpowiedział ogniem. Zestrzeliliśmy jeden z greckich samolotów. Wkrótce nadciągnęły nowe. Zaliczyliśmy trafienie. Na szczęście okręt utrzymał się na powierzchni, a nasze odrzutowce znalazły się w pobliżu. Grecy wycofali się. Przystąpiono do akcji ratunkowej. Efekt jest znany... -- Karagounis cedził zdania powoli i precyzyjnie.

-- Moim zadaniem to prowokacja.

Prezydent, którego notowania w ostatnim okresie zaczęły spadać, milczał. Czuł, że władza powoli wymyka mu się z rąk. Ton całej rozmowie zaczęli nadawać przedstawiciele struktur siłowych. Jak na razie on i cywilna administracja odpowiadali za wszystko, co działo się w kraju, ale długo to nie potrwa. Co gorsza, kompletnie nie wiedział, co robić. Jeżeli postąpi zbyt gwałtownie, generałowie poczują się dotknięci. Kto wie, jak wówczas zareagują. Podobnie jak on nie mieli nic do stracenia. W zasadniczych kwestiach prezentowali podobne stanowisko, choć drogi wiodące do realizacji głównego celu powoli się rozchodziły.

Prezydent pochylił się nad stołem.

-- Jeżeli nie odpowiemy zdecydowanie, będziemy postrzegani jako... hm...

-- Słabeusze, to pan chciał powiedzieć, panie prezydencie? -- Dżabbar, zamiast siedzieć cicho, dołał oliwy do ognia.

Prezydent zmarszczył brwi. Mała próba sondażu nie zaszkodzi.

-- Doprawdy nie wiem, co w obecnej chwili możemy jeszcze zrobić. Eskalacja konfliktu nic nam nie

da. Grecy to nie to samo co Kurdowie.

-- Czyżby?

To już nie była niezręczność, to wyzwanie rzucone głowie państwa.

Nowy minister obrony zachowywał się tak, jakby to on rozdawał karty. Im dłużej toczyli tę nieszczęsną dyskusję, tym bardziej podkopywał autorytet prezydenta. Dżabbar wylądował na stołku szefa sił zbrojnych, bo był popularny, ale to jeszcze nie powód, by mówić, co on, w końcu najwyższa osoba w państwie, ma robić.

-- Pan się chyba zapomina. -- Nominacja, którą otrzymał, może zostać równie szybko cofnięta. Znalezienie kogoś bardziej uległego nie powinno stanowić problemu.

Prezydent przebiegł wzrokiem po twarzach zgromadzonych. Maskowane na nich emocje najlepiej świadczyły o tym, że niekoniecznie popierają stanowisko dotychczasowego szefa.

Poczekajcie, kiedy ja polecę, to wy polecicie ze mną -- nie był szczególnie mściwy, lecz inaczej nie potrafił o nich teraz myśleć. Zapamięta sobie każdego z tych chwiejnych polityków, którzy dla własnej korzyści gotowi są zdradzić.

-- Mam wrażenie, że nasza dyskusja staje się jałowa -- stwierdził minister obrony, bo właśnie na nim zawisły spojrzenia zgromadzonych. -- Panowie, proponuję z podjęciem wiążących decyzji poczekać do jutra. Zobaczymy, jakie stanowisko zajmą Ateny. To przecież na Greków spada odpowiedzialność za wszystko, co zaszło. My... musimy to powiedzieć otwarcie -- jesteśmy jedynie ofiarami. Ofiarami bezwzględnej i ludobójczej polityki nieodpowiedzialnego rządu.

Ministrowie wydawali się zadowoleni z takiego obrotu spraw. Nic nie zostało ostatecznie zdecydowane. Tak właśnie było najlepiej. Poczekają, co zrobi przeciwnik. Jeśli protesty przebiegną gwałtownie, być może rząd poda się do dymisji i dojdzie do przedwczesnych wyborów. Wtedy okaże się, z jakim problemem przyjdzie im się mierzyć.

Minister obrony świeckiej Republiki Tureckiej, generał Sulejman Dżabbar, nie lubił odkrywać wszystkich kart od razu. Zawsze należało zachować coś dla siebie. Nim udał się do domu na zasłużony odpoczynek, pojechał do ministerstwa. Nie wszystkie sprawy zaplanowane na ten dzień zostały załatwione. Właściwie została jedna, za to najważniejsza.

Gościa, z którym miał się spotkać, znał od dawna i za każdym razem, gdy stawali twarzą w twarz, była to dla niego emocjonująca chwila.

Mohammad stanowił dla generała niekwestionowany autorytet, choć mało kto dostrzegłby w tym drobnym pięćdziesięcioletnim mężczyźnie z siateczką zmarszczek pod oczami wojownika za wiarę, a przecież tak właśnie było. Od dwudziestu lat na froncie -- nie, nie tym z czołgami i samolotami, tylko politycznym. Można powiedzieć, że nie wychodził z okopów. Jego poglądy do pewnego stopnia kształtowały postawę przywódców Państwa Islamskiego. Niezmordowanie przemierzał Północną Afrykę oraz Bliski i Środkowy Wschód, konsultując się, namawiając do walki i podsycając salaficki opór przeciwko wojskowym reżimom i politycznym tyranom.

Za rządów Mubaraka w Egipcie wyłądował w więzieniu. Spędził tam trzy miesiące, po czym został zwolniony. Nie przedstawiono ostatecznych dowodów jego winy. Po prostu znalazł się w złym czasie i złym miejscu.

Od tamtej pory zrobił się jeszcze ostrożniejszy. Wiedział, że służby wywiadowcze mają go na celowniku. Na parę miesięcy zaszył się w Maroku, wyczekując, aż sytuacja dojrzeje do wybuchu.

Nie czekał długo. Zaczęło się od Tunezji, a potem już poszło. Wstrząsy przeszły przez niemal wszystkie państwa muzułmańskie. Mohammad nareszcie znalazł się w swoim żywiole. Był z libijskimi powstańcami, gdy ci dopadli Kadafiego, i na placu Tahrir, kiedy obalano Mubaraka. Nie wszędzie wygrali, ale z tego całego zamieszania wyłoniła się nowa jakość -- kalifat. Od tamtej pory poświęcił mu wszystkie siły.

W końcu Allah wyciągnął do wiernych swoją pomocną dłoń. Koalicja, nękając nalotami oddziały i grupy dżihadystów, przestała istnieć, a na dodatek wielki szatan został ukarany. Nie obchodziło go, jak to się stało.

Allahu akbar.

Już wkrótce sztandar Proroka zdominuje świat. Wystarczy ostatni wysiłek.

-- Witaj, bracie. -- W czarnej marynarce i białej koszuli Mohammad nie wyglądał na bojownika świętej sprawy.

Obaj mężczyźni uściskali się.

-- Nie byłem pewny, czy przyjedziesz -- powiedział Sulejman Dżabbar.

-- Niezbadane się ścieżki, którymi podążają myśli Proroka -- odpowiedział z uśmiechem Mohammad.

-- Ale udało się, a ty, bracie, dostąpiłeś nowych zaszczytów.

-- Wszystko z pomocą Najwyższego. -- Generał uśmiechnął się skromnie. -- Mamy wiele do omówienia.

-- Czy jesteś gotowy?

-- A czy można być gotowym na chwałę?

Prezydent otworzył oczy i zerknął na elektroniczny zegar stojący obok łóżka. Dochodziła piąta rano, a jego obudziły hałasy dobiegające z dołu.

Próbował je zignorować, przykładając głowę do ciepłej poduszki. Nic z tego. Zdaje się, że słyszał jakąś rozmowę prowadzoną podniesionym głosem, choć słów nie rozumiał.

Niech ci kretyni na dole w końcu się uspokoją. Czy nie należy mu się wypoczynek po ciężkim dniu?

Kiedy ma spać, jak nie w nocy?

Obrócił się na drugi bok. Koniecznie chciał wrócić do przerwane go snu. Już nie pamiętał, co to było, ale na pewno...

Łomot ciężkich butów na schodach sprawił, że ocknął się w jednej sekundzie. Dławiący strach ścisnął mu gardło. W absurdalnym odruchu podciągnął kołdrę aż po samą szyję.

Ochrona nie interweniowała, była więc w spisku czy też nie? Co gorsza, po początkowych okrzykach wszystko odbyło się w miarę spokojnie.

Zerknął w stronę nocnego stolika. Tam, w szufladzie, schował na wszelki wypadek pistolet. Szybko się zdecydował. Odrzucił okrycie i sięgnął po broń. Nie wezmą go bez walki. Pokaże tym bękartom, co to znaczy godność.

Zamek w drzwiach pod wpływem ciężaru puścił niemal od razu. W sypialni zaroilo się od mundurowych. A więc jednak. Wojsko przeprowadziło zamach stanu. Powinien był to przewidzieć.

-- Panie prezydencie... -- do przodu wysunął się oficer z dystynkcjami pułkownika -- proszę nam nie utrudniać.

Dłoń już prawie zacisnęła się na rękojeści pistoletu. Był tak blisko, a jednocześnie tak daleko.

-- Niech pan zabierze tych ludzi z mojej sypialni. -- Mimo strachu głos mu nie zadrżał.

-- Nie mogę. Takie otrzymałem rozkazy.

-- Czyje?

-- Generała Sulejmana Dżabbara.

-- Jeżeli macie mnie rozstrzelać, to proszę się nie wahać. -- Właściwie był na to gotowy. Parszywe generalskie psy nie będą nim pomiatać.

W pomieszczeniu oprócz prezydenta znajdowało się około piętnastu osób, w większości wojskowych, choć nie brakowało osobistych ochroniarzy i kamerdynera stojącego przy łóżku z szlafrokiem przerzuconym przez ramię.

-- Brak wam odwagi? -- ostatnie słowa wychrypiał.

-- O czym pan mówi, panie prezydencie?

Prezydentowi zrobiło się słabo. W trzewiach narastała wielka gęstwa strachu. Z wielkim trudem panował nad emocjami. Błysk w oczach oficera i delikatny uśmiezek uświadomiły mu, że może nie wszystko jeszcze stracone.

-- Zgodnie z poleceniem, jakie otrzymałem, ma pan pozostać w areszcie domowym. My zajmiemy się resztą.

-- Jaką resztą? Podnosicie rękę na najwyższy urząd w państwie. To zamach na republikę...

-- Proszę się uspokoić. Krzykiem do niczego nie dojdziemy.

-- To... to... oburzające. -- W końcu odrzucił kołdrę i, korzystając z pomocy kamerdynera, włożył szlafrok. -- W tym kraju są ludzie, którzy nie pozwolą...

-- Panie prezydencie, za kilka godzin generał Dżabbar zatelefonuje do pana osobiście i wytłumaczy, dlaczego tak postąpił. Jest wielce prawdopodobne, że dojdziecie do porozumienia. W końcu nam wszystkim zależy na dobru ojczyzny. My tylko przyspieszamy pewne procesy.

Prezydent przecesał palcami zmierzwiłone włosy. Przyspieszają pewne procesy, dobre sobie. Armia to instrument, oni nie nadają się do polityki. Państwem nie da się zarządzać tak jak dywizją wojska. Tu istniało zbyt wiele zmiennych. Tylko w jednym ten pułkownik miał rację -- jak będzie się tak denerwował, szanse wyjścia z tej matni zmniejszą się do zera. Poczekamy, zobaczymy. Najbliższe godziny będą decydujące.

Do granicy słowacko-węgierskiej dotarli we względnym komforcie. Powiedzieć, że w pociągu były wolne miejsca, to eufemizm. Do Bratysławy podróżowało jedynie parę osób, nie więcej niż dziesięć. Poza tym pustka, nawet w drugiej klasie. Każdy z nich mógł zająć osobny przedział i wygodnie ułożyć się do snu. Nikt im nie przeszkadzał. Personel wydawał się znudzony. Kompletnie nic się nie działo.

Wysiedli na przejściu w Szobie. Dalej pojechali autokarem do stolicy Węgier. Nie trwało to jakoś szczególnie długo.

Halickiemu zdarzyło się przebywać w Budapeszcie trzykrotnie. Ostatni raz to będzie... Dziesięć lat temu? Nie, raczej dwanaście. Jak się na to spojrzy z perspektywy -- szmat czasu. Od ostatniego pobytu trochę się tu zmieniło. Na ulicach, skwerach i w parkach dostrzegał przybyszów ze Wschodu, kobiety w chustach i grupki śniadych mężczyzn. Nie chodziło o to, że zdominowali otoczenie. Dla większości z nich Węgry to nie był szczyt marzeń, ale lepszy Budapeszt niż Aleppo, Damaszek czy Bagdad. Tu nikt do niko go nie strzelał.

Jeszcze.

Przybysze wnieśli pomiędzy dziewiętnastowieczne kamienice i zabytki dawnej habsburskiej monarchii pewien powiew egzotyki. Kiedyś panowali tu Turcy. O tym również nie należało zapominać.

Gdy wysiedli, od razu pojawiło się przy nich kilku ulicznych handlarzy. Czego potrzebują? Jak zapłać, dostaną wszystko -- od plastikowego odlewu katedry świętego Stefana po używki, a może...

Major odepchnął faceta wyglądającego na Albańczyka. Tamten odszczeknął się, określając Halickiego mianem takiego, co to lubi chłopców. Po bałkańskich misjach major znał dość słów, by wiedzieć, co tamten do niego mówi. Odpowiedział równie wulgarnie, dorzucając parę przekleństw po serbsku, które niegdyś przyswoił.

Efekt był iście piorunujący. Albańczyk zapomniał języka w gębie. O to chodziło. Przepchnęli się przez gęstniejący tłum i znaleźli wolną przestrzeń.

-- Czego chciał? -- zapytał Sznajder.

-- Eee, takie tam...

-- Co robimy? -- Galiński rozglądał się ciekawie.

-- Popatrzemy, co tu jest -- odpowiedział major. -- Może znajdziemy transport.

-- Więc na dworzec?

-- Tak będzie najlepiej.

Teraz droga wiodła przez Sofię lub Zagrzeb. Wszystko zależało od tego, co się nadarzy.

Dworzec Keleti wyglądał gorzej niż ulica. Tu już przynajmniej jedną trzecią podróżnych stanowili przybysze spoza Unii. Przypominało to trochę skrzyżowanie przedszkola z jarmarkiem. Sporo policji. Funkcjonariusze próbowali wprowadzić jaki taki ład w tym zamieszaniu. Kasy pracowały tylko dwie. Kolejki przy nich były gigantyczne. Wszędzie walały się papiery, szmaty i puste plastikowe butelki.

Jeżeli tu, jak twierdziły władze, panował porządek, to jak sytuacja wyglądała bardziej na południu?

Ustawił od razu Artura i Roberta w obu ogonkach, a sam poszedł sprawdzić tablicę objazdów. Portfel wsunął do kieszeni spodni. Jak wyparuje, koniec podróży.

Kiedy wreszcie dojrzał pod wyświetlacz, przeżył rozczarowanie. Połączenia ze światem dawało się policzyć na palcach jednej ręki. Skład do Wiednia, drugi do Koszyc, jakiś pociąg do Pilzna, inny do Odessy. Czyżby Madziarzy przestali jeździć na południe? Gdzie Bukareszt czy Stambuł?

Jeśli nie kolej, to co?

Machnął na Galińskiego, ten przywołał Sznajdera i we trzech wyszli przed dworzec. Powoli zaczęli tracić rzeźkość i świeżość. Na twarzach majora i porucznika pojawił się ciemny zarost, którego postanowili nie golić. W końcu gorliwi wyznawcy Proroka noszą brody.

Powłócząc nogami, poszli w kierunku dworca autobusowego. Tam w końcu dopisało im szczęście. Mocno poobijany bus odjeżdżał do Belgradu. Zapakowali się do niego bez namysłu. Miejsca wypełnione były najwyżej w połowie. No jasne, kto będzie się pchał tam, gdzie oni.

Ruszyli kwadrans później. Zachodzące słońce późnego popołudnia rzucało długie cienie. Trochę trwało, zanim wydostali się ze ścisłego centrum. Korek sprawnie rozładowali policjanci. Kolumna wojskowych ciężarówek jechała przez jakiś czas w tym samym kierunku. W końcu pojazdy skręciły na Székesfehérvár, a oni pojechali przez Szeged. Jeśli nie wydarzy się nic niespodziewanego, jutro dotrą do Belgradu, a tam wszystko zacznie się od początku. Może od razu znajdą podwózkę, a jeżeli nie, to odpoczną dzień lub dwa. W końcu nie trzymali się konkretnego terminarza.

Duszę Artura Sznajdera przepełniała radość, którą skrywał za ponurą miną. Już myślał, że tej chwili nigdy nie doczeka. Tracił nadzieję. Od siedzenia w celi o mało nie zwariował. Pierwsze tygodnie były najgorsze. Przesłuchania ciągnęły się przez całe dni, z krótkimi przerwami na posiłki i modlitwę. Wiedzieli, co robił przez większą część życia. Nie stanowiło dla nich tajemnicą nawet to, co jadł podczas kolonii w Pogorzelicach, na które wysłali go rodzice w 1996 roku. Byli tacy dobrzy, że Gestapo i UB mogłyby się od nich uczyć. O drobiazgach w rodzaju świadectw czy dyplomów nie było co mówić. W końcu żył na przełomie dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku, a nie w jakimś cholernym średniowieczu.

Krótko mówiąc, wiedzieli wszystko. Właściwie to należałoby powiedzieć -- takie sprawiali wrażenie.

Arturowi nie chciało się o tym myśleć. Zdawał sobie sprawę z tego, jak jest. W końcu przeszedł odpowiednie szkolenie.

Wątkowali głównie to, co robił, gdy przebywał poza granicami kraju, a więc Bliski Wschód. Ukraińskie "wyczyny" mniej ich interesowały, choć i w tej sprawie można było popracować nad każdym drobiazgiem.

Jeżeli chodzi o kalifat, tu go zaskoczyli. Nie byli takimi idiotami, na jakich wyglądali. W co najmniej połowie przypadków szukali jedynie potwierdzenia. Pytali o imiona i nazwiska poszczególnych kometantów polowych, a nawet bojowników, kraje, z których pochodzili, numery seryjne broni, strukturę dowodzenia, łączność, relacje w grupie. Kazali mu przejrzeć tysiące zdjęć i filmików z YouTube -- kogo znał dobrze, a kogo jedynie z widzenia. Nieraz budzili go w środku nocy i zadreczali jakimiś duperelami. Jak się domyślał, nie chodziło o tworzenie bazy danych, tylko o natychmiastową informację. Wojna prze-

cież właśnie się toczyła.

Swoją wiedzę sprzedawał powoli, zawsze mając w zanadrzu schowanego asa. Przynajmniej umysł pracował, a on nie popadał w kompletny marazm. Czekał. Wiedział, że Allah jest miłosierny i w końcu uwolni swojego sługę.

Jak się okazało, nie mylił się.

Siedzący obok Robert był jak kurczaczek, któremu w każdej chwili można ukrećić tę chudą szyjkę. Podobno specjalista od islamu. Znał arabski i jakieś dialekty lepiej od niego, to fakt. Kwestiami religijnymi, politycznymi i społecznymi żonglował jak cyrkowiec. Wiedzę posiadał imponującą, ale co z tego, skoro nie miał doświadczenia. Podobno służył w elitarnej jednostce. Dobre sobie.

Na pytanie, ilu ludzi zabił, zamknął się i milczał przez cały dzień.

Halicki to zupełnie inna historia. Właśnie on przyczynił się do uwięzienia Artura, który o majorze nie myślał inaczej niż jako o skurwysynie, bezwzględnym mordercy, idącym do celu po trupach. Żołnierze, wojownicy Allaha czy cywile -- nie cofnie się przed niczym. Niby łagodny jak baranek, taki do rany przyłóż. Nic bardziej mylnego. Trochę się go bał. Obaj doskonale wiedzieli, jaka jest ich rola w tej całej komedii. Sznajder zastanawiał się, jak postąpić. Gra na dwie strony to szaleństwo.

Westchnął. Z tyłu busa zaczęły dobiegać dźwięki bałkańskiego rocka. Pięciu Serbów podróżujących wraz z nimi resztę pasażerów miało w dupie. W końcu wyciągnęli butelki z rakiją i zaczęli się nią raczyć, przekrzykując się nawzajem. Nadeszła pora wieczornej modlitwy. Starał się skupić na zapamiętanej surze.

Nic z tego. Poirytowanie narastało i w końcu będzie musiało znaleźć ujście. Major siedział z przodu i nie reagował. Może drzemał. Galiński gapił się w okno. Jakieś małżeństwo i dwie starsze kobiety -- wszyscy udawali, że nic się nie dzieje. Jest miło i przyjemnie.

Obejdzcie się bez pomocy.

Wstał i pochylony ruszył na tył pojazdu. Na ustach szeroki uśmiech. Wyglądał tak, jakby chciał się przyłączyć do libacji. Serbowie gapili się na niego i nie reagowali. Bawili się w najlepsze.

Podszedł więc do tego, który właśnie przechylił butelkę i pociągał z gwinta. Opasły wieprz, jakieś sto trzydzieści kilo wagi. Był tak gruby, że zajmował dwa siedzenia. Świńskie oczka łypały na Artura z czystą złośliwością.

Dłoń Sznajdera wystrzeliła niespodziewanie, uderzając w grube denko. Szyjka zmiażdżyła gościowi usta i wybiła siekacze. Serb zakrztusił się, próbując wypluć pokruszone zęby i drobiny szkła.

Nic z tego. Polak naparł całym ciałem, wpychając butelkę w gardło konesera mocnych trunków. Krew i rakija zaczęły chlustać na boki. Towarzysze nieszczęśnika zamarli. Tego się nie spodziewali.

-- Wyłącz to gównno albo go zabiję.

Łomot ucichł jak ucięty nożem. Serb próbował się podnieść, co skutecznie uniemożliwiało mu wąskie przejście, tusza oraz ciężar Sznajdera.

Artur w końcu uznał, że tamten ma dość. Przestał napierać i szybko się odsunął. Grubas przechylił głowę i zwymiotował całą zawartość żołądka, z czego większość stanowiła woda.

Wystarczyło. W busie zrobiło się cicho jak makiem zasiał. I było tak do samego Belgradu.

Pewnych rzeczy należało dopilnować osobiście. Jak mówią -- pańskie oko konia tuczy.

Coś w tym było. Świat się nie zawali, jeśli wybierze się na małą przejażdżkę. W końcu to jeden z najważniejszych projektów, na jakich się skupiał. Cała reszta musiała poczekać, a poza tym..

Właśnie otrzymał generalską nominację. Już nie pułkownik, tylko generał brygady Emil Banach.

Brzmiało niezłe. Najważniejsze, że zwierzchnicy docenili jego starania, choć równie istotne było zachowanie elastyczności w zmieniających się warunkach, o tak... Jeżeli szybko nie znajdą się w pierwszym rzędzie najpotężniejszych państw na tym globie, zginą. Kwestia czasu wydawała się decydująca. Stanowisko, jakie piastował, dawało sporą autonomię. Niewielu osobom musiał tłumaczyć się z tego, co robi. Wczoraj poprosił o śmigłowiec do dyspozycji w celu odbycia podróży inspekcyjnej, a dziś rano wszystko było już przygotowane.

WS-3 Sokół wystartował z Warszawy, by po trzech godzinach lotu znaleźć się w Gdańsku. Z góry Banach dobrze widział to, czego nie dostrzega się, stąpając po ziemi. Jeszcze jako młodemu podporucznikowi zdarzało mu się podróżować transportem powietrznym. Nie sądził wówczas, że w ciągu ćwierćwiecza dokonają takiego postępu. Powoli, bo powoli, ale kraj się zmieniał, czy ktoś tego chciał czy nie. On pragnął nadać tym zmianom odpowiedni kierunek.

Trójmiasto przywitało ich słoneczną pogodą. Zaraz po wylądowaniu przemaszerował do podstawionego terenowego mercedesa z przyciemnionymi szybami. Żeby się nie spocić, nim wsiadł, zdjął marynarkę, pozostając w samej błękitnej koszuli. Dwaj ochroniarze z Mini-Berylamy w dłoniach i uzbrojony szofer zajęli swoje miejsca. Banach nie bał się zamachu, po prostu uważał, że należy być przygotowanym na najgorsze. Terenówka pomknęła ku miejskiej obwodnicy.

Szeroka na trzy pasy w każdą stronę arteria ułatwiała przemieszczanie się i choć ruch odbywał się w miarę płynnie, to już niedługo może okazać się niewystarczająca. W ciągu niespełna paru tygodni populacja Trójmiasta wzrosła o dwadzieścia tysięcy mieszkańców. Wkrótce będzie ich jeszcze więcej. Szacunki analityków mówiły ostrożnie o stu tysiącach w ciągu najbliższych osiemnastu miesięcy, co od razu pociągnie za sobą potrzebę budowy nowych osiedli mieszkaniowych w całym pasie od Wejherowa po Pruszcz Gdański. Gdy w końcu w strefie pojawi się kilkanaście nowych fabryk i montowni, a ze stoczniowych pochylni zaczną spływać na wodę statki i okręty, Trójmiasto stanie się nowym centrum finansowo-przemysłowym. W Europie podobne znaczenie posiadało tylko kilka ośrodków -- niewątpliwie Londyn, na pewno też Amsterdam, może Brest z racji dogodnego położenia, Ateny... Dla Polski to zupełnie nowa jakość. Ilekroć o tym myślał, samo wyzwanie wydawało się jak z księżycy wzięte.

A jednak. Powstanie tu Hongkong w wersji środkowoeuropejskiej. Kto będzie stał w miejscu, zginie.

Generał sięgnął po laptop. Otworzył odpowiednią zakładkę i przejrzał najnowszą wersję projektu. Najbardziej imponująco prezentował się kampus naukowy. Moloch ze szkła i stali. Będą tam pracować nad zaawansowanymi technologiami. Lista projektów, czekających na zaaprobowanie, ciągnęła się przez bite trzy strony. O przeniesieniu części z nich należało pomyśleć już teraz. Nowymi reaktorami jądrowymi trzeciej generacji zajmą się w Warszawie, a aparaturą szyfrującą to chyba w Radomiu? W głowie mu się zakręciło od cyfr i wykresów. Specjalne środki, jakie wyasygnowano z budżetu, powinny zwrócić się w

ciągu najbliższych paru lat. W zamian zyskiwali potencjał i bazę. Staną się konkurencyjni. Kto powie-
dział, że dominującym krajem w regionie mają być Niemcy czy Federacja Rosyjska?

Gdziekolwiek nie spojrzeć, we wszystkich kierunkach rozciągał się plac budowy. Na powierzchni kil-
kunastu hektarów trwała wyteżona praca. Setki ludzi i ciężki sprzęt budowlany uwijały się jak w ukropie.
Powietrze niemal drżało od wibracji.

Banach założył ręce do tyłu i w towarzystwie czujnych ochroniarzy ruszył na spacer. Starał się stąpać
po resztkach darni, inaczej kompletnie utyła się błockiem. Zatrzymał się obok kępy drzew. Na jego ubra-
niu osiadł pył, ale nie przejął się tym wcale.

Czegoś podobnego właśnie pragnął.

Z tego, co pamiętał, tam powstanie lądowisko dla helikopterów i małych samolotów, a obok warszta-
ty. Toruń nie poradzi sobie ze wszystkim. Już teraz się nie wyrabiał. A co z większymi samolotami trans-
portowymi? Apache i Blackhawki skierować do Świdnika, resztę do Mielca. Potem zaczną kombinować,
jak dopasować F-35 do nowych warunków. W Orłowie powstanie nowoczesny szpital na pięćset łóżek.
W końcu w Stanach wciąż wegetowały miliony obywateli. Wcześniej czy później któryś z nich trafi na
stary kontynent.

Należało przygotować się na każdą ewentualność. Montownie, kompleksy naukowe, szpital -- to jesz-
cze nie wszystko. Medialna przestrzeń nie znosiła próżni. Dziennikarze szaleli, mając taki temat na podo-
rędziu. Nie tylko zresztą oni. Każdy chciał coś uszczknąć z tortu, który wydawał się tak duży, że dzielono
go wciąż od nowa i dla nikogo nie brakowało.

Były jednak sprawy, o których nie mówiło się głośno, jak choćby nowa stacja nasłuchowa niedaleko
Łeby. Parę niewysokich budynków i anteny. Wszystko szło na konto jednej z firm telekomunikacyjnych.
Sami cywilni pracownicy. Dyskretna ochrona. Nic, co rzucałoby się w oczy, a tak naprawdę jeden z waż-
niejszych projektów, jakie wdrażali. Gdy tylko zostanie ukończony, będą wiedzieć, o czym mówiło się w
całym basenie Morza Bałtyckiego, nie wyłączając Berlina. Radar opodal Ostródy to równie pożyteczna
zabawka. Przez granicę nie przedostanie się nawet komar. Zasięg aż po Ural. Przydatny element obrony,
bo sprzęgnięty z bateriami rakiet Patriot PAC-3.

Niektórych problemów nie da się prędko rozwiązać. Tak było z amunicją ze zubożonym uranem. Ja-
kieś niewielkie zapasy pocisków do dział kalibru 120 milimetrów i znacznie mniejszych, trzydziestomili-
metrowych armat istniały. W przypadku konfliktu o niskiej nawet intensywności magazyny opustoszeją w
rekordowym tempie, a skuteczność środków bojowych spadnie o połowę. Tu nie można było nawet my-
śleć o żadnej prowizorce. Środki zastępcze się nie sprawdzą. Potrzebowali uranu. Polska już dawno po-
winna posiadać kilka reaktorów. Wieloletnie zaniedbania w tej dziedzinie wyraźnie dawały o sobie znać,
a brednie tak zwanych ekologów i histeria nieświadomych obywateli podpuszczanych przez specjali-
stów, których z kolei wynajmowały firmy lobbingowe, złościła Banacha niepomnie. W reaktorach trze-
ciej generacji dawało się zużyć niewykorzystane odpady radioaktywne. Niemniej fakt pozostawał faktem
-- Polska strategicznych zapasów uranu nie posiadała, a nikt nie kwapił się z propozycją sprzedaży.

Pozostawał wolny rynek. Kopalnie w Afryce działały nieprzerwanie. Jak nie tam, to może przez Ukra-
inę? Nad tym problemem musi się zastanowić głębiej. Sam uran to połowa sukcesu. Droga do armatniej

lufy jeszcze daleka. Technologia montażu stanowi osobne zagadnienie. Produkcji nie uruchomią przecież z dnia na dzień.

A swoją drogą, do tej pory nie potrafił wyjść ze zdumienia, jak szybko wszystko się potoczyło. To, co dla jednych było klęską, dla nich okazało się szansą. Szkoda, że nie mógł sięgnąć po najlepszych specjalistów. Ci pozostali w Stanach. Chociaż eksperci, których przysłał Clark, to też nie były kto. Byli wśród nich reprezentanci głównych uczelni technicznych i niemal wszystkich kierunków. A że Clark namówił ich do przyjazdu, również nie wydawało się niczym nadzwyczajnym. Jak się człowiekowi usuwa grunt pod nogami, chwyta się nawet brzytwy.

Wielu spośród tych, którzy początkowo zamierzali osiąść gdzie indziej, w ostateczności trafiło do Polski. Co robić w takiej Słowacji czy Estonii, skoro większość znajomych znalazła się w Krakowie, Warszawie lub Poznaniu? Kraje, które początkowo psioczyły, ponieważ nie zorientowały się, jaką straciły szansę. Żadne zapewnienia już tego nie zmieniają.

Banach nie miał złudzeń -- sukces zawdzięczał Clarkowi. Facet posiadał dar przewidywania. Potrafił też odnaleźć się w nowych warunkach.

Dalsze rozmyślenia przerwały wibracje telefonu.

-- Tak...?

-- Panie generale, właśnie dostaliśmy informacje dotyczące nowego incydentu na Morzu Śródziemnym.

-- Słucham. -- Poczyny Turcji były coraz bardziej niepokojące, od kiedy wojsko zaczęło przetrzymywać prezydenta republiki w areszcie domowym. Wszystko mogło się zdarzyć. Bezpośrednio nie dotyczyło to Polski, ale jak się okazuje, świat jest nad wyraz mały.

-- Z wybrzeża Libii wystrzelono rakietę, która trafiła we włoską fregatę. Jest ponad pięćdziesiąt ofiar... Okręt płonie.

No tak, Afryka Północna, tam zawsze dużo się dzieje.

-- Kiedy do tego doszło?

-- Jakieś trzydzieści minut temu.

-- Dobrze, informujcie mnie na bieżąco.

Dziś -- ci zawsze coś wymyślą. Uaktywnili się, od kiedy zaprzestano nalotów. Tylko patrzeć, jak rozdrapią Jordanię i Egipt, a wtedy to już będzie prawdziwy kalifat.

Zdaje się, że niedawno wysłano tam jakiś zespół. Musi zapytać Chmury, jak sobie radzą, bo na razie na tym odcinku panowała cisza.

Zawrócił. Pora do centrali. Jak widać, bez niego się nie obejdzie.

W Belgradzie nie zabawili długo. Właściwie od razu przesiedli się do autobusu podążającego do Skopje. W sumie po osiemnastu godzinach nieprzerwanej podróży wysiedli w stolicy Macedonii, nie bardzo wiedząc, którądy jechać dalej. Najrozsądniejszym kierunkiem wydawały się Ateny. W końcu to duże miasto i być może uda się znaleźć jakiś samolot rejsowy bądź czarter, który przewiezie ich ponad turkusowymi falami Morza Egejskiego.

Skopje byłoby całkiem znośne, gdyby nie kłębiące się na ulicach tłumy. Gorący oddech Południa wyraźnie dało się tu odczuć. Miejscami trudno było się precyzyjnie przemieszczać. Uchodźcy koczowali wszędzie, gdzie mogli, i nie bardzo było wiadomo, co z nimi zrobić dalej. Wyjazd do Austrii, Niemiec czy Skandynawii stał się niemożliwy. Na razie wegetowali tutaj. Już co piąty mieszkaniec wydawał się Syryjczykiem albo Erytrejczykiem.

Na publiczny transport nie mieli co liczyć. W końcu Sznajder wpadł na jedyny, jak się zdawało, rozsądny pomysł -- kupią samochód, oczywiście nie z salonu, tylko używanego rzecha, który dowiezie ich do Aten. Później się go pozbędą. Na krótką chwilę wybuchła sprzeczka pomiędzy nim a Halickim na temat tego, dlaczego już na początku nie wybrali takiego rozwiązania.

W jedyny sensowny powód, jaki przyszedł majorowi do głowy, że za bardzo rzucaliby się w oczy, Artur nie uwierzył. Robert też nie wydawał się przekonany.

Zaczęli myśleć o tym, jak zdobyć własne cztery kółka. Tu z kolei inicjatywą wykazał się Galiński -- wystarczy zapytać pierwszego lepszego kierowcę taksówki. Na pewno nie odeśle ich z kwitkiem.

Sprawa okazała się prostsza, niż myśleli. W ciągu godziny Robert stał się właścicielem pięknej czerwonej dacji logan. Wóz był sprawny, z kompletem papierów, i choć nie dopatrzyli się najmniejszej usterki, i tak czuli, że przepłacili. Na osłodę dorzucano im mapę Grecji. Skąd ta wyjątkowa okazja? Halicki nie miał wątpliwości, że zostali wydymani. Byli pewni, że wóz rozkraczy się na górskiej drodze.

Jeśli nie spróbują, to się o tym nie przekonają.

Faktycznie, po godzinie pod maską coś zaczęło dudnić, ale jechali dalej. W końcu Ateny to nie koniec świata. Przynajmniej wydostali się ze Skopje.

Prawie dobę spędzili na granicy, czekając na wjazd do Grecji. Wiele tu można było zrozumieć. Właśnie tędy tłumy uchodźców starały się wydostać, obierając kierunek na północ.

Celnicy byli opryskliwi i arogancy. Trzech typów w dacji nie podobało im się ani trochę. W końcu do Sznajdera dotarło, dlaczego nie jadą wozem od samej Polski. Każda kolejna granica -- ten sam problem. Są podejrzani. To jasne. Z podręcznym bagażem niby gdzie się wybierają -- na wakacje?

Z Macedończykami nie było problemu. Ci chcieli wypchnąć wszystkich poza własne granice. Grekom natomiast wydawało się, że każdy przyjezdny jest ich wrogiem. Pogranicznicy poruszali się stadami. Nie mniej niż w pięciu, w tym jeden z długą bronią. Wyglądało to tak, jakby spodziewali się inwazji. Wszystkim dookoła udzielał się ich niepokój. Z okien samochodu obserwowali, jak grupy Arabów odprowadzano na bok i ładowano do autobusów. Mężczyźni szli w milczeniu, kobiety lamentowały, a dzieci darły się wniebogłosy. Wszystkim puszczały nerwy.

Gdy przysłała pora na nich, od razu kazano im zjechać na bok. Chyba wzięto ich za przemytników.

Okazali paszporty, które jeden z funkcjonariuszy zabrał ze sobą. Długo trwało, zanim pojawił się ponownie. Daciej niemal rozebrano na części. Bagaże osobiste przejrzano wielokrotnie. Byli czyści jak łąza. W końcu zezwolono im na wjazd. Odjechali szybko, nie oglądając się za siebie.

Parę kilometrów dalej natknęli się na całe miasteczko namiotowe, gdzie przebywały tysiące uchodźców.

Ten ogrom nieszczęścia i na nich zrobił wrażenie, a przecież byli dopiero w Grecji. Kto wie, co ich czeka bardziej na południu?

Kolejne kontrole napotykali co kilkadziesiąt kilometrów. A to policja, a to wojsko. Gąsienicowe M113 blokowały szosy. Nikt nie próbował być miły. Czasy uśmiechów i poklepywania po plecach skończyły się definitywnie.

Zatrzymali się w jakimś miasteczku. Posiłek w podrzędnej knajpie kosztował tyle, co w Hiltonie. Zmyli się równie szybko, jak się pojawili. Już lepiej robić zakupy w wielkich sieciowych sklepach. Przy najmniej nie poczują się oszukani.

Pod wieczór zjechali z szosy i zaszyli się na nocleg w niewielkim jarze. Z trzech stron otaczały ich łagodnie pagórki porośnięte drzewkami oliwnymi, a z czwartej roztaczał się widok na niewielką dolinę. Prawie nie rozmawiali, ułożyli się pod kocami i szybko zasnęli. Do Aten pozostało niewiele ponad dwieście kilometrów. Ruszyli o poranku. Wybrali boczny szlak, licząc się z częstymi kontrolami na wjeździe do stolicy. Sznajder prowadził i robił to z wyraźną przyjemnością.

Ateny, osiemsettyśmioczną metropolię wtłoczoną pomiędzy góry a morze, napędzał strach. Tłok, hałas, smród spalin i obezwładniający upał trzymały miasto w niebezpiecznym uścisku.

Wydawało się, że przybyli do jednej ze wschodnich stolic, a nie do kolebki europejskiej kultury. Ilość przybyszów z południa przekraczała wszelkie wyobrażenie. Już nie setki czy tysiące ludzi, ale dziesiątki tysięcy uchodźców. Galińskiemu wydawało się, że to kolejna armia perskiego króla Kserksesa dokonuje podboju, tym razem na dobre. Aż dziw brał, skąd się ich tylu wzięło.

Wydostali się z jakiegoś koszmarne korka i zjechali w boczną uliczkę. Przed nimi wyrosły sterty śmieci, piętrzące się na trzy-cztery metry. Smród i roje much wprost ścinały z nóg. Tu chyba nikt się nie przejmował takimi szczegółami. Najwidoczniej służby miejskie skierowano do innych zadań. Wywóz odpadów znajdował się na końcu listy priorytetów.

Mimo zakazu wjazdu pojechali dalej, lawirując pomiędzy samochodami i skuterami. Ktoś się na nich wydarł, odpowiedzieli tym samym. Im dalej się zapuszczali, tym robiło się koszmarniej. Za nimi od słońca ulicę chroniły rachityczne akacje, dalej był już tylko beton. Jakies dziesięć minut stali za ciężarówką, której kierowca zaparkował na środku jezdni i rozładowywał towar, a to, że blokował przejazd, miał w głębokim poważaniu.

Sznajder już chciał faceta lać. Halicki powstrzymał go w ostatniej chwili. Uliczna bójka w niczym im nie pomoże. Jak się zjawią gliniarze, od razu wezmą ich pod obcas.

W końcu Artur uspokoił się na tyle, że zaczął racjonalnie myśleć. Co jak co, ale cierpliwość nie była jego najmocniejszą stroną.

Znalezienie kawałka wolnej przestrzeni, na której można było zaparkować, urastało do rangi proble-

mu. Kilkanaście minut krążyli po ulicach, zanim udało się wcisnąć dacie pomiędzy płot dawno porzuconej budowy a blaszaną budkę z fast foodem, też zresztą zamkniętą.

Zabrali manele i dalej ruszyli piechotą. Szybko natknęli się na tawernę ulokowaną w piwnicy, z której przyjemnie wiało chłodem. Zaszli się w niej, przeczekując najgorętszą porę dnia.

Można powiedzieć, że pierwszy etap mieli za sobą. Przed nimi kolejny, już znacznie trudniejszy.

W sali znajdowali się wszyscy, których Dżabbar potrzebował i którym ufał. Niezbyt lojalni wobec głównodowodzącego lub podejrzewani o spiskowanie z odsuniętym od władzy prezydentem byli dyskretnie przenoszeni na mniej eksponowane stanowiska. Również takie, w przypadku których w ogóle nie opłacało się przychodzić do pracy. Kilku zesłano na prowincję, żeby zajęli się tłumieniem buntów. Ten i ów palnął sobie w łeb. Ich wola. Sulejman takimi pogardzał, uznając za tchórzy i dezterterów. Niech Allah zmiłuje się nad ich duszami.

Miał rację jego poprzednik -- armia to narzędzie. Sprawnie użyta pozwalała osiągnąć cel. W odróżnieniu od wielu innych on nie bał się po nie sięgnąć. Jaki sens ma inwestowanie w czołgi, samoloty i okręty, a jak zajdzie konieczność -- jedynie werbalne wyrażanie swojego sprzeciwu? To się generałowi nie mieściło w głowie. Co więcej, nic ich obecnie nie krępowało. Od dobrej woli Ankary zależało, co zrobi z migrującymi tłumami. Właściwie stanowili ostatnią tamę, przynajmniej tak wydawało się niewiernym na Zachodzie, a to, że przy okazji latami prowadzili własną politykę migracyjną, przez wielu pozostało niezauważone.

Prawdę mówiąc, Syryjczycy czy Irakijczycy mało ich obchodzili, problemem od zawsze byli Kurdowie. Kiedy Państwo Islamskie zaatakowało przygraniczne syryjskie Kobane, kurdyjscy mieszkańcy tłumnie przekroczyli granice. W Turcji tylko przeszkadzali. Należało wypchnąć ich dalej. Niech Niemcy czy Austria ten problem wezmą na własne barki.

Tak też się stało. Wystarczyło zadeklarować, skąd się pochodzi, i niemal automatycznie dostawało się prawo pobytu w upatrzonym wcześniej kraju.

Sęk w tym, że nie pozbyli się wszystkich. Im dłużej ciągnęły się zbrojne potyczki, tym bardziej Dżabbar był zirytowany. W końcu ktoś tam poszedł po rozum do głowy i powiedział dość.

Nie wprost oczywiście, ale wypadek z "Black Star" był wyraźnym dowodem na to, że się nie mylił.

Miliony ludzi utknęły pomiędzy Syrią i Grecją, a stan przedłużającego się kryzysu zdawał się nie mieć końca. Być może dziś uda się podjąć odpowiednie decyzje, co zrobić z tym całym bałaganem.

Minister spraw wewnętrznych republiki poruszył się niespokojnie, gdy wzrok Dżabbara spoczął właśnie na nim. To w jego gestii znajdowały się obozy uchodźców.

-- Sytuacja jest trudna... -- Niegdyś mocne, a obecnie przerzedzone włosy na czubku głowy, wystające kości policzkowe i nieco skośne oczy, być może spadek po jakimś mongolskim przodku, nadawały twarzy ministra Beşira Atalaya nieco aroganckiego wyrazu. Brakowało jedynie wystających zębów, którymi mógłby kąsać. Był jednak kompetentny, odbył kilka podróży do Mekki i zawsze pamiętał o modlitwie. To niezbyt częsta cecha u urzędnika najwyższego szczebla.

-- Dużo ich?

-- Szacunki nie są precyzyjne. Oceniamy, że od czterech i pół do pięciu i pół miliona. W obozach brakuje niemal wszystkiego, i to mimo naszych wysiłków. Śmiertelność wśród dzieci do dziesiątego roku życia przekracza pięć procent. -- Nie musiał dodawać, że przy każdym takim obozie równie szybko jak namiotów przybywało miejsc pochówków. -- Do niedawna mogliśmy liczyć na zorganizowaną pomoc

państw Unii i niezależnych organizacji. Obecnie to kropla w morzu. Brakuje odżywek i mleka w proszku, antybiotyków, środków dezynfekujących, a potrzeby rosną. Grozi nam klęska na niespotykaną skalę.

-- Rozumiem -- powiedział Dżabbar.

-- Przepraszam, ale pozwoli pan, że skończę...

Wzrok zgromadzonych spoczął na ustach Beşira Atalaya. Mało kto ośmielał się przerywać generałowi.

-- Proszę.

Atalay nabrał powietrza. Skóra na jego twarzy i karku poczerwieniała. Był zdenerwowany, lecz nic nie mogło go powstrzymać od wyrażenia własnej opinii.

-- Wbrew wcześniejszym przypuszczeniom ani nam, ani koalicji nie udało się zdusić rebelii Państwa Islamskiego. Wręcz przeciwnie, kalifat rośnie w siłę. Jego ludzie przetrwali najtrudniejszy okres i szykują się do ofensywy. Wiem, o czym mówię -- dodał, uprzedzając ewentualne zaprzeczenia. -- Liczba ochotników ponownie wzrasta. To nie tylko młodzież, której znudziło się dostatnie życie na koszt rodziców, czy też biedacy liczący, że al-Baghdadi ich nakarmi. Wielu z nich to specjaliści, inżynierowie i technicy. Zapewne wiecie, dlaczego Izrael wygrał wszystkie wojny, w których dotychczas brał udział. Jednym z powodów było to, że górował nad przeciwnikiem technologią. W armiach Egiptu czy Syrii służyli przeważnie chłopci, wytrzymali i zawzięci, ale co z tego, skoro na polu bitwy należy obsługiwać zaawansowany technologicznie sprzęt. Wykształcenie to klucz do zwycięstwa. Na szczęście my nie popełniliśmy tego błędu. Syrii już nie ma. Te nędzne resztki armii, które towarzyszą Asadowi, są bez znaczenia.

-- Nie przeceniajmy sił kalifatu. Te milicje plemienne nie sprostają czołgom reżimu -- odezwał się dowodzący lotnictwem generał Murat Yildiz.

-- Sojusznicy Baszara al-Asada sami mają kłopoty. Mało prawdopodobne, by zechcieli pomóc swojemu protegowanemu. Nawet jeżeli to zrobią, to nie na taką skalę, żeby zmienić układ sił.

-- Potyczki z rządowymi siłami syryjskimi mogą się ciągnąć jeszcze długo -- prychnął generał, zbywając lekceważąco wypowiedź ministra.

-- Lub też wszystko skończy się szybciej, niż myśleliśmy. Naloty nie były tak skuteczne, jak przewidywano. Większość zdobytego sprzętu została ukryta. Jak się ocenia, dżihadyści dysponują ponad czterystoma czołgami, drugie tyle, albo i więcej, to wozy opancerzone i transportery. Wszystko z zasobów armii syryjskiej i irackiej.

-- Od T-55 po Abramsy -- wtrącił szef sztabu sił lądowych.

-- Zgadza się. Co więcej, utrzymują dużą sprawność zdobytego sprzętu, zwłaszcza tego wyprodukowanego przez Rosjan.

-- Jak z zaopatrzeniem w części i amunicję? -- Tym razem pytanie Dżabbara skierowane zostało do szefa wywiadu wojskowego.

Śniady mężczyzna z czarnym wąsem i zapadniętymi policzkami nie musiał nawet zerkać do papierów, by na nie odpowiedzieć.

-- Z tym akurat nie mają problemów. Przejęli dostatecznie wiele baz wojsk rządowych. Z zasobami

armii amerykańskiej jest gorzej, bo niby skąd brać filtry powietrza czy łożyska? Pocisków do dział też nie znajdzie się byle gdzie, a chętnych do sprzedaży nie ma. Egipt co prawda posiada dużą ilość Abramsów, ale tam nikt jeszcze nie rozszabrował magazynów. Sisi wie, że od tego zależy jego dalsza egzystencja.

-- Tymczasem dżihadyści stają się coraz bardziej zuchwali.

-- Odnotowujemy zwiększoną aktywność na wszystkich frontach -- zgodził się z Dżabbarem szef wywiadu. -- Teraz, kiedy zabrakło Amerykanów, jest więcej niż pewne, że upadek władz w Damaszku i Bagdadzie to jedynie kwestia czasu.

-- Jak w takim przypadku zareaguje Izrael?

-- Trudno powiedzieć. Zachowują się nad wyraz powściągliwie, choć według mnie nie ulega wątpliwości, że uderzą, kiedy tylko poczują się zagrożeni.

-- Dlaczego do tej pory tego nie zrobili?

-- Nie chcą dawać al-Baghdadiemu kolejnego argumentu do ręki. Dżihadyści na razie walczą ze świeckimi władzami, ale są Arabami. Wojna z Żydami to zupełnie nowa faza.

-- A co pan by zrobił na miejscu... kalifa?

-- Kluczowymi miejscami dla dalszej ekspansji ISIS są Egipt i Arabia Saudyjska. Prawdę mówiąc, Saudom pozostało wyjątkowo małe pole manewru. Utknęli w Jemenie, jak się wydaje, na dobre. Niedługo przełoży się to na kryzys wewnętrzny. Represje niczego nie zmieniają. Ludzie mają dość królewskiego domu i tego, jak zmarnotrawiono miliardy petrodolarów. Nie bardzo jest się na kim oprzeć. Od kiedy król Ibn Saud spotkał się w tajemnicy z Rooseveltem na pokładzie krążownika "Quincy" w lutym 1945 roku, gdy ten wracał z konferencji w Jałcie, oba kraje połączył ścisły sojusz. Waszyngton niejako stał się gwarantem bezpieczeństwa. Pamiętamy, jak w 1991 roku George Bush pośpieszył im na ratunek, mimo że Saddam wcale nie chciał atakować saudyjskich pól naftowych. Nie szkodzi, Amerykanie wypełnili zadanie, tak osłabiając Husajna, że ten już nie wstał z kolan. Ameryka została w końcu ukarana, niech miłosiernemu Allahowi będą dzięki. W Rijadzie drżą teraz, oczekując, co się stanie. Sojusz z Egiptem jest tymczasowy. Kair ma własne problemy. Na dłuższą metę to się nie utrzyma. W obu tych krajach już od dawna toczy się walka o władzę. Kalifat jedynie podsycza nastroje, wysyłając broń i emisariuszy.

Nikt nie zauważył, że generał Sulejman Dżabbar na ułamek sekundy znieruchomiał. Dopiero gdy słowa szefa wywiadu popłynęły dalej, rozluźnił się.

-- Al-Baghdadi nie jest głupi. Zwiertzył szansę.

-- Chce pan powiedzieć, że oni... przejmą kontrolę nad Egiptem i królestwem Saudów?

-- Nie wykluczałbym takiej ewentualności. Nie możemy zapominać o tym, co dzieje się w Libii, gdzie siły umiarkowane słabną. Niedługo przyjdzie Egipcjanom toczyć wojnę na dwa fronty, bo z drugiej strony zaczną napierać grupy z Synaju. Już raz mieliśmy w Kairze kogoś takiego jak Mursi. Chyba nie muszą przypominać, co się wówczas działo.

-- Zamachy i zamieszki dzień w dzień. -- Minister spraw wewnętrznych nie potrafił utrzymać długo języka za zębami. -- Jeżeli tak się zdarzy, to i my staniemy przed gigantycznym wyzwaniem. Uciekinierzy z Syrii i Iraku to nic w porównaniu z tym, co wtedy nastąpi. W całym regionie, może z wyjątkiem Izraela,

nie będzie ani jednego stabilnego rządu. Dżihadyści wiedzą, jak wykorzystać taką okazję.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Konkluzje wydawały się oczywiste. Do Turcji ruszy nowa fala uchodźców. Ilu ich jeszcze mogą przyjąć -- dwa miliony, cztery, dziesięć? Co się wówczas stanie? Dokąd wyjadą? Akurat odpowiedź na to pytanie była prosta -- nigdzie.

Implikacje tego faktu wydawały się doniosłe. Niezależnie od tego, jakie rozwiązanie wybiorą, będzie złe, a coś z tymi tłumami będą musieli zrobić. To już nie tylko kwestia pomocy humanitarnej, ale być albo nie być dla poszczególnych państw. Wpływ takich masowych migracji na kulturę, ekonomię i społeczeństwo będzie ogromny.

Z drugiej strony...

-- Uszczelnijmy granice -- wyrwało się ministrowi spraw wewnętrznych. -- Możemy to zrobić bez problemu.

-- A wtedy pod bokiem wyrosną nam całe miasta biedaków, z przestępczością tak ogromną, że nikt sobie z tym nie poradzi -- odpowiedział szef wywiadu.

Nie tędy droga -- Dżabbar był bliski uchwycenia myśli, która do tej pory nie dawała się ujarzmić. Z której strony nie spojrzeć na problem, to i tak jedna rzecz nie ulegała wątpliwości -- kiedyś, co w wielu przypadkach oznaczało okres do końca 1918 roku, cały region pozostawał we władaniu wielkiego państwa ottomańskiego. Obojętnie czy chodziło o Egipt, Syrię lub Arabię Saudyjską -- mieszkańcy byli poddanymi sułtana. Nie tylko zresztą oni. Miliony pozostałych również. Być może nadszedł już czas zjednoczyć wszystkich pod jednym sztandarem Najwyższego, a ziemia i niebo niech wychwalają mądrość Proroaka.

Należy tylko odpowiednio nimi pokierować. Milionom wyznawców Allaha nie oprą się najsilniej bronione granice. Dwa razy stali już pod Wiedniem. Bałkany też należały do nich. Najwyższa pora, aby koło historii obróciło się raz jeszcze. Grecja, Serbia, Bułgaria, Węgry czy Chorwacja jakimś dziwnym kaprysem losu wciąż istniały, stanowiąc przeszkodę na drodze do serca Europy. Wystarczy, że padnie któryś z elementów, a całość posypie się jak domek z kart.

Zwłaszcza jeden z tych krajów irytował generała niepomierne. Do niedawna sama myśl o rozprawie z Atenami wydawała mu się niedorzeczna, a konflikt z Grecją niepotrzebnym trawieniem własnych zasobów.

-- Na pewne sprawy nie mamy wpływu -- powiedział w końcu z ociąganiem. -- Musimy pilnować własnego interesu.

-- Grozi nam...

-- Wiem, co nam grozi -- uciął szybko dalsze uwagi. -- Jeśli nie zaczniemy przewidywać, czeka nas to samo, co kiedyś stało się udziałem Syrii czy Iraku. Asad też wydawał się mocny, a jego koniec prawdopodobnie jest bliski. To samo może stać się i u nas. Już teraz mamy problemy. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin straciliśmy piętnastu żołnierzy i policjantów. Jeżeli to nie jest wojna, to ja się pytam, co nią jest? -- Powiódł groźnym spojrzeniem po zgromadzonych. -- Zamachy będą się powtarzać, dopóki istnieć będzie zaplecze, a to zaplecze istnieć będzie tak długo, dopóki się go nie pozbedziemy.

W tym względzie byli jednomyślni. Niewielkie rozbieżności dotyczyły tego, jak dalej postąpić.

-- Jest pewne rozwiązanie. Od nas zależy, czy sprostamy wyzwaniu.

-- Mając Allaha za przewodnika, osiągniemy zwycięstwo -- odezwał się minister spraw wewnętrznych.

Sulejman Dżabbar uśmiechnął się z zadowoleniem. Niektórzy zdawali się czytać w jego myślach.

Nie pozostało nic więcej do załatwienia. Zrobił wszystko, co uznał za słuszne. Reszta nie należała do niego.

Palce zaciśnięte na wiecznym piórze drżały, kiedy składał ostatni już podpis. To bodaj najważniejszy dokument, jakiemu nadawał moc prawną. Właściwie był to akt tchórzostwa. Właśnie tak zostanie zapamiętany -- ostatni prezydent Stanów Zjednoczonych, który okazał się niegodny stanowiska. W istocie nie był nawet prezydentem z prawdziwego zdarzenia, a wiceprezydentem, który objął stanowisko po wydarzeniach z pierwszego lipca.

Do dziś nie potrafił uwierzyć w to, co się wówczas stało. Później było jeszcze gorzej. Kraj staczał się w otchłań. Przypominało to epidemię hiszpanki, która przetoczyła się przez kontynent po zakończeniu działań wojennych w 1918 roku, choć tym razem problem był o wiele poważniejszy. Zaraza nie chciała wygasnąć. Wciąż pojawiały się nowe ogniska. Ze zgrozą przeglądał codzienne raporty przysyłane przez odpowiednie agendy. Jednego dnia sto tysięcy chorych, drugiego dwieście, trzeciego pięćset. Pierwszy tydzień -- trzy miliony. Kolejny już dziesięć, a potem... tylko gorzej. Nie pomagały najbardziej radykalne sposoby. Zdaniem specjalistów wszystko działo się tak, jakby kilkadziesiąt ognisk epidemii wybuchło jednocześnie. Przypadku zero nie dawało się w żaden sposób wychwycić.

W końcu okazało się, że zakażone zostały same szczepionki, takie zwykłe, które w szkołach i przychodniach podaje się dzieciom, by je uchronić przed polio czy cholera. Pod lupą znalazły się koncerty farmaceutyczne, magazyny i spółki transportowe, co dodatkowo wzmogło nieufność do rządu i służb federalnych. Już wydawało się, że uchwycili nitkę, po której uda się dotrzeć do tych, którzy tym wszystkim kierowali, ale za każdym razem kończyło się tak samo. FBI zdołało dopaść kilku spiskowców, jednak nim odpowiedzieli oni na choć jedno pytanie, popełniali samobójstwa, rozgryzając jakąś plombę w zębach. Badanie zwłok okazywało się daremne. Ci osobnicy nigdy nie istnieli. Przynajmniej nie w amerykańskich bankach pamięci.

Skąd się wzięli, kto ich wynajął i kto się za tym krył -- pozostawało tajemnicą. Zresztą same agencje federalne, od Narodowej Agencji Bezpieczeństwa poczynając, a na Straży Wybrzeża kończąc, również szły w rozsypkę. Ludzie tam umierali tak samo jak gdzie indziej, albo i szybciej.

Na przenośnym iPadzie widział, jak lawinowo rośnie liczba zainfekowanych i zmarłych. Tych pierwszych było już sześćdziesiąt milionów, drugich -- trzydzieści pięć. Służba zdrowia leżała na łopatkach. Policja i Gwardia Narodowa przestawały pełnić swoje zadania. Funkcjonariusze i żołnierze dezertowali. Wcale się im nie dziwił. Każdy przecież chce żyć, ma rodzinę, z którą pragnie spędzić być może ostatnie chwile.

Oczy powoli napępniały się łzami. Otarł je wierzchem dłoni i zamrugał powiekami. Miał pięćdziesiąt osiem lat, a czuł się tak, jakby dobiegał setki. Za parę tygodni Stany Zjednoczone staną się widmem. To po części jego wina. Nie sprostął zadaniu. Zawiódł. Na stanowisku wiceprezydenta znalazł się wyłącznie z jednego powodu -- doskonale dogadywał się z mediami. Przystojny i elokwentny, mąż i ojciec, jeden z wielu, tak solidny jak system, na którym się opierali.

W rezultacie wszystko okazało się kłamstwem.

Ostatni raz rozejrzał się po Gabinetcie Ovalnym. Przynajmniej ten wyglądał tak samo jak zawsze. Po obu stronach drzwi stali agenci Secret Service, obok asystent, sekretarz stanu i obrony, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego.

Jeśli wstanie i wyjdzie, nigdy tu nie powróci. Nie będzie po co i do czego.

Pozostawały dwie enklawy wolne od zarazy -- Alaska i Hawaje. Jedyne tam wszystko funkcjonowało jak przed kryzysem. Już parę dni temu postanowił, że osiadzie na Hawajach, przynajmniej do czasu najbliższych wyborów. Tylko czy wybory w dwóch tylko stanach będą miały moc prawną? Konstytucjonaliści nie byli co do tego zgodni. Zresztą, niech się o to martwi jego następca. On nie zamierzał kandydować. Nie miał wątpliwości, że stado hien rzuci się na ten nędzny ochłap, jaki pozostał.

Westchnął i odłożył pióro. Nawet te resztki to wciąż jeszcze potęga. Największego państwa na świecie nie da się rozmontować tak po prostu, w parę tygodni. Zdaje się, że najlepiej do tej pory poradził sobie dowodzący wojskami w Europie Jeremy Clark. Z jego zresztą błogosławieństwem.

Gdy dowiedział się o propozycji Warszawy, od razu skontaktował się z Clarkiem, pytając, co ma robić. Postanowienia zapadły w trakcie parogodzinnej wideokonferencji. O części z nich Polaków nie poinformowano, nie muszą wiedzieć o wszystkim. W kilku przypadkach mocno by się zdziwili.

Lepiej, jeżeli pewne sprawy nie wypłyną na światło dzienne. Ostatecznie Clark otrzymał sporą autonomię, oficjalnie podlegając polskiemu dowództwu, nieoficjalnie... no, chyba nikt nie spodziewał się, że jakiś środkowoeuropejski kraik zyska możliwość wzięcia udziału w globalnej rozgrywce, nawet jeżeli jest sojusznikiem o całkiem sporych możliwościach. Bo po co Warszawie kody źródłowe do rakiet manewrujących czy kosmiczne technologie? Takich kwiatków było więcej -- na przykład dokąd przenieść europejskie dowództwo Joint Special Operations Command. Ci ludzie za dużo wiedzieli, by ich tak po prostu skierować do innych jednostek. A wywiad i kontrwywiad, zagraniczne komórki CIA, Narodowej Agencji Bezpieczeństwa, Agencji Wywiadu Obronnego, Narodowej Agencji Rozpoznania? To przecież terabajty danych specjalnego znaczenia. Czy wszystko skasować jednym przyciśnięciem guzika, czy też pozostawić na przyszłość?

Polska to niejedyne państwo, w którym przeprowadzono podobną operację. Na dużo mniejszą skalę zrobiono tak w Izraelu i Japonii, na Saipanie, Guamie oraz w Australii. Wystarczyło spojrzeć na mapę i od razu wiadomo było, gdzie znalazła się większość amerykańskich sił. Wszystkie lotniskowce, atomowe okręty podwodne, środki do przenoszenia broni jądrowej, jak też i same główce rozdysponowano w strefie pacyficznej. Będące w służbie B-52 zniszczono, podobnie jak wszystko, co pozostawało w remon- tach i przeglądach, lecz wciąż jeszcze istniał problem wielkich magazynów z tysiącami ton wyposażenia. Do ich pilnowania wyznaczą szkieletowe załogi, niekontaktujące się z nikim z zewnątrz.

Choć wydawało się to półśrodkiem, nic lepszego nie zdołano wymyślić. W końcu zaraza wygaśnie. Jeśli nie za dwa miesiące, to za rok, i do czegoś można będzie powrócić.

Rozprostował zdrętwiałe palce.

-- Panie prezydencie, już czas.

Ocknął się jak z koszmarnego snu. Śmigłowiec -- Marine One -- już czekał. Wstał z fotela i ruszył, otoczony przez agentów Secret Service. To nie był wyjazd, a pośpieszna ucieczka. Każdy z nich miał tego

świadomość.

Międzynarodowy port lotniczy imienia Elefteriosa Wenizelosa w Atenach najlepszy okres miał już za sobą. Do niedawna był wizytówką aglomeracji, obecnie chylił się ku upadkowi. A może jedynie robił takie wrażenie? Wystarczy posprzątać, a miejsce odzyska dawny blask? Wbrew temu, czego się obawiali, wewnątrz nie było zbyt wielu podróżnych: trochę rodzin z dziećmi, przedsiębiorców, pojedynczych osób i par z plecakami. Odlotów też nie za wiele. Na najbardziej oblegany kierunek do Londynu wszystkie miejsca wykupiono dużo wcześniej.

Halicki krytycznym okiem przyjrzał się jakiejś rozwydrzonej grupie bachorów idących w stronę wyjścia. Dobrze, że nie udawali się w tym samym kierunku, inaczej nie ręczyłby za stan swoich nerwów.

Co rusz przez otwarte szklane drzwi do wnętrza napływały falami gorące podmuchy. Horyzont drgał w rozgrzanym powietrzu. Ilekroć oblizywał usta, na języku czuł słone krople potu. Ocieranie czoła nic nie pomagało. Na plecach i pod pachami zbierała się lepka wilgoć. Aten miał po dziurki w nosie -- tłoczno, gwarno i upalnie. Odechciewało się żyć. Mało jedli, za to płyny pochłaniali w ogromnych ilościach. Już się obawiał, że utknęli tu na dłużej. Portu pilnowały patrole wojskowo-policyjne, a znalezienie przeprawy do tureckiego wybrzeża wydawało się niemożliwe. Może z jakiejś mniejszej przystani było to prawdopodobne, ale w Pireusie wykluczone. Ostatecznie zdecydowali się na samolot. Miło, łatwo i przyjemnie. Przynajmniej w teorii.

Przeloty do Bejrutu odbywały się nieregularnie, raz, może dwa razy w tygodniu, co i tak wydawało się cudem. Do Kairu samoloty latały jeszcze rzadziej, a do Islamabadu w Pakistanie raz na miesiąc.

Linie lotnicze w tej sytuacji sobie nie radziły. Padały jedna po drugiej, najpierw te mniejsze, w końcu kryzys dopadł także duże firmy, jak British Airways, Air France czy Lufthansa. Branża turystyczna praktycznie zamarła. Mało kto myślał też o wypoczynku. Głównie ci, którzy bilety wykupili przed sezonem. Wielkich przewoźników załatwił brak transatlantyckich przelotów generujących główne zyski. Jeżeli dodać do tego szalejącą w USA epidemię, to niewielu miało ochotę na wychodzenie z domu.

Ustawili się do odprawy. Jeżeli go wzrok nie mylił, do Bejrutu polecą najwyżej pięć osób. Jako pierwszy podszedł do okienka, przedłożył paszport i popatrzył na urzędnika. Facet zabrał dokument, przerzucił strony i wklepał nazwisko do systemu. Tu nie będzie wtopy. Papiery były idealne.

-- Następny.

Halicki odszedł na bok i położył plecak przed kolejnym funkcjonariuszem. Ten skrzywił się boleśnie, jakby bolały go wszystkie zęby. Pozostałym podróżnym poświęcono równie mało czasu.

Gdy już zbili się w gromadkę, czekając na to, co dalej, pojawiła się stewardesa -- wysoka, piękna dziewczyna, najwyraźniej marnująca się w tej pracy. Zeszli za nią po schodach, wydostając się na płytę lotniska.

Żadnej podwózki, czekał ich spacer po rozgrzanym betonie.

Halicki rozejrzał się -- obsługa krzątała się przy paru maszynach. Wiele innych stało porzuconych.

Ich boeing 707, należący do prywatnych linii lotniczych, chyba jeden z ostatnich wciąż eksploatowanych, nie robił najlepszego wrażenia. Niewykluczone, że został ściągnięty z jakiegoś złomowiska i ponownie przystosowany do przewozu pasażerów. Z zewnątrz -- jeszcze, ale w środku -- zupełna porażka.

Popękane brudne siedzenia, śmieci walające się na podłodze i niezbyt miły zapaszek dobiegający z toalety. Zupełnie jak latający toi toi. Jediną dobrą stroną było to, że każdy mógł usiąść, gdzie chciał.

Wystartowali dwadzieścia minut później. Wbrew wcześniejszym obawom lot przebiegał spokojnie. Galiński czytał, reszta spała. Te trzy godziny jakoś się przemęczy. Jedyne, co sobie darował, to toaleta. Nie chciał, żeby go zbryzgała zawartością zbiornika, gdy już zamknie za sobą drzwi. I choć trochę go ciśnieło, dzielnie wytrwał do końca.

W stolicy Libanu wcale nie było goręcej niż w Atenach. Od morza wiała przyjemna bryza, oczyszczając śródmieście ze smrodu spalin, dzięki czemu powietrze wydawało się rześkie i pozbawione ciężkiego, miejskiego zaduchu.

Zamelinowali się w małym hoteliku nieopodal nadmorskiego deptaku. Skromnie i czysto -- niczego więcej nie potrzebowali.

Uczucie tryumfu wypełniło Sznajdera, gdy znaleźli się w wynajętym pokoju. W końcu poczuł się wolny. Tak naprawdę wolny, nic go nie krępowało, długie łąpska służb zostały daleko. Zarówno on, jak i major zdawali sobie sprawę z jednego -- teraz to on będzie dyktował warunki. Co powie, oni wykonają. Są zdani na niego.

Dzięki ci, Allahu, łaska Twoja nie ma granic i pozwoli zwyciężyć nad niewiernymi.

Zapraǳnął pójść do meczetu i podziękować za wolność.

-- Chcesz wyjść? -- Halicki uprzedził życzenie Sznajdera.

Artur przytaknął.

-- Nie wracaj zbyt późno.

-- Bez obaw.

To dla niego test. Bez problemu mógł zbiec po schodach i nigdy więcej tu nie wrócić. Zostawić za sobą cały balast doświadczeń i...

Już raz to przerabiał. W sumie spotkanie z majorem wyszło mu na zdrowie. Ktoś bardziej nerwowo podziurawiłby go jak sito.

Ciągle nie wiedział, czego tak naprawdę chce, i to denerwowało go najbardziej. Nie potrafił wybrnąć z tej idiotycznej sytuacji. Zdradził obie strony. Tam kraj, a tu sprawę.

Dlaczego jedno z drugim nie może iść w parze? Często miewał wizję, że oto niesie wolność uciemiężonym.

Prawda was wyzwoli. Pytanie, czyja prawda, było tu jak najbardziej na miejscu. Każdy miał własną.

Grupa wiernych modliła się na ulicy. Dołączył do nich bez zastanowienia. Święte słowa przenikały jego ciało i duszę. Przymknął powieki. Nie ma Boga nad Allaha, a Mahomet jest Jego Prorokiem.

Jeszcze nigdy słowa, które wymawiał, nie były tak prawdziwe.

Stwierdzenie, że odrzutowiec F-16 jest najpopularniejszym samolotem wojskowym na świecie, niewiele mija się z prawdą. Szturmowiec znajdował się na wyposażeniu aż dwudziestu czterech krajów. Turcja i Grecja nie były wyjątkami. NATO, od początku istnienia paktu, na zbrojenia łożyło olbrzymie kwoty. Kryzys nie okazał się problemem, choć z wielu przyczyn Grecja z czasem zaczęła odstawać od swojego większego sąsiada. Budżet nie był z gumy, a potrzeby obywateli równie ważne jak rakiety czy pociski do dział. Dopóki uwaga Ankary kierowała się w stronę południa, Grecja mogła czuć się niezagrażona. Lecz, jak wiadomo, nic nie trwa wiecznie.

Kiedy od pasów startowych baz lotniczych w całej zachodniej Turcji zaczęły odrywać się eskadry Falconów, w Atenach panowało przekonanie, że niespodziewany atak nie jest możliwy. Mimo trudności w porozumieniu i sprzecznych interesów poczynaniami cywilizowanych rządów powinien kierować daleko idący pragmatyzm. Twierdzenie greckiego premiera miało sens. Obstawiał przy nim i głosił je, ilekroć miał taką możliwość. Niestety Turcy wydawali się głusi na wszelkie oświadczenia, propozycje zwołania wspólnej konferencji czy też zaproszenia do rozpoczęcia rozmów. Ostatnie kilka dni pod tym względem były szczególnie trudne. Dyplomatyczne noty robiły się coraz ostrzejsze, ambasadorów proszono o wyjaśnienia, a obywatele w ogóle nie wiedzieli, co o tym sądzić.

Constantin Mangudis ostatnie czterdzieści lat spędził na morzu. Właściwie przebywał na nim częściej niż na stałym lądzie. Zaczynał jako marynarz, po wielu latach pracy osiadając na Samotrace. Założył małą firmę, z jedną piętnastometrową łodzią.

Najczęściej pływał z ekipami nurków, rzadziej wędkarzy. Miewał też kursy z wyspy na wyspę. Może nie zarabiał kokosów, ale dość, by wieść spokojne i wygodne życie. I jak zwykle w takich przypadkach, wszystko trwało do czasu. Ostatni rok był zupełną katastrofą. Turyści przestali przyjeżdżać, wystraszeni niekontrolowanym napływem imigrantów, a bez nich skończyły się dochody sporej grupy stałych mieszkańców wysp.

Jeżeli komuś wydawało się, że uciekinierzy ze wschodu to same niewinne ofiary reżimu al-Asada, mylił się. Jak w każdej większej ludzkiej gromadzie zdarzały się czarne owce. Mnożyły się napady. Strach było mieszkać w dalej położonych gospodarstwach. Policja nie dawała sobie rady. Wielu zaczęło pakować walizki i przenosić się do miast na stałym lądzie.

Zdaniem Mangudisa ten sezon mógł być ostatnim. W końcu on też będzie musiał zwinąć żagle. Szkoda. Przyzwyczał się do życia, jakie prowadził. To, co robił, zależało wyłącznie od jego woli.

Kiedy dostał propozycję z wydziału architektury podwodnej Uniwersytetu Ateńskiego, poczuł się tak, jakby złapał Pana Boga za nogi. W czasie jednej z wypraw natrafił na wrak. Wstępne nurkowanie przyniosło sporo interesujących obserwacji. Doliczono się co najmniej czterdziestu nienaruszonych amfor. Znalezisko należało zabezpieczyć. Pięciosobowy zespół na pokładzie właśnie się do tego przygotowywał.

Delikatne kołysanie nikomu nie przeszkadzało. Tu, na otwartych wodach, gdy wszystko dookoła wi-

dać jak na dłoni, czuli się bezpiecznie. Zaczną pracę wraz z pierwszymi promieniami słońca. Może wyrobią się do wieczora, a może przyjdzie im tu zakotwiczyć na parę kolejnych dni.

Constantin nalał sobie kawy do blaszanego kubka i oparł się ramieniem o nadbudówkę. Zapowiadał się kolejny upalny dzień z doskonałą widocznością. Siorbnał z naczynia i przetarł oczy. Do jego uszu z oddali zaczął dochodzić jakiś wizg, którego nie potrafił zidentyfikować.

Eee, pewnie mu się wydaje. Ekipa na pokładzie zachowywała się zupełnie spokojnie. Przekomarzali się, wciągając na siebie ochronne pianki. Dzień niósł obietnicę epokowego odkrycia, nawet jeżeli takich obiektów jak ten na dnie całego basenu Morza Śródziemnego były tysiące.

Szum nie ustępował. Mangudis zlustrował najbliższą przestrzeń. Na wodzie czysto. Dalej, na południu, majaczył kontur Limnos -- jednej z wysp archipelagu, poza tym nic. Niebo zmieniało kolor z granatowego na błękitny.

Zmrużył oczy i dojrzał tuż nad horyzontem niewielkie poruszające się punkciki. Jednocześnie z każdą chwilą narastał huk.

-- Hej, widzicie to? -- Machnął w stronę ekipy archeologów. Rozmowy ucichły. Teraz już wszyscy przyglądali się widowisku.

Constantin w myślach liczył żółte światełka. Nie więcej niż dziesięć. Przelecał niecałą milę od nich. To bez wątpienia jakieś ćwiczenia, bo niby co innego.

-- Patrzcie, tam są kolejne.

Mangudis odwrócił głowę na słowa jednego z nurków. Faktycznie, z przeciwka nadlatywały dwa obiekty. Pożałował, że odłożył na bok fajkę, przynajmniej possałby cybuch, a tak zaczynał się robić nerwowo.

Spod skrzydeł tej dziesiątki ze wschodu wystrzeliły białe smugi, wyraźnie widoczne na tle błękitu. Co najmniej cztery, albo i pięć. Tory lotów nakładały się na siebie, więc nie mógł dokładnie określić, ile ich w istocie było. Dwie maszyny na zachodzie zaczęły wyczyniać dzikie uniki. W końcu stało się to, co musiało się stać. Jeden z samolotów stanął w płomieniach i runął do wody. Spadochronu nie dostrzegli.

Co się tam, do ciężkiej cholery, wyprawia?

Bitwa powietrzna rozgorzała na dobre tuż przed piątą rano. Wbrew wcześniejszym nadziejom Grecy nie dali się zaskoczyć. Alarm w jednostkach obrony powietrznej ogłoszono jeszcze poprzedniego dnia. Co jak co, ale zmianę w politycznych nastrojach swoich wschodnich sąsiadów Grecy wyczuwali jak nikt inny. Zatrzymanie prezydenta w areszcie domowym dało im wiele do myślenia. Później było już tylko gorzej. Przegrupowanie poszczególnych brygad dawało się od biedy wytłumaczyć ogólną sytuacją polityczną i panującymi w kraju niepokojami. Po co jednak spore grupy pancerne i zmechanizowane przekroczyły Bosfor, koncentrując się na południe od Edirne? Zgrupowanie liczyło dobrze ponad pięć setek czołgów, wspartych transporterami i liczną artylerią.

W głowach greckich generałów narodził się śmiały plan.

Kapitan Arystoteles Tachtsis prowadził swojego Falcona pewną ręką. Niewielu mogło się z nim równać. Jako młody lotnik odbył szkolenie w USA. Zdobytą tam wiedzę przekazał kolegom. Zastrzeżenia, że bywał zbyt brawurowy, zostały zlekceważone. Kraj potrzebował takich pilotów. Nalotu na dobrze bronione pozycje przeciwnika nie przeprowadzi przecież stary przyk.

-- Trzymać kurs.

Eskadra prowadzona przez Tachtsisa nawet minimalnie nie zboczyła z wyznaczonej trasy. Falcony śmigły tuż nad falami na wysokości niecałych pięćdziesięciu metrów. Przy prędkości ponad jednego macha każdy błąd groził katastrofą.

Trasa, którą kapitan wprowadził do komputera, wydawała się optymalna -- najpierw nad wodami Morza Trackiego do zatoki Saros i dopiero tam następował zwrot na północ. Turków na pewno nie zaskoczą, ale być może napsują im krwi.

Niekiedy kapitanowi wydawało się, że jest jednym z tych buntowniczych pilotów z *Gwiezdnych wojen*, dosiadających X-wingów i walczących z niesprawiedliwym, złym Imperium.

W końcu czy to tak bardzo różniło się od rzeczywistości, w jakiej funkcjonował? Okrutne imperium czaiło się tuż pod bokiem. Jedno, czego chciał, to zadać mu cios, po którym już się nie podniesie. Turcy posiadali więcej samolotów, okrętów, czołgów i żołnierzy, ale czy to powód do siedzenia z założonymi rękami? Cieszył się na zadanie, które otrzymał. Być może choć trochę przyczyni się do zrównoważenia potencjałów. Nieuchronnie zbliżał się moment, w którym nie będzie już odwrotu.

-- Uwaga. -- Maską tlenową tłumiła słowa Arystotelesa.

Napięcie w kabinach pozostałych odrzutowców ponownie wzrosło. Niedaleko od nich znajdowała się jedna z wrogich fregat. Tym razem marynarzom nic nie groziło. Nie oni byli celem.

F-16 to wyśmienita maszyna, idealna do zadań, jakie przed nią stawiano, niemniej niepozbawiona wad. Samolot napędzał pojedynczy silnik, z wlotem powietrza umieszczonym pod kadłubem. W pozostałych konstrukcjach takie wloty montowano z boku lub z góry. Tu konstruktorzy, zdaniem Arystotelesa, poszli na łatwiznę. Przecież można było rozwiązać to w jakiś inny sposób. Zassanie przez chwyt powietrza wszelkich kawałków materii nieuchronnie prowadziło do uszkodzeń silnika, o ile nie do katastrofy. Z pasów startowych należało zebrać wszelkie drobiny mogące stanowić potencjalne zagrożenie. W czasie pokoju nie miało to większego znaczenia, w warunkach wojny nie było to już takie proste. Najważniejsze jednak, że wystartowali bez przeszkód. W powietrzu należało liczyć się z innymi problemami.

Wąski pas lądu rósł w oczach. Jak na razie szło im dobrze. Stąd już tylko trzy minuty lotu. Przemknęli nad pustą o tej porze dnia szosą. Aż dziw, że nie natknęli się jeszcze na żaden z tureckich patroli powietrznych. Teoretycznie powinno się tu od nich roić.

F-16 zbiły się w wąską formację o kształcie klina, z Tachtsisem jako prowadzącym. Tuż przed atakiem rozluźnią szyk tak, aby bomby pokryły jak największy obszar.

W regularnych dwusekundowych sekwencjach przynosił spojrzenie z przyrządów na widok z kabiny. Był tak skupiony jak nigdy wcześniej. Nagle tablica zapłonęła kolorowymi światełkami, a w słuchawkach odezwał się alarm. Zostali opromienieni wiązką radarową. Na wprost ukazały się barwne paciorki poci-

sków smugowych.

Wykonali zwrot w lewo. Jak się wydawało, nikt nie ucierpiał. Artyleria przeciwlotnicza to nie problem. Skoro już o nich wiedzieli, wkrótce zostaną namierzeni przez SAM-y.

Byle dociągnąć te parę kilometrów.

W polu widzenia pojawił się helikopter w zielono-brązowe plamy, który znikł równie szybko, jak nadleciał. Wydawało mu się, że to Cobra AH-1, ale pewności nie miał.

Gnali z maksymalną prędkością. Od mocy silników zależało teraz powodzenie całej akcji.

Pomiędzy szachownicą pól ukazała się grupa domów o białych ścianach. Opodał rosły rzędy drzewek oliwnych. Wszystko w równych liniach, wytyczone jak pod sznurek.

Jeżeli wywiad się nie mylił, to zgrupowanie pancerne znajdowało się parę kilometrów dalej. Kciukiem zwolnił blokadę uzbrojenia. Był gotowy do zrzucenia ładunku w każdej chwili.

Prawa dłoń spoczęła na joysticku, lewa na manetce gazu, przed oczami miał wyświetlacz lotu. Wskaźnik paliwa znajdował się na zielonym polu. Przesunął spojrzenie z powrotem na widok przed sobą. Gdyby tylko mógł, zacząłby obgryzać palce. Każdy mięsień miał maksymalnie napięty. Sekundy przemieniły się w minuty, a minuty w...

-- Uzbroidź bomby. -- Przez własną głupotę o mało nie zapomniałby o poleceniu.

W sumie przenosił dziewięć ton uzbrojenia. Kiedy to wszystko spadnie na ziemię, rozpęta się piekło.

Gdzie jest ta cholerna kolumna? Zaraz okaże się, że cała wyprawa na nic, a na ogony wsiądą im tureckie myśliwce przechwytyjące. W pojedynku z F-35 nie mają szans. Prawdopodobnie w ogóle ich nie dostrzegą. Zaczną się zmieniać w kule ognia w sekundowych odstępach czasu.

Stado ptaków czmychnęło z łopotem skrzydeł na widok o wiele większych i głośniejszych drapieżników.

Jest... jest! Droga wyłoniła się zupełnie nieoczekiwanie.

-- Dziewięć w prawo.

Skorygowali kurs. Wystarczyłby drobny błąd, a samolot Tachtsisa wpadłby na skrzydłowego. Tu liczyły się milimetry i ułamki sekund, i nie było w tym ani krzty przesady.

-- Szyk bojowy.

Na drodze pojawił się jakiś pojazd i nagle z obu stron odezwały się działka przeciwlotnicze. Misja zaczęła przypominać grę komputerową, z tą różnicą, że to nie była wirtualna rzeczywistość, a prawdziwa walka o przetrwanie.

Szlak się rozszerzał. To właściwie nie jakiś polny trakt, ale główna szosa, wiodąca w stronę granicy. Turecki zagon pancerny znajdował się nie dalej jak dziesięć kilometrów od przejścia granicznego w Feres. O Boże, ileż ich było. Mózg rejestrował zmiany obrazów jak w kalejdoskopie. Waliła do nich chyba cała artyleria. Szybkostrzelne działka wypluwały setki pocisków, tworząc prawdziwą metalową burzę.

-- Do ataku!

Teraz prosto. Jeśli zmienią kurs, wszystko przepadnie. Należało lecieć przed siebie, nie zważając na nic. I choć każda najmniejsza cząstka ciała krzyczała, żeby uciekać, wola Arystotelesa kruszyła wszelki opór.

Czołgi M60 oraz Leopardy, transportery, ciężarówki z działami, terenówki, wozy zabezpieczenia technicznego -- wszystkie kierowały się w jedną stronę. Zwolnił bomby, które łukiem zaczęły spadać ku ziemi. Różnica w prowadzeniu Falcona od razu stała się widoczna. Samolot lżej reagował na stery. Zwrot i ucieczka. Tachtsisa nagle zmroził okrzyk, przeciągłe "Aaa..." i jakieś słowa.

Turcy zmłócili jednego z nich. Do detonujących ładunków dołączył kolejny, wcale nie największy. Pilot nie miał szans.

Nim na dobre maszyna roztrzaskała się o ziemię, kolejna wpadła w niekontrolowany wiraż. I tym razem koniec okazał się szybki. Ktoś nie wytrzymał, podrywając maszynę do góry. Niczego gorszego nie mógł zrobić. Stinger obrał za cel gorącą dyszę silnika.

Wszystko to odbywało się gdzieś za kapitanem. On działał jak w amoku. Pochylił nos maszyny i posłał kilka serii z dwudziestomilimetrowego działka w jakąś grupę stojącą na poboczu. W ogóle się nad tym nie zastanawiał.

Działał odruchowo. Odbił w lewo, zataczając pętlę. Teraz nad zatokę Saros i do domu.

Bomby, które zrzucił on i jego koledzy, detonowały przy zetknięciu z ziemią. W powietrze wyleciały potężne gejzery piachu i skał, przypominające miniaturowe erupcje wulkanów. Ginał każdy w promieniu stu pięćdziesięciu metrów. Fale olbrzymiego ciśnienia przetoczyły się we wszystkich kierunkach. Pojazdy, nawet te ważące kilkadziesiąt ton, koziółkowały ciskane podmuchami powietrza. Żołnierze w ciężarówkach nie mieli szans. Tuż przed nalotem wyskakiwali ze skrzyń ładunkowych, rozbiegając się na boki. Wszystko, co robili, było bez znaczenia. Przed śmiercią nie dawało się uciec. Cały ładunek spadł na ziemię w ciągu niespełna dwunastu sekund, rozbijając szyk ugrupowania i wprowadzając chaos.

Gdyby popatrzeć na wszystko z boku, można by uznać, że nalot nie był aż tak udany. Oberwało, mniej lub bardziej, kilka batalionów stanowiących część potężnej grupy bojowej nacierającej drogą nadmorską. Jednakowoż plany należało skorygować, a to stanowiło często o życiu lub śmierci innych.

Wszyscy uznali, że przypadła im w udziale łatwa misja. Wszyscy, oprócz sierżanta Abdula Karima.

Jedno nie ulegało wątpliwości -- teraz przyjdzie się zmierzyć z Grekami, a jak wiadomo, żołnierze z nich żadni. Co innego Peszmergowie, bojownicy Al-Kaidy czy dżihadyści z Państwa Islamskiego. Ci potrafili walczyć do ostatniego. Ich taktyka była najczęściej samobójcza. Zaczynali od wysadzenia samochodu z zamachowcem za kierownicą. Zdaniem Karima był to rodzaj precyzyjnego namierzania -- jak się nie ma odpowiednich środków, należy wykorzystać to, co znajduje się pod ręką. Potem bojownicy, niejednokrotnie w mundurach wojsk czy sił bezpieczeństwa państwa, z którym walczyli, przypuszczali desperacki atak nie do odparcia.

Tym razem to im przypadł w udziale "zaszczyt" uderzenia na wroga. Gdy Karim po raz pierwszy dowiedział się, przeciwko komu będą walczyć, nie wierzył własnym uszom. Już prędzej spodziewałby się marszu na Damaszek niż na Ateny. Polityka to nie jego sprawa, ale coś tam do niego docierało. Zgrzytów dłużej nie dawało się ukryć, a prowokacja nieopodal wybrzeży Chios wstrząsnęła wszystkimi.

Więc to tak, te bękarty uważają ich chyba za ludzi drugiej kategorii. Zobaczymy, jak poradzicie sobie bez opiekuńczych skrzydeł dawnych sojuszników.

Piętnastoosobowej drużynie sił specjalnych wyznaczono szczególne zadanie. Tuż przed świtem należało zająć stację radiolokacyjną, znajdującą się nieopodal Feres. Sama stacja to mały pikus, w środku paru techników, żadnych herosów, mogących powystrzelać grupę sierżanta, zanim dotrze do celu. Problemem był obóz, który niedawno powstał półtora kilometra dalej. Grecka kompania ulokowała się tam niepełna dwa tygodnie wcześniej. Jak przypuszczano, chodziło o tymczasowe uszczelnienie granicy. Zaobserwowano ciężarówki, łaziki i ciężkie karabiny maszynowe. Na pozór sama drobnica. Ani jednego bojowego Leonidasa, mogącego z komandosów Karima zrobić miazgę.

Mimo to sierżant się niepokoił. Stację należało przejąć i poczekać do czasu, aż zjawią się swoi. I tu pojawiał się kolejny kłopot -- most na granicznej rzece można było łatwo zniszczyć.

Przejściem zajmowała się inna grupa, ale wiadomo -- na wojnie nie ma nic pewnego.

W zimne odmęty weszli, gdy jeszcze było ciemno. W czarnych skafandrach wyglądali jak duchy.

Broń, radia i noktowizory ukryli w wodoodpornych sakwach. Abdul płynął pierwszy. Wpełzł do wody niczym jaszczurka i, odpychając się rękami, starał się przedostać na głębszy nurt. W końcu mocno zaczął pracować nogami, byle tylko nie zmienić kierunku. Nie oglądał się za siebie, wiedząc, że reszta podąży za nim. Prąd okazał się silniejszy, niż przewidywał.

Powoli, acz nieubłaganie, spływał wraz z nim na południe. Tak to jest, kiedy własne życie zawierzy się obcej osobie. Na odprawie słyszał wyraźnie -- dadzą radę, niewielki wysiłek i znajdą się po przeciwnej stronie.

Niewielki wysiłek. Akurat. Karima zaczęły boleć nogi. Tylko bez paniki. Jeśli wyląduje sto metrów od celu, też się nic nie stanie.

W końcu zaczął szorować brzuchem po kamienistym dnie. Tak jak przypuszczał, znalazł się kawałek dalej. Ciało przenikało zimno. Nie szkodzi, zaraz się rozgrzeje. Skrył się za dużym głazem i zdjął płetwy. Następnie wyciągnął pistolet maszynowy MP-5 i w gniazdo wsunął magazynek. Przeładował. Był gotowy

do działania.

Z półcienia w kilkusekundowych odstępach wyłaniali się kolejni komandosi. Wkrótce drużyna była w komplecie. Ktoś tam kaszlnął, a ktoś zaklął. Abdul zgromił podkomendnych w krótkich żołnierskich słowach. Powinni mieć dość oleju w głowach, by wiedzieć, że należy zachować bezwzględną ciszę. Jak wpadną przez takiego matoła, to nim rozsiekają ich wrogie kule, wyrwie delikwentowi nogi z tyłka.

W końcu spał się w sobie i zaczął się czołgać w stronę nieodległej skarpy. Mniej więcej w połowie drogi usłyszał warkot. A to co takiego?

Uniósł wyżej głowę, lecz niczego nie dostrzegł. Przyśpieszył, chcąc wydostać się z otwartej przestrzeni.

Nad nim rozbłysły światła samochodowych reflektorów. Jeszcze tego brakowało. Dopadł ich pech już na samym początku misji.

Runął na wilgotny piach, wsłuchując się w denerwujący dźwięk. Niech ci przekłęci dranie przejadą, nie chciał się wdawać w strzelaninę tuż przy samej granicy.

Jego modlitwa została wysłuchana. Ciężarówka minęła ich i nic się nie wydarzyło. Karim popatrzył w ślad za nią. To bez wątplenia jakiś większy patrol. Wywiad o niczym takim nie wspominał. Owszem, dwu-, czteroosobowe grupy pograniczników, czasem z psem, ale najczęściej bez.

Podobno ostatnio Grecy zrobili się nerwowi. Karim wcale się im nie dziwił. Taka masa obcych w relatywnie krótkim czasie każdego może wyprowadzić z równowagi.

Ciężarówka znikła w oddali. Skinął na swoich. Należało odbić kawałek na północ, a później przez łąkę i pole. Teren jak okiem sięgnąć płaski, z nielicznymi niewysokimi pagórkami. Gdzieś tam gaj oliwny. Typowo rolniczy obszar, na którym łatwo było się ukryć.

Za plecami sierżanta rozległo się głośnie dudnienie. Obrócił się, starając się zorientować, o co chodzi. Z tej odległości brzmiało to jak artyleryjska kanonada lub huk spadających bomb. Trudno powiedzieć.

W tej chwili jednak mało go to obchodziło.

Ruszyli skrajem łąki, rozglądając się czujnie na boki.

Właśnie minęła czwarta trzydzieści.

Nowe stanowisko, nowi podwładni, nowe obowiązki. Podporucznik Nikos Doxiadis nie bardzo potrafił poradzić sobie z tym całym natłokiem zadań. Już sama obsługa stacji doprowadzała go do szału.

Wpatrywanie się godzinami w pusty monitor -- to nie na jego nerwy. Ileż można? Innym nie przeszkadzało, ale u Nikosa wywoływało irytację.

Z drugiej jednak strony, ten spokój był błogosławiony. Ci ze stanowisk położonych bardziej na południu mieli o wiele cięższe życie. Tam naruszano przestrzeń powietrzną nawet pięć razy na dzień.

Taka zabawa w kotka i myszkę. Wcześniej czy później, a zdaniem Doxiadisa raczej wcześniej, to wszystko skończy się kolejną tragedią. Komuś puszcza nerwy... Nie, nie, lepiej, jak skoncentruje się na tym, co robi. A właściwie po jaką cholere wstępował do armii?

Praca w pensjonacie rodziców w jednym z letnich kurortów na Lesbos to marzenie wielu. Kobiety z

niemal całej Europy przyjeżdżały na wyspę spragnione słońca i wrażeń. Nikos wiedział, jak o nie zadbać. Żaden Enrique Iglesias nie mógł się z nim równać. Wszystko pięknie, ale do czasu. Gdy nabawił się pewnej paskudnej choroby i w końcu wrócił do formy, powiedział sobie dość. Albo w życiu do czegoś dojdzie, albo następnym razem będzie to coś o wiele gorszego niż banalna franca, którą dawało się wyleczyć serią zastrzyków z penicyliny w tyłek. Spakował walizkę i zgłosił się do armii. Służba w oddziałach radiotechnicznych maksymalnie różniła się od jego dotychczasowego zajęcia.

A teraz tkwił na tym zadupiu. Właśnie tak -- zadupiu. Do Salonik było stąd jakieś trzysta kilometrów i na dodatek użerał się z tą bandą matolów. Skąd się wziął taki kapral Takis? Wcześniej chyba owce pasał, a teraz posadzili go przy komputerze i zgrywał głupka. O własnym dowództwie również wyrobił sobie zdanie -- nadmiar pewności siebie nie przekładał się w żaden sposób na sprawność bojową. Do kogo oni startowali? Każdy średnio rozgarnięty szeregowy wiedział, że w konfrontacji z Turcją zostaną rozdeptani. Nie radzili sobie z uchodźcami, a porywali się na Ankarę.

Może rzucić to w diabły i wrócić na Lesbos? Wiedział, że podczas pracy tego ustrojstwa, które obsługiwali, świecili jak choinka, stając się pierwszym celem dla bomb i rakiet. Zdaje się, że wpadł z deszczu pod rynnę. Nie ma co, idealna zamiana. Za kwadrans piąta. Przeciągle ziewnął. Jeszcze trochę i pojawi się zmiana, złoży meldunek i pójdzie spać. Przynajmniej na parę godzin zapomni o tym całym burdelu.

Sforsowali sad oliwny porastający pagórek i ruszyli wzdłuż wątego strumyka. To już zupełnie niedaleko -- kilometr, najwyżej półtora.

Niepokoił się. Właściwie tak zdenerwowany nie był od dawna. Weteran kilkunastu misji bojowych, a zachowuje się jak nieopierzony rekrut. Co go napadło?

Zatrzymał się i przykucnął za kamiennym murkiem. Zaczął go martwić rumor dobiegający od strony ich własnych pozycji. Tam na pewno coś się stało.

Jak na razie radio milczało. Dostał polecenie, które należało wykonać. Nikt nie odwołał ataku, a skoro tak, dalsze rozważania do niczego nie prowadziły. Otrząsnął się z przygnębienia. Tak dłużej być nie może. Bierze w końcu odpowiedzialność za całą akcję.

Zeszli w dolinę i pomaszerowali jej dnem. Wkrótce nogi aż do kolan zrobiły się wilgotne. Nie zwracał uwagi na takie głupoty. Niedługo będzie ciepło i po mokrych plamach nie zostanie ani śladu.

Teren lekko się wznosił, dalej rozciągało się pole. Poszli jego skrajem, tam gdzie rosło parę drzew morelowych.

Ostatnie osiemdziesiąt metrów przebyli pod ich osłoną.

Mimo siatki maskującej stacji nie dawało się ukryć, antena sterczała ponad kanciastą bryłę pojazdu. Miejsce wybrano idealnie. Na niemal płaskim obszarze to wzniesienie stanowiło najwyższy punkt.

Te kilka drzewek rosnących w pobliżu kryło samochody wraz z zapleczem. W sumie same ciężarówki i łaziki. Niczego więcej nie potrzeba.

Sierżant Abdul Karim rozstawił drużynę. Do ataku pozostały sekundy.

Nikos Doxiadis przeciągnął się i wyszedł z wozu, skąpanego w błękitnej komputerowej poświacie. Z radości o mało nie zatarł dłoni i nie poklepał kaprała Takisa po plecach. Właśnie dowiedział się o tym, co zaszło -- Grecy przeprowadzili nalot. Co za precyzja. Uderzenie mocno ugodziło w Turków. Małe punkciki na ekranie to ich Falconsy, ścierające w proch i pył wrogie wojska.

Szybko się opanował, zdając sobie sprawę, czego był świadkiem -- atak oznaczał wojnę.

W ustach zrobiło mu się sucho. Dobrze, że przekazał służbę. Parszywy świat, teraz to już nie zaśnie na pewno. Chciał jak najprędzej znaleźć się daleko stąd.

Popędzając swoich ludzi, skierował się do terenówki. Takisowi zachciało się pogawędki, ale warknął na niego, tłumiąc jakąkolwiek dyskusję już na wstępie. Na chwiejnych nogach doszedł do samochodu i zajął miejsce obok kierowcy. Ruszyli, nim stopa ostatniego z nich oderwała się od ziemi.

Atak zaczął się równo o piątą, w szarym przedświcie dnia. Jeszcze przez chwilę panowała cisza, którą jednak szybko zakłóciły tłumione strzały. Określenie "masakra" było tu jak najbardziej na miejscu. Obsługa nie miała szans. To technicy i informatycy, a nie żołnierze. Z komandosami Karima nie mogli się równać.

Trochę żałował, że nie zaczęli dwie minuty wcześniej, bo umknęła im terenówka wracająca do bazy znajdującej się na przedmieściach Feres.

Teoretycznie, ale tylko teoretycznie, zmiana powinna dokonać się o pełnej godzinie. Ci pośpieszyli się, a Karim nawet nie domyślał się powodu. Normalnie nie byłoby problemu, a tak? Trudno. Gdyby to przewidział, umieściłby dwóch żołnierzy tuż przy drodze i rozsiekałby kulami wyjeżdżającą nocną zmianę. Mógł to zaplanować lepiej. Ale kto się tego spodziewał? Przecież w armii wszystko działało jak w zegarku, no chyba że dotyczyło to armii Republiki Greckiej.

Dowództwo w Feres dowiedziało się o ataku na turecką kolumnę pancerną dokładnie w czasie, gdy bomby leciały w dół. Wśród oficerów zapanował ostrożny optymizm. Wojna to wojna. Nikt jej nie chce. Przynajmniej pozbyli się głównego kłopotu. Wstępne informacje mówiły o potężnych stratach wśród czołgów i wozów opancerzonych. Te tureckie brygady martwiły greckich sztabowców najbardziej. Trzeciej Dywizji Zmechanizowanej ciężko byłoby sprostać takiej potędze, co więcej -- całą dywizję skoncentrowano w pobliżu Salonik i dopiero teraz zaczęto ją przesuwac w stronę granicy. Z pomocą szła dodatkowa brygada pancerna i formacje piechoty, lecz te znajdowały się jeszcze dalej na zachód.

W gestii sztabu w Atenach było w sumie dwanaście dywizji -- jedna pancerna, trzy zmechanizowane i osiem piechoty. Te ostatnie już kierowano do obrony wysp. Na ósmą rano planowano wystąpienie premiera, który ogłosi powszechną mobilizację. W domach wielu rezerwistów już dzwoniły telefony. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin stan armii zostanie podwojony. Jak na razie nie było powodów do paniki.

Przyjęli pierwszy cios, zadali własny i utrzymali się na nogach. Najbardziej ucierpiały lotniska i bazy morskie na Lesbos, Limnos i Krecie, czyli obiekty najdalej wysunięte na wschód i południe. Mściło się teraz niefortunne ukształtowanie granicy.

Archipelagi to piękna rzecz, jak są turyści, ale nie wtedy, gdy zaczynają spadać pociski. Większość wysp tuż przy tureckim wybrzeżu należało uznać za stracone. Prędko tam nie wrócą, o ile w ogóle, bo niby kto miałby stamtąd wypędzić Turków? ONZ i Rada Bezpieczeństwa właśnie przeniosły się do Genewy. Pewnie niedługo zaczną działać, ale w jakiejś szczątkowej formie. Po Morzu Śródziemnym pływały resztki amerykańskiej VI Floty, ale w ten w konflikt raczej się nie zaangażują. Prawosławna Federacja Rosyjska? Śmiechu warte. Kto ich przepuści przez Bosfor, chyba nie Turcy? Berlin, Paryż i cała reszta zajmie wyczekującą pozycję. Ciężar wojny spadał na ich barki. Nie mogą się ugiąć. To przecież dopiero początek. Jeśli stracą wyspy, pozostanie kontynentalna część kraju. Flota i lotnictwo sprostają zadaniu. Najważniejsza jest obrona Salonik. I właśnie dlatego na północy koncentrowała się uwaga sztabowców.

Gdy około piątej trzydzieści do sztabu w Atenach wpłynęła informacja o braku łączności za stacją monitorującą ruch powietrzny na wąskim odcinku lądu łączącym oba kraje, wśród oficerów zapanował niepokój. Rozkazy wydano natychmiast -- punkt odbić, a jeżeli okaże się to niemożliwe -- stację zniszczyć. Wykonać niezwłocznie.

Podporucznik Nikos Doxiadis obgryzał paznokcie. Nie takiego początku dnia się spodziewał. Zamiast odpoczywać, wpadł w sam środek wojennych przygotowań. W sennym jak do tej pory Feres panował ruch jak w ulu. Nim zdążył złożyć meldunek, już został wzięty w obroty. Wszystkich interesowało jedno -- czy stacja przeszła w ręce wroga, a jeżeli tak, to kiedy się to stało.

Podporucznik wytrzeszczył oczy. Przez całą noc nie działo się nic szczególnego. Atak, jeżeli był, nastąpił już po jego wyjeździe.

Odpowiedzi nie wzbudziły entuzjazmu przełożonych. Natychmiast dostał nowe polecenie -- ma wrócić i sprawić, czy wszystko działa jak należy. Dwa plutony piechoty i gąsienicowy AMX-10P -- całkiem pokaźna siła do wykonania zadania, ale nie dla Doxiadisa, który nie za bardzo wiedział, z czym będzie musiał się zmierzyć.

Usiadł w szoferce pierwszej ciężarówki i kolumna ruszyła. Transporter jechał z przodu. Skąd go wytrzasnęli, tego nie wiedział. Być może jakieś wsparcie dotarło całkiem niedawno. Dobre i to, skoro nie mógł liczyć na więcej. Dwudziestomilimetrowe działko w obrotowej wieżyczce budziło zaufanie.

Wspięli się na szczyt wzgórza i zaczęli zjeżdżać w dół. Wozem kołysało na koleinach. Nikos w końcu wcisnął na głowę hełm. Czuł się idiotycznie. Do tej pory jedynie na ćwiczeniach paradował w czymś podobnym. Normalnie wystarczała miękka czapka. Od razu dawało się odczuć różnicę. I jeszcze automat. W życiu nie dowodził niczym więcej niż drużyną, nie taka zresztą była jego rola, a tu masz... Cała nadzieja w dowódcach plutonów, bo on nie miał zielonego pojęcia, jak wykonać zadanie, tak by wszystko miało ręce i nogi.

Wjechali na pole bezpośrednio przylegające do zajmowanego przez stację terenu. Widział stąd antenę

i porozstawiane samochody.

-- Stać. -- Teraz okaże się, jakim jest wojakiem.

Piechurzy wyskoczyli z wozów. Odliczono. Wszystko grało. Kolej na niego.

Przywołał równie wystraszonych jak on dowódców plutonów.

-- Powiem szczerze... -- zaczął, lecz szybko umilkł. Wszyscy wpatrywali się w niego z ogromnym napięciem. -- Dobra, zrobimy tak...

To może nie było arcydzieło myśli wojennej, ale niczego innego nie potrafił wykombinować. Jeżeli tam czai się wróg, to lepiej, jak zaatakują pełną siłą. Wezmą Turków w kleszcze i przygwożdżą ogniem z karabinów maszynowych. Jeśli nie skruszą oporu od razu, pociągną z działka. Wszystko w tym temacie. Zgadza się z nim? Świetnie. To do roboty.

Sierżant Abdul Karim przyglądał się nadciągającym Grekom przez lornetkę. Na razie panował przyjemny chłód, ale niedługo zrobi się gorąco. I to dosłownie. Te parszywe bękarty szybko zorientowały się w sytuacji, a siły, jakie ściągnięto, były pokaźne: ponad pięćdziesięciu piechurów i transporter. Piechota to pół biedy, ale pojazdu opancerzonego się nie spodziewał.

Przeciwnik powoli zbierał się do działania. Widać było brak doświadczenia. Dla tych młodych ludzi była to pierwsza taka akcja. Jeszcze nie obyli się ze śmiercią. Im pewnie się wydawało, że całe życie można być żołnierzem i nie trafić na front. On nie zamierzał marnować okazji. Wskazał snajperowi cel -- trzech fagasów naradzających się opodal wyprężonych podwładnych.

Idioci. To najłagodniejsze określenie, jakie przyszło sierżantowi do głowy.

Odległość -- jakieś pięćset metrów. Daleko, ale Mohammed powinien sobie poradzić.

Huknął pierwszy strzał, potem kolejne. Dwóch z trzech padło niemal od razu. Szeregi złamały się, a żołnierze rozbiegli. Strzelec zaczął eliminować cele w dowolnej kolejności.

Tak, chłopaki, to jest wojna, a wy jesteście ofiarami.

Krew na policzku mocno zaskoczyła Nikosa. Co takiego się stało, przecież...

Padające ciała sprawiły, że i pod nim ugięły się nogi. Położył się na trawie szybciej, niż mózg zdołał to zarejestrować. Głos uwiązał mu w gardle. Dusił się. Na szczęście u reszty zadziałał instynkt samozachowawczy. Ludzie rozbiegli się, poszukując osłony.

-- Panie poruczniku, panie poruczniku!

Kto się tak wydziera? A, Takis. Zupełnie o nim zapomniał. Kapral przypadł bliżej.

-- Jest pan ranny?

-- Nie. Nie wiem.

-- Musimy uciekać.

To doskonała myśl, dźwignął się na kolana i zaczął zasuwać w stronę pobliskich krzaków. Dookoła

rozlegała się chaotyczna strzelanina.

-- Przerwać ogień! -- rozdarł się, lecz oto dobiegło ich staccato z transportera, zagłuszające wszystkie inne dźwięki. Wkrótce z jednej z przejętych ciężarówek poszedł dym. Nikos ucieszył się. Teraz pokażą tym draniom, co znaczy zadzierać z niewłaściwymi ludźmi.

Euforia nie trwała długo. Nie widział wszystkiego dokładnie, ale jak się zdawało, od strony tureckich pozycji wystrzelono pocisk przeciwpancerny. AMX to pojazd mocno przestarzały, w nowocześniejszych armiach zastępowany przez nowsze konstrukcje. Pancierz został przebity, a znajdująca się w środku załoga porażona odłamkami. Dym zasnuł horyzont.

Doxiadis wytrzeszczył oczy. Niczego podobnego się nie spodziewał. Stracił już kilku podkomendnych, a teraz jeszcze i to...

-- Panie poruczniku! -- Takis wydzierał się wprost do ucha podporucznika. -- Trzeba się przegrupować. Przegrupować, rozumie pan?

Tak, oczywiście, że rozumiał, trzeba wyciągnąć piechotę spod ognia i zastanowić się, co dalej.

-- Gdzie jest radio? -- Dopiero teraz przypomniał sobie, że zostawił je w szoferce. Jedyne, co nie czyniło go w oczach szeregowych kompletnym zerem, to fakt, że wciąż trzymał w rękach karabin.

-- Do tyłu! -- wydarł się najgłośniej jak potrafił.

A co tam, najwyżej zostanie rozstrzelany. Przy obecnym stanie ducha było mu już wszystko jedno.

Halicki nie potrafił oderwać wzroku od telewizora. O dziesiątej już wszystkie telewizje, radio i Internet trąbiły o jednym. Dyplomaci i eksperci wydawali się zaskoczeni, a przecież już co najmniej od paru tygodni wiadomo było, że coś się szykuje. Brak aktualnych materiałów rekompensowano mapami i tym, co nagrali przypadkowi obserwatorzy, lecz tak naprawdę trudno było się domyślić, jaki jest faktyczny przebieg walk.

Desant pod Maratonem okazał się fałszywy. To nie turecki desantowiec, tylko spóźniony prom.

Spadochroniarzy widziano w Markopoulo pod samymi Atenami, ktoś podpalił suchą jak pieprz trawę na Peloponezie i wysadził przekaźniki telefonii komórkowej. Grupa niezidentyfikowanych osób ostrzelała gmach Ministerstwa Obrony, a w Pireusie ponad dwustupięćdziesięciometrowy kontenerowiec osiadł na torze wodnym. Operacja podniesienia go zajmie tygodnie, o ile nie miesiące.

Nikt nie wiedział, co się właściwie działo -- kto się bronił, kto atakował i czy mają do czynienia z konfliktem na pełną skalę, czy też po paru dniach wszystko się uspokoi, a zwaśnione strony usiądą do stołu rokowań.

Sznajder wyszedł z łazienki. Pod luźnym podkoszulkiem widać było tuszę, miał zapuchnięte oczy i gęstą brodę, najbardziej imponującą z całej trójki. Twarz wytarł ręcznikiem, który bezceremonialnie rzucił potem na łóżko.

-- Spokojnie, tatuśku, to nie koszary.

Halicki zacisnął zęby. Nie znosił, gdy tak się do niego zwracano.

Artur wciągnął na siebie koszulę i zapiał guziki. Głowę ogolił na łyso. Nikt przy zdrowych zmysłach nie weźmie go za pokornego sługę Kościoła. Na ulicy wygląd miał znaczenie. Takich jak on kręciły się tu setki. Część wybierała się do Syrii, wielu właśnie stamtąd wracało. Sam Bejrut był jak beczka prochu. Trudno powiedzieć, kiedy wybuchnie, bo że wybuchnie, nie ulegało wątpliwości.

Major wyłączył telewizor. Robert dźwignął się z łóżka, na którym siedział, przeglądając lokalną gazetę. Jak dobrze pójdzie, dziś wyjadą, należało tylko wpłacić zaliczkę odpowiedniej osobie, z którą umówili się w pobliskiej herbaciarni.

Ulica zalana była słońcem. Musi sobie sprawić takie same przeciwsłoneczne ray bany, jakie ma Artur, idealne na taką pogodę.

Obok przemknęły trzy Humvee. Lufy karabinów maszynowych w półotwartych wieżyczkach mierzyły we wszystkie strony. Jak islamiści ruszą na Bejrut, chrześcijańskim maronitom przyjdzie uciec albo polec z honorem. Libańczycy byli bitni, ale niestety nieliczni.

Dookoła panował nieznośny harmider. Wydawało się, że wszyscy porozumiewają się krzykiem, wrzeszcząc i odgrażając się. Mieszanina zapachów kręciła w nosie. Pot i bród mieszały się z jakimiś chemicznymi wyziewami.

Na bazarze było podobnie, dzieci i psy walczyły o resztki. Major czuł obrzydzenie, gdy na to patrzył. Robert, blady jak śmierć na chorągwi, maszerował sztywnym krokiem, tylko Artur wydawał się właściwą osobą we właściwym miejscu.

Herbaciarnia pękała w szwach. Brudna i mroczna. Musieli przeciskać się pomiędzy klientami, chcąc

dotrzeć do dalej położonego pomieszczenia. Salę spowijał półmrok, ledwo rozpraszany przez smugę światła wpadającą przez mały świetlik.

Ten, który miał ich zabrać dalej, już na nich czekał. Zmierzwione włosy i skołtuniona broda sprawiały, że trudno było określić jego wiek. Miał trzydziestkę, a może czterdziestkę. Małe oczka przeszywały ich na wylot.

Halicki siadł na chwiejnym krześle, czekając, aż tamten skończy żuć daktyle.

-- Jesteś pewny, że trafiliśmy pod właściwy adres? -- zniecierpliwiony w końcu odezwał się po polsku do Artura, który umówił to spotkanie.

-- Pozwól, że ja to załatwię.

-- Zrobisz z nim to samo, co z tym Serbem?

Sznajder roześmiał się.

-- Wszystko widziałem.

-- Tylko nie mów, że ciebie nie wkurwiali?

-- A jakie to ma teraz znaczenie?

Major wstał, podszedł bliżej przemytnika i pochylił się nad stolikiem, kładąc obie dłonie na blacie.

-- Tobie wydaje się, że kim ty, kurwa, jesteś? -- Twarz Libańczyka wykrzywił grymas. -- Nie wiesz, że jak ktoś przychodzi w gości, to trzeba się grzecznie przywitać?

-- Ty... -- Przemutnik wydawał się mocno wkurzony.

Nim dokończył, ręka Halickiego zmiotła z blatu miseczkę z daktylami, popielniczkę oraz czajniczek z herbatą, które spadły na podłogę z głośnym hukiem. Zrobiło się zupełnie cicho. Uwaga wszystkich skupiła się na trójce przyjezdnych.

-- Idziemy -- zdecydował Halicki.

-- I po co ta cała ostentacja?

-- Żeby nas zapamiętali. -- Major wygładził koszulę. Jeżeli ten patałach ma tu swoich ochroniarzy, to zaraz dojdzie do konfrontacji, posypią się wióry i komuś stanie się krzywda. Ale wyszli przez nikogo niezaczepli, można by rzec, otoczeni nimbem sławy.

Nim na dobre wydostali się z krętego labiryntu kramów, Halicki obejrzał się za siebie. Głowy by nie dał, ale chyba ktoś za nimi szedł. Żarty się skończyły. Tutaj mało kto darowywał zniewagę. Zemsta to tradycja, a tradycji, jak wiadomo, musi stać się zadość.

Sznajder natychmiast podchwycił spojrzenie majora, okręcił się na pięcie i wtopił w tłum. Robert nawet nie domyślił się, co zaszło. Znaleźli się w wąskiej uliczce, prowadzącej pod górę. Wyciągając ramiona, dawało się dotknąć obu ścian. Przepuścili kilka kobiet i przystanęli. W powietrzu wirowały drobiny kurzu.

U wylotu zaułka pojawił się człowieczek o mikrej posturze. Gdy ich dostrzegł, próbował zawrócić. Nic z tego. Odwrót zagroziło mu cielsko Sznajdera. Gorzej, jeśli ten śmierdziel pod ubraniem chowa broń. Przyparty do muru mógł zacząć się bronić.

Podeszli bliżej.

-- *Salam alejkum* -- w ustach Artura pozdrowienie brzmiało jak wyznanie wiary.

-- *Wa alejkum salam.*

Krzywe zęby, krzywy nos, szcurza gęba -- tak pokrótce dawało się scharakteryzować typa.

-- Czemu za nami łazisz?

-- Mogę pomóc. -- Angielski tamtego był słaby, niemniej zrozumiąły.

-- Naprawdę? -- Sznajder przeszedł na arabski. -- Niby w czym?

-- Widziałem, co się stało. -- Szczurowatemu nie brakowało pewności siebie. -- Chodźcie ze mną.

Tym razem nie szli przez bazar -- ruszyli wzdłuż jakiegoś muru i przez wyłom przedostali się na drugą stronę. Garaże, warsztaty i magazyny, dookoła pełno śmieci.

-- Basim to zły człowiek.

-- A ty jesteś dobry?

-- Na pewno jestem lepszym muzułmaninem niż on.

-- Jak ci na imię?

-- Aziz.

-- Dobra, Aziz, powiedz, czego chcesz?

-- Ja niczego. To wy macie sprawę. -- Szczurowaty uśmiechnął się chytrze.

-- Takiś pewny?

-- Uhm.

-- Szukamy transportu -- w końcu odpowiedział Sznajder.

-- Dokąd?

-- Damaszek, może Palmira.

-- Damaszek.

-- Może być.

-- Jutro, tutaj, o piątej. Lepiej się nie spóźnijcie.

Sierżant Abdul Karim co rusz spoglądał na tarczę zegarka. Według wstępnych założeń ich własne odziały powinny były tu dotrzeć jakieś czterdzieści minut temu. A tymczasem cicho jak makiem zasiał. Na wschodzie nic się nie działo. Ilekroć próbował nawiązać łączność, radio zawodziło. W eterze panowała taka sama głucha cisza, jak po tureckiej stronie granicy.

Sytuacja stawała się nieciekawa. Oni zrobili swoje, a w ostatecznym momencie zostali porzuceni na pastwę losu.

Grecy przed nimi prowadzili niemrawy ostrzał. Facet, który nimi dowodził, nie miał jaj. Z przewagą, jaką posiadali, już dawno powinni ich powystrzelać co do jednego.

Turcy odpowiadali o wiele rzadziej. Powód był prosty -- należało oszczędzać amunicję. Wszystko, co posiadali, przynieśli ze sobą, a na wsparcie nie mieli co liczyć. Przyjrzał się mapie, próbując znaleźć wyjście z impasu. W ostateczności zarządzi odwrót, choć to w żaden sposób nie licowało z jego poczuciem obowiązku.

Stacja, która do niedawna stanowiła zasadniczy element obrony powietrznej, stała się szmelcem. W burtach widniały przestrzeliny, aparatura została strzaskana, komputery rozbite. Szkody powstały w pierwszych minutach potyczki, kiedy przeciwnik prowadził chaotyczny ostrzał. Jeden z komandosów dostał w pierś, drugiemu rozerwało czaszkę, ale reszta miała się nieźle. Wyłączenie z walki wrogiego transportera to jak do tej pory największy sukces Greków. Później stracili animusz. Karim się im nie dziwił. To nic przyjemnego oglądać ciała własnych kolegów rozerwane przez granat przeciwpancerny. Smród dolatywał aż tutaj.

Jeśli po drugiej stronie nie znajdzie się nikt, kto chwyci całe to towarzystwo za mordę, oni wytrzymają.

Podporucznik Nikos Doxiadis ucieszył się po raz pierwszy od wczesnego poranka, kiedy dowiedział się o nalocie na tureckie pozycje po tamtej stronie granicy. Właśnie zbliżało się południe, a on od paru godzin tkwił w tym samym miejscu. Zdaje się, że nie panował nad własnymi podwładnymi. Niby wydawał rozkazy, ale ich skutek był mizerny, więc może teraz, kiedy przybyły posiłki, sytuacja zmieni się na dobre.

Trzy studwudziestomilimetrowe moździerze ustawiono na pozycjach. Teraz wszystko rozstrzygnie się w ciągu kwadransa. Parę salw i po kłopotcie. Strzępy ciał będą fruwać w powietrzu.

Nikos potarł podbródek. Wezwanie do zaprzestania walki uznał za honorowe. Parlamentariusze, biała flaga, rząd tureckich komandosów rzucających broń i odprowadzanych na tyły. I on, z marsową miną nadzorujący, by proces nie uległ zakłóceniu.

Nieżła myśl.

-- Możemy zaczynać.

Doxiadis został wyrwany z zamyślenia prędzej, niżby sobie tego życzył.

-- Na mój rozkaz... -- Ostrzał nie zabije wszystkich. Kilku przeżyje. Tych wezmą do niewoli. -- Da-

waj!

Moździerzowa mina zniknęła w lufie, obsługa odskoczyła i zatkała uszy. Nastąpiło coś w rodzaju głośnego "fuuu" i pocisk poszybował w stronę nieodległych pozycji.

-- Skrócić o dwadzieścia.

Na razie się wstrzeliwali. Właściwy atak dopiero się zaczynał.

-- Ognia!

Ileż to satysfakcji widzieć, jak wszystkie "ogóry" spadają w celu.

-- Nie przerywać.

Zafunduje Turkom krwawą łaźnię. Nie było co ich oszczędzać. Skrzynie z pociskami piętrzyły się w pewnym oddaleniu. Donoszono je na bieżąco, w miarę jak rosło natężenie ognia. Gdyby miał czołg do dyspozycji, już dawno rozgniółby wroga na miazgę, a tak należało poczekać na efekty.

W sumie nie było źle. Moździerze wykonają za nich całą robotę. Niewielki obszar spowijał dym i kurz. Kolejne pociski detonowały w parosekundowych odstępach. Idealnie. O to właśnie chodziło. Przetrzyma sukinsynów i dopiero wtedy...

Ktoś do niego krzyczał, ale z powodu odległości nie potrafił zrozumieć słów.

O co chodzi i co ma znaczyć ta wyciągnięta w górę ręka?

Popatrzył w niebo i głośno przełknął ślinę. Helikoptery. Tylko czyje? Wąskie kadłuby, po bokach skrzydełka z zestawem uzbrojenia. To chyba Bell AH-1 Cobra.

Nabrał powietrza do płuc, lecz nim zdążył ostrzec kogokolwiek, zostali zasypani gradem niekierowanych rakiet. Stanowiska moździerzy, sprzęt i ludzie zaczęli znikać w ognistych kulach.

Najpierw następował błysk, a zaraz potem rozlegał się grzmot. Wszystko nikło za ciemną nieprzeniknioną kurtyną. Przeciągły krzyk zlewał się z nieustannym hukiem. Umysł podporucznika rejestrował poszczególne obrazy -- jakiś żołnierz z urwaną nogą wił się w konwulsjach, inny próbował uciekać, nie zdążył, odłamek urwał głowę, a ciało bezwładnie legło na ziemi. Fale ciśnienia miały ludźmi. Jeśli szybko się stąd nie wydostanie, zginie.

Popędził na oślep przez pole, wpadł w zagłębienie terenu i zaczął czołgać się po śliskich kamieniach. Jakiś piechur siedział skulony, kołysząc się w przód i w tył. Nikos zostawił nieszczęśnika w spokoju. Jak na jeden dzień dość się już namęczył.

Dziesięć minut dzieliło go od zwycięstwa, dziesięć minut, nie więcej. Przeklęte Cobry. Gdzie właściwie jest ich broń przeciwlotnicza? W sztabie ostro sobie pogrywają. Czy on sam jeden i te nieszczęsne dwa plutony mają zatrzymać całą turecką ofensywę?

W budynku Ministerstwa Obrony panowała napięta atmosfera. Wszyscy oczekiwali na rezultat prowadzonej właśnie bitwy.

Były sukcesy, były i porażki, których się nie spodziewali, ale z którymi należało się liczyć. Wojnę wygra ten, kto popełni mniej błędów, a im zdarzały się ewidentne pomyłki. Najważniejsza to zlekceważenie przeciwnika. Niewybaczalna. Każdy z obecnych w wielkiej sali miał tego świadomość.

-- Pierwsze godziny potwierdziły znakomite przygotowanie naszych pilotów i marynarzy, niemniej... --
 -- Dowodzący lotnictwem Murat Yildiz nerwowo obrócił się na fotelu. Zamiast siedzieć tutaj, wolałby nadzorować serię operacji, jakie zaplanowano. Część z nich była już w toku, do kilku kolejnych należało wprowadzić poprawki. To, co godzinę wcześniej uznawano za pewne, teraz niekonieczne musiało takie być.

-- Proszę kontynuować. -- Sulejman Dżabbar był tak samo zmęczony jak cała reszta. Napięcie ostatnich dni wyraźnie dawało się generałowi we znaki, a to przecież dopiero początek.

-- Nie spodziewaliśmy się kontrataku, i to tak precyzyjnego. O tej porze powinniśmy minąć Feres i znajdować się już piętnaście kilometrów dalej. -- Yildiz wskazał na ściennej mapie jakąś miejscowość zabita dechami, o której istnieniu wiedzieli jedynie oficerowie nacierających wojsk i mieszkańcy tego uroczego zadupia. -- Niestety, wciąż tkwimy nad granicą.

-- Kto tam dowodzi?

-- Generał Nihan Ergin.

-- Należy go zdjąć ze stanowiska.

-- Generał poległ podczas porannego nalotu. Kolumnę sztabową ostrzelał grecki samolot. Ergin zginął na miejscu.

-- A jego zastępca?

-- Również. Jak się wydaje, to zwykły przypadek. -- Yildiz rozłożył ręce. -- Na razie nie wyznaczono następcy. Operacją dowodzi dotychczasowy szef sztabu Jedenastej Zmechanizowanej. W ciągu godziny planowane jest wznowienie natarcia, tym razem już na dobre. Grecy na wschód od Feres są nieliczni i poważnie osłabieni przez ataki naszych grup dywersyjnych. Do poważniejszych walk doszło jedynie w rejonie stacji radiolokacyjnej. Nasi komandosi ją uchwycili, Grecy próbowali odbić. Starcia trwają do tej pory. Mamy kłopoty z łącznością, a to, co wiemy, napłynęło ze zwiadu powietrznego. Informacje są jednak na tyle skąpe, że trudno wysnuć jednoznaczne wnioski, co tam tak naprawdę się stało.

Murat Yildiz wiedział, że to, co mówi, nie brzmi dobrze. Harmonogram działań został zakłócony już na wstępie, a na dobrą sprawę nie doszło jeszcze do konfrontacji z głównymi siłami greckiej armii. Zajęcie Salonik może być trudniejsze, niż początkowo przypuszczano. Mozolne spychanie wroga na zachód prawdopodobnie będzie krwawym i niewdzięcznym zadaniem. Obie strony dysponowały porównywalnym potencjałem. Co z tego, że oni posiadali więcej sprzętu, przecież nie ogołocą pozostałych obszarów. Nadal należało pilnować Kaukazu, Krymu i granicy z Iranem, zwalczać wewnętrzną rebelię, a na dodatek liczyć się z tym, że Anglicy, Francuzi, Rosjanie i resztki amerykańskich wojsk wesprą Ateny. Turcja to duże państwo, a kto chciałby widzieć, jak staje się jeszcze potężniejsza? Pojawienie się nad Morzem

Egejskim koalicyjnych samolotów stanowić będzie niemiłą niespodziankę.

Na razie było za wcześnie na takie spekulacje, ale kto wie, co wydarzy się do wieczora? Jak się wydawało, rządy zachodnioeuropejskich krajów, wyrwane z błęgiego bezruchu, dopiero przygotowywały odpowiedź. Jaka ona będzie, zależało od sytuacji na froncie. Im szybciej zmuszą do uległości Ateny, tym prędzej głosy potępienia umilkną.

-- Co z pozostałymi obszarami? -- zapytał Dżabbar.

-- Przechwytyjemy lotniska i siedziby lokalnej administracji wszędzie od Limnos po Kos. Okrętowe zespoły bojowe blokują podejścia do portów. Ściągnęliśmy z Morza Czarnego wszystko, co się dało. Większość jednostek właśnie przechodzi przez Bosfor. Utworzymy z nich nową grupę desantową.

Tureckiej flocie brakowało jednego -- lotniskowca. I nie chodziło tu wcale o potężny okręt, jak ten amerykańskiej klasy Nimitz, a o jakąś skromniejszą jednostkę, mogącą wysłać w powietrze dwadzieścia-trzydzieści maszyn. Projekcja siły byłaby wówczas o wiele większa. Choć lotnictwo swoim zasięgiem pokrywało większość interesującego ich obszaru, lotniskowiec mimo wszystko stanowił potęgę.

Być może w niedalekiej przyszłości stanie się to możliwe. Chiny stać było na taki wydatek, więc ich również.

-- Proszę przyspieszyć wszystkie działania. -- Znużenie dosięgło Dżabbara niespodziewanie. W nocy nie zmrużył oka, wcześniej też niewiele spał, starając się dopilnować wszystkiego osobiście. Jak szybko się okazało, ludzki organizm ma swoje ograniczenia, a kierowanie państwem jest bardziej absorbujące niż dowodzenie korpusem.

Cholerny Ergin, dał się zabić jak idiota. Nie powinien tak myśleć, ale inaczej nie potrafił. Potrzeba im szybkiego zwycięstwa, a nie wojny na wyniszczenie.

Sięgnął po kartkę, którą położył przed nim adiutant. Wstępny szacunek strat -- prawie stu osiemdziesięciu zabitych i czterystu rannych, większość za sprawą ataku greckich F-16. To była dobrze pomyślana i przeprowadzona akcja. Sześćdziesiąt pojazdów czasowo wyłączonych z działania. Dwadzieścia to kompletny złom.

Zestrzelili trzy Falcony na północy i dalszych pięć bardziej na południu, tracąc siedem maszyn. Straty porównywalne, tyle że ich piloci powrócili do szeregu, a Grecy w większości trafiają do obozów jenieckich. Jeden z nich powstanie na Lesbos. Wyspa nadawała się do tego znakomicie. Bez łodzi nikt stamtąd nie pryśnie. Nie potrzeba zbyt wielu strażników i w ogóle kłopot mniejszy niż trzymanie ich u siebie. Wśród takiej zgrai na pewno znajdzie się co najmniej kilku urodzonych buntowników i uciekinierów. Ganimenie ich jest zupełnie pozbawione sensu. W sumie to problem dla Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Oni już wiedzą, jak poradzić sobie ze zbiorową niesubordynacją.

Dobrze, na razie jeńców nie było wielu. Ta kwestia może poczekać, należało zająć się istotniejszymi sprawami.

Przez plecy Halickiego przebiegł dreszcz. Panował ziąb zupełnie jak w Polsce w okolicach pierwszego listopada. Postawił kołnierz kurtki, zapiął guziki koszuli i chuchnął w dłonie. Robert i Artur lepiej znosili panujący chód. Galiński wystawił twarz do pierwszych słonecznych promieni, a Sznajdera z zadumy wyrwać mogło jedynie pojawienie się Mahometa.

-- Znowu daliśmy się zrobić w chuja. -- Major wcisnął dłonie w kieszenie. Czekanie go mierziło. Ileż można? Piąta to piąta, a nie wpół do szóstej. Szczurowaty okazał się łgarzem, jak cała reszta. "Lepiej się nie spóźnicie" -- to stwierdzenie w jego ustach brzmiało jak kpina. Ale z nich frajerzy, dali się podejść jak dzieci.

-- Przyjdzie. -- Galiński wykazał większą dozę optymizmu.

-- Kto? Aziz? Nie wierzysz chyba temu pokurczowi?

-- Trzydzieści minut, nic strasznego. To w końcu nie wyjazd z biurem turystycznym na safari czy oglądanie starożytnych ruin.

-- Tak, oczywiście. -- Major przysiadł na stercie cegieł tuż pod murem, gdzie mniej wiało. -- Czekamy do szóstej, potem spadamy.

Robert skinął głową, Artur albo nie usłyszał, albo zignorował słowa Halickiego.

Minuty wlekły się niemiłosiernie. Na szczęście biała kula słońca wspinała się coraz wyżej po nieboskłonie. Pojawił się jakiś dzieciak, po nim z dziury w murze wyłoniło się jeszcze dwóch nastolatków. Halicki słyszał ich już dużo wcześniej. Głośno rozmawiali, pewnie myśleli, że są sami. Jeden mógł mieć szesnaście, a drugi najwyżej osiemnaście lat i skąpy zarost na twarzy. Widok trzech nieznanomych mocno ich zdeprymował. Zamiast pójść dalej, przystanęli, przyglądając się im nieufnie. Przynieśli ze sobą granatową sportową torbę, którą położyli ostrożnie obok.

Trzy minuty później pojawił się czerwony nissan NP300, pokryty grubą warstwą pyłu.

-- A nie mówiłem? -- Galiński wyszczerzył zęby.

-- Lepiej się zamknij.

Aziz, zajmujący miejsce obok kierowcy, wysunął się z pick-upa. Wyglądał tak samo niechlujnie jak wczoraj. Nim do nich podszedł, skinął na dwóch wyrostków. Ci błyskawicznie wskoczyli na pakę wozu. Z tyłu zaczęło się robić ciasno.

-- Czekaliśmy godzinę -- zaczął z wyrzutem Halicki. -- Miało być o piątej.

-- O szóstej. -- Przemysłownik strzyknął śliną. -- Mówiłem wyraźnie.

-- Akurat.

-- Najważniejsze, że przyjechał. -- Robert wcisnął się pomiędzy majora a szczurowatego.

-- Możecie się ładować. Pięćset od głowy. -- Libańczyk stał nieporuszony.

-- Pięćset? Czego?

-- Dolarów.

-- Dostaniesz sto, i to dlatego, że jestem w dobrym humorze.

-- Czteryście i ani centa mniej.

-- Artur, pozwól tutaj...

Na widok podchodzącego Sznajdera typowi zrzedła mina. Od razu widać było, że ma do czynienia z szaleńcem, to znaczy z męczennikiem świętej wojny. Halicki wysupłał z kieszeni sto pięćdziesiąt dolców i wcisnął je Azizowi w rękę.

-- Resztę dostaniesz później.

-- Ale...

-- Jak mój humor się utrzyma.

Zajęli miejsca. Oprócz nich i dwójki gówniarzy do Syrii zmierzał jeszcze jeden osobnik. Pod arafatką widać było jedynie oczy. Zielona kurtka i spodnie, solidne buty. Odpowiedział na powitanie i przesunął się na bok.

Bejrut jest domem dla czterystu tysięcy ludzi, z uchodźcami wychodzi drugie tyle. Dawny Paryż Wschodu wiele stracił ze swojego uroku. Masa uciekinierów z Syrii gnieździła się w barakach, magazynach lub mieszkała wprost pod namiotami. Na obrzeżach obozów piętrzył się gruz i hałdy śmieci. Z higieną osobistą było tu krucho, pranie i mycie odbywało się w plastikowej misce.

Halicki obserwował początek dnia w jednym z takich miejsc. Władze Libanu nie wydały na uchodźców ani jednego dolara, więc ci radzili sobie, jak mogli. W centrum nadmiar ludzi nie rzucał się tak bardzo w oczy, dopiero w tym przygnębiającym miejscu widać było, ilu ich jest.

Problem wydawał się nierozwiązywalny. Zbrojne starcia trwały, uśpione fronty ruszyły, a każda ze stron uporczywie próbowała bronić własnych pozycji. To napędzało przemytniczy biznes. Nawet jeżeli jedna ze stron odniesie bezwarunkowe zwycięstwo, to jeszcze niczego nie gwarantowało.

Pokonani zaczną uciekać, rozpoczną się represje, tu nikt nikomu niczego nie daruje. Względnej poprawy należało spodziewać się za parę lat, i to tylko wtedy, gdy reżim Baszara al-Asada zdławi kalifat, na co nie zanosilo się w najbliższym czasie. Szybciej już ISIS dorwie jego. Na lotnisku w Damaszku prywatny samolot grzał silniki, gotowy wywieźć dyktatora, kiedy tylko zajdzie taka konieczność. Azyl otrzyma w Rosji. Będzie tam miał jak u siebie w domu.

W końcu wydostali się poza miasto. Jechali pylistą drogą wzdłuż rzędu słupów linii energetycznej. Na polskich wsiach też takie były. Halickiemu przypomniało się dzieciństwo i wizyty u dziadków pod Koszalinem.

Po kilkuset metrach z przeciwka wyłoniła się ciężarówka wyładowana tak, że dziw brał, iż się nie wywróciła.

Zjechali z szosy w stronę niewielkiej osady -- meczet i trochę zabudowań w kształcie pudełek. Na centralnym placu już na nich czekali.

Do nissana podszedł mężczyzna w okularach, wyglądający na studenta, z plecakiem przerzuconym przez ramię. Przywitał się z Azizem i od razu wskoczył na pakę. Zrobiło się naprawdę ciasno.

Tym razem nie wyjechali na główną szosę, tocząc się lokalnymi szlakami. Na pierwszym lepszym posterunku groziła im wpadka.

Słońce zaczęło przygrzewać na dobre. Powietrze zrobiło się ciężkie i gęste, zupełnie jak kisiel. Ci, którzy zabrali ze sobą wodę, łykali ją co chwila, reszta cierpiała w milczeniu. Horyzont falował, zniekształcając obraz i nie pozwalając jednoznacznie określić odległości. Głowy podróżnych kołysały się na

boki zgodnie z tym, w którą dziurę wjechały koła, po lewej czy po prawej stronie traktu.

O ile czekanie wkurzało, jazda wydawała się doznaniem niemal nie do zniesienia. Pewnie tak wyglądało piekło -- niekończąca się udręka. Bolała głowa, plecy i tyłek, a przełyk palił żywym ogniem. Woda w butelce nabrała parszywego plastikowego posmaku. Jeszcze niecałe pół litra, a i to się skończy.

Było tuż przez jedenastą, gdy zaczęli wjeżdżać na suche wzgórza. Długi podjazd i zakręt. Na niebie białe smugi kondensacyjne odrzutowców przelatujących parę tysięcy metrów nad nimi. Niektóre podwójne, częściej pojedyncze, tworzyły grube warkocze, rozplywające się po paru minutach.

Zjazd trwał tak samo długo. Od kilku godzin jechali najwyżej czterdziestką. Przynajmniej nie rzucano nimi na koleinach na wszystkie strony.

Godzinę później zrobili postój niedaleko porzuconego gospodarstwa. Aziz wysiadł, przeciągnął się i wyjął butlę gazową. Poobijany blaszany czajnik wypełniono wodą i ustawiono na palniku.

Towarzystwo porozłaziło się we wszystkie strony. Halicki nie był wyjątkiem, pierwsze kroki kierując w stronę ruiny.

Wystarczył moment, by zorientować się, że niczego ciekawego tam nie ma. W suficie ziały dziury, wiatr naniósł piachu, sprzęty potłuczono i porozbijano. Wyszedł zniechęcony. Już chciał sobie ulżyć pod murem, gdy dostrzegł trzy kopczyki usypane zaledwie parę metrów dalej. A jednak gospodarze nie uciekli. Jakaś grupa rebeliantów lub oddział sił rządowych przyplątał się w pobliże, rozwalając rodzinę za domniemane bądź rzeczywiste winy.

Podobno na wojnie nie ma niewinnych. Akurat z tym stwierdzeniem nie do końca się zgadzał.

Już kiedyś to przerabiał. Napatrzył się dosyć na okaleczonych i zabitych -- dzieci, kobiety i starców. Bałkański kocioł nie oszczędził nikogo. Wspomnienia prześladowały go do tej pory. Wystarczyło przymknąć oczy, a wszystko wracało ze zdwojoną siłą. Ogarniała go wówczas taka furia, że wszystkich tych sukinsynów rozwaliby na miejscu, a nie oddawał Trybunałowi Sprawiedliwości w Hadze.

Napiął ramiona i barki. Wystarczy. Martwym życia nie przywróci, a sam przy okazji zadręczy się na amen.

Obejrzał się za siebie. Facet w arafatce, paląc papierosa i opierając się o futrynę, obserwował uważnie każdy jego gest. Przynajmniej nie ukrywał twarzy. Mocno opalony, na szczęście trochę parodniowego zarostu. Bez wątpienia Europejczyk.

-- Jakiś problem? -- burknął rozeźlony.

-- To zależy.

Angol albo Irlandczyk. Chyba był najemnikiem, a nie jednym z tych ogarniętych religijną ekstazą młodzieńców, którym wydawało się, że walka w szeregach Państwa Islamskiego przyda im męskości.

-- Nie lubię, kiedy ktoś gapi się na mnie w ten sposób.

-- Takiś delikatny? -- Facet ostentacyjnie zaciągnął się szlugiem i tak samo powoli wypuścił błękitny kłąb dymu.

-- Jak chcesz mnie wkurwić, to właśnie ci się udało. -- Halicki zacisnął dłonie w pięści.

-- Opanuj się, człowieku, ja chciałem tylko rozprostować nogi. -- Kiep wylądował w piachu. -- Nerwus z ciebie, wiesz?

-- Tak już mam.

Facet roześmiał się niespodziewanie. Halicki parsknął zaraz potem. Napięcie minęło. Niepotrzebnie tak się zaciętrzewiał. Ten gość w końcu nie był jego wrogiem. Jeszcze.

-- François jestem.

-- Francuz?

-- Belg.

No proszę, jak się można pomylić. Głowę by dał, że to angol lub kuzyn z za wielkiej wody, a tu Belg, o ile mówi prawdę. Z takimi jak on nigdy nic nie wiadomo.

Sam przedstawił się jako Pierre.

-- Francuz?

-- Rodowity.

Kolejna salwa śmiechu. Ależ sobie pogadali. Prawdziwi z nich kawalarze.

-- A dokąd to się wybierasz, François?

Mina Belga zrobiła się poważna, jak na pogrzebie.

-- I tak nie uwierzysz.

-- Spróbuj.

-- Ja nie żartuję -- tamten zastrzegł ponownie. -- Wysłała mnie fundacja "Zielona Przystań".

-- Nigdy o nich nie słyszałem. -- Halicki pokręcił głową.

-- To mała lokalna grupa z siedzibą w Brugii. Mam koordynować dostawy z pomocą humanitarną. Podobno wycofali się nawet "Lekarze bez Granic". Totalna zapaść. Zapasów wystarcza na parę dni. Wiele osób umrze.

-- Domyślam się -- major przytaknął.

-- Jeśli nic nie zrobimy, ofiar będzie więcej.

-- I wy...

-- Właśnie.

-- Bardzo szlachetne.

-- A ty i twoi koledzy?

-- To co?

-- No...

-- Aaa... Jest taki obóz pod Damaszkiem. Pracujemy jako wolontariusze. Ten z brodą specjalizuje się w ortopedii. Wybitny fachowiec, do ucha zajrzy i zęba wyrwie. Specjalista. Ten drugi jest od chorób skóry. Zna się też na ginekologii.

-- Ooo...

-- Prawda? A nie wygląda.

-- A ty?

-- Ja tu robię za mechanika.

-- Narzędzia pewnie wiesz ze sobą?

-- Parę kluczy francuskich. Niczego więcej nie potrzebuję.

Trzy godziny później są niemal u celu. Od jakiegoś czasu słycać głucho dudnienie narastające z każdym przejechanym kilometrem. Ktoś salwa za salwą wysyła w powietrze ładunki artyleryjskie.

Skutki ostrzału w terenie zabudowanym są opłakane. Obojętnie, kto prowadzi ostrzał, to niedopuszczalne z punktu widzenia prawa międzynarodowego. Wcześniej należy ostrzec ludność cywilną, dać jej możliwość ucieczki, stworzyć bezpieczne korytarze, inaczej to zbrodnia. Tylko kto by się przejmował takimi szczegółami. Prawo, to ludzkie i boskie, już dawno zostało pogrzebane. Los cywilów nikogo nie obchodzi.

Na drodze pojawiły się jakieś ciężarówki i pick-upy. W wioskach, jednej czy drugiej, byli nawet ludzie. Damazek znajdował się całkiem niedaleko. Czy to przypadkiem nie stąd Saladyn wybierał się do walki z krzyżowcami? Halicki kiedyś coś na ten temat czytał, ale nie był pewny.

Nissan przystanął. Aziz wysiadł i kazał im zeskoczyć. Zebrali się na poboczu, jak stadko wystraszonych kurcząt. Od majora ściągnął resztę należności, wsiadł do terenówki i tyle go widzieli.

-- Cudownie. -- Sznajder splunął, rozglądając się po okolicy. -- Co robimy?

Jakaś osada rozciągała się na prawo od nich. Już chcieli tam pójść, kiedy na drogę wyjechał ewidentnie przeładowany ciężarowy bedford, którego koloru trudno się było domyślić pod kurzem i rdzą pokrywającą szoferkę. Wóz zatrzymał się obok nich. Muzeum, bez dwóch zdań. Pomocnik kierowcy wskazał im pakę. Wsiadli, nie zadając pytań. Z tyłu cuchnęło, wszędzie piętrzyły się stare opony i masywne drewniane skrzynie. Ścisk taki sam jak w nissanie.

Zaczęli toczyć się w ślimaczym tempie. Przynajmniej jechali. Jeżeli Aziz miał układ z kierowcą, to oni nic o tym nie wiedzieli.

Kilometr dalej po szosie kręciło się kilku łachudrów. Normalny człowiek na ich widok spluwał pod nogi. W tym przypadku nie było to możliwe. Każdy z nich dzierżył Kałasznikowa. Sandały na nogach, brudna koszulina, turban i broń maszynowa -- widok wydawał się absurdalny. To raczej nie bojownicy Frontu al-Nusra czy Państwa Islamskiego. Chyba lokalna samoobrona.

Przetoczyli się obok, niezatrzymywani.

Do Halickiego dobiegało coraz więcej dźwięków. Faktycznie, zbliżali się do przedmieść Damaszku. Wypalony wrak T-55 tkwił w rowie. Major przyglądał się maszynie przez dłuższą chwilę.

Huknęło kilkadziesiąt metrów od nich. Wystraszyli się nie na żarty. Na głowy posypały się kamyczki i piach. Sznajder rzucał kurwami, a gówniarze, którzy jechali z nimi od samego Bejrutu, wyglądali na bliższych paniki.

-- Co to było? -- Galiński nieco wyżej uniósł głowę.

-- Pocisk, zdaje się sto dwadzieścia dwa milimetry.

-- Ja pierdołę.

-- Później. -- Na otwartej przestrzeni stanowili idealny cel.

Nie wiedział, skąd strzelano, ale przebywanie tu dłużej groziło śmiercią.

-- Jedź! -- wydarł się na kierowcę. -- No już, grzej!

Szarpnęło. Potoczyli się szybciej.

Kierowca próbował wycisnąć z silnika, co się dało. Biegi zgrzytały, choć w żaden sposób nie przekładało się to na prędkość jazdy.

Kolejna detonacja, tym razem z boku. Już bez żadnych wątpliwości można było powiedzieć, że to oni robili za tarczę strzelniczą.

Zakręt w lewo. Z dziesięcioma tonami ładunku nie pojedą prędzej jak trzydziestką.

Sytuacja była nieciekawa. Aziz wiedział, co robi. Pozbył się ich, a sam zapakował kolejnych uchodźców i prysnął do Libanu. Kolację zje w domu.

-- Co teraz? -- Sznajder również nie chciał ginąć w tak idiotyczny sposób.

Nim zdążył odpowiedzieć, świat utonął w huku potężnej eksplozji.

Burzliwe obrady studziwieńdziesięciodziewięcioosobowego zgromadzenia narodowego trwały od wczesnych godzin rannych. Większość posłów ściągnięto pilnie z wakacji dzień wcześniej. Inni dołączali na bieżąco. Zresztą Węgry to raczej mały kraj, z najbardziej odległego miejsca dawało się dojechać do stolicy w parę godzin.

Powód, dla którego większość przedstawicieli narodu musiała przerwać wakacje, był jeden -- agresja Turcji na Grecję. Takiego posunięcia Ankary się nie spodziewano. Owszem, ani Turcy, ani Grecy za sobą szczególnie nie przepadali, ale żeby zaraz wszczynać wojenną awanturę, to już przechodziło ludzkie pojęcie.

Starcia wzdłuż granicy trwały kolejny dzień. Przeciwnicy wymieniali ciosy, nie oglądając się na nic. Bomby spadły na lotnisko w Atenach i port w Salonikach. O tym, co działo się na wyspach, niewiele wiadano. Czasami udawało się przechwycić jakąś transmisję, urywkowe zdanie. W wielu miejscach Internet wciąż działał. To było nawet lepsze od bazowania na tym, co mówiły radio i telewizja. Na Rodos broniły się ostatnie grupy policji i ochotników. Odnotowano co najmniej trzydziestu zabitych po obu stronach. Kretę na razie pozostawiono w spokoju. Na Kos obyło się bez większych starć, za to na północy, tuż przy bułgarskiej granicy, trwała ofensywa lądowa. Wkrótce uciekinierzy z terenów ogarniętych wojną zaczną spływać do krajów ościennych. Już nie tylko etniczna mieszanka z Bliskiego Wschodu, ale i rdzenni mieszkańcy Hellady wyruszą w poszukiwaniu bezpiecznej przystani. Kolejne setki tysięcy cywilów. Jeżeli w ślad za nimi podążą tureckie oddziały, nic ich nie zatrzyma. Oprócz greckiej armii nie było tam nikogo, kto sprostałby takiej potędze. Powtarzała się historia sprzed pięciuset lat.

Albania się nie liczyła. Te tłumy chętnie przyłączą się do Turków. O Macedonii można było zapomnieć. Mała i bez znaczenia. Bułgaria lepiej. Chociaż połknięcie jej i przerzucie zajmie najwyżej tydzień. Serbowie będą się bić do ostatniego. Dla nich to kwestia przetrwania, ale i tak zostaną rozjechani. Kwestia, co robić dalej, stawała się paląca.

Endre Kertész mimo nieprzespanej nocy i utrzymującego się napięcia zręcznie lawirował pomiędzy zgromadzonymi w kularach obserwatorami, dziennikarzami i tymi, którzy urwali się z sali na papierosa. Zna tu prawie wszystkich, z co drugim jest po imieniu, a to sprawia, że zanim dotrze do drzwi, za którymi odbywa się spotkanie jego klubu parlamentarnego, musi co rusz przystawać i pogadać choć parę minut. Słowo tu, trzy tam. To istotne, jeżeli chce przepchnąć uchwałę, nad którą pracował całą noc. Na razie o wszystkim wiedział tylko on i najbliżsi współpracownicy. Może pora wypuścić próbny balon czy też kontrolowany przeciek, obojętnie jak to nazwać. Niech publika oswoi się z tematem. Takie nagłe przyłożenie z grubej rury może mieć skutek odwrotny od zamierzonego.

Od kogo by zacząć...

-- Drogi Endre, wydaje mi się czy mnie unikasz?

Problem rozwiązał się sam. Imre Balázs należał do tych polityków, których albo się lubi, albo darzy czystą nienawiścią. Pięćdziesięciolatek spod Debreczyna o nalanej twarzy i wypomadowanych włosach był raczej typem bon vivanta niż polityka. Prawie co tydzień tabloidy donosiły o kolejnej gafie, romansie czy też wysoku Balázsa. Gdyby tak głębiej poszukać, okazałoby się, że swoje stanowisko zawdzięcza

fortunie i koneksjom, a nie talentowi do polityki.

-- Jak zwykle przesadzasz. -- Kertész uściśnął mięsistą dłoń. -- Chodź na słowo.

Balázsowi nie trzeba było dwa razy powtarzać, w takich przypadkach odzywał się w nim instykt, czuł się ważny i pomocny. Dla Kertésza bardziej liczyło się to, że pozostaje w doskonałych stosunkach z przewodniczącym izby. Ten układ może zadecydować o wszystkim.

Wystarczyło nieznacznie się obrócić, by dostrzec, że jego rozmowa z Imrem została dostrzeżona. Ci z prawej i ci z lewej strony sceny politycznej już zachodzili w głowę, co to może oznaczać. On z Fideszu, a Balázs konserwatysta do szpiku kości.

Przystanęli pod filarem, w miejscu tak odległym od najbliższej grupy dyskutantów, jak to tylko było możliwe. Dla podkreślenia, jakie to ważne, przytrzymał Imrego za łokieć, choć nie musiał tego robić.

-- Jak Anna?

-- Wszystko dobrze -- odparł Balázs zdezorientowany. Chyba nie będą gadać o jego żonie.

-- Jest tu czy w Peczu?

-- Oczywiście, że w Peczu. Ktoś musi pilnować interesu, kiedy ja...

-- Tak tylko pytam.

-- To jest ta twoja sprawa?

-- Moją sprawą jest dobro kraju, proszę, nie zapominaj o tym. -- Endre zwilżył wargi językiem. -- Nie pytałem bez powodu, przecież wiesz, co się wyprawia.

Balázs, mający w okolicach Peczu wielki majątek, był szczególnie wyczulony na wszystko, co działo się po drugiej stronie granicy. Jakakolwiek ruchawka źle wpływała na interesy.

-- Co proponujesz?

-- Imre, ty mnie przeceniasz, co ja mogę? -- Kertészowi chciało się śmiać, widząc zboląłą minę kolegi. -- Chociaż...

-- Nie trzymaj mnie dłużej w niepewności.

-- Wiesz, że sami nie damy rady się obronić?

-- Spróbujmy się dogadać.

Akurat tego nie przewidział. Imre myślał przez pryzmat własnych interesów, a nie interesów państwa.

-- Z Turkami?

-- Z Turkami, Żydami, Arabami, obojętnie.

-- A nie wydaje ci się, że oni mogą nas najnormalniej w świecie olać? Co im po Budapeszcie? Muszę to przyznać z niechęcią, ale jesteśmy krajem trzeciej kategorii. Mało kto się nami przejmuje.

-- Prowadzimy niezależną politykę.

-- Właśnie. I oby to trwało jak najdłużej. Jak słusznie zauważyłeś, dogadujemy się.

-- Endre, jeżeli chcesz tu ściągnąć Rosjan, to ja takiego wniosku nie poprę. Pół mojej rodziny związało do Austrii w pięćdziesiątym szóstym, a drugie pół trafiło do więzienia.

-- Wiem, że jesteś do nich uprzedzony, ale ja nie mówię o Rosjanach, ci mają własne problemy.

-- Nie widzę nikogo...

-- A Grupa Wyszehradzka? No proszę cię. To nasza jedyna nadzieja.

Balázsowi szerzej otworzyły się oczy, odpowiedni przekaz trafił do mózgu. Jeżeli ktoś potrafi zapewnić im bezpieczeństwo, to tylko Warszawa. W ciągu paru tygodni dokonał się tam prawdziwy polityczny przewrót. Przyjęcie wojsk amerykańskich okazało się strzałem w dziesiątkę. Potencjał Polski wzrósł wielokrotnie. Nie obyło się oczywiście bez problemów. Niemcy gardłowali na całego, Francuzi próbowali dorównać kroku Berlinowi. Bezustannie mówiono o naruszeniu europejskiej równowagi, dwulicowości Warszawy i zdradzie narodowych pryncypiów. Oni oczywiście wiedzieli o tym najlepiej.

Większości oskarżeń polscy dyplomaci wysłuchiwali ze stroskanymi minami, a za plecami śmiali się w kułak. Kto mógł im podskoczyć bez narażania własnego kraju na całkowite zniszczenie? Polska dołączyła do krajów posiadających broń atomową i środki do jej przenoszenia, miała strategiczne lotnictwo i marynarkę wojenną, jakiej mogły jej pozazdrościć większe państwa.

Armia Republiki Węgierskiej była przy niej jak karzełek przy olbrzymie -- dwadzieścia tysięcy zawodowych żołnierzy i trochę ponad pięćdziesiąt tysięcy rezerwistów. Lotnictwo małe i bez znaczenia.

Jeżeli poważnie myśleć o przyszłości -- oto pojawiło się rozwiązanie. Pomoc ze strony Berlina niechybnie uzależni gospodarkę od Niemiec, Londyn za daleko i raczej sam nie podejmie działań, a zacieśnienie sojuszu Polski, Czech, Słowacji i Węgier sprawi, że staną się liczącym się graczem już nie tylko europejskiej, ale i światowej polityki.

Wystarczyło poobserwować, jak przez oblicze Imrego przebiega nerwowy impuls -- strach, rozczarowanie, nadzieja.

-- Endre, zaimponowałeś mi.

-- Sam byś na to wpadł.

Wniosek do premiera o zwołanie pilnego zebrania grupy kontaktowej porozumienia wyszehradzkiego wpłynął pod obrady już pół godziny później. Oficjalnie zaczęto mówić o kolejnym projekcie, który oznaczał poproszenie Warszawy o pomoc. Niemal wszyscy byli w tym względzie zgodni -- w obecnych warunkowaniach to jedyna słuszna droga. O pilne spotkanie zwrócono się do polskiego ambasadora. Należało wysondować, czy Warszawa jest skłonna udzielić wsparcia, a jeżeli tak, to na jaką liczbę żołnierzy mogą liczyć -- pięć, dziesięć czy dwadzieścia tysięcy. Problemy pojawiały się jeden po drugim i tak samo szybko były rozwiązywane.

Tuż przed południem ogłoszono informację o nadzwyczajnej wizycie premiera w Polsce. Godzinę później to samo zrobiono w Pradze i Bratysławie. Do spotkania polityków z czterech krajów miało dojść jeszcze tego samego dnia późnym popołudniem.

Jeżeli kogoś takie tempo zaskoczyło, niczego nie dał po sobie poznać. Komentarzy Belina czy Paryża nie odnotowano. I tak każdy żył własnymi problemami.

Ostatnie czterdzieści osiem godzin zapisało się w pamięci podporucznika Nikosa Doxiadisa jako ciąg z trudem powiązanych ze sobą zdarzeń. Nie pamiętał na przykład, co się stało, gdy nadleciały Cobry i rozpoczęły ostrzał. Może go wynieśli, a może uciekł. Pewności nie miał. Był tak brudny, że nie poznałaby go własna matka -- mundur w strzępach, otarcia na dłoniach, w głowie szum. Oddział, którym dowodził, się rozproszył. Godzinami wędrował na zachód, gdzieś dostał chleb, o wodę było łatwiej.

W co najmniej kilku miejscach na horyzoncie dostrzegał gęsty oleisty dym. Kompletnie nie wiedział, co o tym sądzić. To równie dobrze mogły tlić się wraki samochodów czy wozów opancerzonych, jak i puszczony z dymem części infrastruktury. Widział odrzutowce, ale do kogo należały, nie miał pojęcia, podobnie jak gdzie jest wróg, a gdzie swoi.

Trafił na grupę policjantów wycofujących się znad granicy. Zabrali go ze sobą, a potem wysadzili, twierdząc, że im razem nie po drodze. Znalazł ich mundury parę zakrętów dalej. Zdaje się, że przeszli do cywila, nie informując nikogo o tym fakcie. W końcu, po wielu godzinach tułaczki, natknął się na drogową blokadę Trzeciej Brygady Pancерnej. Ci żołnierze byli znacznie lepiej wyszkoleni niż ludzie, którymi on dowodził wcześniej. To zawodowcy, a nie rekruci z poboru. Głowę by dał, że w pobliżu ukryto wyrzutnie ppk i ciężkie karabiny maszynowe.

Bez większych ceregieli został zapakowany do łazika i odstawiony na tyły. Tam natychmiast wziął go w obroty kontrwywiad -- imię, nazwisko, numer służbowy, ostatni przydział. Odpowiadał składowo, lecz powoli. Poprosił o wodę -- dostał w gębę, nie za mocno, niemniej zaboląło.

Niedaleko gruchnęła nierówna salwa. O kurwa, czyżby rozstrzeliwali dezertów? Takiego obrotu sprawy nie przewidział. Orientował się, co czeka porzucających oddziały, ale żeby aż tak?

-- Wiecie, Doxiadis, kim jesteście? -- Wysoki i chudy oficer w mundurze bez dystynkcji udawał rozdrażnionego. Może taki był w istocie.

-- Nie -- odparł Nikos zboląłym głosem.

-- Jesteście zerem, kompletnym zerem. Wasz widok mnie mierzi.

-- To ja już pójdę.

-- Dowcipniś, co?

Instynktownie przygotował się na kolejny cios, ten jednak nie nastąpił, a to dlatego, że do namiotu wszedł major, raczej niski, o krzywych nogach. Zagadał do chudzielca i odeszli na bok, poza zasięg słu-chu Nikosa.

Właśnie wazyły się jego dalsze losy. Widać to było po sposobie, w jaki przyglądali się więźniowi.

Od myśli, że już nigdy nie zobaczy słońca i nie spróbuje wina, od razu robiło się Doxiadisowi niewyraźnie. Sąd polowy, orzeczenie winy i kara. Uwiną się z tym w godzinę. Potem słupek, przepaska na oczy, pytanie o popa... Tak, to w zasadzie wszystko. Zachował się jak debil, należało zrzucić mundur i wiać jak ci gliniarze.

Na ucieczkę w obecnych warunkach nie było szansy. Ci dwaj, strażnik z tyłu, kolejny na pewno kręcił się w pobliżu... Zaliczy kulkę, nim zrobi trzy metry. Nie, to się nie uda. Głupi pomysł.

Huknęła kolejna salwa, a parcie na pęcherz zrobiło się nie do wytrzymania. Jeśli zaraz nie pójdzie do

kibla, zleje się w gacie. Kompromitacja nastąpi, jeszcze zanim go rozstrzelają. Nikosowi zachciało się płakać. Ach... pieprzyć to -- pociągnął nosem. Życie wyszło mu średnio, a zresztą jakie to ma teraz znaczenie.

Major przestał gawędzić z agentem kontrwywiadu i usiadł naprzeciwko Doxiadisa.

-- Sprawdziliśmy waszą opowieść, na ile się dało.

Nikos smętnie przytaknął. Biła z niego taka rozpacz, jakby ledwo potrafił usiedzieć na krześle, nie rozdzierając koszuli i nie tarzając się po ziemi.

-- No, muszę wam powiedzieć... jestem pod wrażeniem.

Podporucznik nieznacznie uniósł głowę.

-- Okazaliście niezwykle męstwo, i to wobec przeważających sił wroga.

O czym on mówi? Było odwrotnie, lecz na wszelki wypadek wolał się nie odzywać.

-- Stacja została zniszczona, ale najważniejsze, że nie wpadła w ręce Turków. To spory sukces.

Doxiadis nie wierzył własnym uszom. Otworzył usta i tak już pozostał.

-- Przez sześć godzin powstrzymywał pan napór wroga. Tak było?

Nikos ostrożnie przytaknął.

-- Proszę nie być takim skromnym. -- Major uśmiechnął się promiennie. -- Ja wiem, nie lubi pan opowiadać o własnych zasługach. Zgadza się? Powiem otwarcie, potrzebujemy takich ludzi jak pan.

Nikosowi zrobiło się słabo, ponownie trafi na front i tym razem już nie ujdzie z życiem, bo przecież nic dwa razy się nie zdarza.

-- Mam dla pana propozycję. Jeszcze dziś prezydent przypnie panu medal za odwagę, i to publicznie. Zrobimy takie małe spotkanie, damy cynk prasie i telewizji.

-- Ja...

-- Proszę nie odmawiać. My, naród, jesteśmy panu dozgonnie wdzięczni. Obywatele mają prawo poznać swoich bohaterów.

-- Ale...

-- O nic się nie trzeba martwić, zajmiemy się wszystkim, proszę tylko podpisać tu i tu...

Doxiadis złożył parafkę pod tekstem, którego nawet nie zdążył przeczytać.

-- Doskonale, a teraz proszę iść do kantyny. Zaraz tam przyjdę, tylko załatwię z kapitanem -- tu zerknął na kontrwywiadowcę -- sprawę pańskiego przeniesienia.

Podporucznik Nikos Doxiadis zebrał się w sobie i wyszedł z namiotu na chwiejnych nogach. Do kantyny nie było daleko. Na placu obok ćwiczyła grupa rekrutów. Strzelnicę urządzono na skraju obozu. Dochodziły stamtąd niemrawe odgłosy karabinowych palb. A on myślał...

-- Pan Doxiadis?

Obejrzał się i omal nie zemdlał z wrażenia. Skąd ta laska się tu wzięła? Szykownie ubrana, emanowała seksapilem. Jej ciemne oczy otaksowały podporucznika z dołu do góry. Poczł się nagi.

-- Proszę ze mną. Mamy wiele do zrobienia.

Kolejne godziny wstrząsnęły nim bardziej niż atak na stację. Do ręki dostał tekst, który miał wkuć na blachę. W pierwszym momencie nie zorientował się, jakie wydarzenie tam opisano, ale bez wątplenia

chodziło o niego. Fakty, no cóż... nabrały nowego wyrazu, a bohaterstwo Doxiadisa osiągnęło wyżyny. Zadrapania na twarzy i dłoniach opatrzone. Wyglądał teraz na twardziela.

W końcu został zapakowany do helikoptera. Na małym lotnisku pod Atenami już ich oczekiwano.

Błysnęły flesze, operatorzy kamer zrobili zbliżenia. Oto niezłomny wojownik. Patrz, Hellado, jakich masz synów. Odpowiadał krótko, bez wnikania w szczegóły. Nie sprzedawał obligacji, tu liczyła się charyzma. Niech każdy spełni swój obowiązek, wtedy zwyciężymy. Hasło ukute przez jakiegoś specja od reklamy zrobiło furorę.

W trakcie wieczornej ceremonii otrzymał medal i awans na kapitana, a kilka pań na skraju hysterii omdlało na widok herosa. Powoli stawał się ikoną.

Telewizja to jednak potęga.

Alan Jenkins przeglądał "Newsweeka" i nie potrafił wyjść ze zdumienia -- tutejsza mutacja gazety znacznie odbiegała od oryginału. Jeszcze nie wychwytywał wszystkich niuansów, ale coś tu było nie tak.

Trudno, nie jego sprawa. Tygodnik kupił w saloniku prasowym tylko dlatego, że dostrzegł znajomy tytuł. Być może należało staranniej dobierać lektury. Wstał z ławki stojącej tuż przy dworcu Gdynia Główna i ruszył w stronę Długoego Targu. Przybył ekspresem z Warszawy koło południa.

Całkiem przyjemna podróż, tylko dlaczego ten tak reklamowany Pendolino zatrzymywał się na tylu stacjach? Czy to nie przeczy idei szybkiej kolei? Toruń jeszcze ujdzie, ale później? Ręce opadają. W sumie dałoby się skrócić przejazd o dobre dwadzieścia minut. Raz zatrzymali się w jakimś miasteczku, gdzie nad okolicą dominował potężny ceglany zamek. Jenkins widział wiele, ale ten widok i jemu dawał do myślenia. Będąc w Iraku, na pewien czas trafił do grupy grabiącej zabytki Sumeru, Babilonu i Asyrii. Liznął wówczas trochę historii. Różne przedmioty przewijały się przez ręce "archeologów" z CIA. Może i tu trafią na równie atrakcyjne znaleziska.

W Gdańsku był już po raz trzeci, powoli odkrywając miasto. Osobiście wolał Waszyngton, Londyn albo Rzym, tutaj wiało prowincją. Zabytki nie robiły na nim wrażenia, zresztą nie przyjechał ich podziwiać. Była robota do wykonania, a on wciąż pozostawał w służbie. Można powiedzieć, że wiernie służył krajowi, który praktycznie przestał istnieć. Z tego, co wiedział, w rodzinnym Denver zaraza wybiła połowę mieszkańców. Reszta uciekła i Bóg jeden wie, co się z nimi stało. Od lat tam nie zaglądał, mimo to denerwował się na samą myśl, co się działo w mieście. Odpowiedzialnych za całą sytuację rozerwałby żywcem. Żałował, że nie pracował w kraju, a los sprawił, że trafił tutaj. Na razie nie potrafił się przyzwyczaić, może za parę miesięcy, to przecież tymczasowe.

Przez Bramę Mieszczzańską wkroczył na Długi Targ. Marszruta wiodła prosto, aż do mostu nad Motławą, potem skręt w lewo i nabrzeżem pod żuraw. Wyrzucił tygodnik do kosza, a ręce wsunął do kieszeni. Z przeciwka nadchodziło kilku marynarzy. Po pikselowych granatowych mundurach widać było, że są z nowej mieszanej marynarki wojennej. Okręt był amerykański, ale do załogi dodano kilku Polaków. Ich odsetek z każdym miesiącem miał się zwiększać. Zapowiadała się spora rotacja. Co zrobić, jak się ma mocarstwowe ambicje.

Wzdłuż głównego traktu ustawili się uliczni artyści, sprzedawcy biżuterii i bursztynu, karykaturzyści, a nawet sama śmierć.

Ileż można wytrzymać w bezruchu, mając na sobie czarną szatę i twarz umalowaną na kształt trupiej czaszki? Kosa wydawała się prawdziwa. Jakiś dzieciak, przechodząc, przez nieuwagę kopnął puszkę, do której przechodnie wrzucali drobne.

Jenkinsowi zachciało się śmiać, bo oto sama śmierć drgnęła i rzuciła paroma soczystymi przekleństwami. Mim zszedł z postumentu i ustawił puszkę na poprzednim miejscu. Pieniądze schował do kieszeni. Trudny dzień w pracy, co?

Wyszedł nad Motławę, znalazł wolne miejsce w umówionym przyrestauracyjnym ogródku, usiadł i zaczął przyglądać się przechodniom. Kelnerka, młoda dziewczyna, pewnie studentka dorabiająca w czasie wakacji, pojawiła się natychmiast, uśmiechając się zalotnie.

Zamówił kawę i obserwował, jak odchodzi. Może wyciągnąć od niej numer telefonu? Świętym przecież nie był, a kobiety lgnęły do niego na każde skinienie. Wiedział, że się podoba. Lat trzydzieści dwa, metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, atletyczna sylwetka, wydatna szczęka, błękitne oczy i ciemne włosy. Jeżeli dodać do tego ujmujący sposób bycia, to nie ma siły -- każda ulegnie. Ta mała nie jest wyjątkiem.

Kiedy pojawiła się ponownie, przyjrzał się jej uważnie. Szkoda, że ubrana jest w czarne dżinsy, a nie w miniówkę. Dekolt... Zdaje się, że ostatnio za bardzo poświęcał się pracy. Trzeba pomyśleć o jakiejś rozrywce, a ta laseczka wydawała się odpowiednią osobą.

-- Proszę. -- Filiżanka, cukier, mleczko. -- Może podać coś jeszcze?

-- Twój numer telefonu. -- Pochylił się do przodu, ich głowy prawie się zetknęły.

-- Szeft mnie wyrzuci, to zabronione.

Bił od niej zapach migdałów.

-- Nie musi o tym wiedzieć.

-- Zobaczę, co da się zrobić.

Zarzucił haczyk, teraz tylko ciągnąć. Kobiety są łatwe jak... jak...

Siorbnął kawy -- wyśmienita, dawno nie pił tak dobrej. Za parę minut przyjdzie łącznik. Ależ było gorąco. Ponownie uniósł filiżankę do ust, popijając małymi łyčzkami.

Uff... skurcz żołądka nie był przyjemny. Zawrót głowy przyszedł niespodziewanie. Jasna cholera, rozchorował się, i to właśnie teraz. Lepiej będzie, jak pójdzie do toalety i zwilży głowę wodą.

Wstał i zachwiał się, z trudem odzyskując równowagę. No, dalej, bo go tu noc zastanie.

-- Źle się pan czuje? -- Kelnerka wyrosła jak spod ziemi.

-- Właśnie -- odparł. -- Gdzie tu jest... -- Odbiło mu się nieprzyjemnie.

-- Wezwać lekarza?

-- Nie trzeba, poradzę sobie.

Z trudem doczłapał na zaplecze. Tu zdaje się była kuchnia, a nie... Kolejny zawrót głowy. Zaczynał spadać w przepaść. Zupełnie nieoczekiwanie przypomniała mu się widziana niedawno śmierć z kosą. Niepotrzebnie się z niej naśmiewał.

Alan Jenkins zmarł dziesięć sekund później. Do aktu zgonu wpisano -- zawał serca.

Na razie nikt nie wnikał w szczegóły.

Nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje. Unosił się ponad ciałem, wirował i leciał, wreszcie zaczął odczuwać ból. Oczy, mimo wielu prób, nie chciały się otworzyć. W końcu dał sobie spokój, odpłynął, a gdy powrócił, problem okazał się mniejszy, niż myślał. Musiał przyznać, że wyszło pół na pół -- jedno oko otworzył, drugiego nie. W głowie szumiało jak po zdrowej libacji.

Ależ mu się chciało pić. Czy znajdzie się tu jakaś pomocna dłoń i w spierzchnięte usta wleje chociaż kroplę wody? Nie bardzo wiedział, kim jest i co tu robi, na razie obserwował jakąś zieloną plamę, która absolutnie z niczym mu się nie kojarzyła.

Spróbował poruszyć zdrtwiałymi członkami. Nogi, hm, tych nie czuł, ręce -- prawa jako tako, lewa do dupy. Głowa to już zupełna porażka.

-- Widzę, że ci lepiej.

To do niego czy koło niego?

-- Hryyyy... -- Mówienie również sprawiało mu trudności.

-- Chcesz pić?

-- Eee...

Został przewrócony z boku na wznak. Zielona plama wciąż była na swoim miejscu. Skupił się i uniósł prawy bark, dotykając ręką czoła.

-- Wyrznąłeś ryjem prosto w piach, aż dziw, że się nie połamałeś. Ja tego nie widziałem, ale opowiadali mi inni.

W końcu dostał wody, napił się łapczywie i oczywiście się zakrztusił.

-- Powoli, wystarczy.

Siedzący przed nim gość wydawał się znajomy.

-- Aspiryny chcesz?

-- Taa...

-- Z naszych prywatnych zapasów.

Wyteżył mózgownicę i w końcu poznał typa.

-- Sznajder.

-- We własnej osobie, a kogo się spodziewałeś?

Artur wsunął mu w usta tabletkę, która za nic nie chciała spłynąć do żołądka. Męczył się z nią strasznie, pluł i charczał, aż w końcu dopiął swego. Zmęczony opadł na poduszkę.

-- Co się... No...

-- Trafili nas.

-- Kurwa.

-- Tak dobrze nie było. -- Sznajder wydawał się być w całkiem dobrej formie. -- Jak powiedziałem wcześniej, wylecieliśmy w powietrze i walnąłeś łbem o piach. Myślałem, że skręciłeś kark.

-- Ale rozczarowanie, co?

Artur nie skomentował.

-- Ja wylądowałem obok, trochę się potłukłem, nie ma o czym mówić. Młody spadł na mnie i wyobraź

sobie...

-- Żyje?

-- Pewnie, że tak. Chodzi i kwęka, czyli wszystko w normie, ale ten w arafatce...

-- François.

-- ...omal nie stracił nogi. Jakoś go pozszywali, ale jeszcze długo nie zatańczy. Ci młodzi to kaput.

Obaj. Zachciało się gnojkom dżihadu, a polegli, nim zdążyli się zaciągnąć. Niezbadane są wyroki Najwyższego. -- Sznajder wycofał się w dawne miejsce obok wejścia do namiotu. -- Ten w okularach leży obok. Trudno powiedzieć, czy wyżyje.

-- Mieliśmy szczęście -- wymamrotał Halicki.

-- Co mówiłeś?

-- Że mieliśmy szczęście -- powtórzył już znacznie wyraźniej.

-- O tak, szkoda, że się nie widzisz. Z taką gębą nadajesz się do filmu.

-- Co mi jest?

-- Wstrząs mózgu, a co myślałeś. Dobrze, że obyło się bez obrażeń wewnętrznych.

Halicki płytko nabierał powietrza, co i tak niewiele pomagało, bo ciało pulsowało bólem, zwłaszcza żebra i lewy obojczyk.

-- Mam jakieś złamania? -- Nie bardzo potrafił zdiagnozować samego siebie.

-- Całkiem prawdopodobne. Trzeba wykonać rentgena, niestety jesteś ostatni w kolejce. Przed tobą jakieś parę tysięcy pacjentów, więc lepiej uzbrój się w cierpliwość.

Zacisnął zęby. Zaraz się okaże, kto jest panem sytuacji. Podciągnął nogi, kuląc się na materacu. Poszło łatwo, teraz spróbuje usiąść.

-- Co robisz?

-- Zamknij się.

-- Chcesz wstać? Pogięło cię? Lekarz zabronił.

-- Pieprzyć go -- odparł z wysiłkiem. -- Lepiej, jak mi pomożesz.

-- Twoja wola.

-- Amen.

Usiadł skulony, bojąc się wyprostować. Cholerne gnaty, co było takiego złego w ostatniej pracy? Nic. Powinien olać Chmurę i zostać w domu.

Minutę trwało, zanim zdecydował się stanąć na własnych nogach. Niby to jego ciało, ale takie jakieś inne. Może aspiryna zaczęła działać?

Zrobił kroczek w stronę wyjścia.

-- Dokąd?

-- Łać mi się chce -- odpowiedział zgodnie z prawdą.

-- Nie za dużo wrażeń jak na jeden dzień?

-- Salowy się znalazł.

Kroczi były niewielkie, takie człapu-człapu, ze sporą dozą jęków i sapnięć. W końcu dotarł do płachty zasłaniającej widok. Artur ją odchylił i wyszli na zewnątrz.

-- Gdzie my właściwie jesteśmy? -- Major rozejrzał się ciekawie.

-- Obóz dla uciekinierów z Damaszku.

Na prawo, na lewo i przed nimi rozciągały się rzędy namiotów.

-- Kto tu rządzi?

-- Front al-Nusra, mówi ci to coś?

Facet przed nimi barwił brodę henną tak, że nabrała czerwonego odcienia. Długie siwe włosy wysuwały się spod turbanu, czarna koszula i skórzane szelki przypięte były do pasa głównego. Zamiast sandałów -- ciężkie, sznurowane buty za kostkę. Widział już takie, tylko gdzie?

Kurwa, przecież to jego. Spojrzał w dół na swoje pantofle z noskami wywiniętymi ku górze, jak u Ali Baby. Zupełna porażka. Kiedy wybierali się na spotkanie i nie znajdował swoich kamaszy, spytał o nie Sznajdera. Odpowiedź otrzymał enigmatyczną. Wtedy się tym nie przejął, dostał cizmy i zapomniał o sprawie.

Do teraz. Jak ma odzyskać swoją własność? Może odrąbie tamtemu nogi?

-- Zapytaj go, czy mogę usiąść -- powiedział do Artura.

Dostał zgodę. Taboret to nie szczyt luksusu, ale przynajmniej nie stał, tak jak Artur i Robert.

Dalej poszło już szybciej. Pytania padały z ostrym gardłowym akcentem i, zdaniem Halickiego, bojownik pochodził z Sudanu bądź okolic. Może Somalia. Angielski przeplatał się z arabskimi słowami, co w sumie dawało zabawną mieszankę. Oczywiście podstawę przesłuchania stanowiło jedno pytanie -- co tutaj robią?

Tę część rozmowy wziął na siebie Artur. Mówił płynnym arabskim, znał Koran i panujące tu zwyczaje. Robert przytakiwał Sznajderowi. Halicki musiał przyznać, że jest jak piąte koło u wozu.

Bojownik wyglądał na zadowolonego -- gładził brodę z takim namaszczeniem, jakby od tego zależało jego przyszłe życie. W końcu przyszedł czas na konkrety, a ponieważ rozmowa toczyła się w tutejszej mowie, Halicki niczego nie rozumiał.

-- O co chodzi? -- Szturchnął Galińskiego, niespokojnie przestępującego z nogi na nogę.

-- Chcą nas rozdzielić. Każdy pójdzie do innego oddziału, my od razu, a pan jak już całkiem wydobrzeje.

-- Nie ma mowy -- powiedział zirytowany.

-- Jesteśmy ochotnikami.

-- Do szeregów kalifatu, a nie Al-Kaidy. Artur, powiedz to temu dziadowi.

-- Lepiej nie.

-- Niby dlaczego?

-- Nie za bardzo przepada za al-Baghdadim, uważa amira za szarlatana i fałszywego przywódcę.

Dwie organizacje, różni szefowie. Już od dawna Front al-Nusra tracił na rzecz radykalniejszego Państwa Islamskiego, za tym szły mniejsze datki od wspierających walkę sponsorów z Arabii Saudyjskiej czy Kataru, a jak wiadomo, mniejsze fundusze to i mniejsze możliwości operacyjne.

W trzech nie staną do walki z dwoma tuzinami Arabów. Jedyna szansa -- ociągać się, kręcić i mataczyć, odwlekając fakt rozdzielenia najdłużej, jak się da.

-- Razem jesteśmy więcej warci...

-- On o tym wie.

-- Cholerny uparciuch -- wysapał major. -- Pomóście mi wstać.

Oparł się na barkach towarzyszy i na wpół wleczony opuścił pomieszczenie, odprowadzany zdumionym spojrzeniem komendanta.

-- Nie tak prędko. -- Halickiego rozboleły żebra. Zdjął lewe ramię z pleców Galińskiego, opierając się całym ciężarem ciała na Arturze. -- Sumienia nie macie.

-- Na starość robisz się upierdliwy -- odciął się Sznajder.

-- Za dużo sobie pozwalasz.

-- Ja?

W tym samym momencie gdzieś z góry dobiegł ich przytłumiony warkot. Unieśli głowy jak psy gończe. Punkcik na niebie był ledwie widoczny. Śmigłowiec, tylko czyj -- syryjski, rosyjski czy izraelski?

-- Wiecie co... -- powiedział Sznajder. -- Lepiej będzie, jak się stąd ulotnimy.

Tak szybko, jak to było możliwe, pokuśtykali w stronę skraju obozu. Uciekli w ostatnim momencie. Nalotu dokonano tak niespodziewanie, że nie wszyscy zdążyli się domyślić, co zaszło. Kilka beczkowych bomb spadło w pobliżu, detonując z głośnym hukiem. Ziemia się zatrzęsła. Namioty uchodźców oraz część trwałej zabudowy znikły za ognistą kurtyną. Niemrawe serie z automatów nie wyrządziły Mi-8 najmniejszej szkody, tym bardziej że załoga natychmiast po ataku przeprowadziła odwrót.

Sznajder pod nosem mamrotał modlitwę, a Galiński przekleństwa. Z podobną brutalnością ten drugi spotykał się po raz pierwszy w życiu. Jak tak można, nie było tu żadnych celów do zniszczenia, bo trudno za taki uznać stary ambulans ze znakiem półksiężyca na burcie.

Beczki spadły dość daleko od nich. Ognisty podmuch jedynie liznął ich swoim jęzorem, ale zniszczył spory fragment obozu. Ten atak był zupełnie irracjonalny.

-- Sprawdźmy, co z Françoisem.

Ruszyli dosyć zwawo główną aleją. Mieszkańcy biegali w kółko jak nakręceni, nawołując bliskich i wzywając miłosierdzia Allaha. Im dalej zagłębiali się pomiędzy namioty, tym bardziej oddech blokował smród palonego mięsa. Na ich drodze stanął człowiek niosący na rękach maleńkie dziecięce ciało. Minęli się bez słowa. Dalej napotkali kilkuletnią dziewczynkę czołgającą się po piachu. Odcięto jej obie stopy. Ciemne oczy wpatrywały się w nich z mieszaniną nadziei i przerażenia.

-- Artur, pomóż jej.

Na Galińskiego nie było co liczyć, bo ten stanem psychicznym wcale nie odbiegał tak bardzo od porzywdzonego dziecka. Jego powtarzane w kółko "ja pierdolę, ja pierdolę" działało Halickiemu na nerwy. Ścisnął go solidnie za ramię i wskazał kierunek. Znajdowali się już całkiem blisko. Dym był tu znacznie gęstszy. Zakryli nozdrza kawałkami koszuli.

O mało nie zderzyli się z nadbiegającym z przeciwka chłopakiem. Gnał na oślep, nie zważając na nic.

Tuż przy ścieżce leżało parę ciał. Jakaś rodzina nie przeżyła tego ataku. Iść prosto się nie dało. Żar

był nie do zniesienia. Musieli zrobić obchód.

Dowlekli się do punktu medycznego, a właściwie do czegoś, co do niedawna takim punktem było. Ich bagaże przepadły, zostali w tym, co mieli na sobie, ale groza tej całej sytuacji jeszcze do nich nie dotarła.

Dookoła szalał pożar. Jakaś kobieta zawodziła nad ciałem męża. Gdzie jest François? Halicki chciał koniecznie wiedzieć, co się z nim stało.

-- Sprawdź tam. -- Posłał Galińskiego na prawo, a sam skierował się w drugą stronę, zaglądając w każdą dziurę. Wiele namiotów zostało przewróconych i trudno było powiedzieć, co się w nich znajduje -- ludzie czy elementy wyposażenia. Parę porzuconych koców wyglądało na pozór jak zwinięty w kłębek człowiek. Tracił czas i energię.

Belga znalazł kilkanaście metrów dalej, siedzącego na ziemi i wpatrującego się w płomienie.

-- Żyjesz?

François spojrzał na Polaka, unosząc brwi do góry.

-- Ty tutaj?

-- Wyobraź sobie. -- Odwrócił się, zawołał Roberta i przyjrzał się nodze rannego. Udo przykrywał sporych rozmiarów opatrunek. Rana musiała boleć jak jasna cholera. -- Nieźle nas poharatało. Dasz radę iść?

-- Spróbuję.

-- Wstawaj.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Z głową majora nie do końca wszystko było w porządku, a François swoje ważył. Dopiero pomoc Galińskiego sprawiła, że się nie przewrócili. Krok po kroku wydostali się z zagrożonej strefy.

Wkrótce dołączył do nich Sznajder. Nigdy wcześniej nie widzieli go tak ponurego. Wyglądał na kogoś, kto stracił całą nadzieję. Jakby pozostała jedynie wypalona skorupa. Później znikł i nie widzieli go aż do wieczora.

Osobiście unikał takich zebrań. Interesy ludzi, z którymi się spotykał, niekoniecznie były zbieżne z jego interesami. Wiedział o nich dość, by w razie konieczności wsadzić niektórych za kraty na długie lata. Wielcy przedsiębiorcy, którzy nie stronili od brudnych szwindli, swoją pozycję zawdzięczali politykom, i to tym z pierwszych stron gazet. Zawsze znajdował się jakiś kuzyn, brat, pociotek, który szukał roboty, najlepiej miłej, łatwej i przyjemnej, acz dobrze płatnej. Gdzieś to całe towarzystwo należało umieścić. Od tego były spółki skarbu państwa i pomocni biznesmeni. Oczywiście coś za coś. I tak się to kręciło. Interesy państwa przegrywały z interesami klanów.

Przynajmniej dzisiaj nie będzie musiał przyglądać się tym hipokrytom. Sprawa, dla której został wezwany do Pałacu Prezydenckiego, była ważniejsza. Tylko premier, on, minister obrony, szef sztabu głównego, minister spraw zagranicznych. Nie więcej jak dziesięć osób.

Do pałacu dostał się bocznym wejściem i prowadzony przez agenta BOR-u dotarł do sali obrad na pierwszym piętrze. Jak dla niego trochę załatywało tu muzeum. Ani obrazy, ani rzeźby nie robiły na nim wrażenia. Przez głowę przebiegały mu suche fakty i rzędy liczb. Wiedział, co jest tematem spotkania. Już wczoraj wyrażono zgodę na wysłanie na Węgry ograniczonego kontyngentu wojsk. Na miejscu nawiąza współpracę z Czechami, Słowakami i oczywiście Węgrami. W chwili obecnej należało zastanowić się, jak duże środki trzeba przeznaczyć na wykonanie zadania. Nowe struktury jeszcze nie zostały należycie zorganizowane, a już stawiano przed nimi nowe cele.

Generał brygady Emil Banach usiadł na wskazanym miejscu. Premiera jeszcze nie było, podobno konferował z prezydentem od jakiejś godziny. W końcu obaj pojawili się w wejściu, ani na chwilę nie przerywając rozmowy. Jeden mówił, drugi przytakiwał. Stąpali po kruchym lodzie. Nie mogli odmówić prośbie Budapesztu, ale też nie chcieli drażnić Ankary. Trudne zadanie w sytuacji, gdy inni rzucali kłody pod nogi.

-- Proszę nie wstawać -- powiedział prezydent. Formalności nie były tu najważniejsze.

Banach wygodnie umościł się na wyściełanym krześle.

-- Panowie wiedzą, w jakim celu zostali tu poproszeni. Jest to dla nas szansa, ale i ogromne ryzyko. Przyznam się, że nie jestem ekspertem do spraw militarnych i dlatego chciałbym znać zdanie specjalistów. Sojusznicy na nas liczą, a ja liczę na panów.

Kto pierwszy? Minister obrony? Raczej nie -- to cywil. Kwestie wojskowe to zdecydowanie domena generała Tadeusza Andrusiaka, szefa sztabu.

-- Powiem otwarcie, prośba Węgrów mocno nas zaskoczyła. Operacji o podobnej skali nie planowaliśmy w najbliższej przyszłości. Jesteśmy dopiero na początku drogi. Zmiany, które próbujemy wdrożyć, nie wszędzie zainicjowano w tym samym stopniu. Istnieje szereg jednostek, które nie zostały wprężnięte do naszego systemu dowodzenia. Pracujemy nad tym intensywnie, ale te parę tygodni to naprawdę zbyt mało czasu. W co najmniej kilkunastu przypadkach ponownie przejęliśmy obiekty, których zamierzaliśmy się pozbyć. Tak dzieje się w Przemyślu, Lublinie i Stargardzie. Roszczenia z tego powodu już opiewają na miliony złotych. Obywatele pytają, po co nam tyle wojska, skoro nie ma wojny.

-- Pewnie nie oglądają telewizji -- parsknął premier.

-- Proszę nie zrozumieć mnie źle, dysponujemy doświadczonymi profesjonalistami, którzy wykonają każdy rozkaz, ale samo utrzymanie flotyli Abramsów, Leopardów i PT-91 sprawia trudność. To jakieś dwa i pół tysiąca luf. Można z tym podbić połowę świata. Doliczając bewupy i kołowe transportery opancerzone, możemy wystawić armię o sile ognia, jakiej nie powstydziliby się Sowieci w czasach zimnej wojny.

-- Nic dziwnego, że nas proszą o pomoc.

-- Moim zdaniem, jeżeli już mówimy o jednostkach ekspedycyjnych...

-- Ograniczonym kontyngencie -- prezydent łagodnie upomniał generała.

-- Tak, oczywiście, ograniczonym kontyngencie, to najlepiej będzie wysłać brygady zmotoryzowane -- nowo powstałą mieszaną Siódmą oraz naszą dawną Dwunastą, łącznie siedem i pół tysiąca żołnierzy. -- Andrusiak niespokojnie przyjrzał się zwierzchnikowi sił zbrojnych. -- Jeżeli dodamy pułk śmigłowców oraz ze dwie eskadry F-16, jedną A-10 i zaplecze logistyczne, spokojnie przekroczyliśmy dziesięć tysięcy ludzi. W najgorszym przypadku w ciągu czterdziestu ośmiu godzin doślemy ciężką brygadę oraz jednostki aeromobilne, ale to tylko wtedy, kiedy przeciwnik przekroczy granicę. Na razie takiego zagrożenia nie przewidujemy, a wszelkie nasze posunięcia mają charakter prewencyjny.

-- Jak szybko oddziały będą gotowe do wymarszu? -- zapytał premier.

-- W siedemdziesiąt dwie godziny. Grupa zwiadu Siódmej Brygady właśnie wyrusza na poligon, możemy ją wstrzymać i skierować do Budapesztu czy w inne miejsce wskazane przez Węgrów.

-- Proszę tak zrobić. -- Prezydent wydawał się zadowolony. -- Węgrzy twierdzą, że nie ma nic ważniejszego niż pośpiech.

-- Im pewnie wydaje się, że jesteśmy lekiem na całe zło. -- Minister spraw zagranicznych uczestniczący w spotkaniu od początku nie wydawał się zachwycony. -- Zdaje się, że nas przeceniają. Jak dojdzie do jakiegoś nieszczęścia, będziemy pierwsi do ukamienowania.

Banach w całej rozciągłości zgadzał się z szefem MSZ-etu. Przede wszystkim nie byli przygotowani. Wszystko znajdowało się dopiero na pierwszym, wstępnym etapie. Sama obecność Amerykanów o niczym jeszcze nie przesądzała. Niekiedy oni wręcz przeszkadzali. Nie dalej jak wczoraj wywiad zlikwidował niejakiego Alana Jenkinsa, członka Joint Special Operations Command -- grupy zajmującej się łapaniem i eliminacją wrogów Stanów Zjednoczonych. W jej skład wchodził komandosi Delta, Rangers i Navy SEALs. Zasłynęli w Iraku. Pojmany odstawiali do więzień, nad którymi jedynie oni sprawowali kontrolę. Za pomocą niekonwencjonalnych metod śledczych wyciągano od nich zeznania. Tak, co słowo, to eufemizm. Niekonwencjonalne metody sprowadzały się do tortur: prąd, metoda wodna, wbijanie drzazg pod paznokcie, wybijanie zębów. Po takiej "obróbce" każdy pękał. Potem ujmowano terrorystów, prawdziwych i urojonych, następowała kolejna obława, kolejne przesłuchanie, i tak bez końca. Teren działania -- Jemen, Afganistan i pięćdziesiąt innych krajów w Afryce i Azji, gdzie interesy USA wydawały się zagrożone. Wojna z terroryzmem -- mówiono. A gównem tam. JSOC stało się wygodnym instrumentem politycznym, ich macki sięgały daleko, byli jak bestie wyłaniające się z mroku, przed którymi nie było ucieczki.

Początki wydawały się dobre, lecz z biegiem lat zatracili się w tym, co robili, stając się prawdziwymi szwadronami śmierci. Za nic nie odpowiadali, "błędy" zakopywano parę metrów pod ziemią.

A teraz próbowali uwić sobie gniazdko nad Wisłą i zyskać wpływ na bieżące wydarzenia. Na razie nie miał pojęcia, kto nimi kieruje, ale powoli dowie się i tego. Najważniejsze, że zdołali uchwycić nitkę. Likwidacja Jenkinsa i zdjęcie łącznika to pierwszy krok. Ekipa sprawdziła się doskonale, zwłaszcza ta agentka, którą przejęli z ABW. Nie pamiętał jej nazwiska, chyba Szczepańska, imię -- Oliwia. Dobra dziewczyna, może za delikatna do takiej roboty, ale, na Boga, ktoś to musiał robić, inaczej staną się jakimś dziwnym protektoratem. Interesy najróżniejszych krajów ścierały się na wielu poziomach. Jeżeli trzeba, będą elastyczni albo twardzi jak stal pancerna. Skończyło się ruskie i jankeskie sobiepaństwo.

To jedna z wielu spraw, które kontrolował. Na razie, ale tylko na razie, dostrzegł zagrożenie, gorzej będzie, jeśli w porę nie wykryje jakiegoś szwindla.

-- A pan jakie ma zdanie w tej kwestii?

Banach z tym samym co zwykle szczerym zatroskaniem na twarzy nie śpieszył się z odpowiedzią.

-- Może na początek powinniśmy sobie zadać pytanie, kim jest ten, który obecnie kręci turecką polityką, nieprawdaż? Chodzi mi o generała Sulejmana Dżabbara, postać dosyć tajemniczą, do niedawna niczym niewyróżniającą się spośród pozostałych wyższych oficerów armii tureckiej.

Zdaje się, że trafił w sedno. Do tej pory rozprawiali o następstwach, a nie o przyczynach, choć tak po prawdzie trudno się było połapać w tym, co tkwiło u źródeł obecnych problemów.

-- Proszę mówić.

-- Właściwie nie ma tego wiele. -- Banach żałował, że nie przyprowadził ze sobą jakiegoś orientalisty czy zgłębiającego temat analityka. -- Sulejman Dżabbar, lat czterdzieści siedem, żonaty, do niedawna dowodził Pierwszym Korpusem Armijnym. Od początku wybuchu kurdyjskiej i ormiańskiej rewolty twar-do optował za bezwzględnym stłumieniem powstania. Nie przebierano wówczas w środkach, doniesienia są nieliczne, niemniej nie pozostawiają złudzeń -- liczba ofiar lawinowo wzrosła. Trzeba tu wspomnieć o tym, że bojownicy również nie pozostają dłużni. Zamachy w autobusach i na bazarach to mocny cios w gospodarkę. Wprowadzenie stanu wyjątkowego było jedynym rozwiązaniem, podobnie jak militaryzacja przemysłu i transportu. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby do podobnej operacji przygotowywali się od paru... bo ja wiem, miesięcy, może lat. Mają w tym doświadczenie, bo armia nie raz sięgała tam po władzę, ale... -- Przerwał. W porę się powstrzymał, by nie wstać i nie zrobić paru kroków. W tych okolicznościach to nie uchodziło. -- Mam wrażenie, że oni sami są nieco zaskoczeni pozycją, którą zdobyli. Ich kraj zawsze był dosyć ważny, ale borykał się z wieloma problemami. Lata osiemdziesiąte dwudziestego wieku to niemal stracona dekada. Armia robiła wtedy, co chciała, a podjazdowa wojna z Partią Pracujących Kurdystanu rozgorzała na dobre. W tym samym mniej więcej czasie co i my Turcja się otworzyła -- my próbowaliśmy odstawić komunistów na boczny tor, u nich zaczęły się lata prosperity. Kurorty na wybrzeżu stały się modne. Napływ turystów napędzał gospodarkę, inwestowano w infrastrukturę i innowacyjność przedsiębiorstw. Turcja powoli stawała się całkiem zamożnym krajem. Obecnie liczy ponad osiemdziesiąt milionów mieszkańców, ma silną gospodarkę, sporo łoży na armię, w tym na nowoczesne technologie. Co prawda wydarzenia w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie nieco przyhamowały transfer

F-35, ale niech to nikogo nie zmyli. Poradzą sobie. Chwilowe braki nie wpłyną na postępowanie tych, którzy kierują państwem. Brak paru samolotów, nawet najnowocześniejszych, niczego nie zmienia.

-- W takim razie co jest dla nas największym zagrożeniem: Turcja czy Państwo Islamskie?

-- To dwie nieporównywalne sprawy. Turcja jest w tej chwili najpotężniejszym państwem.. no, nie zawaham się tego powiedzieć, na świecie. Żadne z zachodnich mocarstw nie może go lekceważyć. Poza tym nie ma tam takiej woli politycznej. Nie zapominajmy, z kim tam teraz mamy do czynienia. Anglia, gdyby mogła, odpłynęłaby na środek Atlantyku. Ja wcale nie przesadzam. Niemcy przestraszyli się tego, kim się stali.

-- A kim? -- wszedł mu w słowo premier.

-- Socjalnym zapleczem dla uchodźców i niczym więcej. Bundeswehra jest cieniem samej siebie.

-- Ale co jest tego powodem? Do niedawna każdy musiał się z nimi liczyć.

-- Panowie, czasy się zmieniają. Najbardziej wyrafinowane środki zabijania z nikogo nie uczynią wojownika, jeżeli ten tego nie chce.

-- Trochę odbiegliśmy od tematu -- upomniał ich prezydent. Nie o Niemcy chodziło.

-- Wracam do meritum. Ankarą wykorzystano sposobność. Wcale się nie dziwię, podeszli do problemu pragmatycznie.

-- Wywołując wojnę?

-- Pamiętaj pan, co o wojnie powiedział Clausewitz? To tylko polityka prowadzona innymi środkami. Te parę milionów uchodźców, którzy zbiegli z Syrii czy Iraku na południe Turcji, zaczęło destabilizować tamtejsze rejony. Większość z nich podjęła pracę w rolnictwie, wypierając tureckich robotników, a wewnętrzne konflikty pomiędzy szytami, sunnitami i chrześcijanami dolały jedynie oliwy do ognia. Należało szybko i w miarę delikatnie się ich pozbyć, stąd ta początkowa fala uciekinierów. Włączenie Rosjan do wojny dodatkowo wzmogło napięcie.

-- A jak w tym kontekście wygląda Państwo Islamskie?

-- Obecnie? Ma się doskonale. Jak się wydaje, przetrwali najtrudniejszy okres. Teraz może być już tylko lepiej. Nie zapominajmy, że oni funkcjonują w bezustannym kryzysie. To, że gdzieś na świecie rozbiły się samoloty z przywódcami G7, jest im jedynie na rękę. Zniknął kolejny wróg, rozejrzyjmy się za nowym.

-- Myśli pan, że są w stanie obalić monarchię w Jordani i czy rządy wojskowych w Egipcie?

-- Przy sprzyjających okolicznościach -- tak. Proszę nie zapominać, że nie ma takiego tyra, którego nie można obalić. Wszystkie państwa niedemokratyczne muszą o tym wiedzieć. Bombardowania nie wpłynęły aż tak poważnie na sprawność bojową ugrupowań dżihadystycznych. Wrócili do pierwotnej taktyki -- działają niewielkimi grupami przemieszczającymi się w samochodowych konwojach. Sytuacja w Iraku i Syrii jest zupełnie różna, dlatego też islamiści mogą przerzucać siły pomiędzy różnymi frontami, a są tak skuteczni, bo łączą wojskowe wykształcenie z religijnym fanatyzmem.

-- W sumie nie jest ich wielu.

-- Na miejsce poległych przychodzą nowi, a obserwując to, co robią w Internecie, można uznać, że ich strategia jest słuszna. Doliczając czynnik demograficzny, rekrutów im nie zabraknie.

-- Mogą zdominować kraje arabskie?

-- Już to robią. Kiedyś wojna toczyła się jedynie w Afganistanie. Obecnie terenem walk jest niemal cała Afryka Północna, Bliski i Środkowy Wschód, a nawet kraje tak odległe jak Filipiny. Końca tej kotłowniny nie widać.

-- To, co pan mówi, jest zasmucające.

-- Takie są fakty, panie prezydencie... Aha... jeszcze coś. -- Wydawało się, że Banach przypomniał sobie o czymś wyjątkowo istotnym. -- Musimy sobie zadać pytanie, jaki wpływ mają islamiści na rząd generała Dżabbara.

-- Są jakieś dowody?

-- Poszlaki, a raczej plotki. Dla nikogo nie jest tajemnicą mocne religijne zaangażowanie generała. Pod tym względem bije na głowę swoich kolegów. Jeżeli te pogłoski się potwierdzą, będziemy mieli prawdziwy problem. To już nie grupa terrorystów działająca gdzieś tam, daleko. Dla przeciętnego Polaka -- bez mała koniec świata. Turcja to próg Europy. Wolałbym, żeby nikt o tym nie zapomniał.

-- Ale damy im radę? -- Szeroko otwarte oczy premiera świadczyły o tym, że parę faktów dopiero teraz trafiło do świadomości szefa rządu.

-- A kto to może wiedzieć? Lepiej, jak będziemy ich trzymali z dala od naszych granic. Proponuję nawiązać ściślejszą współpracę ze służbami Węgier i pozostałych krajów Grupy Wyszehradzkiej.

-- Niedługo zaczniemy przypominać obóz warowny.

-- Może to jedyny sposób, by utrzymać suwerenność.

-- Jest jeszcze NATO, o czym pan, zdaje się, zapomina.

-- Właśnie jeden kraj NATO napadł na drugi. O czym tu jeszcze dyskutować? Czy to nie najlepszy dowód na kompletny rozkład struktur sojuszu? -- Banach zdecydowanie odpowiedział na stwierdzenie premiera. -- Proszę mi wierzyć, ja też bardzo bym chciał, żeby ktoś za nas zajął się naszym bezpieczeństwem, ale co zrobić, dawne dobre czasy minęły bezpowrotnie. Układ północnoatlantycki definitywnie stracił rację bytu. Niedługo to samo stanie się z Unią Europejską, która zresztą też jest już tylko formalnym tworem. O ile wiem, trwają właśnie obrady nad nowym budżetem, co i tak jest bez znaczenia. Wszyscy myślą jedynie o tym, aby nie wpłacić do wspólnej kasy nawet centa. Dla pozorów jakieś tam kwoty ogłoszą, ale nie łudźmy się, ten rozdział jest już zamknięty. Kontynent szybko wraca do pomysłu państw narodowych, z tym że... wiem, że to nie brzmi dobrze, a z punktu widzenia politycznej poprawności wręcz bardzo źle: kraje z dużą liczbą napływowej ludności będą miały problemy. Ja nie mówię, że od razu ludzie wstąpią do islamistycznych bojówek, przecież młodzież z podparyskich przedmieść to nie członkowie grup terrorystycznych.

-- Są tylko bardziej skłonni do przemocy niż ci chodzący do szkół lub mający pracę.

-- Z ust mi to pan wyjął, panie ministrze.

Szef MSZ-etu uśmiechnął się niczym pensjonarka.

-- Przyjechali do roboty i po socjał, a tu nie ma ani jednego, ani drugiego. Jak żyć, panowie, jak żyć? Rodzina spora, co roku nowa gęba do wyżywienia, skąd wziąć środki na utrzymanie? Niechęć lokalnych społeczności też będzie narastać.

-- Przewiduje pan społeczne niepokoje?

-- Nie tak od razu. Niech upłyną dwa--trzy lata. Ci, którzy byli dziećmi w czasie ucieczki ze swoich krajów, zaczną dorastać, to nieuchronne, a w końcu też zadawać pytanie, co w tej Europie jest takiego, czego nie ma u nas. Wojenne wspomnienia się zetrą, pozostanie świadomość własnej niezaradności. Zaczną się buntować, a stąd już jeden krok do sięgnięcia po propagandę kalifatu.

-- Proszę mi powiedzieć, ten kalifat to państwo czy nie? Opinie są podzielone.

-- Ujmę to tak... -- Banach zastanowił się nad tym, jak najlepiej dobrać słowa. -- Podatki ściągają, tak? Są samowystarczalni ekonomicznie, mają armię, szkolnictwo, a nawet służbę zdrowia, budują drogi.

-- No tak.

-- A emerytury wypłacają?

-- Nie słyszałem.

-- I słusznie, bo tego nie robią. To organizacja sprawująca kontrolę nad obszarem jakichś dwóch trzecich terytorium Polski, mająca atrybuty państwa, choć nim nie jest. Poszczególni komendanci konkurują ze sobą, kto zbierze więcej łupów lub posiada więcej niewolników. To raj dla mężczyzn i piekło dla kobiet, te nie mają zresztą żadnych praw. Kretynki, które uciekają z domu, chcąc wstąpić w szeregi kalifatu, najczęściej kończą jako żony bojowników lub po praniu mózgu jako zamachowcy samobójcy. A zamachy te są niezwykle skuteczne. Od tego przeważnie zaczynają atak. Nie wiem, czy panowie wiedzą, ale Mosul zaatakowała grupa około tysiąca trzystu bojowników, choć nominalnie miasta broniła sześćdziesięcioletnia armia.

-- Pan przesadza.

-- Powiedziałem nominalnie, tam nawet nie było połowy tej liczby. Większość to puste etaty. Żołnierze wolą zapłacić oficerom i udać się na urlop, niż siedzieć w koszarach i czekać, aż zostaną wysłani na front.

-- I co?

-- Pięć zamachów w samym mieście, wewnętrzna rewolta i zagrożenie z zewnątrz. Ci, co pozostali, poszli w rozsypkę. Dziwią się panowie? Nikt długo nie wytrzyma napięcia, człowiek jest tylko człowiekiem. Każdy.

-- To, o czym pan mówi, jest przerażające.

-- Co ja poradzę, takie są fakty.

-- Czy te dwie brygady, o których wspominali panowie na początku, wystarczą? -- prezydent ponownie włączył się do rozmowy.

-- Sugeruje pan, że powinniśmy wysłać na Węgry dodatkowe jednostki?

-- W świetle tego, co tu usłyszeliśmy...

Szef sztabu milczał, czekając, co powie Banach, któremu właśnie do głowy przyszła pewna myśl.

-- Panie prezydencie, brygady Siódma i Dwunasta wystarczą przynajmniej na początek. Dostaną silne wsparcie lotnicze. W razie potrzeby wyślemy dodatkowe wzmocnienie. Myślałem raczej o czymś innym: dobrze, jak na miejscu znajdzie się kilka grup sił specjalnych. Właśnie tworzymy takie jednostki, każda po około stu dwudziestu operatorów plus zabezpieczenie. To będzie dla nich idealne zajęcie.

-- O jakiej liczbie pan myśli?

-- Nie wiem, wydaje mi się, że pięć grup będzie w sam raz.

-- Czyli około sześciuset żołnierzy.

-- Raczej tysiąc, helikoptery i tak dalej.

-- Dobrze.

Przynajmniej na parę miesięcy pozbędzie się z Polski najbardziej podejrzanego elementu. Już słyszał plotki, jakie rozchodziły się wśród amerykańskich wojskowych -- dokonajmy przewrotu i sami zaczniemy decydować o sobie. Celowali w tym głównie żołnierze oddziałów komandosów i desantowych. Nie tak prędko, panowie. Znajdziemy dla was odpowiednie zajęcie. Tam, dokąd traficie, głupota wywietrzeje wam z głowy.

Zasypiał i budził się na przemian, w końcu usiadł i zaczął wpatrywać się w gwiazdy. Męczyły go lekkie mdłości -- wynik przebytego niedawno urazu. Z trudem, bo z trudem, ale jakoś dawał radę. Zawsze mogło być gorzej, wystarczyło przypomnieć sobie, co się tu wyprawiało całkiem niedawno.

Masakra, i to taka prawdziwa, a nie w przenośni. Zginęło ponad sto osób, głównie dzieci i starcy, wiele spaliło się żywcem. Część beczek wypełniono materiałem wybuchowym, część napalmem. Oczywiście ci, którzy za wszystko odpowiadali, twierdzili, że walczyli z terroryzmem.

Później jak zwykle jechali na jakąś konferencję, ściskali dłonie, wygadywali banały, udzielali wywiadów.

Swoją drogą, co czuł dyplomata, którego los zetknął z tego pokroju bandytą? Udawał oczywiście, że nic się nie stało, że wierzy w zapewnienia i dobrą wolę. Jak spojrzeć w lustro, bawić się z dziećmi czy iść z żoną na kolację, kiedy wcześniej obcowało się ze złem w najczystszej postaci?

Chyba za dużo myśli, w jego fachu to niewskazane. Wstał, spróbował się przejść, lecz tylko się skrzywił.

O gimnastyce na razie może zapomnieć.

Bojownicy pojawili się tuż przed wschodem słońca. Kilka pick-upów i Humvee, jakiś zdobyczny kamaz, wszystkiego najwyżej dziesięć wozów i pięćdziesięciu ludzi. Wystarczy, by zrobić spore zamieszanie. Oni oczywiście byli pierwszymi do przesłuchania.

W przeciwieństwie do starca dowodzącego lokalną strukturą Al-Kaidy komendant dżihadystów był młodym człowiekiem. Wydawało się, że nie przekroczył trzydziestki. Blizny na twarzy wskazywały na wojenne doświadczenie. Ubrany na czarno wydawał się ucieleśnieniem armii Abu Bakra al-Baghdadięgo.

Sznajder zrobił krok w jego stronę i pozdrowił go.

-- Jesteś wiernym? -- Padło pierwsze pytanie.

-- Oczywiście.

-- A oni? -- Mężczyzna wskazał na pozostałych.

-- Są na dobrej drodze.

-- To znaczy?

-- Chcą walczyć w imię zasad.

Myśli Halickiego przyśpieszyły biegu. Jeżeli Sznajder tego nie spieprzy, niedługo znajdą się tam, gdzie planowali. No, szybciej, na co on jeszcze czeka?

Dał ponagląjący znak. Artur w lot chwycił polecenie.

-- Panie...

-- Jestem Hassan Mahmoud.

-- Mam słowo...

-- Nie ma tajemnic przed Najwyższym.

-- Tylko dla twoich uszu.

Hassan przyjrzał się Arturowi z nowym zaciekawieniem. Niby od niechcienia odszedł parę kroków w

bok. Sznajder podążył za nim jak cień.

Teraz wszystko się rozstrzygnie. Zobaczymy, jakimi atutami dysponował i ile były warte wszystkie zapewnienia, którymi ich karmił.

Sznajder mówił, Hassan słuchał. Nie co dzień zdarzało mu się spotkać kogoś podobnego. Oczywiście zachodnich bojowników nie brakowało, ale ten wydawał się wyjątkowy, pod jednym istotnym warunkiem -- to, co mówił, musiało jeszcze znaleźć potwierdzenie w faktach.

Powoływał się na Sułtana Asuchanowa. Nikogo podobnego Mahmoud nie znał. I nie musiał. Armia kalifatu to czterdzieści tysięcy zaprawionych w walkach żołnierzy i drugie tyle przechodzących szkolenie. Fronty rozciągały się we wszystkich kierunkach, a przybyszów z Kaukazu w ich szeregach było wielu. Niektórzy doszli do wysokich pozycji, stając się doradcami samego kalifa. Być może Asuchanow był jednym z nich, ale sama znajomość o niczym jeszcze nie przesądzała. Dla służby bezpieczeństwa prześwietlenie tej czwórki nie będzie problemem.

Zbliżała się pora pierwszej modlitwy. Oddajmy Allahowi, co jego, potem zajmijmy się bardziej banalnymi sprawami.

Hamid al-Hamadani coraz częściej czuł się jak zaszczuty pies. On, doradca samego kalifa, przez wiele miesięcy przemykał chyłkiem po kurczącym się obszarze państwa, które współtworzył. Ich wrogowie stali się sprawniejsi i zajadlejsi. Pomagało im nowocześniejsze uzbrojenie i szkolenia. Peszmergowie byli przereklamowani, ale szyckie bojówki, co przyznawał z niechęcią, zaczęły dorównywać nawet im. Nie było w tym niczego dziwnego, skoro stał za nimi Iran, zapewniający wsparcie. Zdominowanie przez konkurencyjny odłam islamu irackiej armii wyszło jej na dobre. Zamiast pół miliona żołnierzy -- jedna trzecia, za to sprawna i zdeterminowana. Szkoda, że nie dysponowali lotnictwem albo chociaż skuteczną bronią przeciwlotniczą, mogącą trzymać wrogie samoloty na dystans. Trudno prowadziło się wojnę przy ciągłym zagrożeniu atakiem z powietrza.

Ten etap był już na szczęście za nimi. Pozbyli się koalicji. Ci, którzy pozostali, dalsze operacje wykonywali bez przekonania. Rosjanie wydawali się najbardziej zaciekli, ale i na nich przyjdzie pora. Wkrótce ogień wojny zanoszą także tam, a wtedy...

Al-Hamadani głębiej odetchnął. Zaczynał mieć problemy z sercem i wątrobą. Wszystko przez nieustanny stres. To kolejny rok walki. Dawał z siebie wszystko, a zwycięstwo wciąż było dalekie. Jeśli ma zginąć, to w boju, a nie w łóżku.

Ochrona już czekała. Obecnie poruszał się w konwoju najwyżej trzech samochodów. Ich większa liczba niepotrzebnie przyciągała uwagę. Nigdzie nie zatrzymywał się na więcej niż jeden dzień. Takie życie na dłuższą metę było nie do wytrzymania.

Dziś nie wybierał się daleko, ledwie parę kilometrów. Jako sędzia wyda kilka wyroków, koło południa spotka się z komendantami lokalnych struktur bezpieczeństwa, a wieczorem, jeżeli Allah pozwoli, dołączy do kalifa, bo parę spraw wymagało omówienia.

Wsiadł do mocno przykurzonego volvo 850. Z przodu kierowca i ochroniarz, reszta ekipy na toyotach,

z przodu i z tyłu. Poruszali się bocznymi drogami, i to raczej wolno. Nie było sensu gnać na złamanie kar-ku, wzbijając w powietrze tumany kurzu, co niepotrzebnie zwracało uwagę.

Szaro-brązowa pustynia wydawała się martwa. Nic bardziej mylnego. On, jeden z twórców taktyki kalifatu, wiedział o tym najlepiej. Niebezpieczeństwo istniało zawsze i wszędzie. Wystrzelonego pocisku przeciwpancerneho raczej nie dostrzeże. Szybciej sam zniknie w huku dartego metalu. Już raz taki zamach stał się jego udziałem. Wówczas... o Allahu, jaki jestem ci wdzięczny, pocisk nie detonował, wbijając się niegroźnie w karoserię. Może gdyby jechał opancerzonym wozem, skutek byłby inny? Tego nie dowie się już nigdy. Kiedy indziej w ostatniej chwili zmienił miejsce noclegu. Z domu, w którym chciał się zatrzy-mać, pozostały tylko gruzy. I tym razem nie wiedział, czy został zdradzony, czy też koalicja odpaliła ra-kietę w potencjalną kryjówkę doradcy kalifa zupełnie przypadkiem.

Takie życie prowadziło do paranoi. Musiał zażywać tabletki nasenne, inaczej przez całą noc nie zmru-żyłby oka. Za to w dzień oczy zamykały mu się same. W końcu zaczął mylić słowa poszczególnych sur. A co, jeśli przytrafi mu się to przy podejmowaniu decyzji o strategicznym znaczeniu? Nawet rozpoczęte nie tak dawno działania przeciwko Grecji nie uspokoiły al-Hamadaniego.

Na miejsce dojechali w czterdzieści minut. Amir wysiadł i od razu poszedł w stronę meczetu, przywi-tał się z tutejszym kadim i zajął sprawami, które go tu sprowadzały.

Pierwsza z nich dotyczyła mężczyzny oskarżonego o homoseksualizm. Wprowadzono oskarżonego. Al-Hamadaniemu głowa sama opadała, zebrał się jednak w sobie i przyjrzał temu, który niegodnym za-chowaniem obraził Allaha. Gówniarz, nie miał więcej niż dwadzieścia lat. Czarne włosy, orli nos i wy-trzeszczone ze strachu oczy. Na wszelki wypadek ręce skuto mu na plecach, a w usta wciśnięto knebel.

-- Gdzie jest ten drugi?

-- Jaki drugi, panie? -- zapytał kadi.

-- Przecież on nie sam...

-- Tamten uciekł, panie.

-- Jak to uciekł?

Kadi skierował spojrzenie gdzieś w bok. Al-Hamadani skinął na pomocnika, dając znak, by wyjął chłopakowi knebel.

-- Panie, panie... -- Oskarżony padł na kolana, jęcząc i zawodząc. -- To kłamstwo, mój ojciec był tu naczelnikiem.

-- Milcz! -- Krzyk kadiego zagłuszył skargę.

Amir uciszył ich obu. Normalną karą byłoby strącenie z dachu najwyższego domu, ale po pierwsze, w całej osadzie nic nie sięgało wyżej niż cztery metry wzwyż, a nie opłacało się zabierać chłopaka do mia-sta na wykonanie egzekucji, po drugie... i jemu wydawało się, że gówniarz jest niewinny. Trafił na jakieś lokalne porachunki. Szkoda, że dał się w to wciągnąć.

-- Zostaniesz wcielony w szeregi bojowników -- ogłosił wyrok. -- Na froncie odpokutujesz swoje winy.

-- Panie, on pił alkohol.

-- Co?

-- Złapaliśmy go z butelką whiskey.

Na takie bezceństwa nie pozwoli i nikt nie będzie robił z niego dumia.

Z braku odpowiednio wysokiego dachu należało wymyślić inny sposób i już nawet wiedział, jaki.

-- Zakopcie go żywcem.

Wierzgające ciało wywleczono na zewnątrz.

Przyszła pora na dezertera. Ten nie próbował się bronić, patrzył hardo i z taką bezgraniczną pogardą, jaka jest udziałem jedynie wielkich zbrodniarzy.

-- Jak się nazywasz?

-- Max Wickfield.

Kolejny z przyjezdnych. Po strąkach długich włosów okalających twarz i brodzie trudno się było domyślić, że stoi przed nim zachodni ochotnik. Być może ktoś w jego rodzinie posiadał domieszkę arabskiej krwi, być może...

Panterka, szerokie barki, widać, że sporo ćwiczył. Jakże odbiegał wyglądem od tego, który stał przed nim wcześniej.

-- Wiesz, o co jesteś oskarżony?

Wciąż ta sama obojętność.

-- Rozumiesz swoją sytuację?

-- Tak.

-- Cięży na tobie zarzut dezercji. Przyznajesz się?

-- A jakie to ma znaczenie, czy się przyznam, czy nie?

Al-Hamadani zbaraniał. Widział różne przypadki, ale z takim oryginałem miał do czynienia po raz pierwszy. Jemu się wydaje, że kim on jest?

Przybył tu w jednym celu -- żeby walczyć, a jak trzeba będzie, to zginąć za Allaha, tymczasem... Ból w boku się nasilił. Jeszcze go kontrolował, ale już niedługo przyjdzie brać mocniejsze lekarstwa. Ostatecznie wyjedzie na leczenie do Dubaju czy też Zjednoczonych Emiratów. Mają tam podobno najlepszych lekarzy, niech się wypowiedzą, co jest przyczyną jego dolegliwości.

Z trudem skupił się na bieżącej sprawie.

-- Skąd pochodzisz? -- Powoli zbierał myśli.

-- Z Bristolu.

-- Anglik, no proszę, wielu naszych braci jest twoimi rodakami. Spotkałeś jakiegoś?

-- Jednego.

-- Bywa i tak. W armii służyłeś?

-- Tak.

-- W jakich jednostkach?

-- SAS.

Dopiero teraz Hamid al-Hamadani poczuł się naprawdę zaintrygowany. SAS to przecież... Nie do wiary, stał przed nim ktoś, kto wcześniej należał do najlepszych formacji wojskowych na świecie.

Nie było w tym żadnej przesady. Ci żołnierze to elita. Walczyli wszędzie tam, gdzie interesy brytyj-

skiego imperium były zagrożone. Ciekawe, bardzo ciekawe.

-- W jakim stopniu?

-- Kaprała.

Podoficer, raczej niewysoko w hierarchii służbowej.

-- Kiedy wstąpiłeś w nasze szeregi?

-- Rok temu.

-- Kto był twoim dowódcą?

-- Rahman Dost Chan.

-- Ten Afgańczyk?

-- Ten sam.

-- To dobry komendant. Gdzie przebywa obecnie?

-- W raj, w otoczeniu hurys, tak jak sobie wymarzył, wraz z niemal wszystkimi swoimi podkomendnymi.

-- Nic o tym nie słyszałem.

-- Trzy dni temu starliśmy się z Hezbollahem niedaleko Hims. Tamci dysponowali znaczną przewagą. Zaproponowałem odwrót i urządzenie zasadzki w bardziej sprzyjającym terenie. Chan nawet nie chciał o tym słyszeć. Prawdę mówiąc, był szalony. To przez ten odłamek, który tkwił w jego głowie. Ciągłe się skarżył na bóle pod czaszką. Wszyscy o tym wiedzieli. Bywały dni, gdy nie myślał racjonalnie. Zaatakowaliśmy z wiadomym skutkiem. Szyckie psy dobiły rannych.

-- Ty zbiegłeś?

-- Wycofałem się. Nie przyjechałem tu ginąć bez powodu. Tylko świadoma ofiara jest miła Allahowi.

Po raz kolejny al-Hamadani się zdumiał. Ten człowiek nie dość, że posiadał odpowiednie wojenne predyspozycje, to na dodatek wydawał się bystry.

Trudno powiedzieć, ile z tego, co mówił, było prawdziwe. Niektórych spraw już nie zweryfikuje. Dost Chan nie żył, podobnie jak współtowarzysze Wickfielda, choć jego samego nie wyrwano przecież z serca pustyni. Gdzieś tam posiadał kumpli i rodzinę.

Normalnie nie poświęciłby sprawie pięciu minut. Była wina, będzie kara. W tym przypadku lepiej jednak zachować ostrożność.

-- Pojedziesz ze mną. Wyrok ogłoszę później.

Niech się nie wydaje temu przybyszowi, że uniknął najgorszego. Sprawiedliwość kalifatu jest skuteczniejsza niż ostrze rewolucyjnej gilotyny.

Wytchnienia doznał późnym popołudniem. Namiot chronił od słońca, a jego podniesione boki pozwalały obserwować wszystko, co dzieje się dookoła.

Al-Hamadani napił się herbaty z białej porcelanowej czarki i natychmiast zrobił sobie dolewkę z czajnika stojącego w pobliżu. Służąca wycofała się dyskretnie. W palmowym gaju zaparkowano samochody. Stało ich tam ponad dwadzieścia, bo każdy z komendantów przyjechał z własną obstawą.

To dobrzy ludzie i bogobojni muzułmanie, ale niektórzy wkurzali al-Hamadaniego, zachowując się jak dzieci. To niebывałe, jak wielka może być ludzka ignorancja.

Nie przybył tu jednak ich napominać.

-- Powiedz, Masud, słyszałeś o tym, co spotkało Rahmana Dosta Chana? -- zapytał mężczyznę o pobrużdżonym obliczu i czarnych jak węgiel oczach. Jego niegdyś ciemną brodę i wąsy obecnie przetykały siwe nitki.

-- Zginął parę dni temu, panie.

-- Kiedy dokładnie?

Dawny pułkownik irackiej armii, aktywista panarabskiej socjalistycznej partii Baas, uczestnik wojny z Kuwejtem oraz amerykańskiej agresji w 1991 i 2003 roku, zastanowił się głębiej.

-- Trzy albo cztery, nie jestem pewny.

-- Możesz to sprawdzić?

-- Oczywiście, panie.

-- Interesuje mnie jedna osoba... Ktoś podający się za Maxa Wickfielda.

-- Co z nim?

-- Dowiedz się wszystkiego na jego temat, rozumiesz?

-- To jego prawdziwe nazwisko?

Hamid się zamyślił.

-- Tak.

-- Panie... -- Kolejny komendant przysiadł się bliżej.

-- Słucham cię, Nadżibie.

-- Pewni ludzie rozpytują o szejka Asuchanowa.

Oczy al-Hamadaniego niebezpiecznie się zwięziły. Sułtan Asuchanow był jego przyjacielem. Stracił życie parę miesięcy temu pod Aleppo. Kiedy prowadził wojowników dżihadu do ataku, pocisk z erkaemu przeszył mu serce. Zginął na miejscu. Był prawdziwym lwem islamu. Przed takimi jak on wrota rajy otwierały się szeroko.

-- Kto taki?

Nadżib, z pochodzenia Egipcjanin, wcześniej związany z Bractwem Muzułmańskim, jako jeden z nielicznych w tym gronie skończył studia na Uniwersytecie Kairskim. Co prawda ekonomia to nie teologia, ale głupi nie był. Dobrze, że wspomniał o tym fakcie.

-- Znaleźliśmy ich pod Damaszkiem.

-- To nasi?

-- Nie. -- Egipcjanin wydawał się zakłopotany. -- Podobno pochodzą z Polski i Belgii.

-- Skąd?

-- Mnie też to zdziwiło, panie.

Co Asuchanow miał wspólnego z Polską? Sam był Czeczenem, więc szybciej spodziewał się jakichś jego kontaktów z Rosją, ale z Polską?

Olśnienie, jak zwykle w takich przypadkach, przyszło nagle. W oddziale Asuchanowa służyli ochotni-

cy. Zdaje się, że jeden z nich pochodził skądś z północy. Całkiem możliwe, że z kraju, o którym wspominał Nadżib.

Wysłali tego człowieka z misją. Właściwie to wysłali dwóch. Długo nie dawali znaku życia. Podobno jeden zginął, a ślad po drugim rozwiął się jak dym. Jeżeli teraz wrócił, to nie uczynił tego bez powodu.

-- Mówiłeś, że nie jest sam.

-- W sumie jest ich czterech, w tym jeden poważnie ranny. Dostali się pod silne bombardowanie. Czy mam ich zgładzić?

-- W żadnym wypadku. -- Amir uniósł palec wskazujący prawej dłoni do góry. -- Nie może spaść im włos z głowy, o ile nie zadecyduję inaczej.

-- To szpiedzy.

-- Niekonieczne. -- Oczy al-Hamadaniego zabłyszczały. -- Jutro przyprowadzisz do mnie tego człowieka. Porozmawiam z nim osobiście.

Swoje najlepsze lata Phantomy miały już za sobą. Konstrukcja pamiętała lata pięćdziesiąte i w żadnym razie nie mogła konkurować z najnowocześniejszymi maszynami. Daleko jej było do F-16 czy Typhoona, o F-35 nie wspominając. Od roku 1960 po lata dziewięćdziesiąte dwudziestego wieku był to podstawowy myśliwiec sił powietrznych marynarki czy korpusu piechoty morskiej, nie tylko amerykańskiej, ale i wielu innych krajów. Gdzieniedzie jeszcze latały. Sama Turcja zakupiła dwieście trzydzieści trzy samoloty w dwóch wersjach -- myśliwskiej i zwiadowczej. Myśliwce powoli wycofywano z linii, pozostawiając około czterdziestu oznaczonych jako RF-4E.

Taka właśnie maszyna odbywała w tej chwili lot ponad jedną z najważniejszych dróg żeglugowych na świecie. Z wysokości tysiąca metrów widok zapierał dech w piersiach -- strome, pofałdowane wzgórza i przebiegające środkiem lśniące lustro wody. Na torze wodnym statki i okręty, podążające w obu kierunkach. Przez przesmyk przechodziło ponad sto pięćdziesiąt jednostek dziennie. Bez wolnego przepływu towarów gospodarki Rumunii, Bułgarii, Ukrainy i Rosji ległyby w gruzach.

Zresztą co tu dużo mówić, Moskwa nigdy nie przestała śnić o kontroli nad tym obszarem, otwierającym drogę do ciepłych mórz.

Niejeden wróg połamał sobie zęby właśnie tutaj. Wystarczyło zerknąć w dół, na plażę, gdzie korpus ANZAC desantował się w 1915 roku. Koszmarnie zaplanowana i dowodzona operacja zakończyła się totalną porażką. Po kilkumiesięcznych bojach niedobitki z powrotem zaokrętowały na transportowce. Dwadzieścia pięć tysięcy Brytyjczyków, dziesięć tysięcy Francuzów i drugie tyle Australijczyków i Nowozelandczyków poniosło śmierć na tych jałowych wzgórzach. Doliczyć do tego należało jeszcze kilka okrętów, które na dno posłały tureckie miny, i obraz klęski można było uznać za kompletny. Sprzymierzonym nie udało się wyjść poza strefę lądowania, a w planach był marsz na Sztambuł.

Newralgicznego punktu wybrzeża także dziś należało strzec za wszelką cenę. Jeżeli już raz próbowano ich ugodzić, wykorzystując to miejsce, niewykluczone, że powtórka jest tylko kwestią czasu.

Konwój, który przekraczał cieśninę i wypływał na wody Morza Trackiego, oznaczał nową jakość w prowadzonych działaniach. Okręty desantowe, transportowce, z których największy -- MS "Saladyn" -- zarekwirowano od prywatnego przewoźnika, fregaty i korwety w osłonie. W powietrzu znajdowała się, prócz samotnego Phantoma, eskadra F-16, tak na wszelki wypadek. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, za kilka godzin grupa znajdzie się w pobliżu Salonik. Miasto i port, jak dojrzały owoc, wpadną jej w ręce.

HS "Papanikolis" był jednym z czterech okrętów podwodnych typu U-214, które miały wejść w skład greckiej marynarki wojennej. Na trzy pozostałe brakowało na razie funduszy.

U-214 to nic innego, jak rozwinięcie pocziwych, starych U-209, choć słowo "pocziwych" nie było tu na miejscu. Aż dziw, że po drugiej wojnie zachodnioniemieckim stoczniovcóm i projektantom w ogóle pozwolono zbliżyć się do pochylni, po tym, jak ich rodacy dokonali rzezi na morzach i ocenach w czasie obu światowych zawieruch.

Ich domeną stały się małe dieslowsko-elektryczne jednostki z zanurzeniem do czterystu metrów, w

sam raz do operowania na płytkich akwenach Morza Bałtyckiego, Północnego i Śródziemnego.

Po sukcesie U-209 przysłała kolej na rozwinięcie, czyli U-212, a w końcu na U-214. Uzbrojenie składało się z ośmiu wyrzutni torpedowych kalibru 533 milimetrów. Napęd z dwóch zestawów generatorów diesla oraz jednego silnika elektrycznego pozwalał osiągnąć prędkość dwudziestu węzłów w zanurzeniu. Zasięg -- dwanaście tysięcy mil morskich, czyli w sam raz na akwen, w którym miał się poruszać. Komandor Alexis Vangelis wiedział, jakie ma szczęście, dowodząc tak doskonałą jednostką. Na dodatek czuł, że znajduje się obecnie tam, gdzie trzeba -- w idealnym miejscu i o idealnej porze.

Na południe od nich operowały HS "Poseidon" i HS "Triton" -- każdy pilnując swojego sektora.

Nakłady na marynarkę wojenną się opłacały. Grecy od zawsze byli ludźmi morza, a flota stanowiła dla nich powód do dumy. Osiem okrętów podwodnych może narobić nielicznego zamieszania. Potrafili przeniknąć przez strefę tureckich patroli tak cicho, że przeciwnik nie był w stanie zorientować się, co zaśzło.

Im bliżej Dardaneli, tym robiło się niebezpieczniej, ale też bardziej ekscytująco. Komandor Alexis Vangelis był tak pewny siebie, swojej dwudziestosześcioosobowej załogi oraz "Papanikolisa", że szedł o każdy zakład, iż zdoła pokonać Bosfor w zanurzeniu, robiąc z Turków idiotów.

Przechwałki w kasynie to jedna sprawa, podchody pod Dardanele -- druga. Gdy wygadywał te bzdury, wojna wydawała się tak odległa, jak starcie Leonidasa pod Termopilami, a tu masz... Niech piekło pochłonie tych muzułmańskich wichrzycieli! Stosunki z nimi przez lata układały się różnie, ale żeby zaraz z tego powodu do siebie strzelać?

"Papanikolis" szedł z prędkością zaledwie dwóch węzłów. Dno w tym miejscu podnosiło się ku górze. Vangelis planował, że za jakąś godzinę znajdzie się niedaleko przylądka -- o ironio -- Helles i, zagrzebany w piachu i mule, będzie wyczekiwał okazji. Trudno powiedzieć, kiedy ta się nadarzy -- dziś, jutro, może za trzy dni. Nie mogą jednak siedzieć tu w nieskończoność. Ograniczały ich zapasy, a tych na długi na sześćdziesiąt pięć metrów i szeroki na ponad sześć okręt nie dawało się dużo załadować. Zresztą pojęcie "okazja" dla każdego oznacza coś innego. Jednego zadowoli ustrzelenie fregaty, a drugiego patrolowca czy wiekowego przybrzeżnego kabotażowca. Vangelis nie martwił się na zapas. Tak blisko tureckiego wybrzeża na pewno znajdzie obiekt do zatopienia.

Po raz setny w ciągu ostatniego kwadransa popatrzył na mapę z aktualną pozycją -- są dwadzieścia pięć kilometrów od przesmyku. Żaden z jego kolegów nigdy nie podszedł bliżej. Tego był pewien. Teraz najważniejsze to nie spieszyć wszystkiego nerwowym działaniem. Nigdzie się nie śpieszyli. W końcu ich cierpliwość zostanie wynagrodzona, a wtedy...

Na mostku korwety "Samsun" panowała napięta atmosfera. Po dwóch tygodniach stania w suchym doku i uzupełnieniu załogi jednostka komandora Mustafy Salicha ponownie wyszła w morze.

Tym razem zadanie wydawało się proste. Co mogło im grozić w tak licznych konwoju? Z przodu szła fregata "SalihReis" projektu MEKO 200, za nimi ustawili się "Bayraktar" -- długi na sto trzydzieści dziewięć metrów okręt desantowy nowego typu, który zabierał na pokład trzystu pięćdziesięciu żołnierzy i stu

trzydziestu członków załogi. Do tego dochodziły czołgi, wozy bojowe i zaopatrzenie. MS "Saladyn" płynął jako następny w kolejności. Wielka bryła promu górowała nawet nad "Bayraktarem". Równie dobrze mógłby nazywać się "Galaktyka" -- jedenaście pokładów, trzy tysiące ludzi (załadowano mniej, choć i pięć nie byłoby przesadą), pokład transportowy wypełniono ciężarówkami, łazikami, artylerią i kołowymi transporterami typu Cobra.

Dla komandora Mustafy Salicha zabieranie takiego mastodonta na wyprawę wojenną było pozbawione sensu. Prom nie wyciągał więcej niż dwanaście węzłów -- to nie wyścigówka do pływania po torze regatowym. Komuś w dowództwie kompletnie odbiło. Gdy dowiedział się, kto był autorem tego genialnego planu, tylko zacisnął zęby. "Saladyn" to ich nadzieja i oby nie zguba.

Kolejnego w szyku zbiornikowca "Trabzon", o nośności piętnastu tysięcy DWT, nie było widać, podobnie jak pozostałych jednostek.

Jeżeli ta góra stali miała kogoś przestraszyć, to pomysł wydawał się poroniony. Gdy zostaną wykryci, ściągną na siebie wszystko, czym dysponowali Grecy -- samoloty, rakiety i okręty podwodne.

O właśnie, należy zwrócić szczególną uwagę na te ostatnie. Ich wrogowie nie są idiotami. Sugerowanie czegoś przeciwnego to zaciskanie pętli na własnej szyi. Komandor wiedział o tym doskonale.

Alexis Vangelis wpatrywał się w ekran komputera bojowego pełnym zdumienia wzrokiem. To, co oglądał, przeszło jego najśmielsze oczekiwania. Większość jednostek konwoju została zidentyfikowana. Szum ich śrub był niepowtarzalny. Fregaty i korwety -- tych należało się wystrzegać, ale już to, co szło pomiędzy nimi, stanowiło łakomy kąsek.

Hydrolokator wychwycił wszystkie echa, wprowadził do komputera, a ten zobrazował sytuację na ekranie. Boże wszechmogący -- w sumie piętnaście jednostek. Bardzo żałował, że jest sam. W dwa lub trzy okręty urządziliby tu prawdziwą rzeź. Drugie Lepanto.

Turcy śpieszyli się, inaczej zachowaliby więcej rozsądku. Najwyraźniej uznali, że już przepędzili stąd wroga, a cały obszar pozostaje pod ich kontrolą.

Vangelisowi kropla potu spłynęła do oka. Zaszczypało. Potarł powiekę, a gdy i to nie pomogło, wyjął chusteczkę i przyłożył do bolącego miejsca.

-- Maszyny stop.

"Papanikolis" zawisł pół metra nad dnem, tuż obok wraku średniowiecznej weneckiej galery. Prądy spychały go na zachód, lecz nie stanowiło to większego problemu. Ważne, by Turcy nie zorientowali się, że w pobliżu czai się niebezpieczeństwo. Rozkazy, jakie otrzymał, mówiły o szarpaniu żeglugi przeciwnika przy każdej sposobności. A taka właśnie się nadarzyła.

Eskortę sobie daruje, najważniejsze są transportowce i choć nie wiedział, co kryje ładunek, postanowił uderzyć właśnie w nie.

Wydał rozkazy i wyznaczył cele, po dwie torpedy w każdy z obiektów. Zawahał się i zmienił zdanie.

Lepiej, jeżeli trafi w idącą na czele fregatę. Opóźni w ten sposób pościg. Przy takiej ilości rozbitków w wodzie ktoś ich będzie musiał ratować. Tak się przynajmniej wydawało w teorii.

Chwila rozstrzygnięcia zbliżała się nieuchronnie. To doskonała pora na zmówienie krótkiej modlitwy.

-- Ster zero-jeden-pięć.

"Papanikolis" obrócił się we wskazanym kierunku.

-- Podnieść na jeden-jeden-zero.

Powoli zaczęli się unosić ku górze.

Właściwie byli gotowi: ostatnie obliczenia sprawdzone, a wróg w zasięgu.

-- Odpalać.

Dziobowe wyrzutnie zaczęły wypluwać stalowe cygara jedno po drugim.

Głównym orężem "Papanikolisa" były torpedy dwóch typów -- włoskie Black Sharki i niemieckie DM2A4. Tylko przypadek sprawił, że do wyrzutni załadowano zakupione niedawno DM2A4, zwane morszczukami. Sterowanie nimi odbywało się za pomocą światłowodu przymocowanego do bębna z tyłu torpedy. Oprócz tego zespół hydrolokatorów umożliwiał samonaprowadzanie po kilwaterze atakowanej jednostki. Dwie pracujące przeciwbieżnie śruby nadawały im prędkość pięćdziesięciu węzłów. Praktycznie nie było przed nimi ucieczki.

Ostrzeżenie o ataku torpedowym poderwało do działania załogi okrętów eskorty. Ekran komputera ukazały bieg torped i cele. Stąd już tylko krok od wybuchu paniki. W chwili, gdy "SalihReis" zaczął wykonywać unik, pierwsza z torped rozerwała jego poszycie w okolicach śródokręcia. Druga uderzyła parę metrów dalej.

Komandor Mustafa Salich, obserwujący wszystko z pokładu "Samsuna", skamieniał. Smukły kadłub szybko zaczął przechylać się na prawą burzę. Do wnętrza wlewały się tony wody, które i tak nie zdołałyby ugasić huczącego ognia. Do uszu załogi "Samsuna" dochodziły dźwięki wyjących alarmów i dartej metalu.

Jeżeli się nie mylił, przyszła kolej na nich. Mocniej uchwycił konsolę, zapierając się nogami w oczekiwaniu na wstrząs.

-- Cała naprzód. -- Być może nie wszystko było stracone. Drugi raz tego nie zniesie. Do tej pory oblewał się zimnym potem na wspomnienie nalotu sprzed paru tygodni.

Upływały sekundy, jednak nic się nie działo. Sunęli po gładkiej morskiej toni, zbliżając się do "Salih-Reis".

Nadzieja wstąpiła w serce komandora i natychmiast umarła, gdy tylko dostrzegł, co stało się z "Bayraktarem".

Desantowiec złamał się na pół i szedł właśnie na dno. Kłęb dymu zasnuł niebo. Chłuba ich floty nie oparła się niszczycielskiej sile materiału wybuchowego z głowic morszczuków.

Był tak zaabsorbowany tym widokiem, że nie zorientował się, co los zgotował "Saladynowi" i zbiornikowcowi.

Prom, mocno uszkodzony i przechylony o kilkanaście stopni, wciąż utrzymywał się na wodzie. Załoga walczyła o ocalenie. Salich nawet nie próbował sobie wyobrazić, co działo się wewnątrz. Ster musiał

się zablokować, bo "Saladyn" wyszedł z szyku, oddalając się od reszty. Może to i lepiej, przynajmniej nie znajdował się w pobliżu zbiornikowca, gdy ten detonował z siłą małej bomby atomowej. W jednej sekundzie był, a w drugiej znikł, zupełnie jakby przeszedł do innego wymiaru. Unoszący się nad wodą dym bił prosto w niebo, przybierając kształt grzyba.

-- Miłosierny Allahu -- wyszeptał komandor.

Grzmot wybił okna i wstrząsnął kolejnym transportowcem, płynącym za "Trebzonem". Falę uderzeniową, która powstała na skutek wybuchu, odnotowały sejsmografy w promieniu tysiąca kilometrów.

Pilot Phantoma mocniej uchwycił ster, obawiając się, że samolot wpadnie w niekontrolowany korkociąg i roztrzaska się o wodę.

Komandor Alexis Vangelis był zadowolony -- udowodnił bowiem, że Turcy są dobrymi żeglarzami, ale do Greków im daleko.

Kącik lewego oka Sulejmana Dżabbara drgał nerwowo, pot perlił się na czole, a cała postawa świadczyła o tym, że jest bliski wybuchu. Powstrzymywał się ostatkiem sił.

-- Może ktoś spróbuje wyjaśnić mi, jak doszło do takiego zaniedbania?

Nikt nie wrywał się z odpowiedzią.

-- No słucham?

Do pilnego zwołania odprawy w centrum dowodzenia w Ministerstwie Obrony doszło po tym, jak zespół desantowy przewożący dwie brygady został rozgromiony tuż po opuszczeniu Dardaneli, a więc właściwie w strefie, w której nie powinna znajdować się żadna wroga jednostka.

Teoretycznie konwój był chroniony przez odpowiednią liczbę jednostek wojennych i nic podobnego nie miało prawa się zdarzyć. Niemniej jednak się zdarzyło. To nie była tylko klęska, to była kompromitacja.

"Bayraktar" i "Trabzon" spoczęły na dnie, "SalihReis" ledwie utrzymywał się na wodzie, czekał go więc pobyt w stoczni i co najmniej trzymiesięczny remont, a "Saladyn"... Ten wielki prom nie zatonął od razu, jak się wielu spodziewało. Pożary trawiły wewnątrz, przenosząc się wciąż w nowe miejsca. Rozpoczęto ewakuację. Wszystko, co pływało, podejmowało rozbitków. Z najbliższego portu wyszły holowniki, które miały jedno zadanie -- odstawić kolosa do bezpiecznej przystani.

Do tej pory doliczono się tysiąca ofiar, i to zarówno wśród marynarzy, jak i żołnierzy wszystkich trafionych jednostek.

-- Kto odpowiadał za organizację tej nieszczęsnej operacji?

-- Admirał Özkan.

-- Gdzie jest obecnie?

-- Według ostatnich informacji wciąż przebywa na "Saladynie".

Dżabbar powiódł ciężkim wzrokiem po zgromadzonych oficerach. To kwiat armii i marynarki, wszyscy zahartowani w bojach i zdeterminowani. Swój los związali z nim na dobre i złe. W końcu była wojna, takie katastrofy się zdarzają. Należało przełknąć tę gorzką pigułkę i pójść dalej. Niestety, ten dzień zapisze się w historii czarnymi zgłoskami.

Codzienne raporty o rozmiarach strat przerażały. Od początku działań wojennych poległo już prawie dwa i pół tysiąca żołnierzy, pięć tysięcy przebywało w szpitalach i lazaretach z najróżniejszymi urazami. Niemal połowa wszystkich strat dotyczyła dzisiejszego dnia. Przez jeden nierozważny krok, a właściwie chęć przyspieszenia tego, co i tak było nieuchronne, ponieśli klęskę.

Jak do tej pory działania zbrojne prowadzono w ograniczonym zakresie, minimalizując straty pośrednie. Nikt nie chce być postrzegany jako barbarzyńca. Wroga należało pokonać na polu bitwy, a nie demolować wszystko, co nawinie się pod lufę.

Niezależnie od sytuacji Saloniki jak najszybciej muszą wpaść w ich w ręce. Opanowanie tego ważnego punktu zmyje porażkę, jakiej doznali. Im szybciej tego dokonają, tym lepiej.

Są takie rzeczy, których się żałuje, ale są też takie, na które po prostu przychodzi odpowiednia pora. Major Mehmet Murat Sepetçioğlu akurat w tej sprawie miał ambiwalentne uczucia. Dotyczyły maszyny, w której się znajdował. 4 Zmechanizowana dysponowała wozami Leopard 2A4, choć w niektórych pododdziałach zaczęto wprowadzać zupełnie nowe Altaye.

Nazwę zaczerpnięto od góry oraz nazwiska dowódcy korpusu kawalerii z czasów, kiedy toczyli wojnę o niepodległość. Na początku mówiło się o wprowadzeniu nie więcej niż dwustu pięćdziesięciu sztuk. Obecnie te szacunki mogą ulec zmianie. Park maszynowy należało unowocześnić, a opieranie siły na wiekowych już M-60 czy Leopardach 1 nie rokowało najlepiej na przyszłość.

I tu major dochodził do sedna sprawy -- czy lepiej jest walczyć w niesprawdzonym w boju pojeździe czy też na odrobinę starszym, lecz wciąż znakomitym Leopardzie 2, do którego już zdążył się przyzwyczaić i który nie miał przed nim żadnych tajemnic? Z jednej strony, zazdrościł kolegom, którzy przesiedli się do nowych czołgów, a z drugiej -- był zadowolony, że jednak nie spotkał go ten zaszczyt.

Skończy tę wojnę w wozie, w którym zaczynał służbę w dywizji, oczywiście jeżeli Allah pozwoli i nie wezwie go wcześniej do raju.

Jedynę, czego Mehmetowi teraz brakowało, to krystalicznie czystej i zimnej wody. Tę z manierki wypił już wcześniej i zaczynał cierpieć katusze. Co rusz oblizywał usta, starając się zgromadzić na języku odrobinę śliny. Gardło mu spuchło, a głos chrypiał zupełnie jak wysokoprężny silnik Leoparda.

Szerokie gąsienice wzbijały w powietrze tumany kurzu. Sepetçioğlu, wychylony z wieżyczki, mocno trzymał się uchwytu. Zapadał zmierzch, a ta ich jazda zdawała się trwać bez końca. Szło im jak po grudzie. Piąty dzień wojny, a oni przebyli zaledwie dwadzieścia kilometrów, co rusz grzęznąc w twardej obronie przeciwnika. Z początku było nieźle, lecz z każdą kolejną dobą robiło się coraz gorzej. Oczy należało mieć dookoła głowy. Bitwy nie były szczególnie krwawe, wypadało je raczej nazwać potyczkami. Cóż z tego, skoro angażowały siły całego batalionu.

Tu nalot, tam ppk czy fugas, a każda zagroda to możliwy punkt oporu. Na takiej podjazdowej wojnie stracił już kilka maszyn i załóg. Dostał uzupełnienia. W sumie grupa zwiadu dysponowała obecnie siłą siedemdziesięciu czołgów, transporterów gąsienicowych ACV-300, stanowiących pochodną dawnego amerykańskiego M113, oraz kołowych Cobr II.

Podobno, ale tylko podobno, bo w plotki roznoszone przez sztabowe mendy z dowództwa brygady nie wierzył, doszło dziś do jakiejś wielkiej katastrofy na morzu. Grecy zatopili kilka ich okrętów, straty szły w tysiące ludzi i stąd przyspieszenie natarcia. Dla Mehmeta całe to krakanie było pozbawione sensu. Co ma jedno do drugiego?

Rozkazy, jakie otrzymał, brzmiały wyraźnie -- spróbować obejść Saloniki od północy.

Nie dziwił się już niczemu. Osobiście wolałby wjechać do Aten, pod ten ich Akropol, i tam zatknąć flagę z półksiężycem. Zawsze śmieszyli majora żołnierze w tradycyjnych strojach z pomponami przy łydkach i ten ich paradny krok. Jakie to żalosne. Boki zrywać.

Stłumił śmiech. O paradzie na razie trzeba było zapomnieć. Wróg, który czaił się w tych okolicach, wcale nie przypominał tamtych żywcem przeniesionych z operetki fagasów. Jeśli się nie skoncentruje, de-

filada uleci w strefę marzeń, nie obejrzy jej ani na żywo, ani w telewizorze -- nie obejrzy jej w ogóle. Był na wojnie, a tu brak czujności równał się śmierci.

Przed nimi znajdowało się niewysokie wzgórze, którego większą część porastały drzewka oliwne. Droga dochodziła do połowy wzniesienia i nikła po drugiej stronie. Przylegający do niej kamienny mur opasywał pierścieniem szczyt. Widział znajdujący się tuż obok wjazd i wyżłobione koleiny oraz kapliczkę jakiegoś świętego.

-- Wszystkie wozy stać.

Kierowca Leoparda przyhamował. Tył czołgu uniósł ku górze, a on mocniej oparł się na łokciach. Wyjął dobrą niemiecką lornetkę, którą dostał od rodziców w dniu promocji na oficera, i przyłożył ją do oczu. Wieczór i padające długie cienie nie ułatwiały obserwacji.

Jadący za nim dowódcy kompanii i plutonów także przepatrywali okolicę. Na pozór nic nie wskazywało na to, by Grecy urządzili w pobliżu zasadzkę. Senna okolica robiła raczej wrażenie opustoszałej.

Może się myli...

Wyregulował ostrość, w interkombie słyszał zgłaszających się podkomendnych, a jednocześnie marzył o studni, w której można by uzupełnić zapasy wody. Pragnienie nie dawało mu spokoju. Odetchnął i zmrużył oczy, odsuwając na bok przykre doznania. Jeśli przodem wyśle drużynę na kołowych Cobrach, szybciej dowie się, co znajduje się po przeciwnej stronie, a przy okazji sprawdzi, czy nie ma tu jakiegoś źródła.

Kolejny raz przyjrzał się murowi, tym razem dokładniej. Gałązki oliwek w wielu miejscach zachodziły na kamienie. Na dodatek słońce świeciło prosto w oczy. Ci z tyłu kolumny czekali na jego decyzje.

-- Poruczniku Bilir, proszę sprawdzić to wzgórze.

Sam nie wiedział, dlaczego tak postąpił. Sztab niecierpliwił się, na każdym kroku podkreślając, jak ważna jest każda godzina, a on właśnie zarządził małą przerwę. Normalnie cielska Leopardów potoczyłyby się dalej, a żołnierze nie poświęciliby okolicy ani minuty dłużej, niż to było konieczne.

Dwuosiowe opancerzone Cobry posuwały się bez problemów połą drogą. Nie spuszczał z nich wzroku -- jest kapliczka, potem wjazd. Paru zwiadowców już na własnych nogach podążyło przodem. Wkrótce znikli majorowi z oczu. W eterze cisza, było tak spokojnie, jakby znajdowali się na pikniku, a nie na wojnie.

Głowę ułożył na przedramionach, napawając się przedwieczorną atmosferą. Za moment da rozkaz i z hukiem silników potoczą się dalej.

Odgłos suchych karabinowych strzałów wstrząsnął Mehmetem do głębi. A więc jednak, przecucie go nie myliło, tu wszędzie roiło się od Greków. Wysłał drużynę na pewną śmierć.

-- Uwaga...! -- Zanim zdążył wykrzyknąć rozkaz, rozległ się wizg spadających pocisków. Cały batalion dostał się pod silny ogień artyleryjski. Ładunki eksplodowały, tnąc powietrze stalowymi odłamkami.

Świat się skurczył. Hałas był tak potężny, że ledwie dało się wytrzymać. Powietrze wibrowało. Wszędzie latały kamienie, grudy ziemi i fragmenty czegoś, czego nie potrafił zidentyfikować.

Wydawało mu się, że to ręka, ale pewny nie był.

Zsunął się do wnętrza wieży i zatrzasnął właz. Koniecznie muszą się stąd wyrwać, inaczej jeszcze

dziś staną przed Allahem.

-- Ruszaj! -- wrzasnął na kierowcę.

Grzechot odłamków na pancerzu zmroził Mehmeta. Następnym razem mogą oberwać już nie fragmentem skorupy, ale samym pociskiem.

-- Na co czekasz, sukinsynu?!

Silnik czołgu nie chciał zaskoczyć. Co za debil twierdził, że to niezawodna maszyna? Jeśli natychmiast nie odjadą, kolejne pojazdy władują się im centralnie w kuper.

-- Dawaj!

-- Zaciął się. -- Młody kapral był bliski paniki.

-- Zrób...

Silnik zaskoczył niespodziewanie. Jedynie łasce Najwyższego zawdzięczali ten szczęśliwy traf.

Major przywarł do wizjera. O zgrozo, przed nim nic nie było widać. Wszystko nikło w czerni i szarości. Stalowa bestia rozpędziła się, na ile to było możliwe na tak wąskiej drodze. Mechanik kierował się bardziej wyczuciem niż wzrokiem.

-- Batalion naprzód! -- Mehmet dał się do mikrofonu, przekrzykując panujący zgiełk.

W tym oliwnym gaju na pewno roiło się od obserwatorów. Kiedy wysyłał przodem kołowe transportery, momentalnie stali się obiektem do wyeliminowania. Jaki to problem, podać koordynaty swoim ludziom?

-- Czerwona piątka się pali! -- Okrzyk w słuchawkach zabrzmiał jak wyrok.

Czerwona piątka to kto? Nie potrafił zidentyfikować kryptonimu. Czołgi to zielony, Cobry żółty, czerwony należał do transporterów gąsienicowych. Swoją drogą, już dawno powinni je wymienić na nowsze modele, choćby te z modułu Altaya. Niestety, jak zwykle w sprawach wojskowych, decydowały finanse. Nie dawało się wszystkiego załatwić od razu. Najpierw samoloty, potem flota, a na końcu oni. Czołgi były jeszcze w porządku, ale to, czym poruszała się zmechanizowana piechota, wołało o pomstę do nieba. Czy w sztabach nie wiedzą, że na polu bitwy najcenniejsze jest życie pojedynczego szeregowca, a nie ten cały złom na kółkach?

-- Skręcaj. -- Rozkaz wydał niespodziewanie, nie kierując się żadną racjonalną przesłanką.

Zarzuciło nimi potężnie. Podskoczyli na jakiejś nierówności, siedzenie i kręgosłup majora zaprotestowały. Na dodatek walnął głową w gumową osłonę wizjera. Nawet nie poczuł, że z rozbitego łuku brwiowego zaczęła płynąć krew.

Przed nimi pojawiły się pojazdy zwiadu stojące jeden obok drugiego.

Pierwszy płonął, obok leżały ciała spowite ogniem. Któryś ze zwiadowców wyskoczył z ukrycia, próbując ratować kolegę, i padł, nim zdążył pokonać ze trzy metry.

Greckie karabiny maszynowe i działka pracowały pełną parą. Pociski, te zwykłe i smugowe, odbijały się od pancerza Leoparda. Niemal cały ogień koncentrował się na nich. Od kadłuba odlatywały części wyposażenia. Efekt zupełnie jak z trójwymiarowego kina, tyle że tu wszystko działo się naprawdę. Sprzęt płonął, a ludzie ginęli.

Dopiero teraz zorientował się, jak wyglądało wzgórze. To, co brał za szczyt, wcale nim nie było. Za

pierwszym nasypem ciągnął się kolejny i jeszcze jeden -- wszystkie porośnięte oliwkami. Ostra kanonada niosła się po wzgórzach. Grecy dobrze wybrali miejsce, zamykając ich w pułapce.

Na wprost erkaem pluł pociskami z osłoniętego stanowiska.

-- Cel na dwunastej, odłamkowym.

Studwudziestomilimetrowy pocisk zniknął w gardzieli działa.

-- Gotowe.

-- Wystrzał!

Leopardem szarpnęło. Majorowi po raz kolejny zrobiło się słabo, kiedy zobaczył szybujące w powietrzu kończyny. Przynajmniej jeden cel został zniszczony, co i tak niewiele pomogło, bo ostrzał wciąż przybierał na sile.

Nieduże postacie przemieszczały się pomiędzy drzewami. Było ich wiele. Zbyt wiele. Gdzie jest piechota? Bez niej zapuszczanie się dalej groziło całkowitym unicestwieniem batalionu.

-- Czerwona jedyńka, zgłoś się.

-- Tak jest, panie majorze.

-- Macie robotę. -- Podał najistotniejsze informacje. Oni dadzą osłonę, ale wymieceniem greckich obrońców musi zająć się piechota.

ACV-300 znajdowały się tuż za czołgami i nim tylne platformy desantowe zdążyły opaść, jeden z nich został rozerwany, zmieniając się w kulę ognia.

To sprawka któregoś z systemów przeciwpancernych -- AT-4 lub MILAN. Tylko gdzie się ukryli? Nie widział miejsca, z którego odpalono raketę. A zresztą, czy to nie wszystko jedno, tym biedakom już nie pomoże, a przyglądanie się każdemu potencjalnemu miejscu pochłonie zbyt dużo czasu. Niejeden ppk Grecy mają na wyposażeniu.

-- Naprzód.

Kierowcy nie trzeba było dwa razy powtarzać. Ruszyli z nagłym szarpnięciem. Kanonada po chwili przerwy ponownie się wzmogła. Zdaje się, że waliły w nich lufy całej dywizji. Za nimi morze płomieni, przed nimi nieustępliwy wróg. Pozostawało jedynie przeć przed siebie, dopóki nie wyrwą się z tego obłądnego korowodu.

W polu widzenia pojawił się niski kształt z płaską ściętą wieżyczką. To BMP-1. Grecy posiadali pewną ilość tych rosyjskich wozów. Konstrukcyjnie należał do tej samej epoki co M113, był za to uzbrojony w gładkolufową armatę kalibru 73 milimetrów, a z tym już należało się liczyć.

-- Przeciwpancerne.

Punkcik na krzyżu celownika nakierowano na BMP. Szkoda, że widoczna była tylko część burty i przód pojazdu. Reszta kryła się za ziemnym wałem.

-- Dawaj.

Trafili u nasady wieżyczki, przebijając pancierz. Przynajmniej trochę się odpłacili.

Bitwa nabrała bardziej wyrównanego charakteru, choć ich straty wydawały się bez porównania większe. Z powodu unoszącego się w powietrzu dymu i kurzu zrobiło się ciemno. Kiedy przesuwiał wzrokiem po okolicy, w oczy najbardziej rzucały się trafione i wciąż płonące wraki. Ludzie przemykali gdzieś bo-

kiem. Czasami trudno było odróżnić swoich od przeciwnika. Wszystko kotłowało się jak w piekielnym garnku. Kiedy już wydawało się, że ostatnie stanowiska obrońców zostały wgniecione gąsienicami w piach, kanonada wybuchła w innym miejscu.

W walkę zaangażowano wszystkie siły, nie dysponował już żadnymi rezerwami. Było to najpoważniejsze starcie, w jakim do tej pory brał udział. Lawirowali w przód i w tył, zależnie od okoliczności. Minęliczołg, z którego wnętrza buchał ogień jak z hutniczego pieca. Kanciasta wieża leżała obok.

Grecy też dysponowali Leopardami, lecz ten na pewno należał do jego kompanii. Jak do tego doszło?

Mocne uderzenie przerwało tok myśli majora. Dostali? Nie, to tylko rykoszet. Przynajmniej tak mu się wydawało. Rząd drzewek płonął jasnym ogniem. Prawie wdarli się na te parszywe wzgórza. Dalej teren opadał. Widział już nawet drogę, która opasywała wzniesienie i odchodziła w stronę Dramy.

Stoczyli bitwę, lecz trudno powiedzieć, aby była ona zwycięska.

Sierżant Abdul Karim wysłuchał tego, co ma do powiedzenia kapitan, starając się zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Zdaje się, że 4 Zmechanizowana ugrzęzła w uporczywej obronie Greków niedaleko Dramy, tuż przy ważnym skrzyżowaniu dróg. Pojedynek toczył się od paru godzin i jak do tej pory ponawiane wciąż ataki rozбивały się o stalowy mur. Im więcej środków zaangażowano do walki, tym efekt był mizerniejszy. Z początku wysłano wzmocniony batalion zwiadu, lecz ten sobie nie poradził. Kolejny batalion i znowu to samo. W końcu sztab zdecydował o włączeniu do walki całego pułku.

To także niewiele dało, gdy na kolumny spadły rakiety z systemu MLRS. Podobno Grecy dysponowali stu trzydziestoma sztukami takiego sprzętu, a jego skuteczność potwierdzała łuna widniejąca nad horyzontem. Uderzenie było celne i bolesne. Pułk utracił czterdzieści pojazdów, z czego połowę stanowiłyczołgi.

Oczywiście natychmiast do walki skierowano lotnictwo. Przeciwnik odpowiedział tym samym.

Rozgorzała zażarta bitwa w przestworzach. Toczył się prawdziwy bój na wyniszczenie. Rzecz jasna, wraz z upływającymi godzinami wróg zaczął słabnąć, ale nie znaczyło to wcale, że odpuścił.

Dla Karima jedno było jasne -- przed wojną każdy grecki oficer, liniowy czy sztabowy, poznał te wzgórza jak własną kieszeń. Zagrożenie ze wschodu istniało wszak od dawna. Na pewno nie utrzymają Lesbos, Kos czy Rodos, ale Saloniki to ich najważniejsze miasto na północy kraju. Będą go bronić do upadłego. A jeśli się wycofają, to port pozostawią w ruinie.

Pękną, to nie ulegało wątpliwości, tylko za jaką cenę?

Podciągano już główne siły dywizji. Komandosom przypadło nowe zadanie -- znaleźć na greckich tyłach jak najwięcej celów dla lotnictwa. Najważniejsze oczywiście były MLRS-y.

Graty do śmigłowców przenieśli pół godziny później. Dwanaście Blackhawków UH-60 wzbiło się w powietrze tuż przed pierwszym braskiem. Karim wolał latać nimi niż znacznie starszymi Hueyami UH-1 czy też Cougarami AS532. Jakoś zawsze miał zaufanie do tych maszyn.

Lecieli bardzo nisko. Wydawało się, że zaraz zawadzą o jakieś drzewo czy też linię energetyczną.

Spróbował wyprostować lewą nogę, która wciąż bolała po walkach o stację radiolokacyjną. Tamten

łomot był niczym w porównaniu z tym, z czym przyjdzie im się zaraz zmierzyć. Paru chłopaków już wypadło z ewidencji, do zespołu dołączono nowych.

Nie pogłaskano wówczas Karima po główce, choć zrobił, co mógł. Nikt nie spodziewał się, że Grecy zareagują tak nerwowo. Spychał tamte obrazy w czeluść zapomnienia, ale one wciąż wracały.

Obok Blackhawka przeszła seria któregoś z obrońców. Karim skulił się. Zawsze bał się poszatkowania przez artylerię przeciwlotniczą. Tu nie było dokąd uciekać ani gdzie się schować. Jeśli silnik zostanie uszkodzony, spadną, zgodnie z zasadą grawitacji, obojętnie czy znajdowali się na dwóch tysiącach, dwustu czy też dwudziestu metrach. Efekt zawsze był taki sam.

Piloci zaczęli wykonywać uniki. Kurczowo trzymał się brezentowego krzeselka. Wydawało się, że lecą pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Czy to możliwe? Na filmach kaskaderzy wyczyniali nie takie rzeczy.

Tuż przy drzwiach śmigłowca operator Miniguna, szczerząc zęby, co rusz posyłał ku ziemi wstęgę kolorowych punkcików. Tę robotę pewnie wymyślili specjalnie dla niego. Normalny człowiek raczej unikał takich emocji.

-- Punkt desantowy za pięć minut.

W ciągu trzystu sekund wszystko może się zdarzyć.

Błękitne niebo wydawało się takie piękne. Niech ten lot już się skończy, odda wszystko za twardą ziemię pod stopami.

Przestrzelina w burcie pojawiła się niespodziewanie.

Po pierwszej przyszła pora na kolejne. Szeregowiec siedzący obok Karima jęknął, wyprężył się i w tej samej chwili uderzył głową o ramię sierżanta.

-- Ej, nic ci nie jest?

Nie dostrzegł najmniejszej rany.

-- Medyk...!

Wyrwali się do góry ostrą świecą. Minigun strzelał bez przerwy, zasypując przedział desantowy masywnymi łuskami. UH-1 już dawno rozpadłby się na kawałki, a Cougar to wielkie bydlę, trafić go jeszcze łatwiej niż Blackhawka.

Lot ku gwiazdom nie trwał długo. To, co nastąpiło później, było jeszcze gorsze. Zaczęli nurkować, zupełnie jakby byli samolotem z grupy akrobatycznej. Karima na siedzeniu trzymał jedynie parciany pasek. Chciał krzyknąć, lecz się powstrzymał. Dowódcy nie wypadało drzeć mordy jak jakiemuś nieopierzonemu rekrutowi.

Przyziemienie nastąpiło niespodziewanie. Najpierw zawiśli parę metrów nad ziemią, a potem opadli w ułamku sekundy. Nigdy wcześniej Karim nie najadł się tyle strachu, co podczas tego krótkiego przelotu.

-- Jazda.

Nikt nie zwlekał, wymiotło ich momentalnie. Abdul wyskoczył, potknął się i wyłożył jak długi, kalecząc dłonie o ostre odłamki skał. Zaklął i zerwał się do biegu. Śmigłowiec wzniósł się do góry tuż za jego plecami. Sierżant wskoczył pomiędzy jakieś kamienie, przyklęknął i przyjrzał się okolicy. Na południu horyzont wyglądał, jakby płonął. Kiedyś widział już coś podobnego w trakcie pożaru lasu. Czarny

woal był gęsty i nieprzenikniony. Choć od pola bitwy dzieliło Karima i jego ludzi jakieś trzydzieści kilometrów, wyraźnie słyszeli kanonadę. Bardziej na lewo dostrzegł płonące gospodarstwo. Dorobek czyjeś życia szedł właśnie z dymem.

Harce bojowych śmigłowców i samolotów były jednak bardziej spektakularne. Niebo cięły białe krechy smug kondensacyjnych. Greckie Apache AH-64, tureckie Cobry AH-1 i T-129 wirowały na dużo niższych pułapach, tworząc prawdziwy taniec śmierci.

Dobra, dalsze siedzenie na tyłkach tylko odwlekało to, co nieuniknione. Zebrał drużynę i wyznaczył kierunek marszu. Śpieszyli się. Należało wydostać się ze strefy lądowania i przejść do wyznaczonego sektora. Poruszali się jeden za drugim, starając się robić to jak najciszej. Przeszli obok sadu i pola kukurydzy. Jak na gust Karima teren był tu zbyt płaski i za słabo zalesiony. W razie potrzeby trudno się dobrze schować, zupełnie jak na pustyni. I pomyśleć, że to Europa.

Szałas stojący na łące był niczym więcej niż tylko stertą desek. Opodal pasło się stado kóz. Karim zszedł się po zboczu. Nie dostrzegł niczego niepokojącego. Powoli przestawiając stopy, ruszył wzdłuż krzewów tamaryszku. Karabinek trzymał wyciągnięty przed sobą.

Już prawie przeszli na drugą stronę, kiedy usłyszał grające radio. Serce zamarło mu w piersi, a nerwy napięły się jak postronki. Dosłownie metr przed nim, pośród wysokiej trawy, pojawiła się ludzka postać. Chłopak był tak pochłonięty dostrajaniem radia, że wcale ich nie zauważył. Dopiero teraz ich wzrok się spotkał. Nie miał więcej niż czternaście lat, zupełnie jak jego siostrzeniec, ciemne włosy i okrągłą dziecięcą buzię.

Cholerny pastuch.

-- Nie krzycz -- przestrzegł łamanym greckim. Dobrze, że przyswoił te parę słów, inaczej dupa. -- Jesteś sam?

Chłopak przytaknął.

-- Co tu robisz?

Gówniarz wskazał na kozy.

-- Dlaczego nie uciekłeś do domu?

-- Brat poszedł, ja zostałem.

-- Wróci?

-- Uhm...

Jeszcze tego brakowało. Zdaje się, że od początku tej kampanii prześladował go pech. Co ma zrobić z tym gnojkiem? Nie jest przecież niańką. Nasuwały się dwa rozwiązania i oba były do kitu. Pójdą dalej, a szczył polecą do domu i narobi im kłopotów. Jeśli go zlikwidują, ktoś tu się w końcu pojawi i efekt będzie taki sam. Pamiętał, co spotkało drużynę Bravo Two Zero z regimentu SAS w Iraku w 1991 roku. Wtedy dowódca też stanął przed podobnym dylematem. Dzieci poinformowały o wszystkim wojsko i komandosi, oprócz jednego, polegli lub dostali się do niewoli. Zadania nie wykonali.

Grupa rozłożyła się półkolem.

Karim wyprostował się i splunął. Przez głowę przelatowała mu setka morderczych myśli na sekundę. I tak źle, i tak niedobrze. Żadne nielinearne podejście do tematu niczego tu nie załatwiało.

-- Wiesz, gdzie są żołnierze? -- Nie przywiązywał do pytania większego znaczenia.

-- Pewnie.

-- Naprawdę?

-- Jasne, mam trzynaście lat.

Świetnie.

Cień niepokoju przemknął przez twarz chłopaka.

-- Będzie dobrze.

Zapewnienie sierżanta nie zrobiło na nim wrażenia.

-- Jesteś...

-- Wiem, kim jestem, i wiem, kim ty jesteś. -- Zrobił krok i szarpnął chłopaka za kołnierz, stawiając go do pionu. Oczy dzieciaka zrobiły się okrągłe ze strachu. -- Prowadź, i ani mru mru.

Był gotowy przeprowadzić tę misję do końca i nic go nie obchodziły skutki uboczne.

Farma znajdowała się w zagłębieniu terenu. Solidny dom i rozległe zabudowania gospodarcze, z których największe wydawało się tłocznią czy może magazynem. Pordzewiały wrak traktora stał pośród wysokiej trawy.

Dał się wystrychnąć na dudka. Tu nikogo nie było. Zaraz pokaże gnojowi, gdzie raki zimują.

Już chciał szturchnięciem rozładować emocje, lecz się powstrzymał. Coś tu nie grało. Ta złowieszczą cisza nie dawała mu spokoju. W obejściu nie szczekał nawet pies, co więcej, gdzie jest inwentarz? Kaczki, kury i co tam się na wsi pęta pod nogami.

Uwagę przyciągały otwarte wierzeje długiego baraku.

-- Zostańcie -- przekazał polecenie zastępcy. -- Pilnuj go jak oka w głowie. -- Wskazał na mocno przestraszonego chłopaka.

Sam zaczął się podkładać bliżej, zachowując czujność. Czołgał się od jednej większej kępy zielska do drugiej. Robił to powoli. Oko zawsze zareaguje na ruch.

W końcu znalazł się na tyle blisko, że wewnątrz baraku miał wprost przed sobą. Padający z boku cień nie pozwalał dostrzec szczegółów, ale to chyba... Zapiernając się nogami, przeczołgał się za drewniane koryto. Wyjrzał i zdrętwiał. Lufy czołgu nie można było pomylić z niczym innym. Zgrzytnął zębami. Informacje okazały się prawdziwe. Normalnie ominęliby łukiem całe obejście i nawet nie spróbowaliby podejść bliżej.

Teraz należało odpowiedzieć sobie na pytanie -- czy w baraku ukryty jest jeden pojazd, czy też czai się takich więcej? Bardzo był tego ciekaw.

Rozejrzał się na boki. Wciąż ten sam bezruch. Do baraku dawało się podkraść prawie niezauważenie. Najgorszy odcinek był już za nim, teraz na prawo, obok błotnistej drogi, dalej znajdowała się studnia, wszystko pięknie porośnięte wysokimi chwastami. Potem już tylko wystarczy wspiąć się na daszek przybudówki i zajrzeć do środka.

Nie namyślał się długo. Przemknął chyłkiem, tak jak to sobie zaplanował. Najgorzej było na otwartej przestrzeni. Ostrożnie uniósł głowę, przyglądając się rozjeżdżonemu traktowi. Ślady gąsienic były wyraźnie odcisnięte w wilgotnym podłożu. Jego zdaniem przejechało tędy kilka pojazdów. Nagły rumor dobie-

gający ze środka baraku sprawił, że omal nie dostał ataku serca. Stłumione słowa w obcym języku uświadomiły Karimowi, że jest gorzej, niż przypuszczał. Może lepiej zrezygnuje? Jeśli natknie się na warty, wszystko na nic.

Dalej, tchórze -- zrugął sam siebie. Wkrótce dobrnął do przybudówki. Karabinek zwiesił przez pierś i lekko się odbijając, podciągnął się na rękach. Jak ta chwiejna konstrukcja runie, dopiero zrobi się afera.

Rozpłaszczył się na dachu. Serce waliło mu jak młotem. Ostatni metr wydawał się najtrudniejszy. Przyklęknął i zajrzał do wnętrza.

Omala nie zaklął z wrażenia kolejny raz. To nie jakiś tam magazyn, tylko składnica pełna beczek i skrzynek, lecz wypełnionych nie oliwą czy kukurydzą, a paliwem dla pojazdów oraz tysiącami sztuk amunicji. To był skład połowy greckiej armii, zaopatrujący walczące oddziały. Gospodarzy wykwaterowano, przynajmniej nie przeszkadzali. Obserwacja z powietrza niczego nie dawała, należało podkraść się blisko, tak jak on to zrobił, i dopiero wtedy można było odkryć tajemnicę.

Muszą stąd pryskać, i to szybko. Magazyn rozwalą bomby bądź pociski dział. Trzeba w niego przywalić raz a dobrze. Poza tym angażowanie się w walkę odciągało ich uwagę od zasadniczego zadania, jakim było znalezienie MLRS-ów. Jeżeli zaś chodzi o czołg, to zdaje się poddawano go przeglądowi. Widział dwóch deliberujących mechaników, siedzących w kucki obok wjazdu kierowcy.

Dwóch to niewielu, gdzie podziła się reszta, pluton osłony i kilku logistyków? Kierowany niepoohamowaną ciekawością zerknął ponownie. Nic się nie zmieniło, może więc zaryzykować i narobić rabanu z pomocą tego, co mają?

Wyjął z pochwy przy pasie szturmowy nóż i spróbował podważyć ramę. Zgrzytnęło. Aż się spocił z wrażenia. Nie tak, najpierw należało rozkręcić śruby uchwytu, bo sama rączka trzymała mocno.

Ostrze tu na nic, a niczego innego przy sobie nie miał. Może za dużo kombinuje, zlikwidowanie Greków to nie takie znowu trudne zadanie.

Siedział tu już zbyt długo. Zsuwając się w dół, usłyszał od strony domu odgłos otwieranych drzwi. Zamarł w bezruchu, lecz szansa, że nie zostanie dostrzeżony, spadła do zera.

Panterki, hełmy, szturmowe G36 w dłoniach i pies na dokładkę. Okazał się naiwny jak dziecko.

W przyływie desperacji zdecydował się na jakiś przedziwny ekwilibrystyczny skok. Wylądował na trawie i od razu przeturlał się w bok. Złożył się do strzału.

To nie było jakoś szczególnie trudne, takie działania ćwiczyli dosyć często, zresztą celownik kolimatorowy ułatwiał mu zadanie. Gdy tylko pierwsza z postaci pojawiła się na linii ognia, pociągnął za spust. MP5 nie zawiodł. Ten drugi próbował wiać, ale oberwał tuż pod obojczykiem. Doberman zerwał się do biegu. Na likwidację tego zagrożenia poświęcił pół magazynka. W końcu skowyt psa ucichł.

Chwila tryumfu nie trwała długo. Przeciągły jazgot greckiego karabinu maszynowego, umieszczonego w wysokim podpiwniczeniu, zagłuszył pozostałe odgłosy.

Celowniczy wymierzył jednak za wysoko i cała seria przeszła nad głową Karima.

Należało stąd uciekać, i to już. Zerwał się do sprintu. Wystarczyło pięć metrów, by skryć się za rogiem magazynu. Nie widział, jak z domu wybiegają kolejni greccy obrońcy, zamiast tego usłyszał strzały dobiegające od strony, gdzie ukryli się komandosi. Rozpętała się gwałtowna strzelanina.

Karim pobiegł wzdłuż ściany magazynu do wrót. Wychylił się, zachowując ostrożność. Załoga właśnie zajmowała miejsca w wozie. Jeśli wyjadą, zrobią z nich miazgę.

Jednym strzałem zdjął dowódcę, zsuwającego się na swoje miejsce w wieży Leoparda. Ciało zablokowało właz. Wrzasnął, dodając sobie animuszu, wyszarpnął granat i wskoczył na pancerz.

Nim wyciągnął zawleczkę, oddał parę strzałów z automatu. Usłyszał jęki. Ktoś oberwał rykoszetem. Wrzucił ładunek i zeskoczył. Walnęło tak, że nawet jemu zadzwoniło w uszach.

Zerwał się na równe nogi i rozejrzał po magazynie. Środkiem biegł jakiś człowiek w roboczym kombinezonie. Zanim w niego wycelował, tamten skrył się za stertą skrzyń.

No dobrze, ilu takich, tylko uzbrojonych, jeszcze się tu czaiło? Trudno powiedzieć, jak wielu przeciwników znajdowało się w domu -- dwudziestu, trzydziestu? Doliczając tych tutaj i patrole krążące po okolicy, to jednak zbyt dużo jak na jego drużynę.

Ruszył do wyjścia. Jak się okazało, zrobił to w ostatnim momencie. Właśnie na drodze pojawił się łaźnik i kilka ciężarówek. Zdaje się, że to nie oddział bojowy, a jedynie logistyczny przybył po zaopatrzenie.

Biegł przez podwórze tak szybko, jak potrafił. Adrenalina dodawała mu sił. Nad głową świstały kule. Trudno, nikt nie żyje wiecznie.

Najwyraźniej Najwyższy roztoczył nad nim opiekę, bo nie doznał najmniejszych obrażeń.

Ukryty za pnem moreli kapral oddawał krótkie trzystrzałowe serie. Obok spoczywało ciało chłopaka. Karim obrócił je na plecy. Dostał w pierś i w głowę, raczej nie z ich winy.

-- Jak?! -- wrzasnął.

-- Wychylił się, gdy tylko się zaczęło. -- Podoficer wrzucił ramionami i ponownie zabrał się do eliminowania przeciwników.

Opodał odezwał się kolejny erkaem. Karim wyciągnął wskaźnik laserowy i ustawił go w kierunku magazynu. Parę min typu Claymore, lekko wygięte pudełka na stalowych szpikulcach, rozstawił w pobliżu, tak na wszelki wypadek. Była to najpotężniejsza broń, jaką posiadali. Warstwa materiału wybuchowego miotała stalowymi kulkami niczym śmiertcionośnym gradem. Z przodu napis -- tą stroną do nieprzyjaciela. Lepiej, jeżeli znajdą się daleko, kiedy to wszystko odpali.

-- Spadamy.

Gęsto się ostrzeliwując, rozpoczęli odwrót. Przebiegli nie więcej niż dwieście metrów, kiedy nad obejście nadleciała para Falconów. Bomby poszły w dół. Kierując się niamiarami, nie mogły spudłować. Dwustudwudziestopięciokilogramowe ładunki uderzyły z chirurgiczną precyzją. Długi barak zmiotło z powierzchni ziemi. Rozpoczęły się wtórne eksplozje. Pogoń nie zdążyła nabrać rozpędu, a już została starta w proch i pył.

Karimowi wydawało się, że ogłuchł. Detonacje przeczekali na pustym polu. Obejrzał się. Nie było czego oglądać -- słup oleistego dymu przysłonił widok. Ze środka buchało jak z samego dna piekieł.

Poranek spędzili pracownicy. Teraz pora zarobić na obiad.

Artur Sznajder próbował się rozluźnić, lecz nie potrafił. Wzrok Hamida al-Hamadaniego przeszywał jak sztylet. Amir wydawał się miły i spokojny, ale on nie ufał pozorom. Wiedział, z kim ma do czynienia. Ten dystyngowany, można by rzec, starszy już mężczyzna wysłał na śmierć tysiące ludzi. Tajne operacje Państwa Islamskiego -- to był żywioł, w jakim się obracał. Nie przewidział, że tak szybko dotrze do jednego z najważniejszych przywódców kalifatu.

Z wczorajszego spotkania nic nie wyszło. Wszystko odwlekło się do dnia następnego, a to przez gwałtowne działania oddziałów Hezbollahu i sił reżimowych w kierunku na Aleppo. U bram miasta toczyła się zażarta bitwa. Kolejnego ataku już nie będzie. Wróg zużyje zasoby, a wtedy oni przystąpią do kontrataku.

Wioska, w której się spotkali, miała nie więcej niż stu mieszkańców, mały meczet i sterczący nad nim minaret. Wojna nie oszczędziła nawet tego miejsca -- na drodze leje po bombach i wrak helikoptera, z którego pozostała osmalona skorupa. Jak na tak małą osadę rozmiarami imponował cmentarz. Trudno było Arturowi ocenić, ile było tu grobów, ale na pewno nie mniej niż pięćset.

Sznajdera oddzielono od reszty wczesnym rankiem. Major, Galiński i Belg François pozostali w miasteczku, do którego zostali przeniesieni wczoraj. Po niego przyjechał ponury brodacznoszący woodland zamiast zwyczajowego czarnego uniformu dżihadystów. Skórzane szelki przypięte do pasa głównego. Pod ramieniem gnata w kaburze. W ręku klasyczny M-4, a nie Kałasznikow. Palestyńska chusta na ramionach i szyi.

Nosił w sobie śmierć, podobnie jak Sznajder, i może dlatego nie zapałali do siebie sympatią. Byli zbyt podobni i parali się tym samym fachem. Prawdziwe psy wojny pośród stada szakali. Kto raz próbował zajrzeć takiemu w duszę, widział mrok.

Mężczyzna przywiózł Sznajdera na miejsce, przyprowadził do amira i odszedł. Krył się gdzieś w pobliżu, chroniąc al-Hamadaniego. Co do tego Artur nie miał najmniejszych wątpliwości. Przynajmniej znikł z pola widzenia.

-- Mówisz więc, synu, że wszystkie instrukcje odbierałeś od Sułtana Asuchanowa i jedynie z nim kontaktowałeś się w sprawie wyjazdu do Europy?

-- Tak, panie.

-- Ahmedzie, zrozum mnie dobrze, ja ci ufam, ale są tacy, którzy za twoją opowieść nie dają złamanego dinara. -- Głos amira ociekał miodem.

Do salki, w której siedzieli, światło przenikało przez małe podłużne otwory w ścianach. Popijali herbatę i przegryzali ją daktylami. Można było odnieść wrażenie, że wojna toczy gdzieś daleko.

-- Wszystko, co mówię, jest prawdą. Po co miałbym kłamać? Walczyłem w oddziale Asuchanowa od czerwca dwa tysiące czternastego roku. Są ludzie, którzy mogą to potwierdzić.

-- Kto taki?

-- Sam komendant...

-- On nie żyje, Ahmedzie. -- Łagodne słowa wstrząsnęły Arturem. -- Oddział, w którym walczyłeś, już nie istnieje. Większość z twoich braci zginęła, a ci, co pozostali, przeszli pod rozkazy innych dowódców.

Nikt nie wie, gdzie ich teraz szukać.

Na znajomości z Asuchanowem opierał się cały plan. Bez niego byli jedynie prochem i pyłem.

-- Chcesz coś powiedzieć?

-- Nie. -- Na swój sposób lubił Czeczena. Był jednym z tych, którzy nadawali dżihadowi sens. Asuchanow nie walczył o sławę czy zaszczyty. Przyłączył się do kalifatu, bo ten dysponował siłą. W kraju ciążył na nim wyrok, a on kochał dzikie góry i nienawidził Ramzana Kadyrowa z całego serca. Za powrót oddałby wszystko. Zginął na nie swojej wojnie. Nie on pierwszy i nie ostatni.

-- Opowiadaj.

-- O czym, panie? -- Słowa al-Hamadaniego wyrwały Artura z zadumy.

-- Jak wojowałeś z niewiernymi, oczywiście. -- Amir uśmiechnął się uspokajająco.

Wiedział więcej, niż się Artur spodziewał, właściwie znał każdy szczegół, bo to właśnie on nadzorował przebieg całej operacji, której tylko koniec był dla niego niejasny. Teraz koniecznie chciał dowiedzieć się, co zaszło.

-- Gdzie się ukrywałeś?

-- W paru miejscach w kraju -- odparł Artur, domyślając się, o co mu chodzi. Jeśli powie, że wyjechał do Niemiec, polegnie. Tam muzułmańska mniejszość niedługo zrobi się większością. Obojętnie, o jakim miejscu wspomni, zostanie prześwietlony. -- Nigdzie dłużej niż parę tygodni. Najmowałem się do prac sezonowych, tam mało kto pytał o dokumenty. Jak było ciepło, do roboty w polu, a zimą do wycinki lasu.

-- Dlaczego nie przyjechałeś wcześniej?

Spojrzeli sobie w oczy.

-- Czekałem na kolejną okazję.

-- Tych chyba nie brakowało -- powiedział Hamadani z przekąsem. -- Wierni poświęcają się w imię dżihadu każdego dnia. Daleko miałeś do... -- Amirowi zabrakło słowa. -- Tam, gdzie Niemcy protestują przeciwko naszym braciom i siostram...

-- Drezna?

-- Tak, właśnie, Drezna. Przygotowanie pasa szahida nie jest znowu takie trudne, tym bardziej że otrzymałeś namiary na nasze komórki w Skandynawii i na Bałkanach.

-- Niemiecka policja, panie, jest wyjątkowo sprawna. Pilnują takich w sposób szczególny. Ryzyko spore, a dostanie się w łapy tamtejszych służb nie pomoże naszej sprawie.

Kolejny pragmatyk. Zupełnie jakby słyszał Maxa. Hamadani skrzywił się, przełykając daktyla. Wolał suszone morele, ale z tymi był ostatnio kłopot.

Ze wszystkim był ostatnio kłopot.

Za Ahmedem przemawiało jedno -- kontakt, który otrzymał na komórkę z Sarajewa. Ta jednak została rozbita, i to przez głupotę jej prowadzącego. Tym durniom wydawało się, że napad na bank jest najlepszym sposobem na uzyskanie funduszy. Jak powiedzieli, tak zrobili. Kiedy zaczęli się kręcić w pobliżu banku, zostali namierzeni. Dostali wyroki i trafili do więzienia. Wyjdą za parę lat albo... za parę miesięcy, kiedy zacznie się wyzwalamie europejskich wilajetów, czyli prowincji kalifatu.

Na razie nie potrafił zarzucić przybyszom zdrady. Na dodatek Ahmed przyjechał nie sam, a w towarzystwie. Skoro koniecznie chcą walczyć, na pewno znajdzie dla nich okazję.

Wykopanie dołu szerokiego na trzy, długiego na piętnaście i głębokiego na dwa metry nawet sprawnemu operatorowi koparki zajmowało mniej więcej godzinę, a co powiedzieć o kimś, kto tego nigdy nie robił? Dla takiego i trzy godziny to mało. Jak się szybko okazało, dziura w ziemi pod fundamenty nie nadawała się wcale -- w jednym miejscu była płytsza, w drugim głębsza, o kształcie owalu, co i tak kompletnie nie miało znaczenia, bo liczyły się intencje, a nie samo dzieło. Ktoś to musiał zrobić. Padło na niego, trudno, w życiu zdarzają się gorsze rzeczy.

Przysłonił usta i nos chustą, którą dostał od François, i ponownie zabrał się do roboty. Przed nim najgorsze. Wycofał spycharko-koparkę i ustawił lemiesz. Śmierdziało tak, że wnętrzności zwijały się z odrazy. Teraz do przodu. Przymknął powieki, co i tak niewiele pomagało. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że chyba wykopał zbyt mały dół. Jak ma się w nim zmieścić co najmniej trzysta ciał?

Galiński, który sam zgłosił się do pomocy, zmył się gdzieś. Wcale się chłopakowi nie dziwił. Co to za przyjemność zostać grabarzem, i to od razu przy masowym pochówku?

Dopiero teraz dostrzegł własny niefort -- ustawił lemiesz zbyt wysoko i jakieś ciało dostało się pod koła.

Cofnął się i zaczął wszystko od początku. Starał się wyłączyć myśli, ale szło mu to opornie. Próbował odtworzyć w głowie elegie Chopina, ale skończyło się na bardziej popularnych kawałkach. Oszaleje, jeśli potrwa to dłużej.

W końcu pierwsza partia ciał została zepchnięta do dołu. Dalej, nie ma na co czekać. Wśród martwych przeważali żołnierze armii syryjskiej, wzięci ostatnio do niewoli, ale nie brakowało cywilów i dezertarów.

W polu widzenia pojawił się François. Halicki poznał Belga po tym, że ten mocno utykał. Głowę miał tak samo owiniętą chustą, jak on. Dał znak -- bardziej na lewo, dobra, do przodu. Robota od razu poszła szybciej. Wkrótce skończył i na chwiejnych nogach opuścił kabinę. Starał się nie myśleć o tym, co zrobił. To przecież jasne -- dokonał pobożnego uczynku, pochował martwych. Modlitwę niech zmówi ktoś inny.

-- Widziałem Roberta. -- François wyciągnął paczkę marlboro i obaj łąpczywie zaciągnęli się dymem, by choć odrobinę zniwelować trupi odór. -- Rzygał jak kot.

-- Ja się tam nie dziwię. -- Major wydawał się bardziej wyrozumiały.

Skierowali się na przeciwległy kraniec obozu. Nikt ich nie zaczepiał. Właściwie wyglądali jak bojownicy, tyle że bez broni.

-- Kiedyś... -- zaczął Belg, przerwał i wypluł okruch tytoniu -- nawet nie wiedziałem, że wojna ma takie oblicze. Karmili nas opowieściami o chwale i zwycięstwach, zapominając o poległych.

-- Ale ci się zebrało -- mruknął Halicki.

-- Jeszcze nie podziękowałem.

-- Niby za co? -- zdziwił się Polak.

-- A za to, że mnie wtedy wyciągnąłeś z obozu i zabrałeś ze sobą.

-- Nie dziękuj. -- Halicki powstrzymał jego dalsze słowa. -- To przez nas tu trafiłeś.

-- Tobie się wydaje, że armia Asada jest mniej krwawa, a tych tutaj... przyznaj się?

Nim zdążył odpowiedzieć, dopadł ich Galiński.

-- Wszędzie was szukam.

-- Stało się coś? -- Majorowi wreszcie przestały drżeć dłonie.

-- Artur przyjechał.

-- No i?

-- Chce gadać.

-- Już idziemy. -- Puścili Roberta przodem. -- Jak to widzisz, François? Co tym razem przygotowali

dla nas gospodarze?

-- Trudno powiedzieć.

-- Tak. -- Ciągle nie potrafił rozgryźć Belga. -- Ja ci powiem, co -- wezmą nas w obroty, jak nie w taki, to w inny sposób.

Kiedys termin "morze ruin" kojarzył wyłącznie z Powstaniem Warszawskim, teraz czegoś podobnego doświadczał osobiście. Gdzie nie spojrzeć, wszędzie gruz, wszystkie bloki mniej lub bardziej uszkodzone, całych nie widział w ogóle. Jak w czymś takim funkcjonowali cywile -- bez prądu, wody i chleba?

Przed wyjazdem oglądał zdjęcia -- aż się wierzyć nie chciało, do czego zdolny jest człowiek. Już nie chodziło o Baszara i jemu podobnych, ale o bezprzykładne barbarzyństwo. Wojna ciągnęła się kolejny rok i jej końca nie było widać. Równie dobrze może trwać następną dekadę. Odbudowa, o ile do niej dojdzie, pochłonie niewyobrażalne sumy. I dziwić się, że ci ludzie pryskali, dokąd się tylko dało.

Pierwsze na spotkanie przybiegły dzieci. Rozdali im swoje racje, pozostawiając sobie po parę sucharów. Nikt nie wiedział, jak długo przyjdzie im tu tkwić.

Grupa nie była liczna, najwyżej dwudziestu bojowników w trzech toyotach. Dowodził brodac, ten sam, który zabrał i przywiózł Sznajdera.

Wszyscy dostali broń. Wybór po ostatnich stratach był spory. Można rzec, że automatów było więcej niż mogących się nimi posługiwać islamistów.

Halicki wybrał AKMS ze składaną kolbą. Podobnie Robert. Artur oczywiście się wyłamał.

M-60 z przednim uchwytem wydawał się odpowiedni do jego postury. Przez pierś przewiesił sobie taśmę z amunicją.

Nie było tu żadnej ciągłej linii obrony. Żołnierze Asada, nawet jeżeli zdobywali jakąś dzielnicę, później się z niej wycofywali. Zbyt wielu padało ofiarami ognia snajperskiego i moździerzowego. Jeśli już dokonywali wypadu, to od razu w sile batalionu. Broń pancerna operowała w mniejszych grupach. Wysyłanie paru wozów na wrogi teren bez należytego wsparcia to prosty przepis na klęskę. Syryjscy oficerowie jakoś nie przyjmowali tego do wiadomości. W zakamarkach miasta czaili się na nich zdesperowani obrońcy. Dochodziło do kolejnej potyczki, która niewiele wносиła do ogólnej sytuacji. Asadowi to nie szkodziło, dzięki rosyjskiej pomocy dysponował niewyczerpanymi zasobami.

Jeszcze do niedawna przez Bosfor szedł transport za transportem. Desantowce ze wszystkich flot (Czarnomorskiej, Bałtyckiej, Północnej i Pacyficznej), wsparte przez zwykłe wycarterowane jednostki, dostarczały do portu w Tartus setki czołgów, dział i ciężarówek oraz tony zaopatrzenia.

Zdaje się, że teraz źródółko wyschło.

Halicki trochę się zdziwił, kiedy zaczęli taszczyć ze sobą ciężką wyrzutnię przeciwpancernych pocisków kierowanych typu TOW. Taka broń w arsenale wskazywała na solidne poparcie emiratów dla ISIS. Putin, przystępując do wojskowej ofensywy, zapomniał o jednym -- wahabici znad zatoki są wyjątkowo mściwi. Mając do dyspozycji nieskończenie wielkie fundusze, mogli pozwolić sobie na każdą broń. Z jednej strony emiraty, Arabia Saudyjska i Turcja, z drugiej Baszar, Rosja i Iran. Pole bitwy -- Syria. Jaką piękną mozaiką politycznych intencji.

Przewodnicy już czekali, a sądząc po brodach i gołych glacach, należeli do kalifatu lub Frontu al-Nusra, choć to wcale nie było takie pewne. W Syrii istniały dziesiątki najróżniejszych organizacji uznających reżim Baszara za wrogi. Prawie wszyscy to religijni ekstremiści i trudno się było połapać, kogo popierają i kto tak naprawdę jest ich przywódcą.

Wkrótce z garstki dżihadystów zrobiło się ich co najmniej pięćdziesięciu. Ulica, na której się znajdowali, przed wojną domową należała do jednej z najnowocześniejszych. Co najmniej dziesięciopiętrowe wieżowce stały przy jednej z głównych alei. Odgłosy karabinowych strzałów dochodziły ze wszystkich stron. Nie była to jakoś szczególnie natarczywa łomotanina, ot, zwykłe trzymanie przeciwnika na dystans.

Znaleźli się na podwórku, jako żywo przypominającym polskie blokowisko. Z wypalonych wraków samochodów osobowych pozostały jedynie szkielety. Cywile przemykali chyłkiem. Śmierdziało spalenizną i ściekami z rozerwanych rur kanalizacyjnych. Nietrudno było sobie wyobrazić, że tak właśnie wyglądała Warszawa w czasie powstania.

Brodacz zaczął wydawać rozkazy. Halicki słuchał uważnie. Zdziwił się, gdy Sznajder dostał dowództwo jednej z grup i polecenie zajęcia pozycji. Oczywiście on i Robert też znaleźli się w tej grupie, obok dziesięciu ogorzałych ochotników. TOW przypadł komuś innemu. Szkoda, im dostał się RPG-7 i cztery granaty kumulacyjne. Oprócz okrzyków "Allahu akbar", dało się usłyszeć głośne "o kurwa", i tym podobne, Galińskiego. W jego wystraszonych oczach trudno było dopatrzeć się entuzjazmu. Pierwszy raz w życiu szedł na śmiertelny bój i nikt nie gwarantował, że wyjdzie cało z opresji.

Halicki zachował więcej powściągliwości, bał się, a jakże, ale po zbiorowym pochówku już nic nie wydawało mu się straszne.

Początek był łatwy. Minęli rząd jakichś bud, dochodząc do ich skraju, dalej był placyk, odtąd już biegli. Wieżowiec znajdował się kilkadziesiąt metrów od nich. Wejścia dopadli mocno zziajani i ruszyli schodami na górę. Niektóre mieszkania stały otworem, inne szczelnie pozamykano. Z góry schodziła kobieta z dzieckiem na ręku. Minęli ją bez słowa.

Na czwartym piętrze zatrzymali się i rozpoczęli zajmowanie punktów ogniowych. Halicki oparł się o poręcz i spojrzał w górę. Niewiele dostrzegł -- ślady po dawno ugaszonym pożarze, który strawił parę mieszkań, brudne ściany i stare graty na półpiętrze.

Im wyżej się wdrapywali, tym większy panował bałagan. Robert pognął na samą górę -- lepiej sprawdzić, czy nie czekają tam na nich jakieś niespodzianki.

Major ulokował się na szóstym piętrze. Wyżej nie było po co włączyć. Taki wieżowiec potrafił zmienić się w śmiertelną pułapkę. Dokąd wiać, kiedy pod wejściem zaparkuje T-72?

Zrobił obchód pomieszczeń -- trzy pokoje, kuchnia, łazienka, przyzwoity standard, trochę mebli, balkon z niezłym widokiem. Mieszkańcy już dawno uciekli lub, co bardziej prawdopodobne, zginęli.

Na widok lalek w najmniejszym pokoju Halickiemu zrobiło się słabo. Oparł się o futrynę i opanował mdłości.

W największym z pokoi za tapczanem znalazł pięknie oprawiony portret prezydenta Baszara al-Asada. Takie same wieszano w urzędach. Walnął nim o podłogę. Trafili do mieszkania politycznego zwolennika reżimu, oficera czy też może pracownika cywilnej administracji. Nie chciał wiedzieć, jakie piekło urządzili mu sąsiedzi w pierwszych dniach powstania. Widok Sznajdera nie poprawił majorowi humoru.

-- Ty, młody i jeszcze dwóch zajmiecie górę, dobrze?

-- Jak rozkażesz.

-- Ja z pozostałymi będę niżej. Dam znać, kiedy zaczniemy odwrót.

-- A zaczniemy?

-- Nie będę tu siedział dłużej, niż to konieczne -- odpowiedział Artur.

-- Co na to Max?

-- Mam się nim przejmować?

-- A nie?

-- Dobrze wiesz, że na froncie kule padają z różnych stron. -- Zabrzmiało to jak groźba.

-- Nie wydaje ci się dziwne, że wysłali nas w odosobnione miejsce? -- Podzielił się z Arturem własnymi przemyśleniami. -- Z przodu Syryjczycy, z tyłu on... Blado to widzę.

-- Jeżeli w czymś ci to pomoże, to ja również. -- Sznajder wyszedł, uznając rozmowę za zakończoną.

Wolał nie zbliżać się do okien. Sznajperzy siali prawdziwe spustoszenie wśród mieszkańców Aleppo. Jeden nieostrożny ruch i po człowieku.

W międzyczasie z góry zszedł Robert.

-- Czysto -- oznajmił zwięźle.

-- Dobra, łap się za to... -- Przenieśli ciężką komodę bliżej szerokiego panoramicznego okna. Wystawała ponad krawędź parapetu, ale nie szkodzi, i tak pręty balkonowej balustrady nie pozwalały na ostrzał przeciwnika tuż pod samym blokiem, za to widok wzdłuż alei był znakomity -- w oddali majaczył duży plac.

Z drugiego pokoju przytaszczyli fotel. Halicki rozwalił się na nim. Broń trzymał na kolanach, a nogi położył na komodzie. Dwaj Arabowie zajęli sąsiednie pomieszczenie. Rozpoczęło się czekanie.

Robert opadł na tapczan i zaczął pochrapywać. Daj Boże takie zdrowie. On się męczył, nie mogąc usnąć, już kilka nocy.

Podparł głowę i zaczął się wpatrywać w przebiegającą nieopodal przelotówkę. Mógł tak siedzieć do wieczora. Sprawdził broń i ciężką tetetkę w kieszeni kurtki. Wziął ją w ostatnim momencie. Szkoda, że nie miał kabury. Żelastwo swoje ważyło. Dla równowagi do drugiej kieszeni nawkładał zapasowych magazynków i jeszcze garść amunicji do kieszeni spodni.

Niespodziewanie przypomniała mu się Alicja. Przez ostatnie dni zupełnie o niej nie myślał i oto dziś wypłynęła z zakamarków pamięci. Ciekawe, co teraz robi? Pewnie kolejny projekt. Ależ jej zazdrościł.

Po raz pierwszy, odkąd tu przybył, pocił się trochę mniej niż zwykle. Może to wina tego, że za mało pił?

Klimat rozkładał na łopatki, skoki temperatury wykańczały. Arturowi i Robertowi może to i pasowało, ale jemu już niezupełnie.

Głowa zjechała po dłoni, lecz szybko uniósł ją czujnie.

Aha... w samą porę. Niedaleko szczęknął karabin maszynowy. Chyba się zaczęło. Zdjął nogi z komody, a wzrok wlepił w aleję. Ten dźwięk słyszał nie raz i nie dwa, każdy poligon wypełniał huk wysokoprężnych silników T-72, dokładnie takich jak te wyłaniające się z perspektywy ulicy. Jeden, drugi, potem BMP-2, kolejny transporter, a kolumnę zamykał trzeci czołg. Wozy grzmiały, wypuszczając w powietrze kłęby spalin.

Na razie niewiele można było zrobić. Wróg zachowywał czujność. Pierwszy z T-72 zatrzymał się i

wodził lufą po ewentualnych celach. Chwilę później ruszył, zgrzytając gąsienicami po asfalcie. Dzielili ich odległość co najmniej trzystu pięćdziesięciu metrów. Bliżej, kochany, bliżej.

Dowodzący atakiem oficer w końcu zdecydował -- pojazdy potoczyły się prędzej, rozjeżdżając na całą szerokość ulicy. Nie było to takie proste, jak się z pozoru wydawało, pryzmy gruzu i rozbite wcześniej samochody utrudniały przejazd. Co rusz wozy zajeżdżały sobie drogę.

Wystrzelenie przeciwpancernej rakiety zaskoczyło nawet majora. Wszystko stało się niespodziewanie. Pocisk pokonał dystans tak szybko, że załoga prowadzącego czołgu nawet nie zorientowała się, co ją zabiło. Tuż przed dotarciem do celu rakietę wzniosła się, uderzając w słabiej chronioną górę. T-72 to bez wątpienia solidna maszyna, podlegająca wielu modernizacjom, niemniej głowica TOW zdemolowała jej wnętrze, detonując amunicję. Ciężka, wielotonowa wieżyczka odleciała w górę i spadła kilka metrów dalej. Kadłubem wstrząsnęły eksplozje, zmieniając go w hutniczy piec. W otworze po wieży buzował jasnopomarańczowy ogień. Porównanie z grillem nasuwało się samo. Przynajmniej załogę dosięgła szybka śmierć i ci ludzie nic nie poczuli.

Zaskoczenie nie trwało długo. Automatyczna armata zasypała fasadę bloku trzydziestomilimetrowymi pociskami. Jeden z nich wpadł do pokoju, w którym przebywali, i po uderzeniu w ścianę rozprysł się na kawałki, siejąc miniaturowymi odłamkami.

-- Młody, gra?

-- Gra, szefie.

Galiński przeczołgał się na próg balkonu i wystawił automat na zewnątrz.

-- Poczekaj -- upomniał podwładnego Halicki.

-- Palec mi cierpie.

-- I co im zrobisz?

Rozmowa urwała się, gdy czołgowa armata wystrzeliła ładunek kalibru 125 milimetrów. Wieżowcem zatrzęsło. Pył i kurz zawirowały w powietrzu. Wydawało się, że konstrukcja złoży się jak domek z kart.

-- Boże, trafili w naszych.

-- Nie gadaj głupstw -- odwarknął Halicki. Sam nie był pewien, gdzie uderzył pocisk.

Reszta syryjskich pojazdów po chwili wyczekiwania ruszyła przed siebie.

Galiński prął długimi seriami, niepomyślny ostrzeżeń majora. Z powodu unoszących się wszędzie dymów niewiele dawało się dostrzec, niemniej...

Jakiś człowiek wyłonił się z piwnicy, tuż przy ostatnim T-72. Ubrany na czarno nie przypominał żołnierza asadowskiej armii.

Halicki pożałował, że nie ma lornetki czy monokularu i zdany jest jedynie na własny wzrok. Jeżeli ten człowiek chce się sam uporać z pancerną bestią, to raczej nic z tego nie wyjdzie.

Już po sekundzie wiedział, że się pomylił. Załoga nie dostrzegła niebezpieczeństwa. Bojownik z czymś, co wyglądało na magnetyczną minę, znikł Halickiemu z pola widzenia, ukrywając się za pojazdem.

Monstrum o wadze czterdziestu jeden ton szarpnęło, z silnika poszedł dym. Na początku wydawało się, że to nic takiego, lecz wkrótce płomienie ogarnęły cały wóz. Załoga próbowała się ratować ucieczką.

Bojownicy Sznajdera nie dali jej szans, rozstrzeliwując czołgistów huraganowym ogniem.

Tego, który podkradł się i wysadził T-72, nigdzie nie było widać. Albo był to samobójczy wypadek, albo też spotkał go niefart. Dla Halickiego i pozostałych liczyło się tylko to, że z trzech czołgów pozostał jeden, który i tak znalazł się w pułapce.

Piechota wysypała się z BMP-2, szukając osłony. Nikt nie chciał usmażyć się w stalowym pudle. Każdy strzelał, ile mógł. Pociski i rykoszety fruwały we wszystkich kierunkach.

Major złożył się do strzału. Ten, do którego mierzył, wydawał się być oficerem. Karabinek ożył mu w rękach. Trafił, co przyjął bez większych emocji.

Z pokoju obok odpalono RPG. Czy to z emocji, czy też strzelcowi zabrakło wyczucia, ładunek chybił i rozerwał się tuż obok hałdy gruzu. Załadowano rurę i oddano kolejną salwę. Efekt ten sam. Co oni odwalają? To żalosne.

-- Czekać -- nakazał Galińskiemu.

Zerwał się i ruszył pędem. Był już prawie na miejscu, kiedy potężny błysk odebrał mu na sekundę świadomość. Gdy się pozbierał, zobaczył obu bojowników, a właściwie to, co po nich zostało -- jednemu eksplozja oderwała głowę, a drugiemu kawał spadającego gruzu zmiażdżył klatkę piersiową. Rura z RPG została pogrzebana pod zwalami betonu.

-- Młody...

-- Tak, szefie.

-- Pryskamy.

Gęsty dym wypełnił mieszkanie. Dobrze, że celowniczy w ostatnim T-72 też się nie popisał i grzmotnął w lokal dalej, inaczej skończyliby jak ci dwaj.

Na schodach rozkaszał się na dobre, łzy stanęły mu w oczach i nie mógł złapać tchu. W końcu, pociągnięty przez Roberta, przemierzył ostatni odcinek.

-- Jeszcze nie rozpieprzyliście tego sukinsyna?! -- wrzasnął do Sznajdera, gdy tylko znalazł się tuż przy nim.

Artur z kolbą M-60 przy ramieniu, zupełnie jak na zawodach strzeleckich, słał w dół serię za serią.

-- Sprawdź, co robią ci popierdoleńcy.

Gdzie oni schowali wyrzutnię? Osobiście nie wniósłby żelastwa wyżej niż na pierwsze piętro.

Może parter albo piwnica?

Kolejny raz zaliczyli trafienie. Istniało ryzyko, że wszystko się zawali. Mieszkalna konstrukcja to nie bunkier.

Podniesione głosy w końcu zaprowadziły ich we właściwe miejsce. Trzech Arabów z konsternacją spoglądało na powyginaną wyrzutnię, krzyczeli przy tym jeden przez drugiego.

Halickiemu wystarczył jeden rzut oka -- z TOW został szmelc. Ich jedyna szansa na powstrzymanie ataku właśnie ulatywała jak dym z rozbitych pojazdów.

Co teraz? Kolejny samobójca poświęci się dla dobra pozostałych czy też uda się powstrzymać nacierających?

-- Zapytaj ich... -- Majorowi mówienie przychodziło z trudem, zadyszał się, a poza tym smród wypeł-

niał nozdrza. -- Zapytaj, czy to wszystko, co mają.

Galiński przetłumaczył.

Na dłuższą metę wojny w ten sposób nie dawało się prowadzić. Powinien bardziej przykuć arabski, choćby na podstawowym poziomie. Najchętniej rozszarpałby Chmurę gołymi rękami.

-- Wszystko gra, panie majorze? -- Roberta przestraszył morderczy wyraz twarzy przełożonego.

-- Taa... Co powiedzieli?

-- Nie jest dobrze, ten TOW...

-- Rozumiem -- przerwał dalsze wynurzenia. -- Mają iść za nami.

Zbiegli na sam dół. Halicki pierwszy wysunął się na zewnątrz. Na razie w polu widzenia nie dostrzegł zagrożenia. Pobiegli wzdłuż ściany do rogu wieżowca. Syryjczycy właśnie rozsypywali się w wachlarz. Zdjął jednego i pognął przez otwartą przestrzeń. Galiński ruszył za nim. Bojownicy dotrzymywali im kroku. Nie wszystkim się udało -- ten, który biegł na końcu, przewrócił się i już nie podniósł.

Schowali się za stertą gruzu. W tej chwili byli bezpieczni, ale długo to nie potrwa. Major przeczołgał się dalej, broń trzymając przed sobą. Tu nie można popełnić błędu. W końcu dotarli do płytkiego rowu. Nieznacznie wysunął głowę. Syryjczycy znajdowali się na prawo od nich, wciąż koncentrując się na ostrzale wieżowca. Czolg i dwa transportery z tej pozycji były ledwo dostrzegalne. Szybciej do ich uszu dochodził warkot silników. Przeciwnik miotał się we wszystkich kierunkach, nie mogąc wyrwać się z zasadzki.

Krótką serią zdjął nieostrożnego piechura i podpełzł bliżej. Nie było dobrze. Syryjczycy przewyższali ich liczebnie, w końcu przegrupują się i dadzą im popalić.

W piętro, na którym bronili się bojówkarze Sznajdera, łupnął pocisk. Majorowi zrobiło się słabo. Jeżeli Artur tam był, to właśnie pukał do bram raję.

Radiotelefon jednego z Arabów zaskrzeczał. Ten odpowiedział i wywiązała się dyskusja.

Oddał jeszcze kilka strzałów i wymienił magazynek na pełny. Robert pochylił się nad jego uchem.

-- Mamy się cofnąć do pozycji wyjściowych.

-- Kto tak rozkazał?

-- Max.

Nareszcie. Skinął na pozostałych. Ktoś ich dostrzegł, bo nad ich głowami zagwizdały pociski z działka.

-- Prędszej -- ponaglił tych, którym zachciało się jeszcze dziś stanąć przed obliczem Najwyższego.

Przeskakując od jednego ukrycia do drugiego, znaleźli się poza bezpośrednim polem walki.

Tu nikt nie miał wątpliwości, że Max Wickfield jest zawodowcem, nikt nie podważał jego kompetencji i nikt świadomie nie wchodził mu z drogę. Cała armia Państwa Islamskiego to okrutni ochotnicy, ale nawet spośród tej masy morderców Wickfielda wyróżniał martwy wzrok, pod którym kulili się najwięksi zwyrodnialcy.

Hamid al-Hamadani uczynił słusznie, robiąc z niego swoją prawą rękę. Byli jak mistrz i uczeń. Gdzie

amirowi nie starczało woli, wysyłał pomocnika, który wiedział, jak zaprowadzić porządek, doskonale sprawdzając się w roli kata. Na razie czekała Maxa bitwa do rozstrzygnięcia.

Nie trzeba było kończyć akademii w Sandhurst, żeby wiedzieć jedno -- przeciwnik ma przewagę. Od dawna nie walczono z taką zaciekłością, pchając do natarcia wciąż nowe oddziały. Wcześniejsza taktyka otaczania zbuntowanych enklaw, odcinania zaopatrzenia i ciągłych bombardowań została zastąpiona bardziej energicznym działaniem. Ataki powodowały znaczne straty wśród oddziałów rządowych. Gorzej, że również rebeliantom kończyły się środki. Ostatecznie zejść do kanałów ściekowych i dotrzeć w bezpieczniejsze miejsce. Zrobili tak na przedmieściach Damaszku, przenikając do blokowiska w Adrze, gdzie zmasakrowano chrześcijan, druzów, alawitów i izmailitów. Wojska Baszara zareagowały dopiero kilka dni później. Tym razem nie będzie tak łatwo. Obie strony dobrze wiedziały -- wóz albo przewóz. Albo zadadzą Syryjczykom takie straty, że tamci już się nie podniosą, albo przegrają, a wróg odzyska wiarę w ostateczne zwycięstwo.

Kolejne grupy, operujące w tej dzielnicy, zgłaszały się pod komendę Maxa. W sumie dowodził jakimś dwiema setkami bojowników. Siły oddziałów rządowych, alafickich bojówek shabiha i szyickich żołnierzy z Gwardii Republikańskiej oceniał na ponad tysiąc. Jeśli szybko czegoś nie wymyśli, powystrzelają ich.

Pomysł z kanałami wydawał się dobry, tylko kto go zrealizuje?

Z drużyny Sznajdera pozostała połowa. Po tym, co się stało, to prawdziwy cud, że przeżyło aż tylu ludzi uzbrojonych wyłącznie w broń lekką. TOW przepadł, podobnie jak RPG. W tej sytuacji wszelki opór zakrawał na kpinę.

Absurd tego, co robią, uderzył Halickiego jak obuchem. Narazali się w nie swojej wojnie, na dodatek walcząc po stronie wroga. A tak, coś tam słyszał o wyższej konieczności. Te piękne frazesy dobrze brzmiały w sztabie w czasie niezobowiązujących rozmów, a nie w sytuacji, gdy człowiekowi nad głową latają pociski.

Pomysł, by wrócić tą samą drogą, szybko okazał się chybiony. Na tym odcinku wróg przełamał obronę nie tylko wysuniętej placówki, lecz i paru innych. Za słabo znali teren, by kierować się intuicją.

Halicki zacisnął szczękę i przez głowę przeleciało mu parę morderczych pomysłów, co też zrobi pewnemu kapitanowi wywiadu, kiedy spotkają się ponownie. Zostali bez map i przewodników, a łączność urwała się przed momentem. Siły rządowe rozwałą ich przy pierwszej nadarzającej się okazji, nie będzie czasu tłumaczyć, jak to się stało, że znaleźli się z bronią na ramieniu w szeregach ISIS.

Umysł majora pracował gorączkowo, poszukując wyjścia z tej beznadziejnej sytuacji.

Przycupnęli na skraju niewielkiego placyku. Tu przynajmniej nie rzucali się w oczy. Mieli chwilę na złapanie oddechu. Jakoś nikt nie śpieszył się z rozmową. Teraz to oni znaleźli się w pułapce, co do tego nie było wątpliwości.

-- Mamy tak siedzieć? -- pierwszy odezwał się Galiński.

-- Wiesz, dokąd iść? -- Halicki doładował zapasowy magazynek amunicją wyciągniętą z kieszeni.

-- A oni? -- Wskazał na Arabów.

-- Zapytaj.

Po krótkiej wymianie zdań, zgodnie z przypuszczeniami majora, bojownicy pokręcili głowami.

-- Tamci są z Rijadu. -- Robert skinął na dwójkę ochotników, sądząc po wyglądzie, braci. -- Ismael przyjechał z Misraty w Libii, a Dżafar jest co prawda Syryjczykiem, ale w Aleppo znalazł się po raz pierwszy w życiu. Wszyscy pochodzący stąd polegli, co do jednego.

Od północy ponownie nasilił się warkot silników.

-- Nie możemy tu zostać -- zdecydował Artur. -- Spróbujemy obejść cały ten kwartał, no chyba że ktoś ma inny pomysł.

Nikt nie zgłosił sprzeciwu.

Omar Hakim należał do straconego pokolenia. Kiedy zaczęło się powstanie, był właśnie na pierwszym roku studiów. Podobnie jak ojciec chciał zostać inżynierem, projektować maszyny i kto wie, może wyjechać na stałe do Niemiec lub Skandynawii, tak samo jak zrobił jego najlepszy kumpel Tariq.

Allah sprawił, że stało się inaczej. Na samym początku zachowywał daleko idącą powściągliwość, nie przyłączył się do żadnej z grup, wolał skupić się na przetrwaniu. Ciągnął tak prawie dwa lata, unikając niebezpieczeństw, aż w końcu, po śmierci matki i siostry, nie wytrzymał. Czym one zawiniły? Wybrał się z ojcem po chleb, a powrót okazał się niemożliwy. Atak chemiczny pochłonął wówczas ponad dwieście osób. Ojciec osiwiiał w godzinę, a on zapałał żądzą zemsty.

Szybko znalazł wzór do naśladowania -- bojownicy kalifatu nie bali się nikogo i niczego. Przystąpił do nich całą duszą i sercem. Jako że posiadał smykałkę do techniki, w udziale przypadła mu opieka nad rosyjskim działkiem ZU-23-2. Ustawił je na platformie japońskiej furgonetki i od tej pory widziano Hakima szalejącego wzdłuż frontu i nieoszczędzającego amunicji.

Omara martwił jedynie fakt, że jego miejska odyseja dobiegała końca. Wkrótce zostaną z Aleppo wyrzuceni i największe poświęcenie na nic się nie zda.

Dzisiejszego dnia ostrożność była jak najbardziej wskazana. Bandyci Asada od dawna tak nie naciśkali. Liczba ofiar po obu stronach rosła, a szala zwycięstwa przechylała się raz na jedną, raz na drugą stronę.

Zgodnie z otrzymanymi wytycznymi miał wspomóc niedaleką placówkę. Niepokoiła go jednak panująca tam cisza. Hakim zgasił silnik i zaczął się przysłuchiwać. Walczono, ale na tym odcinku panował spokój.

Już chciał wrzucić wsteczny, gdy dojrzał wyłaniającego się zza zakrętu ulicy brodacza. Bojownik znieruchomiał. On także. Jeżeli to ci, których szuka, to nie chciał zaliczyć kulki właśnie teraz.

-- *Allahu akbar!* -- zawołał.

Brodacz opuścił automat.

-- Kim jesteś?

Mówił z jakimś dziwnym akcentem. Omarowi to nie przeszkadzało, już się przyzwyczaił do przybyszy

ze wszystkich stron świata.

-- Mówią na mnie Hakim.

-- Świetnie. -- Ucieszył się tamten. -- Pewnie znasz to miasto jak własną kieszeń?

-- Zgadza się.

-- Zabierz nas w bezpieczne miejsce, a Allah obdarzy cię łaską.

Szkoda, że nie zrobił tego wcześniej -- pomyślał Omar, uwagę jednak pozostawiając dla siebie. Nie jemu oceniać, on jest tylko drobnym trybikiem w całym tym mechanizmie.

Bojownicy ładujący się do furgonetki wyglądali na wyczerpanych.

-- Jazda.

Ruszyli z piskiem opon.

Uliczka, w którą się zapędzili, kończyła się jednym wielkim zwałem gruzu. Poruszanie się po nim nie szło składnie, łatwo było o osuwisko. Kilka większych kawałków betonu trzymało się na cienkim zbrojeniu, zagrażając każdemu, kto się pod nimi znalazł.

Normalnie nikt się tu nie zapuszczał. Oni nie mieli wyboru. Cały kwartał został ostrzelany przez artylerię z tragicznym, jak widać, skutkiem. Sądząc po unoszącym się w powietrzu fetorze, nie wszystkie ciała wydobyto z gruzowiska. Zabrakło czasu, determinacji, a może ochotników do tej niewdzięcznej pracy.

Spod nóg Sznajdera czmychnął czarny kot, tak niespodziewanie, że ten o mało nie poleciał na tyłek, w ostatnim momencie przytrzymując się ściany. Zaklął, nie tak, jak na pobożnego muzułmanina przystało. Major wysunął się do przodu.

-- Zaczekajcie, sprawdzę, jak to wygląda.

Z początku szło łatwo. Wkrótce okazało się, że zbyt łatwo. Spory odcinek Halicki pokonał w przyzwyczajonym tempie, potem dreptał w dół i w górę, zupełnie jak na kamienistym stoku. Szybko się zmęczył, a stąd już tylko krok do nieuwagi. Poleciał na plecy, wciąż dające o sobie znać po niedawnej kontuzji. W płucach zabrakło mu tchu. Upadek był bolesny jak jasna cholera. Dobrze, że nie rozwalił sobie nogi albo głowy. Za to siedzenie pulsowało, zupełnie jakby wylądował na rozgrzanym metalu. Wolniej już zszedł po pochyłości i usiadł na kawałku odłupanego betonu. Właśnie wtedy usłyszał głosy. Zamarł, skupił się i poszukał jakiejś większej dziury. Przez szczelinę widział ich wyraźnie -- żołnierze poruszali się nad wyraz ostrożnie, wodząc wokół lufami karabinów.

Rozpłaszczył się i wpełzł głębiej, modląc się, by go nie dostrzegli. Byli coraz bliżej. Nie wiedział, czy szukali konkretnie ich, czy też prowadzili rutynowe działania.

Znaleźli się tuż nad nim. Wystarczyło, żeby jeden z nich zajrzał pod płytę i koniec. Nie pozostanie nic innego, jak palnąć sobie w łeb. Tortur nie wytrzyma.

Metr, może półtora od jego głowy Syryjczycy rozpoczęli rozmowę. Podobnie jak wcześniej nie pojął ani słowa. Trwał w bezruchu. Trzy minuty później odgłosy ciężkich wojskowych butów ucichły w oddali. Odczekał jeszcze chwilę i wyczołgał się z kryjówki. Syryjczycy rozwiali się jak senny koszmar.

Mocno przygarbiony rozpoczął odwrót.

Powrotu majora oczekiwali z niepokojem. Galiński zerwał się na jego widok, a Artur spojrzął z zainteresowaniem.

-- Tamtędy nie przejdziemy -- oznajmił, nim padło jakiegokolwiek pytanie.

-- Jest źle? -- zapytał Sznajder.

-- Krążą patrole, łatwo się na jakiś natknąć. -- Upił wody z plastikowej butelki i przepłukał usta.

-- Mogą się tu zjawić?

-- Zapewne. -- Wolał stać, bo tyłek i kręgosłup wciąż rwały ostrym bólem. -- Wcześniej czy później, raczej wcześniej, do wieczora czekać nie będą.

Tym razem poszli na południe, między zupełnie wyludnione ulice. Zniszczeń było tu mniej, ale kompletna pustka szarpała nerwy.

-- Kryć się! -- Sznajder pierwszy usłyszał nadjeżdżający pojazd.

Pobiegli w stronę najbliższej klatki schodowej. W tych podchodach czas wydawał się decydującym czynnikiem. Nie zdążą, tym razem szczęście przestało im sprzyjać. Furgonetka wyłoniła się zza zakrętu. Lufy stojących na pace obróciły się w ich stronę.

-- Stać, kurwa, nie strzelać! -- Okrzyk Artura odbił się od wciąż stojących ścian.

Trudno powiedzieć, jak to się stało, ale strzelanina nie wybuchła. Kierowca wysiadł i podszedł bliżej, przyglądając się ciekawie Arturowi.

-- Kurwa? -- powiedział, przechylając głowę.

-- Kurwa, a co? -- Sznajder spoglądał na chłopaka nieufnie.

-- Jesteś z Polski?

-- Jasnowidz?

-- Nie, mój ojciec studiował w Łodzi, a tak pięknie przeklinać potrafią jedynie Polacy.

Głosy dochodzące z za pleców Maxa doprowadzały go do furii. Arabowie zachowywali się jak dzieci, gestykulowali i gadali jeden przez drugiego, nie próbując zachować powagi. Odwrócił się do nich i choć nie powiedział ani słowa, tamci dobrze zrozumieli przekaz.

Bitwa nie układała się po jego myśli, dysponował zbyt szczupłymi siłami. Syryjczyków było po prostu zbyt wielu. Do tego posiadali czołgi, transportery i śmigłowce. Oni co najwyżej działka kalibru 23 milimetrów i przenośne wyrzutnie rakiet.

Kiedy zobaczył Sznajdera, napięcie trochę w nim opadło.

-- Chodź za mną. -- Zaprowadził Polaka do miejsca, gdzie na stole rozłożono parę map. -- Poznajesz?

-- Nie bardzo.

-- Przypatrz się uważnie.

Artur pochylił się nad płachtą.

-- Plan ulic?

-- Kanałów -- odparł Wickfield. -- Tu jesteśmy my. -- Ołówkiem zaznaczył odpowiedni rejon. -- A tu niewierni.

-- Sporo ich, leżą jak muchy na świeżego trupa. Ledwo wyszliśmy z okrążenia.

-- Dostali polecenie zrobienia porządku, najszybciej jak się da. Nie będą przebierali w środkach.

-- Nigdy tego nie robili -- mruknął Sznajder. -- Z tymi kanałami mówiłeś poważnie?

-- Wejdziecie tędy, czterysta metrów prosto, później pięćdziesiąt w prawo. W magazynie obok znajduje się punkt dowodzenia. Dojdziecie tam i zlikwidujecie ich sztab.

-- My, to znaczy kto? -- zaczepnie zapytał Artur.

-- Wybierz spośród tych, którzy zostali.

-- W dziesięciu na całą kompanię?

Spojrzeli na siebie.

-- Nie mam nikogo innego. -- Wickfield mówił jak żołnierz do żołnierza, bez tych całych religijnych banałów, którymi karmili ich od rana do wieczora. -- Jeśli zawiedziemy, nie mamy co pokazywać się amirowi na oczy.

Sznajder parsknął. Zupełnie jak w regularnej armii, szefostwo i dekownicy na tyłach, kadra w kasynie, a szeregowi i podoficerowie w linii. To jasne, nie każdy żołnierz walczy, na jednego przebywającego na froncie pracuje dziesięciu na zapleczu. Amunicja jest tak samo ważna jak morale. Póki co w ISIS tak nie było.

-- Weźmiesz ze sobą tego brodatego Jemeńczyka. Był porucznikiem w tamtejszej armii. Nie pamiętam, jak ma na imię.

-- Abbas.

-- A tak, faktycznie. -- Max zgodził ze Sznajderem.

Kolejne na wpół samobójcze zadanie, mające sprawdzić ich lojalność. Na ile maczał w tym palce Hamadani, a na ile była to złośliwość brytola, Artur nie wiedział. Max będzie zasłaniał się amirem. Akcji z powodzeniem mógł podjąć się Abbas, ten sam, z którym zabrali się furgonetką Omara. Przynajmniej podwładni Jemeńczyka to ostrzelana ekipa. Jak już pójdą, to na całego. Do takiej misji potrzebują sprawnych zabijaków, a nie samobójców.

Wyprostował się, trzymając za bolący krzyż.

-- Potrzebuję gościa znającego kanały jak własną kieszeń.

-- Dostaniesz.

Max zbił ostatni argument przeciwko akcji. Nie pozostało nic innego, jak załadować broń i zmienić się w ściekowe szczury.

Dokładnie o czternastej trzydzieści jako pierwszy do niewielkiego wjazdu wsunął się przewodnik -- niemłody już mężczyzna w brudnym kombinezonie. Za nim poszli Artur i Abbas. Grupę od tyłu ubezpieczał Halicki.

Nie śpieszył się, mieli czas. Wstąpił do żandarmerii, a będzie się taplał w gównie. Do Artura nie żywił urazy, nie on tu rozdawał karty. Swoją drogą, z tego Wickfielda to niezły skurwiol -- wracają z akcji, a on od razu każe im brać się za następną, co znaczyło, że od rana mocno dostawali w dupę.

Prawdę mówiąc, był wykończony. Bolał go każdy miesiąc, w żołądku ssało z głodu, a na głowie zaciśkała się niewidoczna obręcz.

W kieszeni znalazł listek aspiryny od François'a. Wydłubał z blistra jedną pastylkę i łyknął ją bez popijania. Energii mu nie doda, ale może choć trochę złagodzi dolegliwości.

Przedostatni schodził Galiński. Chłopak wydawał się cieniem samego siebie. Wczoraj tryskał energią, a dziś był strzępem człowieka. Poruszał się ciężko i bez przekonania. Nabierze werwy, gdy kulki zaczną gwizdać mu nad głową.

Halicki zrobił krok, stając nad otworem. Broń, magazynki, granaty i nóż -- wszystko na swoim miejscu. Kucnął, oparł dłonie o wybetonowaną krawędź i wskoczył do środka. Stalowe klamry ułatwiały schodzenie.

Nie było tak źle. Smród nie zabijał. Szybko okazało się, że to większy kanał burzowy. Cienie idących przed nim migotały w mdłym świetle latarek. Należało uważać, gdzie się stąpa.

Pośród odpadków zalegających na dnie wyłoniło się ciało. Ominął je, na ile się dało. Kim był poległy, nikogo nie obchodziło.

Co parę kroków odwracał się, starając się przebić wzrokiem ciemność. Trochę nasłuchiwał, lecz oprócz posapywania i szurania butów towarzyszy niczego niepokojącego nie usłyszał.

Spróbował liczyć kroki -- ile to może być czterysta metrów? Na spacerze nigdy się nad tym nie zastanawiał. Pod ziemią czas i przestrzeń nabierały innego znaczenia.

Idący przed nim Robert zaczął zwalniać, aż w końcu stanął zupełnie. Ten boczny otwór nie budził zaufania -- najwyżej osiemdziesiąt centymetrów wysokości. Dla nadwyręzonego kręgosłupa będzie to prawdziwa mordega.

Poczekał, aż wszyscy znikną w tunelu, i poszedł ich śladem, stękając z wysiłku. Odbijał się od ścian, starając się utrzymać w miarę stabilną pozycję.

Przed nim zrobił się korek -- jakiś idiota wywalił się, tarasując przejście. Major oparł się o ścianę, nie zważając, jaka jest brudna. Chciał stąd jak najprędzej wyjść. Nikt go więcej nie namówi do takich eskapad.

Wszystko ma swój kres, udręka również. Gdy już pełzył studnią wiodącą ku górze, myślał, że nie da rady. Czyjeś mocne dłonie pochwyciły go za szelki oporządzenia na ostatnim etapie wspinaczki.

-- Dzięki -- wymamrotał.

-- Nie dziękuj -- powiedział Sznajder. -- Bierzesz młodego, będziecie nas ubezpieczać.

-- W porządku.

Grupa podzieliła się na dwa oddziały. Na czele jednej stanął Sznajder, drugiej -- Abbas. Przyczajeni pobiegli w stronę nieodległego wyjścia. Z trzech stron podwórka wznosiły się betonowe ściany. Jedyne przejście prowadziło na zachód.

Przyłgnęli do muru w oczekiwaniu na atak. Mocno zagryzione wargi zaczęły krwawić. Zaraz się znacznie. Styryjczycy byli tuż obok.

Pierwszy strzał brzmiał jak odgłos pracy silnika. Sznajder, znajdujący się najbliżej, rozwalił wartownika z pistoletu. Nim ten zwinął się na ziemi, długimi susami ruszył na pozostałych.

Zaskoczenie okazało się całkowite. Nikt nie oczekiwał rebeliantów właśnie tutaj. Kilku stawiających opór znalazło się na celowniku. Abbas i pozostali nie żalowali amunicji. Z okrzykiem "Allahu akbar" na ustach wydawali się demonami. Jakby kule się ich nie imały.

Wypadli na otwartą przestrzeń i rozpoczęli niekontrolowaną masakrę. Wróg rzucił się do chaotycznej ucieczki, choć posiadał przewagę liczebną. Kapitan w czerwonym berecie próbował skupić uchodzących, zwołując ich głośnymi okrzykami. Nie trwało długo, nim kula rozerwała mu gardło. Oficer w ostatnim odruchu starał się zatamować dłonią krwawiącą ranę. Wkrótce jednak padł na kolana i znieruchomiał. Jednemu z jego podwładnych odstrzelono nogę poniżej kolana, kwiczał teraz jak zarzynana świnia. Nikt się nim nie przejmował, nie stanowił zagrożenia, a że cierpiał? Trudno, tak już ten świat urządzone.

Przypadkowy postrzał sprawił, że jeden z nacierających upadł, ściskając się za brzuch. Jego los również wydawał się przesądzony. Jedyne szybka interwencja chirurga mogła mu pomóc. W przeciwnym razie czekały go męczarnie i śmierć.

Halicki łowił widoki kątem oka. Żadnemu nie poświęcał więcej niż ułamek sekundy. To już się stało, dla niego ważniejsze było to, co dopiero miało się wydarzyć.

Snajper na dachu właśnie zmieniał pozycję. Major wycelował i wystrzelił. Chybił. Tamten nawet nie zorientował się, że ktoś na niego poluje.

Galiński, jak przystało na rasowego strzelca, jednym ruchem uniósł karabinek do ramienia. Pięćdziesiąt metrów, na tyle ocenił dystans. Krótkie wymierzenie i zwłoki snajpera gruchnęły o beton.

Kolejny żołnierz, w hełmie z siatką maskującą, próbował przymierzyć się z RPG i jednym granatem posłać połowę z nich do piekła lub raję -- to zależało od woli Allaha.

Major nabrał powietrza, przybierając klasyczną pozycję. Teraz wszystko pójdzie dobrze. Celował w pierś. Huknęło i Syryjczyk poleciał do tyłu. Jeszcze trochę, a zabijanie stanie się jego drugą naturą.

Tymczasem Sznajder i Abbas już dotarli do punktu dowodzenia -- magazyn, szeroko otwarte wrota i cienie miotające się we wszystkie strony. Tej szarzy o mało nie przypłacili życiem, kiedy ze środka wyjechał UAZ na pełnym gazie. Ratowali się, skacząc w bok.

Co najmniej trzech strzelców otworzyło ogień z Kałasznikowów, dziurawiąc karoserię. Przednia szyba rozleciała się w drobny mak. Kierowca stracił panowanie nad kierownicą i uderzył w róg budynku. Któryś z pasażerów próbował opuścić śmiertelną pułapkę, lecz mu się nie udało. Ciało wypadło na zewnątrz, a nogi pozostały w wozie.

Halicki starał się panować nad emocjami. W końcu nie przyjechał na świętą wojnę, ma ubezpieczać, niech więc tak będzie.

Nie przejmując się tym, co działo się na zewnątrz, Artur szturmował magazyn. Łącznościowiec przy radiostacji zamarł w bezruchu, był zbyt przerażony. W końcu przemógł się, unosząc ręce do góry.

Za wolno. Pocisk kalibru 7,62 milimetra uderzył w jego pierś, powodując natychmiastowy zgon. Sznajder gestem wskazał Abbasowi kierunek. Jemeńczyk w lot zrozumiał jego intencje. Gardłowym głosem ponaglił tych, którzy wraz z nim nacierali w szpicy.

Łomot karabinów maszynowych zagłuszył wszelkie inne odgłosy. Jakikolwiek opór zlikwidowano w zarodku. Żywcem pochwycili jedynie jakiegoś tęgiego majora, cała reszta nie była warta nawet splunię-

cia.

Jeżeli ma to być punkt dowodzenia, to srodze się zawiódł. Trochę map i jakieś papierzyska walały się na wielkim stole -- rozkazy do szczebla najwyższej batalionu. Oficerowie też nie jacyś wybitni, raczej drobnica. Nikt z nich nie znał szczegółów ofensywy.

Za dobrych czasów armia syryjska liczyła ponad trzysta tysięcy ludzi, w tym policję, tę tajną, no i jawną. Klan Asadów dobrze się zabezpieczył, stwarzając realne zagrożenie dla pobliskiego Izraela. Po latach wojny domowej wiernych pozostało nie więcej niż osiemdziesiąt tysięcy zmęczonych i walczących bez przekonania żołnierzy. Weterani wyginęli w niezliczonych bitwach i potyczkach. Otyli rezerwiści raczej nie stawiają czoła islamskim bojownikom. Bez wsparcia Iranu i Rosji już dawno nastąpiłby kres tych zmaganiań.

W przeciwieństwie do Sznajdera majora nie interesowała wielka strategia. Wolał skoncentrować się na tym, co tu i teraz. Wraz z Robertem podbiegł do UAZ-a, szarpnął za klamkę, a lufę automatu skierował do wnętrza.

Z przedniego fotela zwisało martwe ciało. To nie interesowało Halickiego, kierowca z roztrzaskaną czaszką również nie, ale już człowiek na tylnej kanapie jak najbardziej.

Złapał delikwenta za kołnierz, wyciągając z terenówki. Mundur rządowy, ale gęba typowo słowiańska.

-- Wyłaź -- warknął.

Dystynkcje wskazywały na podpułkownika, a naszywka na rękawie na specjalizację --czołgista. Z tymi włosami koloru słomy i czerwonym obliczem pasował do Syrii tak jak on.

-- *Kak tiebia zawut?* -- zaryzykował pytanie.

Odpowiedź okazała się szybka. Dobrze, że się na nią przygotował i ślina zamiast po twarzy spłynęła po uniformie.

Galiński, któremu najwyraźniej nikt nie wyjaśnił, jak należy traktować jeńców, wyrznął delikwenta składaną kolbą automatu w pysk i poprawił kopniakiem w żebra.

-- Wystarczy. -- Major powstrzymał kolejne ciosy.

-- A to swołocz! -- Lufa Kałasznikowa niebezpiecznie krążyła przy głowie podpułkownika. -- Mam go...

-- Robert, opanuj się.

-- A co, my nie rozwalamy jeńców?

-- Rozwalamy, ale tak, żeby nikt nie widział. -- Dyskurs prowadzony po polsku sprawił, że tamtemu zmiękła rura.

Na razie Halicki zostawił oficera i pochylił się nad tym, który wypadł z UAZ-a. Obrócił ciało na plecy i przyjrzał się twarzy. Ten również wyglądał na ruska.

-- Adiutant? -- zapytał oficera. -- Dobra, nie musisz mówić. -- Sam sięgnął do kieszeni na jego piersi i wyjął dokumenty. -- Wiktor Andrejewicz Panin -- przeczytał nazwisko z książeczki wojskowej. -- Lat czterdzieści trzy, urodzony w Woroneżu. Pięknie, co my tu mamy... -- Uwagę zwracał starannie zalaminowany kartonik ozdobiony dwugłowym orłem i flagą Federacji. -- Minister Siergiej Szojgu prosi, by każdy

mieszkaniec Syrii pomógł obywatelowi bratniego kraju, gdy ten znajdzie się w kłopotach... No, toś się doigrał. Idziemy.

Obyło się bez poszturchiwania. Panin powędrował w stronę ocienionego magazynu.

Już na pierwszy rzut oka widać było, jak w Sznajderze kipi złość.

-- Popatrz, kogo znaleźliśmy.

-- Doradca?

-- Jeszcze jaki. -- Major wręczył Arturowi papiery.

-- Ty go tak urządziłeś? -- Pytanie dotyczyło otarć na twarzy jeńca.

-- Sam się uderzył. Wiesz, jak jest. Jeden nieostrożny ruch i nieszczęście gotowe.

-- Pyskował?

-- Ani trochę.

Panin poruszył się niespokojnie, zdradzając oznaki paniki. Nie było się czemu dziwić, nikt nie chce wpaść w ręce śmiertelnego wroga, a w jego przypadku tak właśnie się stało. Niekontrolowany dreszcz przebiegł przez plecy Rosjanina mimo panującego upału.

-- Zabijemy drania? -- Galiński zaczął przejawiać niezdrowe podniecenie.

-- Nic tak dramatycznego -- odpowiedział Artur. -- Jak będzie grzeczny, wymienimy go na któregoś z naszych. Taki oficer to skarb. Ruscy narobią w portki, jak się o tym dowiedzą, no, chyba że...

-- Że? -- Galińskiemu zaświeciły się oczy. Posmakował krwi i było mu mało.

-- ...nie będzie chciał współpracować.

Panin oblizał spierzchnięte wargi.

-- Będę.

-- Jesteś rozsądny, Wiktorze.

-- Staram się.

-- Masz rodzinę? -- Choć nie było na to czasu, Artur zabrał się za krótkie przesłuchanie.

-- Żonę i trzy córki.

-- Imponujące. Po coś tu przyjechał? Nie lepiej było siedzieć w domu?

-- Najstarsza, Nadieżda, chce wyjechać na studia do Londynu.

-- Do Londynu, mówisz? -- Sznajder zdziwił się prawie szczerze. -- U was nie ma uniwersytetów?

Podobno moskiewski jest bardzo dobry.

-- Nie tak dobry...

-- Zabrakło rubelków?

Podpułkownik przytaknął.

-- Przywiało cię aż tutaj, no proszę. Przydział?

-- Doradca przy nowej Czternastej Dywizji Piechoty Arabskich Zjednoczonych Sił Zbrojnych.

-- Ilu was tu przyjechało?

-- Nie orientuję się dokładnie, wiem o jakichś dwustu osobach w randze powyżej porucznika.

Robert i Halicki przyjrzeni się Paninowi ciekawie. Dla wywiadu to nieocenione źródło informacji.

Chmura dałby się pokroić za choćby cząstkę wiedzy, jaką dysponował Rosjanin.

Oczy Sznajdera nie wyrażały żadnych uczuć.

-- Wrócimy do tematu. -- Dalsze przebywanie w tym miejscu groziło odcięciem od własnych pozycji.

Ciekawe, co jeszcze wymyśli dla nich Max.

-- A ty zapamiętaj, że ze wszystkich, których spotkasz przez parę kolejnych dni, ja jestem najłagodniejszy.

Kapitana Romana Zarzyckiego zaczynały ponosić nerwy. Wszystko, co się tutaj wyprawiało, przypominało żenienie wody z ogniem.

Zaczął się niewinnie. Kompanię rozpoznawczą przeformowano w batalion, zgodnie z nową strukturą opracowaną przez mądrali ze Sztabu Głównego. Nowa struktura, nowi ludzie, nowe zadania -- tak to chyba sobie wyobrażano. Wszystko pięknie wyglądało na papierze. 12 Brygada należała do tych jednostek w Wojsku Polskim, które jako pierwsze otrzymały kołowe transportery opancerzone typu Rosomak. Zarzycki mógł o tym powiedzieć wiele, nie zawsze jednak w samych superlatywach.

Wyjazdy na misje i poligonowe ćwiczenia doszlifowały ich umiejętności, stali się elitarną formacją, gotową podjąć się najtrudniejszych zadań. Tego, co z takim trudem zrobiono, omal nie spartolono decyzjami polityków czy też innych, którzy maczali w tym palce. Zarzycki wobec Amerykanów żywił sporą sympatię, pod warunkiem że nie panoszyli się w jego jednostce. Już sam skład batalionu zaczynał przygotować kapitana o mocniejsze bicie serca -- jedna kompania na rośkach, dwie na Strykerach.

Kompania to czternaście wozów opancerzonych, u nich dwadzieścia jeden. Tu holowane moździerze M-98, bo ośmiu samobieżnych Raków nie przysłano do tej pory, tam 120 milimetrów w specjalnych pojazdach, u rośków trzydziestomilimetrowa armata, u nich trzy wozy wsparcia ogniowego z działem 105 milimetrów. Gdy się już podliczyło wszystkie lufy, od karabinów maszynowych zaczynając, a na ppk kończąc, wychodziło, że Amerykanie dysponują jakąś czterokrotną przewagą w sile ognia. Jak to wszystko ze sobą pogodzić?

Wybrano możliwie najprostsze rozwiązanie -- pozostawiono polską kompanię, dodając dwie amerykańskie i tworząc, jak się niektórym wydawało, idealne połączenie -- potężna siła ognia broni małokalibrowej z nowoczesną możliwością podejmowania walki z ciężiej opancerzonym przeciwnikiem. Jak widać, logistyka nie zaprzętała myśli decydentów. Zresztą, to nie jego problem. Skoro jankesi byli w tym mistrzami, niech teraz pokażą, co potrafią.

Zastępcą Zarzyckiego został porucznik Jim Taylor. Powiedzieć o nim, że był flegmatyczny, to zdecydowanie za mało -- swoją powolnością doprowadzał kapitana do szału. Na wszystkie pytania odpowiadał wyłącznie nosowym "yes" lub "no", jak na rodowitego mieszkańca Teksasu przystało. O swoim życiu w USA nie mówił wiele. Podobnie jak większość jego kolegów za oceanem zostawił wszystko. Polskiego uczył się systematycznie, lecz powoli. Sporo rozumiał, z mówieniem gorzej. Zupełnie niespodziewanie w armii zaczął się wykształcać nowy język -- specyficzna mieszanina polskiego i angielskiego. Jeżeli ktoś nie znał jakiegoś zwrotu, używał ojczystej mowy. Samemu Zarzyckiemu zdarzało się to coraz częściej. Z początku bał się, że sobie nie poradzi. Co jak co, ale językoznawca z niego żaden. Szybko się przyzwyczał. Nie było tak źle, jak się spodziewał. Wszystko wymagało miesięcy na doszlifowanie.

Rozkaz wyjazdu na Węgry ich zaskoczył. Z doniesień wiedzieli, co się święci. Prawdę mówiąc, nie wyglądało to dobrze. Pomijając całą otoczkę propagandową, na którą obie strony nie szczędziły środków, Grecja i Turcja walczyły ze sobą na śmierć i życie. Ulubieńcem mediów został niejaki Nikos Doxiadis, oficer odznaczony Orderem Honoru -- najwyższym greckim medalem za bezprzykładne męstwo w walce.

Każdy wywiad z nim przyciągał przed telewizory miliony widzów, zwłaszcza pań, na których Nikos robił olbrzymie wrażenie. Ochom i achom nie było końca -- jaki dzielny, jaki mężny, no i oczywiście przystojny. Kraj cierpiał, a on cierpiał wraz z nim.

Zarzyckiemu na widok Doxiadisa cierpła skóra. Powierzchność Greka go drażniła, a jego napuszone przemowy wywoływały swędzenie prawej ręki.

Mimo apeli mało kto śpieszył Atenom z pomocą. Nikt nie chciał narażać się Ankarze. Na froncie właśnie zaczynała się bitwa o Saloniki. Jej wynik prawdopodobnie zadecyduje o dalszym przebiegu wojny.

Wraz z nasileniem się działań Budapeszt coraz natarczywiej nalegał na jak najszybszy przerzut polsko-amerykańskich wojsk. Węgrom pewnie wydawało się, że jak staną nad granicą, to wszystkie ich problemy rozwiążą się same.

Pożyjemy, zobaczymy.

Plac apelowy tętnił życiem. Jednostka znajdowała się przy ulicy -- nomen omen -- Wojska Polskiego, już na przedmieściach Szczecina. Przez lata wykorzystywana była w niewielkim stopniu, obecnie zmieniła się w rojny ul. Budynki koszarowe były w dobrym stanie. Dawało się tu upchnąć pułk wraz z zapleczem. Las tuż za ogrodzeniem i fragment poligonu, przez który mieszkańcy okolicznych osiedli skracali sobie drogę na kąpielisko nad Jeziorem Głębokim, obecnie ogrodzono, ustawiono warty, a każdą niepowołaną osobę odsyłano z powrotem.

Fragment najbliższej jednostki przemieniono w park maszynowy -- Abramsy, Bradleye, Strykery, samobieżne haubice M-109, ciężarowe Oshkoshe, MRAP-y i Humvee. Podobno od przybytku głowa nie boli. Jeżeli tak wyglądały garnizony w pozostałych ośrodkach, to zdjęcia robione przez chińskie i rosyjskie satelity musiały budzić trwogę.

-- Jim, pozwól -- kapitan przywołał zastępcę doglądającego wozy drugiego plutonu pierwszej kompanii.

Taylor, którego twarz nosiła ślady po oparzeniach, zjawił się niemal natychmiast.

-- Widzisz tamtych? -- Zarzycki wskazał na dziesięcioosobową drużynę pętającą przy Strykerach trzeciej kompanii. -- Znasz ich? Co to za jedni?

-- Przyjechali dziś rano.

-- Dlaczego ja nic o tym nie wiem? -- Krew w żyłach kapitana się zagotowała.

Na uzupełnienia nie wyglądali, cały batalion posiadał pełne stany.

Właściwie ten problem go nie dotyczył, on dowodził pierwszą kompanią, jankesi dwiema pozostałymi. Nad całością stał major Piskorski. Ten powinien coś wiedzieć. Jeżeli nie on, to szef sztabu batalionu. W ogóle co to jest? Ciągłe rozszarady rozwalają skompletowane grupy.

Trochę od niechcienia, a trochę wiedziony własną ciekawością skierował się w tamtą stronę.

Żołnierze formacji zmotoryzowanych to może nie wzór cnót wszelakich, ale dyscyplina nie była im obca. Ci zaś zachowywali się wyzywająco. W ciągu godziny wyruszą do odległej o jakiś tysiąc kilometrów granicy węgiersko-serbskiej, a wyglądali, jakby wybierali się na piknik -- oporządzenie w nieładzie, bluzy niedopięte, papierosy i pogaduchy. Tylko broń trzymali na podorędziu. Biali, Latynosi i jeden Afroamerykanin śmiali się z dowcipu opowiedzianego przez kumpla.

Widok Zarzyckiego i Taylora wcale ich nie zmieszał. Umilkli, przyglądając się im jak jakimś egzotycznym zwierzętom w zoo.

-- Kto tu dowodzi? -- wycedził Zarzycki z właściwą sobie upierdliwością.

-- Ja -- odpowiedział po chwili wysoki starszy sierżant, trochę za stary jak na funkcję, którą pełnił.

Jak się domyślił, facet był zawodowym podoficerem.

-- Co za ja? -- Słowa Zarzyckiego cięły jak skalpel.

Tamten nie przestał uśmiechać się wyzywająco.

-- Sierżant Thomas Cook, sir.

-- To pańscy podwładni?

-- Tak.

-- To dlaczego wyglądają na bandę szympanсів w okresie rui? Pan zna regulamin?

-- Oczywiście.

-- Poruczniku -- zwrócił się do Taylora stojącego krok za nim -- proszę spisać sierżanta i tych... ludzi.

Gwarantuję, że odpowiedni raport jeszcze dziś dotrze na biurko majora Piskorskiego.

Jeżeli słowa kapitana zrobiły na nich wrażenie, to nie dali tego po sobie poznać. Stali tak samo jak przedtem, nie przejmując się tym, co mówi.

-- Jakiś problem, sierżancie?

-- Absolutnie nie.

-- Proszę się zbierać, wyjazd już niedługo.

-- Wszystkiego dopilnuję, sir.

Zarzyckiemu nie podobał się żaden z nich. Była w nich jakaś buta i arogancja, i tylko karabinki M4 wydawały się zdolne do użytku. Wyglądali na weteranów otrząskanych w walce, ale do wizji jednostki wypracowanej przez kapitana nie pasowali zupełnie.

Zapamięta sobie każde słowo, jakie tu padło. Nic nie powie Sandersonowi, to w końcu jego problem. Wtrącanie się w sprawy kolegi nie uważał za właściwe. Jak przyjdzie odpowiednia pora, pogada z kim trzeba.

-- Panie kapitanie...

-- No co tam, Jim?

-- Ten sierżant...

-- Co z nim?

-- Tak sobie pomyślałem...

-- Nie myśl, tylko powiedz.

-- Thomas Cook to taka firma turystyczna. Przy okazji organizują wyprawy w niebezpieczne rejony świata, przynajmniej organizowali. Wie pan, o co chodzi -- wycieczki do Czarnobyła czy po fawelach Rio.

-- A co to ma wspólnego z tym sierżantem?

-- Wyglądał na takiego, który odwiedził wszystkie te miejsca.

Zarzycki nic nie odpowiedział. Jeżeli zrobił z siebie wała, to nie należało teraz drążyć tematu. Znaj-

dzie jeszcze sposób, by dobrać się sukinsynom do dupy.

Generał Sulejman Dżabbar z trudem wyprostował przygarbione plecy. Z wiekiem pewne rzeczy przychodziły mu z trudem. Trochę pobolewało pod lewą łopatką, a prawe kolano łupało na zmianę pogody. Po parodniowej nieprzerwanej obecności w Ministerstwie Obrony kazał się zawieźć do rezydencji, w której zamieszkał.

Ponieważ zbliżała się pora wieczornej modlitwy, wyciągnął dywanik i zwrócił się w kierunku Mekki. Zmówił modlitwę i złożył przewidziane pokłony. Również dziesięć minut później zaufani ochroniarze Dżabbara wprowadzili do jego gabinetu Mohammada.

Uściskali się niczym rodzeni bracia.

-- Przynoszę pozdrowienia od przyjaciół.

Dżabbarowi zrobiło się cieplej na sercu. Takiego wsparcia potrzebował.

-- Czym zasłużyłem na ten zaszczyt?

-- Przecież wiesz.

Przez parę następnych minut rozmawiali o tym, co zaszło w ostatnich dniach. Nie przewidzieli jednego -- oporu Greków. Hurraoptymistyczne plany okazały się nierealne. Ateny nie poddały się po dniu ani dwóch, decydujące starcie wydawało się być wciąż przed nimi. Siły powietrzne i morskie uganiały się po całym akwenie Morza Egejskiego, nie potrafiąc zadać ostatecznego ciosu. Po Kurdach, Ormianach i przybyszach ze Wschodu do niezadowolonych mogą przyłączyć się sami Turcy myślący odmiennymi kategoriami, a tych nie brakowało. Tylko przykład może wskazać wszystkim błędzącym właściwą drogę. Nie raz tak bywało. Ojciec narodu Atatürk był najbardziej wymownym wzorem. W ciągu stu lat przeszli drogę od upadku do przez nikogo niekwestionowanej potęgi. Nie zaprzepaszczą dziedzictwa przodków. Pewnych spraw jednak nie należało przyspieszać -- te rozwiążą się same. Taką była kwestia Syrii. Czy Asad upadnie czy nie, ogień wojny trzeba tam podsycać nieustannie, osłabiając Rosjan i Irańczyków. Im więcej krwi im upuszczą, tym lepiej. Niewierni i szyici muszą znać swoje miejsce.

Za religijnych heretyków zabiorą się w następnej kolejności. Od kiedy Teheran przestał być izolowany, a USA zdjęły embargo, Irańczyków wszędzie zrobiło się pełno. Panoszą się w Iraku i Jemenie.

Saudowie i koalicja, którą zawiązali, nie mogą sobie z nimi poradzić. Walki toczyły się ze zmiennym szczęściem. Raz przeważały szyickie psy huti, a raz lojaliści, wierni obalonemu prezydentowi Abd Rabuhowi Mansurowi Hadiemu.

Dżabbar nie był wielkim zwolennikiem Saudów, królewski ród rządzący Arabią Saudyjską mierzył każdego, kto zachował choć odrobinę zdrowego rozsądku. Na szczęście ich czas powoli się kończył. Bez wsparcia Waszyngtonu, a właściwie ich potężnego rynku zbytu na surowce, zasilającego budżet państwa i prywatne konta monarchy, nic nie znaczyli. Inwestycje w Stanach Zjednoczonych, jakie wcześniej poczynili w oczekiwaniu na czarną godzinę, były obecnie warte mniej niż zero. Wydobycie należało zmniejszyć. Stało się coś, czego nikt się do niedawna nie spodziewał -- zabrakło konsumentów.

Upadł transport, a obywatele krajów europejskich pilnie liczyli każdego centa w kieszeni. Wojna grecko-turecka trochę napędziła koniunkturę, ale na dłuższą metę nie było o czym mówić.

-- Nie przybyłem tu, by prawić ci komplementy. -- Mohammad przestał kontemplować otoczenie i

skupił się na czekającej go rozmowie. -- Może pora zacząć wprowadzać naszych braci w struktury administracyjne i wojskowe? Kiedyś musimy zrobić pierwszy krok. Wydaje się, że to doskonały moment. -- Nie do końca był pewny, jak Dżabbar zareaguje. To w końcu on stał na czele państwa, a nikt nie lubi, jak ktoś wtrąca się do rządu, nawet jeżeli tym kimś jest sam kalif.

Z drugiej strony, podobna okazja może się szybko nie powtórzyć. Im więcej myślących tak jak oni stanie na czele władz, od prowincjonalnych po centralne, nie wyłączając wojska i policji, tym łatwiej będzie przemodelować Turcję na państwo podległe woli Najwyższego.

Nie było się co oszukiwać -- Turcja przez dziesięciolecia funkcjonowania jako tak zwane świeckie państwo zeszła z właściwej drogi. Aż dziw, że Allah nie odwrócił od niej swojego oblicza. Lewica, ba, sami bezbożni komuniści posiadali tu silne wpływy. Nacjonalizm był dobry, ale jedynie wówczas, gdy dawało się go wykorzystać do osiągnięcia doraźnych celów. Nie wszyscy muzułmanie należący kiedyś do Imperium Osmańskiego lub nawet ci wywodzący się od tureckich koczowników od razu muszą bić czołem przed Abu Bakrem al-Baghdadim. Może na początek idea panturkizmu okaże się bardziej uniwersalna? Na szczegóły przyjdzie jeszcze czas, ale by do tego doszło, należało się przygotować. Pierwszym ruchem było przejście przez Dżabbara pełni władzy, następny należało wykonać właśnie teraz. Im więcej stanowisk opanują, tym łatwiej będzie w przyszłości.

Tu właśnie Mohammad przewidywał problemy. Jeżeli Dżabbar zasmakował władzy, może nie chce się nią podzielić. Kto by zresztą chciał?

-- Uważasz, że to dobra pora?

-- Nie wszystko stanie się od razu, musimy działać powoli i rozważnie. Na początek proponuję zastąpić ministrów sprawiedliwości i finansów. Ci dwaj wykazują daleko posuniętą samodzielność w wypowiedziach, nie zawsze zgodną z linią rządu. Poza tym to zausznicy prezydenta.

-- Sam to zauważyłem.

-- To znaczy, że stałeś się rasowym politykiem -- roześmiał się Mohammad.

-- Jakieś propozycje?

-- Nawet parę, sam wybierzesz odpowiednich kandydatów. Musicie rozumieć się w pół słowa.

-- Co później?

-- Wiesz, że jestem twoim przyjacielem, ja mogę jedynie doradzać, odpowiednie decyzje podejmiesz sam.

-- Nie o to pytałem.

-- Grecy to jeden z frontów tej wojny.

-- Mam wam pomóc w Syrii?

-- Bez pośpiechu. -- Mohammad podniósł uspokajająco dłoń do góry. -- W Syrii radzimy sobie sami. Bracia proszą o nowe dostawy uzbrojenia, zwłaszcza przeciwlotniczego i przeciwpancernego. Ja wiem, że jest z tym problem. Spróbujemy to obejść. Katar i Zjednoczone Emiraty niech się bardziej przyłożą do sprawy. Kłopot w tym, że niektóre źródła wyschły. Z Ameryki nie dostaniemy już ani jednego karabinu. Rynek broni szybko przejęli Rosjanie, Chińczycy i Ukraińcy. Francja i Włochy też starają się dotrzymać tamtego kroku. Jak zapewne się orientujesz, broń pochodząca z pierwszych trzech krajów nie jest tak do-

bra, jak ta ze Stanów i reszty Europy.

-- To nie jest kwestia broni, tylko tych, którzy się nią posługują -- odparł Dżabbar.

-- Dobrze, nie będę się sprzeczał. Fakt pozostaje faktem, od miesiąca realizowane są jedynie wcześniejsze umowy. Wychodzi na to, że państwa, które do niedawna same handlowały bronią, wyprzedając, co się dało, obecnie same zaczęły się zbroić.

-- Ameryce nie pomógł najpotężniejszy arsenał.

-- Zgadza się, taka była wola Najwyższego. Wydawali się najpotężniejsi na całym globie, a szczęśli w parę tygodni. -- Mohammad sprawiał wrażenie ucieszonego. -- Resztę sił, jaka im pozostała, rozproszyli.

-- I tak, i nie, przyjacielu. -- Tym razem to generał zaskoczył rozmówcę. -- Może sam kraj znikł, ale nie jego potęga. Jest bardziej utajniona i przez to niewidoczna, co nie znaczy, że mniej niebezpieczna.

-- Parę samolotów...

-- To błędne myślenie. Nie o to chodzi, oni znaleźli sobie nowe przyczółki.

Mohammad wpatrywał się w generała z zainteresowaniem.

-- Pierwszy to Izrael. -- Generał nienawidził Żydów jak każdy muzułmanin, przeklinał ich każdego dnia, a ich państwo wciąż trwało na przekór modłom i złorzeczeniom. -- Drugi to środkowa Europa, głównie Polska. Mój wywiad donosi o przerzucie sporych sił na Węgry.

-- Dlaczego nie do Grecji?

-- Tego nie wiem. Mogę się tylko domyślać. -- Generał wzruszył ramionami. -- Nie znamy wszystkich szczegółów. Oficjalnie to już nie są siły zbrojne USA, tylko Polski, a ta poszerza swoją strefę wpływów.

-- Musimy się ich bać?

-- Bez przesady. Tak daleko na południe się nie wybierają.

Mohammad nie wiedział, co o tym sądzić, umysł wciąż zaprzętały mu myśli o dostawach nowoczesnej broni dla rebelii w Syrii i Iraku. Samymi Kałasznikowami nie pokonają czołgów. Tu potrzeba skutecznych granatników. W tym właśnie kłopot. Na wolnym rynku sporo dawało się kupić, z funduszami też nie było kłopotów. Najlepsze kaski wrywano sobie z rąk. Kogo było stać, zapełniał arsenał. Niepewne czasy, o których wszyscy rozprawiali, właśnie nadeszły. Paradoksalnie sytuacja, zamiast im sprzyjać, psuła szyki. Ostatecznie, jakieś tam zapasy posiadali.

Troską napawały go słowa Dżabbara. Jeżeli mówił prawdę, czeka ich jeszcze wiele wysiłku. Izrael to osobny temat do rozmów. Ale takim krajem jak Polska w światowym dżihadzie nikt się nie przejmował. Niewiele wiadano o jego istnieniu, nie mówiąc o tym, gdzie leży.

Wychodzi na to, że jankesi są cwańsi, niż przewidywali, lub też Polacy ograli wszystkich i zebrali całą pulę. O zaistniałym problemie wspomni, gdzie trzeba.

-- Mówiłeś o wielu frontach. -- Generał przywołał przerwany wątek.

-- Im więcej pożarów rozniecimy, tym większy sukces osiągniemy. Rosja, Kaukaz i te wszystkie kraje pomiędzy Morzem Kaspijskim a Chinami, które stanowią nasze dziedzictwo... -- mówił z zapałem, choć bał się, że sam zgorzeje w ogniu, który próbował rozniecić.

-- Kto to ma zrobić? -- rozsądnie zapytał generał.

-- Szare Wilki nadają się idealnie.

Gromko się roześmiali. Tureccy nacjonaliści skupieni w szeregach organizacji będącej ni to partią polityczną, ni to gangiem, ni mafią, aż przebierali nogami z niecierpliwości, chcąc przywrócić krajowi należne mu miejsce. Nienawidzili każdego, kto miał odmienne poglądy. Niczym nie różnili się w tym względzie od dżihadystów. Każdy Kurd, lewak i nie-Turek był śmieciem, którego należało zlikwidować.

Strzelali do dziennikarzy, obrońców praw człowieka i prawników. Najślawniejszy z nich podniósł rękę na papieża. Doskonale zorganizowani potrafili rozbić dowolny wiec oponentów politycznych.

Wystarczy wskazać im cel, a zrobią wszystko, aby go osiągnąć.

-- Zorganizuj z nich pomocnicze siły policji -- poradził Mohammad. -- Niech wyjdą z ukrycia, daj pieniądze, pozwól pojechać na Krym, do Azerbejdżanu i dalej.

-- Nie będą chcieli współpracować.

-- Mylisz się, złapią haczyk. Jak im przetrzepią skórę, wrócą z krzykiem, a niczego innego nie potrzebujemy.

-- To nacjonaliści.

-- Właśnie dlatego nikt nie będzie ich z nami wiązał. Nie bój się, za nimi pójda bojownicy.

Właśnie o tym marzyli od lat. Plany wielkiej religijnej rewolty zaprzętały ich myśli. Gdy przyszła pora realizacji, jeden czuł radość i podniecenie, a drugi -- wyłącznie znużenie.

Każda wojna męczy, nawet ta prowadzona w gabinetowym zaciszu.

Sen nie przyniósł ukojenia. Prawdę mówiąc, te parę chwil przekimanych w kącie wydawało się mordegą, a nie odpoczynkiem. Skądś wytrzaśnięto zapas amunicji do działka Omara. Chłopak miał zdrowie. Od czterdziestu ośmiu godzin nie schodził z posterunku i wciąż mu było mało. Niewielu dawało sobie radę tak jak on.

Napięcie z czasem przechodziło w znużenie, a ono z kolei w niebezpieczną apatię. Organizm słabiej reagował na bodźce -- atak, kontratak, działa i moździerz. Raz zdobytego kwartału nie oddawali bez walki. Godzinę później, obawiając się okrążenia, cofali się na tyły. I tylko jednego Halicki nie potrafił zrozumieć -- po jaką cholere walczyć o tę czy inną kupę gruzu?

Cywilów nie uświadczało się prawie wcale. Czasami drogę przecięła im jakaś postać podobna do ducha, obojętna na wszystko, co działo się wokoło. Bywało, że ojciec szukał syna albo dzieciaki myszkowały, próbując znaleźć coś do jedzenia. Ilekroć obserwował takie sytuacje, czuł do siebie obrzydzenie. Zgoda, i bez niego ci ludzie strzelaliby do siebie, ale on tu był, widział i w tym uczestniczył. Jak na Bałkanach łapał zbrodniarza, to wiedział, że czyni dobrze, nie demolował przy okazji połowy miasta. A tu? Nienawidził Baszara w takim samym stopniu jak islamistów. Tu nikt nie walczył o dobro czy sprawiedliwość, a nurzał się we krwi dla własnej korzyści lub zbawienia. Allah, jeżeli na to patrzył, na pewno płakał krwawymi łzami, widząc, co jego dzieci uczyniły z tym kawałkiem ziemi.

Postawił wodę na kuchence gazowej. Nim się zagotowała, przyszedł Galiński i zabrał go na linię frontu. Bez niego nie mogli się obyć. W pewnym momencie major, Sznajder i Abbas zaczęli być postrzegani jako sztab, na którego czele stał Wickfield. Rozkazy wydawane przez któregoś z nich automatycznie stawały się poleceniami samego Maxa, których nikt nie próbował podważyć.

Może i bojownicy wywoływali w nim obrzydzenie, ale zaczął się z nimi identyfikować. Poznał ich z imienia i kraju pochodzenia, przejmował się, kiedy któryś oberwał, a nad poległymi odmawiał modlitwę.

Inaczej się nie dało. Co więcej, zaczynał przejmować ich sposób myślenia. Już nie dziwił się Arturowi, że wśród nich znalazł swój dom.

-- Niech pan popatrzy. -- Robert przyciągnął majora do rozbitego okna i pokazał palcem, o co chodzi.

Halicki ostrożnie się wychylił. Spodziewał się czołgu, a dostrzegł Szyłkę, czyli pojazd uzbrojony w cztery sprzężone działka kalibru 23 milimetrów, przeznaczone do zwalczania celów powietrznych. Jak pokazywały działania wojenne, wóz sprawdzał się równie dobrze w charakterze pojazdu szturmowego. Serie rozbiły każdą obronę. Najwyraźniej Syryjczycy wzięli się na sposób lub też postanowili spróbować czegoś nowego.

-- Biegnij do Maxa i powiedz, co widziałeś.

Chłopak zmył się od razu.

Szyłka to nie czołg, pancerz ma cieńszy, choć siłę ognia potężną. Jeden granat z RPG rozwaliał bestię na kawałki. Problem w tym, że nie dysponowali już żadną bronią przeciwpancerną. Nawet do działka Omara pozostało tylko parę sztuk pocisków.

Wickfield, blady i ponury, zjawił się trzy minuty później.

-- Co robią?

-- To samo, co my. Czekają.

-- Masz jakiś pomysł?

Halicki się skrzywił. Z wojskowego punktu widzenia czekała ich kęska, a to gruzowisko mogło stać się dla nich grobem. Nie miał na to ochoty, ale powiedzieć angolowi, że mają uciekać, także nie chciał. Poprowadzić wypad, wesprzeć obronę -- jak najbardziej. Decyzja, czy trwać, czy się zmyć, należała jednak do Maxa.

Dowodzenie to przywilej i brzemię.

-- Zbierz wszystkich, będziemy się przebijać.

Niesamowite, Wickfield odpuścił.

-- Jasne.

-- Za dziesięć minut wyruszamy. -- Anglik odwrócił się na pięcie i już go nie było. Zimny sukinsyn. Ależ go nie cierpiał. Całą postawą zdawał się mówić: ja jestem tu szefem, a wy nic nieznaczącymi robotnikami. Trudno, niech więc i tak będzie.

Z dwustu pozostało ich osiemdziesięciu, reszta zginęła bądź rozproszyła się wcześniej. Pięciu najciężej rannym dano granaty, rozerwą się nimi, kiedy żołnierze podejną bliżej.

Max sprawnie podzielił resztę -- on na czele, środek poprowadzi Abbas pilnujący Panina, ubezpieczają Sznajder i Halicki.

Rozeszli się na boki, zajmując dogodne pozycje. W centrum znalazł się Omar za kierownicą furgonetki. Miejsce strzelca zajął Galiński. Major modlił się w duchu, by młodemu nerwy nie puściły. Została ostatnia taśma, liczył się każdy pocisk.

Plutony przycisnęły się w oczekiwaniu na sygnał. Wickfield zwlekał, Halicki się niecierpliwił. Przed nimi rozciągało się morze ruin, jedynie środkiem przechodził w miarę oczyszczony kanion ulicy.

Uderzyć mieli na wąskim odcinku, tak aby od razu przełamać obronę. Nikt nie wiedział, czego się spodziewać. Jeżeli atak rozbije się o przygotowane pozycje Syryjczyków, to po nich. Zginą marnie i nikt po nich nie zapłaci. A może uda się wejść jak nóż w masło i porazić wrogów samym swoim widokiem?

W końcu Anglik ruszył pierwszy. Omar uruchomił silnik i furgonetka potoczyła się naprzód, omijając gruz i większe sterty śmieci.

Początek był dobry, nie rozległ się ani jeden strzał, gdy sforsowali pierwszą ulicę. Szyłka pozostała z tyłu, trochę na prawo. Jej załoga jak na razie wyłącznie obserwowała, co się dzieje. Oby tak dalej.

Minęło pół minuty, później minuta, i w końcu rozpętało się pandemonium. Strzał snajpera dosięgnął Hakima w momencie, gdy ten dojeżdżał do skrzyżowania. Samochód stanął w miejscu, a ciało Omara zastępnie nieruchomo.

Galiński nie namyślał się wiele. Rozbłysk, jakieś sto pięćdziesiąt metrów dalej z płaskiego dachu niezniszczonego wieżowca, wskazywał na stanowisko strzeleckie. Następna kula trafi w niego.

Dobrze, że ustawił się bokiem. Zakręcił korbą, nacisnął nożny spust, działko podskoczyło. Pociski w ciężkim stalowym płaszczu poszybowały w dal.

Omara zastąpił jeden z bojowników i furgon ruszył, skręcając w lewo. Halicki, znajdujący się jakieś czterdzieści metrów od tamtego miejsca, ruszył biegiem. Odezwały się karabiny maszynowe Syryjczy-

ków. Silnik furgonetki zgasł, a człowiek za kierownicą nie potrafił sobie z nim poradzić. W końcu motor zaskoczył. Odjechał, nie przejmując się tymi, którzy nie nadążali.

-- Prędeż! -- Dodawał otuchy sobie i biegnącym wokół wozu.

Gdzieś z tyłu zagrał kolejny silnik. Dowódca cholерnej Szyłki się obudził. Jak objedzie kwartał, ustawi się dokładnie za ich plecami.

Gnali na wyścigi, nie zważając na świszczące w powietrzu kule. Wskoczyli na jakąś pryzmę i zbiegli po przeciwnej stronie. Instruktor z akademii byłby z niego dumny. Zupełnie niedawno myślał o sobie, że kompletnie zardzewiał, a tu proszę, śmiga jak członek reprezentacji w międzynarodowych zawodach. Jeden z biegnących obok padł. Wystarczył rzut oka w jego kierunku, by wiedzieć, że jest martwy. Dalej. Nie ma się nad czym zastanawiać. Wystrzelają ich tu jak kaczki.

Minęli bojownika obficie krwawiącego z rozerwanej tętnicy udowej. Jemu też nie można już było pomóc. Ktoś zaczął odstawać, inny oberwał w ramię, ale desperacko biegł dalej. Może i przyjechał tu umrzeć za wiarę, ale czy musiało się to stać właśnie na tej ulicy?

To, co rozpoczęło się dziesięć sekund później, omal nie przyprawiło Halickiego o atak serca. Wszystko dookoła niego zaczęło zmieniać się w czerwone obłoczki. Kule kalibru 23 milimetrów, normalnie służące do strącania śmigłowców lub nisko lecących samolotów, przemieniały ciała w coś na kształt krwawej papki. Urywały głowy i kończyny, a w tułowiach robiły dziury, w które można było włożyć rękę na wylot.

-- Kryć się! -- Padł jak długi na twardy beton i na czworakach zaczął szukać ukrycia. Z tych, którzy biegli wraz z nim, ocalała połowa, i to też wyłącznie cudem. Dojrzał wyłom w murze, wystarczył jeden skok, by się tam znaleźć. Obrócił się w momencie, gdy któryś z dżihadystów próbował wykonać ten sam manewr. Halicki widział wszystko dokładnie -- w ułamku sekundy z żywego człowieka pozostał krwawy strzęp, głowa odleciała jak po odrąbaniu katowskim toporem.

Kropelki krwi zbryzgały majora.

Wzdrygnął się.

-- Żyjesz?

Nigdy wcześniej aż tak nie ucieszył się na widok Artura.

-- Wykończą nas. -- Bliskość spotkania ze śmiercią nie odebrała Halickiemu zdolności logicznego rozumowania.

-- Niekoniecznie -- powiedział Sznajder, lecz na wszelki wypadek odsunął się dalej od wyrwy w murze. -- Zbieraj się.

Pobiegli jakąś płataniną korytarzy i otworów powybijanych w ścianach, które nie zawsze prowadziły wzdłuż ulicy. Poruszali się w szarym półmroku zamkniętej przestrzeni, by po chwili znaleźć się w oślepiającym świetle dnia.

Działka Szyłki wciąż grzmiały, a oni to podrywali się, to szukali ukrycia. Śmiertelna ciuciubabka trwała w najlepsze.

Po paru minutach kluczenia wydostali się z labiryntu. Byli tak zmęczeni, że ledwo trzymali się na nogach. Powoli przecięli szkolne boisko i wyszli w bocznym zaułku.

-- Do dupy z taką wojną -- wysapał Halicki, opierając się plecami o resztki jakiegoś filaru. -- Normalnie to miałbym do dyspozycji artylerię, transportery, a być może i wsparcie powietrzne. Widziałeś, co się stało z tymi biedakami? Rozerwało ich na strzępy.

Sznajder dyszał ciężko.

-- To nie wojna, tylko rzeźnia.

-- Od kiedy tak się przejmujesz?

-- Co?

-- Pytałem... od kiedy zacząłeś się przejmować tymi, którzy walczą w szeregach ISIS?

-- Ja się przejmuję?

-- Tak jakby.

-- Pierdol się.

Odgłosy potyczki zaczęły dochodzić z prawej strony. W tej płataninie uliczek i przejść trudno było się odnaleźć. Jeżeli jeszcze nie było tu Syryjczyków, to zaraz się zjawią. Rzecz pewniejsza od rządowych obligacji.

Zaułek kończył się dwadzieścia metrów dalej, dochodząc do o wiele szerszej przelotówki.

Podskakującą na wybojach furgonetkę dostrzegli chwilę później. Robertowi ubranie lepiło się do ciała. Żył, choć wyglądał jak zombie. Smugi brudu znaczyły mu twarz. Wystrzelał całą amunicję, działko stało się balastem.

Abbas przytruchtał tuż za nimi. Panin ze związanymi rękami i powrozem na szyi wydawał się bliski zawału. Nie takich atrakcji spodziewał się po wizycie w bratniej Syrii. Jedynie angola nigdzie nie było. Przez głowę majora przebiegła pokrzepiająca myśl, że być może pewien problem rozwiązał się sam.

-- Widział ktoś Maxa?

Wielu dopiero teraz dostrzegło brak dowódcy.

-- Zdaje się, że ten przykry obowiązek spadnie na twoje barki -- powiedział do Sznajdera.

-- Takiś pewny? -- Wyraz twarzy Artura nie zmienił się ani o jotę, kiedy wskazywał głową nadchodzącego Anglika.

Obsypany pyłem, z krwawiącą raną na czole kojarzył się majorowi z arabskim dzinem, którego ktoś przez przypadek wypuścił z butelki.

Nie powiedział, gdzie był i co robił, w ogóle nic nie powiedział. Skinął głową i ruszyli w dalszą drogę.

Sierżant Salman al-Bilawi nigdy w życiu nie czuł się tak podniecony jak dziś. Morderczy szał, w jaki wpadł, był skutkiem wiadomości, którą otrzymał od przyjaciół z rodzinnej wioski Al-Bab.

Trzy dni temu jeden z oddziałów Państwa Islamskiego wkroczył do osady. Usłudni konfidenci natychmiast wskazali dom zamieszkały przez czternastoosobową rodzinę al-Bilawiego. Skoro na nim nie udało im się zemścić, pokrętna sprawiedliwość tych zwyrodnialców dosięgła bezbronnych -- ojca i braci ukrzyżowano, kobietom obcięto dłonie i stopy i tak pozostawiono. Nie przepuścili nikomu, nawet naj-

młodszej czteroletniej Fatimie.

Bicie głową w mur nic nie pomogło. Jedynie na polu bitwy, jak mu się wydawało, znajdzie ukojenie.

Nic bardziej błędnego. Dążąc do konfrontacji za wszelką cenę, Salman al-Bilawi przestał się liczyć z realiami. Radio wyłączył. Żaden porucznik nie będzie go wzywał do powrotu na własne linie. Przy najmniej nie w tej chwili. Celowniczego, kaprała Hazima, potraktował z buta, i to dosłownie.

Gdy z powodu ciasnoty udało mu się to jedynie połowicznie, wyciągnął pistolet i przystawił do głowy towarzysza. Od tamtej pory już żaden z członków załogi nie próbował z nim dyskutować. Z furiatem nikt się jeszcze nie dogadał.

Ich ZSU-23-4 zasypywało ogniem pozycje islamistów, torując drogę oddziałom piechoty. Robili to tak doskonale, że w końcu stracili z nimi kontakt. Prawdziwą radość sprawiło sierżantowi osaczenie grupy dżihadystów uciekającej na widok działa. Rozstrzelał ich z ogromną przyjemnością. Niedobitki gdzieś tu się kryły. Ilu ich mogło zostać -- dziesięciu, piętnastu? Nie więcej. Śmierzące tchórze, tak palili się do walki, niech więc posmakują ognia piekielnego.

Ponieważ automatyczna armata umożliwiała strzelanie w płaszczyźnie pionowej od -4 do +85 stopni, nie było problemów z ustawieniem działek tak, by trafić w każdy zamierzony punkt, obojętnie czy chodziło o piwnicę, czy też o górne piętra wieżowca. Efekt za każdym razem zdumiewał. Z wroga pozostawały wióry.

Kierowca, bogobojny głupek z nadmorskiej prowincji Latakia, rozjechał ciała leżące na asfalcie. Nawet nimi nie zatrzęśło. Później zmyje się ludzką miazgę z gąsienic wodą pod ciśnieniem.

-- Szybciej!

Pojazd wspiął się na wrak rozbitej osobówki. Al-Bilawi przywarł do peryskopu. Gdzie podziały się te parszywe gnidy? Zawsze miał ich za szczury. Jak widać, nie mylił się.

Jakaś sylwetka mignęła na lewo od nich i od razu jakby zapadła się pod ziemię.

-- Gaz!

Pojechali szybciej. Maksymalna prędkość czterdziestu czterech kilometrów na godzinę nie wydawała się oszałamiająca, ale wóz był już mocno zajeżdżony i w normalnych warunkach wyciągał najwyżej trzydziestkę. Tego, że wjadą w rozwaloną rudere, nie spodziewał się nikt. Kierowca źle obliczył zakręt, próbując wyminąć wypaloną ciężarówkę, i nim zdołał wcisnąć hamulec, uderzyli prawym błotnikiem w ceglana ścianę. Posypało się na nich trochę gruzu, a silnik zgasł momentalnie. Gorszego obrotu wydarzeń nie można było sobie wyobrazić.

-- Odpalaj! -- Salman darł się na całego.

Kierowca raz za razem włączał rozrusznik.

-- Urwę ci łeb, durniu!

-- Robię, co mogę.

Groźba nie odniosła żadnego skutku. Wieża zaklinowała się, a oni zostali uwięzieni w pułapce.

-- Słyszeliście? -- Abbas węszył z głową uniesioną do góry. Rumor dochodził z miejsca, z którego

przed chwilą przybiegli.

Majorowi co prawda słuch nie dopisywał tak jak dawniej, ale wyobraźnia pracowała doskonale.

-- Parszywa Szyłka.

-- Sprawdźmy? -- zasugerował Galiński.

Obrócili się w stronę byłego komandosa SAS, któremu drapieżny uśmiech wykrzywił usta.

Zawrócili i ruszyli pędem, na miejscu pozostawiając Abbasa z Paninem na postronku. Halicki sadził długimi susami. Jakież było jego zdziwienie, kiedy dojrzał samobieżny zestaw zakleszczony w murze.

Mimo unieruchomienia wciąż był groźny. Chciał okrzykiem powstrzymać ten pęd ku zatraceniu, lecz się opanował. Należało wykończyć tych sukinsynów za wszelką cenę. Pognał dalej, nie oglądając się już na nic.

Dostęp do górnych włazów był utrudniony. Najpierw musiał zrzucić sporej wielkości betonową bryłę. Zaparł się nogami i pchnął, jednak bez widocznego efektu.

-- W drugą stronę -- zakomenderował.

Galiński znalazł się przy nim i wspólnymi siłami pozbyli się ciężaru. Teraz granaty. Z karbowanego jaja wyciągnął zawleczkę. Nim cisnął je do środka, właz uniósł się na parę centymetrów. Dojrzał głowę w hełmofonie i pistolet. Trafi go, zanim granat detonuje.

Pierwszy ocknął się Robert, wsunął automat w szczelinę i wywalił co najmniej pół magazynka.

Halicki nie zastanawiał się ani chwili dłużej. Cisnął granat w ślad za osuwającym się ciałem i ciągnąc młodego, zeskoczył z pancierza. Stłumiony odgłos wybuchu rozległ się, gdy już znaleźli się na dole. To, zdaje się, wszystko w temacie. Prześladowający ich pojazd został zniszczony, a załoga unieszkodliwiona.

Sukces dodał im otuchy. Co prawda nie wyrwali się z Aleppo, ale najtrudniejszy odcinek mieli za sobą.

Przez następną godzinę natykali się jedynie na miejscowych i nieliczne patrole przeciwnika, które kosił bez litości. Można było odnieść wrażenie, że siły rządowe doszły do kresu swoich możliwości. Wściekły poranny szturm był już wspomnieniem. Atakując z taką furią jak wcześniej, rozgnietliby ich jak robaki. Najważniejsze, że przetrwali. Nim dojdzie do kolejnej konfrontacji, wzmocnią się, a wtedy wszystko zacznie się na nowo.

Od samego rana telewizja trąbiła tylko o jednym -- Grecy przejęli inicjatywę i zaatakowali międzynarodowe lotnisko Atatürka w Stambule. F-16 przedarły się przez szczelną obronę i rozniosły w pył znajdujące się tam maszyny, niszcząc przy okazji hangary i terminale. Znamienny był fakt, że do tej pory głosu nie zabrał rzecznik tureckiego Ministerstwa Obrony, w przeciwieństwie do swojego greckiego kolegi, który na wizji wyglądał tak, jakby to on sam dokonał tego nieprawdopodobnego wyczynu. Uśmiechy słane na prawo i lewo, podziękowania i wyrazy wdzięczności, zapewnienia o niezłomnej woli narodu wylewały się z jego ust nieustającą strugą.

Wstępne szacunki jak zwykle okazały się przesadzone, to nie parę eskadr Falconów nadleciało nad miasto, a jedynie kilka maszyn. Szkody oczywiście były, ale też nie aż tak duże. Bardziej liczył się wymiar propagandowy. O wiele groźniejszym skutkiem nalotów była walka powietrzna, do jakiej doszło nad wielką aglomeracją. Postronny obywatel widział jedynie smugi na niebie. Wszystko odbywało się przerażająco szybko -- rakiety latające z prędkością około jednego macha, uniki, zwroty i najbardziej efektowne wyrzucanie flar cieplnych. Na zabudowania spadło w sumie pięć odrzutowców, trzy greckie i dwa tureckie. Zginął jeden Grek, pozostałym pilotom udało się wyjść z opresji bez szwanku. Takiego faktu nie mieli ci, na których domy runęło płonące żelastwo. Liczba ofiar przekroczyła czterdziestkę. Wiele osób, ciężko poparzonych, przebywało w szpitalach. Ich stan określano jako krytyczny. Z paru miejsc nad Stambułem unosił się dym. Najbardziej ucierpiała dzielnica Mahmutbey, w której uszkodzony F-16 uderzył w pełen interesantów budynek lokalnej administracji.

Generał Emil Banach liczył się z takim obrotem sprawy. Grecy, chcąc sobie powetować frontowe porażki, musieli zdobyć się na propagandowy sukces. Co wymyślili, to i wykonali. Cios okazał się celny, a wizerunek Turcji jako militarnej potęgi został nadszarpnięty. Całkiem prawdopodobne, że Ankarą odpowie podobnie efektownym zagranem.

Banach nie potrafił do końca zrozumieć intencji Ankary. O co tak naprawdę chodziło Turkom? Na oficjalnych spotkaniach turecki attaché zapewniał o przyjaźni. I faktycznie, tak znakomitych stosunków nie mieli nigdy wcześniej. Wymieniali informacje wojskowe w interesującym obie strony zakresie (głównie chodziło o ruchy wojsk na terenie Federacji Rosyjskiej) oraz te dotyczące prawdopodobnych skutków epidemii, która dosięgła kontynent północnoamerykański. Wszystko, co działo się na północ od Rio Grande, było tak samo ważne, jak wojenne przygotowania Moskwy. Wiązał się z tym jednak jeden poważny problem -- tam już nie działo się nic istotnego, o ile nie liczyć kompletnego rozprężenia.

Żadna siła nie sklei ponownie Stanów Zjednoczonych w jedno mocarstwo.

Było za wcześnie na prognozy, ale wydawało się, że USA podzieli się na kilka mniejszych kraików. Rejony mniej dotknięte katastrofą -- środkowy wschód, północ przy wielkich jeziorach, Dakota i stan Waszyngton, przy w miarę licznej populacji za jakiś czas mogą odrodzić się jako samodzielne terytoria.

Jak na razie jedno nie ulegało wątpliwości -- do żadnej informacji nadchodzącej zza wielkiej wody nie należało przywiązywać większej wagi. Na ogół były to plotki i konfabulacje wymyślone na poczekaniu. Wywiad, oparty na osobowym źródle informacji, zamarł, pozostały satelity, do których nie każdy posiadał dostęp.

Hawaje, gdzie znalazła się dotychczasowa administracja, zmieniły się w gniazdo os. Wzajemnym pretensjom nie było końca. Ci, którzy cało wynieśli głowy, oskarżali prezydenta i Federalną Agencję Zarządzania Kryzysowego o wszystko, nawet o celowe wywołanie epidemii. Absurd takiego myślenia, widoczny dla każdego racjonalnie myślącego obywatela, jakoś nie trapił oponentów. Wybory planowano przeprowadzić do końca roku. Przesłuchano wszystkich, którzy cokolwiek wiedzieli o sprawie. Paranoja powoli zżerała fundamenty.

Generał dobrze się orientował, czego tak naprawdę się obawiano. Powtórki.

Zaraza w Honolulu oznaczała definitywny koniec. Skoro, mając do dyspozycji zasoby całego kraju, nie potrafiono sobie z nią poradzić, tym bardziej nie będzie to możliwe tutaj. Niektórzy już wyjeżdżali -- wyspy pacyficzne oferowały gościnę każdemu, kto był w stanie zapłacić. Przez obozy przejściowe w Nowej Zelandii i Australii przechodzili nieliczni. Procedury ciągnęły się w nieskończoność. Najłatwiej było wyjechać przez Papuę-Nową Gwineę. Popularna zrobiła się Republika Południowej Afryki i Madagaskar. Tam przynajmniej istniała jakaś szansa na normalne życie. Ci, którzy pozostali w kraju, skazani byli na wegetację. Bezpieczne enklawy, takie jak Boston czy Colorado Springs, nie dopuszczały nowych przesiedleńców bliżej niż na pięćdziesiąt metrów od granicy, którą same ustanowiły. Prawomyślni obywatele z AR-15 i kałuszami pilnowali porządku. Poza nawias trafiał każdy, kto choć raz złamał literę prawa. Narkoman, złodziej, członek gangu -- w ciągu sześciu godzin byli wydaleni. Selekcją zajmowały się komisje złożone z powszechnie szanowanych obywateli.

Zdaniem Banacha szanse takiej społeczności na przetrwanie dłużej niż rok można było określić jako pół na pół. Okres konsolidacji potrwa długo i nie wszyscy przejdą przez niego pomyślnie.

Jak do tej pory nie potrafiono rozsądnie wytłumaczyć, co też tak naprawdę się stało. Tropy się rwały, a sprawcy pozostawali bezkarni, podobnie jak ci odpowiedzialni za katastrofy lotnicze. W tej sprawie też dreptali w miejscu i nic nie wskazywało na to, że szybko ją wyjaśnią. Jak się zdawało, tamte wydarzenia mało kogo obecnie interesowały, schodząc na drugi plan. Niewielu o nich pamiętało.

Kogo obchodzi jakiś wypadek lotniczy, kiedy pod oknem siedzi kilkudziesięciu uchodźców, którzy wchodzą w obejście i demolują okolicę. Liczby nie kłamały -- co tydzień od piętnastu do osiemnastu tysięcy nowych uciekinierów szturmowało granice Europy. Przedmieścia Paryża, Hagi czy Marsylii oczekiwały na znak do dżihadu. Tysiący młodych ludzi nikt nie powstrzyma przed destruktorynymi aktami przemocy. Zbierając wszystkie swoje siły, tę rebelię jeszcze stłumią, ale w przewlekłej wojnie na wyniszczenie skazani są na klęskę.

Jeszcze się nie urodził taki mądry, co by wiedział, jak postąpić. Deportować oznacza skazać na śmierć, nie deportować -- to skazać własny kraj na niekontrolowany zalew muzułmanów, dla których liczyło się jedno -- rozpieprzyć cały ten system w drobny mak. Islamistów nie interesowały państwa jako takie, pod władzą kalifa należało zebrać wszelkie ziemie, które niegdyś znajdowały się pod władzą muzułmanów.

Z rozmyślań wyrwało Banacha dopiero łagodne hamowanie. Kierowca zatrzymał samochód przed wejściem do nowo wybudowanego Instytutu Wysokich Technologii, znajdującego się na przedmieściach Warszawy w kierunku na Konstancin-Jeziorną.

Niewielu miało pojęcie o istnieniu placówki. Banach nie widział potrzeby jej reklamowania. Ot, znaleźli wolny teren i zagospodarowali. Przy wjeździe tabliczka, że znajduje się on w gestii Ministerstwa Przemysłu.

Strażnik w bramie, drugi przy recepcji w holu, pracowników też niezbyt wielu.

Na spotkanie z generałem wyszedł szef instytutu, profesor Oskar Borzęcki, mężczyzna w sile wieku, z długimi siwymi włosami opadającymi na ramiona. Mający metr osiemdziesiąt i postawną sylwetkę, kojarzył się z emerytowanym surferem, a nie naukowcem z całkiem pokaźnym dorobkiem.

Z Banachem znali się od lat, co więcej, chodzili do tej samej szkoły, choć do różnych klas. Banach wstąpił do armii, a Borzęcki wybrał karierę naukową. Specjalizował się w konstrukcjach lotniczych, a właściwie w ich napędach. Normalny silnik odrzutowy nie wzbudzał w nim entuzjazmu. Jako zdeklarowany ekolog widział nieraz brunatne smugi pozostawione w przestworzach przez boeingi czy airbusy. Zdaniem Borzęckiego należało zrobić krok w przód i dać ludzkości kolejny wynalazek.

-- W nocy nie zmrużyłem oka. -- Emil podał koledze rękę i dla podkreślenia własnych słów potarł nasadę nosa.

-- Aż takie zrobiłem wrażenie? -- Oskar tryskał dobrym humorem. W rozpiętym laboratoryjnym kitlu, z plakietką przyczepioną do kieszeni błękitnej koszuli i byle jak zawiązanym krawatem prowadził Banacha szerokim korytarzem w kierunku wind.

-- Nie ty, Oskarze. Wybacz, mam tyle na głowie.

-- Kłopoty? -- Naukowiec wcisnął guzik, poczekał, aż rozsuwane drzwi rozjadą się na boki, przepuścił generała przed siebie i postąpił w krok za nim.

-- Nie mniejsze niż zwykle.

Wolał nie podejmować tematu, wiele spraw toczyło się własną koleją, ale były też takie, które doprowadzały go do rozpacz. Grupa wysłana do Syrii nie dawała znaku życia i pewnie już nie da. Tak po prawdzie, to nie był rozsądny pomysł. Zasugerował się tym, co mówił kapitan Chmura, jak się okazało, zupełnie niepotrzebnie. Stracił dwóch niezłych oficerów i informatora. Co prawda dostali sporą samodzielność przy wykonywaniu misji, ale nie zakładał tak szybkiej utraty kontaktu.

Kolejny, zdawało się, nierozwiązywalny problem, to niechęć wielu amerykańskich oficerów do służenia w nowych jednostkach. Niektórzy w krytyce posuwali się za daleko. Jeżeli nie wystarczała zwykła rozmowa ostrzegawcza, należało pozbyć się ich, zwalniając z wojska. Potrzebowali ludzi, na których mogli liczyć, a nie krytykantów. Jeżeli się nie podoba, droga wolna, odprawa i bilet do Londynu, czy gdzie tam dany osobnik chciał się udać, i żegnamy.

Rozmawiał o tym z Clarkiem, uzyskując od niego pełne poparcie. Jeremy chciał specjalnej komisji do weryfikowania tego rodzaju przypadków, ale Banach go powstrzymał. Takie sprawy należało załatwiać po cichu.

-- Powiedz lepiej, do czego jestem ci potrzebny? -- zapytał Emil, gdy znaleźli się głęboko w trzewiach budynku, kilka pięter poniżej ulicy. Tu strażę były już umundurowane i uzbrojone w pistolety maszynowe. Sale laboratoryjne znajdowały się po obu stronach korytarza.

-- Witamy w polskiej Strefie Pięćdziesiąt Jeden.

Dowcip Oskara sprawił, że Banach się uśmiechnął.

-- Imponujące. -- Próbował zajrzeć do jednej z sal, lecz Borzęcki pociągnął go dalej. Dojrzał jedynie rząd komputerów i urządzenie wyglądające na skrzyżowanie ręcznego miotacza ognia z zestawem optycznym.

-- Co to jest?

-- Lasery. Nic interesującego.

-- Lasery? -- Generał stanął jak wryty. -- Chcesz powiedzieć, że można uzbroić żołnierza w taki ręczny zestaw i wysłać na pole bitwy? Muszę to zobaczyć.

-- Tracisz czas.

Banach cofnął się o parę kroków.

-- Stój, nie masz ochraniaczy na oczy. Chcesz, żeby ci wypaliło spojówki?

Ostrzeżenie Borzęckiego przyszło w samą porę. Dopiero teraz zwrócił uwagę, że wszyscy przebywający w pomieszczeniu chronią wzrok specjalnymi okularami, do złudzenia przypominającymi te spawalnicze.

-- Będą strzelać?

-- Nie wiem -- odpowiedział Oskar. -- Widzisz tamtego łysielca? To docent Rychter, wyjątkowo drażliwy facet, ale... -- zastrzegł od razu -- wybitny specjalista. Ma do pomocy doktor Collins i paru innych. Jak się zapewne domyślasz, gadają takim slangiem, że niekiedy i ja mam kłopot ze zrozumieniem.

-- Posłuchaj, Oskar. -- Generał jak urzeczony wpatrywał się w urządzenie. -- To naprawdę działa?

-- Naprawdę. Jak już uporają się z systemem zasilania i kalibracji, na pewno powiemy, co osiągnęliśmy, bo jak na razie jest to mało ekonomiczne i nadaje się co najwyżej do instalacji na pojazdach lub samolotach.

-- A kiedy będzie gotowe?

-- Emil, to nauki ścisłe. Jak będą, to będą. Idziemy.

Już na korytarzu nad głową Banacha przeleciał dron wielkości piłki do ping-ponga.

-- Oskar, przyznaj się, macie tu gdzieś ukrytego kosmitę i wykonujecie na nim doświadczenia naukowe?

-- Lepiej.

Borzęcki tryskał taką pewnością siebie, że Banach nie śmiał zapytać, jaka jest prawda.

Przeszklone laboratorium na samym końcu korytarza było prawdziwą dumą profesora. Zespół, którym kierował, składał się z co najmniej dwudziestu osób obojga płci w wieku od trzydziestu do siedemdziesięciu lat. Część z nich dyskutowała zawzięcie, wymieniając uwagi, reszta pracowicie stuknęła w klawiatury komputerów i tylko jeden młody człowiek w dzinsach i wyblakłym podkoszulku z podobizną Marilyn Monroe drzemał w fotelu.

-- Pozwalasz na spanie w pracy?

-- To Sebastian.

-- Nie o to pytałem.

-- Tak jak Rychter jest specjalistą od laserów, zajmuje się półprzewodnikami.

-- I pewnie jest kolejnym chodzącym geniuszem? -- Banach miał wielką ochotę podejść bliżej i palnąć śpiącego w czerep.

Nim zdążył to zrobić, Sebastian poderwał się na równe nogi i na sporej wielkości arkuszu brystolu zaczął zapisywać wzory matematyczne.

-- Półprzewodniki, kur... -- Na pewno nie wyjdzie stąd normalny. Kolejne pół godziny w towarzystwie tych dziwolągów i oszaleje.

Obiecał, że po południu zjawi się w Gdyni. Tam też chciano olśnić generała jakimś wynalazkiem, podobno rewelacyjnym. Chodziło ponoć o wykorzystanie zjawiska kawitacji do napędu torped. Taki podwodny pocisk poruszałby się w powietrznej bańce, osiągając prędkość od ośmiuset do tysiąca kilometrów na godzinę. Przed czymś takim nie ujdzie żaden okręt.

Jakim cudem w tak krótkim czasie dokonano takiego postępu? To co dopiero działo się w prawdziwej Strefie 51? Może te pogłoski o kosmitach wcale nie były przesadzone?

Borzęcki zaciągnął Emila do zamkniętego pomieszczenia. Na oko nic takiego -- trochę aparatury, stół, na nim urządzenie wielkości tosterka.

-- Patrz.

Oskar podszedł do urządzenia przypominającego mikser w studiach nagrań i zaczął przy nim manipulować. Na razie nic się nie działo. Banach schował więc ręce do kieszeni i rozejrzał się za wolnym krzesłem.

-- Słuchaj, nie mam ochoty na zabawę, o dwunastej spotykam się z ministrem Walewskim, a wiesz, jaki on jest zasadniczy.

-- Dlaczego nie patrzysz?

-- Na co? -- Banach odwrócił się i spojrzał na stół. "Toster" lewitował.

-- To mi chciałeś pokazać? -- Ziewnął. -- Sztuczka jak sztuczka.

-- Podejdź bliżej.

Emil zrobił parę kroków. Oprócz cichego buczenia, dobiegającego z wnętrza urządzenia, żaden inny dźwięk nie mącił ciszy.

-- Super.

-- Przyjrzyj się dokładnie.

Aparat nie posiadał rotorów ani dysz, po prostu unosił się jakieś trzydzieści centymetrów nad blatem i nieznacznie kołysał na boki. Wyciągnął palec i trącił urządzenie, które odchyliło się i po chwili wróciło na swoje miejsce.

-- Jak to zrobiłeś? -- Zainteresował się.

-- Antymateria.

-- Nie jestem fizykiem, mów po ludzku.

-- Cząsteczki elementarne, ale o przeciwnym znaku ładunku elektrycznego.

-- Cytujesz Wikipedię?

-- Do tej pory udawało się ją wytworzyć jedynie w akceleratorze.

-- Zmniejszyłeś Wielki Zderzacz Hadronów? -- W głowie Banacha tłukły się fragmenty prasowych ar-

tykułów, ale o co dokładnie chodziło, nie wiedział.

-- Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę z tego, że reprezentowało nas tam spore grono naukowców.

-- I gdzie oni teraz są?

-- Część tu, część wciąż tam. Zainwestowaliśmy w parę pomysłów, jakie przywieźli, i oto efekty. To, co widzisz, stanowi pierwszy krok do praktycznego wykorzystania cząsteczek antimaterii.

-- Czekać, czekać, do czego tego można użyć?

-- W medycynie na przykład, w terapii onkologicznej, w energetyce, tam pasuje idealnie, czysta energia, zero odpadów, i oczywiście do podróży.

-- Samolotem?

-- Też można, jak się uprzesz -- niewyraźnie odpowiedział Borzęcki. -- Ale głównie do rakiet. Nie masz pojęcia, jaką potęgę trzymasz w ręku.

-- Właśnie widzę.

Banach natychmiast pomyślał o zastosowaniu militarnym.

Pocisk manewrujący z napędem z antimaterii i taką głowicą byłby zdolny dotrzeć na przeciwległy kraniec globu i unicestwić przeciwnika.

-- Jaką to ma siłę?

-- Jeden kilogram rozpieprzy pół kraju -- z dumą odpowiedział Oskar.

-- Powoli, nie szalej. -- Jak zawsze, gdy Banach zaczynał się ekscytować, jego myśli rozpędały się jak szalone. -- Chcesz powiedzieć, że wystarczy kilogram?

-- Tak to wygląda.

-- I ty wiesz, jak to pozyskać?

-- Wyobraź sobie, że polskim naukowcom, tym biednym i niedofinansowanym, czasami też coś się udaje zdziałać. -- Borzęcki wyłączył aparaturę i "toster" powoli osiadł na stole.

-- Ile osób o tym wie?

-- Razem z tobą jakieś dwadzieścia pięć. -- Naukowiec podwinął rękawy, bo w sali zrobiło się naprawdę ciepło. Banach nie wiedział, czy przypadkiem nie jest to efekt uboczny eksperymentu. Wentylatory zaczęły pracować pełną parą.

Być może należało przenieść zespół do osobnego ośrodka, z dala od warszawskiej aglomeracji.

Kilka takich miejsc już istniało, wszystkie w centralnej Polsce. Dziwnym trafem podobnych instytucji nie lokowano blisko granicy. Jak trzeba będzie, wyasygnuje się odpowiednie środki. Co znaczy te kilkaset milionów złotych przy możliwościach, jakich dostarczał zespół Borzęckiego.

-- Jak rozumiem, o ewentualnych zastosowaniach możemy mówić już teraz.

-- O zastosowaniach jak najbardziej, ale zanim przejdziemy do możliwości praktycznych, upłyną lata.

Entuzjazm Banacha osłabł.

-- Mówiąc o latach, jaki okres masz na myśli?

-- Nie mniej niż pięć, i to tylko pod warunkiem, że będziemy rozwiązywać wszelkie problemy na oczekaniu.

-- Pięć? A jak powiem o dwóch?

-- Nierealne.

-- Obawiam się, że wszystko i tak rozstrzygnie się szybciej.

-- Teraz to ja zapytam: kiedy?

-- Pół roku, może rok.

-- Choćbyś nawet nie wiem jak się starał, pewnych procesów nie przyspieszysz. -- Profesor wydawał się zasmucony.

Hitler też oczekiwał cudownej broni. Spóźnił się niewiele, bo jak wskazują znawcy tematu, najwyżej parę tygodni, może miesięcy. Akurat to nie miało większego znaczenia, zagłada przyszła wcześniej i historia potoczyła się zupełnie inaczej.

-- Aha, byłbym zapomniał. -- Borzęcki zatrzymał się, przepuszczając generała w drzwiach laboratorium. -- Koledzy z sekcji obok proszą o udostępnienie poligonu.

-- Zobaczę, co się da zrobić.

-- Im nie chodzi o byle poligon.

-- Rozumiem, wybierają się na grilla, a przy okazji chcą postrzelać.

-- Jak zawsze trywializujesz.

W sali ogólnej wszystko wyglądało jak przed dziesięcioma minutami, jedni gadali, drudzy pracowali, a Sebastian, jak się wydawało, zapadł w kolejną drzemkę.

-- Ci twoi kumple to czym się zajmują? -- zapytał Banach, nie chcąc pozostawić po sobie złego wrażenia.

-- Działem elektromagnetycznym. Chcą przetestować próbny model.

-- Drawsko może być?

-- Za małe.

-- A skąd ja ci wezmę większe?

Oszaleje z tymi jajogłowymi.

Na świecie istniały i istnieją najróżniejsze służby bezpieczeństwa. To instytucja równie stara jak samo państwo. Generalnie są po to, by chronić obywateli przed nimi samymi, a jeśli od czasu do czasu uda się złapać prawdziwego zamachowca, sypią się ordery i awanse.

Wróg jako taki nie jest potrzebny, pod to określenie daje się podciągnąć wszystko i wszystkich, którym nie po drodze z ekipą trzymającą się koryta. Czy szefowie NKWD, pacyfikującego miasta, wsie i sioła, zastanawiali się, ilu spośród rozstrzelanych jest winnych?

Oczywiście, że nie, wykonywali jedynie normę, którą wyznaczono na Kremlu. Podobnie było ze służbami Chin i Korei Północnej. Tam odbywało to się według zasady: lepiej rozstrzelać stu niewinnych, niż przepuścić jednemu winnemu. Tak też działo się w Iranie, Iraku, Syrii, Egipcie, Brazylii, Meksyku, Maroku... Wyliczać można by długo. Jedynie służby zachodnie zachowywały umiar, choć i o nich trudno było powiedzieć, że to ludzie miłujący pokój. I Francuzi, i Amerykanie ręce mieli unurzane we krwi po łokcie.

AMNI.

O organizacji wiedzieli nieliczni, a wielu powątpiewało w jej istnienie. Te cztery litery oznaczały tyle, co bezpieczeństwo. W myśl pokrętej logiki pomysłodawców chodziło o bezpieczeństwo, ale tylko nielicznej, uprzywilejowanej grupy wybrańców. Reszta była podejrzana.

Hamid al-Hamadani jako jeden z nielicznych wiedział, jaka jest prawda. To właśnie on odpowiadał za stworzenie tej tajemniczej struktury, odpowiedzialnej za wywiad, kontrwywiad i zamachy, do których dochodziło w bliższych lub dalszych częściach globu.

Z czasem zajął się wyłącznie tym. Organizację zamachów w Iraku i Syrii przejęli dowódcy odpowiedzialni za konkretne odcinki frontu, wraz z amirem koordynującym zamachy samobójcze. Mimo kontroli nad znacznymi obszarami obu państw w Iraku i Syrii panowały odmienne warunki. Podziału dokonano więc już na samym początku, aby poszczególne "ministerstwa" nie wchodziły sobie w drogę.

Operacje wojskowe to oczywiście domena Ministerstwa Wojny. W Syrii prowadził je Abu Omar asz-Sziszani, Czeczen z wężowu Pankisi, bohater wojny z Rosją z 2008 roku, usunięty z armii z powodu gruźlicy. Gdy już się wyleczył, nie przyjęto go z powrotem. Dla kalifatu był prawdziwym darem niebios. Ten błyskotliwy strateg roznosił w pył wojska Baszara al-Asada, gdziekolwiek się pojawił. W Iraku funkcję naczelnego wodza dzierżył Ali Kliffa, dawny amir wydziału zamachów samobójczych.

W każdym z pozostałych ministerstw (sprawiedliwości, finansów, propagandy, spraw wojskowych, oświaty i zdrowia) było podobnie. To swoiste zdublowanie usprawniało zarządzanie.

AMNI broniła kalifatu tak samo jak armia, infiltrując własne wsie i miasta oraz te pozostające na terenie przeciwnika, co ułatwić miało późniejsze przejęcie ich z rąk wroga. Nie tylko eliminowano wszystkich wrogów, potencjalnych i domniemych, ale także prowadzono subtelne gry wywiadowcze, sugerując istnienie na terytorium Państwa Islamskiego ruchu oporu. Każdy wywiad nabierze się na coś takiego, skoro ilość informacji napływających z terytorium kalifatu była doprawdy znikoma.

Poza eliminacją wrogów zewnętrznych al-Hamadani zajmował się właśnie taką subtelną działalnością.

W pewnym momencie dla amira stało się jasne, że tej wojny nie wygrają, mając wkoło samych prze-

ciwników. Należało zatem wymyślić sposób na przetrwanie. Efekt przerósł jego najśmielsze oczekiwania, przerażając do pewnego stopnia samego Hamida.

Zyskali drugi oddech. Bomby koalicji nie sypały się na nich nieustannym gradem. Mogli przegrupować siły, przygotowując się do przyjęcia kolejnego ciosu albo wyprowadzając własny. Nie należało tego ukrywać, tylko ekspansja daje szansę na przetrwanie. Bagdad i Damaszek na pierwszy ogień, potem Amman w Jordanii, przeniknięcie do Strefy Gazy oraz Libanu. Początek wydawał się obiecujący. Nie przewidzieli determinacji Asada i wspierających go Rosjan oraz Irańczyków. Wyparcie z Aleppo to jeszcze nie klęska, ale wyraźny znak. Baszar, któremu z regularnych oddziałów wierna pozostała Gwardia Republikańska, siły specjalne, 4 Dywizja Pancerna oraz zbieranina ociężałych rekrutów i bandy alafickich odszczępieńców, wciąż nie ustępował.

Al-Hamadani przyglądał brodę, niecierpliwiąc się czekaniem. Pewne nawyki pozostały. Ani on, ani żaden z pozostałych amirów nie tknie telefonu. Dzień, w którym popełniłby ten błąd, byłby jego ostatnim. Nasłuch elektroniczny, już nie amerykański, tylko izraelski i rosyjski, wciąż działał. W takim przypadku łatwo stać się celem dla samonaprowadzających rakiet. Za przepływ informacji pomiędzy poszczególnymi dowódcami odpowiedzialna była poczta. Kurierzy w ciągu paru godzin potrafili dotrzeć z jednego krańca państwa na drugi. Na spotkania wybierano ustronne wioski.

Można powiedzieć, że paranoja kierowała wszystkimi ich poczynaniami.

Amir niepokoił się, a nie było ku temu powodów, choć ludzie, z którymi miał się spotkać, nie wzbudzali jego zaufania. Jeżeli byli sojusznikami, to był to sojusz lwa z hieną. Należało przełknąć własną dumę, biorąc za dobrą monetę wszystko, co mówili. Potrzebowali siebie nawzajem i jeszcze długo się to nie zmieni.

Nikt nie spodziewał się luksusów, ale tak spartańskich warunków również nie. Majorowi przypomiała się unitarka -- trzydziestu chłopów skupionych na małej przestrzeni, jeden kibelek i jeden prysznic. Wieczorem, po ćwiczeniach, smród był nie do wytrzymania.

Tu wszystko wyglądało podobnie, tylko brakowało prysznic. Wodę czerpano ze studni. Jak chciałeś się umyć, należało poprosić kogoś o pomoc. Przynajmniej praniem zajmowały się tutejsze kobiety.

Po bitwie o Aleppo zostali wycofani z frontu. Wtedy też otrzymali pierwszy żołd -- pięćset dolarów dla każdego. Kalifat zapewniał regularne wypłaty. Może to i niewiele, ale zawsze. Dostali czyste uniformy i pomoc medyczną. Ta troska zadziwiała. Wydawało się, że są mięsem armatnim, a jednak potrafiono o nich zadbać. Zaaranżowano nawet jedno małżeństwo. Podkomendnemu Abbasa pozwolono ożenić się z mieszkanką wioski.

Zdaniem Halickiego panna młoda nie miała więcej niż czternaście lat i nadawała się do małżeństwa jak on do lotów kosmicznych. Galiński był bardziej wyrozumiały. Jak szybko wytłumaczył zainteresowanym, tradycja zezwalała na takie postępowanie. On nie będzie wnikał. Niech się dzieje, co chce.

Major czyścił właśnie karabinek, kiedy spostrzegł nadjeżdżającego zakurzonego mercedesa. Samochód toczył się powoli przez środek osady i w końcu się zatrzymał. Ze środka wysiadł kierowca i otwo-

rzył maskę.

Kłęb pary uniósł się ku górze. Mężczyzna kopnął koło. Złość się w nim gotowała. Dojrzał Halickiego i ruszył w jego kierunku, pasażerów pozostawiając w wozie.

-- *As salam alejkum.*

Major skinął przyjaźnie głową. Jego arabski kończył się na paru ogólnych zwrotach.

-- Robert, pozwól na chwilę.

Galiński w rozpiętej koszuli wynurzył się z wnętrza glinianej chaty.

-- Gadaj z nim. -- Wskazał na przybysza.

Padły grzecznościowe zwroty, później przeszli do meritum sprawy.

-- Mówi, że chce pożyczyć samochód.

-- Pożyczyć?

-- Tak powiedział. Jak będzie wracał, odbierze ten złom.

-- A kim on jest?

-- Kurierem.

Halicki wstał. Słyszał o nich. Przemykali przez tereny kalifatu z prędkością biegnącej gazeli.

-- Niech gada ze Sznajderem, ja tu niewiele mogę.

Robert i mężczyzna odeszli, a on przyjrzał się mercedesowi. Wóz jak wóz, ważniejsi są pasażerowie.

Dwóch typków na tylnej kanapie siedziało, jakby im w tyłki wepchnięto kije od szczotek.

Żałosne kreatury.

Złożył automat, wciągnął buty, normalne sportowe podróbki adidasów, i rozejrzał się. Artur właśnie rozmawiał z kurierem. Od kiedy Wickfield pojechał cholera wie gdzie, na Sznajdera spadła większość obowiązków związanych z administrowaniem bazą, o ile te parę chałup dawało się nazwać czymś takim.

Kilkanaście metrów dalej Galiński przysłuchiwał się rozmowie. Facet wiózł jakieś szyszki na spotkanie, nie powiedział tylko z kim. Miał papiery. Artur przejrzał je i zwrócił.

-- Robert.

-- Tak?

-- Weźmiesz toyotę, zrobisz objazd do tej wioski, z której wczoraj braliśmy prowiant. Odstawisz tam tych fagasów. Chcę wiedzieć, z kim się spotkali. Jasne?

-- Jasne.

-- I uważaj, oczy dookoła głowy. Nie wiemy, co to za jedni.

Z rozmowy toczonej po polsku kurier nic nie rozumiał, wodząc zdezorientowanym spojrzeniem od jednego do drugiego.

Galińskiemu nie trzeba było dwa razy powtarzać. Dopiął koszulę i ruszył w kierunku pick-upa.

Przekręcił kluczyk w stacyjce i silnik zaskoczył od razu. Ruszył powoli, podjeżdżając do mercedesa.

-- Ja sam. -- Arab próbował włączyć się na miejsce kierowcy.

-- Zapomnij.

-- Wysiadaj. -- Szarpnięcie za klamkę i próba wyciągnięcia Roberta na zewnątrz sprawiła, że ten przytrzymał się kierownicy.

-- Albo jedziesz ze mną, albo drałujesz na piechotę. Wybieraj.

Kurier spojrział na tani elektroniczny zegarek. Po minie widać było, że jest niespokojny.

-- Zapłacisz mi za to -- warknął.

Pasażerom nie pozostało nic innego, jak przesiąść się do nowego środka lokomocji. Galiński przyjrzał się typom w lusterku. Ci dwaj na pewno nie należeli do żadnej nacji zamieszkującej Bliski Wschód. Azjaci, bez wątpienia, tylko raczej z tej odleglejszej części. Przypominali Japończyków, ale mógł się mylić. Chińczycy? A jeżeli tak, to z Chin kontynentalnych czy z Tajwanu? Może Wietnamczycy? Co tu robili?

Każdy świadomy ochotnik wstępował w szeregi ISIS tylko w jednym celu -- umrzeć za wiarę. By spełnić ten warunek, przez pierwszy miesiąc przechodził szkolenie -- składanie i rozkładanie broni, jej konserwacja, podstawy taktyki, zaprawa fizyczna. Później trafiał do szeregu. Im udało się przeskoczyć ten etap tylko dlatego, że zaistniały szczególne warunki. Dla pozostałych, o ile nie posiadali przygotowania, szkolenie było obowiązkiem. Trafiały się oczywiście odstępstwa. Informatycy przecież nie będą bić się na pierwszej linii. Oni też walczyli, ale na froncie walki ideologicznej.

Galiński ominął olbrzymi lej na drodze, efekt jednego z wcześniejszych bombardowań, i skierował się na południe. To nawet nie była droga, bardziej ścieżka dla wielbłądów. Samochodem kołysało. Każdy trzymał się tego, co tam miał pod ręką. Starał się nie przyśpieszać, raczej zwalniał. Monotonia usypiała. Wnętrze samochodu spowijał kokon ciszy. Normalnie z głośników leciałyby płomienne przemowy, pieśni rozgrzewające do boju, w ostateczności arabski folk.

Na ostatnim odcinku dodał gazu, co spotkało się z aprobatą pasażerów. Coś tam sobie pomruczeli pod nosem i na tym się skończyło.

Domy w osadzie wyglądały lichy. Białe-szare ściany niewiele różniły się kolorem od otaczających wieś niskich pagórków. Parę rachitycznych akacji dopełniało widoku. Dzieciaki przeganiały stado kóz, pokrzykując wesoło.

Zatrzymali się przy najbardziej okazałej chacie.

-- Czekać -- usłyszał polecenie. I tak nie miał zamiaru się nigdzie ruszać. Dostrzegł kilku ludzi, wyglądających na ochroniarzy. Stali tu i tam, przyglądając się terenówce.

Pasażerowie i kurier wysiedli. Nim znikli w zacienionym wnętrzu, przed dom wyszedł starzec w brązowej szacie i turbanie na głowie. Galiński widział go pierwszy raz.

Przez moment korciło go, żeby wysiąść i pokręcić się po okolicy, lecz szybko został spacyfikowany. Jeden z ochroniarzy wskazał mu miejsce do zaparkowania tuż przy ścianie znajdującego się w pobliżu obejścia.

Dziurawy koc, rozciągnięty na palach, chronił przed zwiadem powietrznym. Dostał wody i gorący podpłomyk. Nasycił głód. Rozłożył siedzenie i zasnął.

Zbudził się trzy godziny później z niejasnym przeczuciem, że ominęło go coś ważnego. Starł z twarzy resztki snu i dopił wodę. Narada prawdopodobnie już się zakończyła.

Wysiadł i rozprostował kości. Chyba go nie rozstrzelają. Otworzył drzwi przed nadchodzącymi Azjatami, prowadzącymi konwersację w swoim języku.

Studiując orientalistykę, przyswoił parę dialektów, ale ten nie był podobny do niczego, co znał.

Łapał pojedyncze słowa z mandaryńskiego i kantońskiego, japońskie zwroty i wyrażenia z dari i hindu. W końcu spłynęło na niego olśnienie. Zaciśnął zęby tak mocno, że o mało nie odłupał sobie koronki w lewej górnej szóstce. Pochylił głowę. Wdepnął w większe gówna, niż się spodziewał. Jeżeli kurier trzymał mordę zamkniętą na kłódkę, to nic się nie stanie, wróci cało i powie o wszystkim majorowi.

Potem się zobaczy.

-- Długo ich nie ma. -- Halicki palił papierosa, którym został poczęstowany.

W przeciwieństwie do niego Artur zachowywał większy spokój. Z jego twarzy trudno było wyczytać, czy się przejmuje, czy też ma wszystko w nosie.

-- Poradzi sobie -- powiedział w końcu.

-- Nie jestem tego taki pewien.

-- Miał poprowadzić samochód, a nie czołg. Ta wiocha jest stąd jakieś... bo ja wiem, dziesięć kilometrów.

-- Już dawno powinni obrócić. -- Major nie odpuszczał. -- Kurier mógł go podkablować.

-- Mógł podkablować ciebie, mnie i wszystkich jak leci.

Od strony kwater nadchodził, kuśtykając, François. Z powodu rany nie brał udziału w boju o Aleppo, pętając się gdzieś na tyłach i pojawiając we wsi mniej więcej w tym samym czasie co oni.

-- Ufasz mu? -- zapytał Artur, wskazując krępego Belga.

-- Bardziej niż tobie -- odparł Halicki.

Lubił Françoisa. Może to jeszcze nie była przyjaźń, ale blisko. W przeciwieństwie do Sznajdera, wpadającego w okresy dłuższego przygnębienia, Belg zawsze wydawał się zadowolony, nigdy też nie udawał, że zjadł wszelkie rozumy.

-- Gdzie zgubiliście kolegę? -- zapytał na wstępie. -- Nie widziałem Roberta od samego rana.

-- Ma służbę poza kolejnością -- odpowiedział Sznajder.

-- Co proszę? -- Belg nie zrozumiał.

-- Nic takiego. Stęskniłeś się za nim?

-- Obiecał mi partyjkę pokera.

-- Islam nie pochwała takich rozrywek.

-- To powiedz mi, co pochwała, mądralo? -- Zirytowanego Françoisa widzieli pierwszy raz w życiu.

-- Tego nie, tamtego nie, rzygać się chce.

-- Nikt ci nie kazał tu przyjeżdżać.

-- Mam zobowiązania...

-- Tak jak my wszyscy.

Rozmowa pomiędzy Arturem a Françoisem zaczęła niebezpiecznie przypominać kłótnię. Halicki nie interweniował, niech się wyszczekają, do wieczora zapomną o wszystkim.

Kątem oka dojrzał zbliżającą się toyotę. Nareszcie. Napięcie nieznacznie opadło. Pick-up toczył się dostojnie, dostosowując prędkość do warunków. Major nie widział twarzy, jedynie same sylwetki, jed-

nak kierowcą był bez wątpienia Robert.

Mercedesa zepchnęli już wcześniej z widoku pomiędzy zabudowania, dolali wody do chłodnicy oraz oleju i ropy. Wóz kopał, aż miło. Należało go teraz wytoczyć z ukrycia i oddać właścicielowi.

Mogło się zdarzyć, że kurier przejmie od nich toyotę, pozostawiając im w zamian niechcianą osobówkę. Teoretycznie było to całkiem możliwe. Władzą na terenie kalifatu dysponowali amirowie oraz działający na podstawie nadzwyczajnych uprawnień kurierzy, tacy jak ten.

Major obserwował, co się stanie. Wszystko odbyło się bez problemów. Pasażerowie i ich kierowca przesiedli się od razu i odjechali, pozostawiając Galińskiego samego przy terenówce. Chłopak wyglądał na całego. Obeszło się bez obciętych uszu, nosa, dłoni czy wydłubanych oczu.

Kiedy szedł powoli w stronę Roberta, duszę przepełniała mu niecierpliwość. Chciałby usłyszeć, co i jak, ale powstrzymał się ze względu na obecność Belga. Ten zresztą trajkotał bez przerwy o tym, jaka to świetna jest belgijska czekolada. Wszystko, co dostają tutaj, to ersatz, słodki ulepek, niewiele mający wspólnego z prawdziwymi słodyczami.

Najważniejsze to spławić tego gadułę.

-- François...

-- No.

-- Jak nie masz co robić, zajmij się samochodem.

François posłusznie odszedł. Galiński pozostał.

-- Jak było?

-- Pojęcia nie masz, co odkryłem.

Permanentny kryzys, w którym tkwiła Grecja, odcisnął swoje piętno na wszystkim i na wszystkich. Właściwie należało mówić o kilku nakładających się na siebie kryzysach -- krach finansowy, gospodarczy i migracyjny splotły się ze sobą w jednym mocnym uścisku. Mało kto pamiętał, kiedy doszło do pierwszego tapnięcia, pierwszych protestów przed parlamentem, zamieszek i burd z policją. Uliczna demokracja stała się nieodłączną częścią życia politycznego Greków. Wzajemne przerzucanie się odpowiedzialnością, kto jest winny wszystkich nieszczęść -- własny rząd czy też francuskie i niemieckie banki -- trwało bez końca. Jedynym bezspornym faktem było to, że ludność ubożała, a dochody malały. Kiedy do Grecji napłynęły setki tysięcy imigrantów, zrobiło się zupełnie nieciekawie. Władze, te lokalne jak i centralne, nie radziły sobie z problemem. Dla wielu mieszkańców wysp, a także kontynentalnej części kraju, bezpieczeństwo stało się czysto iluzoryczne. Zaniedbano wszystko, od oświaty po służbę zdrowia, jedynie armia wydawała się wolna od problemów trapiących kraj. Ładowano w nią miliardy euro, była chlubą i ostoją państwa, a teraz, w godzinie próby, musiała sprostać oczekiwaniom.

Wielu zachodnich ekspertów nie dawało jej szans, uznając, że wojsko, tak samo jak resztę społeczeństwa, trawią te same problemy. Co jak co, ale pierwsze dni kampanii sprawiły, że opinię tę należało zwerifikować. Po pierwszym ciosie Grecy zachwiali się, lecz nie ulegli. Turecka przewaga, która wydawała się miażdżąca, nie powaliła ich na kolana. Na ile to było możliwe, odgryzali się, jak i gdzie mogli. Jedenaście milionów Greków i siedemdziesiąt pięć milionów Turków. O ile za Atenami nie ujął się nikt w żaden konkretny sposób, nie licząc werbalnych protestów w Parlamencie Europejskim i na forum nowo powstałego ONZ-et, to za Ankarą twardo stały setki milionów muzułmanów, dopingujących braci w wierze w walce z niewiernymi i krzyżowcami. Z rządami w Kairze, Rijadzie, Islamabadzie czy Teheranie było trochę inaczej. Ankara powoli wyrastała na lidera świata islamskiego, a to już niekoniecznie musiało odpowiadać Iranowi, którego szyicka społeczność dobrze pamiętała o stuleciach walk z Imperium Osmańskim.

Przy tak nierównych potencjałach obrona nie mogła ciągnąć się bez końca. Pierwsze padły wyspy u wybrzeży Turcji. Na wielu z nich znajdowały się niewielkie siły policji, które z oczywistych względów nie potrafiły się przeciwstawić najeźdźcy. To, co jednym wydawało się stratą czasu, dla tureckich strategów wcale takie nie było. Desanty morskie i powietrzne pozwoliły opanować potencjalnie niebezpieczne rejony niewielkim kosztem. Kto zagwarantuje, że Grecy nie przerzucą tam systemów obrony przeciwlotniczej i morskiej, mogących sparaliżować podejścia do największych tureckich portów i baz lotniczych? Dopiero po zakończeniu tego etapu należało pójść dalej.

Morze Egejskie, tak jak w trakcie następujących po sobie tysiącleci, stało się areną zaciętych pojedynków. Nikt nie chciał ustąpić. Właściwie należało powiedzieć, że nikt nie mógł sobie na to pozwolić.

Bój niedaleko Dardaneli, okrzyknięty przez prasę najpoważniejszą klęską od czasu wojen bałkańskich, nie był jedynym starciem, do którego wówczas doszło. Na północ od Krety zatonął grecki niszczyciel "Heraklion", strzegący trasy żeglugowej z Heraklionu do Pireusu, który unicestwiły rakiety tureckich wielozadaniowych Falconów.

Na południu, po wyspach archipelagu Sporadów, przyszła kolej na Cyklady, a właściwie na ich ze-

wewnętrzny pas Andros -- Mykonos -- Naksos. Ciąg wysp stanowił kolejną zaporę chroniącą przed wejściem na greckie wody wewnętrzne. Stąd już tylko jeden krok do Aten. Szereg operacji przypominał wypychanie Japończyków z poszczególnych wysp przez Amerykanów zmierzających w kierunku Tokio. I tu, i tam walki były wyjątkowo zaciekle.

Dowództwo greckiej marynarki wojennej ściągnęło do obrony wszelkie dostępne środki. Wyspy w krótkim czasie stały się fortecami, pełnymi baterii rakiet ziemia--powietrze i ziemia--morze. Na Peloponezie, Eubei i w okolicach Aten skoncentrowano większość dostępnych jednostek lądowych.

Po pięciu dniach wojny poważne niebezpieczeństwo zarysowało się na północy, gdzie turecki marsz na zachód wydawał się niepowstrzymany. Wyraźne postępy nie uszły uwadze nikogo, zwłaszcza oficerów z ateńskiego sztabu operacji lądowych. Utrata Salonik byłaby klęską i spowodowałyby zupełne odcięcie od północnych obszarów państwa. Przy granicy z Macedonią i Albanią Grecy nie dysponowali niczym, co nadawałoby się do natychmiastowego rzucenia do walk. Same jednostki szkolne i zapasowe. Jeżeli wróg opanuje Saloniki, to wyjdzie na bezpośrednie zaplecze obrony. Na relatywnie wąskim pasie lądu pomiędzy Bułgarią i morzem jeszcze można było pomyśleć o obronie, później już takiej szansy nie będzie.

W pilnym trybie zdecydowano o wysłaniu konwoju mającego przewieźć elementy 7 Dywizji Piechoty i 2 Brygady Zmechanizowanej. Operację zaplanowano i wdrożono do realizacji w niespełna siedemdziesiąt dwie godziny. Pomysł wydawał się może nie doskonały, ale na tyle dobry, by uzyskać priorytet. Jedyne problemy stanowiły rozpoznawcze RF-4E, pojawiające się regularnie w Cieśninie Kafijskiej. Tylko idiota nie domyśliłby się, o co tak naprawdę chodziło. Konwój miał iść trasą tuż przy wschodnim wybrzeżu i dalej pomiędzy Skopelos i Alonisos na Sporadach Północnych. Zatokę Termajską uznawano za w miarę bezpieczną, gęsto patrolowaną przez własne zespoły przeciwpodwodne.

Utrata lotniska na Limnos mściła się straszliwie. W zasięgu startujących stamtąd F-16 i F-35 znajdował się cały akwen. Z kilkakrotnie powtarzanych nalotów na lotnisko w Varos nie wróciło kilka Falconów. Dalsze starty uznano za niedopuszczalne.

Dowodzący operacją admirał mógł liczyć na pomoc maszyn z baz w Wolos, zresztą i tak mocno już przetrzebionych, znajdujących się mniej więcej w połowie trasy. Nikogo innego nie było pod ręką. Piloci i ekipy naprawcze padały z nóg. To samo działo się z marynarzami. Potworny stres odcisnął swoje piętno na wszystkich. Zbliżało się rozstrzygnięcie, lecz nikt nie wiedział, jakie ono będzie.

Planowano, że pierwsze sześć jednostek opuści basen portowy w Pireusie tuż przed dwudziestą drugą. W zatoce czekała eskorta. Zadanie postanowiono przeprowadzić nocą, przy zbliżającym się froncie niżowym. Trudne warunki powinny ograniczyć operacje powietrzne.

Tak naprawdę mało kto wierzył, że się uda, ale przynajmniej nie zaniedbano najdrobniejszej szansy na powodzenie. Na trasie cały szereg zagrożeń -- od ataku torpedowego po którąś z tureckich łodzi podwodnych.

Na statki, pełne zaopatrzenia, ludzi, amunicji i broni, przypadały trzy jednostki obrony. W normalnych warunkach to wystarczało, choć każdy obiektywnie musiał przyznać, że warunki dalekie były od normalnych.

Przy pirsach już rozpoczęto załadunek kolejnych transportowców. Z braku tych przynależnych do marynarki brano wszystko, co znajdowało się pod ręką. Z tym nie było problemów. Przy nabrzeżach stała cała masa łajb, czekających na lepsze czasy. Należało jedynie wybrać te, do których dawało się wygodnie zapakować sprzęt wojenny. W ostatniej chwili do konwoju dołączono szybki katamaran "Afrodyta Express". Śmigający nad falami stateczek zabrał na pokład dwustu pięćdziesięciu czołgistów 2 Brygady. Bez nich Leopardy upchane w ładowniach "Farosa" stanowiły zwykły bezużyteczny złom.

Dokerzy zrezygnowali z płatnych nadgodzin, to samo dotyczyło pozostałych pracowników cywilnych. Nawet związki zawodowe zamknęły pysk. Nikt nie będzie się kłócił, przecież za parę dni mogą im założyć pętlę na szyję.

Pracy nie było końca. Setki ciężarówek, haubic i wozów bojowych wciąż czekały na załadunek. Dalej piętrzyły się sterty kontenerów z amunicją i częściami zapasowymi. Naprawdę, było co robić. Sama 7 Dywizja Piechoty to tysiące pojazdów i kilkanaście tysięcy ludzi.

W sztabie greckiej marynarki, gdzie dominowało święte przekonanie o jej wyższości nad tureckim agresorem, panował ostrożny optymizm. Kto jak kto, ale to właśnie oni pod Dardanelami upokorzyli wroga. Atak HS "Papanikolisa" stał się podręcznikowym wręcz przykładem tego, do czego jest zdolny świetny kapitan mający do dyspozycji znakomity okręt.

Do tej pory port w Pireusie ostrzeliwano pojedynczymi pociskami manewrującymi i choć odnotowano straty, wynikającego z tego niebezpieczeństwa nie należało przeceniać. Traktowano to raczej jako utrapienie, a powietrzną potyczkę z Falconami wroga sprzed paru dni można było uznać za nierozstrzygniętą. Obie strony straciły po kilka maszyn. Atak wyglądał na coś w rodzaju sondowania, jak silna jest obrona greckiej stolicy.

Myliłby się jednak ten, komu wydawałoby się, że obszar znalazł się poza zainteresowaniem tureckich planistów. Odrapany rybacki trawler, który na trzy dni przed rozpoczęciem wojny rzucił cumy w Pireusie, jako jeden z pechowców tkwił przy brzegu, zamiast łowić ryby. Czteroosobowa załoga pozostawała na miejscu, pilnując dobytku. Jak sami utrzymywali, pochodzili z Kalamaty na Peloponezie i w tych niepewnych czasach szukali jedynie dobrego zarobku. Papiery nie budziły podejrzeń, tak samo wiek rybaków -- każdy z członków ekipy najlepsze lata miał już za sobą.

W rzeczywistości kuter nie znalazł się w Pireusie przypadkiem. Misja, którą wykonywał, sprowadzała się do obserwacji, a w razie konieczności przekazywania zaszyfrowanych informacji do bazy w Izmirze.

Gdy więc parę minut po dwudziestej trzeciej otrzymano wiadomość z Pireusu, w dowództwie zapanowała lekka konsternacja. Właśnie trwała jakaś operacja, ale nie bardzo wiedziano, jaka.

Kolejne potwierdzenie zdobył zwiadowczy Phantom RF-4E, przepędzony przez F-16, lecz nim się to stało, załoga tureckiego myśliwca ustaliła, że konwój idzie na północ. Port przeznaczenia nie budził już większych wątpliwości. Błędym świtem przystąpiono do ataku, który przyniósł jedynie połowiczny efekt. Zatopiono dwie jednostki, kuter rakietowy "Votsis" oraz kontenerowiec "Matapan", wypełniony rakietami ziemia--powietrze, sprzętem radarowym i systemami łączności. Ciężko uszkodzono kolejny transportowiec, który stanął w płomieniach. Akcja ratunkowa zapowiadała się na trudną i długą.

Sami Turcy utracili trzy maszyny. Jak się wydawało, ofiara była tego warta.

Leopardem trzęsło co niemiara, zupełnie jak podczas prób terenowych, kiedy sprawdzano wytrzymałość zawieszenia. Podporucznik Faruk Nedim wychylił się do połowy z wieżyczki, starając się dostrzec szczegóły w otaczającym ich mroku. Leopard 1 to nie najnowocześniejsza maszyna w arsenale tureckich sił lądowych, ale wciąż na tyle przydatna, że nie zdecydowano się na wycofanie jej ze służby. Gdy pierwszorzutowe oddziały, uzbrojone w Leopardy 2 i Altaye, wykrywawiały się w niezliczonych starciach z opóźniającymi pochód greckimi wojskami, oni czekali na okazję. Ta w końcu się nadarzyła, co sprawiło, że podporucznik Nedim wreszcie zakosztuje wojny.

Wyruszył na nią pełen marzeń o chwale. Co jak co, ale to najlepszy sposób na szybsze zdobycie kolejnych gwiazdek. Nim przekroczyli granicę, entuzjazm Faruka przygasł. Ilekroć przy szlaku widział porozbijane czołgi i transportery, zastanawiał się, co tu zaszło. W każdym pojeździe siedzieli przecież entuzjasci, tacy jak on, koledzy z akademii i z jednostki. Na jednym z postojów podszedł bliżej do wciąż gorącego wraku, przy którym kręcili się saperzy. ACV-300 oberwał w prawą burtę. Wciąż śmierdział spalenizną i trupami. Stalowe pudło stało się trumną dla całej drużyny piechoty. Ciało już wywieziono, pozostał tylko nienadający się do remontu wrak. Jeden z saperów nakreślił sprayem na burcie duży znak X, oznaczający, że nie ma niebezpieczeństwa. Zanim zostanie odholowany, mogą upłynąć tygodnie. Czołówki remontowe nie nadążały z bieżącymi naprawami. Technicy padali z nóg, a pracy wciąż było co niemiara. Potem minęli jeszcze greckiego Hummera, tkwiącego w rowie, i Cobrę, którą dosięgnął odkształcalny pocisk HESH.

Ciekawość Nedima zgasła jak płomień świecy. Już nie zapuszczał się bliżej takich znalezisk, zwłaszcza odkąd usłyszał od jednego z pracujących tam podoficerów opowieść o tym, co zdarzyło się trzy dni wcześniej -- grabarzowi zbierającemu ciała niewybuch urwał obie ręce. Nieborak wykrywawiał się i skończył z bólu i szoku, zanim otrzymał pomoc.

Od tamtej pory podporucznik Faruk Nedim nie palił się aż tak do walki.

Niepokojem napawały informacje, które docierały do nich już od kilku dni. Podobno od północy zbliżała się potężna armada setek Abramsów, wspartych tysiącami transporterów. Armia turecka była potężna, ale czy sprostą połączonym siłom polsko-amerykańskim, tego już Faruk nie był pewny. Polityka to nie jego sprawa, on jedynie prowadził do walki pluton czterech czołgów i musiał dopilnować, aby wszyscy wyszli z niej cało. Jeżeli rząd się nie dogada, to oprócz Greków na głowie będą mieli siły tego nowego sojuszu czy też oddziały rozjemcze Grupy Wyszehradzkiej, bo i pod taką nazwą cała ta potęga funkcjonowała.

Ktoś u góry nie przemyślał, jak to się skończy, a tacy jak on zapłacą za to najwyższą cenę. Konkretnie pierwsza kompania drugiego batalionu pancernego 8 Dywizji. Jego kompania i jego podkomendni.

W panujących ciemnościach nie dostrzegwał wiele. Był środek nocy, na dodatek niespodziewanie popsuła się pogoda. Już wieczorem na niebie pojawiły się skłębione szare chmury, zapowiadające deszcz i wichurę, a to na pewno przełoży się na jakość wsparcia powietrznego, co martwiło podporucznika tak samo, jak wysunięcie pododdziałów batalionu na pierwszą linię.

Na Nedima spadły pierwsze krople deszczu. Zignorował je, wpatrując się w światła pozycyjne wozu

jadącego przed nimi. Nie bardzo wiedział, w którą stronę podążają. Zdaje się, że szli na południowy wschód, ale tego nie był pewny. Pododdziały regulacji ruchu i żandarmeria stały na każdym skrzyżowaniu i kierowały na odpowiednie drogi. Raz jechali asfaltową szosą, innym razem utwardzoną polną ścieżką. W domach, obok których przejeżdżali, nie paliło się ani jedno światło.

Wzdrygnął się, gdy zobaczył, jak jedna z chmur na niebie błysnęła, jak podczas burzy. Piorun umknął jego uwadze. Może go wcale nie było? Ponownie zmienili kierunek jazdy. Przez klekot czołgowych gąsienic i łoskot silników przebił się łomot artyleryjskiej kanonady. Minęli kolumnę ciężarówek i transporterów na poboczu. Dalej szła jednostka medyczna.

Widok sanitarek zrobił na Faruku przygnębiające wrażenie. Żołnierze stali obok pojazdów, ćmiąc papierosy.

Wóz przed nimi zatrzymał się, nie gasząc silnika. Na lewo znajdował się umocniony punkt -- dół w ziemi obłożony betonowymi płytami i workami z piaskiem. Lufy karabinów mierzyły we wszystkich kierunkach.

Deszcz z drobnego kapuśniaczka przeszedł w uporczywą mżawkę. Faruk zanurkował do wnętrza czołgu. W czerwonym świetle żarówki poszukał kurtki, którą wciągnął na grzbiet. Oprócz kierowcy wszyscy drzemali. Oparł stopę na siodełku, które przeważnie zajmował, i wychylił się akurat w porę, by dojrzeć, jak wóz inżynierski Biber odholowuje rozbitego Leoparda na tyły. Ten widok uświadomił Nedimowi jedno -- od tego miejsca rozciągała się strefa walki.

Na wzgórzach błyskało. Na wszelki wypadek sprawdził MG-3 w obrotnicy przy włączniku. W razie czego poczęstuje Greków serią pocisków kalibru 7,62 milimetra.

-- Żmija Jeden, zgłoś się. -- Głos w słuchawkach należał do dowódcy kompanii kapitana Osmana Çelika.

-- Żmija Jeden, słucham -- odpowiedział cienkim głosem, zupełnie nie tak, jak powinien.

-- Uchwycicie wzgórze osiemdziesiąt siedem...

Faruk ponownie zjechał do wnętrza wozu, gdzie znajdował się ciekłokrystaliczny wyświetlacz. Przesunął po nim palcem -- jest droga, po której się poruszali, i miejsce ich postoju. Żadnego wzgórza nie potrafił znaleźć. Cisza w słuchawkach się przedłużała. Zaczynał wpadać w panikę, wodząc palcem we wszystkich kierunkach, aż w końcu dostrzegł rzeczony punkt. Niedawna modernizacja się przydała. Ekran zastępował mapę, która w ciasnym wnętrzu była mało praktyczna.

-- Znalazłem.

-- Doskonale. -- Gdyby Çelik siedział obok, pewnie oddechem zamroziłby wszystko na kamień. -- Czekają już na was. Kryptonim Pająk Pięć.

-- Zrozumiałem.

-- Pomyślnych łowów. Bez odbioru.

Przyjrzał się ekranowi już bez wcześniejszego podenerwowania. Punkt znajdował się sześć kilometrów dalej. Z płaskiego rolniczego krajobrazu wyłaniał się nagle ciąg wzgórz, z rzadka porośniętych drzewami. Przeważały skały, utrudniające okopanie się. Jeżeli już, to opór zostanie zorganizowany niżej. Pojedynczych gospodarstw, niewielkich osad i miasteczek tam nie brakowało.

Powiększył mapę do maksymalnej skali i szybko ją zmniejszył, starając się wytyczyć najkrótszą drogę do Pajaka Pięc. Pod tym wywołaniem krył się batalion piechoty zmotoryzowanej. Na sam koniec sprawdził, gdzie są Saloniki. Od miasta dzieliło ich niewiele, właściwie już za wzgórzami rozciągał się zabudowany teren należący do obszaru administracyjnego aglomeracji.

-- Nie spać.

Obudził celowniczego, który, opierając się na zamku działa, próbował złapać parę spokojnych chwil.

-- Żmija Jeden do pozostałych.

Dowódcy wozów numer dwa, trzy i cztery zgłosili się w kolejności wywołania. Pokrótce wyłuszczył im szczegóły zadania.

Faruk czuł jednocześnie podekscytowanie i niepokój. Na dobrą sprawę to pierwsze bojowe zadanie, jakie przyjdzie mu wykonać samemu. Czym zajmie się reszta batalionu, nie wiedział. Gdy się wychylił i spojrzał przed siebie, nie dostrzegł nikogo. Za to z tyłu zaczynało się robić tłoczno. Na drodze stało wszystko, co posiadało gąsienice czy koła i było pomalowane zieloną farbą.

Dowodzący punktem oficer dał znak. Mogli jechać. Wydał komendę. Niedługo mrok się rozproszy i nastanie kolejny dzień. Oby nie był jego ostatnim.

Drapanie w gardle stawało się wyraźnym znakiem zbliżającego się przeziębienia.

Sierżant Abdul Karim stłumił kichnięcie, zatykając nos. Zatoki bolały, jakby były nakłuwane przez niewidzialne igiełki. Aspiryna nie działała, co dodatkowo dobijało Karima. Za dzień lub dwa, gdy przypłcze się gorączka, zostanie wycofany na tyły. Rozsądek podpowiadał mu, że należało się tym zająć już wcześniej, ale sądził, że uda mu się jednak uniknąć przekłętego choróbska. Na antybiotyki był uczulony, po paru dniach kuracji ujawniały się skutki uboczne -- po każdej dawce zaczynał rzygać jak kot, a w niektórych miejscach na ciele pojawiały się krwawiące obrzęki. Już lepiej pomęczyć się na froncie.

Znał przyczynę dolegliwości. Wszystko przez wilgotny mundur i leżenie na zimnej glebie. W nocy ciągnęło po kościach, aż dostawał dreszczy.

Nie mógł się teraz rozczulać. Wzgórze znajdujące się przed drużyną komandosów robiło przygnębiające wrażenie. Niedługo ruszy tędy natarcie na Saloniki. Jeżeli Grecy przygotowali jakieś niespodzianki, należało je wykryć w porę.

Noc to najlepszy przyjaciel zwiadowcy. Czas uciekał. Obraz w noktowizorze tonął w czarno-zielonej poświacie. Karim już do tego przywykł, choć na początku miał z tym problem.

Ruiny domu znajdowały się tuż przy szosie wiodącej w stronę Macedonii.

Macedonią zajmą się później. Nagle wzrok sierżanta poraziły reflektory samochodowe. Nie znosił takich niespodzianek. Padł na kamienistą ziemię, nim został dostrzeżony. To wojsko czy cywile?

Odpowiedź otrzymał niedługo potem. Combi zatrzymało się przy jednej z ruin. Wysiadło z niego trzech mężczyzn i od razu zaczęli myszkować w środku, przyświecając sobie latarkami.

Szabrownicy. Takie hieny nie uszanują niczego.

Praca szła im sprawnie. Nie zważali na nic, choć wokół rozlegały się trzaski i rumor. Czego nie dali

radę zabrać, niszczyli.

Karima świerzbiał palec. Jak odstrzelili tych bydlaków, zrobi przysługę ludzkości. Po namyśle dał sobie jednak spokój. Kto wie, z kim są w zмовie? Greccy policjanci nie grzeszyli uczciwością. Jeżeli są z Salonik, to na rogatkach zostaną zatrzymani. Normalnie za taki proceder w warunkach wojny należy się kula lub pętla na szyję. Ci zachowywali się zbyt pewnie. Może spotkał gliniarzy dorabiających po służbie?

Pies ich trącał.

Poszli dalej, zataczając łuk. Mroczne wzgórza znajdowały się całkiem niedaleko.

Podporucznik Faruk Nedim wolał sprawdzić wszystko trzy razy, pomyłka była niedopuszczalna, a zmylić marszrutę wyjątkowo łatwo. Na ekranie elektroniczna mapa wskazywała całą płataninę dróg. Tę główną, tranzytową, w bardziej cywilizowanym kraju uznano by za lokalną. Z trudnością dawało się ją odróżnić od podrzędnego szlaku, jaki wytyczył gospodarz jadący od swojego domu na targ do miasteczka.

Kolumna, którą prowadził, rozciągała się na kilkaset metrów. Z przodu pluton pancerny, za nimi Cobry II, pełne piechoty.

Na horyzoncie płonęła jakaś wieś lub niewielka osada. Farukowi trudno się było zorientować, niemniej widok porażał -- potężne biało-pomarańczowe kule ognia przechodzące w szaro-czarny tuman, mieszający się z nisko przepływającymi chmurami. Wszystko to działo się jakieś dwa i pół kilometra od traktu, którym się poruszali.

Wjechali pomiędzy niskie pagórki. Rozpadało się na całego. Do pewnego stopnia nawet się cieszył, że nie kapie im na głowy.

Rozjazd. Wcześniej sprawdził, którędy wypadnie im jechać. Na ich trasie pojawiła się kolejna osada, na którą składało się kilka chałup z płaskimi dachami. Od wzgórza 87 dzieliło ich ledwie półtora kilometra.

To, że skrył się do wnętrza Leoparda, żeby nie zmoknąć, pewnie uratowało mu życie. Gwałtowna palba, jaka rozległa się w tym momencie, omal nie przyprawiła podporucznika o skurcz żołądka.

-- Kontakt z nieprzyjacielem! -- zdążył wykrzyknąć, nim w czołg uderzyła prawdziwa lawina stali.

Przyłgnał do wizjera, starając się zlokalizować, skąd strzelano. Zdaje się, że atakowano ich z każdego dostępnego skrawka zabudowań.

Przeklął sam siebie. Przodem należało puścić zwiad, ale kto mógł się spodziewać zasadzki?

Nawalił. Cała wina obciążała jego sumienie. Za bardzo skupił się na wzgórzu, zaniedbując ubezpieczenie. Trudno, jakoś trzeba będzie z tym żyć.

Łoskot pocisków uderzających o pancerz przyprawił o mdłości. Jeżeli Grecy nie wyskoczą z czymś potężniejszym, nic im nie grozi.

Wykrakał.

Humvee z zamocowaną na dachu wyrzutnią ppk MILAN wyjechał z podwórka jednego z gospodarstw. Operator pochylał się nad celownikiem, nanosząc ostatnie poprawki. Farukowi zrobiło się mdło, gardło ścisnęło mu przerażenie, a czas wydłużył się jak podczas pobytu w horyzoncie zdarzeń czarnej dziury.

-- Gaz! -- Tylko tyle zdążył wykrzyczeć.

Kierowca ruszył w tym samym momencie, w którym pocisk raketowy opuścił wyrzutnię, ciągnąc za sobą cienki przewód naprowadzający. Odległość dwustu metrów pokonał w dwie i pół sekundy. Przypadek sprawił, że rakieta o włos rozminęła się z wieżą Leoparda.

-- Celowniczy, Hummer trzy w lewo.

Armata została załadowana pociskiem odłamkowo-burzącym, co nie miało większego znaczenia.

Dystans był niewielki, a i Humvee nie imponował ochroną załogi.

-- Gotowe.

-- Ognia!

Stupięciomilimetrową lufą działa szarpnęło do tyłu. Granat opuścił ją, rozpoczynając krótki lot. Łuska spadła do kosza, smród spalonego ładunku miotającego, mimo wentylacji pracującej na maksa, dławiał usta i nos.

Farukowi serce zamarło w piersi. Wydawało się, że chybili. Nawet się nie ucieszył, gdy terenówkę rozerwało. Pozostało samo podwozie, reszta zniknęła.

-- Dobra robota -- usłyszał pochwałę w słuchawkach. Nie zastanawiał się nad nią długo, bo oto przed nimi znalazło się gniazdo ciężkiego karabinu maszynowego ulokowanego w piwnicy jednego z domów. Na jego oko to Browning M2, solidny karabin, mogący narobić sporego bałaganu.

-- Dżamil oberwał. -- Kolejna wieść napełniła go lękiem.

Jak to możliwe, przecież jechali z nimi. To Leopard Faruka brał cały ogień na siebie. Później się nad tym zastanowi.

-- Bunkier jeden w lewo.

-- Gotowe.

-- Wal!

Wydawało się, że budynek rozerwało od środka. Wielkie bryły gruzu zaczęły fruwać w powietrzu. Widok był niesamowity. Minęli ruinę i znaleźli się poza zabudowaniami. Dalej były już tylko pola.

-- Kierowca, na prawo. -- Zajadą sukinsynów z tyłu. Niech sobie nie myślą, że to już koniec.

Zarzuciło nimi mocno.

-- Wolniej. -- Należało poszukać kolejnych celów do eliminacji, jednocześnie uważając na własną piechotę, która przystąpiła do wymiatania żywej siły przeciwnika ze wsi.

-- Stój! -- Nie wiedział, czy to rozsądne, ale tylko tak potrafił dostrzec punkty ogniowe. Żmija Trzy i Cztery zajęły pozycje obok. Żmija Dwa... Widok płonącego Leoparda sprawił, że doznał wstrząsu.

Z wjazdu dowódcy zwisało ciało Dżamila. Biedak nie zdążył opuścić maszyny, wcześniej został skoszony serią greckiego peemu. Ponad czołgiem unosił się dym. Nie był wcale gęsty, raczej taki, jaki powstaje przy niewielkim ognisku.

Faruk jęknął. Spodziewał się strat, ale żeby zaraz sierżant Dżamil? Stary wyga, co na swojej robocie zęby zjadł, przykład dla innych i niedościgły wzór pancerniaka? Nie powojował długo. Właściwie to nie wystrzelili ani razu. Trudno, wezmą za niego odwet.

W polu widzenia pojawiła się sylwetka przysadzistego wozu bojowego. Już chciał wydać kolejne po-

lecenia, gdy w porę spostrzegł, że to jeden z tych, które miał ochraniać.

Celowniczy wymiatał z karabinu maszynowego zamocowanego przy armatniej lufie. Broniły się już tylko pojedyncze punkty. Zdobyli przewagę, co nie oznaczało, że nastąpił koniec.

Faruk podziękował Allahowi. Gdyby w pobliżu znalazły się greckie czołgi, z jego marnego plutonu nie pozostałby nikt. I w ogóle, co to za pomysł pchać Cobry na linię frontu? W pierwszej wersji był to wóz przeznaczony do działań patrolowych i zwiadowczych. Doskonale nadawał się dla policji i żandarmerii, przewożąc funkcjonariuszy tam, gdzie spodziewano się oporu ludności.

W walce zadebiutował podczas wojny Gruzji z Rosją. Gruzińscy żołnierze posługiwali się nim nader często, z nie najlepszym niestety skutkiem.

Czyżby było aż tak źle? Gdzie rydwany piechoty ACV-300? Stracili je wszystkie?

Raczej nie. Być może chciano się nimi posłużyć w walkach miejskich w Salonikach. Jeżeli tak, to liczone się z oporem, co oczywiście prowadziło do kolejnej nieciekawej konkluzji -- ofiar będzie co nie-miara. Uwikłają się w walki uliczne. A może zaczną oblegać miasto, odcinając zaopatrzenie?

Strategię pozostawił sztabom, na razie należało oczyścić ten niewielki odcinek frontu.

Co się tam, do cholery, wyprawia? Na wschód od nich toczył się zacięty bój. Chcąc dojrzeć cokolwiek, należało pokonać rozległą dolinę i wspiąć się na wzgórek po przeciwnej stronie.

Widok, jaki ukazał się ich oczom, nie napawał optymizmem. Grupa taktyczna, mająca zająć wzgórze 87, toczyła potyczkę z greckim oddziałem opóźniającym. Jakiś czołg został rozbity w samym środku porzrzucanych bezładnie domów i zabudowań gospodarczych. Czy ci głupcy nie rozumieją, że czas jest tu najważniejszy?

Przestał się zajmować tym, co działo się w osadzie, i skierował szkła lornetki na punkt, który na mapie oznaczono jako wzgórze 87.

Z miejsca, w którym się znaleźli, Karim widział wszystko doskonale. Pod pojęciem wzgórza rozumiano chyba ścięty płaski szczyt, a nie górującą nad nim skalną grań. Mała szara kropka śmigłowca krążyła właśnie nad całym obszarem. Grecki UH-1 był ledwie widoczny na tle zwartej ściany burzowych chmur. Abdul kichnął, wysmarkał nos i wrócił do obserwacji.

Jak oceniał, od podnóża wzniesienia dzieliło ich około ośmiuset metrów. Niby niewiele, ale na otwartym terenie i pod okiem obserwatorów. Przynajmniej połowę dystansu dawało się pokonać pod osłoną kamiennego murka. Dalej było już tylko puste pole.

Nie będzie się zamartwiał na zapas. Zaczęli przemieszczać się skokami, od jednego ukrycia do drugiego.

Karimowi ciężko się oddychało. Sapał, stękał i przeklinał armię, wojnę i siebie samego. Odczuwał przenikliwy ziąb. Peleryna przeciwdeszczowa jedynie mu przeszkadzała. Bielizna nasiąkła potem, zaraz odparzy sobie...

-- Stać! -- Zatrzymał ludzi w ostatnim momencie. Gdyby nie szósty zmysł, nie dostrzegłby naruszonej niedawno ziemi. A to cwaniaki. Właśnie wleźli na pole minowe, jeden nierozważny ruch i taki skaczący

ładunek pozbawi go przyrodzenia, a może i nogi.

Drużyna zbiła się za nim jak przerażone stadko kurcząt.

-- Do tyłu.

Tędy nie przejdą. Mowy nie ma. Zaczęli maszerować po własnych śladach w przeciwnym kierunku.

Skoro skrótem się nie dało, pójdą dookoła. Należało się pośpieszyć. Strzelanina, dobiegająca od strony osady, ucichła. Niedługo pojawią się siły wzmocnionego batalionu, a on wciąż nie wiedział, co kryje to przeklęte wzgórze.

Dowodzący piechotą major wydawał się wściekły. Dwóch zabitych i pięciu rannych, a w sumie z szeregów batalionu od początku wojny ubyło jedenastu ludzi. Sporo, jak na tak krótką walkę. No i czołg, o jedną lufę mniej, a przecież nikt nie wiedział, co ich czeka dalej.

Kilkunastu ponurych Greków, bez pasów i z rękoma podniesionymi do góry, odprowadzano na tyły.

Było parę minut przed siódmą rano. Rozeszli się do wozów, zadanie wciąż czekało na wypełnienie.

Tym razem ruszyli już znacznie ostrożniej. Przemarsz wydawał się istnym koszmarem. Spodziewał się ataku ze wszystkich stron.

Spokój panował do momentu, gdy dostali się pod ciężki ostrzał prowadzony od strony lasu rosnącego u podstawy wzgórza. Należało go zdławić, zanim w zasięgu znajdą się słabo opancerzone Cobry.

-- Żmija Jeden, kierujemy się na wschód. Pluton, za mną.

Linia drzew z błyskającymi ognikami broni strzeleckiej to łatwy cel.

-- Odłamkowym -- zarządził Faruk.

-- Siedzi.

Poszukał odpowiedniego miejsca, w które należało wystrzelić. Zrobił powiększenie. Widział Greków, jak przemykają pomiędzy drzewami. W końcu dostrzegł kawałek transzei i stanowisko cekaemu, obłożone workami z piaskiem.

Zgrał nitki celownika.

-- Dawaj!

-- Poszła!

Idealnie. Wybije wrogów co do jednego. W końcu ktoś musiał pomścić Dżamila.

Co ten smętny kutas wyprawia? W żyłach sierżanta Karima buzowała krew. Ci durnie nacierali przez pole minowe, dając się wciągnąć w kolejną pułapkę. Zaraz dojdzie do nieszczęścia.

No i masz...

Pod gaśnicami jednej z maszyn eksplodował ładunek. Leopard zawinął, ustawiając się bokiem do nieprzyjaciela. Gaśnica została zerwana.

Sięgnął po radiotelefon umocowany do szelek przy lewym ramieniu. Już wcześniej ustawił go na od-

powiedni zakres fal. Żeby tylko tym bękartom nie wpadł do głowy pomysł z zagłuszaniem.

-- India Bravo Delta.

Jakiś głos przebił się przez szумы i zgrzyty i na pewno nie należał do majora piechoty. Kto jeszcze mógł wejść na ich częstotliwość?

-- Żmija Jeden -- powiedział niepewnie do mikrofonu.

-- Tu India Bravo Delta, wjechaliście na pole minowe.

Przed oczami podporucznika Faruka Nedima przeleciało całe życie. To kolejny raz, kiedy dał się wyrolować.

-- Stój! -- wrzasnął.

Kierowca zwolnił.

-- Stój, powiedziałem!

Taki manewr na środku pola bitwy równał się pewnej śmierci. Obojętnie, co zrobią, i tak są przegrani. Dopiero teraz zorientował się, że po Żmii Cztery pozostało smętne wspomnienie. Żmija Trzy również się zatrzymała. Jechać dalej to pchać się w objęcia śmierci. Kierowca wrzucił wsteczny, ale nim upłynęło pół minuty, najechali na ukryty ładunek. Tym razem eksplozja była widowiskowa. Płomień spowił Leoparda. Nikt nie opuścił wnętrza pojazdu. W końcu doszło do detonacji paliwa i amunicji.

Co ja narobiłem?

-- India Bravo Delta, możesz nas stąd wyprowadzić?

-- Nie. -- Odpowiedź była krótka i zwięzła.

Faruk wpadł w czarną rozpacz. Od samego początku zachowywał się jak idiota. Dostał odpowiedzialne zadanie do wykonania i spieprzył wszystko koncertowo. Grecy okazali się bardziej cwani, niż przypuszczał. Jest unieruchomiony. Wystarczy jeden operator wyrzutni przeciwpancernych, a pozostanie po nich jedynie wspomnienie.

Wezwanie o pomoc doszło do majora Mehmeta Sepetçioğlu w momencie, gdy szykował się do ostatecznej szarży. Saloniki znajdowały się tuż, tuż. Jedno śmiałe uderzenie i przyprą Greków do morza. Męczyli się przez długie dwa tygodnie. Cała ta absurdalna wojna powinna skończyć się w ciągu pierwszych paru dni. Nikt przy zdrowych zmysłach nie może brać na serio oporu przed siłą, jaką reprezentowali. I właśnie teraz, kiedy śmiałym manewrem chciał rozstrzygnąć losy tej batalii, wszystko zaczęło się sypać.

Jakiś idiota mający uchwycić wzgórze wznoszące się nad jedną z głównych szos prowadzących do miasta nie dość, że nie wypełnił polecenia, to na dodatek ugrzązł na środku pola minowego. Przykry obowiązek naprawienia cudzych błędów spadł właśnie na niego.

Wiązało się z tym przeorganizowanie natarcia. Trudno. Jak trzeba, to trzeba.

Połączył się przez radio ze Żmiją Jeden, starając się rozeznac w sytuacji. Było gorzej, niż przypusz-

czał -- jedyny ocalały czołg i trzy kompanie piechoty zastopował ogień przeciwnika. Jeżeli zostaną zniesieni, sztab może przesunąć natarcie na inny dzień, a wtedy plany majora szlag trafi.

Blitzkrieg stawał się powoli wojną pozycyjną, co wydawało się złowieszczym memento. Starannie przygotowana strategia brała w łeb. Gdzie te śmiałe manewry, którymi chciano rozgromić wroga?

Sepetčioğlu nie wydawało się, by Grecy stworzyli jeden spójny system fortyfikacji okalających miasto ze wszystkich stron, już raczej punkty ogniowe mające zniechęcić do ataku. Taki punkt znajdował się prawdopodobnie na wzgórzu 87. Jeżeli mocno wgryźli się w glebę, trudno ich będzie stamtąd wykurzyć.

Im dłużej kombinował, jak rozwiązać problem, tym do coraz bardziej nieciekawych wniosków dochodził. Dowodził jedynie batalionem zwiadowczym, mocno już uszczuplonym po kilkunastu dniach walki.

Codziennie przeglądał listy strat -- ranni, poparzeni, zabici i zaginieni. Szkolił ich, starając się wpoić zasady pozwalające przetrwać na polu bitwy, a im wciąż się wydawało, że to gra komputerowa albo podniecająca męska przygoda.

A gówno tam.

Nie zważając na zacinający deszcz, wciąż siedział w wieży, prowadząc Leoparda. Co rusz mrużył oczy i ścierał z twarzy zimną wilgoć. Od wschodu nadciągał kolejny front burzowy.

Skoncentrował się na wzgórzu. Słyszał przytłumiony odgłos karabinowej strzelaniny i głucho stęknienia czołgowej armaty. W polu widzenia pojawiły się pierwsze Cobry. Okolicę zasnuwała mgła i dym.

Dwa Leopardy płonęły, trzeci tkwił nieruchomo na środku pola. Każdy, kto próbował przyjść im z pomocą, ginął. Stało się tak z saperami próbującymi rozminować teren. Snajperzy ściągnęli ich bez trudu.

Grecy nawet nieszczególnie musieli się starać. Wszystko znajdowało się na widoku. Wozu Faruka nie rozpieprzyli wyłącznie dlatego, że tak było im wygodnie.

Sepetčioğlu ustawił własne czołgi na szosie i jednym spojrzeniem ogarnął całą okolicę. Sytuacja wydawała się kompletnie do dupy. Jakby znaleźli się na strzelnicy. To robota dla artylerii, nie czołgów.

Podał koordynaty. Symfonia śmierci rozpoczęła się dwie minuty później. Granaty kalibru 155 milimetrów, wystrzeliwane z samobieżnych haubic, orały pole gruntowniej, niż zrobiłyby to pług. Las, w którym ukryli się Grecy, dosłownie detonował. Całe pnie wylatywały w powietrze. Piechurzy, nieprzygotowani na to, co się stanie, chowali twarze w ziemię. To było jak połączenie pracy kafara budowlanego z jazdą kolejką w parku rozrywki.

Niepotrzebnie tracili cenne minuty, od początku należało tak postąpić. Zadowolony już chciał dać rozkaz do dalszej jazdy, gdy pojazdem zatrzęsło. Stojąca obok Cobra zmieniła się w supernową. Tym razem to oni dostali się pod ostrzał greckich dział.

-- Ruszaj!

Łatwiej było powiedzieć, niż zrobić. Widok przysłańały masy wirującego pyłu. W całym tym zamieszaniu potracili transporter, niefortunnie zaparkowany na pogórzcu. Czy to, co przebijało się ponad hałas, to ludzkie krzyki?

-- Gaz! -- ponaglił mechanika. O burty łomotały kamienie i odłamki.

Stupięcdziesięciopięciomilimetrowy pocisk to kawał bydlaka. Jeśli uderzy w górny, cieńszy pancerz, staną się wsadem do pieca hutniczego.

Wyskoczyli w górę na niewielkim ziemnym garbie. Ogniste słupy wyrastały wszędzie, gdzie nie spojrzeć. Takiej koncentracji środków ogniowych major się nie spodziewał. Grecy ściągnęli do obrony wszystko, co się dało, a jak się okazało, mieli tego sporo. Przed paroma dniami też próbowali przejść do kontrataku. Wtedy udało się ich powstrzymać. Jak będzie teraz, w dużej mierze zależało tylko od nich.

W końcu przedostali się przez stalową kurtynę. Dalszy pojedynek artylerzyści stoczą już sami, prowadząc ogień kontrbaterijny. Zwycięży ten, kto okaże się sprawniejszy. Radary od razu lokalizowały miejsce, w którym przycisnęły się wrogie baterie. Grecy zostaną wciśnięci w ziemię, zanim zdążą zmienić stanowiska, albo wcześniej zasypią pociskami tureckich artylerzystów.

Szosa lekko wykręcała w lewo, feralne wzgórze omijając od zachodu. Dostrzegł nawet tablicę informacyjną -- "Saloniki 12 km".

Korzystając z panującego zamieszania, sierżant Abdul Karim podkradł się do zagajnika, a właściwie do tego, co po nim zostało po gwałtownej artyleryjskiej nawałnicy. Do końca nie wiedział, czy nie obezwie od swoich, ale po tym, co zobaczył, powtórka raczej nie była konieczna.

Wystarczyło parę salw, by wszystko zostało przemieszane jak w gigantycznym młynie. Ludzi, broń, kawałki drzew porozrzucało po okolicy. Smród palonych ciał mieszał się z chemicznym odorem materiałów, które pochłonął ogień podczas detonacji.

Karim przełknął ślinę na widok urwanego w pasie korpusu. Ręce i tułów pozostały. Głowa też. Brakowało miednicy i obu nóg. Gdzie indziej głowa w hełmie z szeroko otwartymi oczami. Można osiwieć w minutę. Wspiął się wyżej. Wszędzie to samo. Z greckich obrońców, jak się zdawało, nie ocalał nikt.

Skłębiona mgła zasnuwała wzgórze nieprzeniknionym oparem. Z boku dochodziło ujadanie szybkostrzelnego działka, wypluwającego pociski z charakterystycznym odgłosem.

-- India Bravo Delta...

Jedyną odpowiedzią, jaką otrzymał, były suche trzaski w głośniku. Nie zgłosił się nikt.

Popiół, na którym stał, parzył podeszwy stóp.

-- India Bravo Delta. -- I tym razem odpowiedziało echo.

Smog zrobił się tak gęsty, że miał trudności z oddychaniem. Musi zejść z tego przeklętego wzgórza, zanim osłabnie na dobre.

Już się zbierał, kiedy w luce pomiędzy przepływającymi pasmami mgły pojawiło się północne przedmieście Salonik. Widział jedynie niewielki wycinek terenu, co i tak wystarczyło, żeby dojrzeć kanciaste greckie Leopardy, opuszczające właśnie bezpieczne ukrycie.

Przetrzymali ich do samego końca. Wywiad twierdził, że na tym odcinku wróg dysponuje znikomą ilością ciężkiego sprzętu. Wszystko, co pozostało z 3 Brygady Pancерnej, dawało się policzyć na palcach jednej ręki.

Jak zwykle ktoś nawalił.

Ten, któremu przyjdzie się zmierzyć ze świeżymi posiłkami, będzie miał trudny orzech do zgryzienia.

Major Mehmet Sepetçioğlu poczuł przypływ paniki. Naliczył przed sobą co najmniej dwie kompanie Leopardów. Co prawda były to pierwsze wersje czołgu, a on siedział w nowszym modelu, niemniej stanowiło to dla niego zaskoczenie.

Jednak będą bronić Salonik do upadłego. No cóż, należało się z tym liczyć.

-- ...Bravo... -- Ktoś próbował się z nim skontaktować, lecz ledwie go słyszał. Zagłuszenie było lepsze, niż się spodziewali.

-- Czołg na dwunastej.

Armata stęknęła, rozpoczynając walkę. Z oczami przyklejonymi do wizjera obserwował przedpole. Wszędzie przed sobą widział czołgi. Batalion, albo i lepiej. Jeden trafiony. Błysk, a potem nad maszyną pojawił się szary obłoczek. Wkrótce dostrzegł kolejnego wyeliminowanego Leoparda Greków.

Co znaczy siedzieć w czołgu nowszej generacji.

Uniesienie przeszło, kiedy i oni zaczęli obrywać. Artyleria po chwili przerwy ponownie rozpoczęła kanonadę. Obraz rozmazywał się wśród wybuchów i pożarów zasnuwających dymem pobojuwisko. Walka toczyła się na całej linii.

Mehmetowi przypomniało się wydarzenie sprzed paru dni. Sam jeden się ze wszystkim nie upora. Jeżeli szybko nie otrzyma wsparcia, zostanie zmuszony do odwrotu.

-- Kończą się kumulacyjne.

Nie to chciał usłyszeć. W termowizorze prawie nic nie widział. Znaleźli się zbyt blisko wroga, tracąc atut w postaci studwudziestomilimetrowych gwintowanych armat. Podobnie działo się w bitwie pod Prochorówką, gdzie setki sowieckich T-34 zdławiły samą masę wozy II Korpusu Pancernego SS.

A swoją drogą, czy to nie zabawne, że tyle lat po tamtych wydarzeniach produkty myśli niemieckich techników i inżynierów ponownie znalazły się naprzeciwko siebie?

Świat stał się dla majora ciągiem powtarzalnych czynności. Lokalizował cele, wydawał rozkazy i niszczył kolejne wozy, starając się nie dać pochłonąć chaosowi.

Nigdy w życiu nie uczestniczył w czymś równie potwornym. Wyeliminowali całą masę greckich czołgów, a wróg wciąż nie odpuszczał. Przebiegający w pobliżu ludzie budzili w nim zdziwienie, tu nie było miejsca dla pojedynczych piechurów. Dopiero później zrozumiał, że to załogi rozbitych maszyn bojowych, które nie usmażyły się żywcem w stalowych trumnach. Wielu wciąż się odgryzało, waląc z pistoletów maszynowych do załóg tureckich pojazdów, które spotkał ten sam los.

Połączył się z batalionem haubic, niech skrócą ogień o trzysta metrów i przeniosą go bardziej na zachód.

Nie potrafił tego zrozumieć, ale stracił już osiem wozów i prawie wszystkie ACV-300 z wyrzutniami przeciwpancernymi. Jeżeli z tego dymu wyłoni się kolejna fala Leopardów lub M-60, których obie strony posiadały całą masę, nie uda się ich powstrzymać.

W pewnym momencie opór wroga zaczął słabnąć. Ogień z dział i broni szybkostrzelnej nie był już tak gęsty jak na samym początku. On z kolei wykonał robotę przeznaczoną dla kogoś innego. Związał walką brygadę pancerną, ale sam nie posiadał już dostatecznej siły do przełamania linii wroga.

Z tą resztą pocisków, którą dysponował, mógł wystrzelić ledwo parę razy, i to wszystko w temacie. Na końcu języka miał już rozkaz o oderwaniu się od przeciwnika i przejściu na tyły, kiedy Grecy ustąpili. Mehmetowi nie mieściło się to w głowie, ale tak właśnie się stało.

Przed nimi płonęła istna stalowa ściana. Co najmniej czterdzieści--pięćdziesiąt pojazdów tworzyło barierę na pozór nie do przebycia. Dzień, już i tak pochmurny, stał się nocą. Na wszystkim osiadała czarna, tłusta sadza.

Właśnie nadarzała się okazja do pościgu. Przez moment bił się z myślami.

-- Naprzód. -- Zdecydował, że warto, choćby za cenę kolejnych strat.

Wizyty bułgarskiej premier nikt nie planował. Wszyscy wiedzieli, że choć Sofia jest członkiem Unii Europejskiej i Paktu Północnoatlantyckiego, to idzie własną drogą. Bliżej jej zawsze było do Moskwy niż Brukseli. Oligarchiczne rządy, słaba armia i aparat bezpieczeństwa do cna zinwigilowany przez rosyjskich towarzyszy sprawiały, że nikt nie traktował Bułgarii poważnie. Wszelkie nieoficjalne informacje, jak również te przynależne do kategorii ściśle tajnych, natychmiast lądowały na biurku funkcjonariuszy GRU -- rosyjskiego wywiadu wojskowego. Miliardy euro z funduszy pomocowych, napływające z Zachodu, w żaden sposób nie potrafiły zmienić sposobu myślenia tamtejszych władz. Monolit był twardy jak granit. Nikomu nie przeszkadzało, że od upadku komunizmu minęło ponad ćwierć wieku. Krok w stronę Unii wydawał się przypadkowy, a Rosja była najwyraźniej lepszym gwarantem bezpieczeństwa.

Bułgarscy politycy nigdy zanadto się nie wychylali. W ciągu ostatnich tygodni można było o nich kompletnie zapomnieć.

Pierwszy sygnał mający doprowadzić do oficjalnego spotkania napłynął tydzień wcześniej i raczej nie wywołał politycznego trzęsienia ziemi. Właściwie należało powiedzieć, że grzecznie podziękowano, a termin starano się przesunąć jak najbardziej w czasie.

Upór Bułgarów zadziwił najbardziej doświadczonych pracowników budynku MSZ-etu przy alei Szucha 23. Ambasador Boris Stojanow zrobił się namolny. Wystawanie na korytarzach nie licowało z urzędem, który reprezentował. W końcu, po kilku dniach, prośbach i naleganiach, sprawę rozpatrzono pozytywnie. Wizytę nazwano roboczą, mającą zacieśnić wzajemne więzi oraz służyć omówieniu poszerzenia strefy bezpieczeństwa, co dla Sofii stawało się szczególnie istotne.

Ostatnie określenie wyraźnie wskazywało na to, że ktoś tam w końcu poszedł po rozum do głowy, próbując wyłamać się spod moskiewskiej kurateli.

W Warszawie nikt nie podchodził do tej sprawy poważnie, lecz w imię dobrych relacji niczego też nie komentowano, pozostawiając wydanie oficjalnego oświadczenia na czas po spotkaniu.

Samolot na Okęcie przybył równo o szóstej rano, później chwila na odświeżenie, śniadanie w towarzystwie polskiego premiera o siódmej, a zaraz potem ciąg rozmów.

Premier Andrzej Duklanowski ostatni raz poprawił krawat i przyjrzał się własnemu odbiciu w łazienkowym lustrze. Nie było źle, niewielką łysiną na czubku głowy zręcznie zaczesano. Zakola z przodu głowy były mało widoczne. Jak się już dobiega do pięćdziesiątki, nie ma co wydziwiać. I tak wyglądał lepiej niż cała rzesza równolatków, którym brzuchy wylewały się ze spodni. W jego przypadku małą nadwagę maskował świetnie skrojony garnitur.

Doradcy od co najmniej paru miesięcy próbowali namówić premiera do choćby niewielkiego poluzowania niezwykle napiętego rozkładu zajęć i zadbania o siebie.

Przyznał im rację, ze zdrowiem nie ma żartów, tylko kto zajmie się rozwiązywaniem problemów, których ilość wcale nie malała, a zdawała się lawinowo rosnać?

Nie dalej jak wczoraj odnotowano w Berlinie przypadek choroby niezwykle przypominającej tę, która spustoszyła Stany Zjednoczone. Chorego natychmiast odizolowano, a informacje o tym fakcie utajniono. Na Niemców padł blady strach. Prawdę mówiąc, na Warszawę również. Jeżeli doniesienie się po-

twierdzi, to po zabawie. Nic ich nie uratuje. Kwarantanny takiego kraju jak Niemcy po prostu nie da się przeprowadzić. Należałoby otoczyć wszystko murem, ustawiając strzelców co dwa metry i walić do każdego, kto podejrze na bliżej niż dwadzieścia metrów, tak jak to miało miejsce w Meksyku.

Pamiętał te wstrząsające relacje -- aż trudno uwierzyć, że działo się to w dwudziestym pierwszym wieku.

Meksykanie okazali się bezlitośni -- wybijali wszystkich, nie oglądając się na płeć i wiek. Ginęły całe rodziny, dzieci... Z zamkniętego pokazu filmu dotyczącego tych wydarzeń wyszedł w połowie. Nie można po obejrzeniu takich okropieństw pozostać normalnym. A ilu ludzi pochłonęła pustynia? Już niespełna tydzień po tym, jak zaraza uderzyła z pełną siłą, helikopterowe patrole armii i policji meksykańskiej zapuszczały się daleko w głąb USA, strzelając do każdego próbującego zbliżyć się do granicy i tworząc w ten sposób odizolowaną strefę. To przypominało polowanie na groźnego drapieżnika, ale, na miły Bóg, mieli do czynienia z ludźmi... Obrazy ze śmigłowców oddziaływały na umysł bardziej niż te statyczne z ziemi. Broń maszynowa i snajperska, automaty skierowane na tych, którzy jedynie próbowali przeżyć.

Komórka polskiego wywiadu w Mexico City dwoiła się i troiła, starając się zdobyć przydatne dane. Jej budżet wzrósł parokrotnie, podobnie jak reszty placówek w całej Ameryce Łacińskiej. Informatorzy kosztują, co do tego nie było wątpliwości.

Jak się wydaje, najbardziej skuteczną metodą walki z epidemią okazało się wysiedlenie wszystkich cywilów w odległości stu kilometrów od granicy. Operację wykonano wzorcowo. Ciudad Juarez, Matamoros i Mexicali wypalono do cna. El Paso przy okazji też. Nie oszczędzono nikogo i niczego. Własną ludność wypędzono, Amerykanów wystrzelano. Na Pacyfiku i w Zatoce Meksykańskiej było jeszcze łatwiej. Floty Kuby, Kolumbii, Wenezueli i Brazylii tropiły każdą jednostkę cywilną, jaka się nawinęła, resztą zajmowały się rekiny. Obszar wokół Florydy stał się kolejną strefą śmierci. Bracia Fidelowie, w imię wyższych racji, nie przepuścili nikomu.

Nie obyło się bez pomyłek. Marynarka wojenna USA to mimo wszystko nie amatorzy. W jednym starciu posłali na dno peruwiański niszczyciel, kolumbijską fregatę oraz trzy kubańskie patrolowce i najzwyczajniej w świecie odpłynęli. Podobnie działo się na północnym Pacyfiku i Atlantyku. Tam rolę zapory pełniła flota rosyjska i choć dochodziło do incydentów, nie było ich wiele. Epidemia zaistniała tu fragmentarycznie i Rosjanie poradzi sobie z nią we własnym zakresie.

A przecież wydarzenia w Stanach Zjednoczonych, i poniekąd w Kanadzie, to tylko jeden z problemów.

Grecja i Turcja tłukły się w najlepsze. Grekom się nie dziwił, im chodziło o własną wolność, ale co opętało Ankarę? Jak do tej pory Turcy zawsze zachowywali się w miarę rozsądnie. Analitycy wysnuwali najróżniejsze przypuszczenia. Jedni uznawali ich za sprawców wybuchu epidemii, co wydawało się mocno naciągane, a inni sugerowali, że Ankarą kierowała chęć wykorzystania okazji, jaka się nadarzyła. Wszyscy wskazywali na postać generała Sulejmana Dżabbara jako tego, który obecnie kierował państwem. Sygnały wysyłane przez Ankarę mogły zmylić najbardziej wytrawnych polityków. Z jednej strony, chciano całkowicie upokorzyć Greków, a z drugiej -- umizgi wobec Warszawy wydawały się całkiem

szczerze. Nawet przerzucenie korpusu na Węgry przyjęto ze zrozumieniem, przecież każda ze stron zabezpieczała własne interesy.

Podczas spotkania ministra spraw zagranicznych z tureckim ambasadorem poruszono tę kwestię. Jak usłyszano, Ankara w pełni rozumie pomoc dla Węgier i nie wnosi najmniejszych zastrzeżeń. Zasugerowano nawet powołanie specjalnej komórki międzypaństwowej, mającej reagować na powstałe zagrożenia. Trudno powiedzieć, co też to może oznaczać.

A poza tym jest jeszcze Syria, kocioł, o którym już wszyscy zapomnieli, a niedługo przypomną sobie znowu.

Wszystko z jednego prostego powodu -- przez Bosfor nie przejdzie już ani jeden rosyjski okręt i to nie dlatego, że szlaki żeglugowe przez Morze Egejskie są zamknięte i każdy może zarobić rakietą, ale ponieważ Ankara tak chce. Traktatami i uzgodnieniami można sobie podetrzeć tyłek.

Kto się im postawi? Floty Włoch, Francji i Wielkiej Brytanii się nie zainteresują, woląc pilnować żeglugi, a właściwie jej braku, na Atlantyku.

Parę okrętów Floty Czarnomorskiej utknęło na Cyprze i w porcie Tartus w Syrii. Pojedyncze sztuki rozrzucone były na całym Morzu Śródziemnym. Nawet skupione razem są bez szans. Na Morzu Czarnym podobnie. Jak się wydawało, tureckie siły powietrzne i morskie do tej pory nie rozbiły Greków wyłącznie z jednego powodu -- otóż pilnowały tego, co Rosjanie robią na Krymie.

W Moskwie konsternacja, nikt nie spodziewał się takiego kroku ze strony Ankary. Wewnętrzne tarcia poszczególnych frakcji, walczących o schedę po poprzednim prezydencie, wciąż dawały o sobie znać. Jedynie szybka koncentracja armii wzdłuż wybrzeża Morza Czarnego i groźba prewencyjnych ataków na północne wybrzeże mogła spowodować wyjście z impasu. Należało się śpieszyć, dopóki trwał konflikt z Grecją. Zresztą i tu dało się słyszeć głosy, że upór Aten to być albo nie być dla Federacji. Po wyeliminowaniu z tego równania wyspiarskiego państewka cała potęga Osmanów zostanie zwrócona na północ i wschód.

O jakiejś szarpaninie na Morzu Południowochińskim nawet nie chciało się Duklanowskiemu myśleć. Dostanie wyciąg wywiadu wraz z opinią, co to prawdopodobnie oznacza. Na Chiny, jeżeli kiedykolwiek, przyjdzie jeszcze czas.

Wszedł do krótkiego korytarzyka i skierował do się do sali, gdzie już go oczekiwano.

Trudno powiedzieć, ile w tak zwanym roboczym śniadaniu było jedzenia, a ile rozmowy. Oczywiście, posiłek zawsze podawano, ale generalnie popijano jedynie kawę. Jedzenie przeszkadzało w rozmowie.

Pewnej pikanterii całej sprawie dodawał fakt, że premierem Bułgarii była kobieta -- Elena Dimitrow, osoba dobrze po pięćdziesiątce, z mocnym, wyrazistym makijażem, uchodząca za zrównoważoną i kompetentną, a w razie konieczności niestroniącą od populizmu.

Była niższa od Duklanowskiego o jakieś piętnaście centymetrów. Obdarzyła polskiego premiera promiennym uśmiechem, którym chciała go najprawdopodobniej olśnić.

Nic z tego, moja droga. W rankingu urody Dimitrow plasowała się gdzieś na końcu peletonu, choć nie można było jej odmówić pewnego uroku. Duklanowskiemu kojarzyła się z partyjnym aparaczykiem, który zmienia poglądy w zależności od tego, z której strony wieje wiatr.

Kelner nalał kawy do filiżanek. Z podanego półmiska premier nałożył sobie na talerz plaster wędliny. W końcu musi też coś zjeść.

-- Panie premierze -- rozpoczęła Elena Dimitrow -- jestem głęboko wdzięczna, że zechciał pan poświęcić czas mojej skromnej osobie -- mówiła całkiem znośnym, lecz mocno chropowatym polskim.

Zaskoczyła go.

-- Pani świetnie mówi w moim języku.

-- W okresie studenckim uczestniczyłam w wymianie.

-- A gdzie, jeżeli mogę zapytać?

-- W Krakowie.

Duklanowski rzucił srogie spojrzenie w stronę szefa MSZ-etu, lecz ten odpowiedział wzruszeniem ramion.

Pogadają sobie później.

-- Muszę przyznać, że prośbą jestem mocno zaskoczony.

-- Dlaczego?

Nie zostałyby premierem, gdyby nie potrafił szybko zbierać myśli.

-- Kierunki waszej polityki były ostatnio nieco... chaotyczne.

-- Przecież należymy do Unii i sojuszu.

-- To oczywiste.

-- Jeden krąg cywilizacyjny...

-- Niezupełnie. -- Z uśmiechem pozwolił sobie na wbicie szpilki. -- Wy jesteście prawosławni, a my należymy do kręgu kultury łacińskiej.

-- To ma znaczenie?

-- Ależ skąd.

Niepokój, a nawet przestach w oczach Dimitrow omal nie rozbawił Duklanowskiego.

Bułgarię z Rosją wspólna religia zawsze będzie łączyć. Z Polską nie, i to była zasadnicza różnica. Nad Wisłą nikt nie będzie szukał usprawiedliwienia dla barbarzyństwa, a wymysły różnej maści rusofilów o nieliczeniu się z realiami nigdy nie znajdą szerszego poparcia. Tak było, jest i będzie. Aksjomat polskiej polityki był znany każdemu.

-- Otóż... -- Jajko na twardo na talerzyku Dimitrow wciąż pozostawało nietknięte. -- Zaszły pewne okoliczności. Niektórzy nasi sąsiedzi okazali się nieprzewidywalni.

-- Boli mnie, kiedy widzę, co się wyprawia. -- W końcu ugryzł kawałek chleba i zaczął wolno przeżuwać.

-- Gwarancje bezpieczeństwa, jakie posiadamy... posiadaliśmy, nie w pełni odpowiadają naszym oczekiwaniom.

-- Niedawno w rozmowie z przedstawicielem polskich sił zbrojnych zostałem poinformowany o trwającej w Bułgarii misji wojskowej.

-- Mówi pan o tych sześciu francuskich samolotach mających wspomóc południową flankę NATO?

Duklanowski przytaknął.

-- Odleciały cztery tygodnie temu. Obecnie... jak to powiedzieć, kwatery główna paktu nie widzi potrzeby przedłużania misji, która wyczerpała swoją formułę.

-- Tak powiedzieli?

-- Niestety.

Zdaje się, że Sofia miała kompletnie przerąbane. Nie znał stanu faktycznego tamtejszych sił zbrojnych, ale potencjał nie był duży.

Od samego początku wiedział, co gryzie Bułgarów. To strach przed Turcją. Dziesięciolecia prześladowań mniejszości narodowych mogą się nagle zacząć mścić. Nie chciał tego mówić głośno, ale tak właśnie było. Wspólnotę turecką prześladowano już od lat pięćdziesiątych. W wyniku represji śmierć poniosły tysiące osób, dziesiątki tysięcy uciekły. To nie wymysł, wystarczyło zajrzeć do podręcznika historii.

Robili to z głupoty czy też żeby się przypodobać Wielkiemu Bratu? I nagle, kiedy wiatr zaczął wiać z drugiej strony, zrobiło się nieciekawie.

Wiedział, co Dimitrow chce powiedzieć, lecz nie zamierzał jej tego ułatwiać.

-- Tak się jakoś stało... -- Chrząknęła, ukrywając zmieszanie, i upiła mały łyk kawy.

Nad stołem zaległa cisza.

Duklanowski z kamienną twarzą, choć wewnętrznie całkowicie rozluźniony, zabrał się do jedzenia. Można by powiedzieć, że postanowił skorzystać z okazji. Każdą godzinę, aż do późnego popołudnia, wypełniała mu masa zajęć. Jeśli nie zje teraz, to kiedy?

-- Z powodów, o których pan zapewne wie lub których się pan domyśla...

Duklanowskiego wzięła ochota na sałatkę, to w końcu same warzywa, nie przytyje od tego za bardzo.

-- Tak, tak, ja słucham. -- Mimo wszystko nie przestawał kontrolować rozmowy.

-- Mój kraj, ja... jesteśmy zmuszeni rozejrzeć się za nowymi sojusznikami, traktującymi poważnie zobowiązania.

-- A co ja mogę?

-- Jak to? -- Dimitrow wydawała się zaskoczona. -- Jest pan przecież premierem rządu najsilniejszego państwa Grupy Wyszehradzkiej. Wasze oddziały już dotarły na Węgry i przystąpiły do wykonywania zadań.

-- Pani premier... -- Duklanowski powstrzymał Dimitrow od wypowiedzenia zbyt wielu słów. -- Dopiero dyskutujemy, zastanawiając się nad przyjęciem odpowiedniej formuły. Decyzje prawdopodobnie będą podejmowane kolegią, na pewno powstaną regionalne struktury, ale nie od razu. Jak na razie istnieje tylko wola polityczna, cała reszta jest w rozsypce.

Nie musiał jej mówić o wszystkim. Równie dobrze mógłby na spotkanie zaprosić rosyjskiego ambasadora. Fakt pozostawał faktem. W ostatnich gorących tygodniach dokonano wiele. Każdy chciał, by to u niego znajdowało się centrum koordynacyjne połączonych sił polsko-czesko-słowacko-węgierskich. Czesi i Węgrzy stoczyli ostrą debatę. W końcu uzgodniono powołanie nowej struktury z dowództwem centralnym w Pradze. Wszystkie koszty brali na siebie Czesi i dzięki Bogu, bo polski budżet już ledwo dyszał. Co najmniej tysiąc oficerów i ekspertów, z tego połowa Polacy i Amerykanie, miało brać czynny udział w pracach powstałych komórek. Każda stolica dostała mniejsze regionalne dowództwo: północ

Warszawa, południe Budapeszt, wschód Bratysława oraz kierunek zachodni Praga, ten ostatni na razie najmniej zagrożony.

Uczestnictwo trzech pozostałych krajów odciążało Polskę. Nie dało się złapać wszystkich srok za ogon. To niewykonalne. I tak wszyscy wiedzieli, kto gra pierwsze skrzypce i rozdaje karty.

Akces Bułgarii wszystko komplikował.

-- Pani premier, jest mi niezmiernie miło, że ma pani o nas jak najlepsze zdanie, ale nas nie łączy nawet wspólna granica.

Na takie stwierdzenie Dimitrow nie znalazła odpowiedzi.

Wielkiego problemu nie było. Rumuni również wyrażali zainteresowanie, na razie sondując stanowisko Warszawy, ale wystosowanie przez nich prośby o pełne uczestnictwo, a nie jedynie w roli państwa stowarzyszonego, wydawało się kwestią dni, jeżeli nie godzin. Jednak o tym Dimitrow nie musiała wiedzieć.

Rumuni nawet zadziwili Duklanowskiego, powołując się na ideę międzymorza samego marszałka Piłsudskiego. Jak widać, niektórym historia mocno zapadła w pamięć.

-- Podjęcie jednoznacznej decyzji może się nie spodobać pozostałym przedstawicielom. Proszę mnie zrozumieć, taka inicjatywa wymaga paru dni namysłu i szeregu wzajemnych konsultacji.

Jeżeli Dimitrow wydawało się, że uda jej się oczarować Duklanowskiego za jednym posiedzeniem, to grubo się pomyliła.

-- Kiedy mogę oczekiwać odpowiedzi?

Duklanowskiego aż skręcało w środku. W takich kwestiach unikano jednoznacznych odpowiedzi. Czy ta kobieta nie słyszała o dyplomacji? Tu nic nie działało się tak od razu. Niemcy jeszcze nie ochłonęły po tym, jak Polska przyjęła na swoje terytorium armię państwa, które praktycznie przestało istnieć.

Powstanie zupełnie nowego tworu polityczno-militarnego tuż pod bokiem zachodniego sąsiada musiało irytować, mimo że Berlin do tej pory nie zajął żadnego oficjalnego stanowiska. Tak szybki rozrost koalicji doprowadzi Niemców do wściekłości. Nic im nie zrobią, choć ich wzajemne stosunki były napięte do granic możliwości.

Duklanowski w duchu zachichotał -- może zaproponować, by rurę Nord Stream opodal Świnoujścia, przecinając polski tor wodny, zakopali głębiej, jak się do tego zobowiązali, bo teraz stanowi zagrożenie dla podchodzących na redę jednostek o zanurzeniu powyżej piętnastu metrów. Odpowiedzialność za katastrofę ekologiczną spadnie na Niemców.

Ciekawe, co powiedzą?

-- Proszę nie tracić nadziei -- odparł. Przedłużająca się cisza zaczęła go drażnić. -- Jeszcze dziś zapytam, jak na ten pomysł zapatrują się sojusznicy.

-- Jestem panu niezmiernie wdzięczna.

-- Nie przesadzajmy. -- Nadeszła pora na przejście do lżejszych tematów. -- Tegoroczny Konkurs Chopinowski stał na naprawdę wysokim poziomie. O ile pamiętam, wasz przedstawiciel znalazł się w finale.

Elena Dimitrow wydawała się zaskoczona zmianą w postawie Duklanowskiego.

-- Prawdę mówiąc...

-- Tak mi się wydaje, że w Polsce prawdziwie narodowy pozostał już tylko ten konkurs, całą resztę diabli wzięli.

Na popołudniowym spotkaniu z przedstawicielami najważniejszych resortów nie było już tak przyjemnie. Przez Bułgarów przemawiał strach, a jak wiadomo, to nie jest dobry doradca.

Już samo przyjęcie Sofii do NATO zakrawało na kpinę. Wielu zadawało sobie pytanie, po co tak naprawdę USA takie państwo. Odpowiedź była nad wyraz prosta -- lepiej, gdy to my sprawujemy kontrolę nad ich zasobami wojskowymi, a nie wróg. Położenie kraju też miało znaczenie. Granica z Grecją i Turcją, porty nad Morzem Czarnym, zdolność oddziaływania na państwa regionu -- to wszystko było ważne, nie tylko dla Waszyngtonu, dla Warszawy również.

Duklanowski wciąż uznawał siebie za gracza drugiej czy wręcz trzeciej kategorii na arenie międzynarodowej. Pewnego sposobu myślenia nie dawało się przestawić ot tak, w ciągu paru dni. Kiedyś należało się oglądać na innych. Zawsze istniała cała masa większych i mniejszych braci. Ewentualnie ponadnarodowe korporacje. Prezesi największych z nich dysponowali zasobami, o jakich można było pomarzyć.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął długopis i zaczął robić notatki -- koniecznie należało sprawdzić, co się stało z aktywami takich firm jak General Electric, Lockheed czy Facebook. Przecież nie rozplynęły się w powietrzu, gdzieś to wszystko zostało ulokowane -- pytanie, gdzie. Co z pracownikami, specjalistami, naukowcami, księgowymi? O prezesów się nie martwił, ci prysnęli prywatnymi odrzutowcami. A technologie? Nie cofną się przecież do średniowiecza. Obecnie, nie bez powodu, prawdziwy boom przeżywały firmy farmaceutyczne i zajmujące się biotechnologiami. O lotach w kosmos zapomniano, ale rozmowa z Banachem uświadomiła premierowi, że postęp dokonuje się nieustannie. Nikt nie wyciągnął wtyczki z kontaktu.

Co się stało z bronią atomową? To kolejne pytanie, na które nikt nie potrafił znaleźć jednoznacznej odpowiedzi. Z dobrze poinformowanych źródeł słyszeli tylko, że wszystko jest pod kontrolą. Problem w tym, że nikt nie wierzył pracownikom administracji, która uciekła na Hawaje. Taka bomba to nie odważnik gimnastyczny, należało ją konserwować, inaczej... hm... do zagrożenia epidemią trzeba będzie dodać skażenie radioaktywne.

Wyciągnąć to od nich czy unieszkodliwić? I tak najpotężniejszym państwem atomowym stała się Federacja Rosyjska.

Czy on musi zajmować się wszystkim? Na razie należało przedyskutować problem Bułgarów.

-- Jak panowie zapatrują się na propozycje pani Eleny Dimitrow?

-- Wybrała najlepszą opcję dla swojego kraju. -- Szef MSZ-etu Krzysztof Woreniak wyglądał na zadowolonego.

-- A mnie się wydaje, że to próba wpuszczenia nas w kanał. -- Szef sztabu armii Tomasz Rozłucki nie tryskał entuzjazmem. -- Próbują wyciągnąć gorące kasztany cudzymi rękoma. Sami nie mają niczego.

-- Jak to nie?

-- Ich armia jest śmiechu warta, żaden potencjał. Mogą stać na granicy i machać chorągiewkami na powitanie wkraczających Turków. Tylko na tyle ich stać. Oczywiście, w razie czego cały ciężar spadnie na nasze barki.

-- Musimy sobie odpowiedzieć na pytanie, jakie skutki będzie miało podpisanie takiego traktatu -- stwierdził Wareniak.

-- Rozpraszamy środki, które dopiero konsolidujemy, próbując oszacować ich wartość -- odpowiedział Rozłucki.

-- To pan nie wie, czym dysponuje?

-- Wiem dobrze, ale zorganizowanie doskonałej maszyny do szatkowania przeciwnika wymaga czegoś więcej niż najnowocześniejszych czołgów i wozów bojowych. Prawdziwą wartość stanowią ludzie, proszę o tym nie zapominać. Jak na razie dysponujemy składanką jednostek. Na zgranie potrzeba miesięcy. Żołnierze muszą sobie ufać, a także ufać nam. To, że ich przygarnęliśmy, nic jeszcze nie oznacza. Dla wielu to wciąż jeszcze abstrakcja, kolejny wyjazd, dziś Somalia, jutro Opole. Pewne fakty dopiero zaczynają do nich przemawiać. Czy panowie wiedzą, jaki jest wskaźnik samobójstw w tych nowych grupach bojowych? -- Rozłucki powiódł ponurym spojrzeniem po zebranych. -- Tak myślałem.

-- Proszę nam powiedzieć.

-- Od początku odnotowaliśmy dwieście czterdzieści aktów samobójczych.

Generałowi odpowiedziała pełna niedowierzania cisza.

-- Nie przesłyszeliście się. Wszyscy to Amerykanie. Ci ludzie nie radzą sobie z problemami. Zatrudniliśmy nowych psychiatrów i psychologów. W razie podejrzenia depresji czy odchyleń kierujemy ich do specjalistycznych ośrodków. Jeden z hoteli, ten w Białce Tatrzańskiej, zostanie przeznaczony na szpital dla weteranów.

-- Dlaczego właściwie tak się dzieje?

-- W większości to młodzi ludzie. Wstąpili do armii, bo brakowało im na studia, dla niektórych była to szansa wyrwania się z paskudnej dzielnicy. Powodów jest bez liku. Po paru latach chcą wrócić do domu, ale jego już nie ma. Niczego nie ma. Jedyne, co dostają, to propozycja przeniesienia się do nowej armii w kraju, którego nie potrafią zlokalizować na mapie. Jakby tego było mało, od razu wysyłamy ich na małą wojenkę. Jak panowie sądzą, to dobry pomysł czy nie?

-- Nie wiedziałem, że jest aż tak źle. -- Duklanowski wydawał się poruszony.

-- Chcąc na nich liczyć, musimy pozwolić im najpierw zapuścić korzenie, znaleźć nowy dom. Później zaczniemy wymagać.

-- Akurat na taki luksus nie możemy sobie pozwolić. -- Wareniak był nieporuszony.

-- I mnie się wydaje, że propozycja przyszła nieco za wcześnie. -- Rozłuckiego poparł Banach. -- Przegrupowanie do Bułgarii to już wyraźny znak dla Turków, ingerowanie w strefę, którą oni sobie zastrzegli.

-- I mamy im na to pozwolić?

-- Oczywiście, że nie -- uśmiechnął się szef wywiadu wojskowego. -- Co najwyżej ich zirytujemy. Ile jednostek musielibyśmy wysłać do Bułgarii, chcąc podejść do zagadnienia realnie?

-- Połowę armii. -- Rozłucki nie bawił się w niuanse.

-- Właśnie.

-- To korpus węgierski nie jest dostatecznie mocny? -- zdziwił się Wareniak. -- Myślałem, że wystarczy skierować ich dalej na południe.

-- I problem sam się rozwiąże? Aż tak dobrze to nie ma. Na razie jesteśmy dopiero w fazie dyslokacji. Na miejscu znajduje się jedna brygada, druga w eszelonach. Parę mniejszych jednostek trafi tam w ciągu tygodnia. Wspólnie z Węgrami planujemy serię ćwiczeń. Jeżeli chcemy, aby nasza południowa flanką była naprawdę mocna, to nieodzowne.

-- Budapeszt nie myśli o przeorganizowaniu armii?

-- Już się za to zabrali, co pozwoli nam na przeniesienie tymczasowego składu ciężkiego wyposażenia spod Tarnowa do Szeged. Jest tego w sam raz na jeden wzmocniony batalion ciężki.

-- Ciężki, to znaczy?

-- Abramsy, Bradleye, Strykery -- wyliczył Rozłucki.

-- Dobrze, już zrozumiałem.

-- To załążek nowej brygady pancерnej, jaką chcemy zorganizować.

-- Czy nasze jednostki trafią tam na stałe?

-- Będzie się to odbywać w systemie rotacyjnym, panie premierze. O tym, kto pojedzie tam w następnej kolejności, zdecydujemy nie szybciej niż w październiku.

-- Dobrze, ale to wciąż nie rozwiązuje problemu Bułgarów. Mamy ich tak zostawić, Turkom na pożarcie?

-- Sami są sobie winni -- burknął Rozłucki.

-- Bez przesady. Bułgaria i Turcja to trudne sąsiedztwo, ale jakoś sobie do tej pory radzili -- odpowiedział Wareniak. -- Najgorsze, że nie możemy ani ich zostawić, ani im pomóc.

-- Tyle to i ja wiem. -- Oczy Duklanowskiego ciskały gromy.

-- Wydaje mi się, że jest pewne rozwiązanie. -- Banachowi zdawało się, że uchwycił sens tego, co należało zrobić. -- Spróbujmy nawiązać nieco ściślejsze więzi. Zobaczymy, jak zareagują Moskwa i Ankarą. W ramach pomocy wyślemy kilkudziesięciu doradców wojskowych, niech zorientują się na miejscu, jakie są konkretne potrzeby i czy tej pomocy w ogóle oczekują.

-- Ankarą nie będzie zadowolona.

-- Wcześniej nieoficjalnym kanałem poinformujemy o tym Turków. To będzie taki gest dobrej woli, wiecie, jak jest, nie musicie się obawiać, w razie czego...

-- W razie czego co zrobimy? -- zapytał Krzysztof Wareniak.

-- No, bo ja wiem... dogadamy się? -- Niedomyślność szefa MSZ-etu działała Banachowi na nerwy.

-- Dogadamy się ponad głowami Bułgarów?

-- Widzi pan w tym coś złego? To polityka, nie przedszkole.

-- Panu generałowi doraźne korzyści wyraźnie przysłaniają cel długofalowy -- jadowicie odciął się Wareniak.

-- O jakim celu pan mówi?

-- Idei międzymorza, w którym Bułgarzy stanowią rodzaj pomostu na Kaukaz, do Gruzji. Zresztą Bałkany od dawna pełnią ważną rolę w naszej polityce. O ile Grecja znajduje się za daleko, to już Chorwację, Węgry, Rumunię i właśnie Bułgarię połączyłbym ścisłym sojuszem.

-- Ja doskonale rozumiem, co pan chce powiedzieć. Zaraz usłyszymy o idei prometejskiej, czy nie tak?

-- Banach mówił powoli i spokojnie. -- Tylko że ja tę ideę wprowadzam w życie na co dzień, a nie od święta, i proszę mi tu nie wyjeżdżać z takimi banałami. Jak na razie Bułgaria znajduje się poza strefą.

-- No to zacznijmy ją wciągać.

-- A co ja innego zaproponowałem?

-- Dość. -- Premier był bliski migreny. -- Pomysł generała wydaje się sensowny. I wilk będzie syty, i owca cała. Proszę znaleźć odpowiednich kandydatów. Im szybciej zabierzemy się do reformowania tamtejszej armii, tym lepiej dla nas.

-- System szkoleń taki jak dla Węgier i Słowacji?

-- Można go zmodyfikować.

-- Ja bym wprowadził naszych ludzi do sił specjalnych. W tym jesteśmy naprawdę dobrzy.

-- Doskonały pomysł.

-- I jeszcze...

-- Panie generale, o pewnych rzeczach nie chcę wiedzieć.

-- Rozumiem.

-- Proszę działać według własnego rozeznania.

-- Oczywiście.

W głowie Banacha już uruchamiały się odpowiednie trybiki. Jak wiadomo, siły specjalne były powiązane ze służbami. Jeżeli przyjęcie Bułgarii do sojuszu miało być sensowne, należało wyłuskać odpowiednich ludzi, zakręcić się przy systemach wewnętrznej łączności, zweryfikować pracowników resortów itd.

Szykowało się sporo roboty.

W działaniach wojennych nastąpiła wyraźna przerwa. Ostrzały nie były tak intensywne jak wcześniej, w niektórych punktach ustały zupełnie. Wydawało się, że obie strony wyczerpały siły i nieprędko przejdą do kolejnej fazy zacieklej walk.

Piotra Halickiego bolało całe ciało, mniejsze stłuczenia i skaleczenia już się zagoiły, ale siniaki na nogach i żebrach wciąż utrudniały przejście paru metrów bez stękania. Fizycznie był wrakiem, o psychice szkoda mówić. Tak wyprany z emocji nie czuł się jeszcze nigdy. Zmuszał się do oddychania i nie było w tym żadnej przesady. Najchętniej przesiadywał pod zacienionym daszkiem, patrząc w dal.

Pustynia urzekała.

Gównno tam.

Wkurwiała. Od tego piachu robiło się słabo, upał powalał wielbłądy, a woda ze studni była obrzydliwa i mulista.

Na dworze nie siedział bez powodu. Spod na wpół przymkniętych powiek obserwował. A było co.

Z poprzedniej osady zostali przeniesieni do miasteczka, a raczej sporej wsi. Urzędował w niej sam Hamid al-Hamadani. W kilku ostatnich bitwach poległo sporo bojowników z oddziału amira. Na ich miejsce przyszli kolejni, w tym oni. Jak się zdawało, Wickfield nie znalazł niczego, co dyskwalifikowałoby Sznajdera, majora i Galińskiego. Sprawdzili się jako żołnierze, i to doskonale. Tu łatwo było umrzeć, dużo trudniej udowodnić swoją przydatność. Im się udało. Sznajder i Galiński zajęli się szkoleniem nowych rekrutów.

Co dziwne, młody zaaklimatyzował się świetnie. Wykonywał zadania bez oporu, marudzenia czy niepotrzebnych komentarzy. Wydorósł. Nie był już tym dupkiem, którego spotkał pierwszego dnia. A Sznajder to Sznajder. Wydawało się, że mało co robi na nim wrażenie. Był w tym podobny do młotka -- użyj, odłóż, nie zwracaj sobie nim głowy.

Halickiemu życie przychodziło z większym trudem.

Nogi mu zeszywniały od siedzenia w kucki. Wstał, słysząc, jak trzeszczą mu stawy. Zamarł w bezruchu, gdy dojrzał Wickfielda. Drań stał się niezastąpionym pomocnikiem Hamadaniego. Niemal pieskiem pokojowym.

Generalnie robił za gońca. Pojawiał się i znikał o najróżniejszych porach. Parę razy major widział, jak dźwiga za amirem torbę z laptopem.

Właśnie.

Jak na razie al-Hamadani nie spowiadał się Sznajderowi ze swoich planów i trudno było orzec, czy tak się kiedykolwiek stanie. Na pewno był kimś ważnym. Do takich spraw Halicki miał nosa. Tkwili tu trochę bez sensu. Dane, jeśli je już pozyskają, będą posiadały ograniczoną wartość. Prawdziwie cenne informacje tkwiły w dwóch miejscach: w głowie Hamida al-Hamadaniego i w jego laptopie.

Amira raczej nie porwą. Opcja z laptopem wydawała się bardziej obiecująca.

Jak na razie nic do siebie nie pasowało. "Rewelacje" Galińskiego odnosiły się do jednego -- młodeму udało się rozpoznać język, którym posługiwali się goście amira. Był to koreański. Jak widać, miesz-

kańcy półwyspu też są zainteresowani dżihadem. To zresztą wcale nie musieli być islamiści, jeżeli już, to agenci wywiadu, próbujący negocjować uwolnienie Bogu ducha winnego zakładnika.

Okoliczności szybko się zmieniały, a oni nie o wszystkim wiedzieli. Właściwie prawie codziennie wysłuchiwali płomiennych przemów nawiedzonego starca, który ciskał gromy na wszystkich wrogów kalifatu i samego Abu Bakra al-Baghdadię w szczególności. Indoktrynacja przynosiła zamierzony skutek wśród co bardziej zapalczywych członków oddziału. W normalnej armii jest tak, że śmierć w walce jest pewnym akceptowalnym faktem. Tu im się mówiło, że i tak zginą. Któraś bitwa będzie tą ostatnią i odejdą do raju, gdzie... Ta gadka nie działała na majora w najmniejszym stopniu.

Rysowało się parę możliwości -- dać w łeb Hamadaniemu lub zabrać mu laptop i wiać gdzie pieprz rośnie. Inaczej stanie się tak, jak przepowiadał imam.

Do Al-Majadin pojechali po amunicję. W Państwie Islamskim istniało nawet specjalne ministerstwo zajmujące się produkcją uzbrojenia i choć było ono nieudolne, to jakoś tam funkcjonowało. Bomby, miny i moździerz produkowane w improwizowanych warsztatach odbiegały jakością od tych z fabryk państwowych, niemniej sprzęt był, i to w całkiem pokaźnej ilości.

Do toyoty załadowali skrzynki z amunicją. Wcześniej major przyjrzał się, jak jest wykonana. Nie lubił jej używać, często się zacinała, a podczas walki to kłopot. Jeden z chłopaków zginął przez taką nedoróbkę. Mógł rozwalić wroga z bliskiej odległości, ale nabój utkwiał w lufie. Piechur syryjskich oddziałów rządowych okazał się lepiej przygotowany.

Niedaleko znajdował się bazar. Rozejrzy się, może trafi na towar lepszej jakości.

Stragany zawalone wszelkiej maści tandetą ominął szerokim łukiem. Część na pewno pochodziła z szabru. Skąd brać atrakcyjny towar w warunkach wojennych? Kupujących raczej niewielu. Nikt nie wyda pieniędzy na niepotrzebne luksusy. Na jedzenie tak, o całej reszcie należało zapomnieć.

Znalazł odpowiedni punkt wypełniony bronią. Handlarz o przymilnym uśmiechu wyskoczył zza stołu zawalonego karabinami. Na pierwszy rzut oka były tu wszystkie wersje Kałasznikowa, od najstarszych po najnowsze AK-12.

-- Czym mogę służyć, panie?

Halicki zbył pytanie. Podszedł do długiej taśmy, w ogniwa której wciśnięto pociski. Sprawdził oznaczenia na kryzie -- towar pochodził z Egiptu. Obok magazynki w nawoskowanym papierze. Wybrał dzie sięć.

-- Mam nóż rosyjskiego komandosa. -- Mężczyzna przebierał nogami z niecierpliwości.

-- Tylko to. -- Arabski majora z każdym dniem był coraz lepszy.

Wyjął dwadzieścia dolarów i wcisnął handlarzowi.

-- To mało, panie.

-- Nie nadużywaj mojej cierpliwości.

-- Ale...

Odwrócił się w stronę kupca i pchnął go na stół.

-- Więcej nie dam.

-- Poskarżę się.

-- Rób, co chcesz.

Mało prawdopodobne, by odważył się pójść do amira z taką głupotą, a nawet jeżeli to zrobi, to nie został okradziony. Forse otrzymał. Na ile się orientował, tyle właśnie powinien zapłacić za te parę magazynków i amunicję. Wrzucił wszystko do chlebaka i ruszył pomiędzy stragany.

Zwolnił, gdy dojrzał stertę elektronicznego badziewia. Jakieś radia, telefony... Sprawdził, czy są takie na kartę. Kupił jeden. Aparat zalogował w irackiej sieci telekomunikacyjnej. Cudownie. Kiedy ustawiono przekaźniki? A może znajdowali się tak blisko dawnej granicy, że komórka wychwyciła sygnał?

Wszystko możliwe. Na koniec gwizdnął pendrive'a. Zadowolony z zakupów wrócił do samochodu. Miał wszystko, czego potrzebował, a nawet więcej.

-- Oszalałeś. -- Artur Sznajder strzyknął śliną przez zęby i odwrócił głowę w drugą stronę. -- Odbiło ci, przyznaj się? A jednak. No nie, koniecznie chcesz popełnić samobójstwo?

-- Jak posiedzimy tu dłużej, na pewno zginieemy. Ty może chcesz zostać męczennikiem, ja nie bardzo.

Na małe konspiracyjne spotkanie umówili się kolejnego dnia, po tym, jak wrócił z transportem amunicji. W trakcie podróży starał się wszystko sobie poukładać. Jeżeli będą działali z najwyższą ostrożnością, powinno im się udać dorwać do laptopa, zgrać zawartość co istotniejszych plików, a potem tylko wyczekać sposobności do ucieczki.

Jak się szybko okazało, łatwiej powiedzieć, niż wykonać. I nie chodziło o oszukanie al-Hamadaniego. Od bezpiecznych terenów w Jordaniі dzieliły ich setki kilometrów pustyni patrolowanej przez siły pograniczne kalifatu.

Nie było w tym najmniejszej przesady. Siły pograniczne faktycznie istniały i pełniły ważną funkcję w strukturze kalifatu. Kontrolowały przepływ ludzi i przemyt -- całkiem dochodową dziedzinę, która pozwalała utrzymać płynność finansową. Generalnie działali przy granicy z Turcją, ale tu również się zdarzali. Podobnie jak siły bezpieczeństwa AMNI oddziały składały się z zaufanych ludzi.

-- Jak to sobie wyobrażasz, wejdiesz do domu amira, uruchomisz laptop, zgrasz co trzeba i spokojnie wyjdiesz?

-- Wiesz, co ci powiem, jesteś wkurwiający -- odwarknął Halicki. -- Więcej pozytywnego myślenia.

-- Wickfield waruje przy nim non stop. -- Artur sceptycznie zapatrywał się na pomysł majora.

-- A jak zabraknie Maxa, to co wtedy?

-- Chcesz go stuknąć?

-- Rozważam wszelkie opcje.

-- Akurat ta jest jedną z gorszych. Może od razu wysadzimy ten grajdoł w powietrze? Mam klucze do magazynu, jedno dobre bum i wszystko nasze.

-- Mówisz poważnie?

-- Pewnie, że nie. -- Sznajder westchnął bezradnie. -- Rozważam wszelkie opcje.

Pomysł może i miał swoje dobre strony, ale na pewno od razu ściągnie im na głowę nieproszonych gości.

W obozie dżihadystów mogli co najwyżej ufać sobie nawzajem. Cała reszta, mimo wspólnych przeżyć, stała po przeciwnej stronie barykady. To nie byli przyjaciele, tylko wrogowie. Nie należało o tym zapominać.

-- Jak często Hamadani wyjeżdża? -- Myśli Halickiego potoczyły się nowym torem.

-- Prawie codziennie -- odpowiedział Galiński. -- I za każdym razem taszczy ze sobą ten złom. Tak to wygląda. Ale jak siedzi na miejscu, to laptop pozostaje na stole, sam widziałem. Wystarczy wejść i...

-- Zrobisz to?

-- Kurwa, majorze, kto ja jestem? James Bond?

-- Przypominam, poruczniku, że został pan zaprzysiężony jako oficer wywiadu. Wszelkie wątpliwości należało zgłosić przed wyjazdem. Obecnie jest trochę za późno.

-- Pan nie mówi poważnie?

-- A jak się wam, poruczniku, wydaje? Że to gra komputerowa? Ktoś ginie i zaraz potem wstaje?

-- No nie.

-- Jeżeli kogoś obleciał strach, to w nieodpowiednim momencie i przestańcie mi tu, kurwa, pierdolić głodne kawałki.

Wydawało się, że Galiński poderwie się na baczność.

-- Nie za dużo wymagamy od naszego młodszego kolegi? -- zakpił Artur. On mógł sobie pozwolić na taki komentarz.

Halicki głębiej odetchnął. Nie chciał rugać młodego, ale najwyraźniej inaczej się nie da. Gnojek gotowy jeszcze wstąpić w szeregi kalifatu i oddać życie za Allaha.

Wyciągnął pendrive'a i wręczył Robertowi.

-- Pierwsza nadarzająca się okazja.

-- Dlaczego ja, a nie pan?

-- Bo moja obecność w pobliżu będzie podejrzana.

-- A moja to nie?

-- Do ciebie Hamadani już się przyzwyczaił -- powiedział Halicki. -- Zleciłbym zadanie Arturowi, ale wydaje mi się, że lepiej sobie poradzisz. Kopiujesz wybiórczo. Później sprawdzimy, jaką ma to wartość.

Przez trzy kolejne poranki Galiński krążył w pobliżu domu Hamida. Jak się okazało, o trzy za długo. Amir nigdy nie przebywał dłużej w jednym schronieniu ze względów bezpieczeństwa.

Wyżsi dowódcy, tacy jak on, przenosili się co parę dni. Choć głądzili o męczeńskiej śmierci, sami bardzo cenili własne życie. Należało liczyć się z tym, że niedługo zwinie manatki.

Zniknięcie al-Hamadaniego na dwadzieścia cztery godziny nie zaniepokoiło nikogo. Wraz z nim wybył i komandos SAS-u. Nawet nie musieli sprawdzać -- laptop zabrali ze sobą.

Do oddziału dołączyło dziesięcioro nowych ochotników. Sznajder wziął ich w obroty. François, któremu noga nie dokuczała już tak bardzo, również brał udział w zajęciach. Jak na kogoś, kto pracował dla organizacji humanitarnej, jego znajomość broni maszynowej mogła budzić zdziwienie.

Łgarz jak my wszyscy -- pomyślał Halicki, widząc, jak rozkłada AK-47 do czyszczenia.

Tymczasem ochotnicy pokonywali tor przeszkód, czołgali się pod zasiekami z drutu kolczastego i wspinali po pionowej ścianie. Dalej znajdował się rów wypełniony ropą i podpalony. Komu omsknęła się noga, leciał w dół. Skoro wpadł, to znaczy, że się nie nadawał. Sznajder walił krótkimi seriami nad głowami, zmuszając słabnących do większego wysiłku.

Al-Hamadani powrócił rankiem kolejnego dnia, z nikim nie rozmawiał, a nawet nie chciał znać postępów w szkoleniu. Od tego miał Wickfielda.

Halicki w końcu wpadł na pomysł zorganizowania małego pokazu, bo cóż innego mogłoby wywabić amira z przytulnej kwatery.

Następnego dnia Sznajder pognął drużynę tak ostro, że Wickfield wyszedł zobaczyć, co się dzieje.

Targanie belki, pompki, skłony, biegi -- mało kto potrafił sobie odmówić przyglądania się, jak katują bliźniego.

Amir również nie był wyjątkiem. Zirytowany krzykami i powtarzającymi się strzałami motywującymi podkomendnych chciał opieprzyć Sznajdera, ale widoku gromady zasuwejacej jak rasowi komandosi nie potrafił sobie odmówić.

-- Panie...

-- Czego chcesz?

Halicki, który wyrósł jak spod ziemi, trochę przestraszył amira.

-- To ci nowi.

-- Przecież widzę.

-- Sporo się natrudziliśmy nad ich szkoleniem.

-- Oczekujesz pochwały?

-- Za wszystko, co robię, spotka mnie nagroda w raju.

Al-Hamadani łaskawie kiwnął głową. Zupełnie nieświadomie ruszył we wskazanym przez majora kierunku.

-- Widziałem, że opuściłeś poranną modlitwę.

-- To wszystko przez tę wczorajszą baraninę, panie. Chyba mi zaszkodziła.

-- A im nie? -- Amir wskazał młodzieńców, którzy zmyślnym sposobem pokonywali dwuipółmetrową płaską ściankę.

-- Nie mam pojęcia, jak to się stało.

Przystanęli niedaleko strzelnicy. Tarcze umieszczono w odległości piętnastu, dwudziestu i dwudziestu pięciu metrów.

-- Teraz będzie najlepsze.

-- Spodziewam się.

Galiński od rana nie ruszał się z kwatery. W razie pytań miał symulować chorobę. O tę akurat nie było

trudno. Wstał z pośłania, gdy rozmowa majora z amirem ucichła w oddali. Podeszedł do wyjścia, odsunął koc na bok i wyjrzał na zewnątrz. Wyglądało na to, że wszyscy sobie poszli.

Powolnym krokiem ruszył wzdłuż glinianej ściany, rozglądając się nerwowo na boki. Dom zajmowany przez al-Hamadaniego znajdował się niedaleko. Ścisłszy w kieszeni pendrive parzył dłoń. Na ostatnie trzy kroki przywarł plecami do framugi i spróbował przeniknąć wzrokiem półmrok pomieszczenia. Serce w piersi waliło jak oszalałe.

Znalazł się w przedsionku. Pokoje były dalej. Pierwszy z nich to coś w rodzaju gabinetu -- stół, krzesła, kredensik, kilimy na ścianach. Laptopa nie dojrzał. Szlag. Drugie pomieszczenie stanowiło połączenie garderoby i sypialni -- całkiem szerokie łóżko, komoda, taboret. Gdzie się podział komputer?

W panice zaczął przetrząsać szuflady. Na wierzchu znalazł stary egzemplarz Koranu. Piękna rzecz, potrafił to ocenić, mająca na oko ze trzysta lat. Całkiem możliwe, że zrabowany z jakiegoś muzeum. Niżej szata duchownego. Oni tu wszyscy żyli na religijnym hajku. W końcu na samym dole leżał stary laptop Della. Wyciągnął go ostrożnie i położył na blacie. Ręce trzęsły mu się niemiłosiernie. Oby tylko z pełną baterią, bo wtyczki do gniazdka tutaj nie uświadczysz.

Rozłożył urządzenie i uruchomił program. Windows XP, ha, spodziewał się czegoś nowszego -- siedem albo osiem, może dziesięć, ale z tego, co słyszał, w tej wersji wszystko natychmiast lądowało na serwerach producenta.

Szybciej.

Program wgrywał się z denerwującą powolnością. Jest. Ikonki zabłysły na ekranie. Ich tytuły nic Robertowi nie mówiły. Allah, Medyna, Abu Saud, Al-Kuds -- naliczył ich około trzydziestu.

Wyciągnął pendrive'a i wsunął w port USB. Od czego zacząć? Na pierwszy ogień może Al-Kuds, co po arabsku oznaczało Jerozolimę.

Laptop wydał nieprzyjemny pisk. Zamiast treści pliku pokazał ostrzeżenie, że zawartość twardego dysku zostanie skasowana za pół minuty.

Wpadł w panikę, nie tego oczekiwał. Wyszarpnął pendrive'a, nie wiedząc, czy to w czymś pomoże.

Zachował się jak idiota, przecież należało liczyć się z tym, że pliki będą chronione hasłem, a może to wina samego pendrive'a. Skąd Halicki go wytrzasnął? Wcześniej należało wszystko sprawdzić. Może zapisany został na nim wirus i teraz... Boże, co ja narobiłem. Hamadani od razu domyśli się, że ktoś gmerał przy jego komputerze.

Odłączył zasilanie, na koniec zamknął ekran i odłożył komputer na miejsce.

Pomieszczenie opuścił bez cienia ulgi. Przystanął na zalanym słońcem placu, zastanawiając się, dokąd pójść. Najchętniej wsiadłby do toyoty i odjechał. Nie raz i nie dwa mówiło się o tym, że kalifat zatrudnia całą masę speców od elektroniki. Musieli się w jakiś sposób zabezpieczyć. Każdy, kto choć trochę siedział w temacie, słyszał o takich wirusach jak Flame, Stuxnet czy Duqu. Ten ostatni akurat wiązano z Izraelem, a jego celem był irański program atomowy. Na pewno próbowano prześwietlić także sieć dżihadystów, którzy, wiedząc o tym, nie pozostawali bierni.

Zamiast na parking, ruszył w przeciwną stronę. Jak zatoczy koło, wyjdzie na strzelnicę. Pokaz właśnie się zakończył. Niedługo ich nieczne sprawy wyjdą na wierzch. Nie sądził, by dożył do wieczora.

-- Jak było? -- zapytał major, gdy spotkali się pół godziny później.

-- Do dupy. -- Galiński nieustannie oglądał się na wszystkie strony.

-- Mów.

Wszystko, co było do powiedzenia, dawało się streścić w kilku zdaniach. Major i Artur wysłuchali ich w milczeniu.

-- Wiejemy?

-- Powoli, nie tak szybko.

-- Za pięć minut zaczną nas szukać.

-- Dlaczego zaraz nas? Jeżeli już, to wszyscy są podejrzani.

-- W takim razie ustawią wszystkich na placu, a potem...

-- No co? Rozstrzelamy samych siebie? To przecież my jesteśmy ochroną amira, nikt inny. Robimy za jego osobisty miecz na wszelkich wrogów.

-- Na pewno domyśli się, że ktoś próbował się włamać do systemu.

-- Skąd ta pewność? Sam powiedziałaś, że zamknęłaś system, zanim zdążył się zresetować.

-- Tak, ale...

-- Siedzimy na dupach i czekamy na kolejną okazję. -- Halicki uciął dalsze narzekanie. -- Artur?

-- Jestem za.

-- To jest nas większość.

-- Czyste szaleństwo.

-- Posłuchaj, czystym szaleństwem wykazalibyśmy się wtedy, gdybyśmy za twoją radą rzucili się do ucieczki na łeb na szyję. Wina ewidentna. Nikt nie będzie się z nami patyczkował. A poza tym dokąd wiać? Chłopie, zastanów się, co wygadujesz. Nasi są setki kilometrów stąd. Jak nie dorwą nas przydupasy Hamadaniego, zabije pustynia. Tego właśnie chcesz? No odpowiedz.

-- Ja już nie daję rady. -- Galiński ukrył twarz w dłoniach i zamilkł.

-- Bywa ciężko, ja to rozumiem. -- Halickiemu nie pozostało nic innego, jak poklepać młodego po ramieniu. -- W końcu... przywykniesz.

Spojrzenia majora i Sznajdera się spotkały. Obaj wiedzieli, że to gigantyczne kłamstwo, na które nie ma usprawiedliwienia.

Siergiej Iwanowicz Łomonosow od mniej więcej godziny obserwował gęstniejącą na poboczu drogi gromadę Tatarów. Pierwszą informację o nielegalnym zgromadzeniu otrzymał około siódmej rano i na miejscu znalazł się godzinę później. To jemu przypadł w udziale fakt wyjaśnienia, o co tu właściwie chodzi.

Z początku nie wyglądało to groźnie, trochę bab i dzieciaków, zбитych w trzydziestoosobową grupkę, stało na chodniku. Ruch w obu kierunkach, a była to wylotówka na Ałusztę, odbywał się bez utrudnień. Przez dwadzieścia pięć lat pracy w drogówce Siergiej Iwanowicz widział nie takie rzeczy. Najkrwawszy hollywoodzki film nie mógł się równać z ilością zwłok, które on i jego koledzy oglądali co tydzień. Śmierć kosła wszystkich równo, bez względu na płeć, wiek czy wyznanie. Kostnice pękały w szwach. Co zrobić, ktoś musiał pilnować porządku, dlatego też widok pierwszej osoby wychodzącej na jezdnię skojarzył się Siergiejowi z samobójcą. Ale nie, to nie samobójca. Po co tej kobiecie błękitno-żółta flaga? Wkrótce zwarty szereg stanął w poprzek jezdni. Samochody zaczęły zwalniać, któryś z kierowców, mających gdzieś znak o ograniczeniu prędkości, uderzył w tył kamaza. Tym zajmą się później, na razie trzeba rozgonić całe to towarzystwo na cztery wiatry.

Na wielką głowę wcisnął trochę za małą czapkę, w rękę trzymał pałkę. Zaraz sobie porozmawiają.

W towarzystwie drugiego z funkcjonariuszy, równie doświadczonego jak on, ale o znacznie większej tuszy, Aleksieja Fomina Jakowa, podszedł do żywej blokady.

-- Rozejść się -- warknął. -- No już, spierdalać, pókim dobry.

Odpowiedzią był mur pogardliwego milczenia.

-- Durne baby, życie wam niemiłe?

Na wszelki wypadek Jakow położył dłoń na kaburze z pistoletem.

-- Polityki wam się zachciało, a bodaj was...

Zamierzył się gumowym środkiem przymusu bezpośredniego, gotowy pogonić towarzystwo w cholewę.

-- Ktoś wam nawbijal do tych tępych łbów...

Zamiast walnąć na odlew, szturchnął końcówką kobietę stojącą naprzeciwko. Ta odepchnęła pałkę, przy okazji plując Siergiejowi Iwanowiczowi w twarz.

-- Już ja cię, kurwo, nauczę szacunku dla władzy.

Parszywa tatarska swołocz, buntująca się przy każdej okazji. Gdy już się zamachnął, Jakow szarpnął kolegę za ramię.

-- Czego?

Do protestu przyłączyła się grupa mężczyzn. Z boku wyjechał rolniczy ciągnik z dwiema przyczepami i na dobre zablokował przejazd. Z trzydziestu osób nagle zrobiło się pięćdziesiąt.

-- To bunt.

-- Chodź, Siergiej. -- Aleksiejowi Fominowi czerwona płachta wściekłości nie przysłoniła zdolności racjonalnego myślenia. Znaleźli się w mniejszości, krzykiem niczego nie zdziałają.

Łomonosow trochę ochłonął. Nie wyglądało to na spontaniczną próbę przypomnienia o swoich pro-

blemach, tylko dobrze zorganizowany akt obywatelskiego nieposłuszeństwa.

Doskonale, skoro tak chcecie pogrywać, musicie liczyć się z konsekwencjami. Zgody na demonstrację nie było, nikt nawet o takową się nie starał, zresztą i tak by jej nie dostał.

Siergiej podszedł do służbowej łady i sięgnął po radio.

-- Ty, Aleksiej, jaki my właściwie mamy kod?

-- Wołga Osiem.

-- To w zeszłym tygodniu.

-- Spróbuj Olga Jeden.

-- Jesteś pewny?

Jakow nie odpowiedział, wciąż gapiąc się w stronę blokady.

-- Tu Olga Jeden, potrzebuję wsparcia.

Same szumy, no ładnie, jedni już skończyli, a drudzy nie zaczęli. Co za syf. Powiódł wzrokiem w miejsce, gdzie stał kolega. Ponad ukraińskimi flagami wyrosło parę nowych, jakieś czerwone. O co chodzi? Komuniści też brali w tym udział?

Błąd zrozumiał, gdy zawiął mocniejszy podmuch. Flagi okazały się tureckie, a to zupełna nowość.

-- Tu Olga Jeden, centrala, zgłoś się.

-- Centrala, o co chodzi?

No nareszcie, szybko wyłuszczył, w czym rzecz. Niemile się zdziwił, gdy dowiedział się, że nie jest jedynym mającym takie problemy. Podobnych blokad doliczono się już czterech, i to w samym tylko Symferopolu. W różnych częściach półwyspu kolejnych kilkanaście. Jedne rozpedzili, inne czekały na interwencję, ale przerzucenie sił z miejsca na miejsce wymagało czasu. Należało obserwować, nie panikować. Posiłki były już w drodze.

Siergiejowi Iwanowiczowi humor poprawiło to nieznacznie. Po dupie nie dostanie, nie jego wina. Akcję ktoś koordynował, dojdą i do niego. Do południa odzyskają kontrolę.

-- Co powiedzieli? -- zapytał Jakow.

-- Czekać.

Ruch na ulicach był niby mniejszy niż zazwyczaj, ale wystarczyło dwadzieścia minut, a zrobił się długi korek, i to w obu kierunkach. Paru co bardziej krewkich kierowców opuściło swoje samochody i zaczęło wygrażać Tatarom. Niektórzy przyszli poskarżyć się władzy, czyli im.

Facet w skórzanym kaszkiecie na głowie, z twarzy i postury podobny do lidera komunistów Giennadija Ziuganowa, szczególnie działał Siergiejowi na nerwy.

-- Widzicie, co się wyprawia -- próbował spokojnie tłumaczyć, lecz tamten nie słuchał.

-- Sam pójdę i zrobię porządek. -- Złote zęby jakoś nie olśniły Łomonosowa.

-- A idź, człowieku, to jeszcze dostaniesz widłami pod żebra.

-- To ty idź.

-- Już ja ci, parchu, pójdę. -- Pod nos narwańca podsunął wielgachną pięczę. Facet zmył się jak niepyszny.

Do protestujących wciąż dołączali nowi. Zdaniem Łomonosowa z garstki zrobiło się ich ponad stu.

Do nich również przyłączali się kolejni funkcjonariusze. W piętnastu już nie taki strach, jak na początku.

Właściwie Siergiej Iwanowicz Łomonosow był całkiem zadowolony. Robił w drogówce, gdzie ze wszystkimi ekstra dodatkami dawało się wyciągnąć całkiem przyzwoitą pensję.

Normalnie już dawno wyleciałby na zbity pysk, ale w Rosji drogowy haracz to nic takiego. Jedyne, czego nie lubił, to nocne zmiany, wtedy łatwiej o różnych popierdoleńców, gotowych wpakować w człowieka kulę lub potraktować go siekierą. Tak działo się swego czasu w obwodzie moskiewskim i na Dalekim Wschodzie, gdzie bandy muzułmańskich zwyrodnialców mordowały podróżnych i gliniarzy.

Na samą myśl o spotkaniu z kimś takim Siergiejowi cierpła skóra. Ułomkiem nie był, ale na starość zaczynał cenić ciepłe kapcie. Powoli należało planować emeryturę. Odejdzie ze służby, zaczepi się w jakiejś firmie ochroniarskiej, a tu znowu praca na nocki. Jeśli zostanie w domu, rozpije się zupełnie, chyba że Ludmiła wcześniej roztrzaska na jego głowie ten wielki wazon, który dostali od dzieci na dwudziestą rocznicę ślubu. Już parę razy groziła, że to zrobi, a on musiał przecież jakoś odreagować stres. Gadzina.

Nie tak dawno zaczął odkładać forszę na czarną godzinę. Najpierw niewiele, po parę rubelków, później już połowę z tego, co skręcił na lewo, w końcu trzy czwarte. Im dłużej popracuje, tym więcej uzbiera. W razie czego pryśnie do Moskwy. Ma tam kumpli. Na początek wystarczy. Z czasem się urządzi. Może pozna jakąś miłą kobietę? Stary jeszcze nie był, bo co to znaczy pięćdziesiąt siedem lat? Nic. Całe życie przed nim.

Dowodzenie całością przejął młody sierżant rodem z Tambowa. Policjantom kazał założyć kamizelki taktyczne, na głowy wcisnąć hełmy, z braku tarcz i szturmowych pałek zaopatrzyli się w automaty. Teraz wyglądali poważnie i bojowo.

Dwa kamazy i ośmiokołowy BTR-80 pojawiły się koło czternastej. Żołnierze z jednostek wewnętrznych sprawnie ustawili kordon. Policjanci zabezpieczali boki.

Krótkie "rozejść się" było wszystkim, czego Tatarzy mogli się spodziewać. Nie będzie litości, prób negocjacji czy rozmów.

Widać było, że pluton mijający Łomonosowa już brał udział w akcji. Ten i ów kulał, tarcze były pogięte, a na panczeru BTR-a dostrzegł ślady sadzy, zupełnie jak po trafieniu koktajlem Mołotowa.

Miłosierny Jezu, co się wyprawia? Czy tym ludziom chodzi jedynie o bezsensowną przemoc? Historii nie da się cofnąć. Krym należał do Rosji. Koniec, kropka. Nie wycofają się stąd nigdy. To przecież ich ziemia, okupiona życiem tysięcy rosyjskich żołnierzy. Tak mówili w telewizji, a on wierzył we wszystko bez zastrzeżeń.

Ludzie rozpierzchli się na boki, kiedy transporter znalazł się o parę metrów od barykady. Rozległo się głucho i głośnie trach. Silnik wył na najwyższych obrotach. Ciągnik i dwie przyczepy, które, jak się okazało, załadowano polnymi głazami, odrzuciło na bok, ale łańcuchy spinające całość nie puściły.

Kierowca wrzucił wsteczny, biegnący z tyłu żołnierze w ostatnim momencie uskoczyli. Kordon został złamany. Nie miało to jednak większego znaczenia. Zaczęło się pałowanie.

Wydawało się, że przewaga jest po stronie Rosjan, którzy działali sprawnie, prowadzeni rozkazami przełożonych. Problem w tym, że byli w mniejszości. Tatarzy sporo się nauczyli podczas wcześniejszych

mitingów, niekiedy wystarczały im półtorametrowej długości pręty. Forsowanie takiej przeszkody było trudne, parę pik tworzyło odcinek, gdzie łatwo się było nadziać. Oczywiście opór trwał chwilę.

Łomonosow ze zdumieniem przyglądał się temu krwawemu szaleństwu. Co najmniej kilka osób zostało ciężko rannych, parę innych leżało bez czucia. Przeważali Tatarzy, choć wśród ofiar nie brakowało też umundurowanych funkcjonariuszy. Któryś z nich trzymał się za bezwładnie zwisającą rękę, innemu krew zalewała twarz, widać pleksiglasowa przyłbica nie oparła się uderzeniu prętem. Będzie miał szczęście, jeśli nie straci oka. Kobieta w średnim wieku pochyliła się nad leżącym na asfalcie dzieckiem.

Dlaczego nie ma karetek? Skoczył do radia i wywołał centralę. Jak się dowiedział, cały dostępny tabor był zajęty. Wzdrygnął się, gdy usłyszał strzały. Tego już za wiele.

-- Słyszałeś? -- krzyknął do Jakowa.

-- Petardy.

Trochę się uspokoił. Dźwięk powtórzył się jeszcze dwa razy. Nagle bardzo zapragnął znaleźć się w domu. Ten cały Krym zaczynał Siergiejowi wychodzić bokiem.

Do piętnastej ruch został przywrócony. O proteście świadczyły jedynie przyczepy i traktor odciągnięte na bok. Po kilkakrotnym zderzeniu z BTR-em sprzęt stał się pogiętą kupą złomu. Śladów krwi nikt nie zmył. Opony samochodowe rozjeździły posokę, a potem wszystko pokrył kurz.

Na miejscu blokady pozostali do siedemnastej i w końcu wrócili do komisariatu. Dopiero tu usłyszeli, co tak naprawdę zaszło. U nich wcale nie było najgorzej. W nalocie na lokal terrorystów w centrum zginął agent FSB, a drugi został ranny. Znajdująca się w środku trójka mężczyzn została zlikwidowana. Do podobnego incydentu doszło pod Kerczem. Tam wprawdzie nikt nie zginął, ale też nikogo nie udało się zatrzymać. Strzelanina trwała krótką chwilę, a bandyci uciekli. Pościg w toku. Podczas blokad dróg aresztowano ponad sześćset osób. Sto było rannych, czterdzieści ciężko, lżej poszkodowanych nikt nie liczył.

Już w domu dowiedział się o bombie podłożonej w zatłoczonym autobusie w Wołgogradzie i drugim ładunku w petersburskim metrze. Do wcześniejszych ofiar należało więc doliczyć kolejnych sześćdziesięciu sześciu zabitych i prawie stu czterdziestu rannych.

O Hamidzie al-Hamadanim mówiło się, że to wizjoner, potrafiący przewidywać posunięcia przeciwnika. Przenikał myśli nieprzyjaciół, nie pozwalając, by zadali ISIS decydujący cios. Co więcej, właśnie on upokorzył Zachód, doprowadził USA do ruiny, a z Turcji zrobił nieświadomego współnika. A wszystkiego dokonał tak, że najzjadlejsi wrogowie nie wiedzieli, co tak naprawdę zaszło.

Zorganizowana przez amira machina działała znakomicie. Sam parę wcześniejszych posunięć uważał za mistrzowskie. Jednym z najlepszych było... Al-Hamadani uśmiechnął się na samą myśl. Ci ludzie okazali się tak samo nieprzewidywalni, jak on, z tym że ostatnio współpraca nie układała się tak dobrze, jak na początku. A on nie do końca wiedział, o co tak naprawdę chodzi.

To jedna sprawa. Na froncie też nie szło najlepiej. Zdaje się, że zostali osaczeni ze wszystkich stron całą serią lokalnych kontrataków. Jeżeli w Syrii następowała przerwa, to do działań wchodziłi Kurdowie lub szyckie milicje z Iraku. W bezpośrednich starciach przegrywali i na nic zdawała się cała strategia, którą przez lata opracowywał. Być może spoglądał za daleko, a należało najpierw zlikwidować Asada. W tym pomóc al-Hamadaniemu mogli sojusznicy, ale ci najwyraźniej nie chcieli.

Trzeba było pomyśleć o znalezieniu kolejnej bezpiecznej kryjówki. Może w Al-Majadin albo Abu Kamal? Oba miejsca wydawały się obiecujące. Należało się tym zająć jak najszybciej, najlepiej jeszcze dziś lub jutro z samego rana. Wybiorą się tam z Maxem, który stał się jego cieniem. Co do reszty miał mieszane uczucia. Ahmed zachowywał się bez zastrzeżeń, Asuchanow doskonale go przygotował.

Bitwa w Aleppo potwierdziła jego wartość, podobnie jak dwóch jego towarzyszy. Z postawy młodszego biła niezachwiana pewność, do obowiązków podchodził z entuzjazmem neofity. Koran znał tak samo dobrze jak imam, albo lepiej. Ten starszy, bardziej nieufny, działający jak machina bojowa, trochę przypominał mu Wickfielda. Pętał się przy nich jakiś Belg, ale jego poznali dużo później.

Ludzi tego pokroju walczyło w szeregach Państwa Islamskiego całkiem sporo, wielu przeszło przez francuską Legię Cudzoziemską, gdzie zostali wyszkoleni, a potem przyjeżdżali tutaj, sprzedając nabyte umiejętności. Nawet nie musieli być muzułmanami. Dobrze, gdy byli, ale nie uznawano tego za warunek konieczny. Jak dłużej z nimi pobędą, łaska Allaha na pewno na nich spłynie.

Te rozważania odłoży na później. Na razie należało trochę popracować.

Wpadł na pewien pomysł, lecz musiał sprawdzić dane, które przechowywał w laptopie.

Przez parę dni nie zaglądał do, jak go nazywał, diabelskiego pudełka. Dziś się bez niego nie obejdzie.

Sięgnął po urządzenie. Gdzieś tu był zasilacz? Wtyczkę do gniazdka sprytnie ukryto pod łóżkiem. Prąd dla obozu dostarczał generator.

Program Windows zaczął się ładować. I pomyśleć, że kiedyś nawet nie chciał zbliżyć się do komputera. Powodowała nim obawa, strach, lęk przed kompromitacją. Jak się wkrótce okazało, nie było to aż takie trudne. Trochę podszkolił go młody informatyk z Ar-Rakki, on też ustawił wszystkie programy i wprowadził dane. Szkoda, że zginął podczas jednego z rosyjskich nalotów. Ten, z pomocy którego korzystał później, nie był już taki sprawny. Jedyne, czego unikał, to wchodzenia do sieci. Nieostrożny ruch i zostanie namierzony szybciej, niżby chciał.

Ikonki zajaśniały na błękitnym tle. Wpisał kod bezpieczeństwa. Wszystko grało.

Na początek Al-Kuds. Najechał kursorem i otworzył plik. Znajdował się w nim spis wielu komórek, którymi dysponowali na terenie Federacji Rosyjskiej, oraz zadań, jakie dla nich przygotowano: ataków na lotniska, dworce kolejowe, elektrownie jądrowe, linie energetyczne. W dwadzieścia cztery godziny sparalizują całe państwo. Pod Medyną kryły się struktury ISIS w Izraelu, Strefie Gazy i na Zachodnim Brzegu.

Swoje odpowiedniki posiadał Egipt, Jordania, Arabia Saudyjska, lecz również Francja, Wielka Brytania i Szwecja. Na liście brakowało Stanów Zjednoczonych, ale nimi już nie należało zawracać sobie głowy.

Mekkę powinien wywalić już dawno, jednak nie potrafił się na to zdobyć. To samo dotyczyło Kaaby.

Najechał na ikony i z ciężkim sercem usunął je z ekranu. Lepiej, jeżeli zatrze wszelkie ślady.

Sporo szczegółów już uleciało z pamięci amira. A szkoda, nie da rady przeprowadzić tak wielu operacji, korzystając jedynie z własnej wiedzy i kurierów. Kontakty już ograniczył do niezbędnego minimum. Sam kalif cenił al-Hamadaniego za precyzję i upór, jak również za zdolność przewidywania.

Odchylił się do tyłu, prostując zdrętwiałe ramiona. Należało zastanowić się nad kolejnym ruchem, i to takim, który pozwoli im przetrwać. Rozwahał parę pomysłów, choć jak na razie żaden z nich nie zdążył nabrać realnych kształtów.

Co mogłoby sprawić, żeby wrogowie zadrżeli na samą myśl o Państwie Islamskim? Na pewno nie wejście w posiadanie broni jądrowej. Same głowice to połowa sukcesu, należało mieć też środki do jej przenoszenia, raketę lub samolot. Na siłę można by umieścić ładunek w furgonetce i wysłać wraz z grupą zamachowców samobójców. Już nawet wiedział, gdzie go zdetonować.

Najrozsądniej byłoby znieść z powierzchni ziemi Teheran, siedlisko wszelkiej herezji.

Jaka szkoda, że Persowie nie są sunnitami. Przez tych odszczepieńców marnował się niewyobrażalny potencjał. Armia Iranu była jedną z największych w regionie, musiał to przyznać z niechęcią, a szyici potrafili zdobyć się na ogromne poświęcenie. Jak mogli aż tak pobłądzić, uznając tę wypaczoną religijną formę za prawdziwą? Byli nawet gorsi od umiarkowanych sunnitów, którzy proponowali, by czekać, aż demografia i czas wszystko załatwią za nich. Otóż nie załatwią. Należało działać, chcąc przybliżyć panowanie Allaha na ziemi.

Amira rozbolała głowa. Lepiej, jak na chwilę się położyć. Ostatnio dopadały go okresowe niedyspozycje. Pewnie za dużo pracuje. Odpocznie, kiedy zwycięstwo będzie pewne.

Od niepamiętnych już czasów nie pełnił warty. Zasadniczo jego służba ograniczała się do pilnowania porządku. Rano przychodził do pracy, wychodził po południu. Czasami wyjazd na poligon, alarm lub zajęcia wymagające stałego nadzoru, ale poza tym żadnego wystawiania przez parę godzin i pilnowania kawałka płotu czy szlabanu. Od takich zadań byli podwładni. Szkoda, że nie tutaj. W armii kalifatu miał takie same obowiązki jak cała reszta, a zejście z posterunku w warunkach wojennych to... wiadomo co.

Ziewnął przeciągle i poprawił taśmę z automatem, wżynającą się w ramię. Niedługo zacnie się poranny ruch. Już widział pierwszych krzątających się mieszkańców, niedługo dołączą do nich bojownicy.

Pierwszym, który się nawinął, był Wickfield. Ten palant o wpół do szóstej rano wyglądał, jakby szykował się do parady z okazji urodzin królowej.

Komandos przeciął główny plac, kierując się prosto w stronę Halickiego. Ciekawe, jaką to uwagą podzieli się z nim o tak wczesnej porze.

-- Wyjeżdżamy za godzinę.

Halicki lekko przytaknął. Ani go to ziębiło, ani grzało.

-- Dokąd?

-- Do Abu Kamal -- odparł Anglik. -- Przenosimy wszystko.

-- Wyrobimy się?

-- Musimy. Dopilnuj wszystkiego.

Spokojny poranek zmienił się w pełną krzątanicę galopadę. Zrobił "szybką pobudkę" i wyznaczył zadania. Jedną z zalet armii Abu Bakra al-Baghdadiego stanowiła gotowość do błyskawicznego wypełnienia przydzielonych obowiązków. Tu nie było sił szybkiego czy natychmiastowego reagowania, sił odpowiedzi, szpicy, siedemdziesięciodwu-, czterdziestoośmio- i dwudziestoczworgodzinnej przygotowania do wykonania zadania bojowego. Nie obrastali niepotrzebnym bagażem. Na spakowanie osobistych rzeczy, zapasowego munduru, posłania i przyborów kuchennych wystarczyło dziesięć minut, na całą resztę -- najwyżej pół godziny. Broni nikt nie wydawał z magazynu, tu każdy karabin nosił ze sobą. Do pick-upów wrzucono skrzynki z amunicją i całe ciężkie uzbrojenie, jakie posiadali, jak również prowiant i środki medyczne. Na koniec ukazał się Hamid al-Hamadani.

Volvo 850, którym się poruszał, ustawiło się za prowadzącą toyotą. W sumie kolumnę tworzyło siedem samochodów. Trochę dużo, ale odcinek do pokonania wynosił niewiele więcej niż sto trzydzieści kilometrów.

Słońce już teraz mocno przygrzewało, do południa zrobi się gorąco jak diabli. Przed wieczorem nie odpoczną. Ta myśl zepsuła majorowi humor.

Usadowił się za kierownicą i spojrzął we wsteczne lustro -- obok Galiński z palcem na spuście automatu, amir i Max w samochodzie za nim, Artur i François w pojeździe zamykającym kolumnę.

Volvo błysnęło światłami. Jazda.

Otwarte okna niewiele pomagały, w kabinie szybko zrobiło się jak w saunie. O wentylacji można było zapomnieć. Toyota to świetny wóz, ale pod warunkiem właściwej eksploatacji. Wymianą filtrów nikt tu sobie nie zawracał głowy, najważniejsze, że toczyli się do przodu.

Nawierzchnia pozostawiała wiele do życzenia. Na niektórych odcinkach ostro manewrował kierownicą, aby nie wjechać w lej albo nie urwać koła na jakiejś mniejszej wyrwie.

Rękawem polowego uniformu ocierał spływający po twarzy pot. Czuł wielkie wilgotne plamy pod pachami i na plecach. Za godzinę odparzy sobie tyłek, w który na dodatek wbijał się ostry kawałek sprężyny. Pożałował, że nie podłożył sobie czegoś, co wchłaniałoby wilgoć, bo skaj się do tego zupełnie nie nadawał.

Zwolnił i zjechał ostro na prawo, inaczej wpakowałby się kołami prosto w dziurę. Z przeciwka nadciągała karawana kilku wielbłądów prowadzonych przez poganiaczy. Widok jak z turystycznego folderu.

Wydostali się poza uszkodzony odcinek szosy i pojechali szybciej. Nikomu nie chciało się gadać, głowy kołysały im się na boki, mało kto czuwał, większość przysypiała.

Po Abu Kamal nie spodziewał się luksusów. Wszystko zależało od tego, kiedy zostało przejęte przez dżihadystów i w jakim stanie. To właściwie dawne pogranicze syryjsko-irackie. Władza nigdy nie była tu szczególnie silna.

Niemal prosto na wschód od tego miejsca znajdowało się Tadmur i ruiny Palmiry, dalej Hims, a stamtąd już niedaleko do granicy z Libanem. W sumie jakieś pięćset--sześćset kilometrów, przynajmniej tak wychodziło z pobieżnych obliczeń.

Kropla potu zawisła mu nad powieką. Starł ją niecierpliwym ruchem, uchwycił mocno kierownicę i skoncentrował się na drodze. Punkt, który pojawił się na lewo od nich, początkowo wziął za ptaka. Dopiero po chwili zorientował się, że ptaki nie latają z takimi prędkościami. To samolot. Na tym zadupiu mógł należeć do każdego. Jeszcze nie rozróżniał typu, ale to na pewno odrzutowiec.

Nagły zastrzyk adrenaliny poderwał Halickiego do pionu.

-- Młody...

-- Co jest?

-- Obudź się, kłopoty. -- Na więcej zabrakło czasu. Odrzutowiec znalazł się kilkaset metrów od nich. Pilot brał ostatnie poprawki, aktualnie leciał nad szosą na jakichś pięćdziesięciu metrach.

Wcisnął gaz i terenówką szarpnęło. Kto się jeszcze nie ocknął, miał ciężką pobudkę.

Skręcił w prawo, wyrzuciło ich jak z katapulty. Przynajmniej przez chwilę byli bezpieczni.

O kur... Tej dziury nie zauważył. Wóz zarył przednią osią, silnik zgasł. Przeszywający ból rozdarł klatkę piersiową Halickiego, gdy z całą mocą uderzył o kierownicę. Głębsze nabranie powietrza okazało się niemożliwe. Zdaje się, że połamał sobie żebra. Szarpnął za klamkę i wytoczył się z samochodu, jęcząc jak potępieniec.

Galiński był oszołomiony. Krwawił ze skaleczenia na czole, ale poza tym wydawał się cały.

Obrócił się, starając się zlokalizować samolot. Wystawił głowę i szybko schował ją z powrotem. Pilot uruchomił działko, zasypując konwój setkami pocisków. Oberwało volvo z al-Hamadanim i jadący za nimi land cruiser. Rozerwało też toyotę przewożącą amunicję. Ponad szosę wzbił się gęsty czarny obłok.

Raz złamali zasady bezpieczeństwa i oto, co ich spotkało.

-- Młody...

-- Tak?

-- Podaj mi automat. -- Czuł się jak przy zawale, mostek promieniował nieznośnym kluciem, najchętniej zwinąłby się na piachu i pojechał przez kolejne parę minut. -- Szybciej.

Galiński migiem okrążył terenówkę i znalazł się przy majorze.

-- Co ci jest?

-- Potłukłem się -- wystękał z trudem.

-- Bardzo?

-- A jak, kurwa, myślisz? -- Jakoś dźwignął się na nogi i rozejrzał się za solidniejszym ukryciem. Kępa zielska piętnaście metrów dalej wydawała się odpowiednia. To przecież parszywa pustynia, nie

znajdą tu przyjaznego otoczenia.

Nogi na szczęście okazały się sprawne. Pobiegli z prędkością, z jaką on zwykle spacerował. Na chwilę obecną to było wszystko, na co potrafił się zdobyć. Dwaj inni bojownicy przypadli tuż obok. Wyglądali na kompletnie zdezorientowanych.

Tymczasem samolot szykował się do nawrotu. Z hukiem silnika wykonał ciasną pętlę. Ten dźwięk zapamięta do końca życia. Kolejny wóz zamienił się w zupełnie bezużyteczną stertę złomu.

Halicki dokładniej przyjrzał się tajemniczej maszynie w pustynnym kamuflażu. To nie MiG ani Suchoj, a więc nie należał do Rosjan czy oddziałów rządowych. Miał sylwetkę rasowego myśliwca, a nie toporne kształty. Mirage F1 -- w końcu rozpoznał typ jeta, co od razu nasuwało kolejne pytania, na które na razie nie znajdował odpowiedzi.

Jeszcze nie przebrzmiał na dobre wizg maszyny, a już pojawiły się trzy kolejne. Blackhawk i dwa MD-500 nadleciały od zachodu. Większy, UH-60, wszedł w ostry zwrot, ustawiając się bokiem. Przy otwartych drzwiach transportowych siedział operator przy cekaemie. Halicki dokładnie widział, jak przeładowuje maszynkę. Głowa w kasku z czarnymi przysłonami na oczy obracała się na prawo i lewo, starając się zlokalizować zagrożenie. W końcu strumień ognia rozjarzył koniec lufy. Mniejsze MD-500 przyłączyły się do ostrzału, kładąc trupem co najmniej trzech bojowników. Jeżeli to potrwa dłużej, wykończą wszystkich co do jednego.

Major uniósł karabinek. Strzelanie z połamanymi żebrami to nie najlepszy pomysł, ale nie miał wyjścia. Wymierzył w najbliższego MD-500. Maszyna przelatywała wolno na wysokości trzydziestu metrów. Toyotą w rowie nikt się nie interesował. Uznano, że nie stanowi zagrożenia, a jeżeli nawet, to i tak nikt go przy niej nie było.

Wziął poprawkę na prędkość śmigłowca. Pozostali poszli za jego przykładem.

-- Ognia!

MD-500 to nie helikopter szturmowy. Na pokład wchodziło dwóch pilotów i dwóch operatorów. Na więcej nie starczało miejsca. Wyglądem śmigłowiec przypominał swojego poprzednika Cayuse'a, zwane-go latającym jajem. Świetny aerodynamiczny kształt sprawdzał się w powietrzu, ale nie wtedy, gdy uderzyło w niego kilkanaście pocisków z Kałasznikowa.

Nieważne, kto trafił, liczył się efekt.

Z silnika poszedł dym, maszyna zaczęła się kręcić wkoło własnej osi, tracąc wysokość. Przyziemienie było mocne, ale pilotom udało się opanować dzikie podrygi. Za sterami siedzieli prawdziwi mistrzowie.

Dziś, chłopcy, trzeba było zostać w domu.

W kabinę poszła reszta magazynka i w osłonie pojawiła się siatka pęknięć. Któryś z pocisków wystrzelonych przez majora dosięgnął zbiornika z paliwem. Mocno huknęło. Przestrzeń wypełnił grad odłamków.

Teoretycznie powinien poszukać schronienia, ale nie miał na to siły ani ochoty. Doświadczenie podpowiadało Halickiemu, że z pozostałymi helikopterami nie pójdzie im tak łatwo. Odgłosy strzałów dochodziły teraz ze wszystkich stron.

Na niebie szaleńcze harce wyczyniały Blackhawk i MD-500, zasypując bojowników seriami z działek

i karabinów maszynowych. Przodował MD-500, po bokach którego zainstalowano dwa dwudziestomilimetrowe działka. Zwinna maszyna wirowała jak szalona. Huk jej broni doprowadzał do szaleństwa.

Jeszcze nic nie było rozstrzygnięte. Na przedostatnim w konwoju dodge'u znajdował się DSzK, ciężki karabin maszynowy sowieckiej produkcji. Siłę ognia tej broni mało co potrafiło sprostać. Pociski wielkości kciuka robiły dziury we wszystkim, co nie zostało opancerzone. Poszycie śmigłowca to najmniejszy problem. Sztuka polegała na tym, żeby trafić z karabinu ustawionego na pace półciężarówki, której kierowca rozpoczął rozpaczliwą ucieczkę przed goniącym go helikopterem. W takich warunkach o celnej serii nie było mowy. MD-500 w tej gonitwie stanowił stabilniejszą platformę. Fontanny piachu przeorały grunt tuż za dodge'em. Wydawało się, że następna seria rozniesie go na strzępy.

-- Robert.

-- Tak, szefie?

-- Cały ogień na tym pudle.

-- Już się robi.

Przebiegający w pobliżu bojownik zatrzymał się, widząc, że szykują się do walki. Był nieźle uzbrojony, bo w łapskach trzymał wyrzutnię RPG-7. Celowanie obu stronom utrudniały kłęby czarnego oleistego dymu, unoszącego się nad równiną. Półciężarówka zmieniła tymczasem trasę ucieczki. Kierowca zrobił to tak gwałtownie, że strzelec przy DSzK o mało nie wyleciał za burtę. Piach i małe skalne odłamki rozprysły się na boki.

-- Strzelać! -- wydarł się na całe gardło.

O ile kanonada z Kałasznikowów nie zrobiła na pilocie wrażenia, to biała smuga po przeciwpancernym pocisku już tak. RPG-7 nie nadawał się do takich zadań, ale w ferworze walki nikt nie wybiera narzędzi. Granat przemknął dosyć daleko od śmigłowca, niemniej dla jego obsługi stanowił śmiertelne zagrożenie. Szybki zwrot i z boków MD-500 odezwały się działka.

Major zwinął się na piachu, nim nad jego głową przeleciały pierwsze pociski. Wcześniej zdążył zobaczyć, jak chłopak z wyrzutnią zmienia się w krwawy strzęp. Kolejny z bojowników przegrał tę śmiertelną grę w berka.

Przeczołgał się parę metrów i wsunął do niewielkiego zagłębienia w ziemi. Choć przez chwilę był bezpieczny. Pomiędzy snującymi się pasmami dymu dostrzegł UH-60. Jego mniejszego, bardziej upierdliwego brata gdzieś zaniósł. Reszta żywych rozpierzchnęła się na wszystkie strony. Blackhawk przysiadł i z jego wnętrza wysypali się komandosi. Śmigłowiec poderwał się do lotu i w tym samym momencie został zmłócony przez celną serię z DSzK. Maszyna stanęła dęba, śmigło ogonowe zaryło w piachu i złamała się belka, na której się opierało. Nastąpił przechył, co wystarczyło, by cztery łopaty głównego wirnika uderzyły o ziemię. Halickiemu wydawało się, że świat się zatrzęsł. Należało się schować, ale jakoś nie potrafił się na to zdobyć. Widok go fascynował. Katastrofa, choć spektakularna, trwała najwyżej parę sekund.

Sukces dodał bojownikom animuszu. Diabeł okazał się nie taki straszny, jak go malowali. Strzelanina wybuchła z nową mocą. Galiński w asyście dwóch dżihadystów biegł w stronę zestrzelonego Blackhawa. Czego on tam, do cholery, szuka?

Wstał niezdarnie. Chciał za nim ruszyć, lecz ból go sparaliżował.

-- Uwa...

Jeden z bojowników padł trafiony w głowę. Kropelki krwi rozbryznięły się dookoła.

Galiński przyklęknął z karabinkiem przy ramieniu, wycelował i oddał strzał, zdejmując kolejnego z napastników. Odskoczył w bok, zmieniając pozycję, i wkrótce znikł majorowi z oczu.

Łopot wirników doprowadzał do szału. Samotny anioł śmierci znowu wyłonił się z dymu. Co prawda nie posiadał ognistego miecza, tylko działka, ale i tak jawił się jako niepokonana zjawa.

Pilot już się zorientował, że nie ma czego osłaniać. Misja, do której się szykował, zakończyła się fiaskiem. Pozostało mu jedynie rozwalenie wszystkiego, co należało do dżihadystów.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi Halicki pobiegł w kierunku szosy. Przy otwartych drzwiczkach volvo stał Wickfield i trzymał się za brzuch z grymasem wściekłości na twarzy. Krew przeciekała mu przez palce.

Nim zdążyli zamienić choć słowo, ku niebu wystrzeliła rakietą przeciwlotnicza. Głowica naprowadzana na ciepło znalazła najbliższe jego źródło i skierowała się na cel. Nim uderzyła, eksplodowała, siejąc rozżarzonymi do czerwoności odłamkami. Delikatna konstrukcja MD-500 nie miała szans. Poszycie, silnik i elementy rotora zostały uszkodzone, a przewody paliwowe i hydrauliczne przerwane. Pilot utracił całkowitą kontrolę nad maszyną. Podrygi trwały tylko chwilę, MD-500 spadł na pustynię obok szczątków pojazdów, do zniszczenia których się przyczynił.

Bez denerwujących powietrznych odgłosów zrobiło się ciszej. Ze wszystkich kierunków dochodziły jedynie pojedyncze strzały. Paru komandosów i ocalałych bojowników wciąż nie miało dosyć. I jedni, i drudzy walczyli o życie, nie o zwycięstwo.

Halicki wyprostował się z trudem. Nawet nie próbował zerwać się do biegu, szedł wzdłuż rozbitej kolumny tak szybko, jak mógł.

Od razu widać było, że zdrowo oberwali. Zdaje się, że wszystkie pojazdy zostały zniszczone, nawet dodge z DSzK. Większość bojowników poległa, a ci, którzy przeżyli, byli ranni albo poparzeni. W żaden sposób nie dało się im pomóc. On funkcjonował, Galiński chyba też. Co ze Sznajderem i Françoisem -- nie wiedział. Minął trupa komandosa, który przyleciał Blackhawkiem. Na pewno Arab, miał porządny mundur, zupełnie inny od tych łachów, jakie oni nosili.

Odwrocił się, gdy usłyszał za sobą kroki. Widok Artura z wyrzutnią rakiet przeciwlotniczych i Belga z erkaemem w ręku wcale go nie zdziwił.

-- Gdzie Robert? -- W pytaniu Sznajdera kryła się troska.

Major wskazał na pobojuwisko.

-- Kiedy go ostatni raz widziałem, jeszcze nie miał dosyć.

-- Nieźle nas sukinsyny urządżyły. -- Artur odrzucił niepotrzebną już rurę i sięgnął po karabinek.

-- Domyślasz się, kto to może być?

-- Pojęcia nie mam. -- Przeszukanie kieszeni poległych nie przyniosło rezultatu. Dokumenty, zdjęcia, kwity -- wszystko zostało w bazie.

Zasadzka nie wyglądała na przypadkową. Zbyt dobrze wszystko skoordynowano. Najpierw ten Mira-

ge, który ich zdziesiątkował z działka, później ekipa sprzątająca lub raczej przechwytyjąca. Po co wysyłać komandosów, jeśli jedynym celem jest kolejna banda islamistów? Skoro tak... nie chodziło o nich, tylko o amira.

Max kręcił się tam, gdzie Halicki widział go po raz ostatni. Sam założył sobie opatrunek i wstrzyknął dawkę środka przeciwbólowego. Ciężko oddychał, gdy wyciągał al-Hamadaniego z rozbitego samochodu.

-- Żyje? -- zapytał Artur.

-- Zależy ci?

-- A tobie?

Polak i Anglik zmierzili się wzrokiem. Po ich zachowaniu trudno było się zorientować, o co któremu chodzi.

Twarz amira przybrała barwę kredowobiałą, widać było, że utracił sporo krwi. Dostał w nogę i wątrobę. Postrzał w kończynę to nic takiego, ale uszkodzenie organu wewnętrznego -- poważna sprawa. Śmiertelna, można by rzec.

Halicki zamiast na al-Hamadaniego spojrział w głąb volvo. Tam, na kanapie, jakby nigdy nic, leżał laptop amira. Zrobił krok i sięgnął po uchwyt torby, w której spoczywał.

-- Powiedz mi, Max, jak to się stało, że zakumplowałeś się z Hamidem, co? -- zapytał major. -- Z nikim nie próbowałeś się dogadać, ale tego drania wprost oczarowałeś.

-- Twoje szkolenie nie obejmowało takich rzeczy?

-- Ja jestem... no, nieważne kim.

-- Na pewno nie informatykiem, ani ty, ani twoi towarzysze.

-- Co powiedziałaś?

-- Nie udawaj. -- Wickfield oparł się o maskę samochodu. -- Próbowaliście włamać się do systemu.

-- Skąd wiesz?

-- Bo to ja wyłączyłem zabezpieczenia mające wykasować pamięć, a nie ten magik, który w sumie okazał się zupełnym ignorantem.

-- Dla kogo ty pracujesz, Max? -- Halicki był zły, że sam nie domyślił się wcześniej.

-- Zgadnij.

-- Zagramy w otwarte karty?

-- Nie bądź śmieszny. -- Angol zaśmiał się nieszczerze.

-- Ten cały bałagan to twoja sprawa.

-- Hamadani jest zbyt niebezpieczny, by dalej pracował dla kalifa. Mieliśmy go porwać, ale jak się wydaje, nic z tego nie będzie, a to dzięki wam.

-- Mogłeś powiedzieć wcześniej. -- Dylematy Wickfielda mało interesowały Halickiego.

W końcu doszłusował do nich Galiński w towarzystwie dwóch ostatnich bojowników.

-- Dorwaliśmy wszystkich.

-- Pięknie. -- Pistolet w dłoni Maxa pojawił się tak szybko, że nikt nie zdążył zareagować. Dwa strzały i dwa trupy. Młodego sparaliżowało, gdy stojący obok Arabowie przenieśli się do rajy.

-- Czego się tak gagicie? Musiałem. Mieliśmy ich zabrać ze sobą?

-- A dokąd to chcesz jechać, Max?

-- Do Jordanii.

Wszystko stało się jasne. Nie tylko oni starali się rozgryźć operacje wywiadowcze Państwa Islamskiego. Zdaje się, że pokrzyżowali komuś plany. Nie miało najmniejszego znaczenia, skąd została wystrzelona kula, która ugodziła al-Hamadaniego. Mógł to być błąd pilota lub odłamek z detonującego pojazdu. W takich sprawach w grę wchodziły tysiące czynników.

Plan był prosty -- wytłuc jak najwięcej islamistów, resztą zajmą się komandosi. Nie przewidziano jednego czynnika, stopnia wykształcenia. Teoretycznie nie powinien pozostać nikt żywy, oprócz Maxa i amira oczywiście. Anglik, nawet jeżeli domyślał się, że działali na dwa fronty, nie próbował się z nimi porozumieć, najwyraźniej kierując się swoimi priorytetami. I pomyśleć, że podczas ostatniej wojny ratowali im skórę.

Akcja się nie udała i nagle stali się potrzebni. Oczywiście jest, że sam nie dociągnie do Jordanii. Trzymał się, ale z ledwością. Jeżeli myślał, że na koniec polecą sobie helikopterem do spokojnej bazy, pomylił się, i to grubo.

-- Wyciągnijcie tamtą toyotę. -- Wskazał na terenówkę, która na samym początku strzelaniny zaryła w dziurę.

-- Ci twoi kumple nie mogą nas stąd ewakuować? -- odezwał się Sznajder.

-- Radio poszło w drzazgi. -- Gdyby nie rany, Wickfield pewnie rzuciłby się na Artura z pięściami. -- Bierz się za robotę.

Majorowi przypomniało się, że ma w kieszeni telefon, który kupił na bazarze. Nic prostszego, jak dać go angolowi i niech ten skontaktuje się z centrum operacyjnym. Śmigłowiec może tu przylecieć w ciągu godziny. Tylko że nikt nie dawał mu gwarancji, jak się to skończy. Kolejnej drużynie komandosów już nie sprostają, a ich kości na wieki spoczną na pustyni. Samochód mimo wszystko wydawał się lepszą opcją.

Artur spoglądał na niego pytająco.

-- Na co czekasz?

-- Nie zastrzelimy gnoja? -- zapytał po polsku Sznajder.

-- Aleś ty wrywny.

-- Mamy się z nim... no wiesz?

-- Jeżeli ktoś może nas wyciągnąć z tego syfu, to tylko on. François, pchaj. -- Halicki wsiadł do samochodu i wrzucił wsteczny. Poszło szybciej, niż się spodziewali.

Ze środka wyrzucili wszystkie niepotrzebne graty, zostawiając jedynie broń. Z tyłu ułożyli zawinięte w koce ciało al-Hamadaniego. Amir wciąż nie odzyskał przytomności. I już jej raczej nie odzyska. Oddychał płytko i powoli, zupełnie jak on, z tą różnicą, że majora nie podziurawiły pociski.

Max siedział przy rannym. Sznajder i François dotrzymywali im towarzysztwa. Młody prowadził, on nawigował. Dzień się jeszcze nie skończył.

Okolica należała do najbardziej odosobnionych na planecie. Sama pustynia i niskie kamieniste wzgórze. Piach zgrzytał pomiędzy zębami. Około południa zorientowali się, że Hamid al-Hamadani, szef AMNI, twórca tajnego aparatu bezpieczeństwa i główny strateg organizacji, zmarł, nie wiadomo właściwie kiedy. Wickfield gorączkował, a Sznajder i Belg przysypiali. Po kilkugodzinnej przejażdżce w nieznosnym upale każdy miał dosyć.

Należało zastanowić się, co zrobić z ciałem. Ciągnąć go dalej nie było sensu, najrozsądniej pozostawić je tutaj. Decyzja należała do Maxa, ten zgodził się od razu. Nawet nieszczerólnie trzeba było go namawiać.

Trudno powiedzieć, jakiego amir spodziewał się pochówku, ale pewnie nie takiego. Prosty dół w ziemi i parę kamieni, żeby dzikie zwierzęta nie rozwlekły ciała na cztery strony świata. Obyło się bez przemów i modlitw. Al-Hamadani był zbrodniarzem, a oni dobrze o tym wiedzieli.

Halickiego najbardziej martwił stan Anglika. Ten już jedną nogą był na tamtym świecie. Pomijając wszystko inne -- odważny z niego sukinsyn. Pewnie faktycznie wywodził się z SAS-u.

Zrobili zamianę, teraz to Artur siadł za kierownicą, Robert nawigował, a major przysiadł przy ranym.

-- Chcesz pić?

Max przytaknął. W manierce pozostała resztką ciepłej wody. Przechylił ją, wlewając parę kropel w usta rannego. WickfielDEM wstrząsnęły dreszcze.

-- Będzie dobrze.

-- Twój optymizm jest doprawdy idiotyczny.

-- Wieczorem dotrzemy na miejsce.

-- Wieczorem będę martwy.

-- Przesadzasz. -- Major próbował go uspokoić. -- Powiedz lepiej, z kim tam gadać, jak już dojedziemy. Ja nie znam nikogo.

Szczęki Anglika mocno się zacisnęły. Walczył ze słabością, ale widać było, że przegrywa. Halicki mocniej owinął go kocem. Usta poruszały się, lecz nie słyszał słów.

-- Nic nie rozumiem. -- Przyłożył ucho do warg WickfielDA. -- Nie umieraj, sukinsynu, nie teraz.

-- Powiedział coś? -- François pochylił się z drugiej strony.

-- Nie, to agonia.

-- Jesteś pewny?

-- Widziałem już ludzi w takim stanie.

-- Próbowałem pomóc.

-- Wiem. Dzięki.

-- Nie ma sprawy.

Belg już nie próbował nawiązywać rozmowy. Przynajmniej miał na tyle rozsądku i nie przeszkadzał.

Wciąż nie byli bezpieczni. Właśnie zbliżali się do obszaru, na którym wpływy ISIS były szczególnie silne.

Odbicie na południe niewiele im dawało. Koło, które należałoby zatoczyć, było olbrzymie, a takiego

zapasu paliwa nie posiadali. Decyzję, jechać dalej czy też szukać miejsca na nocleg lub przeczekać resztę dnia i ruszyć o zmierzchu, należało podjąć już teraz. Śpieszyć już się nie musieli.

Najlepiej niech zadecyduje ktoś inny. Organizm domagał się odpoczynku. Choć na moment przymknąć oczy.

Halicki sam nie wiedział, kiedy odpłynął.

Negocjacje rozpoczęły się wczoraj. Poprosili o nie Grecy, którzy wyczerpali możliwości dalszej walki. Po paru dniach bezpośredniego ostrzału portu i lotniska przez turecką artylerię do miasta przestało płynąć zaopatrzenie. Ogień nie był szczególnie intensywny, co akurat nie miało żadnego znaczenia. Na płycie lotniska i drogach kołowania zalegały wraki samolotów, zarówno tych wojskowych, jak i cywilnych.

Nad całą przestrzenią powietrzną dominowali Turcy. W basenie portowym na lewej burcie spoczywał jeden z cypryjskich masowców, którego dosięgły pociski haubic w momencie wyjścia w morze. Załoga wykazała się wyjątkową głupotą. Gdyby spokojnie cumowali przy pirsie, nic by się nie stało.

Nad miastem wciąż unosiły się dymy pożarów. To płonęły magazyny położone tuż przy porcie. Od trzech dni nie potrafiono poradzić sobie z problemem. Dobrze, że wiatr zwiewał chmurę w kierunku morza. Dla osób z chorobami płuc wdychanie stężonych toksyn równało się szybkiemu zgonowi, a normy już teraz przekroczone były kilkakrotnie. Bez żywności i wody cywile zaczną padać jak muchy, a takiego scenariusza starano się unikać za wszelką cenę.

Trochę przeszkadzał upór Greków, którym wydawało się, że nie wszystko jeszcze stracone. W końcu ugięli się, ale pertraktacje utknęły w martwym punkcie już na samym początku. Turcy proponowali kapitulację, Grecy jedynie zawieszenie broni. Obu stanowisk nie dawało się w żaden sposób pogodzić. W końcu osiągnięto porozumienie, zgnięły kompromis, jak mówili niektórzy, i jeszcze dziś Turcy mieli wkroczyć do miasta.

Greccy żołnierze, bez ciężkiej broni, po załadowaniu na transportowce, odpływali na południe. W swojej masie nie byli groźni, a tworzenie dla nich obozów jenieckich wydawało się niewłaściwe. Niech tym zdemoralizowanym ludzkim tłumem zajmą się greckie służby. Mało prawdopodobne, by zechciano ich ponownie wcielić do szeregów. Swoim nastawieniem wniosą rozprężenie, powiększając grono niechętnych wojnie. Protesty w Atenach trwały niemal non stop i brali w nich udział zarówno zwolennicy, jak i przeciwnicy kontynuowania działań wojennych.

Major Mehmet Sepetçioğlu wydawał się całkiem zadowolony. Saloniki to pierwsze od wieków zdobyte przez armię miasto, nad którym wkrótce zacznie powiewać turecka flaga. Jak tu nie poczuć wzruszenia na samą myśl o czymś takim?

Sepetçioğlu właśnie dołączył do elitarnego grona wojowników, którymi dowodzili wielcy sułtani, Mehmed Zdobywca czy Sulejman Wspaniały. Przed samym ich imieniem drżał świat. Czy generał Dżabar był takim właśnie władcą? Obojętnie, z której strony na to nie spojrzeć, historia zdawała się powtarzać. Dziś Saloniki, jutro Ateny, a pojutrze... kto wie, może cały świat.

Kto im zabroni zjednoczyć muzułmanów mających tureckie korzenie, a może i wszystkich wyznawców Proroka?

Historia zatoczyła koło, a przy okazji dała im do ręki odpowiednie środki. Na razie zmiażdżyli Grecję, nie zagarnęli jej całej tylko z jednego powodu -- ten kraj rozleci się sam. Pierwszy krok był decydujący. Z czasem opór zacznie słabnąć.

Po raz pierwszy od kilku dni wiatr rozgonił chmury i na niebie pojawiło się słońce. Jemu w czołgu

było sucho i ciepło, gorzej wiodło się tym biedakom, którzy wciąż taplali się w błocie.

Sierżant Karim Abdul kichnął. Z kieszeni bluzy wyjął chusteczkę i wysmarkał nos. Ze względu na swój stan dostał lekką służbę. Już parę razy chciano go wysłać do lazaretu, lecz on wciąż odkładał decyzję na później. Trochę kaszlał, ale poza tym nic, gorączka ominęła sierżanta szerokim łukiem.

To pewnie na skutek nowego preparatu, jaki zażywał. Małe pastylki w plastikowej fiolce otrzymał od naczelnego lekarza pułku. Co prawda czuł się po nich trochę dziwnie, bo w nocy kompletnie nie mógł zasnąć, ale tak ogólnie tryskał werwą. On żył, a choroba istniała gdzieś obok. Wydolność organizmu zwiększyła się, zmęczenie trwało krócej, a humor dopisywał. Zresztą, jak tu się nie cieszyć, niedługo wkroczą do Salonik, pomiędzy wąskie uliczki miasta. Na szczęście obyło się bez długotrwałego i krwawego usuwania greckich piechurów z setek potencjalnych punktów oporu.

Ich straty były ogromne, a co dopiero mówić o Grekach. Dla nich to dzień narodowej tragedii.

Karim nie żałował ich ani trochę. Słabi nie mają racji bytu, to silny decyduje, w którym kierunku pójdzie dalej świat.

Funkcjonariuszy muzułmańskiej policji Szurta Islamijja rekrutowano spośród miejscowej ludności, doskonale znającej teren. To w zasadzie wystarczało, nie wymagano żadnych specjalistycznych kursów. Najczęściej policjanci współpracowali z lokalnymi sędziami. I dla jednych, i dla drugich liczyło się tylko jedno -- prawo szariatu musiało być przestrzegane w każdym aspekcie. W okolicy byli panami życia i śmierci, ingerując niemal we wszystko. Jak łatwo się było domyślić, w szeregi nie wstępowali obrońcy sprawiedliwości, lecz ci, którzy chcieli się odegrać za wszelkie życiowe niepowodzenia.

Na czterech brodatych typków natknęli się na skraju wioski, tak małej, że nie zaznaczono jej na mapie, którą zabrali ze schowka volvo.

Ich gardłowe pokrzykiwania działały Halickiemu na nerwy. Zachowywali się jak dzikie zwierzęta, które ktoś przez przypadek wypuścił z klatki. Dowódca, tyczkowaty mężczyzna po trzydziestce z wyraźnym okrucieństwem w oczach, już sięgał do klamki w drzwiach toyoty.

-- Co robimy? -- zapytał spokojnie Sznajder.

-- Pogadaj z nimi, niech się odczepią.

Nie było pewności, czy w pobliżu nie ma ich więcej. Tu czterech, a na przykład w tamtej chacie kolejna dziesiątka.

Artur wysiadł i wydarł się tak samo głośno jak brodac. Byli podobnego wzrostu. Stali twarzą w twarz i wykrzykiwali obelgi. Tak to przynajmniej wyglądało. W końcu lekką przewagę zdobył Sznajder, powołując się na Hamida al-Hamadaniego. Nikt oprócz nich nie wiedział, że amir nie żyje. W głowie Araba coś tam musiało zaświtać, bo umilkł. Wydawało się, że jest po sprawie, ale nie, po chwili dyskusja rozgorzała od nowa.

-- Czego chce?

-- Mamy się udać do lokalnego amira.

-- Niech zapomni.

-- On nalega.

-- Wyjątkowo upierdliwy sukinsyn.

Nie dysponowali niczym, co mogłoby potwierdzić ich słowa. Co więc robili tak daleko od miejsca, w którym doszło do walki? Dezerterów czekał tylko jeden los.

Skoro sprawy nie da się załatwić inaczej...

-- Robert, ty tego na lewo.

-- Jasne.

-- Teraz.

Trzystrzałowa seria, jaką oddał, przebiła pierś jednego z policjantów. Wykonał nieznaczny obrót i w ten sam sposób wyeliminował kolejnego brodacza.

Sznajder rozwalił ich szefa, strzelając niemal z przyłożenia. Robert też się nie wahał. To była egzekucja, lecz z wyrzutami sumienia pożegnali się już dawno.

-- Ruszaj.

Toyota od razu nabrała prędkości. Na podrzucie o mało nie przygryzł sobie języka. François rozpacz-

liwie trzymał się burty. W każdej chwili groziła im wywrotka lub wypadnięcie z pędzącej półciężarówki.

-- Nie szalej! -- Walnął pięścią w dach szoferki.

Artur posłusznie zwolnił.

Jak się okazało, nie był to najszcześniejszy pomysł. Dostyc prędko pojawił się za nimi pick-up z kilkoma kolejnymi napastnikami. A jednak. Parę niecelnych serii przeszło obok nich. Z rana potyczka z Jordanińczykami, a po południu starcie z muzułmańską policją -- to na pewno nie był fartowny dzień.

-- Rozwał ich. -- Rzucił pod adresem Belga, którego PK walało się na platformie. Sam wymierzył z automatu. Celowanie w takich warunkach było czystą abstrakcją. Rzucalo nimi na wszystkie strony.

Sznajder ponownie przyśpieszył.

-- Szybciej.

François niezdarnie mocował się z erkaemem. W końcu przeładował i nacisnął spust. Szkoda, że droga gwałtownie skręcała w lewo, bo cały wysiłek poszedł na marne.

Nieraz oglądał takie sceny w filmach sensacyjnych. Zdarzało się, że sam gonił uciekinierów, lecz jeszcze ani razu nie ścigano jego.

Tym razem przyłożył się bardziej. Jeden z policjantów z głośnym krzykiem wyleciał z platformy ładunkowej. Dobrze, choć nie do końca o to chodziło. PK Belga rozszczękało się na dobre. Nie miał magazynka na trzydzieści pocisków, tylko taśmę na dwieście pięćdziesiąt. Walił z erkaemu jak zawodowiec. Na efekt trzeba było chwilę poczekać, aż w końcu na przedniej szybie wozu pościgowego pojawiła się siatka pęknięć i pojedyncze przestrzeleny. Dziwne, że szofer nie stracił panowania nad kierownicą.

Major podkulił nogi, nie chcąc odstrzelić sobie własnej stopy, i złożył się do strzału. Przez moment obie terenówki jechały prosto. Niczego więcej nie potrzebował.

Celował w kierowcę. Wyszło lepiej, niż się spodziewał. Pick-up gwałtownie skręcił i zaczął koziółkować. Ludzie porozsypywali się na wszystkie strony. Co najmniej dwóch zmiażdżył wrak. Widok szybko przysłoniły wzbijane przez koła tumany kurzu.

-- Widziałeś? -- Entuzjazm Belga przyprawiał Halickiego o mdłości.

-- Daj spokój.

-- Niesamowite.

Należało zastanowić się, co dalej. Granica pomiędzy Syrią a Jordanią biegła prosto, żadnych zawijasów wzdłuż strumieni, pasm górskich czy charakterystycznych punktów terenowych.

Tu linię graniczną wytyczono jak pod sznurek. Sto lat temu nikt nie zawracał sobie głowy szczegółami. Tak było najłatwiej, o co tu się szarpać, skoro wszędzie rozciągała się pustynia.

Do Jordanii nie chciał się pchać bez zapowiedzi. Cholera wie, co ich tam czekało. Na pewno zabiorą im laptopa, a bez niego wszelkie wyrzeczenia nie miały sensu. No i te pytania o Wickfielda i al-Hamadaniego, i co właściwie poszło nie tak w trakcie próby przejęcia amira.

Co im odpowiedzieć -- że to oni rozprawili się z jordańskim oddziałem? Amman nie kochał kalifatu, to było pewne. Bez wątplenia do nich też nie zapalają miłością. Co to za sprzymierzeniec, skoro pozwolił spieprzyć taką piękną operację?

Jechali przez kolejną godzinę, aż w końcu zaczął zapadać zmierzch. Paliwa wystarczy jeszcze na dal-

sze sto, może sto trzydzieści kilometrów. Z wodą było lepiej. Dzień, dwa dadzą radę. Droga już dawno pozostała za nimi, jechali na wycucie. To już Jordania czy jeszcze Syria? Nikt nie znał odpowiedzi.

Zatrzymali się przy naturalnym wgłębieniu w ziemi i od góry przykryli toyotę strzępem siatki maskującej, jaki im pozostał. Na dziś chyba wystarczy.

Halicki oddalił się, niby to za potrzebą. Trochę inaczej wyobrażał sobie ewakuację. Początkowo sporo mówiło się o wyprowadzeniu ich przez Irak. Teraz zobaczą, jak zadziała siatka w Jordanii.

Wyciągnął telefon. Żeby tylko był zasięg. Ekran zajaśniał na zielono. Zaraz wszystko będzie jasne.

Arabskie słowa na wyświetlaczu nic mu nie mówiły. Galiński orientowałby się lepiej.

-- Działaj, bydlaku -- zamruczał pod nosem.

Już właściwie stracił nadzieję. Czego się spodziewał, że na tym zadupiu tak raz-dwa połączy się z odpowiednią osobą?

Na wszelki wypadek wybrał numer. Poszło. Ze szczęścia o mało nogi się pod nim nie ugięły. Jest sygnał -- pierwszy, drugi, trzeci... piąty i dziesiąty, w końcu trzask i arabski głos. Pewnie chce, żeby nagrać wiadomość dźwiękową. Zrywa połączenie. W tym samym momencie odzywa się dzwonek jego aparatu.

-- Tak? -- mówi po angielsku.

Rozmówca trajkocze w tutejszym narzeczu.

-- Jestem przyjacielem starego znajomego. -- Tak brzmi początek hasła.

-- Alefa? -- Pada i odzew.

-- Nie, Ibrahima.

-- Nie spodziewałem się was tutaj.

-- Tak wyszło. -- Ewakuacja jest najważniejsza, o rezultatach misji porozmawiają później. Ma czekać, szczegóły zostaną im przekazane w ciągu najbliższych paru godzin.

No świetnie. Nie spodziewał się nikogo z kwiatami, ale wyczekiwania na środku pustyni też nie.

Parę tysięcy kilometrów dalej, w Warszawie, kilku dyżurnych wciąż pełni służbę mimo późnej pory. W niczym niewyróżniającym się budynku na przedmieściach polskiej stolicy zbiegają się nitki prowadzonych przez agencję wywiadu operacji.

Wiadomość z Ammanu podrywa jednego z nich do pionu. Grupa oczekuje ewakuacji. Nadzór nad operacją sprawuje kapitan Chmura. On będzie decydował, co dalej. Dyżurny sięga po bezpieczny telefon.

-- Panie kapitanie, chorąży Szaruga...

-- Słucham.

-- Jest wiadomość od Jupitera, nawiązano kontakt z Blackoutem.

-- Czego potrzebują?

-- Proszą o ewakuację.

-- Niech Jupiter zacznie działać. Mają zielone światło.

-- Tak jest.

W końcu się doczekał, ale dlaczego wypłynęli w Jordanii? Nieważne, dowie się wszystkiego we wła-

ściwym czasie. Dosłownie przed paroma godzinami dotarły do niego wieści, że w środowisku tego bliskowschodniego kraju panuje spore zamieszanie. Nikt nie wie, o co chodzi. Oby tylko Halicki nie okazał się jego autorem.

Około północy odebrał wiadomość, co zdradziło pozostałym fakt posiadania przez niego telefonu.

Przewodnik będzie na nich czekał osiemdziesiąt kilometrów na południe od miejsca, w którym się znajdowali.

Jazda w ciemnościach nie wydawała się dobrym pomysłem, łatwo skasować samochód na dobre, ale nie mieli wyjścia. Toyota wiernie im służyła, to już prawdopodobnie ostatni przejazd.

Wyruszyli niezwłocznie, bez zapalania świateł, co sprowadzało się do pełzania, a nie gnania przed siebie, ile fabryka dała.

Nie wszędzie piach zalegał zbitą warstwą. Zdarzały się odcinki, gdzie grzęzli po osie, a wtedy nie pozostawało im nic innego, jak wysiąść i sięgnąć po łopaty. Po trzecim takim wypadku towarzystwo zrobiło się nerwowe, tym bardziej, że kopali jedynie Sznajder i Galiński, on wciskał gaz, a Belg, dla którego brakło szpadla, stał i się gapił.

W kalifacie nie pobyli zbyt długo, choć spędzony tam czas powinien się liczyć podwójnie, a nawet potrójnie. Jeżeli tylko nie spartolą końcówki, uzyskają cenne materiały wywiadowcze. W kilka tygodni zdążyli wkurzyć wszystkich, robiąc sobie z nich wrogów. Dżihadyści im nie darują, Jordańczycy chyba też nie. Lepiej, żeby nie wpakowali się na pograniczną placówkę. W tym miejscu do królestwa musiało przenikać całkiem sporo bojowników. O Irbidzie na północy Jordanii mówiło się, że to matecznik radykalnych islamistów. Jordańska służba bezpieczeństwa musiała tam działać szczególnie pręźnie.

Każdą nową osobę pojawiającą się w okolicy natychmiast namierzano. Trudno będzie dostać się do Ammanu bez zwracania na siebie uwagi.

Około czwartej rano znaleźli się w wyznaczonym punkcie.

-- Jesteście pewni, że to tu? -- dopytywał się Belg.

Faktycznie, oprócz ruin domu, z którego pozostało parę ścian zaspanych do połowy przez lotne piaski, nie było tu nic ciekawego. Punkt jak punkt. Na mapie wyglądało to równie beznadziejnie.

-- Ucisz się, François -- rzucił Sznajder.

-- Ja tylko pytam.

-- Nie musiałeś z nami jechać.

-- A co? Miałem zostać?

Halickiemu wydawało się, że Belg mocniej uchwycił rękojęść erkaemu.

-- Zamknijcie się obaj. -- Wymiana zdań zdenerwowała majora. Ledwie żył. Tak w kość nie dostał nigdy wcześniej. Wydawało się, że zaraz się rozsypie i już miał ze złości walnąć pięścią w kierownicę, kiedy spomiędzy rozpadających się ścian wyłoniła się postać w długiej galabiji.

-- Nasz człowiek?

-- A skąd mam wiedzieć -- odpowiedział opryskliwie.

Wysiadł, trzaskając drzwiczkami. Z przewodnikiem spotkali się w połowie drogi. Spod turbanu wycierały jedynie oczy nieokreślonego koloru. Facet był raczej drobny, sięgał Halickiemu najwyżej do brody, o ile to oczywiście był mężczyzna, bo pod luźną szatą równie dobrze mogła ukrywać się kobieta.

Przywitali się po arabsku, ale dalsza rozmowa potoczyła się już po angielsku.

-- Jak mam do ciebie mówić?

-- Abdelmalek.

Imię na pewno było fałszywe, ale dla nich to bez znaczenia.

-- Mamy problem.

-- Domyślam się.

Czy on na pewno rozmawia z odpowiednim człowiekiem? Kogo oni tu przysłali?

-- Miało być was trzech.

Faktycznie, o tym nie pomyślał. Nikt nie przewidział, że zabiorą kogoś ze sobą, ale przecież nie mogli zostawić Françoisa na pastwę islamistów. Zginąłby wśród nich marnie. Halickiemu Belg jakoś nie pasował do hord krwiożerczych dżihadystów próbujących nawracać opornych siłą, a podrzynających gardła wszystkim tym, którzy obstawali przy swoim.

-- Tak wyszło. -- Major uciał dalszą dyskusję. -- Jaki jest plan?

-- Widzisz tamte góry? -- Arab wskazał na pasmo rozciągające się na południe od nich.

Może nie było szczególnie wysokie, ale teraz robiło na nim wrażenie Himalajów.

-- Kawał drogi.

-- Mam tam samochód.

-- A tym nie możemy pojechać?

Abdelmalek pokręcił głową.

-- Dlaczego?

-- Sam zobaczysz.

Toyotę zaparkowali przy jednej ze ścian, tak żeby jak najmniej rzucała się w oczy. Całą broń zakopali opodal, pozostawiając sobie jedynie niezbędny zapas wody i łopaty, które Arab kazał im zabrać ze sobą.

Major dodatkowo niósł torbę z komputerem.

Bez automatu, który stał się niemal częścią ciała, nadzwyczaj użyteczną, poczuł się nieswojo. Zżył się z nim na dobre. Do dołu poszły też zapasowe magazynki i broń krótka. Pozostały im jedynie noże. Równie niechętnie jak on ze swoim AKMS-em Artur rozstał się z M-60. Tylko Robert i François wydawali się szczęśliwi, że pozbyli się tego całego złomu.

Droga początkowo biegła skrajem rozległej piaszczystej wydmy. Było chłodno, jak to z samego rana, zanim nad pustynią wszędzie słońce i nie nagrzej powietrza. Kompletnie nie potrafił określić odległości. Skaliste wzniesienia po godzinie marszu wydawały się tak samo dalekie. Rejon, w którym się znajdowali, posiadał specyficzną linię graniczną. Zbliżali się do czegoś w rodzaju nieregularnego rombu, wypustki, dodanej trochę na siłę do reszty kraju, przez środek której przebiegała międzynarodowa droga wiodąca w stronę Iraku. Skaliste pogórze rozciągało się gdzieś pośrodku. Może i były tam nieoznaczone drogi, po których poruszało się wojsko i formacje sił bezpieczeństwa, ale o tym wiedział jedynie Abdelmalek i

jego w tym głowa, by wyciągnąć ich z tego całego bagna.

W ciągu następnych czterdziestu minut dotarli do ogrodzenia oddzielającego Syrię od Jordanii. To nie był żaden najeżony wieżyczkami i gniazdami karabinów maszynowych pas umocnień, tylko zwykły płot z kilkoma pasmami drutu kolczastego.

Abdelmalek kazał im kopać. Dół nie musiał być głęboki, wystarczył taki, aby móc się przecisnąć pod znajdującymi się najniżej kolcami.

-- Z życiem, chłopaki. -- Major próbował zdopingować kopiących.

Galiński i Sznajder gonili już resztkami sił, pot spływał im po twarzach, a ich oddech zrobił się świszczący.

W końcu przez podkop pierwszy przecisnął się przewodnik, po nim cała reszta, a na końcu Halicki.

-- Zasypać?

-- Aha.

Oczy Artura ciskały gromy, a na końcu języka miał jakąś ciętą uwagę, lecz powstrzymał się i zabrał do roboty. Szło mu mało zręcznie, bo trzonek należało przełożyć przez druty, a końcówką manipulować tak, żeby zgarniać urobek z powrotem do otworu.

Parę większych kamieni wpadło do środka, piach przykrył wszystko od góry, ale i tak pozostała spora dziura. Każdy, kto przejdzie w pobliżu, od razu domyśli się, że ktoś tędy przełaził.

-- Wystarczy?

-- Musi.

Łopaty porzucili trzysta metrów dalej pomiędzy głazami.

Teren stopniowo się wznosił. Nie wiodła tędy żadna ścieżka, szli tam, gdzie dawało się przejść. Gdyby nie ból, mógłby uznać to za całkiem miłą wyprawę w egzotyczne miejsce.

Marudzenie nie było w jego stylu, ale w końcu poddał się słabości.

-- Zaczekaj -- powiedział do przewodnika, przeskakującego właśnie nad większą rozpadliną.

-- O co chodzi?

-- Musimy odpocząć.

-- Już niedaleko.

-- Spieprzamy od dwudziestu czterech godzin. Ja mam dość, oni też. -- Przestał gadać i usiadł obok skalnego uskoku. Koledzy poszli za jego przykładem. Szkoda, że miejsce było tak odsłonięte, przydałaby się odrobina cienia. Na słońcu długo nie wytrzymają. Byle ten wóz, o którym wspominał Abdelmalek, posiadał klimatyzację, a nie okazał się zużyтым dostawczakiem.

Sznajder przysunął się bliżej i poczęstował go papierosem. W zasadzie nie miał ochoty, ale sięgnął po jednego.

Mocno się zaciągnął, aż zawirowało mu w głowie. Czego dodano do tytoniu -- marihuany czy haszu?

-- Co się tak krzywisz? -- zapytał Artur.

-- Bo mi dobrze.

Sznajder nieznacznie się uśmiechnął.

-- Zastanawiam się, co będzie dalej.

-- A co ma być, wracamy do kraju, a potem to, co zwykle.

-- Zdaje się, że nie dla wszystkich.

-- Planujesz nas opuścić? -- Już wcześniej pomyślał o tym, że Artur będzie chciał się urwać.

Dla niego życia w Polsce nie było. Do pudła może nie trafi, ale znajdzie się pod nieustającą opieką kontrwywiadu. Obojętnie, co robi, pójdzie na spacer czy do kina, oni będą o tym wiedzieć.

Skontrolują każdą jego rozmowę telefoniczną. Zero prywatności. Mógł odpokutować winy, ale przeszłość będzie się za nim ciągnęła na wieki wieków.

Natomiast on i Galiński spiją całą śmietankę, dostaną awans, a odznaczenia posypią się całymi garściami. Szczegóły oczywiście pozostaną tajne, co i tak będzie bez znaczenia. Odpowiedni ludzie dowiedzą się o wszystkim.

Po ostatnich przeżyciach kariera mało go nęciła, ale kto wie, co wydarzy się za pół roku albo za rok.

-- Nie żal ci rodziny?

Sznajder się nachmurzył. Zdaje się, że poruszył czułą strunę.

-- Już się z tym pogodziłem.

-- Co ty właściwie chcesz robić? Znów przyłączyć się do tych szaleńców?

-- Z tym już koniec.

-- Na pewno?

-- Muzułmaninem nie przestanę być nigdy.

-- Szkoda, że od razu zacząłeś praktykować w najbardziej skrajnej formie. -- Major wstał, był gotowy do dalszego marszu. -- Powiem tak, daj mi się zastanowić, okej? Wiem, co cię czeka w kraju.

-- Chmura chciałby zobaczyć moje flaki nawinięte na widelec.

-- To prawda -- mruknął Halicki. -- Może pomóc ci znaleźć odpowiednie zajęcie?

-- Nie zrobisz ze mnie żandarma.

-- Nie o to chodzi. Patrz na młodego, bez ciebie by sobie nie poradził. Takich jak ty mamy niewielu. Potrafisz dostrzec rzeczy, o których innym się nie śniło. Cały ten system znasz na wylot. Dobrze mówię? Mówisz po arabsku, a na dodatek nie jest ci obca mentalność ludzi, którzy tu mieszkają.

-- Nie bierz mnie pod włos.

-- Wcale tego nie robię, mówię tylko, że jesteś nam potrzebny. -- Major podążył za oddalającym się przewodnikiem.

-- Wiem, o co ci chodzi. Przemyślę to, dobra?

-- Byle nie trwało to w nieskończoność.

-- A ty, François, wyciągaj nogi, bo cię tu noc zastanie -- rzucił Sznajder w stronę Belga.

Półtorej godziny później wciąż szli. Halicki czuł nieznośne ssanie w żołądku. Kiedy ostatnio jedli? Zdaje się, że wczoraj. Lekko nie było. Za filiżankę nędznej kawy mógłby zabić.

Przemieszczali się teraz skalnym grzbietem, powoli zbliżając do zacienionej dolinki. Trudno powiedzieć, ile pokonali kilometrów, w tym tempie i po tak nierównym terenie na pewno mniej niż dziesięć. Może osiem, albo i nie.

Co jakiś czas przyglądał się niebu, próbując zlokalizować powietrzne patrole pilnujące granicy. Na-

wet jeżeli takie tu były, nie dostrzegł ani jednego.

Szlak wreszcie zaczął prowadzić w dół. Słońce trochę przeszkadzało w obserwacji, ale tam zdaje się biegła jakaś droga. Był też samochód -- biały nissan z napędem na cztery koła. W bagażniku znaleźli wodę i coś do przekąszenia.

Abdelmalek w końcu zdjął zawój z twarzy i okazał się mężczyzną około czterdziestki o dość ciemnej skórze, z rzadkim czarnym zarostem pod nosem i na szczęce.

Major usiadł na fotelu obok kierowcy, reszta musiała ścisnąć się na tylnej kanapie. Nie było im tam zbyt wygodnie, a to, jak długo pojadą, zależało jedynie od kierowcy, bo dokąd zmierzali, wciąż jeszcze pozostawało tajemnicą.

Nissan potoczył się po wybojach denerwująco powoli. Kołysanie usypiało. Torbę wsunął pod nogi. Marzył tylko o jednym -- wygodnym łóżku. Jeżeli nic im w tym nie przeszkodzi, za kilka godzin w takim właśnie wyląduje.

Na wóz bojowy i terenówki natknęli się tuż przy wjeździe na asfaltową szosę. Zwyczajny wojskowy posterunek, lecz tym razem majorowi na jego widok ścierpła skóra. Wojskowych było ze dwudziestu, w mundurach, jakie nosili Amerykanie podczas operacji Pustynna Tarcza i Pustynna Burza, i w zielonych beretach. Nie znał tej formacji. Należeli do armii czy do sił porządkowych? To akurat nie było istotne. Jeżeli to kumple tych z wczorajszej potyczki, mogą być kłopoty.

Na blokadzie już utknęło parę samochodów, samych ciężarówek i cystern z lewym paliwem.

Sierżant kiwnął na nich, wskazując miejsce, gdzie mają się zatrzymać.

W nissanie zapanowała pełna napięcia cisza, jedynie Abdelmalek wyglądał na rozluźnionego.

Podoficer, którego sylwetkę zawodowego zapaśnika ledwo opinał uniform, podszedł od strony kierowcy i zażądał dokumentów. Forma, w jakiej to zrobił, nie pozostawiała wątpliwości, kto tu rządzi.

Abdelmalek zignorował napastliwy ton. Twarz sierżanta zrobiła się purpurowa. Na szczęście w polu widzenia pojawił się oficer.

-- O co chodzi? -- Porucznik nie wydawał się takim dupkiem, jak jego podwładny.

-- Ci ludzie...

-- Możecie odmaszerować, ja się tym zajmę.

Goryl zachował się jak dobrze wytresowany piesek. Frustrację odbije sobie na którymś z kierowców czekających na kontrolę.

Oficer tymczasem podszedł bliżej i w końcu pochylił się nad otwartym oknem.

-- Co tym razem?

-- Obwozę turystów.

-- Ach, ty i twoi turyści. -- Wzrok porucznika przesunął się po twarzach pasażerów. -- Stosowne opłaty zostały oczywiście uiszczzone?

-- Nie, chciałbym to zrobić właśnie teraz.

-- Uhm, razem to będzie...

-- Pięćset.

-- Tysiąc.

Plik kolorowych banknotów zmienił właściciela.

-- Do następnego, przyjacielu.

Abdelmalek zasunął okno i wrzucił bieg.

-- Znasz go?

-- Pewnie, to mój kuzyn.

-- I wiedziałeś, że tu będzie? -- dopytywał się François.

Arab uśmiechnął się kącikami ust.

-- Niezbadane są decyzje Proroka.

-- To nie jest odpowiedź.

-- François -- major odwrócił się do tyłu -- wiesz nam pięćset dolców, chyba że chcesz pogadać z panem porucznikiem na osobności. Nie? Tak myślałem.

Późnym popołudniem dojechali do Ammanu.

Zamiast w ambasadzie ulokowano ich w bezpiecznym domu na obrzeżach jordańskiej stolicy, należą-cym do zamożnego przemysłowca. Po pełnych emocji doświadczeniach w Syrii rozpoczęły się dni wy-pełnione oczekiwaniem na nowe paszporty. Należało też stworzyć wiarygodną legendę, wyjaśniającą, jak znaleźli się w Jordanii, kraju wciśniętym pomiędzy ścierające się potęgi. Z jednej strony Izrael, z drugiej Syria i Irak, pogrążone w morderczej gorączce, a z trzeciej Arabia Saudyjska.

Na razie nic nie było pewne, nudzili się więc i nabierali sił. Specjalnego nadzoru nad nimi nie rozcią-gnięto, a że dom był wygodny i nikt ich nie nachodził, wydawało się, że najgorsze mają za sobą.

Sznajder i Galiński wymykali się do pobliskiego meczetu. Młody twierdził, że chodzi o pogłębianie wiedzy o islamie, a Artur... ten na pewno szukał sposobu, by zejść im wszystkim z oczu. Lepsze to niż oglądanie całymi godzinami telewizji, co stało się rytuałem Belga.

W jedno z takich nudnych popołudni ciekawość Halickiego wzięła górę nad zdrowym rozsądkiem.

Od początku obiecywał sobie, że laptop al-Hamadaniego trafi do rąk Chmury. Cóż to za piękne zakoń-czenie misji. Jeżeli o to chodziło, to proszę, masz tu wszystkie tajemnice, a samego szefa AMNI pocho-waliśmy na pustyni.

Wydobył komputer z czarnej torby, podłączył zasilanie i rozłożył ekran. W przeciwieństwie do Galiń-skiego on wiedział, jak wejść do utajnionych plików. Wickfield nie był takim draniem, jakim się wyda-wał. Pracował dla MI6, angielskiego wywiadu. Był przy tym wyjątkowo bystry i posiadał dużo większe możliwości. Owinął sobie amira wokół palca, aż ten zrobił z niego swoją prawą rękę. I jeżeli nawet al-Hamadani nie zdradził mu hasła, to Max i tak poradził sobie doskonale. Telefon, a właściwie iPhone czy też smartfon, złamał zabezpieczenia. Był tam jakiś program pozwalający wejść do systemu, a biorąc pod uwagę fakt, że Max chodził za amirem jak cień, znalezienie chwili na przetestowanie aparatu nie stanowi-ło większego problemu. Halicki miał go teraz przy sobie. Szkoda, że oni nie okazali się tacy przewidują-cy. Spiął oba urządzenia i uzyskał dostęp. Skoro Wickfield chciał go buchnąć, to w środku musiały się znajdować istne cuda. Nie zaszkodzi sprawdzić, co tak zajmowało al-Hamadaniego.

Z majora nie był żaden wybitny informatyk, ale czytać potrafił. Co na początek? Ikony kusiły.

Wybrał pierwszą z brzegu, o nic nieznaczącej nazwie Buraq -- to zdaje się koń Mahometa, na którym ten wjechał do nieba albo jakoś tak, młody posiadał na ten temat mnóstwo informacji.

W środku schemat metra, nie potrafił tylko rozpoznać jakiego. Potężna sieć, jakiej nie wybuduje się przez kilkanaście lat, a więc na pewno nie Warszawa. Może Praga? Spróbował odczytać małe literki z nazwami stacji -- Alexanderplatz, a niech to, atak gazowy na berlińskie metro. Co za tupet. Aż się spocił z wrażenia. Symultaniczny atak na kilka stacji, oceniany efekt od tysiąca do dwóch tysięcy zabitych i ran-nych. Czy ci ludzie myśleli tylko o zabijaniu?

Zamknął plik i poszukał następnego. Ikon na ekranie jaśniało całkiem sporo. Chciał kliknąć folder o nazwie Koń Trojański, ale przez przypadek wszedł w kosz. A to co? Mekka i Kaaba. Pewnie stare i nie-aktualne informacje, które amirowi do niczego nie były potrzebne. Trudno powiedzieć, jak długo tutaj za-legały, w każdej chwili mogły ulec skasowaniu. Informatycy jakoś sobie z tym radzili, on nie. Przeniósł pliki na pulpit i otworzył Kaabę. Przynajmniej zorientuje się, o co chodzi.

Znów Niemcy. Berlin? Nie, to Poczdam. Przyjrzał się dokładniej. Czy jest tam międzynarodowe lotnisko? Tego akurat nie wiedział. Chyba tak, bo co by tu robiły schematyczne rysunki ośmiu samolotów? Czyżby chciano podłożyć ładunki pod wylatujące stamtąd maszyny? Data -- pierwszy lipca tego roku. Chyba niewypał, bo nie przypominał sobie... Kurwa, no nie. Pierwszego lipca, czy to nie wtedy spadły maszyny przywódców państw grupy G7 oraz ten prezydenta Federacji Rosyjskiej?

Gorączkowo zaczął przeglądać treść. Wystarczyło kilka pierwszych zdań. Złość natychmiast przerozdziła się w przerażenie. Spisek wcale nie wyszedł ze strony przywódców Państwa Islamskiego, oni go tylko zaakceptowali, za wszystkim stał ten pokraczny bękart z Korei Północnej. Wszystko stało się jasne. Sami islamiści nie dysponowali odpowiednią technologią mogącą zakłócić pracę urządzeń pokładowych.

A więc Alicja miała rację, twierdząc, że wcześniej po okolicy kręcili się Azjaci. Pewne sprawy dla pustynnych bandytów były nie do przeskoczenia, ale w sojuszu z Kim Dzong Unem, największym pariasem światowej polityki, dokonali najbardziej zuchwałej akcji sabotażowej w historii. Środki techniczne, jakie posiadała Korea, stały o wiele wyżej niż najbardziej nawet wyrafinowane urządzenia terrorystów Abu Bakra al-Baghdadięgo. Owe wozy techniczne "ogłuszyły" elektronikę samolotów. Zresztą, to temat dla specjalistów. W jednej chwili sprzątnęli wszystkich potencjalnych wrogów.

O, skurwysyny... Taka przyjaźń nie mieściła się w głowie. Nawet z tą wiedzą z pamięci laptopa Korei Północnej nikt nie ruszy, jakakolwiek akcja militarna nie miała szans. Nikt nie pomógł Grecji i nikt nie zaatakuje Korei. Zmontowanie koalicji to zadanie ponad wątłe siły obecnych przywódców. Kto niby stanie w szeregu? Stany? Wykluczone. Anglia, Niemcy, Federacja Rosyjska? Nie należało zapominać o tym, że ci, którzy obecnie przewodzili krajom G7, swoje stanowiska zawdzięczali właśnie tej operacji. Kto zagwarantuje, że nie maczali w tym paluchów?

Może jedynie Japonia w sojuszu z Koreą Południową, ewentualnie Tajwanem i Filipinami, byłaby skłonna do działania. Jak zawsze za tym durniem z idiotycznie podgolonymi włosami opowiedzą się Chiny. Wtedy do koalicji przystąpi Wietnam, mający z Pekinem dawne porachunki. Wojna zrujnuje Azję na dziesięciolecia. Nie ma zwycięzcy, są sami przegrani. Miliony, a raczej dziesiątki milionów trupów. Co w takim razie jest lepsze -- udawanie, że o niczym się nie wie, czy też wygarnięcie z grubej rury i wzięcie na sumienie tych wszystkich ofiar? Na pewno popłynie istna rzeka krwi.

Świat bez wątplenia nie będzie taki sam. Co on bredzi, już nie jest. Ewentualne starcie na dobre destabilizuje gospodarkę i politykę planety. Nieważne, że zmagania będą się toczyć na Dalekim Wschodzie, rykoszetem oberwą wszyscy bez wyjątku, i na Wyspach Owczych, i w Patagonii.

Kruchy fundament cywilizacji rozsypie się i upłyną dekady, zanim jakaś forma ładu wyłoni się z tego całego chaosu. Komputer al-Hamadaniego to prawdziwa puszka Pandory. Na jaką cholere tu zaglądał?

To tyle, jeżeli chodzi o Kaabę, a co kryje Mekka?

Tym razem miał duszę na ramieniu, gdy zabierał się do czytania. Tak jak poprzednio, wystarczyły pierwsze zdania. Czego się właściwie spodziewał -- że epidemia w USA wybuchła sama z siebie? Najsmutniejsze w tym wszystkim było to, że do dokonania tych wszystkich zbrodniczych czynów wcale nie potrzebowano armii ludzi. Zamachowców było najwyżej pięćdziesięciu. Znalezienie ochotników w kraju, w którym jedyną władzę sprawuje ta sama rodzina od wielu dekad, nie stanowi problemu. Północnokore-

ańscy komandosi znani byli ze swojego fanatyzmu. W niczym nie różnili się pod tym względem od dżihadystycznych bojowników. Lepiej zginąć, niż poddać się wrogowi.

Folder, który otworzył, nie zawierał szczegółów, te zresztą nie były potrzebne. Spis aptek i hurtowni oraz kilka tysięcy szczepionek, które wcześniej zostały odpowiednio spreparowane i zamiast leczyć, rozsiewały chorobę, pochodną ospy czy grypy, to zupełnie nie jego bajka. Zmutowany wirus rozprzestrzeniał się z niewiarygodną prędkością, a co ważniejsze, nie było na niego lekarstwa. Epidemia po paru tygodniach wygasała samoistnie. Wprowadzenie planu w życie nie okazało się wielkim problemem. Było jeszcze łatwiejsze niż ataki na samoloty. Tak naprawdę zabójcza dla świata okazała się kombinacja tych dwóch zamachów.

A co, jeżeli Kim Dzong Un szykował się do wyzwolenczego marszu na południe?

Spokojnie, nie należało wpadać w panikę. Co prawda na Morzu Południowochińskim doszło do potyczki pomiędzy okrętami Chin i Japonii, ale nie można wyciągać z tego zbyt pochopnych wniosków. Władze w Pekinie powinny chyba mocno przemyśleć postępowanie wobec dotychczasowego, nieobliczalnego sojusznika. Skoro Kim zdecydował się na taki krok, to kto zagwarantuje, że nie zaczną kęsać ręki, która go karmiła?

Obie koreańskie operacje przerosły najśmielsze oczekiwania. Jeżeli świat na wyglądać tak, jak przewidywały plany Pjongjangu, to ziemia stała się wyjątkowo nieciekawym miejscem.

François wszedł bez pukania.

Halicki przesunął kursor i zamknął plik. Nie potrzebował tu ciekawskiego Belga.

-- Następnym razem nie ładuj się jak do siebie -- burknął niechętnie.

-- Zabawne, że o tym wspomniałeś.

-- Mecz się skończył?

-- Jeszcze się nie zaczął. -- Belg, zawsze pogodny, tym razem wydawał się śmiertelnie poważny.

-- O co chodzi? Jestem zajęty.

-- Znalazłeś coś ciekawego? -- François wskazał na otwarty laptop.

-- Nie twoja sprawa.

-- Właśnie, że moja. Wiesz, jak to mówią...

-- Że ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

-- Jakoś tak. -- Pistolet w dłoni Belga był niewielki, normalnie określało się takie mianem damskich, niemniej kule dziurawiły ludzi tak samo jak w przypadku większych gabarytowo egzemplarzy broni.

-- Ty skurwysynu -- wyrwało się majorowi przez zaciśnięte zęby.

-- Darujmy sobie te inwektywy.

-- Wiesz, kim jesteś?

-- Wiem -- odparł François z godnością. -- Człowiekiem, któremu godziwie zapłacono za przypilnowanie pewnych spraw.

Halicki nie posiadał się ze zdumienia i wściekłości. Dał się podejść takiej łachudrze.

-- Tak się odwdzięczasz?

-- Jesteś naiwny jak mała krowa. Czy sądzisz, że przystąpiłem do was jedynie z tego powodu, że nie mia-

łem z kim pogadać?

-- Pies Hamadaniego.

-- Niczego nie zrozumiałeś. Ja nie robię dla tych pastuchów.

Halicki przyjrzał się badawczo Belgowi.

-- No nie...

-- A jednak.

-- Jesteś szalony.

-- Wcale nie. -- Na Françoisie słowa majora nie zrobiły wrażenia. -- W życiu liczą się pieniądze. Im masz ich więcej, tym jesteś szczęśliwszy.

-- Najemnik.

François roześmiał się.

-- Gdy oddam walizkę, na moje konto wpłynie okrągła sumka. Nie taki był plan, ale parę spraw rozwiązało się bez mojego udziału.

Nie musiał mówić dalej. Mocodawcy, którym służył, zorientowali się, że ten sojusz nie ma przyszłości.

François tu tylko sprzątał. Usunięcie amira to dopiero pierwszy krok. Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności, że ten zginął podczas ataku jordańskich sił specjalnych. Komputera wtedy nie udało się przejąć, ale nic nie szkodzi, wyczekał kolejnej okazji, a tę podsunęli mu niejako sami.

Przy nich Belg okazał się amatorem. To cud, że nie sprowadził im pod dach komanda północnokoreańskich zabójców. Widać wolał całą zasługę przypisać sobie.

François nie łudził się, że zostanie oszczędzony. Wiedział za dużo. Idealnie byłoby, gdyby drapnął laptop i zmył się bez pożegnania, ale napatoczył się ten Polak przeglądający treść. Świadkowie nie byli nikomu potrzebni.

Gdy zakopywali broń na pustyni, François pozbył się erkaemu, pozostawiając sobie ten mały kieszonkowy pistolecik.

Halicki pomyślał, że za bardzo ufał ludziom, a teraz przyjdzie mu za wszystko zapłacić.

-- Posłuchaj, może się...

-- To nic osobistego.

Dźwięk strzału okazał się zaskakująco głośny, zupełnie jak przy trzaśnięciu książką o blat biurka.

Dostał w pierś, świat zawirował. Bolało jak jeszcze nigdy w życiu.

Słowa imama idealnie trafiły w nastrój Artura. Traktowały o powinności, jakiej podlegał każdy muzułmanin względem woli Allaha. Nie należało odwracać głowy, gdy zło panoszyło się na świecie.

Najwyższy oczekuje od nas działania, świętą wojnę należało rozpocząć od samego siebie -- o takiej interpretacji Koranu słyszał już kilkakrotnie -- zło pochodzi od nas, musimy się z nim rozprawić we własnym sercu, a dopiero wtedy staniemy się nowymi ludźmi.

Galiński jeszcze został, chciał pogadać z duchownym o szczegółach, ale on zdecydował się rozmówić

z majorem na dobre. Jordania to przystanek, przedostanie się do Sudanu i ostatecznie zerwie się z łańcucha.

W salonie jak zwykle grał telewizor, tym razem ustawiony na telenowelę, której akcję osadzono w dziewiętnastowiecznym haremie. Ten cholerny belgijski kundel gdzieś zniknął. I całe szczęście. Im mniej świadków, tym lepiej.

Na piętrze huknęło. Pewnie majorowi spadła książka na podłogę. Odgłos się powtórzył. Tym razem Sznajder znieruchomiał. Nikomu nic nie leci z rąk dwa razy pod rząd. Trzeba być wyjątkowym niezgula.

Przemknął do kuchni i na wszelki wypadek poszukał noża. Te, które znalazł w szufladzie, nie nadawały się do walki, były to zwykłe kuchenne sztucce z zaokrąglonymi końcówkami. Zabrał za to tasak, pewnie do rytualnego uboju, bo raczej nie do szaszłyków. Od razu poczuł się pewniej. Walczyć się tym nie da, ale rzucać już jak najbardziej. Przywarł do ściany tuż przy schodach. Odgłos kroków z góry nie pozostawiał wątpliwości -- ktoś właśnie schodził, cicho pogwizdując.

To nie major, ten nie miał takich nawyków. Już chciał wyjść, lecz powstrzymał się. Nieznacznie się wychylił, gdy minął go Belg.

A ten dokąd? Walizeczka nie pasowała do spodni w kolorze khaki i białej rozpinanej koszuli. Zorientował się, że to torba, w której przywieźli laptop al-Hamadaniego.

I ten pistolecik tuż przy nodze. François stał odwrócony do niego plecami i lustrował salon. Może domyślił się już, że ktoś właśnie wszedł do środka.

-- Opuuszczasz nas bez pożegnania?

Belg drgnął, słysząc głos za swoimi plecami.

-- Nie muszę chyba mówić, że jestem rozczarowany. -- Ręka z tasakiem uniosła się do góry. -- Odwróć się, ale powoli.

François wykonał mistrzowski zwód. Upuścił torbę, okręcił się wokół własnej osi i złożył do strzału.

Prawie mu wyszło. Pewnie spodziewał się wszystkiego, ale nie fruwającego tasaka.

Rzut z trzech metrów to żadna sztuka. Kawał żelastwa uderzył Belga w mostek. Nawet się nie wbił, bo zamiast ostrzem trafił go rękojeścią, lecz impet był taki, że odbierał dech i łamał kości.

Pistolecik poleciał na bok. Mocne wybicie i już zaciskał palce na gardle fałszywego przyjaciela, przygniatając go całym swoim ciałem.

Uniół na parę centymetrów głowę wyrywającego się zdrajcy i trzasnął nią o podłogę, jednak z mało zadowalającym efektem.

Nigdy nie uznawał półśrodków. Sięgnął po tasak i wziął solidny zamach. Krew i kawałki kości bryzgnęły na prawo i lewo.

Sznajder przyjrzał się ciału.

-- Powinienem to zrobić już dawno. -- Wstał i otarł czoło, rozmazując na nim kropelki krwi.

Należało szybko sprawdzić, co z Halickim. Major pilnował laptopa jak żrenicy oka. Przejęcie komputera kosztowało ich zbyt wiele, by go stracić.

Wbiegł na piętro, przeskakując po dwa stopnie. Drzwi do pokoju znajdowały się po lewej stronie korytarza, pchnął je i znalazł się w środku.

Halicki stracił już tyle krwi, że było mało prawdopodobne, by jeszcze oddychał. Sprawdził puls. Tliła się w nim iskierka życia. Jeżeli szpital nie pomoże, to niech Allah będzie dla niego łaskawy.

To nie był koniec, a jedynie krótka przerwa w działaniach, a o charakterze tych działań -- politycznym lub militarnym -- miała zdecydować przyszłość. Pokazali światu, jacy są silni -- tylko to się teraz liczyło. Turcja mocno zaakcentowała swoje istnienie. Wkroczenie do Grecji i opanowanie Salonik wyeliminowało głównego przeciwnika w regionie. Krótka wojna okazała się wyjątkowo korzystna. Wiele doborowych oddziałów wroga zostało rozbitych, a siły lotnicze i morskie uległy zdziesiątkowaniu. Rząd w Atenach, oskarżany przez opozycję o nieudolność, był niestabilny i wydawało się, że dalszych rokowań pokojowych nie będzie komu prowadzić.

Tym akurat nie należało się martwić. Im większy chaos, tym szybciej reszta Grecji wpadnie im w ręce. Próby ratunku, głosy rozsądku i wołanie o jedność w tej krytycznej dla państwa chwili okazały się nieliczne i nie potrafiły się przebić w medialnej przestrzeni. Za to lamenty i apele, jakie przetaczały się przez grecką prasę i telewizję, jedynie bawiły Dżabbara. Oto demokracja w pełnym działaniu.

Naród, zamiast skupić się na jakimś symbolu, który pozwoliłby się oprzeć dalszej agresji, załamał ręce.

Przewodziła temu ta cała lewacka hołota, od lat podkopująca zdrowe zasady. Chcieliście małżeństw homoseksualnych i praw wyborczych dla zwierząt, to macie. Równość? Jaka równość. Dopiero teraz zobaczycie, jak ta wasza równość wygląda.

Dżabbarowi wcale nie chodziło o całkowite zniszczenie Grecji czy okupację Aten. A po co im to? Będzie się szarpał z nimi tak jak z Kurdami u siebie? Jak pokazał przykład Afganistanu i Iraku, partyzantka wojna to jedynie mnożenie ofiar i nieustanne starcia, które ostatecznie prowadzą do kryzysu. Grecy posiadali długą tradycję walki o niepodległość i w końcu się do niej odwołają. Jemu wystarczyło to, co osiągnęli.

Niektórzy mówili, że to nie sukces, tylko sukcesik, ale on śmiał się w duchu z ich głupoty. Saloniki to niby nic takiego. Jednak on niczego więcej nie potrzebował. Właśnie wybił bramę do Europy, przez którą wleją się następne hordy barbarzyńców. Nie będą to najazdy, jak za Persów, Arabów czy Seldżuków, kiedy kolejne wschodnie potęgi próbowały podbić kontynent. Nie tym razem. Zamiast wojny -- pokojowa migracja.

Serbia już ogłosiła mobilizację, a on się pytał: co z tego? Do kogo będą strzelać -- do kobiet i dzieci? Umęczone twarzyczki cierpiących wzruszą każdego, zwłaszcza tych durni z Berlina i Paryża. Macedonię, Albanię i Bośnię zaleją wkrótce czekające na taką okazję tłumy. Te wciąż się powiększały. W związku z wybuchem gwałtownych walk, do jakich doszło niedawno w Syrii i Iraku, do wyjazdu już szykowało się parę milionów mieszkańców Bliskiego Wschodu.

Nic więcej nie trzeba było robić. Nieliczne głosy rozsądku utoną w jazgocie. Zachodnia Europa już przegrała, co więcej, sama doprowadziła do swojego upadku. Śmiał się, gdy słyszał głosy tak zwanych specjalistów, którzy na wszystko mieli odpowiedź. Idiotyczne i debilne wypowiedzi skończonych kretyków, którym wydawało się, że zjedli wszystkie rozumy -- patrzcie, Niemcy się nie boją, w ciągu roku przyjmą milion, dwa lub trzy miliony nowych uchodźców. Dlaczego to robią? Bo za dwadzieścia lat społeczeństwo się zestarzeje i ktoś będzie musiał utrzymać tempo rozwoju, a wtedy przyda się każda para

rąk do pracy. Za dwadzieścia lat, drodzy przyjaciele, oprócz niemieckiego w szkołach drugim językiem wykładowym będzie arabski, a ci, którzy będą się nim posługiwać, mają gdzieś niemiecką gospodarkę. Trzeba być skończonym kretynem, żeby wierzyć w takie brednie.

Nieważne, czy dojdzie tam do serii zamachów, czy nie. To już kompletnie bez znaczenia. Statystyka działała przeciwko tym jaśnie oświeconym obywatelom krajów szczyjących się tysiącletnią kulturą.

W ciągu piętnastu--dwudziestu lat basen Morza Śródziemnego czeka prawdziwa eksplozja demograficzna. Na południe od Sahary będzie tak samo. Pięćdziesiąt--sześćdziesiąt milionów Afrykanów i Arabów wkrótce poszuka nowego domu. Niech francuski prezydent i niemiecki kanclerz przygarną ich wszystkich.

Jedynym stabilnym krajem w regionie jest Turcja. Sztambuł ponownie staje się centrum muzułmańskiego świata. Należało zastanowić się, co dalej.

Na północy kusił niezmiernie przestrzenie Federacji Rosyjskiej, gdzie co najmniej dwadzieścia pięć milionów wyznawców Allaha jęczało pod jarzmem kremlowskich despotów. Wkrótce wyciągną do nich pomocną dłoń. Rosja, mimo całkiem sporej armii, była bez szans. Tym udekorowanym dziesiątkami medali generałom pewnie wydaje się, że nowa wojna będzie wyglądać jak Wielka Ojczyźniana -- z frontami, ofensywami i kolejnymi rubieżami do zajęcia. Albo jak ta, do jakiej się przygotowywali na wypadek konfliktu z NATO, gdy tysiące czołgów w każdym momencie było gotowych przełamać front, ale również istniał straszak w postaci broni jądrowej.

Nic bardziej mylnego -- tu front przebiegać będzie przez każdą wioskę, osadę, miasto i miasteczko.

Zamiast pancernych kolumn -- tysiące niewielkich oddziałów, doraźnie łączących się w celu wykonania określonego zadania, a potem rozplywających się w przestrzeni. Każdą taką grupę wyposaży w broń przeciwlotniczą, przeciwpancerną i kilka terenówek. Jak wówczas zareagują? Urządzą jedną wielką obławę od Donbasu przez Astrachań po Ural, przy równoczesnej miejskiej partyzantce w największych ośrodkach miejskich. W końcu zabraknie im żołnierzy i policjantów. Na Krymie i w Tatarstanie już się zaczęło. Zdaje się, że po blokadach dróg pod Symferopolem lokalne władze wpadły w panikę. Posiłki ściągnięto z Krasnodaru, Wołgogradu i Rostowa nad Donem.

Przez moment myślał o sprowokowaniu kolejnych walk rosyjsko-ukraińskich. Im dłużej trwały, tym lepiej dla nich. Ta pełzająca interwencja podkopywała siły Rosjan bardziej niż gospodarcze sankcje. Równie słuszny był pomysł, by z części Afganistanu, Uzbekistanu, Turkmenistanu i Tadżykistanu uczynić prowincje Państwa Islamskiego. Kreml w porę zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Już raz w latach osiemdziesiątych zostali pokonani na tym terenie. Czy Rosjanom wydaje się, że jak wzmocnią poszczególne reżimy, to mudzahedini armii islamskiej nie zdobędą przyczółków, a później nie obalą satrapów?

Z jednej strony Federacja, z drugiej -- Pakistan, dla którego była to naturalna strefa ekspansji. Nieprzebrana ludzka masa gotowa wyruszyć na północ na wezwanie swoich imamów. Samych Pakistańczyków było sto osiemdziesiąt milionów, Irańczyków osiemdziesiąt, a ich siedemdziesiąt pięć. Rosjan w najlepszym przypadku sto czterdzieści, ale odliczając wyznawców Proroka, już tylko sto piętnaście. Posiadali więc co najmniej trzykrotną przewagę pod względem demograficznym. Mało prawdopodobne wydawało się uderzenie lotnicze na bazy wojsk pakistańskich. Potencjał militarny tych trzech państw muzuł-

mańskich przewyższał rosyjski. Moskwie nie pomogą czołgi T-14, wozy Kurganiec czy Bumerang, nawet międzykontynentalne rakiety Jars oraz Topol, kiedy rebelia wybuchnie w ich miastach.

Nie należało także zapominać o tym, że Pakistan i Iran posiadały broń jądrową, a przyparte do muru nie zawahają się jej użyć.

Chiny, choć wydawały się najludniejszym krajem na tej planecie, paradoksalnie pogrążyły się w kryzysie demograficznym, na co nakładała się utrata rynków zbytu na własne produkty. Nikt już nie chciał nabywać ani artykułów papierniczych, ani chemii gospodarczej czy elektroniki użytkowej.

Po co? Powoli zaczynał się ruch w drugą stronę. Kraje europejskie już kupowały w Europie. Finowie produkowali doskonałe telefony, nie było potrzeby ściągać podobnych z Azji. Zresztą najważniejsze stały się oszczędności. Dotyczyło to wydatków państw, jak i poszczególnych obywateli. Czasy zrobiły się wyjątkowo niepewne. Lepiej zaopatrzyć się w dodatkową zgrzewkę fasoli, niż wydawać pieniądze na elektroniczne zabawki.

W mediach już obwieszczono koniec świata. Jak grzyby po deszczu mnożyły się publikacje o rychłym nadejściu dni ostatecznych. W bardziej racjonalnym nurcie dawano porady na temat tego, jak zakisic kapustę, jak przygotować glebę pod wysadzanie roślin uprawnych, oprawić zwierzynę czy destylować alkohol. Zapomniane umiejętności ponownie były w cenie.

Zupełnie nieoczekiwanie renesans przeżywał Kościół katolicki. Wzrosła liczba powołań, a dawno zamknięte świątynie otwierano ponownie. Kanały telewizyjne dla wiernych oglądało znacznie więcej osób niż te z muzyką popularną i programami rozrywkowymi. Nagle okazało się, że nikomu nie jest do śmiechu.

Mają rację, że się boją, bo oto zbliżał się wielkimi krokami kres świata, jaki wszyscy znali do tej pory. Te parę punktów na mapie, w których upatrywano nadziei, było zbyt słabych, by sprostać potędze islamu i Proroka.

Izrael, ten cień w oku wiernych, szykował się do oblężenia. W Strefie Gazy i na Zachodnim Brzegu niemal nie milkły strzały. Bojownicy atakowali patrole i umocnione punkty. Mur, który oddzielał samo państwo od terenów okupowanych, stawał się coraz potężniejszy, najeżony bastionami z bronią ciężką i lądowiskami dla śmigłowców bojowych.

Żydzi chyba sami nie widzieli, że wpędzali się w pułapkę. Bezpieczeństwo za tym systemem fortyfikacji było złudne. Nie ustawią betonowych płyt aż po sam Ejlat nad zatoką Akaba.

Dosyć gwałtownie zaczęto rozbudowywać flotę wojenną, bo dotychczasowa nie była zbyt silna.

I nie musiała. Bezpieczeństwa od strony wody pilnowały okręty amerykańskiej VI Floty. Gdy ich zabrakło, dosyć szybko okazało się, jak ważne jest utrzymanie szlaków żeglugowych. Przejęto sporo jednostek, które wcześniej wchodziły w skład flotylli dowodzonej przez sztab operacji morskich we włoskiej Gaecie. Ten problem na razie nie kłopotał Dżabbara. Przyjdzie odpowiednia pora, a poradzą sobie także z tym.

Wywiad donosił o gwałtownej zmianie układu sił w basenie Morza Bałtyckiego. Kilka ostatnich ruchów Warszawy znacznie skomplikowało sytuację. Generał nie sądził, że będą do tego kiedykolwiek zdolni.

A jednak.

Problem wydawał się palący. Należało się nim zająć jak najszybciej. Warszawa już otaczała się sojuszem popierających ją państw. Na pojawienie się komandosów w Bułgarii nie zareagowali zupełnie, jakby ich tam nie było, choć sytuację w Sofii śledził z wielkim zainteresowaniem. Przez bułgarską armię zaczęła przetaczać się istna lawina dymisji, do czystek szykowały się służby specjalne. Jak przewidywał, dojdzie do serii niespodziewanych śmierci, odwołań, przejść w stan spoczynku oraz ujawnienia gigantycznych malwersacji, a co za tym idzie, ucieczek z kraju. Jeżeli komuś wydawało się, że Polacy mają dobre intencje, czyste ręczki i nie są zdolni do brutalnej gry, to bardzo się mylił. Przeciwników eliminowali tak samo bezwzględnie jak służby największych państw. Nikt nie będzie płakał nad jakimś defraudantem czy zdrajcą, kiedy szło o przyszłość. Podobnie działo się w Rumunii, lecz na mniejszą skalę. Porachunki w Polsce, Czechach i na Słowacji załatwiano już całkiem dyskretnie -- wypadek samochodowy tu, nieudana operacja wyrostka robaczkowego tam. Służby wojskowe i cywilne wyciągały macki we wszystkie strony. Im więcej czasu zyskają, tym będą mocniejsi w przyszłości.

Tworzyło się coś na kształt Unii Europejskiej czy też NATO bis. Koniecznie należało temu poświęcić więcej uwagi, przekazując środki na inwigilację środowisk wcześniej zmarginalizowanych.

Wszystkie te kraje ograniczało jedno -- demokracja. Wybory to piękna sprawa, pod warunkiem jednak, że się wie, kto je wygra.

Na razie nie byli groźni, ale za rok, dwa, kto wie?

Jedno wiedział na pewno -- Islamska Armia poradzi sobie z każdym wrogiem, a bojowników nie zabraknie.

Już od paru dni sen nie przychodził tak szybko jak kiedyś. Przewracał się z boku na bok, a gdy w końcu zasypiał, miał koszmary.

Męczył się on, męczyła żona. W końcu przeniósł się na kanapę w salonie. Niewiele pomogło. Pewnych obrazów nie dawało się wyrwać z głowy.

Nie dalej jak przedwczoraj dwóch dżihadystów zaatakowało w Londynie samotną policjantkę, której maczetą odrąbali głowę. Nie był to pierwszy taki przypadek, lecz tym razem wydarzenia potoczyły się w nieoczekiwanym kierunku. Zmierzający na pomoc radiowóz został ostrzelany z broni maszynowej. Śmierć poniósł następny stróż prawa, a kolejny został poważnie ranny. W końcu udało się zastrzelić obu terrorystów. Tłumu, który zebrał się na miejscu zbrodni, już nie zdołano spacyfikować. Popołudniowa demonstracja Ligi Obrony Anglii, kibiców piłkarskich, skinheadów i tak zwanych zwykłych obywateli wkrótce przerodziła się w polowanie na każdego o ciemnym kolorze skóry i w chuście na głowie. Zamach będący zapewne zwykłą prowokacją udał się nad wyraz dobrze. Głównymi ulicami przemieszczały się grupy liczące od kilku do kilkudziesięciu osób i atakujące każdego, kto nie był białym. Ciało Yamira Maharaja, szanowanego hinduskiego lekarza ze Szpitala świętego Tomasza, który mieszkał w Londynie od trzydziestu lat i nie miał nic wspólnego z polityką, zadyndało na latarni. Dla sprawców liczył się jedynie kolor skóry, nic więcej.

Wkrótce protestujący starli się z członkami azjatyckich i afrykańskich ulicznych gangów. W ruch poszły noże, pałki i koktajle Mołotowa. Zapłonęły pierwsze meczety. Wzmocnione siły policji zaczęły brutalnie rozpędzać obie strony. Jak się szybko okazało, na takie rozwiązanie było już za późno. Do dwudziestej zginęło osiem osób, a wiele zostało rannych.

Jeżeli komuś wydawało się, że w nocy sytuacja się uspokoi, mocno się mylił. Gangi, podobnie jak protestujący, z taką samą zajadłością jak siebie nawzajem zaczęły atakować służby mundurowe.

Tysiące ludzi wytoczyły się z pubów i przedmieść. Miejska biedota zwietrzyła doskonałą okazję do odegrania się.

Zapłonęły dziesiątki samochodów i domów imigrantów. Dzielnice, do których wcześniej policja bała się wkraczać, stały się areną gwałtownych starć. Salafici i cała reszta nie pozostali dłużni. Wkrótce zamieszki nie przypominały już ulicznej bijatyki, tylko regularną miejską bitwę. Okazało się, że same siły policyjne nie zaprowadzą porządku. Szybko ściągnięto do Londynu wojsko z czołgami i wozami opancerzonymi. Rozważano wprowadzenie stanu wyjątkowego, co wydawało się mocno spóźnioną decyzją.

Areną starć stało się Birmingham, Manchester, Newcastle i Glasgow oraz cała masa pomniejszych miejscowości. Wszędzie były jakieś porachunki do załatwienia.

Do północy ofiar było już sto pięćdziesiąt i nic nie wskazywało na to, że do rana masakra się zakończy. Szybko nazwano ją Nocą Gniewu.

Dziewiętnastoletni Stanley Mason stał się bohaterem wydarzeń. Ten kapral jednego z batalionów piechoty jako pierwszy odmówił dalszego wykonywania rozkazów. Nie widział powodu, dla którego ma strzelać do Anglików, jeśli całkowicie utożsamiał się z demonstrantami. Aferę starano się wyciszyć, lecz Internetu nie można było wyłączyć. Pojawienie się naśladowców wydawało się jedynie kwestią godzin, a

skoro władze zaczynały liczyć się z możliwym buntem we własnych szeregach, to jak w takim razie zaprowadzić porządek na ulicach? Co więcej, nic nie zapowiadało szybkiego uspokojenia nastrojów.

Na pytanie, co z tym zrobić, generał Emil Banach nie znał odpowiedzi. Jak tak dalej pójdzie, zamieszki przeniosą się na kontynent. Podatny był na nie każdy zachodni kraj. Tylko patrzeć, jak zaczną się polowanie od Marsylii po Oslo, a to fatalnie wróżyło najbliższej przyszłości.

To niejedyne problemy, jakie zaprzętały głowę generała. Zamieszanie w Ammanie omal nie wymknęło się spod kontroli. Oficer dowodzący grupą wysłaną na Wschód znajdował się w stanie krytycznym, opiekował się nim porucznik Galiński. Trzeci z uczestników misji wczorajszego ranka wyszedł z bezpiecznej meliny, którą im znaleziono, i przepadł na dobre. Nikt nie wiedział, co się z nim dzieje. Działający na miejscu agenci wychodzili ze skóry, aby zdobyć jakiegokolwiek informacje. I nic. Artur Sznajder rozwiązał się jak poranna mgła.

Trzeba to było powiedzieć otwarcie -- pomysł kapitana Chmury okazał się chybiony. Nie uzyskano niczego konkretnego, a na dodatek pozwolono uciec niebezpiecznemu terrorystyce.

Podobno Galiński posiadał jakieś rewelacje, ale dopóki nie znajdzie się w Polsce, nie chciał o nich mówić. Jedyne, co cieszyło, to potwierdzona wiadomość o śmierci Hamida al-Hamadaniego, załatwionego przez Jordańczyków.

W normalnych okolicznościach kazałby zapakować chłopaka do samolotu i pod opieką odstawić do Warszawy. Tyle że nikt nie latał z Ammanu w odpowiednim kierunku. Bardzo rzadko odbywały się rejsy pomiędzy Ammanem i Rzymem, lecz szanse wysłania tą trasą Galińskiego równały się zeru.

Do niedawna można było brać pod uwagę Kair albo któreś z lotnisk na półwyspie Synaj, ale tam także pojawiły się problemy. Samoloty kursowały nieregularnie, jeżeli w ogóle.

Najszybciej będzie przez Izrael, a potem nie samolotem, lecz statkiem na Sycylię. Okres bezpiecznych podróży skończył się definitywnie. Wszystko, co do niedawna było normą, obecnie stało się niemal nieosiągalne. Grecję należało omijać szerokim łukiem. Bałkany również.

Zanim weźmie Galińskiego w obroty, przyjdzie mu troszkę poczekać.

Dochodziła czwarta rano. Za wcześnie, by wstawać. Do pracy przychodził o szóstej, a wcześniej zabierał go służbowy samochód z warszawskiego Ursynowa.

Właśnie miał się przewrócić na drugi bok, gdy usłyszał dzwonek do drzwi. Od dawna nic podobnego nie miało miejsca. Jeżeli już, to dzwonił telefon, nawet często, ale nikt nie przychodził w nocy niezapowiedziany. A już na pewno nikt od niego.

Pojęcia nie miał, kogo przyniosło o tak wczesnej porze. Ochrona śpi? Wyśle matołów na Spitsbergen liczyć pingwiny. Kogo on zatrudnia?

Dzwonek się powtórzył. Chcąc nie chcąc, wstał, poszukał kapci i poszedł zobaczyć, kto to.

Oblicze Oskara Borzęckiego wydawało się wyjątkowo skupione.

-- Cześć, profesorku.

-- Moge? -- zapytał Borzęcki.

-- A musisz?

-- Lepiej, jak pogadamy.

Spodziewał się każdego, tylko nie szefa Instytutu Wysokich Technologii. Kolejny kryzys, bomba atomowa przechwycona przez wywrotowców czy zamach, to i owszem -- z tym liczył się każdego dnia. Ale czego mógł chcieć Borzęcki o tak wczesnej porze?

-- Napijesz się kawy? -- zaproponował.

-- Chętnie.

Przeszli przez salon do kuchni.

-- Powiedz mi, Oskar, jak długo się znamy?

-- Będzie ze trzydzieści lat.

-- Ano właśnie. -- Zasepił się Banach. -- I nigdy nie wyciąłeś mi żadnego numeru.

-- Tym razem... okoliczności są nietypowe.

-- Nietypowe, powiadasz?

-- To nie moja wina.

Generał podszedł do okna. Warszawa jak stała, tak stała. Nie unosiła się nad nią złowieszcza łuna czy blask pożaru, znaczy się wszystko w porządku.

-- Nie mogłeś poczekać, aż przyjdę do biura?

-- Wolałem interweniować wcześniej.

-- Nie przestajesz mnie zadziwiać. -- Rozlał kawę do kubków i jeden z postawił przed dyrektorem instytutu. -- Ktoś zginął podczas eksperymentu?

-- Uchowaj Boże.

-- Promieniowanie?

-- Niewielkie. Wszystko w normie.

-- No to nie wiem, czego ty, kurwa, chcesz. -- Zdenerwował się Banach. -- Jeżeli wszystko gra, to po kiego przyłazisz po nocy?

-- Aż tak dobrze to nie jest. -- Mina Borzęckiego była niewyraźna.

Palce Banacha zadudniły na blacie. Problemy się piętrzyły i gdy już wydawało się, że inni dadzą sobie radę bez niego, znów się okazywało, że jest niezbędny.

-- No...

-- Eee... uruchomiliśmy taki niewielki akcelerator, wiesz, o czym mówię, ale coś poszło nie tak, pojęcia nie mam... Wszystko dokładnie wyliczyliśmy.

-- Uruchomiliście zderzacz hadronów? I co?

-- No i... pojawił się problem.

-- Jaki?

-- Mamy teraz w Warszawie miniaturową czarną dziurę. Na razie jest stabilna, ale nie wiemy, jak długo to potrwa.

-- Nie mówisz poważnie? -- Banach wytrzeszczył oczy. -- Wyłącz ją.

-- I tu jest problem. Eksperyment znalazł się poza naszą kontrolą.



SPIS TREŚCI

[KARTA TYTUŁOWA](#)

[KARTA REDAKCYJNA](#)

[METALOWA BURZA](#)